This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

GIFT OF
V. Petrovsky

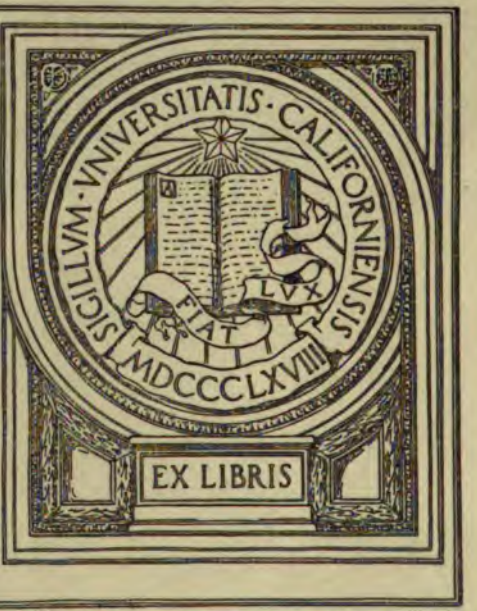

WYPISY POLSKIE

DLA KLAS WYŻSZYCH

SZKÓŁ GIMNAZYALNYCH.

CZĘŚĆ DRUGA

ułożona przez

Stanisława Tarnowskiego i Franciszka Próchnickiego.

Wydanie trzecie.

Cena egzemplarza opr. 3 K 60 h.

WE LWOWIE.
Nakładem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie.
1906.

835
T69
1906
N.2

Edgr
V. Petrovsky

PG7132
T37
1906
v.6
NAI

SPIS RZECZY.

Okres siódmy (1822—1850).

Str.

I. Lata przed rokiem 1831 1

Adam Mickiewicz 6

Z Ballad : Pierwiosnek 25
Świtezianka 27
Trzech Budrysów 29
Z Sonetów: Do Niemna 31
Rezygnacya 31
Z Sonetów krymskich: Cisza morska . . . 31
Widok gór ze stepów Kozłowa . . . 32
Bakczysaraj 32
Grób Potockiej 33
Ałuszta w dzień 33
Czatyrdah 33
Pielgrzym 34
Droga nad przepaścią 34
Góra Kykyneis 35
Z Wierszy różnych: Oda do młodości . . . 35
Farys 37
Do M. 40
Do M. Na Alpach w Splügen 41
Trójka koni 42
Dziadów część druga 44
Z Dziadów części czwartej 58
„ części trzeciej 63
Z Ustępu: Droga do Rosyi 90
Pomnik Piotra W. 93
Z Literatury słowiańskiej: Stefan Batory i Iwan Groźny 95

Antoni Malczewski 108

Józef Bohdan Zaleski 110

Śpiew poety 114
Rojenia wiośniane 116

262786

Str.

Podzwonne ku ojcom 117
Dumka hetmana Kosińskiego 119
Wyprawa chocimska 121
Wyjazd bez powrotu 122
Z Pieśni serbskich: Bój kosowski 123

Seweryn Goszczyński 127

Z Zamku kaniowskiego 129
Orzeł 135

Joachim Lelewel 136

Z Uwag nad dziejami Polski i ludu jej . . . 139

Maurycy Mochnacki 150

Z dzieła p. t. O literaturze polskiej w w. XIX:
O Maryi Malczewskiego 152

Klementyna z Tańskich Hofmanowa 157

Z Dziennika Franc. Krasińskiej 159

Aleksander Fredro 167

Nikt mnie nie zna (w skróceniu) 170

Uwagi ogólne o literaturze pierwszej części okresu siódmego 189

II. Czasy po roku 1831 194

Juliusz Słowacki 198

Z Kordyana aktu III sc. 8 210
W Szwajcaryi (wyjątki) 214
Z Balladyny 216
Z Anhellego 238
Z Wierszy drobnych: Rozłączenie 247
Zatoka koryncka 248
Hymn o zachodzie słońca 250
Na sprowadzenie zwłok Napoleona . . . 251
Poeta i natchnienie (wyjątek) 253
Testament mój 254
Z Listów do matki 255

Zygmunt Krasiński 261

Z Nie-Boskiej Komedyi 272
Z Psalmu dobrej woli 287

Str.

Z Wierszy drobnych: Do aniołów 290
Po śmierci 292
Do Elizy 293
Z Listów do Konst. Gaszyńskiego 294

Hieronim Kajsiewicz 300
Kazanie o pokucie 304

Józef Kremer 312
Z Listów z Krakowa 313

August Cieszkowski 322
Z dzieła p. t. O drogach ducha 324

Henryk Rzewuski 333
Z Pamiętników Soplicy: Trybunał lubelski . . 335
Z Listopada rozdz. XIII 342

Ignacy Chodźko 353
Z Powieści p. t. Pamiętniki kwestarza . . . 354

Józef Korzeniowski 363
Z Mnicha akt I. 365
Z powieści p. t. Kollokacya 374

Michał Wiszniewski 381
Z Historyi literatury polskiej: Historya architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki za Piastów . 382

Uwagi ogólne o literaturze w drugiej części okresu siódmego 391

Okres ósmy (od r. 1850 do naszych czasów).

I. Czasy przed r. 1863 405

Wincenty Pol 407
Z Pieśni Janusza: Powrót konia 412
Z Mohorta 413
Przebolało I i II 417
Z Pieśni o domu naszym 422

Str.

Kornel Ujejski 424

Z Melodyi biblijnych: Hagar na pustyni . . . 426
Anioł pański 427
Z Tłómaczeń Chopina: Zakochana 428

Władysław Syrokomla 429
Urodzony Jan Dęboróg (w wyjątkach) 430

Teofil Lenartowicz 434

Mazur 436
Zachwycenie (wyjątek) 437

Józef Ignacy Kraszewski 439

Ze Sfinksa 443
Z Chaty za wsią 456
Z Brühla 463
Ze Starej baśni 475

Lucyan Siemieński 487

Z Wierszy drobnych: Komu w drogę, temu czas . 490
Czas do Boga 491
Kto wspomni? 491
Z Obozu klasyków 492

Karol Szajnocha 494

Ze Szkiców historycznych: Zdobycze pługa polskiego 498

Mieczysław Romanowski 511

Z Wierszy drobnych: Chwila myśli 512
Znużony ptak 513
Nowa znajomość 513
Sny i prawdy 514
Modlitwa 515
Finale 515

Uwagi ogólne o literaturze w pierwszej części okresu ósmego 516

II. Czasy po roku 1863 523

Waleryan Kalinka 527

Z Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta .
Przedmowa (skrócona) 531

Str.

Z dzieła p. t. Generał Dezydery Chłapowski:
Charakterystyka 543
Z Sejmu czteroletniego:
Ksiądz Hugo Kołłątaj 550

Józef Szujski 558

Z Wierszy drobnych: Świąteczną godziną . . 564
Pieśń o husarzach 565
Z Królowej Jadwigi 567
Tadeusz Rejtan 576
Mowa rektorska (w skróceniu) 589

Antoni Małecki 597

Z Dzieła p. t. Jul. Słowacki: Rozbiór Anhellego . 599

Julian Klaczko 613

Z rozpr. o powieści Korzeniowskiego p. t. Krewni . 615

Adam Asnyk 621

Pod stopy krzyża 622
Dzieje piosenki 624
Ach jak mi smutno 625
Szkoda 626
Widmo jesieni 626
Baśń tęczowa 627
W Tatrach. Sonet V 628
Szczęśliwa młodość 629

Marya z Wasiłowskich Konopnicka 629

Przed Bogiem 630
Po burzy 632
Z Obrazków: Jaś nie doczekał 633
Z Piosenek i pieśni I, II, III. 635
Z łąk i pól 636
Na fujarce 636
Z Italii: Na Janiculum 637
Willa Wołkońskich III 638
Madonna Sykstyńska 639

Henryk Sienkiewicz 640

Z powieści p. t. Ogniem i mieczem 641

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa 655

Z powieści p. t. Nad Niemnem 656

Str.

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) 667

Z powieści p. t. Placówka 668

Piotr Chmielowski 683

Z dzieła p. t. Józef Ignacy Kraszewski . . . 684

Aleksander Brückner 694

Z dzieła p. t. Mikołaj Rej 695

Uwagi ogólne o literaturze w drugiej części okresu ósmego 703

Objaśnienia 715

Spis ważniejszych osób, o których w tem dziele jest wzmianka 728

OKRES SIÓDMY

(1822—1850)

„MICKIEWICZOWSKI".

Okres to najświetniejszy w całej historyi literatury polskiej. Chociaż trwa stosunkowo krótko, dzieli się na dwie części: na lata przed i lata po r. 1831. Pierwsza część to szukanie nowych dróg, zawisłość od obcych wpływów; druga — to doba największego rozkwitu naszej poezyi.

I. Lata przed rokiem 1831.

Przyczyny, które wprowadziły literaturę naszą na nowe tory, są wewnętrzne i zewnętrzne.

A) Przyczyny wewnętrzne.

1. Najważniejszą przyczyną stanowczego zwrotu w literaturze naszej było położenie narodu.

Od połowy wieku XVIII. z uczuciem własnego upadku i upokorzenia podniosła się w narodzie miłość ojczyzny i pragnienie wyzbycia się z tego poniżenia. Uczucie to i pragnienie rosło przez cały ciąg panowania Stanisława Augusta, a w miarę nowych klęsk i upokorzeń stawało się coraz silniejszem. Uczucie narodu było wstrząśnięte do głębi i nie mogło pogodzić się z tem, co się stało. Wojny napoleońskie dowiodły tego dość wyraźnie. Umysły, tymi wypadkami zajęte, mniej zwracały się ku literaturze. Ale gdy Napoleon upadł, a pokładane w nim nadzieje wcale się nie spełniły, wtedy te wszystkie uczucia i wrażenia, jakie naród przebył od roku 1792 do 1815, zaczęły się na nowo odzywać w jego pamięci; odbijać w jego refleksyi i wyobraźni i stały się przedmiotem wszystkich myśli, tłem całego życia zbiorowego i czynnikiem głównym, kształcącym duszę i życie każdego człowieka z osobna.

Pierwiastkiem przeto głównym, który wydał samą istotę i ducha naszej literatury (a szczególnie naszej poezyi) w tym okresie, jest fakt rozbioru; jej kierunek i charakter jest przedewszystkiem patryotyczny, często (wskutek tego) polityczny, czasem mistyczny. Że zaś ten stan rzeczy na uczucia przedewszystkiem działać musiał

najsilniej, więc nad całem naszem piśmiennictwem porozbiorowem musiała wziąć górę ta jego część, która z uczuciem łączy się najściślej i w niem ma swoje źródło główne — poezya. Jej zadaniem było stać się wyrazem historycznego stanu narodu; jej cechą jest, że się tym wyrazem stała. Temu zaś zadaniu odpowiedzieć, tego znamienia nabrać nie mogła ani w pierwszej zaraz chwili po rozbiorach, ani podczas wojen napoleońskich, ale dopiero później, kiedy ten stan rzeczy ustalił się na dobre, kiedy względne uspokojenie powszechne (po r. 1815) pozwoliło objąć go refleksyą i kiedy podrosło pokolenie od kolebki już w atmosferze tych wpływów żyjące, temi uczuciami tchnące.

2. Do podniesienia całego poziomu wykształcenia, a więc i literatury w wysokim stopniu przyczynił się stan szkół, szczególnie w krajach zabranych przez Rosyę. Była to jakby dobra uprawa gruntu, potrzebna na to, by zeszedł na nim plon bogaty. Już w okresie poprzednim była mowa o uniwersytecie wileńskim i o liceum krzemienieckiem. Zakładom tym, najwyższym i najobfitszym w dobre skutki, odpowiadały rozsiane po kraju szkoły średnie, do nich zastosowane, do nich przygotowujące, a wydające z siebie co roku nowe warstwy młodych ludzi wykształconych i myślących. Uniwersytet warszawski (otwarty w r. 1817), później od wileńskiego, ale także świetnie zasłużył się na tem polu. Poziom oświaty był wysoki, pokolenie było przystępne kwestyom umysłowym i szlachetnym wrażeniom; społeczeństwo było usposobione i przygotowane do tego, by wysoką literaturę z siebie wydać. Szczególnie w tym okresie do odrodzenia poezyi przyczynił się świetny stan uniwersytetu wileńskiego i szczęśliwy zbieg okoliczności, który do niego ściągnął znaczną liczbę młodzieńców szlachetnych i niezwykle uzdolnionych.

3. Do podniesienia literatury, w szczególności zaś do odrodzenia poezyi przyczyniło się prześladowanie młodzieży wileńskiej.

Był to czas, kiedy po kongresie wiedeńskim zaczęły się szerzyć w całej Europie tajne stowarzyszenia. Były one we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Rosyi; były i u nas, w Warszawie i w krajach dawniej zabranych. W tych latach, kiedy Mickiewicz był uczniem uniwersytetu, miała młodzież wileńska dwa stowarzyszenia: jedno, ogólniejsze i liczniejsze, Filaretów — drugie, stanowiące niejako zarząd tamtego, z kilku zaufanych złożone, Filomatów. Nie były one stowarzyszeniem tajnem ani politycznem; nie były spiskiem przeciw rządowi ani przygotowaniem do powstania. Jednak towarzystw tych użyto za pozór do prześladowania.

Rosyanie, którzy od samego początku nienawidzili królestwa kongresowego i jego konstytucyi, korzystali z każdej sposobności, ażeby cesarza Aleksandra I-go odstręczyć od Polaków, a że uniwersytet wileński był jednem z najgłówniejszych ognisk polskiego życia, użyto owych stowarzyszeń za pozór do wystąpienia przeciw tej szkole. Senator Nowosilców, z dawna patrzący niechętnie na uniwersytet

wileński i na wychowanie publiczne w rękach polskich (kuratorya ks. Adama Czartoryskiego), tak potrafił przestraszyć cesarza Aleksandra i wielkiego księcia Konstantego w Warszawie, że jemu polecono dochodzić mniemanych spisków w Wilnie. Książę Czartoryski, straciwszy wszelki wpływ, jaki miał za czasów Aleksandra, musiał swój urząd złożyć, a Nowosilców na podstawie błahych poszlak więził, na podstawie urojonych i naciąganych dowodów skazał znaczną część dawnych Filaretów na zesłanie w głąb Rosyi. W tych liczbie był i Mickiewicz.

Tak skończyły się (w r. 1824) świetne czasy uniwersytetu wileńskiego: był to też pierwszy krok do jego zniesienia, które po r. 1831 nastąpiło istotnie. Było to wielkiem nieszczęściem. Uniwersytet wileński, wcale znakomity a rozwijający się świetnie, był (łącznie z niższemi szkołami) najdzielniejszym środkiem utrzymania i rozkrzewienia w krajach zabranych nie tylko nauki i oświaty, zatem cywilizacyi, ale samych polskich uczuć i tradycyi, polskiej siły i polskiego ducha. Brak jego musiał osłabić bardzo żywioł polski w tych krajach pod wszystkimi względami. Z tego powodu związki wileńskiej młodzieży, które dały pozór do jego ściślejszego strzeżenia i stopniowego obniżania, choć w szlachetnej myśli poczęte, były wypadkiem dla naszego narodowego dobra nieszczęśliwym. Na literaturę wywarł ten wypadek wpływ korzystny, ale szkodliwy na stanowisko, siłę i przyszłość żywiołu polskiego i polskiej cywilizacyi na Litwie.

Ale uczucie, choćby najwyżej podniesione, wykształcenie choćby znakomite, nie wystarczą, by wydać poezyę. Na to złożyć się musiało czynników więcej.

B) Przyczyny zewnętrzne.

1. Powszechne odrodzenie literatury w Europie i wpływ jego na literaturę polską.

Około połowy wieku XVIII. nastąpiło odrodzenie poezyi niemieckiej pod wpływem reakcyi przeciw wpływom klasycznej poezyi francuskiej. Klopstock, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Goethe, Schiller — oto ważniejsi przedstawiciele tego nowego prądu, który doprowadził literaturę niemiecką do takiej doskonałości, iż stała się wzorem dla poezyi innych narodów.

Nowej siły nabrało to odrodzenie poezyi w Anglii, gdzie prąd nowy rozpoczął się również około połowy w. XVIII., przedewszystkiem przez należyte ocenienie i przywrócenie do czci zapomnianego prawie Szekspira, nadto także przez zwrot do pieśni ludowych, które poczęto zbierać i wydawać (Percy wydał szkockie ballady), a z czasem i naśladować (Robert Burns). Z początkiem zaś wieku XIX. nastąpiło znakomite odrodzenie poezyi angielskiej od czasu, jak wystąpili tacy poeci, jak Walter Scott, Tomasz Moore, szczególnie zaś Byron.

Zwrot ten powoli dostał się i do literatury francuskiej, gdzie szczególną w tym względzie zasługę położyli: Franciszek August

de Chateaubriand i Germana de Staël, autorka sławnej książki o Niemczech.

Nasza literatura, zbyt długo trzymana pod panowaniem klasycyzmu francuskiego, od początku XIX wieku zwracała się, choć nieśmiało, w inną stronę; miała instynktowe pragnienie form nowych, swobodniejszych, prostszych i szlachetniejszych zarazem. Ale przyzwyczajenia były zbyt zadawnione i silne, zdolności niedość wielkie na to, by zmiana mogła była dokonać się rychło, a ciągłe wojny i przywiązane do nich nadzieje zwracały w inną stronę główny prąd myśli, pragnień i zajęć ogółu. Dopiero po roku 1815, kiedy nastał względny spokój, a cała Europa z największym zapałem zaczęła zajmować się dziełami i sprawami literackiemi: wtedy i u nas zaczął się objawiać zapał i podziw dla Schillera i Goethego, dla Byrona, nawet dla mniejszych Anglików i Niemców, to zaś ułatwiło naszym młodym poetom wyrobienie sobie nowych form.

2. Jednem z głównych znamion tej odrodzonej poezyi był tak zwany romantyzm.

Wskutek przesytu, wywołanego powtarzaniem tych samych zawsze form, zaczęto szukać nowych źródeł poezyi. Istniały one od dawna, ale od czasu, jak zapanowało uwielbienie klasyczności, były zapomniane lub lekceważone. Jednem z takich źródeł była dawna poezya wieków średnich, uprawiana przez »trubadurów« i »minnesängerów«. Poezyę tę dla odróżnienia od starożytnej (klasycznej) nazwano romantyczną dlatego, że kwitła w wiekach średnich, głównie u ludów romańskich.

Nazwa ta obejmowała nie tylko takie pierwiastki poezyi średniowiecznej, jak bohaterskie czyny i przygody rycerzy, walkę za wiarę, cześć dla kobiet, wysokie pojęcie honoru, ale także takie wyobrażenia, które, kiedyś powszechne, teraz wydały się poetycznemi, bo były średniowieczne, a więc duchy i czary, gusła i zabobony, wszelkie nadprzyrodzone zjawiska i fantastyczne światy.

U nas ani rycerstwa w znaczeniu średniowiecznem ani właściwej mu poezyi nie było: poezya jak obyczaj były nam obce. To też u nas ten kierunek średniowieczny, rycerski pozostał tylko naśladowniczym i trwał niedługo. Brodziński miał słuszność, kiedy przestrzegał, ażeby po naśladownictwie wzorów francuskich nie wpadać w naśladownictwo podobne, tylko innych wzorów. Jakoż po latach kilkunastu niknie prawie zupełnie, ustępując miejsca poezyi prawdziwie narodowej.

3. Ważniejszym i donioślejszym dla odrodzenia poezyi naszej narodowej stał się właściwy całej ówczesnej poezyi europejskiej zwrot do poezyi ludu.

Było to w drugiej połowie wieku XVIII. znamieniem i pierwiastkiem bardzo ważnym w poezyi europejskiej, a pewnikiem w ówczesnej estetyce, że w pierwotnej poezyi ludu należy szukać odmłodzenia i ducha i form poezyi artystycznej. W tem źródle szukano i nowych pomysłów i prostego, przyrodzonego sposobu wyrażania swych uczuć i wrażeń, zasobu form zapomnianych a ro-

dzimych i do artystycznego zastosowania sposobnych. Źródło to wskazywał głównie Herder *(Stimmen der Völker*[1]), a niebawem zwróciły się do niego wszystkie poezye europejskie. Zapał dla szkockich ballad[2]), dla dum Ossyana[3]), dla hiszpańskich romanc (Cyd), dla niemieckich legend i powieści średniowiecznych odbił się we wszystkich poezyach.

U nas zwrot ten, usiłujący odmłodzić poezyę za pomocą pierwiastków rodzimych, nastąpił tem łatwiej, że już w drugiej połowie w. XVIII. zaczęto ze względów społecznych i politycznych więcej zajmować się ludem, jego położeniem i potrzebami, a w związku z tym prądem politycznym także niektórzy poeci czasów stanisławowskich (Kniaźnin, Karpiński, Bogusławski) zaczęli w utworach swoich albo przedstawiać życie i wierzenia ludu (»Cyganie«, »Krakowiacy i górale«) albo naśladować pieśni i melodye ludowe. W początkach w. XIX. kierunek ten mało był widoczny, ale wnet, wpływem poezyi i teoryi zagranicznych wywołany, obudził się znowu do życia. Brodziński szedł za nim świadomie, aż wreszcie u młodych romantyków i przez nich stał on się jednym z istotnych i bardzo charakterystycznych pierwiastków nowszej naszej poezyi, zwłaszcza, że w tym czasie obudził się u nas (za przykładem Zoryana Chodakowskiego, t. j. Adama Czarnockiego) gorący zapał do zbierania ludowych pieśni i podań. W takito sposób poezya nasza przez to, że pierwotną, naiwną poezyę ludu starała się wziąć w posiadanie poezyi artystycznej i z niej korzystać, ułatwiała sobie osiągnięcie jednego ze swoich celów, którym był rodzimy, narodowy charakter poezyi.

Stan wewnętrzny i wpływy zewnętrzne usposobiły nas więc dostatecznie do nowego i potężnego zwrotu w literaturze. Pragnienie poezyi nowej i lepszej było powszechne, jak powszechne było uczucie, że dawna niezupełnie wystarcza. W tym stanie rzeczy potrzebny był już tylko człowiek, talent, któryby ten dojrzewający zwrot w sobie objawił i dokonał — człowiek genialny, któryby miał dar wyrażenia wszelkiego ludzkiego uczucia w jego najwyższej prawdzie i najwyższej potędze, któryby miał twórczą zdolność wcielenia swoich pomysłów w doskonale piękną formę, w postaci ludzkie pełne prawdy i życia, i pełne wyższej poetycznej piękności. Był nim Adam Mickiewicz.

---

[1]) Wydane p. t. *Volkslieder* (1778—1779).
[2]) Pierwszy wydał je Tomasz Percy (1765).
[3]) Wydał je James Macpherson (w latach 1760—1765), a lubo zarzucono im nieautentyczność, wpływ ich na poezyę nowoczesną był bardzo znaczny.

Adam Mickiewicz.

I. 1798—1824. Lata dzieciństwa (1798—1815). Mickiewicz, Adam, syn Mikołaja i Barbary Majewskiej, urodził się w Zaosiu (pod Nowogródkiem) 24 grudnia 1798. Herb rodziny Poraj. Ojciec, przed rozbiorem urzędnik sądowy, po nim był adwokatem i właścicielem części Zaosia. W r. 1807 oddano Adama do szkoły (ks. Dominikanów) w Nowogródku, do klasy pierwszej. W roku 1812 (na ukończeniu klasy czwartej) stracił ojca. W tymże roku widział wojska francuskie i polskie, ciągnące na kampanię rosyjską; wrażenie, jakie odniósł, wywarło wpływ stanowczy i niezatarty na kierunek jego uczuć. Szkołę w Nowogródku ukończył w r. 1815 i przeniósł się na uniwersytet do Wilna, z zamiarem sposobienia się do zawodu nauczycielskiego.

Nauki uniwersyteckie (1815—1819). W Wilnie znalazł opiekę dalekiego krewnego, księdza Józefa Mickiewicza, wówczas dziekana wydziału matematyczno-fizycznego w uniwersytecie, i za jego radą zdawał egzamin na kandydata stanu nauczycielskiego, co mu ułatwiło przyjęcie do seminaryum na koszt rządu. Na wydziale matematycznym wszakże pozostał tylko przez jedno półrocze, po którem przeniósł się na stosowniejszy dla jego usposobienia wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Celniejszymi profesorami tego wydziału, którzy na umysł i wykształcenie młodego Mickiewicza wpływ istotny wywarli, byli: Leon Borowski (literatura polska), Joachim Lelewel (historya) i Ernest Groddeck (filologia klasyczna). Pobierał też naukę języka i literatury francuskiej i rosyjskiej.

W trzecim roku studyów uniwersyteckich (1817) przystąpił Mickiewicz jako jeden z pierwszych siedmiu członków do stowarzyszenia Filomatów, zawiązanego przez Tomasza Zana i Józefa Jeżowskiego. W gronie przyjaciół spędzał Mickiewicz czas wolny od pracy, a głównym przedmiotem ich rozmów był nowy kierunek poezyi, który się objawił na Zachodzie. Zajęty nią jak wszyscy jego koledzy, jak cały ówczesny świat europejski, czytał Mickiewicz z największym zapałem i z uwielbieniem poetów (Niemców naprzód, Anglików później), a z gorączkową ciekawością i żądzą wiedzy estetyków i krytyków (Lessing, Schlegel, Boutterwek). Było to przygotowanie do nowego zwrotu poezyi.

Pierwsza miłość. W r. 1818, podczas wakacyi, zawiózł Zan Mickiewicza do Tuhanowicz, majętności pani Wereszczakowej, wdowy, z której synami był w przyjaźni. Tu zobaczył Mickiewicz po raz pierwszy córkę tego domu, Maryę. Powstała w jego sercu miłość, która wywarła wpływ stanowczy na jego życie i talent. Marya Wereszczakówna była mu wzajemną. Rodzina jej wszakże nie życzyła sobie związku z nieznanym młodzieńcem, nie mającym żadnego stanowiska. O pannę starał się właśnie Wawrzyniec Puttkamer, młody obywatel ziemski, a niedawno jeszcze waleczny oficer w wojsku napo-

leońskiem, prawy, godny i ujmujący. Taki był początek tego stosunku i tego uczucia, które wkrótce odbiły się w poezyi Mickiewicza.

Pierwsze poezye. Poezyi zaś właśnie teraz (1819) zaczął się oddawać już na prawdę. Wszyscy młodzi koledzy Mickiewicza, z mniejszym czy większym talentem, próbowali swoich sił w poezyi, pisywali wierszy dużo; pisywał je i Mickiewicz. W r. 1819 powstał wiersz (bez tytułu) do Filomatów (drukowany w wydaniu paryskiem z roku 1869), Zima miejska, i ogłoszona w Pamiętniku warszawskim rozprawa literacka, Uwagi nad Jagiellonidą (Tomaszewskiego), w pojęciach i sposobie pisania zbliżone jeszcze bardzo do dawnej szkoły klasycznej. Dwie powieści, Żywila (heroiczna) i Karyla (sielankowo-fantastyczna), wskazują z daleka późniejsze kierunki jego twórczości (Świteź, Kurhanek, poniekąd i Grażyna), treścią swoją odnoszą się zapewne do jego własnego uczucia i położenia. W obudwóch skromny, ubogi młodzieniec kocha pannę, dla której rodzina żąda związków świetniejszych.

Kowno. Zawód w miłości (1819—1823). W r. 1819 otrzymał Mickiewicz posadę nauczyciela gimnazyalnego w Kownie. Rozstanie się z przyjaciółmi wielki smutek ściągnęło na poetę, i chyba tylko częste wycieczki do Wilna ulgę przynosiły tęsknocie. Większe nieszczęście spadło na niego w r. 1820, gdy w jesieni tego roku utracił matkę. W kilka zaś miesięcy potem (2 lutego 1821) odbył się ślub Maryi Wereszczakówny z Wawrzyńcem Puttkamerem. Wrażenie tego faktu było tak silne, że zdrowie poety się zachwiało, a przyjaciele mocno byli o niego zaniepokojeni. Cios ten wszakże nie wstrzymał jego twórczości poetyckiej, owszem rozwinął ją, skoro w rok później wyszły dwa pierwsze tomy jego poezyi; wielkie cierpienie, jakiego doznał, stało się krzemieniem, z którego padła iskra natchnienia.

Czwarta część Dziadów. W dwóch tomikach, z których pierwszy wyszedł w roku 1822, a drugi w roku 1823, pomieścił poeta: Ballady i romance (z »Pierwiosnkiem« i »Romantycznością« na czele) — Dziadów część drugą i czwartą i Grażynę. Przed innemi zwracają na siebie uwagę Dziady. Poemat ten jest jego własną historyą, historyą jego nieszczęśliwej miłości. Jako poemat miłosny czwarta część Dziadów nie ma wyższego nad siebie w poezyi polskiej, a należy do najpiękniejszych w poezyi całego świata. (Treść utworu wraz z kilku wyjątkami podana jest poniżej). Poemat ten, oprócz całej swojej piękności artystycznej, a zwłaszcza lirycznej, jest bardzo ciekawym pomnikiem historycznym, bo jest pierwszym potężnym i może najzupełniejszym wyrazem romantycznego kierunku w naszej poezyi. Przez wprowadzenie istot ze świata nadzmysłowego (widm, duchów, upiorów) łączy się on z pojęciami i zwyczajami ówczesnego europejskiego romantyzmu; przez pierwiastek i charakter ludowy odpowiada estetycznym przekonaniom i dążnościom młodszych poetów polskich (niemniej jak niemieckich lub angielskich). Przez swoją formę dramatu fantastycznego (pierwszego w poezyi polskiej) łączy się znowu z całym tym rodzajem, który stworzony przez Goethego w Fauście, a przez Byrona pochwycony

i często świetnie używany (Manfred, Kain), szczególnie był w owym czasie ceniony i podziwiany. Wreszcie, przez chorobliwy charakter miłości, jak ją czuje i pojmuje Gustaw, przez jego rozmiłowanie się w swojem nieszczęściu, przez tę niezdolność i niechęć do życia, odkąd go miłość zawiodła, stają się Dziady doskonałym wyrazem tego uczucia, jak je pojmowało ówczesne pokolenie romantyków w całej Europie, a Gustaw staje się jednym z tych chorobliwych bohaterów miłości, których ojcem i wzorem był Werther. Że z tych bohaterów, od Werthera pochodzących, żaden nie zbliża się nawet do Gustawa, zbytecznie mówić. Oprócz wyższości poetycznej zaś ma on nad wszystkimi bohaterami podobnymi tę jeszcze wyższość etyczną, że przedstawiony i osądzony jest przez Mickiewicza właśnie jako człowiek usposobiony chorobliwie, zbyt wyłącznie owładnięty jednem uczuciem, a przez to winny. Jest to jednym z dowodów ogromnej siły i rozumu i charakteru u Mickiewicza, że jeszcze pod wrażeniem swojej miłości, w samem swojem cierpieniu, w wiernem przedstawieniu swoich ówczesnych uczuć, już w sumieniu swojem poznał i osądził to, co było złego w tem uczuciu.

Oprócz wpływu Goethego daje się w tej części Dziadów rozpoznać wpływ Jana Jakóba Rousseau (Nowa-Heloiza), wpływ Jean Paula, a poniekąd pani Krüdener, której romans Walerya (słabe naśladowanie Werthera) był ulubioną powieścią Mickiewicza i Maryi Wereszczakówny. Na pamiątkę bohatera tego romansu dostał bohater Dziadów imię Gustawa.

Ballady i romance. Ballady i zbliżone do nich Romance powstały także pod wpływem powszechnej poezyi romantycznej. Rodzaj to bardzo podówczas ulubiony, a za przykładem obcych uprawiany gorliwie przez naszych młodych poetów. W balladach i romancach Mickiewicza można rozróżnić różne grupy, podług wpływów, pod którymi powstały. Bardzo widocznym i silnym jest wpływ niemiecki, mianowicie Goethego, Schillera i Bürgera (Ucieczka jest przerobieniem jego Lenory). Do tej grupy należy, choć z podań litewskich wzięta, Świtezianka, najdoskonalsza może z ballad Mickiewicza i wszystkich polskich. Inne pochodzą wprost od pieśni lub podań ludu i są ich przerobieniem (typem takich są Lilie). Jeszcze inne ukrywają pod tą formą własne wspomnienia i uczucia poety, odnoszą się do jego nieszczęśliwej miłości (Dudarz, To lubię). Romantyczność jest polemiką przeciw klasykom, a zarazem wczesnem świadectwem tej wiary w nadprzyrodzone wpływy i objawienia, która w późniejszem życiu poety miała znaczyć tak wiele. Na szczególną uwagę zasługują przez swój charakter oryginalny i swój wdzięk ballady wesołe, humorystyczne, jak Pani Twardowska i Trzech Budrysów (z później powstałych). W niektórych romancach (na przykład w Kurhanku Maryli) znać jeszcze wpływ i ślady dawnego smaku, dawnej konwencyonalnej sielanki Karpińskiego.

Grażyna. Grażyna, małymi rozmiarami podobna do ulubionych podówczas powieści poetycznych, złożonych z epickiego i lirycz-

nego pierwiastka, charakterem swoim różni się od nich zupełnie, a przybliża się do wielkiej bohaterskiej epopei, szczególnie do Iliady Homera. Prostota i szlachetność stylu, zupełne oderwanie się poety od siebie samego, od własnych uczuć i wrażeń, wyrazistość i żywość figur, wszystko to wybija na tej powieści cechę prawdziwej epickiej doskonałości. Zakończenie, prawda, pisane pobieżnie, jest słabsze; ale aż do upadku bohaterki na polu bitwy Grażyna jest dziełem wyjątkowej doskonałości i jedna ze wszystkich powieści poetycznych w Europie podobna jest do epopei.

Do tego czasu należy jeszcze, jakkolwiek podówczas jeszcze nie drukowana, Oda do młodości.

Z wierszy lirycznych odznacza się ona najsilniejszem lirycznem natchnieniem. Wspaniała jako wyraz lirycznego natchnienia, wzniosła przez ideał poświęcenia, przez miłość rzeczy wielkich i spraw szlachetnych, Oda do młodości jest w tem jednostronna, a zatem fałszywa, że młodości tylko przyznaje szlachetność uczuć i zdolność do poświęceń, które nie są przywilejem pewnych lat, ale istotą i cechą pewnych (szlachetnych) natur i usposobień. Musiałaby też okazać się fałszywą, gdyby kto chciał wyciągać z niej niektóre zdania i uważać je za prawidła praktycznego życia i postępowania. Wzniosłe poetyckie natchnienie ma to zadanie i tę nawet praktycznie dobroczynną moc, że podnosi wyżej uczucia ludzkie i wytyka im szlachetny kierunek: ale nie idzie za tem, iżby zachwyt poety miał znajdować zastosowanie w wypadkach praktycznego życia.

Dwa tomiki Mickiewicza, jak były objawieniem i urzeczywistnieniem nowej poezyi, tak stały się naturalnie przedmiotem walki pomiędzy wielbicielami nowej a wyznawcami dawnej. Walka ta zapaliła się teraz goręcej i obracała się około tych poezyi. A tymczasem przed poetą otwierały się nowe, ciężkie koleje życia.

Uwięzienie i wywiezienie (1823—1824). Stowarzyszenia uczniów wileńskich stały się pretekstem do prześladowania. Uwięziono wszystkich dawnych Filaretów, bawiących w Wilnie, i wielu takich, którzy bądź to na wsi, bądź w mniejszych miastach byli z nimi w stosunkach.

Mickiewicz, który jeszcze przed rozwiązaniem Towarzystwa udał się do Kowna na swoją posadę nauczycielską, który przez ostatnie lata rzadko i na krótko bywał w Wilnie, powinien był jeszcze mniej niż inni być narażonym na prześladowanie. Ale że kiedyś jeszcze jako uczeń należał do pierwszych Filomatów, więc aresztowany i przewieziony do Wilna, osadzony był w więzieniu, przerobionem z dawnego Bazyliańskiego klasztoru, około Ostrej Bramy. (Wspomnienia te umieścił w Trzeciej części Dziadów[1]). W tem więzieniu poczęła się i, choć może nie zupełnie wyrobiła, ale dokonała się pierwsza wielka zmiana w duszy i życiu Mickiewi-

---

[1]) Opis samego stowarzyszenia Filaretów i więzienia, z wielu najdokładniejszy i najwdzięczniejszy, jest Ignacego Domeyki, p. t. Filareci i Filomaci. (Poznań (1872).

cza. Dawna miłość i pozostały po niej żal ucichły i ustąpiły pierwszego miejsca w jego sercu miłości ojczyzny i patryotycznemu cierpieniu.

Śledztwo ciągnęło się długo. Wyrok, oparty na błahych i naciąganych powodach, skazywał niektórych (Zana, Czeczota i Suzina) na rok (lub pół roku) fortecy, a następnie na zsyłkę na Sybir; innych na wywiezienie w głąb Rosyi i umieszczenie tam w służbie rządowej. W liczbie tych był Mickiewicz. Uwięziony 23 października 1823, wyszedł z więzienia (po wyroku) w kwietniu 1824. Przez kilka miesięcy zostawał na wolnej stopie w Wilnie, czekając na wywiezienie. Nastąpiło ono 24 października 1824. W tym dniu pożegnał Mickiewicz Litwę już na zawsze.

II. (1824—1829). Petersburg. Odessa (1824—1825). Zawieziono go naprzód do Petersburga. (Ślady tych wrażeń pozostały w wierszach Droga do Rosyi, Przegląd wojska i innych). Potem przeznaczono go do Odessy na nauczyciela w gimnazyum.

Miasto kosmopolityczne, pełne cudzoziemców, przez rząd mniej czujnie strzeżone, pełne także Polaków z Podola i Ukrainy, było (przy względności władz miejscowych, które nawet pełnienia służby nie żądały) wygnaniem stosunkowo łagodnem. Poeta zawiązał tam znajomości miłe, a nawet przyjaźni serdeczne. Z Odessy, w towarzystwie Henryka Rzewuskiego (później autora Pamiątek Soplicy i Listopada), jego siostry i paru innych osób odbył podróż po Krymie (1825).

Sonety. Owocem poetycznym tego pobytu w Odessie i tej podróży są, oprócz kilku wierszy miłosnych (Sen, Godzina, Do D. D.) Sonety (wydane w Moskwie 1826). Te dzielą się na erotyczne i krymskie. Z pierwszych jedne tchną wspomnieniem i Litwy i dawnej kochanki (Do Niemna, Rezygnacya) i te należą do najpiękniejszych lirycznych wierszy Mickiewicza, drugie, odnoszące się do nowej miłości, w Odessie poczętej i skończonej, są i uczuciem niższe i nawet w smaku niezawsze zupełnie dobre. Sonety krymskie zato, tchnące tęsknem, ponurem a umyślnie na wodzy trzymanem uczuciem, niezrównanie świetne mocą wyrażeń i efektami niespodzianych zwrotów myśli, zrywające się zuchwale na obrazy a kreślące je szybko i szkicowo, ale z zadziwiającą siłą i poezyą (Stepy Akermańskie, Burza morska, Droga nad przepaścią, Czatyrdah), są w swoich małych rozmiarach wielkiem arcydziełem. Były one także pierwszem w poezyi polskiej odbiciem tego upodobania we wschodnich krajach i scenach, które za przykładem Byrona i Moora stało się modą w całej Europie. Te wschodnie obrazy (a nawet wyrazy) stały się dla klasyków powodem do licznych a niechętnych zaczepek i krytyk, kiedy romantycy przeciwnie znaleźli w nich nowy pochop do wielbienia i sławienia Mickiewicza.

Moskwa (1825—1828). Tymczasem rząd, niechętnie widząc stosunki wygnańca z licznymi w Odessie Polakami, przeniósł go do Moskwy (1825). Szczęściem i tu znalazł poeta zwierzchnika nie tylko

ludzkiego, ale szlachetnego. Gubernator, książę Galicyn, wziął go do swojej kancelaryi i zostawiał mu wszelką swobodę; wykształceni zaś i uczeni ludzie stołecznego towarzystwa, pociągnięci jego już głośną sławą, garnęli się do poety, niekiedy z prawdziwą i stałą przyjaźnią. Tu zawiązał Mickiewicz liczne i miłe stosunki, między innymi z poetami Kozłowem i Żukowskim. Przyjaźń wszakże najwierniejszą i najbardziej serdeczną powzięła dla niego księżna Zeneida Wołkońska, osoba już niemłoda, niezwykłego rozumu i bardzo dobrego serca, z którą zawiązane tu stosunki odnowiły się później w Rzymie.

Wallenrod. W Moskwie napisał Mickiewicz Konrada Wallenroda, którego wydał w Petersburgu w roku 1828. Utworowi temu robiono zarzutów wiele (i to nie ze strony klasyków samych, ale i romantyków także), a powtarzają się one do dziś dnia. Główne z nich są te, że powieść cała, a zwłaszcza sama postać bohatera, zbyt przypomina pomysły Byrona i jego sposób pisania, że wartość i piękność ustępów jest bardzo nierówna, że w powieści samej, a co ważniejsza w postaciach mają być jakieś niezgodności i sprzeczności, szkodzące ich piękności i prawdzie.

Istotnie, poemat jest rozmiarami, formą i sposobem pisania podobny do poetycznych powieści Byrona, a bohater sam, ze swoją tajemniczą przeszłością i tajemniczym celem, ponury, gorżki, uważający zdradę i zemstę za swój obowiązek, ale nieszczęśliwy, że ten obowiązek na niego spadł — jest w blizkiem pokrewieństwie z wielu bohaterami Byrona (n. p. Korsarzem). Prawdą jest dalej to, że poemat jest nierówny, od jednostajnej doskonałości daleki; że mieści w sobie ustępy pisane z trudem i oporem, słabsze. Brak ten powstał zapewne stąd, że poeta dzieło swe już po napisaniu, a przed oddaniem do cenzury, przerobił i układ jego zupełnie zmienił [1]). Atoli jest w tym poemacie taka potęga uczucia, z każdej postaci i każdej myśli bije tak namiętna miłość ojczyzny i nienawiść nieprzyjaciela, Wallenrod sam w swojem tragicznem położeniu tak jest wielki i takie ma piętno nieszczęścia i bohaterstwa, że poemat staje się przez to wyrazem, a jego bohater wcieleniem (jednem z najdoskonalszych w poezyi świata) całego jednego rodzaju wrodzonych ludzkich uczuć, obrazem powtarzających się nieraz na świecie stosunków. W tem jest jego prawda, jego prawo do bytu, jego logiczna konieczność w ówczesnej poezyi polskiej i jego w niej wysokie, niewzruszone, wieczyste stanowisko. Jego zaś piękność artystyczna, w pewnych ustępach (jak Wojna albo Uczta) zapewne niższa, jest wzniesiona nad wszystko, co Mickiewicz dotąd napisał, przez tragiczną wielkość osób, przez porywającą siłę natchnienia i słowa w niektórych ustępach (Pieśń wajdeloty), przez doskonałość epickiego spokoju i stylu w połączeniu z najwyższą patetycznością uczuć i sytuacyi (w Powieści wajdeloty). Gdyby nie

---

[1]) Jozef Tretiak, Idea Wallenroda. Pamiętnik Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza. T. I.

było Pana Tadeusza, ta powieść byłaby samym szczytem poezyi Mickiewicza.

Kwestyę osobną stanowi myśl i wartość moralna Wallenroda. Dzieło zemsty i zdrady, choć z poświęcenia dla ojczyzny i z bohaterstwem podjęte i spełnione, dobrem nigdy być nie może. Zatem pomysł i bohater Mickiewicza, artystycznie wspaniały, moralnie zdrowym i dobrym nie jest. Zobaczymy też zaraz, że nie było to stałe Mickiewicza przekonanie i stanowisko, ale chwilowe uczucie, spowodowane świeżemi wrażeniami ucisku, a wzmocnione pobytem w Rosyi, naocznem przeświadczeniem się o jej sile, i prawdopodobnie wpływem tych rosyjskich znajomych i przyjaciół, którzy podówczas zajęci bardzo marzeniami o własnej wolności, nie troszczyli się o moralną wartość środków, jakich po temu użyćby mieli. U nas mówiono nieraz o złym wpływie Wallenroda na umysły i sumienia. Wpływ na wypadki, acz bardzo pośredni, mógł on mieć, bo mógł rozżarzyć te uczucia, których wybuchem było powstanie 29 listopada. Innego wpływu dostrzedz trudno. Być może, że Wallenrod był używany (raczej nadużywany) do uwodzenia ludzi, na dowód i przykład, że godzi się w dobrym celu źle robić; ale odpowiedzialność za takie wypadki (jeżeli istotnie były) nie może spadać na Mickiewicza ani na Wallenroda, tylko na tych, którzy z pomysłu poetycznego chcieli robić argument lub aksyomat moralny i polityczny.

Petersburg (1828—1829). Z Moskwy przeniósł się Mickiewicz do Petersburga (1828). Tam zawiązał stosunki, które wywarły wpływ na całe jego dalsze życie. Najmniej trwały był stosunek z poetą Puszkinem, choć z obu stron wtedy przyjacielski. Znaczącym zato był wpływ Oleszkiewicza, malarza, człowieka religijnego, a nawet mistycznego usposobienia. Wiersz Mickiewicza, któremu za tytuł służy nazwisko malarza, stwierdza to usposobienie. Świadkowie zaś współcześni twierdzą, że Oleszkiewicz wywarł na Mickiewicza wpływ bardzo silny, że on rozbudził w poecie uczucia religijne, że nadał im już wtedy kierunek cokolwiek mistyczny, że wreszcie stosunek księdza Piotra do Konrada w trzeciej części Dziadów ma być wspomnieniem tego wpływu, jaki na poetę wywierał Oleszkiewicz.

Niemniej ważną była znajomość z panią Maryą z Wołowskich Szymanowską, artystką niemałej sławy, której gra na fortepianie podziwianą była powszechnie, a której rozum, dobroć i wdzięk ujęły tak Goethego, że miał dla niej przyjaźń szczerą i serdeczną. W jej domu przebywał Mickiewicz jakby w rodzinnym; z tego domu w lat kilka później (już po śmierci matki) wziął żonę.

Z dzieł w Petersburgu powstałych najważniejszy jest Farys, po Wallenrodzie najznakomitszy utwór Mickiewicza z tego czasu: rozmiarami niewielki, wspaniały jako wyraz świadomości siebie w człowieku genialnym, śmiałości i pewności siebie w walce z trudami i przeszkodami życia. Na obiedzie, dla siebie danym przez bawiących w Petersburgu Polaków (24 grudnia 1828), improwizował Mickiewicz całą tragedyę Samuel Zborowski; z improwizacyi tej wszakże nie doszło do nas ani jedno słowo. Z pobytu w Peters-

burgu zostały nadto ślady widoczne w jego wierszach takich, jak Pomnik Piotra Wielkiego, Oleszkiewicz, Do przyjaciół Moskali itd.

III. (1829—1834). Wyjazd za granicę. Wyjazdu za granicę pragnął Mickiewicz gorąco i dla wydostania się z Rosyi i dla zdrowia i wreszcie dla zobaczenia świata, dla wrażeń i widoków, których łaknęła jego wyobraźnia. Potrzebą zdrowia i opieką wpływowych ludzi poparta prośba znalazła przychylne przyjęcie: cesarz Mikołaj zezwolił na wyjazd. Zezwolił w samą porę. Wallenrod już się rozszedł i sprawiał ogromne wrażenie: władze spostrzegły (za późno dla siebie) jego ukryte znaczenie. W Warszawie zakazano mówić o nim w pismach publicznych, a nawet wymieniać nazwiska Mickiewicza; w Petersburgu powzięto zamiar aresztowania poety. Uwiadomiony na czas, mając paszport w ręku, wsiadł czemprędzej na statek w Kronsztadzie i odpłynął do Lubeki (15 maja 1829 r).

Przez Berlin, Drezno, Pragę udał się naprzód do Weimaru, celem widzenia Goethego [1]). Listy polecające od pani Szymanowskiej zjednały mu przyjęcie nader uprzejme, a osobistość jego zrobiła na starym mistrzu wrażenie tak silne, że podług świadectwa synowej jego, pani Otylii, Goethe nigdy nie był tak serdecznym i przyjacielskim dla żadnego cudzoziemca. Przypadkowo spotkany w Weimarze rzeźbiarz francuski David d' Angers zrobił tam popiersie Mickiewicza. Inny portret, ołówkiem, zrobił malarz Schmeller na życzenie Goethego do jego zbioru.

Z Niemiec (Frankfurt n. M., Bonn, Heidelberg) udał się Mickiewicz do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch. Wierszem na Alpach w Splügen żegnał (po raz ostatni podobno) dawną kochankę. Po drugiej stronie Alp skierował się naprzód do Wenecyi; w październiku roku 1829 stanął w Rzymie.

Pobyt w Rzymie. Przez cały ciąg tego pobytu we Włoszech pisał bardzo mało, i mamy z tego czasu ledwo parę drobnych wierszy. Niemniej pobyt ten musiał być ważnym w jego życiu, bo i rzeczy widziane i spotykani ludzie działali na jego wyobraźnię, myśli i uczucia. Znakomitych cudzoziemców lub Włochów, uczonych, artystów, dyplomatów zawsze tam wielu. Pośród tych byli ksiądz Lammenais i hr. Montalembert, Francuzi, podówczas obadwa jeszcze główni reprezentanci pracy około katolickiego odrodzenia we Fran-

---

[1]) W Karlsbsdzie połączył się z Odyńcem, który odtąd był nieodstępnym jego towarzyszem w podróży po Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech, a w późnej już starości opisał ją w Listach z podróży. Listy te, bardzo ładnie pisane i zajmujące, mogłyby być źródłem nieocenionem do historyi Mickiewicza, gdyby nie to, że Odyniec nie wydał ich tak, jak je w owym czasie był napisał, tylko, na podstawie tych współczesnych i autentycznych, pisał teraz w starości listy nowe, a w tych mówi o ludziach i rzeczach z roku 1829 i 1830 tak, jak pojmował i widział w lat czterdzieści później. Same nawet zdarzenia przesadza niekiedy, poetyzuje, upiększa. Z tego wynika, że książkę tę, bardzo ciekawą, należy czytać ostrożnie i niekoniecznie wierzyć, że wszystko tak się miało w rzeczywistości, jak tam jest opisane.

cyi, obadwa jakby przeznaczeni na to, by na Mickiewicza wpływać i jego wpływ przyjmować. Dawna przyjaciółka z Moskwy, księżna Wołkońska, była tam także i pośredniczyła w wielu nowych stosunkach. Z Polaków (dość licznych) na szczególną wzmiankę zasługuje ksiądz Stanisław Chołoniewski i Henryk Rzewuski, a zwłaszcza dom hr. Ankwiczów, gościnny, uprzejmy, zawsze pełny i chętnie odwiedzany. W domu tym była córka, panna Henryka, umysłu żywego, chciwa poetycznych i artystycznych wrażeń, bardzo wykształcona. Nic dziwnego, że młody a już wielki poeta zrobił wrażenie na jej umyśle i sercu; a i sam nie był względem niej obojętny. Może ta skłonność wzajemna byłaby skończyła się małżeństwem, gdyby ubogiego poety duma i delikatność nie była wstrzymywała od starania się o bogatą jedynaczkę, i gdyby ojciec panny był się temu związkowi okazywał mniej niechętnym. Ewa w trzeciej części Dziadów ma być podług świadectwa Odyńca wspomnieniem Henryki Ankwiczówny, a dumny stolnik Horeszko z Pana Tadeusza wspomnieniem jej ojca.

Zwrot religijny. Ważniejszym wszakże od tego uczucia, które zbyt silnem się nie okazało, był dokonany w Rzymie zwrot religijny w duszy i w przekonaniach Mickiewicza. Z nieustalonego usposobienia i uczucia religijnego, które było zawsze, zaczęła się była już w Petersburgu wyrabiać silniejsza potrzeba i pragnienie zupełnej, doskonałej wiary; w Rzymie, pod wpływem i miejsca samego i znakomitych katolitów otaczających poetę, ustaliła się ta wiara, wyrobiły się katolickie przekonania, odnowiły się zaniedbane od jakiegoś czasu praktyki religijne. Takim, jak się go widzi później na emigracyi aż do towianizmu, stał się Mickiewicz już podczas tego pobytu w Rzymie.

W lecie roku 1830 widzimy Mickiewicza znowu w Szwajcaryi. Przypadkowo spotkał się tu i zawarł znajomość z ośmnastoletnim Zygmuntem Krasińskim. Tutaj też w lipcu tego roku napisał wiersz Do matki Polki.

Podczas powstania. Na jesień wrócił do Rzymu. Po wybuchu powstania nie wróżył mu dobrego skutku: chciał jednak wracać, ale nie mógł, bo fundusze, jakie miał, pożyczył był Stefanowi Garczyńskiemu. Gdy ten je odsyłał, zaszły znowu zwłoki i opóźnienia na pocztach, tak, że dopiero w kwietniu r. 1831 Mickiewicz wyjechał z Rzymu do Wielkopolski. Tam, przebywając u różnych przyjaciół kolejno, wybierał się przejść granicę Królestwa Polskiego, ale granica była strzeżona, przejście niełatwe — tak, że w Poznańskiem doczekał się kapitulacyi Warszawy.

Nie był w wojsku, nie bił się, zatem nie miał potrzeby iść na emigracyę. Rzecz niemniej prosta, że autor Wallenroda w kraju nie miał co robić. W najlepszym razie nie byłby mógł pisać, w gorszym (a prawdopodobnym) byłby poszedł do więzienia lub na Sybir. Prócz tego musiał Mickiewicz podzielać powszechne podówczas złudzenie rychłego i szczęśliwego powrotu. Pociągnął więc z drugimi na emigracyę.

Po powstaniu. Dziadów część III. Naprzód przybył do Drezna, gdzie zatrzymywało się wielu, i tu napisał Dziadów część III, którą wydał w Paryżu jeszcze w końcu tego samego roku (1832), ale już z datą roku 1833 na tytule. Treść tego dzieła podana jest poniżej wraz z ważniejszymi wyjątkami. Znaczenie tego poematu w historyi naszej poezyi jest wielkie. Naprzód, to pytanie, które było w duszach polskich od rozbioru, które stopniowo a coraz wyraźniej odzywało się w poezyi, ta niemożność zrozumienia swego losu i pogodzenia go ze sprawiedliwością Boską, dochodzi teraz w Dziadach do swego najpotężniejszego i najbardziej rozpaczliwego wyrazu. Te uczucia, które Mickiewicz miał zawsze i widział w drugich, które rozpaliły się w nim podczas prześladowania w Wilnie, a potem rosły ciągle w Rosyi, teraz, po nowem i gorszem nieszczęściu, po przegranej wojnie, skupiły się i zbiły wszystkie w jego sercu, a potem wybuchły z niego jak wulkan. Jako skarga, jako użalenie się przed Bogiem i ludźmi, niema w naszej poezyi nic silniejszego, może nic równie silnego, jak trzecia część Dziadów.

Drugim powodem wyjątkowego znaczenia Dziadów części III jest to słowo zagadki, które Mickiewicz znalazł i którem sobie tajemnicę naszych losów rozwiązał, ta Chrystusowa ofiara Polski za grzechy świata, ta rola wybranych i jedynych na świecie, ta na niej oparta pewność zmartwychwstania i tryumfu, która jego pociesza, która mu wystarcza i każe mu czekać rychłego, niezawodnego spełnienia obietnic. Tu, w widzeniu księdza Piotra, jest źródło tej całej nauki o Chrystusowej misyi Polski, źródło całej późniejszej emigracyjnej poezyi wieszczej, patryotyczno-religijnej i mistycznej. Znajdą się odmiany i nowe przerobienia tej myśli, ale jej początek i jej istota jest tu; nauka ta (jak się już rzekło wyżej na wstępie) jest sama w sobie błędną: ofiarą za grzechy drugich może być tylko ten, kto własnych nie ma; ofiara, jeżeli ma być prawdziwą, musi być dobrowolną i świadomie spełnioną. Nie tylko błędną zaś, ale była ta nauka i złą, bo w najwyższym stopniu dumną.

Dalszym jeszcze powodem wyjątkowego znaczenia Dziadów jest to, że one są dokumentem do życia Mickiewicza, że z nich poznaje się różne stany duszy i przemiany, jakie przebywał, oraz jak sam siebie w każdym z nich (po jego przebyciu) rozumiał i sądził. Wreszcie z trzeciej części Dziadów także poznaje się jego usposobienie i skłonność do religijnego mistycyzmu, do oczekiwania objawień i cudów, którato skłonność z czasem zawiedzie go do towianizmu. Pod wpływem klęski roku 1831 zaczyna się, a w Dziadach daje się widzieć zaród tego chorobliwego kierunku duszy i umysłu.

Pod względem artystycznym Dziady dalekie są od doskonałości, bardzo nierówne, obejmują w sobie najświetniejsze i najszczytniejsze ustępy, obok najsłabszych może, jakie Mickiewicz napisał. Do pierwszych należy Wywożenie kibitek i improwizacya, do drugich ustęp Pan Senator.

Formą i tonem od Dziadów różne, a jednak do nich przez autora dołączone, są ustępy, osnute na wspomnieniach i wrażeniach pobytu w Rosyi; dają one znowu miarę artystycznej biegłości i doskonałości poety. W zupełnym na pozór i klasycznym spokoju, takim jak w Grażynie, niekiedy w świetnym, iskrzącym i gryzącym dowcipie, drga tu takie uczucie skupione i potężne, jak w Wallenrodzie. Ustępy takie, jak Droga do Rosyi, Pomnik Piotra Wielkiego należą do rzeczy najświetniejszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek napisał.

Na emigracyi (1832—1834). W roku 1832 przybył Mickiewicz do Paryża. Tu znalazł się od razu wśród wszystkich emigracyjnych swarów, stronnictw, wzajemnych oskarżań i nienawiści. Nie tak, zdaniem jego, powinni byli zachowywać się między obcymi synowie wybranego narodu, przedstawiciele najświętszej sprawy. Napisał tedy dla ich upomnienia i poprawy jako dopełnienie trzeciej części Dziadów Księgi pielgrzymstwa, w których naśladując styl ewangelii, często przez przypowieści uczy, że emigracya to rozesłańcy, którzy ziarno słowa Bożego mają siać między narodami, pogrążonymi w używaniu i w materyalnych jedynie troskach. Wśród wielu słusznych i doskonałych nauk jest tam przecież ta sama co w Dziadach błędna nauka na dnie, a w pojęciu historyi (polskiej czy powszechnej) jest wiele sprzeczności z rzeczywistością; w tem, co mówi o innych narodach (przedewszystkiem o Francyi), jest wiele niesprawiedliwości. Księgi pielgrzymstwa, w kraju (z powodu cenzury) mało znane, a przez emigracyę niedość słuchane, wywarły niemałe wrażenie na francuskich przyjaciół Polski.

Praktycznie, potocznie odzywał się Mickiewicz do emigracyi o jej obowiązkach i położeniu politycznem w szeregu artykułów drukowanych w Pielgrzymie, piśmie redagowanem przez jego przyjaciela, Litwina, Eustachego Januszkiewicza.

Pan Tadeusz. Jego najbliższe otoczenie i towarzystwo składali wtedy Bohdan Zaleski, Ignacy Domeyko, Stefan Witwicki, Stefan Zan (brat Tomasza), a jego poetyczną pracą był teraz Pan Tadeusz. Rzecz trudna do pojęcia, że tak rychło po burzach i wybuchach Dziadów przeszedł poeta do tego pomysłu tak pogodnego; ale tak było, że jeszcze w roku 1832 zamyślał, a wkrótce potem i zaczął pisać ten nowy poemat. Zrazu sam nie wiedział, jakim on będzie; myślał o sielance »w rodzaju Hermana i Doroty« i w kilku księgach tylko. Ale w miarę pisania poemat rósł mu pod ręką i przywiązywał go do siebie coraz bardziej. Od tej ulubionej pracy oderwało go zdarzenie bolesne. Stefan Garczyński, przyjaciel w Rzymie poznany i gorąco kochany, później waleczny żołnierz w roku 1831, poeta (jako taki przez Mickiewicza zbyt wysoko ceniony i sławiony), po wojnie zapadł w piersiową chorobę. Gdy ta w r. 1833 zaczęła się wzmagać, Mickiewicz porzucił wszystko, zawiózł przyjaciela na południe (do Awinionu) i tam pielęgnował go z największą czułością i poświęceniem aż do śmierci. Pomagała mu w tem sławna ze

swoich poświęceń przyjaciółka obudwóch, pani Klaudya z Działyńskich Potocka.

Pan Tadeusz, wydany w połowie roku 1834, nie jest poematem bohaterskim; jest tylko o wielkie wypadki i kwestye opartym obrazem domowego życia. Ton poematu musiał być zastosowanym do jego treści, do rozmiaru figur, do charakteru scen i zdarzeń opowiadanych. Nie mógł więc być tak wysoki, jak ton Homera, opowiadającego walki bogów i bohaterów, lub Miltona, kreślącego nieśmiertelną nienawiść i zemstę szatana przeciw Bogu. Ten też ton raczej potoczny sprawia, że nie możemy liczyć Tadeusza do wielkich bohaterskich epopei. Ale liczyć go do najdoskonalszych, do najpiękniejszych możemy śmiało i mamy prawo. Ze wszystkich poematów epickich, pisanych w historycznych czasach i przez autorów wiadomych (powiedział to słusznie Klaczko), żaden nie zbliża się tak do Homera, jak ten poemat Mickiewicza. Jak w Odyssei widzi i poznaje się świat grecki nie w walkach, ale w życiu spokojnem, w obyczaju, w zakresie jego pojęć moralnych i religijnych, w stopniu jego cywilizacyi: tak tu stoi jak żywe dawne społeczeństwo polskie z całą tą sumą uczuć, pojęć, zasad, zwyczajów, słabości, cnót i błędów, które składały jego duszę i życie. Że żadne społeczeństwo europejskie, żadne w chrześcijańskim świecie nie zdobyło się na taki wierny a poetyczny wizerunek siebie samego, jak ten, który ze społeczeństwa polskiego zrobił Mickiewicz, to pewna. Układ i prowadzenie powieści, charakterystyka figur, sceny zbiorowe, epizody, opisy natury — wszystko jest doskonałe: każda scena, każdy ustęp, niemal każdy wiersz, każde wyrażenie jest doskonałe (znajduje się ich zaledwo kilka, którym możnaby coś zarzucić), a całość jest arcydziełem poezyi polskiej od jej początków aż do dnia dzisiejszego, jednem z wielkich arcydzieł poezyi całego świata.

Klasyczny pod względem sztuki jako doskonałość, jest też Tadeusz klasycznym i pod względem polskim także. Jest w nim uczucie polskie, jak być powinno, najczystsze i najzdrowsze, nie zamącone i nie przyćmione żadną przymieszką przemijających, czasowych, stronniczych pojęć czy dążeń czy namiętności. A jak pod względem artystycznym i patryotycznym, tak doskonały jest także Tadeusz pod względem moralnym. Świat w nim jest zdrowy i jędrny, ludzie nie bez ułomności, błędów, pokus, namiętności, a nawet występków (Jacek), ale z naturą dobrą i sumieniem prostem, z Bogiem w sercu, ze zdolnością do szczytnych poświęceń i szczytniejszego jeszcze uznania swoich win i poprawy. W tym ideale ekspiacyjnym, pokutniczym, jakim jest Robak, godzi się widzieć wielką i mądrą naukę moralną. W udaremnieniu jego planów i zamiarów przez osobiste widoki i urazy (Klucznika) i przez zaścianek, dający się bezmyślnie porwać do zajazdu (a ten zajazd sprawił, że nie przyszło do powstania na Litwie), godzi się widzieć i praktyczną nawet naukę, niemałe do naszych różnych spraw podobieństwo.

IV. (1834—1855). Mickiewicz odwraca się od poezyi. Tadeusz był ostatniem słowem poezyi Mickiewicza, nie tylko co do wartości, ale i co do czasu. Po nim już Mickiewicz odwrócił się od poezyi. Wydał tylko (dawniej zrobione) tłómaczenie Giaura z Byrona, a później napisał po francusku dramat, Konfederatów, przeznaczony dla sceny. Pisał go wszakże nie w artystycznych, ale raczej w politycznych celach; chciał, żeby w ten sposób sprawa polska ze sceny przemawiała do Francuzów, utkwiła im w sercu i w pamięci. Dramat ten zaginął. Tylko dwa pierwsze akty, odnalezione i przetłómaczone wierszem na język polski przez Olizarowskiego, świadczą, że i na polu dramatu Mickiewicz był zdolny do wielkich rzeczy, i każą żałować, że nie mamy dzieła tego w całości.

Gorliwość religijna; ścisłość przekonań katolickich. Odwrócenie się Mickiewicza od poezyi było skutkiem usposobienia, w jakie go wprawiły ostatnie nieszczęścia krajowe. Wszystko wydawało mu się błahem i marnem, co nie służyło bezpośrednio Bogu, podniesieniu i poprawie ludzkości, odrodzeniu Polski. »To tylko dzieło coś warte — pisze on w jednym ze swoich listów — które ludzi prowadzi do Boga«. Księgi pielgrzymstwa dowodzą, że powołanie i przeznaczenie emigracyi widział w nawracaniu drugich do Boga, a jeżeli drugich, więc tem bardziej siebie. Siebie naturalnie z pod tego prawa i obowiązku nie wyjmował, owszem chciał dać przykład i popęd do takiego cnotliwego, duchowego, z Bogiem zjednoczonego życia. Mniemał i powtarzał, że na to, by emigracyę i Polskę do Boga nawrócić, potrzebny jest z Polaków, z łona emigracyi powstały zakon. W tejto myśli, w najbliższem otoczeniu Mickiewicza jest początek zakonu Zmartwychwstańców, którego właściwym założycielem był Bogdan Jański (człowiek świecki i żonaty, a pierwszymi braćmi i organizatorami Kajsiewicz i Semeneńko. Tych Mickiewicz w duchownem powołaniu utwierdzał, do założenia zakonu zachęcał i zostawał z nimi (aż do towianizmu) w serdecznych stosunkach.

Ożenienie, troski domowe. Powołanie do Lozanny. W r. 1834 ożenił się z panną Celiną Szymanowską, córką (już wtedy osierociałą) wspomnianej wyżej pani Maryi Szymanowskiej. Po tem ożenieniu, przy zdrowiu żony niezawsze dobrem, zaczęły się rychło kłopoty i troski majątkowe, na które (z bolem przyznać trzeba) ówczesna Polska nie dosyć zwracała uwagi. W roku 1838 ofiarowano mu katedrę literatury łacińskiej przy akademii w Lausanne w Szwajcaryi. Spokojne miejsce, oddalenie od Paryża, stała posada wreszcie, nęciły go tak, że miejsce to przyjął; wykłady wszakże, z powodu zdrowia żony, zostającej w Paryżu, rozpoczął dopiero w roku 1839.

Powrót do Paryża na katedrę literatur słowiańskich. Pobyt w Lausanne nie trwał długo. Zaledwie tam Mickiewicz osiadł, kiedy skutkiem polskich starań rząd francuski postanowił otworzyć katedrę literatur słowiańskich w *Collège de France*. Był to środek i sposobność zapoznania Francyi i wogóle Zachodu z tym światem

dla nich obcym; a któż zdołałby zrobić to lepiej, jak najgenialniejszy podówczas człowiek w całem tem licznem i rozrodzonem plemieniu? Zaczęły się starania podwójne: u rządu, ażeby Mickiewicza na tę katedrę powołał, u Mickiewicza, ażeby ją przyjął. Jemu żal było porzucać Szwajcaryę, a przerażała go trudność zadania. Jednak czuł, że odmówić nie może; że gdyby odmówił, katedra ta mogłaby wpaść w złe ręce i stać się trybuną fałszu. Przyjął.

Wykłady (1840—1844). Pierwsza lekcya odbyła się 23 grudnia 1840 roku. Jego Kurs literatury słowiańskiej jest dziełem znakomitem. Jest naprzód, o ile się odnosi do literatury polskiej, pierwszą jej prawdziwą historyą. (Wiszniewski współcześnie mozolnie a bardzo rozumnie nad nią pracował, ale całości nie złożył). Mickiewicz dał obraz tej literatury całkowity, od początku aż do swoich czasów. Prawda, w obrazie tym wielu szczegółów brak, ale mówiąc dla cudzoziemców, zmuszony przytem wiele czasu poświęcać innym literaturom słowiańskim, musiał Mickiewicz przestawać na ogólnej charakterystyce epok i zwrotów, a z pisarzy wybierać tylko najważniejszych. To też tylko on robi. Ale ta charakterystyka epok i pisarzy jest najtrafniejsza, jaką dotąd mamy, zawsze świetna, często dziwnie głęboka i genialna. Wiek XVI zwłaszcza, czasy Batorego i ich literatura, i znowu okres Stanisława Augusta, należą do najświetniejszych części dzieła. Wiek XVII, dla cudzoziemców mniej zajmujący, a dla naszej literatury mniej zaszczytny, zbyty jest dość pobieżnie: na kilka chwil tylko i na parę postaci rzucone jest silne światło. W rozumieniu historyi polskiej trudniej się z Mickiewiczem zgodzić; jest w jej pojmowaniu pewien idealizm, blizki mistycyzmu, a niezawsze blizki rzeczywistości.

We wszystkiem zaś, co mówi o literaturze innych ludów słowiańskich, jest Mickiewicz dziwnie i szlachetnie sumienny, bezstronny, dbały nie tylko o to, żeby każdemu oddać, co mu się należy, ale ażeby o nim powiedzieć tyle dobrego, ile się da najwięcej. Lekcye poświęcone rapsodom serbskim albo pisarzom i stosunkom rosyjskim, nie ustępują w niczem najświetniejszym lekcyom o literaturze polskiej.

Dwa kursa przeszły szczęśliwie i świetnie: w trzecim wykłady literatury zaczęły wkraczać w dziedzinę filozofii, religii, mieszać się z obcemi sobie teoryami i doktrynami, stopniowo ustępować im miejsca coraz bardziej, aż wreszcie jedne gdzieś znikły, a drugie dawały się jedynie słyszeć z katedry. Przyczyną tej zmiany był tak (przez wyznawców swoich) zwany messyanizm czyli nauka Andrzeja Towiańskiego.

Spotkanie z Towiańskim. Messyanizm. Był to czas, kiedy w Europie całej wierzono i oczekiwano, że w dalszym ciągu rewolucyi francuskiej nastąpi jakieś powszechne, całkowite odrodzenie ludzkości, jej stosunków politycznych i społecznych, uczuć i usposobień religijnych. Z tego pragnienia i oczekiwania wypływała (jak się już wyżej rzekło) szlachetna wiara niektórych w odrodzenie i postęp świata przez Kościół katolicki i w nim. Z tego samego źródła

płynęło także wiele politycznych, socyalnych, a nawet religijnych systemów, utopijnych, mętnych, nieraz z gruntu fałszywych i szkodliwych. Prąd ten był tak powszechny, że przecisnął się nawet do Rosyi. I tam pierwsi tak zwani Słowianofile marzyli o królestwie Bożem na ziemi, które Rosya miałaby sprowadzić i urzeczywistnić.

Tego samego usposobienia objawem i skutkiem była i nauka Towiańskiego. W Polsce zaś, skutkiem jej wyjątkowego położenia, wszelka obietnica zmiany, odrodzenia ludzkości w duchu wolności i sprawiedliwości, mogła łatwiej niż gdzie indziej trafić do serc i umysłów; raczej dziwić się tylko można — i cieszyć, że ona tutaj nie więcej znalazła zwolenników.

Andrzej Towiański nigdy nauki swojej całkowicie w pismach nie wyłożył: te zaś, które są, zagmatwane bardzo i niejasne, nie dają łatwo wyrozumieć jego myśli. Wszelako główne zasady nauki jego są następujące:

Bóg w pewnych epokach przejściowych, krytycznych, przychodzi ludzkości w pomoc nowym wylewem Swojej łaski, nowem objawieniem Swojej prawdy. Ludzie, którzy w takich epokach mają tę misyę, są tych epok Słowami. Jezus Chrystus był takiem Słowem, ale Jego objawienie już się wyczerpało i przeżyło. Kościół Jego, zamiast stać na czele ludzkości, prowadzić ją do Boga, zaprzątnął się sprawami świeckiemi, zatracił ducha. Potrzebne jest zatem objawienie nowe, nowe Słowo,. które miałoby się tak do chrześcijaństwa, jak ono do Starego Zakonu; nie byłoby zaprzeczeniem jego, ale uzupełnieniem i rozwinięciem.

Tym nowym objawicielem tedy jest Towiański. Mówi on, że czasy się dopełniają, że przez podniesienie ducha a skupienie woli człowiek może robić cuda, cóż dopiero ludzi wielu, w duchu z sobą połączonych. Uczy, że nad duchem dobrym, zamkniętym w ciele ludzkiem, unosi się, z nim i przez niego działa cała kolumna duchów wyższych, łączących go aż z Bogiem. Gdzie takich duchów jest wiele, tam powstaje wśród ciemnej ziemi cała atmosfera światła i siły — tam ukaże się cud, tam pocznie się nowa epoka. Dziś takiemi przestrzeniami, nie zupełnie jasnemi, ale najjaśniejszemi przecież, są Francya i Polska. Z nich więc, z połączenia ich ducha, wyjdzie nowe, najbliższe odrodzenie świata.

Myśli pobocznych było wiele, jak n. p. wędrówka dusz, jak cześć Napoleona, który także przeznaczony był na Słowo swojej epoki, ale uwiedziony pychą, sprzeniewierzył się swojej misyi i t. d.

Z Wilna, gdzie mieszkał, puścił się Towiański na Zachód głosić swoją naukę wśród emigracyi. Udał się naprzód do Brukseli, do generała Skrzyneckiego; ale ten, silny w swoich przekonaniach katolickich, zmiarkował od razu, że to nauka nie prawowierna, i pociągnąć się nie dał. Stamtąd ruszył Towiański do Paryża z zamiarem nawracania Mickiewicza — i to mu się udało.

Mickiewicz skłonny był przez całe życie do wiary w styczność bezpośrednią naszego świata z światem nadzmysłowym; podczas pobytu w Petersburgu był pod wpływem mistyka Oleszkiewicza. W Rzy-

mie znów wyrobiła się w nim wielka pobożność i żarliwość; od roku 1831 zaś, pod wpływem patryotycznego cierpienia, rosła nadzieja i wiara, że sprawiedliwość Boska objawi się rychło i naprostuje, naprawi wszystko złe, jakie było. Jego listy i prozaiczne pisma (Księgi pielgrzymstwa i inne mniej ważne) dowodzą, że żył w ciągłem oczekiwaniu i w namiętnem pragnieniu jakichś wypadków, w których się ta łaska i sprawiedliwość Boża ukaże. Tymczasem lata mijały, owe wypadki nie przychodziły, emigracyjne stosunki stawały się coraz przykrzejsze; jego stan oczekiwania i wytężenia przechodził wskutek tego w stan naprężenia i rozdrażnienia. Domowe troski, choroba żony, niepokój o dzieci i ich przyszłość, musiały naturalnie przyczyniać się także do utrzymania go w tym stanie. Tak zastał go Towiański; przedstawił mu się w sposób, który na wyobraźnię jego musiał działać, zapowiadał mu spełnienie wszystkich jego marzeń i pragnień, słowa i nauki swoje naginał do jego myśli i przeczuć (wyrażonych w pismach, głównie w Dziadach i w Księgach pielgrzymstwa), obiecywał nową epokę dziejów, obiecywał zwłaszcza cud i możność zrobienia cudu przez wielką, spotęgowaną moc woli i cnoty. Tem wszystkiem Mickiewicza oczarował i podbił. Wreszcie silnem, doraźnem wstrząśnieniem umysłu i nerwów przywrócił (na pewien czas, nie na zawsze) zdrowie jego żonie: a to wszystko razem sprawiło, że Mickiewicz w niego uwierzył, uznał go za posłańca Bożego, za mistrza i objawiciela nowej wiary, która tak się miała mieć do chrześcijaństwa, jak ono do starego Zakonu.

Zwrot ten w życiu Mickiewicza tłómaczy się więc naturalnie, psychologicznie, nadmiarem patryotycznego cierpienia i tem natężonem oczekiwaniem i pragnieniem sprawiedliwości, w jakiem żył naród od rozbiorów, ale zwłaszcza od roku 1831, a które w duszy Mickiewicza było silniejsze i gorętsze niż w każdej innej; tłómaczy się nadto tą skłonnością do mistycyzmu, do łatwej wiary w środki nadprzyrodzone, w cuda, która to wiara tkwiła zawsze na dnie jego natury.

Skutki tego zwrotu. Jakkolwiek powody mogły być naturalne i zrozumiałe, skutki były opłakane. Nauka Towiańskiego przez Kościół uznaną była za heretycką. Mistrz sam wtedy i jego zwolennicy zaczęli utrzymywać (jak wszyscy twórcy nowych wiar), że oni są w prawdzie, a Kościół zatracił i prawdę i łaskę Bożą. Mickiewicz, głoszący takie rzeczy, Mickiewicz opuszczający wiarę i Kościół swego narodu, był dla jednych powodem wielkiej boleści, dla innych złym, gorszącym przykładem. To był pierwszy zły skutek messyanizmu. Drugi był ten, że od tego czasu Mickiewicz, zamiast tworzyć i pisać, marnował się w apostołowaniu mylnej i mętnej doktryny. Poezyę zarzucił był dawno; ale był właśnie wtedy profesorem literatur słowiańskich w *Collège de France*. W dwóch pierwszych latach swoich wykładów dał ogólny, ale znakomity (najlepszy dotąd) obraz dziejów polskiej literatury; od owej chwili zaś kursa literatury słowiańskiej stały się wykładem nowej doktryny, świetnym nieraz, ale nieraz też niejasnym lub mylnym w myśli, łatwym do zbicia w dowodzeniu

i rozumowaniu. W łonie emigracyi towianizm sprowadził nowe rozdarcie. Z przyjaciół pierwszy Stefan Witwicki zaklął Mickiewicza i błagał na wszystko, co święte, żeby nowych wiar nie wymyślał, a dawnej nie opuszczał; nie poszedł za Mickiewiczem Bohdan Zaleski; Domeyko, podówczas już w Chili, upominał i przestrzegał; duchowni z obowiązku musieli prosić, upominać, a gdy to nie pomagało, wiernych przed nową religią przestrzegać. Wreszcie Rzym uznał naukę Towiańskiego za heretycką i stanowczo ją potępił.

Mickiewicz, w przekonaniu, że pełni wyższą misyę i służy Bogu i ojczyźnie, głosił dalej naukę mistrza, którą rozwijał, dopełniał, bogacił zasobem własnych myśli, tak, że rzec można, on dopiero zrobił ją tem, czem była, nadał jej treść i jaką taką żywotność. Bez niego nie byłaby zdołała ani tylu zwolenników pozyskać, ani utrzymać się przez pewien przeciąg lat.

Rząd francuski tymczasem nie chciał (i prawdę mówiąc, nie mógł) pozwolić na to, by w zakładzie, przezeń utrzymywanym, pod jego powagą głosiły się nauki przeciwne religii, do której przyznawał się sam i ogromna większość narodu. Cześć Napoleona zaś, którą Mickiewicz z katedry szerzył, uważał ten rząd za niebezpieczną dla siebie, tem więcej, że świeże przewiezienie zwłok cesarza z wyspy św. Heleny do Paryża obudziło dawne wspomnienia chwały i zwróciło umysły w tym kierunku. Z tych powodów Mickiewicza usunięto z katedry z połową dotychczasowej płacy.

Ostatnie lata (1844—1855). Nieszczęściem to było dla ubogiego ojca licznej rodziny. Zniósł je z tą samą zawsze wrodzoną sobie godnością; z tą samą też wiarą w mistrza i jego naukę pracował dalej około sprawy. Później zaszły między nimi jakieś nieporozumienia, które sprowadziły pewne oziębienie stosunków, ale nie zupełne zerwanie.

Mickiewicz w Rzymie. W styczniu roku 1848 Mickiewicz, pod wpływem początków panowania Piusa IX, w których widział zapowiedź spełnienia swoich marzeń o inicyatywie Kościoła w sprawie wolności i sprawiedliwości, pojechał do Rzymu. Zamiar pojednania się z Kościołem był szczery, skoro poeta odbył spowiedź; nie był zupełnie jasny, skoro na audyencyi, jaką miał, usiłował przekonać papieża o prawdziwości nauki Towiańskiego. Podczas tego pobytu w Rzymie zaszła rewolucya w Paryżu, runął tron Ludwika Filipa, który dla Mickiewicza był niejako uosobieniem wszystkiego złego w ówczesnym stanie Europy. Na to hasło wszczęły się rewolucyjne ruchy w Berlinie, w Wiedniu, wszędzie, z wyjątkiem tylko Rosyi. Poeta wziął je za początek oczekiwanego odrodzenia ludzkości, za otwierającą się drogę do królestwa Bożego na ziemi. W tej nadziei chciał rozpocząć jakieś działanie polskie i zaczął formować legion, który jak niegdyś legiony Dąbrowskiego miał niby iść z ziemi włoskiej do polskiej. Formacya ta, zaczęta w kilkunastu ludzi, nie przeszła nigdy liczby bardzo skromnej. Z Medyolanu, gdzie ją organizował, pojechał Mickiewicz w czerwcu do Paryża starać się o ludzi i o pieniądze — i więcej nie wrócił; zamierzony

legion rozpłynął się następnie w wojsku piemonckiem. W tym czasie nastąpiło jeżeli nie zupełne, to w każdym razie głębokie poróżnienie jego z Towiańskim, który potępiał wszelkie ziemskie usiłowania i walki, a zwycięstwa kazał czekać tylko od siły ducha i cudu.

Dalsze troski Mickiewicza. Wypadki francuskie tymczasem tak przybierały charakter coraz bardziej anarchiczny, że naturalnym porządkiem rzeczy musiały doprowadzić do rządów despotycznych (w jakichkolwiek formach). Początkiem tego zwrotu był wybór księcia Ludwika Bonapartego na prezydenta rzeczypospolitej. Mickiewicz z radością i nadzieją widział nowego Bonapartego wstępującego na scenę świata: myślał, że on będzie musiał wstępować w ślady pierwszego, a nauczony doświadczeniem, ustrzeże się jego błędów. Zamknięcie dziennika, który wydawał *(la Tribune des peuples)*, stanowcze usunięcie z katedry i odjęcie płacy (której część dotąd pobierał), nie ostudziło jego zapału dla nowego cesarza i wiary w cesarstwo. Jego jedynem utrzymaniem była podówczas posada bibliotekarza arsenału (nader skromna), którą otrzymał za wpływem stryja cesarza, księcia Hieronima, niegdyś króla westfalskiego.

Wojna wschodnia i śmierć. Zaniosło się na wojnę wschodnią. Mickiewicz ze swoją czcią dla Napoleona pierwszego, a wiarą w cesarstwo, ujrzał w niej stwierdzenie swoich przeczuć, a zapowiedź spełnienia pragnień całego życia. Po wzięciu Bomarsundu przez floty sprzymierzonych, napisał na cześć Napoleona III wiersz łaciński *Ode im Bomarsundum captum.* Ostatni to był jego wiersz. W Turcyi formowały się pułki, przy tureckiem i angielskiem wojsku wprawdzie, ale z Polaków, i budziły nadzieję, że będą zawiązkiem wojska polskiego. Mickiewicz rwał się tam, chciał pomagać, ileby i jakby mógł; choroba i śmierć żony (r. 1855) wypadły w tym czasie. Skoro jednak ochłonął z pierwszego wrażenia i dzieciom właściwą opiekę opatrzył, podjął swój zamiar na nowo i we wrześniu r. 1855 wyjechał do Konstantynopola. W ciągu tego pobytu był parę razy niezdrów, co jednak nie dawało powodu do obaw o jego życie. Dnia 26. listopada zapadł nagle na panującą w mieście cholerę. Czując się blizkim śmierci, kazał wezwać księdza, znajomego Litwina, przyjął Sakramenta, otaczającym dawał ostatnie polecenia do dzieci; skończył tegoż dnia około godziny 9. wieczorem.

Zwłoki, przewiezione do Paryża 21. stycznia r. 1856, pochowane były obok żony na cmentarzu w Montmorency, gdzie spoczywała większość znakomitych Polaków z emigracyi. Dnia 4. lipca r. 1890 złożono je w osobnym grobie pod kościołem katedralnym na Zamku w Krakowie.

Charakterystyka. Jak w ciągu życia swego Mickiewicz dwa razy stanowcze przebywał zmiany, tak i w jego twórczości rozróżnić można trzy okresy. Zrazu był to młody poeta, ogromnego talentu, ale zależny jeszcze od różnych wzorów i mistrzów, od Byrona, od Schillera i Goethego, od Bürgera, od Rousseau, wierzący zupełnie w estetyczne dogmata romantyczności, stosujący się do jej upodobań.

Pomału jednak wyzwala się z pod tej zależności, staje o własnych tylko siłach, rozszerza granice swojej twórczości. W Powieści wajdeloty (choć ją heksametrem pisze) nie naśladuje już nikogo; w Pieśni wajdeloty, w Farysie, w Improwizacyi dochodzi do najwyższych szczytów liryczego natchnienia, w Tadeuszu do najwyższych szczytów doskonałości, do piękności niemal absolutnej, w której wyobraźnia, uczucie i forma — wszystkie w równym, a wszystkie w najwyższym stopniu doskonałości — zlewają się w rzadką na świecie harmonię piękności zupełnej, niczem nie przyćmionej ani zmąconej.

Na tej wysokości gdy stanął, uznał ją za niedostateczną i małą. Zaczął pojmować poezyę za rzecz marną i czczą, a żądać od niej, żeby była intuicyjnem przeczuciem i przewidywaniem, wieszczeniem przyszłości, obwieszczaniem Bożej myśli i woli. Mówi to wyraźnie, że w przyszłej, lepszej epoce historyi cała poezya będzie tylko wieszczą, a wszelkiem innem zadaniem wzgardzi. W tem pojęciu poezya przestałaby już być świecką i artystyczną, a stałaby się czemś podobnem do proroctw starego testamentu. Do takiego pojęcia poezyi dochodzi Mickiewicz w ostatnim okresie swego życia, ale tego pojęcia w dzieła poetyczne już nie wciela, tylko rozwija je w wykładach o literaturze słowiańskiej.

Cechy geniuszu Mickiewicza. Gdyby zapytać, jaka jest właściwa, odrębna cecha jego poetycznego geniuszu, odróżniająca go od innych poetów, to możnaby odpowiedzieć, że cechą tą jest równa miara głównych sił i pierwiastków tworzenia, wyobraźni i uczucia. Nie we wszystkich chwilach jego życia i nie we wszystkich dziełach występują one w równej potędze (w Dziadach na przykład przeważa uczucie, w Grażynie wyobraźnia i artystyczna refleksya); ale obie te siły są sobie równe, obie są z sobą zawsze złączone i nawzajem sobą przeniknięte, a kiedy występują w zupełnej i doskonałej równowadze (jak w Powieści wajdeloty i w Tadeuszu), to wydają arcydzieła równe tym wszystkim, które świat uznaje i podziwia jako najpiękniejsze.

Równowaga podobna jest może cechą jego poetycznego stylu i tajemnicą jego klasycznej piękności. W języku i stylu Słowackiego można znaleźć więcej gracyi, a czasem nawet może więcej blasku, w języku Zaleskiego więcej dźwięku i śpiewności, u Krasińskiego więcej jędrności lub majestatu; ale każdy z nich ma pewne szczególne przymioty, na których zasadza się piękność jego stylu, które wracają i powtarzają się często, po których można ich zaraz poznać, które łatwo dadzą się naśladować — i nadużyć. Język i styl Mickiewicza nie ma na pozór takich wybitnych, odrębnych cech i właściwości, nie ma przymiotów, górujących nad innymi; ale ma wszystkie przymioty i wszystkie władze w równej mierze. Dlatego na pierwszy rzut oka mniej uderzający i niby nie tak wybitnie indywidualny, jest on do naśladowania trudny, nie da się nadużyć do żadnej przesady i maniery; dlatego jest w swojej piękności

zawsze jednaki i równy; dlatego Mickiewicza język i styl, a nie żaden inny, jest doskonałym, klasycznym stylem poetycznym polskim.

Robić porównania między wielkimi poetami, dochodzić i oznaczać, który z nich większy, jest rzecz próżna a marna. Każdy ma swoje pierwiastki i warunki wielkości, każdy jest inny, a który wyższy, to się dokładnie zmierzyć nie da. Dość na tem, że Mickiewicz jest jednym z bardzo wielkich poetów całego świata. Naturą uczuciową i wzniosłością duszy podobny do Schillera, nad Byronem ma wyższość nie tylko swojego stanowiska moralnego, ale ma tę wyższość jako poeta, że zdolny jest wyjść z siebie, tworzyć postacie od siebie samego odmienne, tworzyć je objektywnie, a tą zdolnością znowu zbliża się do Goethego. Różni się zaś od nich wszystkich tem, że jest poetą na wskróś i zawsze chrześcijańskim, wierzącym w Boga i w Jezusa Chrystusa; że objawienie jest dla niego prawdą, a prawo Boże podstawą, treścią i ideałem bytu ludzkości i jej dziejów, a obowiązującem prawem dla człowieka.

Stanowisko w literaturze polskiej. Pierwszy w literaturze polskiej od jej początku człowiek genialny, on dopiero wyniósł ją do tej wysokości, na której stoją wielkie literatury świata, i uczynił im równą. Przez to podniósł swój naród w godności, w cywilizacyjnem znaczeniu i stanowisku, a zarazem dał mu nową siłę i nowy zasób umysłowego i duchowego życia. On dał początek tej literaturze, która w ciągu naszego wieku nie tylko utrzymywała nas na stanowisku narodu oświeconego, ale świadczyła o naszej żywotności i żywotność tę wzmagała i utwierdzała. Bez niego nie tylko nie mielibyśmy tylu i takich poetów, ale piśmiennictwo całe, we wszystkich swoich gałęziach, odżyło pod jego wpływem i do dziś dnia porusza się tym popędem, do którego później wielu innych przyłożyło rękę i dodało swoją siłę, ale którego źródło jest w Mickiewiczu. Przez to, że był wyrazem wszystkich naszych zbiorowych uczuć i całego naszego historycznego stanu w wieku obecnym, że jak sam mówi) jednem skrzydłem swego geniuszu o przeszłość, drugiem o przyszłość uderzył, a teraźniejszości dostarczył słów na wszystkie jej uczucia, jest on najbardziej narodowym z naszych poetów i w całej sumie naszego narodowego życia siłą jedną z najdzielniejszych i największych.

Z BALLAD.

Pierwiosnek.

(Primula veris)

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek.

Ja.

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie, 5
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.
Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek, 10
Nim cię zgubi szronu ząbek
Lub chłodnej rosy perełka.

Kwiatek.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka, 15
Niż w jesieni całe grudnie.
Czy dla bogów szukasz datku
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki. 20

Ja.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?
Ni to kolory jutrzenki 25
Ni zawoje tulipana
Ni liliowe sukienki
Ni róży pierś malowana.
Uplatam ciebie do wianka,
Lecz skądże ufności tyle? 30
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek.

Powitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele 35
I cień lubi jak me ziółka.
Czym kochanki godzien rączek?...
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach! łzę tylko... 40

Świtezianka.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakato obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca.
Ona mu z kosza daje maliny, 5
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka...
Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem. 10
Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.
Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jej nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie, 15
Jak ognik nocny przepada.
»Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice? 20
»Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora:
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?
»Zawszeż po kniejach jak sarna płocha, 25
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!,
»Chateczka moja stąd niedaleka,
Pośrodku gęstej leszczyny; 30
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny«.
»Stój, stój, odpowie, hardy młokosie!
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie, 35
A w sercu lisie zamiary.
»Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje:
Ale czy będziesz mnie stały?« 40
Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżyca blasku...
Lecz czy dochowa przysięgi?
»Dochowaj, strzelcze, to moja rada: 45
Bo kto przysięgę naruszy,

Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!«
To mówiąc, dziewka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie 50
I, pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.
Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka, 55
A on sam jeden pozostał.
Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka.
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka. 60
Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma:
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma, pękają tonie: 65
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.
Jej twarz jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrzenki łezką; 70
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.
»Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
— Zanuci czule dziewica —
Poco wokoło Świtezi wody 75
Błądzisz przy świetle księżyca?
»Póco żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje? 80
»Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale!
Do mnie tu, do mnie! tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale«....
I na wiatr lotne rzuciwszy stopy, 85
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.
Podbiega strzelec... i staje w biegu...
I chciałby skoczyć i nie chce; 90
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu stopy załechce....
Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,

Na zgubę oślep bieży w głębinie, 95
Nową zwabiony ponętą.
Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze:
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze. 100
Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku...
Poznaje strzelec dziewczynę z blizka...
Ach, to dziewczyna z pod lasku!
»A gdzie przysięga? gdzie moja rada? 105
Wszak, kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!
»Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną: 110
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.
»A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne czerpiąc zarzewie, 115
Nie ma czem zgasić gorąca«.
Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma. 120
Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna —
Ginie z młodzieńcem dziewica.
Woda się dotąd burzy i pieni; 125
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.
Ona po srebrnem pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem. 130
Kto jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? Ja nie wiem.

Trzech Budrysów.

(Ballada litewska).

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
»Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

»Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie 5
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.
»Wyście krzepcy i zdrowi; jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi! 10
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.
»Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony 15
I u kupców tam dzięgi jak lodu.
»Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty. 20
»Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci.
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe;
Ale zato wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.
»Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki: 25
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.
»Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę; 30
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę».
Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema; 35
Budrys myślał, że w boju polegli.
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Ej, to kubeł! w tym kuble nowogrodzkie są ruble?«
»»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!«« 40
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?«
»»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!««
Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci; 45
Burka pełna, zdobyczy tam wiele.
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Z SONETÓW.

Do Niemna.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?
Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody, 5
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej, malowny w srebrnej fali łonie,
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody.
Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele? 10
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło — a czemuż nie przejdą łzy moje!

Rezygnacya.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi;
Lecz ten u mnie od wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha — że kochał, zapomnieć nie zdoła.
Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła, 5
Pamiątkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.
Albo drugimi gardzi albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini, 10
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją;
I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

Z SONETÓW KRYMSKICH.

Cisza morska.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.
Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono, 5
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem

Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.
O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy, 10
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy —
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...

Widok gór ze stepów Kozłowa.

Pielgrzym.

Tam! czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawany nie puszczać ze wschodu?
Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu! 5
Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury,
Dla światów, żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

Mirza.

Tam? — Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem, pijące z jej gniazda. 10
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,
Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minąłem grom, drzemiący w kolebce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah!

Pielgrzym.

Aa!!

Bakczysaraj.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.
Skróś okien różnofarbnych powoju roślina, 5
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami: »ruina«.
W środku sali wycięte z marmuru naczynie;
To fontanna haremu, dotąd stoi cało 10
I perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:
Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie;
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało!

Grób Potockiej.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznymi sady
Uwiędłaś, młoda różo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.
Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady. 5
Dlaczegoż na tej drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc jasne powypalał ślady?
Polko! — i ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci. 10
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,
I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci;
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy blizką mogiłę — i dla mnie zanuci.

Ałuszta w dzień.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca chalifów, rubin i granaty.
Łąka w kwiatach, nad łąką latające kwiaty, 5
Motylę różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły niebiosa;
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.
A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szumem pędzi; 10
W jego szumach gra światło jak w oczach tygrysa,
Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi;
A na głębinie fala lekko się kołysa
I kąpią się w niej floty i stada łabędzi.

Czatyrdah.

Mirza.

Drżąc muślimin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór Padyszachu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,
Siedzisz sobie pod bramą niebios jak wysoki 5
Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu.
Ciemny las twoim płaszczem, a jańczary strachu
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.
Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,

Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy, 10
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,
Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

Pielgrzym.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety! jeszcze dalsze czasy?
Łatwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy, 5
Niż słowiki Bajdaru, Sałhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.
Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta;
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku 10
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?
Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

Droga nad przepaścią w Czufut-Kale.

Mirza.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica;
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
Dzielny koń! Patrz, jak staje; głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca —
I zawisnął... Tam nie patrz! Tam spadła źrenica 5
Jak w studni Al-Kahyru o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj: nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj: bo myśl jak kotwica
Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci 10
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu...

Pielgrzym.

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem... Com widział, opowiem po śmierci:
Bo w żyjących języku niema na to głosu.

Góra Kikineis.

Mirza.

Spojrzyj w przepaść. Niebiosa leżące na dole,
To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem szerszym niż tęczy półkole
I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole: 5
Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!
Z jej piersi na pół świata pada noc ponura:
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?
To jest piorun!... Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
Musim wąwóz przesadzić w całym konia pędzie. 10
Ja skaczę; ty, z gotowym biczem i ostrogą,
Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

Z WIERSZY RÓŻNYCH.

Oda do młodości.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła:
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy, 5
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło, 10
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca! 15

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar, gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie. 20
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,

To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!... 25
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele, 30
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!... 35
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka, 40
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Ten młody — zdusi Centaury, 45
Piekłu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga, 50
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!... 55
Dalej z posad, bryło świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy, 60
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem »stań się« z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią: 65

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.

Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie, 70
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące...
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce! 75

Farys.

Kasyda na cześć Emira Tadź-Ul-Fechra ułożona.
(Janowi Kozłow na pamiątkę przepisana).

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się krysztale
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki 5
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.
Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina. 10
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłąb kurzu wylata.
Czarny mój rumak jak burzliwa chmura; 15
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska;
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.
Pędź, latawcze białonogi!
Góry z drogi, lasy z drogi! 20
Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy 25
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.
Ówdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą;
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą: 30
»O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni

Ni palma zielono-włosa
Ni białe łono namiotów. 35
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują«.
Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy; 40
Spojrzałem . . . aż dumne głazy
Zostały zdala ode mnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.
Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył, 45
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem.
»Czuję, krakał, zapach trupi;
Jeździec głupi, rumak głupi! 50
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi;
Jeźdźcze, koniu, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka, 55
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka;
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują«. 60
Kracząc, lśniącymi szpony w oczy mi urągał;
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko!...
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił: 65
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara
Wielkości wróbla . . . motyla . . . komara . . .
Potem się całkiem w błękicie roztopił.
Pędź, latawcze białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi! 70
Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca;
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął, 75
Taką groźbą za mną świsnął:
»O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni; 80
Strumień na błoniu jałowem

Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie«.
Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy... 85
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił. 90
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował;
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował!..
Pędź, latawcze białonogi! 95
Stepy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy, kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca... 100
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka, 105
Widząc pierwszą twarz człowieka.
Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy...
Czy błądzą? czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości! 110
Przybiegam — stoją; wołam — milczą... To są trupy!..
Starożytna karawana
Wiatrem z piasku wygrzebana!..
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
Przez jamy, gdzie były oczy, 115
Przez odarte z ciała szczęki
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!« 120
Ja pędzę, ja nie znam trwogi!
Pędź, latawcze białonogi!
Trupy, huragany z drogi!
Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli. 125
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał
I, kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,

Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął? 130
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabię zmącił
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony; 135
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię...
Ja zrywam się, walczę śmiało, 140
Targam jego członków kłęby,
Ćwiartuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłymi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem;
Nie wydarł się! W pół ciała zerwał się i runął, 145
Deszczem piasku z góry lunął
I legł u nóg mych długim, jak wał miejski trupem!
Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie; 150
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno, szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie. 155
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga. 160
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu. 165
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

Do M...

Precz z moich oczu!.. posłucham od razu;
Precz z mego serca!.. i serce posłucha;
Precz z mej pamięci!.. Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!

Jak cień tem dłuższy, gdy padnie z daleka, 5
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:

Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił, 10
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę
Przypomnisz sobie: »Właśnie o tej porze 15
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę«.

Czy grając w szachy, gdy pierwszymi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia —
Pomyślisz sobie: »Tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia«. 20

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział —
Obaczysz próżne miejsce przy kominku;
Pomyślisz sobie: »On tam ze mną siedział«,

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem 25
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje;
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: »Ach, to nasze dzieje!..«

A jeśli autor po zawiłej próbie
Parę miłosną na ostatek złączył; 30
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
»Czemu nasz romans tak się nie zakończył?..«

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszcze grusza
I puszczyk z jękiem w okno załopoce... 35
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.

Tak w każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił. 40

Do M...

Na Alpach w Splügen 1829.

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę;
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady

I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam 5
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.
Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznymi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody, 10
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie:
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowemi miłostkami bawisz, 15
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią »Pani«?
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi? 20
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?
Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie 25
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie.
I przeszłaby twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta!
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą,
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą, 30
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu!...

Trójka koni.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.
Nie dziw tedy, że gdy się wczoraj rozgadało 5
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: »Co się też z tymi końmi stało?«
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:
W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku: 10
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna. 15
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić niepodobna:

Znowu je Kacap jakiś sprzągł do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
»Ej, wy chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły —
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidła!« 20
A Mazur: »Wej, ciarachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać«;
Na to Kozak pieniąc się: »Ciszej, ty lacka mać!
I ty mużyku! Niechno staniemy przy żłobie,
Oj, dam ja wam!« A oni: »Oj, damyż my tobie!« 25
Nuż wierzgać w jak najlepsze. A Kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie, 30
Szczęśliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłócą się nad obrokiem, godzą się pod batem. 35

DZIADY.

Trzeba przedewszystkiem rozróżnić w Dziadach części pisane w roku 1821 i 1822, i te, które pisane były w lat dziesięć później. Pierwsze natchnione były nieszczęśliwą miłością ku Maryi Wereszczakównie. Z tych mamy część drugą i czwartą; ogłoszoną przez Mickiewicza w roku 1823, i fragment części pierwszej, ogłoszony dopiero w pośmiertnem wydaniu jego pism.

Z Dziadów późniejszych mamy tylko w całości część trzecią; ta oczywiście nie jest ową trzecią, jaka miała być między drugą a czwartą Dziadów dawniejszych, ale miała być trzecią w nowej seryi, której braknie i pierwszej i drugiej i czwartej. Podług świadectwa Odyńca Mickiewicz napisał był części inne (czy w całości lub tylko niektóre sceny, nie wiadomo), ale je spalił. Została tylko ta część trzecia i ustępy Petersburga, które, jakkolwiek w formie zupełnie odmiennej, zdaje się, że miały należeć do dalszego ciągu Dziadów.

W pierwszej, ułamkowej części Dziadów z roku 1822, chciał Mickiewicz, jak się zdaje, opowiedzieć swoje poznanie z Maryą Wereszczakówną i początki swojej miłości. Wprowadza tam bowiem dziewczynę i młodzieńca, z których każde marzy o uczuciu sobie nieznanem i o istocie, która będzie tego uczucia przedmiotem, ale jeszcze się nie spotkali, nie widzieli, nie pokochali wzajemnie.

Część druga odbywa się już po zerwaniu, po nieszczęściu, po zamęściu ukochanej. Poprzedza ją i służy jej za wstęp wiersz pod tytułem Upiór. Przez tego upiora rozumie poeta siebie samego.

Z rozpaczy jest on jakby umarły, błąka się po świecie jak upiór, ale na tym świecie już nic go nie obchodzi i nic dla niego niema.

Potem następuje obrzęd Dziadów czyli w noc dnia zadusznego wywoływanie duchów i pytania, czego na tamtym świecie potrzebują, czem można przynieść im ulgę.

Z DZIADÓW

część druga.

Kaplica, wieczór. — GUŚLARZ — STARZEC pierwszy z chóru. — Chór wieśniaków i wieśniaczek.

Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
Guślarz: Zamknijcie drzwi od kaplicy
I stańcie dokoła truny;
Żadnej lampy, żadnej świecy! 5
W oknach zawieście całuny.
Niech księżyca jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało!
Starzec: Jak kazałeś, tak się stało. 10
Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
Guślarz: Czyścowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie —
Czyli która w smole płonie, 15
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie — 20
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze —
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek:
Jest jałmużna, są pacierze 25
I jedzenie i napitek.
Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
Guślarz: Podajcie mi garść kądzieli!
Zapalam ją; wy z pośpiechem, 30
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go lekkim oddechem.
O tak, o tak, dalej, dalej!
Niech się na powietrzu spali.
Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie: 35
Co to będzie? co to będzie?

Guślarz: Naprzód wy z lekkimi duchy,
Coście śród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu 40
Zabłysnęli i spłonęli
Jako ta garstka kądzieli.
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem 45
Przyzywamy, zaklinamy.

Chór: Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

Guślarz: Patrzcie, ach, patrzcie do góry!
Cóż tam pod sklepieniem świeci? 50
Oto złocistemi pióry
Trzepoce się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie, 55
Tak aniołek igra z aniołkiem.

Guślarz i Starzec:
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem. 60

Aniołek *(do jednej z wieśniaczek)*:
Do mamy lecim, do mamy.
Cóżto, mamo, nie znasz Józia?
Jato Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy, 65
Tam nam lepiej, niż u mamy;
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzenki światełka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełką. 70
W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień, to inna zabawka;
Gdzie stąpim, wypływa trawka;
Gdzie dotkniem, rozkwita kwiatek.
Lecz choć wszystkiego dostatek, 75
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach, mamo, dla twoich dziátek
Zamknięta do nieba droga!

Chór: Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga; 80
Ach, mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

Guślarz: Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga? 85
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagodki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba? 90

Aniołek: Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi;
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem. 95
Pieszczoty, łakotki, swawole;
A co zrobię, wszystko caca;
Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki —
Oto była moja praca! 100
A jej praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady;
Niepotrzebna msza ofiarna.
Nie o pączki, mleczka, chrósty: 105
Prosim gorczycy dwa ziarna.
A ta usługa, tak marna,
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu, 110
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Chór: Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu, 115
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Guślarz: Aniołku! duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie.
To ziarneczko, to ziarneczko;
Teraz z Bogiem idźcie sobie! 120
A kto prośby nie posłucha;
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcie nas w pokoju — 125
A kysz, a kysz!

Chór: A kto prośby nie posłucha;
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?

Nie chcecie jadła, napoju, 130
Zostawcież nas w pokoju,
A kysz, a kysz! *(Widmo znika).*

Guślarz: Już straszna północ przybywa,
Zamykajcie drzwi na kłódki;
Weźcie smolny pęk łuczywa, 135
Stawcie w środku kocioł wódki:
A gdy laską skinę zdala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

Starzec: Jużem gotów. 140

Guślarz: Daję hasło.

Starzec: Buchnęło, zawrzało
I zgasło.

Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz: Dalej wy z najcięższym duchem, 145
Coście do tego padołu
Przykuci zbrodni łańcuchem,
Z ciałem i duszą pospołu.
Choć zgon lepiankę rozkruszy,
Choć was anioł śmierci woła: 150
Żywot z cielesnej katuszy
Dotąd wydrzeć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą
I zbawić piekielnej jamy, 155
Której jesteście tak blizko:
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

Chór: Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie? 160

Głos za oknem:
Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki.

Guślarz: Wszelki duch! jakaż potwora! 165
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu wybladły;
Patrzcie! patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy na głowę wysiadły, 170
Świecą jak węgle w popiele.
Włos rozczochrany na czele.
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska:

Tak od potępieńca głowy 175
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

Guślarz i Starzec:

A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska. 180

Widmo z za okna:

Dzieci! nie znacież mnie, dzieci?
Przypatrzcie się tylko z blizka,
Przypomnijcie tylko sobie!
Ja nieboszczyk pan wasz, dzieci!
Wszak to moja była wioska. 185
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach, zbyt ciężka ręka boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie. 190
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę, szukając nocy,
A uciekając od słońca,
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędom końca. 195
Wiecznych głodów jestem pastwą;
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;
A któż będzie mój obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca! 200

Chór: Szarpie go żarłoczne ptactwo,
A któż mu będzie obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca!

Guślarz: Czegoż potrzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy? 205
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czy o poświęcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba.
Są owoce i jagody.
Mów, czego trzeba dla duszy, 210
Aby się dostać do nieba?

Widmo: Do nieba?... Bluźnisz daremnie...
O nie! ja nie chcę do nieba;
Ja tylko chcę, żeby ze mnie
Prędzej się dusza wywlekła. 215
Stokroć wolę pójść do piekła,
Wszystkie męki zniosę snadnie;
Wolę jęczeć w piekle na dnie,
Niż z duchami nieczystemi
Błąkać się wiecznie po ziemi, 220

Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiątki dawnej szkarady;
Od wschodu aż do zachodu,
Od zachodu aż do wschodu
Umierać z pragnienia, z głodu, 225
I karmić drapieżne ptaki.
Lecz niestety! wyrok taki,
Że dopóty w ciele muszę
Potępioną włóczyć duszę,
Nim kto z was, poddani moi, 230
Pożywi mię i napoi.
Ach, jak mnie pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach! gdybyście mnie podali
Choćby dwa pszenicy ziarka! 235

Chór: Ach, jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyśmy mu podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

Chór ptaków nocnych:
Darmo żebrze, darmo płacze: 240
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje. 245
Hej, sowy, puhacze, kruki,
Szponami, krzywymi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię; 250
Dostanę aż do wątroby.
Nie znałeś litości, panie!
Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki, 255
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.

Kruk: Nie lubisz umierać z głodu?
A pomnisz, jak raz w jesieni 260
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni;
Trzy dni nic nie miałem w ustach,
Otrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik, skryty w chrustach, 265
Zaraz narobił hałasu
I poszczuł psami jak wilka.

Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa, 270
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
»Potrzeba dać przykład grozy«. 275
Zbiegł się lud z całego sioła,
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy;
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy, 280
Od skóry mojej odbito!
Nie znałeś litości, panie!

Chór ptaków: Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my, nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki; 285
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

Sowa: Nie lubisz umierać z głodu!
Pomnisz, jak w kucyę samą, 290
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecięciem pod bramą.
Panie! wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami!
Mąż mój już na tamtym świecie, 295
Córkę zabrałeś do dworа,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecię.
Panie, daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę! 300
Ale ty, panie bez duszy!
Hulając w pianej ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś zcicha:
»Kto tam gościom trąbi w uszy? 305
Wypędź żebraczkę do licha«.
Posłuchał hajduk niecnota:
Za włosy wywlókł za wrota,
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze, 310
Nie mogłam znaleźć noclegu;
Zmarzłam z dziecięciem na drodze...
Nie znałeś litości, panie!

Chór ptaków: Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości! 315

Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

Widmo: Niema, niema dla mnie rady! 320
Darmo podajesz talerze,
Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenia Boże! 325
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

Chór: Tak musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem, 330
Temu człowiek nic nie pomoże.

Guślarz: Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże!
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha! 335
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

Chór: A kto prośby nie posłucha, 340
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!
(Widmo znika). 345

Guślarz: Podajcie mi, przyjaciele,
Ten wianek na koniec laski.
Zapalam święcone ziele,
W górę dymy, w górę blaski!

Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, 350
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz: Teraz wy, pośrednie duchy,
Coście u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Żyłyście z ludźmi pospołu; 355
Lecz od ludzkiej wolne skazy,
Żyłyście nie nam, nie światu.
Jako te cząbry i ślazy,
Ni z nich owocu, ni kwiatu.
Ani się ukarmi zwierze, 360
Ani się człowiek ubierze;
Lecz w wonne skręcone wianki

Na ścianie wiszą wysoko:
Tak wysoko, o ziemianki,
Była wasza pierś i oko! 365
Która dotąd czystem skrzydłem
Niebieskiej nie przeszła bramy,
Was tem światłem i kadzidłem
Zapraszamy, zaklinamy.

Chór: Mówcie, komu czego braknie, 370
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

Guślarz: A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza, 375
By z jeziora wody dostać:
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata, 380
Ale w oczach łza niedoli.

Guślarz i Starzec:
Do nóg biała spływa szata
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli. 385

GUŚLARZ i DZIEWCZYNA.

Guślarz: Na głowie ma kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranka bez ustanku 390
Woła: baś, baś, mój baranku!
Baranek zawsze z daleka:
Motylka rózeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni;
Motylek zawsze ucieka. 395

Dziewczyna: Na głowie mam kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
Przede mną bieży baranek,
Nade mną leci motylek.
Na baranka bez ustanku 400
Wołam: baś, baś, mój baranku!
Baranek zawsze z daleka:
Motylka rózeczką gonię:
I już! już chwytam go w dłonie;
Motylek zawsze ucieka. 405

Dziewczyna: Tu niegdyś, w wiosny poranki,
Najpiękniejsza z tego sioła,

Zosia, pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.
Oleś za gołąbków parę 410
Chciał raz pocałować w usta;
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.
Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce; 415
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la.[1])
Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski,
Imię moje u was głośne:
Że chociaż piękna, nie chciałam zamęźcia 420
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam, nie znając troski,
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie; lecz, ach! nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata, 425
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni.
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem;
Ale nigdy za kochankiem. 430
Pieśni i fletów słuchałam rada:
Często, kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnego nie kochałam. 435
Za to po śmierci nie wiem, co się ze mną dzieje,
Nieznajomym ogniem pałam;
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli, 440
Jakie chcę wyrabiam cuda.
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przeźroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki.
Przecież nie wiem, skąd ta nuda: 445
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem pomiata.
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata. 450

---

[1]) Z Göthego.

Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosa, 455
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

Chór: Tak pośród pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi nie może. 460

Guślarz: Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko, 465
I owoce i jagodki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

Dziewczyna: Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce, 470
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu: 475
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

Chór: Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu, 480
Ten nigdy nie może być w niebie.

Guślarz *(do kilku wieśniaków)*:
Darmo bieżycie, to są marne cienie,
Darmo rączki ściąga biedna,
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.
Lecz nie płacz, piękna dziewico! 485
Oto przed moją źrenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,
A potem staniesz za niebieskim progiem. 490
Dziś modlitwa nic nie zjedna.
Lećże sobie z Panem Bogiem.
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż? 495
Nie chciałaś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

Chór: A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha! 500
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!
(Dziewczyna znika).
Guślarz: Teraz wszystkie dusze razem, 505
Wszystkie i każdą z osobna
Ostatnim wołam rozkazem!
Dla was ta biesiada drobna:
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy. 510
Chór: Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie.
Guślarz: Czas odemknąć drzwi kaplicy;
Zapalcie lampy i świecy.
Przeszła północ, kogut pieje, 515
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnieć ojców dzieje...
Stójcie...
Chór: Cóż to?
Guślarz: Jeszcze mara!
Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie: 520
Guślarz *(do jednej z wieśniaczek):*
Pasterko, ot tam w żałobie...
Wstań, bo czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki, patrzajcie dla Boga!
Wszak to zapada podłoga 525
I bladè widmo powstaje...
Zwraca stopy ku pasterce.
Białe lice i obsłony
Jako śnieg po Nowym Roku;
Wzrok dziki i zasępiony 530
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie! ach, patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak, jakby pąsowa wstęga
Albo jak sznurkiem korale, 535
Od piersi aż do nóg sięga!
Co to jest, nie zgadnę wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.
Chór: Co to jest, nie zgadniem wcale. 540
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

Guślarz: Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czyli o święcone gody? 545
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody:
Czego potrzebujesz, duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?
(Widmo milczy).
Chór: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie: 550
Co to będzie? co to będzie?
Guślarz: Odpowiadaj, maro blada!
Cóż to?... nic nie odpowiada?
Chór: Cóż to? nic nie odpowiada?
Guślarz: Gdy gardzisz mszą i pierogiem, 555
Idźże sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju, 560
Zostawże nas w pokoju!
A kysz! a kysz!
(Widmo stoi).
Chór: A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż? 565
Nie chciałeś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz! a kysz!
Guślarz: Przebóg! cóżto za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada! 570
Chór: Nie odchodzi i nie gada.
Guślarz: Duszo przeklęta czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto roztwarta podłoga:
Kędy wszedłeś, wychodź tędy, 575
Bo cię przeklnę w imię Boga.
(Po chwili).
Precz stąd na lasy, na rzeki
I zgiń, przepadnij na wieki!
(Widmo stoi).
Przebóg! cóżto za szkarada?
I milczy i nie przepada! 580
Chór: I milczy i nie przepada!
Guślarz: Darmo proszę, darmo gromię —
On się przekleństwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza!...
Nie pomaga i kropidło!! 585
Bo utrapione straszydło

Jak stanęło, tak i stoi —
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

Chór: Bo utrapione straszydło 590
Jak stanęło, tak i stoi —
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie? 595

Guślarz: To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
W tem są jakieś straszne rzeczy...
Po kim ty nosisz żałobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa? 600
Cóżto? nie mówisz i słowa?
Spojrzyj, odezwij się przecie!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegoż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego? 605

Chór: Czegoż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

Guślarz: Daj mi stułę i gromnicę!
Zapalę, jeszcze poświecę...
Próżno palę! próżno świecę — 610
Nie znika przeklęta dusza!!
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę!
Czegoż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego? 615

Chór: Czegoż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

Guślarz: Przebóg, widmo kroku rusza!..
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie...
Co to będzie? co to będzie? 620

Chór: Gdzie my z nią, on za nią wszędzie —
Co to będzie? co to będzie?

W części czwartej, w tę samą noc zaduszną, do domu księdza, który wychowuje kilkoro dzieci, puka i wchodzi człowiek, dziwacznie ubrany, z pozoru obłąkany, który mówi o sobie raz, że jest umarłym, drugi raz, że pustelnikiem: to Gustaw, niegdyś wychowaniec księdza. Z bezładnego opowiadania, w którem mieszają się wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości ze skargami na dzisiejsze nieszczęście, pokazuje się, że do tego stanu doszedł młodzieniec przez nieszczęśliwą miłość. W Gustawie wyobraża poeta siebie samego, ten stan duszy, w jakim był po swojej nieszczęśliwej miłości. Miał się za pustelnika, bo stronił od ludzi, zdziczał, żył sam ze swoją rozpaczą; miał się za upiora, błąkającego się bez

celu po tym świecie, bo »serce zamarło, pierś już lodowata«. Przypuszczał może, że z rozpaczy wpadnie w obłąkanie, bo nadaje Gustawowi pozory szaleństwa. Wreszcie, czy istotnie z tej rozpaczy przeszła kiedy poecie przez głowę myśl o samobójstwie, czy też tylko ten stan rozpaczy i zobojętnienia na wszystko wyrzucał sobie jako samobójstwo moralne, Gustaw w końcu rozmowy przebija się sztyletem. »Przecież nie upada« — nie odbiera sobie życia na prawdę, tylko »dla nauki scenę boleści powtarza«. »Minęły dwie godziny: miłości, rozpaczy — a teraz następuje godzina przestrogi«. To znaczy, że ten stan rozpaczy bezdennej i chorobliwej Mickiewicz, kiedy Gustawa pisał, już wyrzucał sobie jako zły, a rozpamiętywanie tego stanu i złych myśli, jakie podówczas miewał — może pokusy samobójstwa — uważał za swoją karę i pokutę. W tej świadomości, że taka rozpacz bez granic była zdrożną, a uczucie, które do niej wiodło, chorobliwem, jest dowód wyższości moralnej Mickiewicza i powód, dla którego jego Gustaw, choć jest naturą chorobliwą jak wiele poetycznych kreacyi poprzednich i współczesnych, nie może tak źle wpływać na umysły, jak wpływał na przykład Werther. Goethego, René Chateaubriande'a i t. p.

Do najpiękniejszych ustępów czwartej części Dziadów należy opowiadanie o ostatniem widzeniu się z kochanką, odwiedzenie domu rodzinnego w dzisiejszem jego opustoszeniu i wspomnienie lat szkolnych.

Ksiądz: Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy!
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,
Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

Pustelnik: Grzechy?... i proszę, jakież moje grzechy? 5
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył
On dusze obie łańcuchem uroku [wdzięki!
Powiązał na wieki z sobą!
Wprzód nim je wyjął ze światłości stoku, 10
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał z sobą!
Teraz... kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,
Rozciąga się ten łańcuch — ale się nie pęka!
Czucia nasze, dzielącej uległe przeszkodzie, 15
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się z blizka:
Przecież zawżdy po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

Ksiądz: Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą. 20

Pustelnik: Chyba tam!.. gdy nad podłem wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje;
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po chwili).

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi. 25
Pamiętam: śród jesieni, przy wieczornym chłodzie
— Jutro miałem wyjechać — błądzę po ogrodzie.
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia! 30
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze:
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu; 35
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spojrzę: jak raz nade mną świeci gwiazdka
[wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia! 40
Spojrzę na dół, na szpaler... patrz, tam przy
Ujrzałem ją niespodzianie! [altanie,
Suknią między ciemnemi bielejąca drzewy
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.
Potem biegła jak lekkie zefiru powiewy, 45
Oczy zwrócone w ziemię — nie spojrzała ku mnie!
A lica jej bardzo blade...
Nachylam się, zajrzę z boku:
I dojrzałem łezkę w oku!..
Jutro, rzekłem, jutro jadę! 50
»Bądź zdrów! — odpowie z cicha — ledwie
[posłyszałem;
Zapomnij!..« Ja zapomnę?... O rozkazać snadno!
Rozkaż, luba, twym cieniom, niechaj wraz
[przepadną
I niech zapomną biegać za twem ciałem...
Rozkazać snadno! 55
Zapomnij!!!

(Śpiewa).

Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoją drogę:
Ja cię wiecznie będę...

(Urywa śpiewanie).

Wspominać.

(Kiwa głową).

Ale twoją być nie mogę! 60

Wspominać tylko!.. Jutro, jutro jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę...

(Chwyta dziecię i chce całować, dziecię ucieka).

Ksiądz: Czegóż boisz się sobie równego człowieka?

Pustelnik: Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka,
Jakby przed straszydłem z piekła... 65
Ach, tak! i ona przede mną uciekła!
...»Bądź zdrów!«... i w długiej ulicy
Niknie na kształt błyskawicy.

(Do dzieci).

I czegóż ona przede mną uciekła?
Czylim ją śmiałem przeraził wejrzeniem? 70
Czyli słówkiem lub skinieniem?
Muszę przypomnieć...

(Przypomina).

Tak się w głowie kręci!...
Nie! nie! ja wszystko widzę jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej. 75

(Z żalem).

Księże, dwa tylko słowa:
Jutro! bądź zdrowa!
...Bądź zdrów!... Gałązkę odrywa, podaje:
Oto jest, rzekła, co nam tu *(na ziemię pokazuje)* [zostaje!
Bądź zdrów! i w długiej ulicy 80
Niknie nakształt błyskawicy!...

Ksiądz: Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz słuchaj: są tysiące biedniejszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce już mówię pacierze, 85
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie,
Ach, i moja wspólniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!..
Ale cóż robić! Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według jego świętej woli! 90

. . . . . .

Gustaw: Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki...
Ledwie go poznać mogłem; już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie:
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie;
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła; 5
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła.
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiem oddaleniu, gdym wracał do mamy,

Już mię dobre życzenia spotkały z daleka:
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka; 10
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy... 15
Teraz... pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!..
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku:
Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny!
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny! 20
Choć głodem przemożony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu, Kruku!.. Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę: cóż się dzieje? 25
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły!
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły! 30
Siadam na ziemi płacząc. W przedporannym mroku
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziej do czyścowego podobna widziadła.
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu, 35
Żegnając się i krzycząc, słania się z przestrachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana?
»Jestem biedna uboga — ze łzami odpowie —
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie: 40
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije;
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje«.
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga: 45
Ach, więc wszystko minęło?..

Ksiądz: Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

Gustaw: Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
Tłum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasie w tamten biegaliśmy lasek; 50
Kąpielą była rzeka u okien ciekąca;
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem. 55

Wnet zwoływam współuczniów, szykuję pod lasem:
Tu krwawe z chmur pogańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice! 60
Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje,
Janczarów zgraja pierzchła lub do piasku wbita,
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta,
Aż pod wał trzebim drogę... Ten wzgórek był wałem! 65
Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci:
Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci:
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią!
Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią! 70
Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj, na wzgórku Russa czytaliśmy razem;
Altankę jej pod tymi uwiązałem chłody, 75
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody.
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z kraśną cętką;
A dziś!... *(Płacze).*

Ksiądz: Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia! 80

Gustaw: Dzisiaj, po latach tylu, po takiej przemianie,
Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym [stanie!
Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka, 85
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie —
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła:
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!... 90

Po latach dziesięciu wrócił Mickiewicz do dawnego poematu i pisał jego dalszy ciąg. Ten jest także jego własną historyą, a on sam (Konrad) główną i środkową figurą tej części. Jest ona pisana nie tylko po prześladowaniu uczniów wileńskich i po wygnaniu poety do Rosyi, ale po wielkiem narodowem nieszczęściu, po przegranej wojnie roku 1831. Jest więc z jednej strony wyrazem całego patryotycznego cierpienia, jakie się w duszy narodu gromadziło od rozbiorów, a po roku 1831 doszło do najwyższej potęgi, z drugiej strony wyrazem i świadectwem tych przejść, jakie przez te wszystkie lata przebył w duszy Mickiewicz. Rozumie się, że te przemiany,

które w poemacie ujęte są w kilka krótkich scen, w rzeczywistości odbywały się dłużej i wypełniły kilka lat życia poety.

PROLOG.

(W Wilnie przy ulicy Ostrobramskiej, w klasztorze XX. Bazylianów, przerobionym na więzienie stanu. — Cela więźnia. — Więzień wsparty na oknie, śpi).

Anioł-Stróż: Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody; 5
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.
Nieraz ja na prośbę matki 10
I za pozwoleniem Bożem,
Zstępowałem do twej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu:
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twem łożem. 15
Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem
Stałem jak lilia biała,
Schylona nad źródłem mętnem.
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła, 20
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarnek kadzidła.
Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę, 25
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu; 30
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił;
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pianych uczt piosenki.
Ja, syn chwały nieśmiertelnej, 35
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać;

Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga; 40
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła,
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty piła.
I pamiątki wyższych światów 45
W głąb ciągnąłeś, jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.
Natenczas gorzko płakałem
Oblicze tuląc w me dłonie; 50
Chciałem i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,
Bym nie spotkał twojej matki.
Spyta się: jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki? 55
Jaki sen był mego syna?

Więzień *(budzi się strudzony i patrzy w okno. — Ranek):*
Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta!
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży. 60
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży:
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali. —
Nie dziwi słońca dziwna lecz codzienna głowa; 65
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa:
Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?
A sen? — ach ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi!
Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy! 70
Trwoży się człowiek śpiący — śmieje się, gdy zbudzi.
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie —
Mędrcy przeklęci!
Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mnie wmówią, że moje więzienie 75
Jest tylko wspomnienie.
Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni
Jest tylko grą wyobraźni; —
Głupi! zaledwie z wieści wyobraźnię znają
I nam wieszczom o niej bają! 80
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.
Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.
(Kładzie się i wstaje znowu — idzie do okna).

Nie mogę spocząć, te sny to straszą, to łudzą; 85
Jak te sny mię trudzą!

(Drzemie).

Duchy nocne:

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłóżmy,
Śpiewajmy, a cicho — nie trwóżmy, nie trwóżmy!

Duch z lewej strony:

Noc smutna w więzieniu, tam w mieście wesele,
U stołów tam muzyki huczą; 90
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,
Tam nocą komety się włóczą,
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem.

(Więzień usypia).

Kto po nich kieruje łódź w biegu,
Ten zaśnie na fali, w marzeniu uroczem, 95
Na naszym przebudzi się brzegu.

Anioł: My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.
Samotność mędrców mistrzyni:
I ty w samotnem więzieniu, 100
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twem przeznaczeniu.

Chór duchów nocnych:

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele,
W noc późną próżniaki się tuczą,
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele, 105
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów poczciwych smak czuje,
Noc-pijawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje. 110
Śpiewajmy nad sennym, my nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą;
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,
Nasz będzie — ach, gdyby spał długo!

Anioł: Modlono się za tobą na ziemi i w niebie: 115
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

Więzień *(budzi się i myśli)*:

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz
I uśmiechasz się we dnie i w wieczór ucztujesz,
Czy ty z rana choć jeden sen twój przypominasz?
A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz? 120

(Drzemie).

Anioł: Ty będziesz znowu wolny, my oznajmić przyszli.

Więzień *(budzi się)*:

Będę wolny? — pamiętam, ktoś mi wczora prawił;
Nie... Skądże to? Czy we śnie? Czy Bóg mi objawił?

(Zasypia).

Aniołowie: Pilnujmy tylko, ach pilnujmy myśli:
Między myślami bitwa już stoczona. 125

Duchy z lewej strony: Podwójmy napaść.

Duchy z prawej: My podwójmy straże!
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,
Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka. 130

Więzień:

Mam być wolny — tak! nie wiem, skąd przyszła nowina,
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę — ja będę wygnany!
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie, 135
Ja śpiewak — i nikt z mojej pieśni nie zrozumie
Nic — oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły;
Ale mi ją zepsuto, przełamano w ręku;
Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły, 140
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako dyament w brudnym zawarty kamieniu.

(Wstaje i pisze węglem z jednej strony):

D. O. M.

GUSTAVUS

OBIIT M. D. CCC. XXIII. CALENDIS NOVEMBRIS. 145

(Z drugiej strony):

HIC NATUS EST

CONRADUS

M. D. CCC. XXIII. CALENDIS NOVEMBRIS.

(Wspiera się na oknie — usypia).

Duch: Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie jako iskra w chmurze 150
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza
I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli — szatan i anioły: 155
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz.

A ty, jak obłok górny ale błędny, pałasz
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co zdziałasz.
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony. 160

AKT I.

SCENA I.

(Korytarz. — Straż z karabinami stoi opodal. — Kilku więźniów młodych ze świecami wychodzą z cel swoich. — Północ).

Jakób: Czy można! — obaczym się?
Adolf: Straż gorzałkę pije;
Kapral nasz.
Jakób: Która biła?
Adolf: Północ niedaleko.
Jakób: Ale jak nas runt złowi, kaprala zasieką.
Adolf: Tylko zgaś świecę! — Widzisz — ogień w okna bije.
(Gaszą świecę).
Runt dzieciństwo! runt musi do wrót długo pukać, 5
Dać hasło i odebrać, musi kluczów szukać: —
Potem — długi korytarz — nim nas runt zacapi,
Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.
(Inni więźniowie wywołani z celi wychodzą).
Żegota: Dobry wieczór.
Konrad: I ty tu!
Ks. Lwowicz: I wy ty?
Sobolewski: I ja tu.
Frejend: A wiecie co, Żegoto, idziem do twej celi. 10
Świeży więzień dziś wstąpił do nowicyatu,
I ma komin; tam dobry ogień będziem mieli,
A przy tem nowość: — dobrze widzieć nowe ściany.
Sobolewski: Żegoto! a jak się masz? — i ty tu, kochany!
Żegota: U mnie cela trzy kroki; was taka gromada. 15
Frejend: Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele. 20
Jutro jest Narodzenie Boże — Eh, koledzy,
Mam i kilka butelek.
Jakób: Bez kaprala wiedzy?
Frejend: Kapral poczciwy, i sam z butelek skorzysta.
Przy tem jest Polak, dawny nasz legionista,
Którego car przerobił gwałtem na Moskala. 25
Kapral dobry katolik, i więźniom pozwala
Przepędzić wieczór świętej wigilii razem.

Jakób: Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.

(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalają świecę. — Cela Konrada jak w prologu).

Ks. Lwowicz: I skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany?
Kiedy?
Żegota: Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły. 30
Ks. Lwowicz: I ty byłeś gospodarz?
Żegota: Jaki! zawołany.
Żebyś ty widział moje merynosy, woły!
Ja, co pierwej nie znałem co owies, co słoma,
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma.
Jakób: Wzięto cię niespodzianie?
Żegota: Od dawna słyszałem 35
O jakiemś w Wilnie śledztwie; dom mój blizko drogi.
Widać było kibitki latające cwałem,
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.
Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli
I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem, 40
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.
Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co.
Nie należałem dotąd do żadnego spisku.
Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku, 45
Że się więźniowie nasi porządnie opłacą
I powrócą do domu.
Tomasz: Taką masz nadzieję?
Żegota: Jużci przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą;
A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?
Milczycie? — Wytłómaczcież, co się tutaj dzieje, 50
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?
Tomasz: Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.
Znasz zapewne charakter pana senatora,
Wiesz, że już był w niełasce u Imperatora,
Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił, 55
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił.
Bo pomimo największych starań i zabiegów
Nie może w Polsce spisku żadnego wyśledzić;
Więc postanowił świeży kraj, Litwę, nawiedzić,
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów. 60
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować
I na nowo się w łaskę samodzierżcy wkręcić,
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować
I nowych wiele ofiar carowi poświęcić.
Żegota: Lecz my się uniewinnim —
Tomasz: Bronić się daremnie — 65
I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie;
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony;

Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony!
On gwałtem chce nas karać — nie unikniem kary.
Został nam jeszcze środek smutny — lęcz jedyny: 70
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,
I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.
Ja stałem na waszego towarzystwa czele,
Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele;
Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci, 75
Z takich, co są sieroty, starsi, nieżonaci,
Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi,
A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

Żegota: Więc aż do tego przyszło?

Jakób: Patrz, jak się zasmucił!
Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił. 80

Frejend: Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,
A nie płacze —

Feliks Kółakowski: Ma płakać? owszem — chwała Bogu!
Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę —
Daj mi no rękę — jestem trochę chiromanta,
Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta. 85

(Patrząc na rękę):

Jeśli będzie poczciwy, pod moskiewskim rządem,
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;
A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze. —
Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze.

Żegota: Wy tu długo siedzicie?

Frejend: Skądże datę wiedzieć? 90
Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;
To gorsza, że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

Suzin: Ja mam u okna parę drewnianych firanek
I nie wiem nawet, kiedy mrok a kiedy ranek.

Frejend: Ale pytaj Tomasza, patryarchę biedy; — 95
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni;
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,
Wie o wszystkich, kto przybył, skąd przybył i kiedy.

Suzin: To pan Tomasz! ja poznać nie mogłem Tomasza.
Daj mi rękę, znałeś mię krótko i niewiele: 100
Wtenczas tak była droga wszystkim przyjaźń wasza,
Otaczali was liczni, bliżsi przyjaciele;
Nie dojrzałeś mię w tłumie, lecz ja ciebie znałem,
Wiem, coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił; —
Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił, 105
I w dzień zgonu przypomnę: z Tomaszem płakałem.

Frejend: Ale dla Boga, po co te łzy, płacze, zgroza!
Patrz — Tomasz, gdy był wolny, miał na swojem czole
Wypisane wielkiemi literami »koza«.
Dziś w więzieniu jak w domu, jak w swoim żywiole. 110

On był na świecie jako grzyby kryptogamy:
Więdniał i schnął od słońca — wsadzony do lochu,
Kiedy my, słoneczniki, bledniejem, zdychamy,
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu.
Ale też wziął Pan Tomasz kuracyę modną, 115
Sławną teraz na świecie kuracyę głodną.

Żegota *(do Tomasza)*: Głodem ciebie morzono?

Frejend: Dodawano strawy;
Ale gdybyś ją widział! — Widok to ciekawy!
Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,
Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić. 120

Żegota: I jakże ty jeść mogłeś?

Tomasz: Tydzień nic nie jadłem,
Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;
Potem jak po truciźnie czułem bole, kłucia,
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.
Nie wiem, ile i jakiem choroby przebywał, 125
Bo nie było doktora, coby je nazywał.
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził,
I zdaje mi się, żem się do tej strawy zrodził.

Frejend *(z wymuszoną wesołością)*:
Wierzcie mi, tam za kozą same urojenia:
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął: 130
Jeść, mieszkać, źle czy dobrze, skutek przywyknienia.
— Pytał raz Litwin, nie wiem, dyabła czy Pińczuka:
Dlaczego siedzisz w błocie? — Siedzę, bom przywyknął.

Jakób: Ależ przywyknąć, bracie!

Frejend: Na tem cała sztuka.

Jakób: Ja tu siedzę podobno od ośmiu miesięcy, 135
A tak tęsknię jak pierwej, nie mniej —

Frejend: I nie więcej?
Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi —
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci: 140
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,
Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

Tomasz: Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i w chorobie
Znosić kije i gorsze niźli kije — śledztwo;
Niż tu w lepszem więzieniu, mieć was za sąsiedztwo. — 145
Łotry! wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.

Frejend: Jakto? więc płaczesz po nas? — masz kogo żałować!
Czy nie mnie? Pytam, jaka korzyść z mego życia?
Jeszcze w wojnie — mam jakiś talencik do bicia
I mógłbym kilku Dońcom grzbiety naszpikować. 150
Ale w pokoju? — Cóż stąd, że lat sto przeżyję
I będę klął Moskalów, i umrę — i zgniję?....
Taki jak ja, Tomaszu, dałby się powiesić,

Żebyś ty jedną chwilę żył na świecie dłużej:
Taki jak ja ojczyźnie tylko śmiercią służy; 155
Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić —
Ciebie lub ponurego poetę Konrada,
Który nam o przyszłości jak cygan powiada —
(Do Konrada)
Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki;
Kocham cię, boś podobny także do butelki; 160
Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapałem oddychasz,
Pijem, czujem, a ciebie ubywa — usychasz.
(Bierze za rękę Konrada i łzy sobie ociera).
(Do Tomasza i Konrada).
Wy wiecie, że was kocham, ale można kochać,
Nie płakać. Otóż bracia, osuszcie łzy wasze; —
Bo jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać, 165
I herbaty nie zrobię i ogień zagaszę. *(Robi herbatę).*
(Chwila milczenia).

Ks. Lwowicz:
Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza;
(Pokazując Żegotę)
W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin —
Czy nie dosyć w dzień milczym! — hę? jak długa cisza.
Jakób: Czy niema nowin z miasta?
Wszyscy: Nowin?
Ks. Lwowicz. Żadnych nowin? 170
Adolf: Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście;
Ale milczy i smutny; — i jak widać z miny,
Nie ma ochoty gadać.
Kilku więźniów: No, Janie, nowiny?
Jan Sobolewski *(ponuro)*:
Niedobre — dziś na Sybir kibitek dwadzieście
Wywieźli.
Żegota: Kogo? naszych?
Jan: Studentów ze Żmudzi. 175
Wszyscy: Na Sybir?
Jan: I paradnie! — było mnóstwo ludzi.
Kilku: Wywieźli!.
Jan: Sam widziałem.
Jacek: Widziałeś! — i mego
Brata wywieźli? — wszystkich?
Jan: Wszystkich — do jednego.
Sam widziałem. Wracając, prosiłem kaprala
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala, 180
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była; — ludu zebrało się wiele.

Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem 185
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. — Patrzę, z placu sadzi 190
Policmajster na koniu; — z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf cara północy, zwycięzcy — nad dziatwą! —
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty.
Widziałem ich: — za każdym z bagnetem szły warty: 195
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami — na nogach okuci.
Biedne chłopcy! — Najmłodszy, dziesięć lat nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może;
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą. 200
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
»Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą«. —
Wywiedli Janczewskiego. — Poznałem: oszpetniał,
Sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał. 205
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz! — okiem dumnem, suchem i pogodnem.
To zdawał się pocieszać wspólników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym, 210
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.
Wtem, zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślał, żem uwolniony; — dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował; — 215
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem, ażebym się schował.
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: —
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy, 220
Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył.
A w tem zacięto konia — kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzy kroć krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła!« —
Wpadli w tłum! — Ale długo ta ręka ku niebu, 225
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza
I wystaje z czarnego tylu głów natłoku, 230

Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza —
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,
I zostaną w mej myśli i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota:
Jeśli zapomnę o nich, ty, Boże na niebie, 235
Zapomnij o mnie! —

Ks. Lwowicz: Amen za was.

Każdy z więźniów: I za siebie.

Jan Sobolewski:

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki; — ich wsadzano jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku: — wszystkie twarze pobladły jak trupie; 240
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje — milczy: tak boją się cara.
Wywiedli ostatniego: — zdało się, że wzbraniał; 245
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów i, ledwie na drngi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski, siedział tu w naszem sąsiedztwie;
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie, 250
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał; — niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał, 255
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał.
Niesiony, jak słup sterczał, i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte. —
I lud oczy i usta otworzył; i razem 260
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne jęknęło do koła,
Jak gdyby jękły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębnem i rozkazem:
Do broni — marsz! Ruszono; a środkiem ulicy 265
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta; — był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy,
Siną, rozwartą, trupią; trząsł nią, jakby żegnał.
Kibitka w tłum wjechała. — Nim bicz tłumy przegnał, 270
Stanęli przed kościołem: i właśnie w tej chwili
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościół pusty, i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,

I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata 275
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą ni wielką, lecz równie niewinną.

(Długie milczenie)

Józef: Czytałem ja o wojnach; — w dawnych, dzikich [czasach,
Piszą, że tak okropne wojny prowadzono, 280
Że nieprzyjaciel drzewom nie przepuszczał w lasach
I że z drzewami na pniu zasiewy palono.
Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi:
On nawet ziarna zboża zabiera i dławi;
Sam szatan mu metodę zniszczenia tłómaczy. 285

Kółakowski: I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczy.

(Chwila milczenia)

Ks. Lwowicz:
Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.
Ja jak ksiądz pomodlę się i wam radzę szczerze
Zmówić za męczennika spoczynek pacierze. — 290
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

Adolf: Zmówże i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił.

Frejend: Łepski! — To z nami uczty wesołe on dzielił,
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata. 295

Ks. Lwowicz: Nieźleby i za tego pomodlić się brata...

Frejend: Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał.
Słuchając tych powieści — człek spłakał się, zgłupiał.
Ej, Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył?
Ty jeśli zechcesz, w piekle dyabłabyś rozśmieszył. 300

Kilku więźniów:
Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać,
Feliks ma głos! Hej Frejend, hej, wina nalewać!...

. . . . . .

(Ulegając woli kolegów, Feliks śpiewa pieśń:
Nie dbam, jaka spadnie kara,
Mina, Sybir czy kajdany i t. d.
a obecni chórem powtarzają ostatnie słowa).

. . . . . .

Suzin: Lecz cóżto? Konrad cicho, zasępiony siedzi,
Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?
Feliksie, on nie słyszał zgoła twoich pieni; 305
Konradzie!... patrzcie, zbladnął, znowu się czerwieni.
Czy on słaby?

Feliks: Stój cicho! — zgadłem, że tak będzie —
O my znamy Konrada; co to znaczy, wiemy.

Północ jego godzina. — Teraz Feliks niemy,
Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszemy. 310
Ale muzyki trzeba. — Ty masz flet, Frejendzie,
Graj dawną jego nutę, a my cicho stójmy,
I kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

Józef *(patrząc na Konrada)*:

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko;
Jeszcze nie wrócił: może przyszłość w gwiazdach 315
Może się tam z duchami znajomymi wita, [czyta,
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.
Jak dziwne oczy: błyszczy ogień pod powieką,
A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;
Duszy teraz w nich niema; błyszczą jak ogniska 320
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu
Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu:
Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

(Frejend próbuje różnych nut).

Konrad *(śpiewa)*: Pieśń ma była już w grobie, już chłodna,
Krew poczuła — z pod ziemi wygląda — 325
I jak upiór powstaje krwi głodna:
I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.
Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza).

I Pieśń mówi: ja pójdę wieczorem, 330
Naprzód braci rodaków gryźć muszę;
Komu tylko zapuszczę kły w duszę,
Ten jak ja musi zostać upiorem.
Tak! zemsta, zemsta, zemsła na wroga,
Z Bogiem i choćby mimo Boga! 335

Potem pójdziem, krew wroga wypijem,
Ciało jego rozrąbiem toporem:
Ręce, nogi gwoździami przybijem,
By nie powstał i nie był upiorem.

Z duszą jego do piekła iść musim, 340
Wszyscy razem na duszy usiędziem,
Póki z niej nieśmiertelność wydusim;
Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.
Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga
Z Bogiem i choćby mimo Boga! 345

Ks. Lwowicz:

Konradzie, stój dla Boga! to jest pieśń pogańska.

Kapral: Jak on okropnie patrzy! To jest pieśń szatańska!

(Przestają śpiewać).

Konrad *(z towarzyszeniem fletu):*
Wznoszę się! lecę, tam! na szczyt opoki! —
Już nad plemieniem człowieczem,
Między proroki. 350
Stąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem:
Rękami jak wichrami mgły jej rozdzieram —
Już widno — jasno. — Z góry na ludy spozieram —
Tam księga sybilińska przyszłych losów świata! — 355
Tam, na dole!
Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,
Mnie, orła na niebie!
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą, 360
Jak się stado w piasek grzebie —
Za niemi, hej za niemi oczy me sokole,
Oczy błyskawice,
Za niemi szpony moje! — Dostrzegę je, schwycę.
Cóż to? jaki ptak powstał i roztacza pióra, 365
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?
Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura,
A szerokie i długie na kształt tęczy łuku,
I niebo całe zakrywa —
To kruk olbrzymi! — Ktoś ty? — ktoś ty, kruku? 370
Ktoś ty? — Jam orzeł! — patrzy kruk — myśl moją plącze!
Ktoś ty? — jam gromowłady!
Spojrzał na mnie — w oczy mię jak dymem uderzył,
Myśli moje miesza — plącze —

Kilku więźniów:
Co on mówi? — co? — co to? — Patrz, patrz, jaki blady. 375

(Porywają Konrada)

Uspokój się...

Konrad: Stój! stójcie! — Jam się z krukiem zmierzył —
Stójcie! — myśli rozplączę —
Pieśń skończę — skończę —

(Słania się)

Ks. Lwowicz: Dosyć tych pieśni.

Inni: Dosyć.

Kapral: Dosyć — Pan Bóg z nami —
Dzwonek! — słyszycie dzwonek? runt, runt pod [bramami! 380
Gaście ogień — do siebie!

Jeden z więźniów *(patrząc w okno):*
Bramę odemknęli.
Konrad osłabł — zostawcie — sam, sam jeden w celi!

(Uciekają wszyscy).

SCENA II.

Konrad *(po długiem milczeniu)*:

Samotność!... Cóż po ludziach? czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi!
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie: 5
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką?
Gdzie pędzi, czy się domyślą?... 10
Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach!
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.
Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata! 15
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dolata;
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy. 20
Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne!...
Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.
Ty, Boże, ty, naturo, dajcie posłuchanie! 25
Godna to was muzyka i godne śpiewanie.
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach. 30
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę 35
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach.
Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie:
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie...
Sam śpiewam.... słyszę me śpiewy: 40
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą
I wieki im głucho wtórzą;
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie, 45

Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.
Boga, natury godne takie pienie!... 50
Pieśń to wielka, pieśń — tworzenie!
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże? 55
Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,
Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie: czuję jeszcze, 60
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, me dzieci wieszcze!
Myśli moje! gwiazdy moje! 65
Czucia moje! wichry moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!
Depcę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki, 70
Których wielbił świat szeroki!
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli i za słuszne znali
I wszystkie sławy każdodziennej blaski 75
Promieniami na wieńcach swoich zapalali:
Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdobą,
Zebraną z wieków tylu i z pokoleń tylu,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy, 80
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie.
Tak! Czuły jestem, silny jestem i rozumny!
Nigdym nie czuł, jak w tej chwili;
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili, 85
Dziś poznam, czym najwyższy czylim tylko dumny;
Dziś jest chwila przeznaczona,
Dziś najsilniej wytężę duszy mej ramiona:
To jest chwila Samsona,
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny... 90
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra...
Potrzeba mi lotu!
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.
I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje; 95
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje.
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie! 100
Jam tu, jam przybył; widzisz, jaka ma potęga:
Aż tu moje skrzydło sięga!
Lecz jestem człowiek i tam, na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało...
Ale ta miłość moja na świecie, 105
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia; 110
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec. 115
Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła.
Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą.
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa 120
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa...
I mocy tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg ani z opowiadań
Ani z rozwiązania zadań 125
Ani z czarodziejskich badań.
Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził: 130
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję.
Czyś Ty mi dał czy wziąłem, skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne. W chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki, 135
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle...
Stado pieśń żałosną dzwoni:
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy, 140
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy...

Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:
Mnie i Ciebię! 145
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mem skinieniem, 150
Tak bliźnich rozrządzać muszę.
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno: 155
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie;
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet żgadną;
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią, 160
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!...
Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył; 165
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył
I większe niźli Ty zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!
Daj mi rząd dusz!... Tak gardzę tą martwą budową, 170
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił, 175
Możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny... i w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni: wyższych nie spotkałem;
Najwyższy na niebiosach, Ciebie tu szukałem,
Ja — najwyższy z czujących na ziemnym padole. 180
Nie spotkałem Cię dotąd; żeś Ty jest, zgaduję:
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję! —
Ja chcę władzy, daj mi ją lub wskaż do niej drogę.
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę. 185
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz;
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz.
(Długie milczenie. — Z ironią):
Milczysz, milczysz!... Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,

Zrozumiałem, coś Ty jest i jakeś Ty władał.
Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością; 190
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem składy broni Twej wyśledzą.
Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało, 195
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi:
Znajdzie truciznę, proch, parę;
Znajdzie blaski, dymy, huki,
Znajdzie prawność i złą wiarę 200
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie;
Dałeś mi najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie... 205

(Milczenie).

Milczysz?... Wszakżeś z szatanem walczył osobiście;
Wyzywam Cię uroczyście!
Nie gardź mną; ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy i trony: 210
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli szatan:
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście, 215
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Głos:
Rumaka
Przedzierżgnę w ptaka.
Orlemi pióry
Do góry!
W lot!

Głos:
Gwiazdo spadająca!
Jaki szał
W otchłań cię strąca!

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna, to jedno; 220
Nazywam się milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu, 225
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.
Cierpię, szaleję... A ty mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,

Zawsze sądzisz
I mówią, że Ty nie błądzisz! 230
Słuchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świąt przychodząc,
Że Ty kochasz; jeżeliś Ty kochał, świat rodząc;
Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską;
Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt, 235
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd;
Jeśli w milion ludzi krzyczących »ratunku!« 240
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku;
Jeśli miłość jest naco w świecie Twym potrzebną
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...

Głos:
Orła w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturmu dalej!
Dymi! pali!
Ryk! grzmot!

Głos:
Z jasnego słońca
Kometo błędu! 245
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Milczysz!... Jam Ci do głębi serce me otworzył...
Zaklinam, daj mi władzę; jedna część jej licha, 250
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!
Milczysz!... Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Że Cię znam lepiej, niźli Twoje archanioły, 255
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły...
Jeślim nie zgadł, odpowiedz... Milczysz... Ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię...
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie...
Widzisz to moje ognisko: uczucie! 260
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo...

Głos:
Ognia! pal!

Głos:
Litość! żal!

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze! 265
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

Głos dyabła:
Carem!

Konrad staje chwilę, słania się i pada.

Pytanie, dlaczego Bóg pozwala na złe i na zwycięstwo złego, to pytanie, które się nieraz w myśli ludzkiej podnosi, a w nieszczęściach narodu tkwiło ciągle w jego duszy, jest treścią główną Improwizacyi. I Konrad także nie wie, nie rozumie, dlaczego Bóg na złe pozwala: a czując się wielkim, genialnym, wieszczem, Konrad chce, żeby mu Bóg dał poznać swoją myśl i wolę, żeby mu ją objawił, żeby mu zdał sprawę ze swoich zamiarów i działań. Żąda tego Konrad, bo naprzód, jak mówi, jest wielkim i ludzi większych od niego niema; ale żąda zwłaszcza dlatego, że nie o siebie mu chodzi. On jest »duchem z wielkim ludem zbratan«, on »za miliony kocha i cierpi katusze« — on się za ten cały lud upomina o wytłómaczenie jego losu, a pyta o jego przyszłość, a jako taki mniema, że ma prawo domagać się, by mu Bóg zdał sprawę ze Swojej myśli i woli. W tem uczuciu dumy, zuchwałości i buntu utwierdza go świadomość, że tą, czego on chce, jest dobrem, i woła do Boga, »daj mi rząd dusz« — bo rządu tego użyje na to, by świat »dźwignąć i uszczęśliwić«.

Duchy dobre i złe, po obu stronach, starają się jedne opamiętać go, drugie jeszcze wyżej wzbić w pychę, żeby go zgubić. Konrad coraz zuchwalsze rzuca Bogu wyzwania i obelgi — (»kłamca, kto ciebie nazywał miłością«) - wzywa Go, żeby odpowiedział koniecznie, a gdy odpowiedzi nie słyszy, grozi, że Boga przed całym światem oskarży: »Tyś nie ojcem świata, ale...«

Ostatniego bluźnierstwa — nie dopowiedział, zemdlał: ostatnie słowo Carem wypowiedział za niego szatan.

Nad zemdlonym Konradem odprawia potem ksiądz Piotr egzorcyzm: krzyżem i modlitwą wypędza z więźnia szatana pychy, który odchodząc sam zmuszony wyznaje, że grzesznikowi potrzeba na ratunek »chleba i wina«. Ksiądz potem przebudzonego Konrada gromi za pychę, a ukazuje mu nadzieję przebaczenia; poczem nad uśpionym więźniem dwóch aniołów wytacza sprawę grzesznego i zbuntowanego, a sprawa kończy się obietnicą przebaczenia:

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie i uczci krzyża podnoże.

ZE SCENY TRZECIEJ.

Konrad.

Dźwigasz mię? Ktoś ty? Strzeż się, sam spadniesz w te doły!
Podaje rękę... Lećmy! W górę jak ptak lecę,
Mile oddycham wonią; promieniami świecę.
Któż mi dał rękę?... Dobrzy ludzie i anioły!...
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów? 5
Ludzie?... Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów!

Ks. Piotr.

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
Usta, któremiś wieczny Majestat obraził,
Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;

Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka, 10
Oby ci policzone były za pokutę,
Obyś o nich zapomniał...

Konrad.

Już są tam — wykute.

Ks. Piotr.

Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał!
Módl się. Myśl twoja, w brudne obleczona słowa, 15
Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje
I większym niźli pierwej blaskiem zajaśnieje. 20
Usnął...

(Klęka).

Twe miłosierdzie, Panie, jest bez granic!

(Pada krzyżem).

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary; 25
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

(Modli się).

(W blizkim kościele za ścianą zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad księdzem Piotrem chór Aniołów na nutę: »Anioł pasterzom mówił«).

Chór aniołów *(głosy dziecinne).*

Pokój temu domowi,
Spoczynek grzesznikowi.
Sługo, pokorny cichy! 30
Wniosłeś pokój w dom pychy!
Pokój temu domowi!

Archanioł pierwszy *(na nutę: »Bóg naszą ucieczką«).*

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

Archanioł drugi.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim twoi Anieli.

Archanioł pierwszy.

Tych zdepcz, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte
[sądy pogardzą. 35

Archanioł drugi.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

Anioł.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,
Hymn Narodzenia śpiewali Anieli:
Mędrcy nas nie widzieli, 40
Królowie nie słyszeli,
Pastuszkowie postrzegli
I do Betleem biegli:
Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali, 45
Biedni, prości i mali.

Archanioł pierwszy.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów, sług [swych, obaczył,
Duchom wieczystym, Aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, Aniołów tłumy 50
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy.

Chór Aniołów.

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.
Litość! Litość! nad synem ziemi!
On był między wielkiemi:
Litość nad synem ziemi! 55

Archnioł drugi.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy;
Nie dla mądrości ludzkiej on badał ani dla sławy.

Archanioł pierwszy.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

Archanioł drugi.

Lecz on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki! 60
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

Anioł.

Krzyż w złoto oprawiony
Zdobi królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze:
A w duszę wniść nie może. 65
Oświeć, oświeć ich, Boże!

Chór Aniołów.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!

Wygnani od mędrków i króli,
Prostaczek nas przytuli: 70
Nad nim dzień, noc śpiewamy.

Chór Archaniołów:

Podnieś tę głowę: a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie i uczci krzyża podnoże;
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj polęże
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz, o Boże! 75

Obadwa chóry:

Pokój, pokój prostocie,
Pokornej, cichej cnocie!
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój grzesznemu sierocie!

To wszystko oznacza, że Mickiewicz w więzieniu otrząsł się ze swojej nieszczęśliwej miłości, a miłość ojczyzny wzięła w nim górę nad wszystkiemi uczuciami; że przybrała ona naprzód kształt i charakter nienawiści nieprzyjaciela i pragnienia zemsty; że w tych uczuciach żyjąc i nie mogąc zrozumieć sprzeczności między sprawiedliwością i opatrznością Boga a tryumfem złego na świecie, posunął się aż do oskarżenia Boga i do buntu przeciw niemu. Ale gdy te uczucia doszły do swego szczytu, nastąpił zwrot. Z własnego popędu lub też pod wpływem innych ludzi (Odyniec sądził, że malarza Oleszkiewicza w Petersburgu, i że ksiądz Piotr jest jego wyobrażeniem) Mickiewicz uznał ten stan swojej duszy za zły i grzeszny i doszedł do świadomości, że przez wiarę, przez pokorę, przez poddanie się woli Bożej, człowiek ma dążyć do łaski, do zbawienia, naród do zmiłowania i zwycięstwa swojej sprawy. Tym duchem tchną wszystkie jego pisma i całe jego życie na emigracyi. Z nadmiaru zaś tego ducha i z jego zboczenia wyniknął ostatni jego zwrot — wiara w Towiańskiego i jego naukę.

Następują w Dziadach dwa widzenia, które są rozwinięciem myśli wypowiedzianej w scenie poprzedniej: »Bóg maluczkim objawia — czego wielkim odmawia«. Wielki Konrad napróżno żądał od Boga objawienia, które mają dwie dusze ciche, proste i pokorne. Widzenie Ewy, mniej związane z całą treścią poematu, jest może wspomnieniem tylko poznanej w Rzymie Henryki Ankwiczównej. Widzenie księdza Piotra jest w myśli poety wytłómaczeniem losów Polski, a przeto pośrednią odpowiedzią na pytania Konrada w Improwizacyi. Przepowiednia jakiegoś człowieka zbawcy, oznaczonego pewnemi znamionami, zupełnie niezrozumiała, choć ją Mickiewicz sam później do Towiańskiego ściągał, nie może się odnosić do żadnego z ludzi, którzy do dziś dnia żyli i są znani. Ważna jest dalsza część tego widzenia, ta, w której na Polsce powtarza się męka Chrystusa Pana. Jest to owo wytłómaczenie jej losów, którego żądał Konrad, a które Mickiewiczowi wystarczyło na resztę życia. Polska

jest ofiarą za grzechy świata, a po zadośćuczynieniu podniesie się i świat z nią do wyższego bytu. W tej scenie Dziadów jest źródło tej nauki o Chrystusowej misyi Polski, którą znajdzie się (choć zmienioną) u Krasińskiego i u wielu innych poetów. Jest to pierwszy objaw tego kierunku przepowiadającego i mistycznego, który będzie jednym z głównych i najbardziej charakterystycznych w naszej poezyi z tego okresu.

Inne sceny trzeciej części Dziadów są już mniej ważne. Scena ósma, Pan Senator, pod względem artystycznym i poetycznym nierównie niższa od scen w więzieniu, jest historycznie ciekawa, jako wspomnienie i wizerunek Nowosilcowa i otaczających go urzędników.

W zakończeniu samem wraca Mickiewicz znowu do tego, od czego zaczął poemat przed dziesięciu laty.

SCENA IX.

Noc Dziadów.

Opodal widać kaplicę — cmentarz — Guślarz i kobieta w żałobie.

Guślarz: Już idą w cerkiew gromady,
I wkrótce zaczną się Dziady.
Iść nam pora, już noc głucha.
Kobieta: Ja tam nie pójdę, guślarzu,
Ja chcę zostać na cmentarzu, 5
Chcę jednego widzieć ducha:
Tego, co przed laty wielu
Zjawił się po mem weselu,
Co pośród duchów gromady,
Stanął nagle krwawy, blady, 10
I mnie dzikiem okiem łowił
I ani słowa nie mowił.
Guślarz: On żył może, gdym go badał,
Dla tego nie odpowiadał.
Bo na duchów zgromadzenie, 15
W tajemniczą noc na Dziady,
Można wzywać żywych cienie.
Ciała będą u biesiady,
Albo u gry albo w boju,
I zostaną tam w pokoju; 20
Dusza zwana po imieniu
Objawia się w lekkim cieniu;
Lecz póki żyje, ust nie ma,
Stoi biała, głucha, niema.
Kobieta: Cóż znaczyła w piersiach rana? 25
Guślarz: Widać, że w duszę zadana.
Kobieta: Ja tu sama zgubię drogę.
Guślarz: Ja tu z tobą zostać mogę.

Tam beze mnie zrobią czary,
Jest tam inny guślarz stary. — 30
Czy słyszysz te śpiewy w dali?
Już się tam ludzie zebrali.
Pierwszą klątwę już zaklęli,
Klątwę wianka i kądzieli;
Wezwali powietrznych duchów. 35
Widzisz tych świateł tysiące,
Jakby gwiazdy spadające?
Ten ognistych ciąg łańcuchów?
To powietrznych roje duchów.
Patrz, już nad kaplicą świecą 40
Pod czarnym niebios obszarem:
Jak gołębie kiedy lecą
W nocy, nad miasta pożarem,
Gdy białymi skrzydeł puchy
Odbijając żar ogniska, 45
Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

Kobieta: On nie będzie z tymi duchy!

Guślarz: Widzisz, blask z kaplicy bucha,
Teraz klęli ognia władzą;
Ciała w mocy złego ducha 50
Z pustyń, z mogił wyprowadzą.
Tędy będą ciągnąć duchy,
Poznasz go, jeśli pamiętasz,
Ukryj się ze mną w dąb suchy,
W ten dąb suchy i wygniły; 55
Tu się niegdyś wróżki kryły.
Już rusza się cały smętarz,
Rozwierają się mogiły,
Wybuchnął płomyk niebieski;
Podskakują w górę deski, 60
Wysuwają potępieńce
Blade głowy, długie ręce;
Widzisz oczy, jak żarzewie,
Schowaj oczy, skryj się w drzewie.
Upiór zdala wzrokiem piecze, 65
Lecz guślarza nie urzecze.

Zjawiają się dwa widma, ale duch, którego pasterka widzieć chciała, nie ukazuje się.

Guślarz: Słyszysz — trzeci kur już pieje,
Tam śpiewają ojców dzieje,
I rozchodzą się gromady.

Kobieta: I nie przyszedł on na Dziady! 70

Guślarz: Jeśli duch ten jeszcze w ciele,
Wymów teraz jego imię,

Ja na czarodziejskie ziele,
W tajemniczym zaklnę rymie;
I duch ciało swe zostawi, 75
I przed tobą się objawi.

Kobieta: Wymówiłam —

Guślarz: On nie słucha —
Ja zakląłem.

Kobieta: Niema ducha!

Guślarz: O kobieto! twój kochanek
Albo zmienił ojców wiarę, 80
Albo zmienił imię stare.
Widzisz, już zbliża się ranek,
Gusła nasze moc straciły,
Nie pokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa).

Cóż to? cóż to! — patrz z zachodu, 85
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą, ile w koniach mocy. 90
Widzisz, jeden tam na przedzie,
W czarnym stroju —

Kobieta: On!

Guślarz: Tu jedzie.

Kobieta: I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił!
Ach raz tylko — jakie oko! 95

Guślarz: Pierś miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły — aż w duszę. 100
Śmierć go chyba z ran uleczy.

Kobieta: Któż weń wraził tyle mieczy?

Guślarz: Narodu nieprzyjaciele.

Kobieta: Jedną ranę miał na czole,
Jedną tylko i niewielką, 105
Zda się być czarną kropelką.

Guślarz: Ta największe sprawia bole;
Jam ją widział, jam ją zbadał,
Tę ranę sam sobie zadał;
Śmierć z niej uleczyć nie może. 110

Kobieta: Ach ulecz go, wielki Boże!

Luźne ustępy, przez poetę z trzecią częścią Dziadów wydane (Droga do Rosyi, Przedmieścia stolicy, Przegląd wojska, Pomnik Piotra Wielkiego, Oleszkiewicz),

są oczywiście odbiciem wrażeń w Rosyi odebranych. Według niektórych miały być częścią dalszego ciągu Dziadów: w każdym razie łączą się z niemi przez to, że mówią o dalszych losach Konrada, wywiezionego na północ w ostatniej scenie części trzeciej.

Z USTĘPU (PETERSBURG).

Droga do Rosyi.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;
I oczy moje jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą;
Porwane burzą, do lądu nie zdążą, 5
A widzą obce pod sobą żywioły,
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.
Oko nie spotka ni miasta ni góry,
Żadnych pomników ludzi ni natury; 10
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz, przybyły z falami potopu,
I mową obcą moskiewskiemu chłopu 15
Głosi, że dawno stworzone te kraje
I w czasach wielkiej Noego żeglugi
Ląd ten handlował z azyjskiemi smugi.
A przecież nieraz książka, ukradziona
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu, 20
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny, 25
Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko, na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach
O stąd przybyłych mówią rozbójnikach. 30
Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta...
Czyż na niej pisać będzie palec Boski?
I ludzi dobrych używszy za zgłoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary, 35
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są — ofiary?

Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty, 40
Że trofeami ludzkości są — knuty?...
Po polach białych, pustych wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje,
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska, 45
I znowu, jakby nagle skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu,
Aż do Euxynu równinę zamiata, 50
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak Symum błędnych Libów przy Kanopie.
Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły 55
I sterczą nakształt wysp i lądu brzegów:
To są północne świerki, sosny, jodły.
Gdzieniegdzie drzewa, siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę, 60
I ludzi kryją i zowią się domy.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkiem polu, wszystkie jednej miary:
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,
Jak ładownice, okienka błyszczące; 65
Tam domy rzędem szykowane w pary,
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;
I taki domów pułk zowie się: grodem.
Spotykam ludzi: z rozrosłemi barki,
Z piersią szeroką, z otyłymi karki; 70
Jako zwierzęta i drzewa północy,
Pełni czerstwości i zdrowia i mocy.
Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych, 75
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei 80
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu, oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste; i nigdy zgiełk duszy
Niezwykłym rzutem źrenic nie poruszy, 85

Nigdy ich długa żałość nie zaciemi.
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne;
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsienica, 90
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytka i ozdobi...
Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię? 95
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?
Nawskroś pustyni krzyżują się drogi.
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
Nie wydeptały ich karawan nogi:
Car ze stolicy palcem je nakreślił. 100
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany:
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
I car ruiny ich zasypał — drogą.
Dróg tych nie dojrzeć w polu między śniegi, 105
Ale śród puszczy dośledzi ich oko;
Proste i długie na północ się wloką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.
A po tych drogach któż jeździ? Tu cwałem
Konnica wali przyprószona śniegiem, 110
A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek wałem.
Te pułki, podług carskiego ukazu,
Ciągną ze wschodu, by walczyć z północą;
Tamte z północy idą do Kaukazu, 115
Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co,
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mongoła
Z nabrzmiałem licem, małem krzywem okiem;
A tam chłop biedny z litewskisgo sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem. 120
Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki,
I zmarzłą niosą cięciwę Kałmuki.
A wtem kibitka leci. Przednie straże
I dział lawety i chorych obozy
Pryskają z drogi, kędy się ukaże; 125
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka: żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczyskiem: wszystko z drogi zmyka;
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży. 130
Gdzie? kto w niej jedzie? nikt nie śmie zapytać.
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy:
Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać.

»Może ten żandarm jedzie z zagranicy?«
— Mówi generał. — »Kto wie, kogo złowił? 135
Może król pruski, francuski lub saski
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski
I car go w turmie zamknąć postanowił;
Może ważniejsza pochwycona głowa,
Może samego wiozą Jermołowa. 140
Kto wie? Ten więzień chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! Jaki to wzrok dumy!
Wielka osoba! Za nim wozów tłumy:
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz-no, jakie oczy śmiałe! 145
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
Że generały albo szambelany:
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe!
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzane dzieci«. 150
Tak z sobą cicho dowódcy gadali;
Kibitka prosto do stolicy wali.

Pomnik Piotra Wielkiego.

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu, 5
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą, niedługo, lecz wiele —
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze: wyższe nad ziemne przeszkody.
Jako dwie Alpów spokrewnione skały, 10
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chylą ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem: 15
Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car, odlany w kształcie wielkoluda,
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno! 20
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu niedosyć przestronno;
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten, na Pani słowo 25

Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pádą na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina,
Wskakuje rumak na granitu ściany, 30
Staje na brzegu i w górę się wspina.
Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem naprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli; 35
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najezdców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło: 40
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca. 45
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: »Cesarz, ojciec nasz powraca!«
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci, 50
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blizko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą — 55
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!
Car Piotr wypuścił rumakowi wodze:
Widać, że leciał tratując po drodze;
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta, 60
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie... 65
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?...

Uwaga. Konrad Wallenrod ma być czytany w całości; z Grażyny i Pana Tadeusza niema w tej książce wyjątków, gdyż oba te utwory znają uczniowie już z klasy piątej.

Z LITERATURY SŁOWIAŃSKIEJ.

Stefan Batory i Iwan Groźny.

(Lekcye XXXVI i XXXVII z r. 1841).

Po Zygmuncie Auguście i po Henryku Walezyuszu, który panował krótko, znalazła Polska w Stefanie Batorym męża, jakiego jej było potrzeba, aby nie tylko wzmocnił zachwianą Rzeczpospolitą, ale ją podniósł i rozszerzył.

Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki, władając małym swoim krajem, znajdował się już w położeniu, które go zniewalało obeznać się z powszechną polityką Europy. Trzeba mu było z jednej strony uznawać zwierzchnictwo Turcyi, z drugiej starać się o względy cesarza niemieckiego; musiał też szukać podpory w Polsce i nawet mieć stosunki z Moskwą. Rodem Słowianin*), rozumiał język polski i przez instynkt odgadywał charakter Polaków. Skoro więc tylko objął rządy Rzeczypospolitej, przekładał zaraz senatowi konieczność przedsięwzięcia wypraw stanowczych na grożących jej nieprzyjaciół, na Krym i Moskwę. Ale że Tatarzy krymscy podlegali Porcie, a wojna z Turkami wikłała się z wielu kwestyami europejskiemi, wypadało nadal ją odłożyć. Król Stefan osądził za rzecz stosowną począć od wywrócenia carstwa moskiewskiego i czuł się do tego na siłach. Nie przestraszała go ani potęga ani niezmierna władza panującego naówczas w Moskwie Iwana Okrutnego.

Iwan właśnie wykonywał wtedy piąte swoje opały czyli przewianie narodu. Wymordowawszy różnymi sposobami mnóstwo wszelakiego stanu ludzi, kazał wznieść na rynku szubienicę i postawić kotły z wodą, zapowiadając, że będzie wieszał i gotował żywcem swoich nieprzyjaciół. Przestrach ogarnął całą stolicę; mieszkańcy, pewni nieuchronnej zguby, uciekali z miasta albo zamykali się w domach. Wielki książę zagniewany, że nikogo nie było widać na ulicach, chodził z orszakiem swoim od domu do domu, wybijał drzwi i spędzał na plac publiczność, aby przypatrywała się jego okrucieństwom.

*) W tem się Mickiewicz myli.

Wśród tego prześladowania toczyła się wojna z Tatarami krymskimi. Iwan hardy i dumny, ilekroć Szwedzi chcieli z nim traktować, tchórzył i tracił zupełnie otuchę wobec Tatarów; sam podawał chanowi pokorne warunki pokoju, byleby uniknąć bitwy. Tatarzy wpadli do Moskwy, spalili miasto: 800.000 ludności, wedle rachunku historyków rosyjskich, zginęło w tej klęsce. Po ich odejściu, skoro tylko zdołał wrócić do stolicy, rozpoczął zaraz szóste swoje opały.

Nie będziemy już rozszerzali się nad szczegółami jego morderstw, bo nawet niepodobna ich wyliczyć. Potraciwszy prawie wszystkich najzamożniejszych i najbogatszych bojarów, zniszczywszy niemal połowę mieszkańców, zasiadł jakby bawić się cierpieniem ludzkiem. Z ulubionymi doradcami swymi, jednym Niemcem, drugim Intlantczykiem, wymyślał coraz nowe i dolegliwsze sposoby męczenia nieszczęśliwych ofiar. Nakoniec wziął się do zagłady swego straszliwego legionu opryszków. Tyrania zawsze musi w ostatku skruszyć własne narzędzie. Wiadomo, że tryumwirowie rzymscy wydawali swoich siepaczy na rzeź żołnierzom, a rewolucya francuska także pożarła niemal wszystkich swoich katów.

Iwan Okrutny, czując potrzebę przywiązania do siebie całego wojska, wytępił pomału bliższych zauszników, często z najpiekielniejszym przemysłem obciążając karę. Tak na przykład jednemu przed pójściem pod topór, kazał pierwej własną ręką zabić ójca.

Epoka ta prześladowań rozpoczęła się od śmierci księcia Wariatyńskiego, wojownika wsławionego czynami, świeżego zwycięzcy Tatarów. Wielki książę kazał go palić ogniem powolnym i sam przysuwał laską węgle, dopytując się, gdzie swoje skarby pochował.

Kurbski, ów bojar, co się schronił do Polski, pisząc o swoim przyjacielu Wariatyńskim, powiada:

„Mężu znamienity, mężu rzadkiej mocy umysłu i ducha, niechaj twa pamięć pozostanie na zawsze świętą w domu naszym. Służyłeś ojczyźnie niewdzięcznej, w której cnota jest zbrodnią, a sława zgubą“.

Mimo to wszystko, bojarowie i lud ślepo ulegali Iwanowi. Jeden ze współczesnych pisarzy przytacza następujący przykład:

„Kiedy wielki książę kazał jednego ze znakomitych bojarów wbić na pal, ten nieszczęśliwy, żyjąc 24 godzin w męczar-

niach, rozmawiał z żoną i dziećmi, stojącemi przy nim, a w ciągu tej rozmowy powtarzał co chwila: „Panie Boże, niech Twoja opieka czuwa nad carem“.

Wszystkie te szczegóły służą do zrozumienia historyi rosyjskiej. Skoro taka bojaźń weszła w krew pokoleń, stała się wrodzoną poddanym: samowładztwo panujących ugruntowało się na niewzruszonej podstawie. Wielcy książęta wytępili do szczętu wszelkie uczucie zdolne zrodzić opór.

Nawet jego rozrywki były zawsze okrutne. Miał niedźwiedzi umyślnie hodowanych i wprawionych do polowania na ludzi. Z tymi zaczajony u którejkolwiek bramy Kremlina, czekał, aż póki się nie zbierze gęstsza gromada przechodzących. Szczególniej lubił, kiedy mu się zdarzyło podchwycić tym sposobem garstkę chłopów albo mieszczan, wesoło powracających z szynku. Wtedy puszczał na nich swoje drapieżne bestye i widząc, jak te szarpały struchlałych od strachu, śmiał się na całe gardło. Jeśli jednak któremu z napadniętych udało wykręcić się od śmierci, dawał mu w nagrodę zręczności kilka sztuk złota. Czasem także kazał zaszywać ludzi w skóry niedźwiedzie i szczwał psami.

Mówiliśmy już, jak posłowie zagraniczni nie mogli ani domyślać się tego, co się działo w Moskwie. Iwan doskonale układał się przed nimi, zmieniał zupełnie swój charakter i język. Jeden z tych posłów, Cobentzel, ambasador cesarza niemieckiego, człowiek oświecony i rozumny, mówiąc o Iwanie powiada nawet wyraźnie, że wszystko, co na niego w innych krajach gadają, jest wierutną potwarzą; że monarcha ten owszem ma jak najlepsze wychowanie, umie bardzo dobrze traktować ludzi, wie, jak kogo wedle dostojeństwa uczcić należy, i jemu samemu oddał uprzejmie odwiedziny.

Batory ledwie mogąc 40.000 żołnierza zgromadzić do boju, nie wahał się wydać walki temu mocarzowi, który wedle podania historyków moskiewskich, miał wojsko tak liczne jak Kserksesowe; samej armii regularnej rachował 40.000, nadto 150.000 synów bojarskich, i mógł w potrzebie ruszyć 300.000 chłopów. Mimo to król Stefan, przedsiębiorąc jedną po drugiej trzy wyprawy, zmusił go do przyjęcia warunków poniżających.

Wojna ta ma wieloraki charakter: jest razem polityczną, religijną i można powiedzieć literacką. Polityczną w najgłębszem znaczeniu, gdyż chodziło tu o przewagę samych zasad rzą-

dowych obu krajów; religijną, ponieważ wzrost albo upadek wyznania greckiego od niej zależał; literacką nakoniec, bo ważyły się w niej losy dwóch języków, i rzeczywiście odgraniczyła dyalekt rosyjski od polsko-ruskiego.

Widzieliśmy już, jak język polski spokojnie pomykał się za Niemen i aż nad brzegi Dniepru. Dotąd prowadził go duch religijny, teraz podbój polityczny otwierał mu drogę w strony północno-zachodnie, na ziemie zamieszkałe przez lud fiński, będący pod panowaniem Niemców; dawał mu sposobność szukać sobie granic w Rusi Białej i Inflantach.

W obu stających do walki państwach, podobno sami tylko ich monarchowie, Iwan Okrutny i Stefan Batory, znali jej ważność i rozumieli, jakie następstwa sprawić mogła. Iwan, cały wylany na srogie bezprawia i rozpustę, czuł jednak ciągle niebezpieczeństwo dla siebie tego ruchu, co natenczas pod względem politycznym i religijnym objawiał się w Polsce, pilnie uważał każdy wypadek w tym kraju; bez ustanku posyłał tam swoich agentów, ujmował możnych, starał się zrobić sobie stronnictwo i tyle nawet dokazał, że po śmierci Zygmunta Augusta kilku panów polskich, a wielu litewskich chciało oddać berło Rzeczypospolitej temu potworowi, pożerającemu własnych poddanych.

Widoki rozmaitych sekt występowały w owym czasie na czoło i trzymały ster wszystkich interesów politycznych Polski. Domy, należące do wyznania greckiego, ciągnęły za wielkim księciem moskiewskim i miały po sobie innych różnowierców, bo trzeba było odszczepieństwom gdziekolwiek znaleźć podporę dla walczenia z Kościołem katolickim. Iwanowi nie zbywało na zręczności; przez rachubę obchodził się jak najuprzejmiej z posłami polskimi, wspaniale ich przyjmował na swoim dworze, nie szczędził ani grzeczności ani podarunków. Historyk rosyjski przytacza własne jego słowa do jednego z tych poselstw.

„Wystawują mię jako monarchę nielitościwego — rzecze — nie mówię nic przeciw temu. Ale gdyby zapytano, dla kogo jestem srogi, odpowiedziałbym: dla złych. Dobrym (co miało się rozumieć Polakom) oddałbym ostatnią koszulę. Dziw, że wasi królowie miłują poczciwych swoich poddanych! Moi, chcieli mię wydać chanowi“.

I takie słowa krzywdzące Moskali mówił wobec zgromadzonych bojarów.

Niektórzy Polacy dali się uwieść obłudą Iwana. Tuszyli zresztą sobie, że prawa i ustawy polskie potrafiłyby okiełznać jego gwałtowność. Zdaniem jednak historyka rosyjskiego, podobno zawiedliby się na tem; i szczęściem dla nich, Opatrzność nie wystawiła ich na tę próbę. Cokolwiekbądź, cały naród, ogół szlachty mniejszej odpychał zawsze myśl przyzwania na tron wielkiego księcia moskiewskiego i wszystkie zabiegi nie zdołały uczynić go popularnym.

Wojewodzie siedmiogrodzkiemu posłużył szczególniej ów zamęt moralny i zbieg rozmaitych interesów, jaki natenczas wichrzył Polską. Wyszło to mu naprzód bardzo na dobre, że go nikt nie znał z blizka. Nie wiedziano z pewnością, czy był lutrem, czy katolikiem. Różnowiercy, słysząc o jego tolerancyi, pochlebiali sobie, że sprzyjał naukom nowym; katolicy mieli go także za swego. Jedni więc przez nienawiść Francyi i Austryi, drudzy przez nienawiść Moskwy zgodzili się na wybór tego kandydata. Powtóre, zalecało i to Stefana, że mniemano go być przyjacielem Turczyna: Turczyn miał wielką popularność. To wszystko stawiło Batorego w korzystnem położeniu, które umiał ocenić; nie zaczepiał wcześnie zagadnień drażliwych, będąc pewnym, że je rozstrzygnie, jak na króla przystało, postępkami swymi, czynem.

Za przybyciem tedy do Polski, otworzył natychmiast radzie swoje zamiary przeciw Moskwie. Wykonanie ich zwlekało się trochę z powodu buntu Gdańska i miast pruskich. Ale posłany mały oddział Polaków pobił liczne wojska Gdańszczan, odparł ich za mury i zmusił miasto do poddania się królowi.

Tymczasem kiedy w Rzeczypospolitej naradzano się jeszcze względem zamysłów królewskich, Batory rozsyłał na wszystkie strony posłów, zawiązywał przymierza z dworami obcymi i gromadził siły zbrojne. Właśnie jak w porę było wszystko gotowe, bo Iwan, nie czekając na wypowiedzenie wojny, wtargnął do Inflant. Kraj ten nadmorski, dotykający posiadłości polskich i moskiewskich, był bardzo ważnym dla obu mocarstw z przyczyny swego położenia na drodze komunikacyjnej Północy z Europą przez morze Bałtyckie. Nagły i gwałtowny napad Moskali pomieszał Inflantczyków i Szwedów, załogi polskie cofnęły się z miast przed przemagającą siłą: wodzowie

Iwana w kilka tygodni zdobyli całą krainę, wszystko pustosząc ogniem i mieczem. Jeńcy, po stu, dwustu i trzystu posyłani do Moskwy, byli traceni w oczach wielkiego księcia.

Król Stefan, uśmierzywszy Prusy, ruszył przeciw Moskalom. Jeden z wodzów polskich, Andrzej Sapieha, mając zaledwie 2000 jazdy pancernej i zebrawszy garstkę piechoty szwedzkiej i inflanckiej, napadł dwudziestotysięczny oddział moskiewski, oblegający Wenden, zadał mu klęskę, a nazajutrz wyparł z okopów i zniósł do szczętu. Kanonierowie moskiewscy, nie chcąc poddać się w niewolę, powieszali się na lawetach swoich armat. Bohaterski ten postępek wzbudził podziwienie w Polakach, a historyk rosyjski, opisujący tę wojnę, poświęca kilka kart wymownych na pochwałę patryotyzmu tych żołnierzy.

Tymczasem Batory z głównemi siłami ciągnął przez Litwę. Radzono mu iść prosto do Inflant i oczyścić kraj z załóg nieprzyjacielskich; ale on utrzymywał, że należało zdobywać Inflanty, wojując gdzieindziej, żeby zająć punkt środkowy między Litwą, Białą Rusią i Finlandyą, a razem oprzeć podstawę swege działania na drodze do stolicy, która zawsze była celem jego widoków. Skierował się na Połock i opasał go szańcami. Po kilku tygodniach oblężenia, pomimo słoty i zimna późnej pory roku, miasto zostało wzięte szturmem, zamek zaś poddał się przez kapitulacyę. Dowódcy moskiewscy żądali wolnego powrotu do swego kraju, na co chętnie król zezwolił, żądając tylko od nich słowa, że więcej przeciw Polsce walczyć nie będą. Warunek ten był zbyteczny, bo czekała ich tam śmierć niechybna: Iwan nigdy swoim wodzom, a nawet i szeregowym żołnierzom nie przepuszczał złożenia broni. Gdy więc ci nieszczęśliwi ze łzami w oczach prosili o wolność niesienia głów swoich pod stopy cara, król Stefan wzruszony tem poświęceniem się, chciał ich gwałtem ocalić i wbrew danemu słowu zatrzymał jako jeńców.

Wyprawa ta skończyła się zajęciem całej Białej Rusi i wielu miast inflanckich. Król pojechał na sejm do Warszawy.

Skutkiem zabiegów Iwana i ścierania się różnych interesów, między Polakami gotowała się w sejmie burza przeciw królowi. Pomawiano go, że dla dogodzenia własnej dumie prowadził tę wojnę uciążliwą; że wydawał ogromne sumy na zdobycie pustej ziemi; że napastował wielkiego księcia, który był spokojnym i najżyczliwszym sąsiadem Rzeczypospolitej. Batory,

jeszcze blady od trudów wojennych i wycierpianej choroby, ukazując w kole sejmowem swoje włosy osmalone podczas szturmu Połocka, rozbroił wszystkie niechęci i zamknął usta przeciwnikom. Nie tylko nikt nie śmiał odmówić mu zasiłków na drugą wyprawę, ale nawet przeciw dawnym ustawom i zwyczajom powtórnie uchwalono dwuletni pobór podatków.

Król, otrzymawszy zezwolenie stanów, czynił nowe zaciągi i wszelkimi sposobami powiększał swoje siły. Tymczasem posłowie, tak jego jak moskiewscy, uwijając się po obcych dworach, w Sztokholmie, w Kopenhadze, w Rzymie, w Wiedniu i w Londynie, wciągali w tę sprawę całą Europę.

Szwedzi, zagrożeni sami od potęgi wzrastajcej na Północy, trzymali się strony polskiej. Król duński, nienawidząc równie Moskali jak i Szwedów, pozostał w niepewności. Królowa angielska, dbała o zyski handlowe z państwem moskiewskiem, a razem chcąc dokuczyć Polsce, w razie gdyby ta połączyła się z Austryą, kierującą natenczas polityką hiszpańską przeciw Anglii, zasilała wielkiego księcia dostarczaniem mu zapasów wojennych i ludzi usposobionych. Francya wzbudzała w nim obawę swoim wpływem na Konstantynopol, którego mogła użyć ku wsparciu Polski. Iwan tedy zachowywał dobre porozumienie z Anglią, oszukiwał Francyę i starał się zjednać sobie Austryę.

Polska w owym czasie miała dwóch naturalnych nieprzyjaciół, Turka i Moskala., Turcy odepchnęli ją od morza Czarnego, zagrażali prowincyom południowym, wydarli z pod jej zwierzchnictwa Wołoszczynę i Multany. Wielkie księstwo moskiewskie w żaden sposób nie mogło stać obok Rzeczypospolitej polskiej. Ale polityka Polski dziwnie już była obałamucona. Opinia powszechna uporczywie wołała o przymierze z Portą i z wielkim księciem, a uważała Austryę za najniebezpieczniejszą nieprzyjaciółkę. Wszystkie te pojęcia wsiąkały w lekkie umysły polskie razem z naukami doktorów wittenberskich i genewskich, którzy nie mieli czego lękać się Turków i Moskali, a dla bardzo widocznych przyczyn nie lubili dworu austryackiego.

Batory, jakeśmy już powiedzieli, mocą swojej woli przełamawszy usposobienie wewnętrzne sejmu, rozpoczął drugą wyprawę przeciw Moskwie. Zamiarem jego teraz było odciąć wielkie księstwo od morza, przerwać tę drogę, kędy Iwan do-

stawał z Europy inżynierów, artylerzystów i rzemieślników, ścisnąć potęgę moskiewską w jej gnieździe i zdusić albo wyrzucić na stepy północno-wschodnie. Od Połocka puścił się przez lasy i bagna szlakiem, znanym w Rosyi pod nazwiskiem drogi książąt litewskich, i obległ Wielkie Łuki. Wojska moskiewskie, przysłane na odsiecz, zostały pobite, zamek wzięto szturmem. Następnie wodzowie polscy pozabierali Wieliż, Uświat, Rewel, Zawołocze, Jezierzyszcze, Porchów, Opoczkę, Starodub i wiele innych grodów, a król stanął pod Pskowem.

Iwan, widząc siły nieprzyjaciela mało co więcej jak o mil 30 od swojej stolicy, lubo jeszcze miał 200.000 wojska, zwątpił zupełnie i począł usilniej dopraszać się pokoju. Pierwej odzywał się zawsze hardo i pisywał listy obrażające, teraz zalecał już swoim posłom błagać króla uniżenie, znosić z pokorą chrześcijańską, gdyby ich źle traktował, a nawet chociażby i kazał obić.

W ciągu całej tej wojny daje się widzieć niby mały dramat, odgrywany przez trzy osoby; toczy się szczególniejsza rozmowa między wielkim księciem Iwanem, królem Batorym i księciem Kurbskim, owym zbiegiem z Moskwy, towarzyszącym wszędzie Batoremu.

Kurbski był jakby uosobioną zgryzotą sumienia dla wielkiego księcia. Skoro tylko popełnił nowe okrucieństwo, skoro tylko poniósł nową klęskę, natychmiast otrzymał od Kurbskiego list pełen gorzkich wyrzutów i, mimo całą swoją potęgę, nie miał mocy zostawić go bez odpowiedzi. Za każdym razem odpisując mu powiadał, że nie chce mieć do czynienia ze zbiegiem, a jednak kiedy nowy list przyszedł, nie mógł wytrzymać i brał się do pióra. Sam nawet wszczynał czasem korespondencyę. Na początku wojny opanowawszy miasto Wolmar, którego mieszkańcy schronieni w zamku woleli dobrowolnie wysadzić się na powietrze, niżeli dostać się w ręce tyrana, napisał do Kurbskiego następujący list, tchnący zjadliwą ironią i hipokryzyą:

„Niechaj pokora będzie jak w mojem sercu tak i w moich słowach. Znam moje winy, ale miłosierdzie Boskie jest nieskończone: i w tem pokładam nadzieję mego zbawienia. Pan Bóg cieszy się więcej z jednego grzesznika skruszonego, niżeli z dziesięciu sprawiedliwych. Ta bezdenna dobroć pochłonie grzechy jednego tyrana i rozpustnika. Patrz, Kurbski, jakie

są zrządzenia woli Bożej. Gdzie ty dzisiaj? Pisałeś ostatni list z Wolmaru. Siedząc tam, wylewałeś obelgi przeciw twemu panu, a oto teraz twój pan w tem mieście. Wejdźże nakoniec w siebie samego; zastanów się nad tem, co czynisz. Nie pycha skłania mię przemawiać do ciebia, ale miłość chrześcijańska. Chciałbym cię poprawić, mój biedny Kurbski, chciałbym uratować twą nieszczęśliwą duszę".

Kurbski zaczekał na wzięcie Połocka i pobicie wojsk moskiewskich przez Batorego, a potem po dostaniu szturmem przez Polaków zamku Sokoła, wśród dymiących się jeszcze gruzów odpisał Iwanowi:

„A co, mój carze moskiewski? w cóż się obróciły twoje tryumfy? Pogrzebałeś je razem z ciałami wojewodów, pomordowanych przez ciebie. Król Stefan z garstką swego rycerstwa gości w twojem państwie, odbiera ziemie, któreśmy niegdyś podbili, a ty na czele niezliczonego wojska kryjesz się i uciekasz, choć nikt cię nie ściga prócz własnego twego sumienia. Czyliż nie wyraźnie ręka Boska dotknęła tyrana? Co za widok wszędzie! Głód, zaraza, zgorzeliska po całym kraju, stolica w gruzach i, co okropniejsza, zgroza w stolicy!"

Batory mieszał się także do tego dyalogu. W owym czasie komunikacye dyplomatyczne nie miały jeszcze tej bezkolorowej formy, jaką im nadano później; nie używano raz na zawsze ukutych wyrażeń i zimnych ogólników. Monarchowie północni, prawdziwie obyczajem bohaterów homerowskich, odzywali się jeden do drugiego krasomowczą prozą; a niekiedy i wierszem. Car Iwan, lubiący wiele mówić i pisać, często posyłał Batoremu w rozwlekłych swoich listach wyzwania, pogróżki i szyderstwa. Batory odpowiadał podobnież. Tym sposobem odgrywany dramat, którego główni aktorowie nie za pośrednictwem poety, ale wprost przemawiając, ponad gorejącemi miastami rzucali sobie nawzajem słowa, jest zapewne bardzo ciekawy: i ta mowa piśmienna wielkich historycznych figur stanowi szacowny pomnik w literaturze słowiańskiej.

Iwan, przebierając się w pokorę i łagodność mnicha, wyrzucał Batoremu, że rozlewał krew chrześcijańską; gorszył się tem, że żołnierze polscy mało dbali o poległych i nie chcieli ich grzebać; kiedy Batory domagał się u niego zwrotu kosztów wojennych, dziwił się, jakim sposobem król i rycerz chrześcijański mógł żądać pieniędzy; powiadał, że dlatego tylko nie

uderzał silnie na Polaków, że miał wstręt gubić chrześcijan, bo dosyćby mu było podnieść swoją chorągiew, aby ich zetrzeć.

Król Stefan odpisał na to:

„Ale ukaż się nam nakoniec, Boże moskiewski, jak tam każesz siebie nazywać podłym swoim niewolnikom. Nie widzieliśmy dotąd ani twojej osoby ani twojej chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Chorągiew twoja straszy tylko Moskali, nie zaś nieprzyjaciół. Jeżeli istotnie chcesz oszczędzać krew chrześcijańską, człowiecze litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam. Wybierz sobie czas i miejsce, przybądź konno, a zakończym rzecz pojedynkiem".

Rozpocząwszy oblężenie Pskowa, Batory musiał je zostawić swoim wodzom, a jechać znowu na sejm do Warszawy.

Nigdy żaden monarcha nie był równie jak on oczerniany przez swoich poddanych. Rozsiewano o nim haniebne wieści, wymyślano najniedorzeczniejsze posądzenia. Kiedy z własnej swojej szkatuły dobywał ostatnich zapasów na potrzebę Rzeczypospolitej, gadano, jakoby prowadził wojnę w tym celu jedynie, aby się zbogacić, a potem uciec z Polski. Obok tego posądzano go, że starał się zamienić swoją władzę w nieograniczoną i ustalić dziedzictwo tronu, chociaż był bezdzietny i nie miał komu berła zostawić. Posłowie zmawiali się nie dać już mu więcej żadnych zasiłków, ale jeszcze raz pomieszał im szyki powszechny zapał narodu.

Po drodze od granic moskiewskich, wszędzie gdzie usłyszano zbliżającą się kolasę królewską, lud ze wsi i miasteczek wybiegał tłumem witać i błogosławić króla wojownika. Skoro przybył do Warszawy, cała ludność stolicy wysypała się na jego spotkanie, uderzono we wszystkie dzwony i gmin utrzymywał, że wyraźnie słychać było w ich głosie imię króla Batorego. Taki entuzyazm oniemił przygotowaną opozycyę w sejmie. Batory zresztą nie wdawał się w rozprawy. Przychylni mu radzili, żeby korzystając z powszechnego usposobienia umysłów, zaprowadził tęższy ład w Rzeczypospolitej. Dopytywano się u niego, jakby należało określić stosunki między państwem a stanem duchownym, między sektami a Kościołem. Odpowiadał, że jeszcze nie przyszedł czas do tego; chociaż wiele już był zrobił w tej mierze. Proszono także, żeby ogłosił uchwałę względem sposobu wybierania królów.

Nie chciał i o tem nic wyrzec; chociaż wiedziano, że z panami, posiadającymi jego zaufanie, układał rozległy plan zmiany wewnętrznej w Polsce. Tymczasem zajmował się urządzeniami wojskowemi; tworzył piechotę, której Polacy dotąd nie mieli. Ponieważ szlachta nigdy nie chciała służyć pieszo, a niebezpiecznie było żądać u sejmu pozwolenia na zaciąg włościan obywatelskich, król poprzestał na zaciągu w dobrach koronnych i z nich napełniał liczne pułki, zaręczając włościanom po odbyciu trzech wypraw wolność osobistą, im samym i ich potomstwu, a nadto obdarzając często szlachectwem tych, co się odznaczyli w boju.

Tym sposobem Batory, prawie mimo wiedzy sejmu uformowawszy silną piechotę, zapomocą dozwolonego mu poboru i prywatnych zasiłków od możniejszych, których przywiązanie pozyskał, zdołał wystawić sto tysięcy regularnego wojska, co dotąd było rzeczą niesłychaną na Północy. Współcześnie zajmował się ustanowieniem ciągłych trybunałów i urządzał Kozaków osiadłych nad Dnieprem, nadawał im ziemie i przywileje, łączył ściślej z Rzecząpospolitą. Wszystkie te kroki, zupełnie przygotowane pierwej przez króla, szły pod zatwierdzenie sejmu. Tak walcząc przeciwko woli własnego narodu, przeciwko własnym poddanym, wyprawił się nareszcie po trzeci raz do Moskwy.

Chodziło mu teraz o zdobycie Pskowa, ostatniej wielkiej warowni zasłaniającej stolicę moskiewską. Ale oblężenie szło niepomyślnie. Załoga twierdzy, równa sile nieprzyjacielskiej, broniła się dzielnie. Zimna i choroby niszczyły Polaków, osłabiały ducha w obozie polskim. Trudno było ten stan rzeczy zataić przed Moskalami, zwłaszcza że znajdowali się nikczemnicy, zdrajcy, z pomiędzy nawet wysokich dostojników polskich, którzy donosząc Iwanowi o wszystkiem, zachęcali go, aby tylko wytrwał, a wkrótce ujrzy odwrót króla.

Pośród tych trudności przybył sławny Jezuita Possevino, przysłany od papieża, aby starał się zrobić pokój między Polską i Moskwą. Wielki książę bowiem obiecywał stolicy rzymskiej przyłączyć się z całem swem państwem do Kościoła zachodniego; powiadał, że miał oddawna ten zamiar i właśnie pracował nad przywiedzeniem go do skutku, kiedy mu król Stefan pomieszał wszystko swoim napadem; przyrzekał, że skoro tylko zostanie uwolniony od Polaków, zwoła natychmiast

synod, ułatwi kwestye religijne i zajmie się zupełnie wyprawą na Turków, co natenczas było głównym widokiem gabinetu papieskiego.

Mimo całą swą przebiegłość, Jezuita dał się oszukać wielkiemu księciu moskiewskiemu; bo działał z dobrą wiarą i z prawdziwą gorliwością ku sprawie Kościoła, a Iwan myślał tylko, jakby pozbyć się Polaków.

Oto są własne słowa Possevina, pisane do papieża o wielkim księciu:

„Zamiast straszliwego monarchy znalazłem uprzejmego gospodarza, siedzącego za stołem wśród mile częstowanych gości, którym sam rozdawał potrawy i nalewał wina. Jednego razu car, oparłszy się na stole, rzekł do mnie głośno: Posil się dobrze winem i pokarmem; strudzony jesteś daleką podróżą od Ojca św., od głowy Kościoła powszechnego, dla którego mam cześć najgłębszą“.

Wskutek rozpoczętych układów zawarto naprzód zawieszenie broni, a potem i pokój. Possevino wmawiał w wielkiego księcia, że król Stefan dał się ugiąć jedynie jego naleganiom, ale miał on inne ważne przyczyny przerwania wojny.

Moskwa ustąpiła Polsce całe Inflanty, ze sto miast rozmaitych i ośmdziesiąt zamków obronnych. Ludność rosyjska powinna była wynieść się z tego kraju, Połock, klucz Białej Rusi, został w ręku Polaków. Nadto Batory zachował kilka miast dla Szwedów. Tym sposobem na długi czas odciął Moskwę od morza i dopiął głównego celu swojej trzeciej wyprawy, która nie miała być ostatnią, bo wielki książę zaraz począł odnawiać swoje wojska, a król polski także; trzymając się zawsze olbrzymich swoich zamiarów, wchodził w układy z cesarzem niemieckim i zapewniał sobie wsparcie papieża, znanego z potęgi i geniuszu Syxtusa V.

Iwan, zawarłszy ten haniebny dla siebie traktat, katował dalej swoich bojarów. Ostatnie lata panowania tego tyrana nie mają nic zajmującego pod względem historycznym, ale odkrywają nam jeszcze niektóre ciemne tajniki jego serca.

Podczas wojny z Polską wielki książę popełnił najokropniejszą ze swoich zbrodni — zabił własną ręką starszego swego syna. Młodzieniec ten, rozpustny i okrutny jak jego ojciec, prosił go, żeby mu pozwolił pójść z wojskiem wyprawianem przeciwko Polakom. Iwan wziął tę prośbę za postępek uchy-

biający posłuszeństwu i sławną swoją laską tak go uderzył w głowę, że rozszczepał czaszkę. Zamordowany syn, konając u nóg niewzruszonego bynajmniej ojca, jako prawdziwy Moskal wołał, że umiera wiernym i uległym poddanym.

Już złożony chorobą, która miała odebrać mu życie, ciągle wydawał wielki książę krwawe rozkazy i trawił całe dni, bawiąc się przeglądaniem swoich klejnotów. Na kilka godzin przed śmiercią synowa jego, przyszedłszy go cieszyć, musiała uciekać, przejęta zgrozą jego bluźnierstw. Skonał, jak żył przez ostatnie lat kilkanaście, bez najmniejszego znaku skruchy, bez najmniejszej myśli cnotliwej. Historyk rosyjski z tego powodu robi uwagę, że nie było dla niego powrotu, bo przestąpił ostatnią granicę zbrodni, zanurzył się zbyt głęboko w piekle, aby mógł wybrnąć, a upamiętanie się jego odebrałoby światu wiarę w sprawiedliwość Opatrzności. Tenże historyk, czyniąc spostrzeżenie, że wszyscy jego zausznicy, wszyscy wykonawcy jego okrucieństw poginęli z jego rozkazu, prócz jednego Małuty, który był najsroższy, najzakamienialszy i najpodlejszy, dodaje, iż ci dwaj ludzie musieli pozostać zachowani wyrokowi straszniejszego sądu niźli ziemski.

Niechajże teraz kto wytłómaczy sobie popularność Iwana. Płakał po nim cały naród. Skoro rozeszła się wieść o jego śmierci, lud biegał po ulicach, zalewając się łzami i wyjąc z rozpaczy; rodziny nawet pomordowanych przez niego ofiar były nieutulone w żalu, przywdziewały ciężką żałobę. Historyograf rosyjski zatrzymuje się tutaj osłupiały z zadziwienia, nie wie sam, jak to wyłożyć. Postrzegano jednak nieraz, że gmin znikczemniony zawsze ma skłonność do okrucieństwa, lubi widowiska krwawe, ciśnie się tłumami na publiczny plac kary, niezdolny jest pojmować innej siły, prócz niszczącej, i sile tej oddaje cześć, odpowiednią stopniowi własnego spodlenia, własnej nizkości. Przykłady podobne dają się widzieć równie w narodach cywilizowanych jak i barbarzyńskich. To uwielbienie pierwiastku zagłady, mocy niszczącej zdaje się zależeć nie od ciemnoty umysłowej, ale raczej od barbarzyństwa moralnego.

Wielki książę moskiewski Iwan Okrutny był niezawodnie tyranem najzupełniejszym z pomiędzy tych, jacy są znani w dziejach świata. Łączył on w sobie wszystkie charaktery albo właściwiej mówiąc posiadał szczególniejszy dar, niezmierną

łatwość przybierania na przemian wszystkich charakterów tyranii. Raz zdawał się być płochym i rozpustnym jak Nero, drugi raz głupim i dzikim jak Kaligula. Niekiedy okazywał zimną układność Ludwika XI. Czasem używał w listach wyrażeń Tyberyuszowskich. Czytając jego korespondencye i mowy, można napotkać obok rozwlekłych i obłudnych gadanin na wzór Kromwela, zwięzły i cukrowany styl Robespiera, który podniósł głos przeciw karze śmierci i obstawał za prawami ludzkości.

Antoni Malczewski.

Syn Jana i Konstancyi z Błeszyńskich, urodzony roku 1793 (niepewne, czy na Wołyniu czy w Warszawie), lata dzieciństwa spędził na wsi, przy rodzicach, na Wołyniu. W r. 1800 stracił matkę. W r. 1803 oddany do Krzemieńca, odbył tu całe nauki świetnie, dwa razy dostał medal (najwyższą nagrodę szkoły); sam Czacki po ukończeniu nauk dał mu najchlubniejsze świadectwo i polecenie do władz, u których w przyszłości szukałby służby. W r. 1811 Malczewski wstąpił do wojska jako podporucznik inżynieryi. Świadkowie współcześni opisują go w tych latach jako młodzieńca rzadkiego wdzięku, szlachetnego serca, wesołego usposobienia, bardzo pięknej powierzchowności i pochopnego do zabaw i światowego życia. Kampanii rosyjskiej roku 1812 nie odbywał, bo właśnie przed jej rozpoczęciem ranny w pojedynku, a potem potłuczony ciężko upadkiem z konia, musiał się leczyć. Pozostał więc z garnizonem w Modlinie, a w roku 1813 wytrzymał oblężenie tej twierdzy przez wojska rosyjskie. Po utworzeniu królestwa kongresowego (1815) pozostał w wojsku, ale niebawem wziął z niego dymisyę i, sprzedawszy majątek dziedziczny, wyjechał za granicę (1816).

Podróż ta trwała pięć lat, w ciągu których przebywał w Paryżu, w Szwajcaryi, we Włoszech. Z tych wędrówek dwa zostały szczegóły wiadome i godne zapamiętania: jeden, że w roku 1818 wyszedł na Mont-Blanc (jeden z pierwszych i podówczas bardzo nielicznych); drugi, że w Wenecyi poznał się z Byronem. Podobno nawet wybierał się z nim do Grecyi, ale dla braku środków nie mógł wykonać tego zamiaru.

W roku 1821 powrócił znowu na Wołyń i z resztek majątku wziął skromną dzierżawę. Wrócił w usposobieniu gorzkiem, zbolałem; i w takiem zaczął snuć pierwsze pomysły do Maryi, a prawdopodobnie już ją i pisał. Wtedy spadło na niego wielkie nieszczęście. Wdał się w stosunki miłosne, które go zmusiły do opuszczenia Wołynia. Przeniósł się do Warszawy (r. 1823). Dokończył też tam i wydał Maryę (1825), ale ta nie zrobiła wrażenia, nikt się na niej zrazu nie poznał. Tymczasem środki jego wyczerpały

się zupełnie, zdrowie zaczęło się psuć. Nieszczęśliwy, znękany, w niedostatku, umarł w Warszawie 2 maja 1826 r.

Oprócz Maryi zostało po nim parę drobnych wierszy bez znaczenia i trzy małe powiastki prozą bez żadnej wartości. Jest podanie, że zaczął, czy chciał pisać Samuela Zborowskiego, ale z tego niema żadnego śladu.

Marya jest jednem z najcelniejszych dzieł poezyi polskiej, jest w poezyi europejskiej jedną z najpiękniejszych powieści poetycznych, godną stać w tym rodzaju obok poematów Byrona i Mickiewicza, a wyżej od wszystkich innych.

Ze wszystkiego, co wydała nasza poezya romantyczna w swoich pierwszych latach, ona ma niewątpliwie najwięcej polskiego narodowego charakteru. Czwarta część Dziadów jest poematem miłosnym tylko, a przez rodzaj miłości, jaki w niej jest, podobnym do wielu innych z tej epoki. Grażyna, przez sam swój przedmiot z przedwiecznych litewskich dziejów, tego charakteru wiele mieć nie mogła. W Maryi występuje po raz pierwszy świat polski i polskie życie w poetycznem świetle i przedstawieniu; po raz pierwszy prosty staropolski szlachcic staje się bohaterem poematu; po raz pierwszy zjawia się w poezyi szczero-polska postać niewieścia, ze wszystkiemi charakterystycznemi cechami swojej natury. Jak treść sama wzięta jest z historycznej rzeczywistości, jak sam powód tragicznej kolizyi — głęboki przedział w pozornej szlacheckiej równości — jest także uchwycony z samej głębi naszych stosunków: tak te postacie od głównych i bardziej wypracowanych (jak Miecznik i Marya), aż do epizodycznych (jak Wojewoda i Kozak), mają najwyraźniejsze piętno polskiej rzeczywistości i prawdy.

Po raz pierwszy także występuje w poezyi polskiej fizyczna natura kraju poetycznie pojęta i przedstawiona, i oprócz tego służąca za tło wypadkom, dostrojona do jednego z nimi tonu, wywołująca i potęgująca to samo wrażenie.

Na osobną uwagę zasługuje cecha ukraińska Maryi: stepowy krajobraz ze swoim charakterem melancholicznym, i Kozak z właściwościami swojej natury i swoim zewnętrznym kształtem, tu zjawiają się po raz pierwszy, i stąd dostaną się do mnogich późniejszych poematów i powieści.

Ten charakter polski i ten specyficznie ukraiński, to jest jeden pierwiastek składowy Maryi. Drugi znowu wyrobił i nadał jej kształt: a tym jest wpływ Byrona.

Sama forma, sam rodzaj poetycznej powieści, zmieszanej z epickiego i lirycznego pierwiastka, wzięte są od Byrona. Od niego także przejął Malczewski ten sposób prowadzenia rzeczy i opowiadania, zawsze cokolwiek tajemniczy, niewyraźny, podniecający (sztucznie) ciekawość czytelnika, a podnoszący (znowu sztucznie) ponure wrażenie powieści. Wacław zwłaszcza, ze swoją naturą namiętną i burzliwą, przeczuciową a gorzką, i z tą straszną na końcu przemianą, kiedy przez nieszczęście i rozpacz psuje się i każe się obawiać jakiejś przyszłości strasznej, jest charakterem i wrażeniem,

jakie robi na czytelniku, podobny do bohaterów Byrona — co nie przeszkadza, że jest wspaniały i po mistrzowsku wykonany.

Trzecim pierwiastkiem, który się daje rozpoznać w Maryi i który wybija na niej to właściwe piętno poetycznego wdzięku i ciężkiego, tęsknego smutku, jest usposobienie poety samego i natura jego talentu.

Usposobienie to opisują współcześni jako w młodości pogodne i wesołe; jednak czy oni nie dostrzegli ukrytej pod wesołością tęsknoty, czy też wyrobiła się ona później pod wpływem wypadków życia, dość, że w Myryi jest smutek głęboki i ciężki, a do żadnego innego niepodobny. Niema w nim goryczy i namiętności Byrona ani rzewności Zaleskiego, a jest jakaś stałość i niezmienność, jakiś niby fatalizm smutku, z pod którego wydobyć i wyłamać się nie można. Jest to tło uczuć Malczewskiego i jego sposobu patrzenia na świat. A ten rodzaj ponurego (nie burzliwego) liryzmu odzywa się w Maryi w samem pojęciu i wykonaniu postaci i w tych ustępach wtrąconych, niby nie koniecznych, w których poeta mówi sam za siebie, a które należą do najświetniejszych w poemacie (naprzykład 2. i 8. pieśni pierwszej, 1., 7., i 19. pieśni drugiej).

Od samego ukazania się Maryi robiono jej zarzutów wiele. Mochnacki, który miał tę zasługę i chwałę, że pierwszy zwrócił uwagę na jej piękności, wytykał jej retoryczność, deklamacyjność, naśladowanie Byrona, a zarzuty te powtarzają się dotąd. Co do owego naśladowania, to wpływ Byrona jest widoczny, ale nie dochodzi do takiego stopnia, któryby szkodził czy oryginalności dzieła czy jego charaktorowi polskiemu. Że przemowy (Maryi, Miecznika, Wacława) są długie, to prawda, ale ta długość nie zmienia zawartych w nich piękności. Gorszą od długości byłaby zdarzająca się czasem zawiłość zdań i okresów, niedoskonałość języka i stylu, która pochodzi stąd, że Malczewski przyzwyczajony od dzieciństwa mówić najwięcej po francusku, pomimo nauk w języku polskim, władał nim zawsze z pewną trudnością. Jednak jak język jego i styl, mimo zdarzających się niedoskonałości, jest ogółem wziąwszy bardzo piękny i wysoko poetyczny, tak i w dziele jego usterki, jakie są, znikają w porównaniu z nierównie liczniejszemi i pierwszorzędnemi pięknościami. Z wyjątkiem Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, żaden polski poeta XIX wieku nie stworzył dzieła, któreby było równe Maryi, a Malczewski tym tylko wymienionym trzem ustępuje pierwszeństwa, wszystkich zaś innych przewyższa.

Uwaga. Z Maryi niema w tej książce wyjątków, gdyż utwór ten uczniowie czytać mają w całości.

Józef Bohdan Zaleski.

Urodzony 14. lutego (czyli 2. lutego wedle kalendarza Juliańskiego) 1802 roku w Bohaterce (na Ukrainie, koło Stawiszcz). Matkę stracił wkrótce po urodzeniu: na wychowanie wzięła go ciotka, którą

do śmierci z rzewną wdzięcznością wspominał. Dziecko było wątłe i słabowite; uznano tedy, że dla wzmocnienia trzeba je chować w życiu najprostszem a hartującem, i oddano pod opiekę rodziny włościańskiej. Przebył tam chłopczyna lat parę, a z tego ciągłego przestawania z wiejskim ludem ukraińskim nabrał na całe życie tego upodobania w dumkach i powieściach ludu, tej śpiewności, tęsknoty i muzykalnej dźwięczności, które stały się później znamieniem jego poezyi. Do szkół chodził w Humaniu, u księży Bazylianów (wtedy jeszcze klasztory i klasztorne szkoły, nawet unickie, nie były zniesione). Za kolegów i przyjaciół miał Seweryna Goszczyńskiego (poetę) i Michała Grabowskiego (krytyka), Aleksandra Grozę (pisarza powieści) i Józefa Mianowskiego (sławnego później lekarza i rektora Szkoły Głównej w Warszawie 1861). Na uniwersytet udał się do Warszawy, gdzie znowu zawarł przyjaźń z Maurycym Mochnackim i z Fryderykiem Chopinem, a Brodziński i przez lekcye swoje i przez osobistą znajomość wywierał znaczny wpływ na jego wykształcenie. Wtedy zaczął Zaleski pisywać pierwsze swoje wierszyki, a gdy poezya romantyczna zaczęła się szerzyć, gdy wyszły pierwsze dzieła Mickiewicza, on znalazł w nich nowy popęd do pisania i dał się już poznać przez niektóre wiersze, ogłaszane w warszawskich pismach literackich. W roku 1826 przyjął miejsce nauczyciela w domu generała Szembeka. Po wybnchu powstania roku 1830 wstąpił do wojska i służył w pierwszym pułku strzelców (z Maur. Mochnackim i Augustem Bielowskim).

Po upadku powstania musiał emigrować. Udał się naprzód do Lwowa, stąd do Paryża (1832).

Tu ścisłą zawarł przyjaźń z Mickiewiczem i ciągle przestawał w gronie kilku dobranych przyjaciół, z których najdroższym był Józef Zaleski, nie krewny, tylko imiennik Bohdana, ale rzec można, przybrany jego brat. W tem gronie czytywał Mickiewicz ustępy i księgi Pana Tadeusza, w miarę jak je pisał, a Zaleskiego często prosił o uwagi i rady. W tem gronie także, które z umysłu trzymało się z daleka od emigracyjnych swarów, a usposobione było bardzo religijnie, dojrzewała myśl podniesienia religijnego ducha i życia w narodzie zapomocą polskiego zakonu. Zaleski był w tem niemniej gorliwy jak Mickiewicz Niebawem sprzykrzył sobie życie w Paryżu, bo tęsknił za ciszą i spokojem; przeniósł się więc (z nierozłącznym przyjacielem Józefem) do Molsheim w Alzacyi (1835), następnie do Endoume pod Marsylią. Tu powstała część znaczna jego poezyi, między innemi Duch od stepu (1836) i Przenajświętsza Rodzina.

Po jej napisaniu odbył Zaleski podróż do Ziemi Świętej, potem do Włoch. W roku 1840 wyszło w Poznaniu zbiorowe wydanie jego dotychczasowych utworów.

Kiedy Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, Zaleski był jednym z pierwszych, któremu doniósł o mniemanym nowym objawicielu i wezwał go do uczestnictwa w »sprawie« znanym wierszem Słowiczku mój; Zaleski jednak przejrzał odrazu fałsz tej nauki

i przystać do niej nie chciał, co sprowadziło pewną zmianę w stosunkach z Mickiewiczem. Przyjaźń została, ale spotykanie się i poufna wymiana myśli były rzadsze i trudniejsze wskutek różnicy zdań w rzeczy tak ważnej. W późniejszych dopiero latach wróciła dawna swobodna zażyłość.

W roku 1845 ożenił się Zaleski i odtąd żył w ścisłem tylko kółku rodziny i najbliższych przyjaciół, a przemieszkiwał najwięcej w Fontainebleau; pisał niewiele, drukował jeszcze mniej. Życie jego było spokojne i przez dość długie lata wolne od nieszczęść, z wyjątkiem straty jednego synka.

Nieszczęśliwy koniec wypadków roku 1863 pogrążył poetę w ciężki smutek, a nieszczęścia osobiste zaczęły się na niego walić jedno po drugiem. W roku 1864 stracił ukochanego przyjaciela Józefa, w r. 1868 żonę. Nigdy nie sarknął przecie, nie poskarżył się, tylko z wielką siłą duszy znosił dopust Boży, a z coraz większą rzewnością tęsknił za Ukrainą, za Polską, do jej lepszej przyszłości i do wiecznego życia w niebie. Osiadł w Villepreux pod Wersalem. W roku 1881 gdy na obchód tysiącletniego jubileuszu św. Cyryla i Metodego zjechały się w Rzymie wszystkie katolickie ludy słowiańskie, sędziwy poeta polski i ukraiński był ozdobą i najrzewniejszą może postacią w tej pielgrzymce i budującym dla wszystkich przykładem niezłomnej wierności i gorącej wiary. Szczególnie też serdecznem powitaniem i oznakami poważania przyjął go Leon XIII. Ostatnie lata przeżył w tej samej zawsze cichości, tęsknocie i rezygnacyi.

Umarł w Villepreux dnia 31. marca 1886 r., pochowany w Montmorency, na tym cmentarzu, gdzie spoczywa tylu jego przyjaciół i tylu znakomitych ludzi jego czasów.

Talent miał przedewszystkiem liryczny i do małych form stworzony; w tym zakresie jest Zaleski pisarzem bardzo niepospolitym. Ma rzadkie i ujmujące dary rzewności i świeżości w uczuciu, lekkości i dźwięczności w formie. Pod względem rozmaitości, giętkości i muzykalnego brzmienia nie miał za młodu równego sobie w naszej poezyi, a można twierdzić śmiało, że bez niego nie bylibyśmy doszli do takiego wyrobienia wiersza, jakie się daje widzieć u Słowackiego, a za jego przykładem u późniejszych i mniejszych. Łagodna i cicha natura Zaleskiego sprawia, że jego uczucie wyraża się zawsze rzewnie, nigdy burzliwie i namiętnie; wyjątkowa dobroć i prostota serca sprawia, że niema w jego poezyi nigdy gniewu, nienawiści lub zazdrości; jego zaś pochodzenie ukraińskie (może przestawanie z ludem wiejskim) daje mu tę tęsknotę, ten smutek łagodny, ale prawie nieustanny, które są cechą jego natchnień i wierszy. Do najpiękniejszych może należą jego wiersze wcześniejsze (Śpiew poety, Śpiewak w obcej stronie, Rojenia wiośniane i t. d.). Obok liryki osobistej drugą najwłaściwszą mu formą tworzenia jest Dumka, historyczna najczęściej i rycerska, której treścią są zawsze boje kozaczyzny (po stronie polskiej ma się rozumieć) i ich bohaterowie. Są pomiędzy temi dumkami prawdziwe małe arcydzieła (Duma o Kosińskim, Ma-

zepa, Lach serdeczny), jest jakiś rycerski duch połączony z ukraińską smętnością. Kiedy wszyscy romantycy litewscy naśladowali i przeszczepiali na nasz grunt balladę obcą, Zaleski znalazł i pokazał tę, która na własnym gruncie, z rodzimych pierwiastków powstać mogła.

Należy to do jego charakterystycznych znamion, że z całą romantycznością zagraniczną nie ma nic wspólnego i nie naśladuje nikogo, co najwięcej, siebie samego czasem powtarza.

Wyobraźnia nie jest bardzo silna i czynna. Dlatego może większe poemata nie udają mu się tak dobrze jak drobne wiersze, a nawet często nie dochodzą do końca.

Z ogłoszonych dawniej drukiem tylko Przenajświętsza Rodzina i Duch od stepu były skończone; prócz nich Rusałki jeszcze, drobny obrazek, który właściwie jest wyznaniem własnych młodocianych uczuć. Dwa inne utwory, jak Damian Wiśniowiecki i Księżna Hanka, znane były z urywku. Liczba dość znaczna aforyzmów pod tytułem Pyłki, i bardzo ładny zbiór przekładów (najwięcej z rapsodów serbskich) uzupełniają poczet jego dzieł.

Przenajświętsza Rodzina jest, jeżeli się tak wyrazić można, pobożną sielanką, wykonaną bardzo starannie (aż nadto może wykończoną) i z prawdziwym w niektórych obrazach wdziękiem. Duch od stepu, jest to w formie lirycznej, a w rytmie Dumki, poemat patryotyczny i filozoficzny. W pierwszej części poeta robi rzut oka na swoje własne życie, w drugiej na dzieje świata. Zajmuje się on tą samą kwestyą, co wszyscy inni nasi poeci (Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i t. d.): chce zrozumieć i wytłómaczyć los swojej ojczyzny; w tem się wszakże od wszystkich innych różni, że nie wpada w messyanizm, nie rozwiązuje zagadki mniemaną ofiarą na odkupienie świata, ale upadek i nieszczęście pojmuje jako ekspiacyę za własne winy, poczem (jak inni) wróży przyszłość szczęśliwszą.

Po śmierci Zaleskiego znalazło się w rękopisie dużo utworów, które synowie poety wydali (1891 w 2 tomach). Jest znaczna liczba drobnych wierszy lirycznych, z różnych czasów, od młodości aż do ostatnich lat życia. Są między nimi dumki, są wiersze okolicznościowe, aforyzmy i wiersze patryotyczne i religijne. Niektórych sędziwy poeta nie dokończył, zostały urywkami. Ale w tej ostatniej kategoryi zwłaszcza są rzeczy niezmiernie ujmujące rzewnym i tęsknym wdziękiem, a budujące wiarą, rezygnacyą, cnotą osieroconego i znękanego starca. Wielką nowością w tych pośmiertnych dziełach Zaleskiego są poemata, kompozycye na wielkie rozmiary, jakich nie znaliśmy przedtem. Złota Duma, to jest dalszy ciąg i uzupełnienie Księżnej Hanki, fragmentu ogłoszonego przed laty. Poemat obszerny, nie jest jednak doprowadzony do końca. Bohater jego Maryan Bukat, ukraiński śpiewak, był w myśli poety jego własnym wizerunkiem. Szczegóły o dzieciństwie i rodzinie Bukata są własnemi wspomnieniami Zaleskiego. Inny poemat, Potrzeba Zba-

raska, ma za treść wojnę z Tatarami, jakiej historya nie wspomina, i zawiązek regestrowego kozactwa. Potrzeba jest skończona i z większych utworów Zaleskiego zapewne najpiękniejsza. Wszelako w niej, jak w Złotej dumie daje się widzieć pewien brak jasności, dobrego układu i żywej wyobraźni pomimo żywego i szlachetnego uczucia.

Jak w życiu Zaleskiego nie było przejść gwałtownych ani w jego usposobieniu burzliwych namiętności, tak w jego poezyi nie znać zmian i zwrotów: te same formy, ten sam zawsze zakres natchnień i pomysłów, ten sam skład pojęć i te same podstawne uczucia.

Po roku 1831, wskutek narodowego nieszczęścia i wygnania, smutek staje się stalszym, tęsknota jeszcze rzewniejszą, wiara i pobożność jeszcze żywszą, ale ton ich i sposób wyrażania się zostaje ten sam. Sprowadza nawet pewną jednostajność, podobieństwo jednych wierszy do drugich, którego zaprzeczyć nie można; jak nie można zaprzeczyć i tego, że poeta czasem nadużywa tego, co jest jego wdziękiem, t. j. dźwięczności i gracyi. Zmienia się dopiero na starość, po nowych krajowych i własnych nieszczęściach, a i wtedy jeszcze nie zmienia się bardzo. Charakter uczuć i forma wierszy zostają takie same; ale znika ta młodzieńczość, która długo była cechą jego poezyi, a na jej miejscu zjawia się powaga cichego, zbolałego starca, który to samo i tak samo kocha jak za młodu, który stracił wszystko, więc tęskni jeszcze bardziej, ale z ufnością spokojną i prawie pogodną wygląda końca dla siebie, a zmiłowania dla narodu. Zmiana ta daje się widzieć po raz pierwszy w Wieszczem oratoryum (wyd. r. 1866), a jeszcze wyraźniej w dość licznych wierszach z ostatnich lat życia.

Jako poeta nie tak wielki, rozumie się, jak Mickiewicz lub Krasiński, w swoim rodzaju i zakresie tworzył Zaleski rzeczy pełne wdzięku. Przez właściwe sobie zalety formy, przez swój charakter ukraiński i przez swoją zupełną niezależność od jakiegokolwiek wzoru (z wyjątkiem chyba wiejskiej poezyi ludu), przez to wreszcie, że przyczynił się ogromnie do wyrobienia rytmu i wiersza polskiego — ma Zaleski zapewnione na zawsze wysokie miejsce w historyi naszej poezyi; a przez swój charakter i żywot należy w niej do postaci najczystszych i najbardziej budujących, do tych, przez których duszę i pisma nie przeszło nigdy nic złego.

Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek.
I ja lecę pod niebiosa.
Lecę, gonię wspomnień marę, 5
Z kwiatów życia wieniec plotę;

Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwo śpajam złote.
Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica; 10
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.
Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi, 15
Co niebieskie, w niebo wznoszę.
Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli, uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby. 20
Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;
Kwili słowik u jabłoni,
Zapłonionej jak dziewica.
Brzmią śpiewacy polni, leśni, 25
Pierś podnosi rzewność błoga:
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!
Brzmią śpiewacy i na przemian,
To na dole, to na górze, 30
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzę.
Tak przebiegam różne tony,
Pierwej z sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony 35
Po samotnej puszczam drodze.
Myśl mej pieśni nie przekwita
Jako niebo, serce, wiosna;
Wiecznie świeża, rozmaita
I dziewicza i miłosna. 40
Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolniej buja kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam jak motylek.
Znowu lecę między ziółka, 45
Między gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.
Gdy w polocie mym z nienacka
Coś mię draśnie lub ukole, 50
Widzę wkoło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.
Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;

Wiosna kwitła, więc odkwitnie, 55
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.
Czara życia nie wciąż miodna;
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcijanin, spełnię do dna
I — wesoło spojrzę w nieba. 60
Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Rojenia wiośniane.

(Podsłuchane).

Dumka przy krosienkach.

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka, 5
I milej z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po kwietnej, po świętnej — z przewodnią niedzielą
Rozrosną się w słońcu kwiateczki, 10
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, niebieskie listeczki.
O! milsze krosienka i t. d.

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu: 15
Coś o mnie, o kwiatkach, — co? jakie do twarzy?
Co? jakie w mym upleść warkoczu? —
O! milsze krosienka, i t. d.

O! wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdę odsłoni, 20
Lilię uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka, i t. d.

Wieczorem za dworem gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku; 25
O! prędzej, co prędzej, u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka i t. d.

Gość jedzie — już w bramie; rży konik z podwórka,
Mój Boże! ach! co go przywiodło? 30
I woła i pyta: »a państwo, a córka?«
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka, i t. d.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje; 35
Aż skacze serduszko, — bo wojak to wielki —
Wszelako nie bardzo się boję. —
O! milsze krosienka, i t. d.

Groziła mi ciocia — o! gdzie tam — co cioci! —
Groziła z uśmiechem, nie szczerze: 40
»Bałamut!« — o gdzie tam! — to anioł dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka, i t. d.

On idzie i kłania, i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha; 45
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskromnie:
Pochlebnik! — o biedny! on wzdycha.
O! milsze krosienka, i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!...
Lecz będę — o! będę ostrożna!... 50
Całować chce różę — dalibóg zaczyna...
O! proszę — nie można! nie można!...
O! milsze krosienka,
I milej z okienka
Zadzwoni piosenka — 55
La, la, la, piosenka!

Podzwonne ku ojcom.

Gęślarz.

Stąd i zowąd rozgłośnie hałasuje dzwon —
Rozhuk po wodach, po siołach brodzi;
Ho-ho! chmury z dalekich odgrzmiewają stron,
Ćma się wysuwa świecących łodzi:
To Michał Archanioł, ziemi naszej stróż! 5
Na lewo, na prawo
Spoziera jaskrawo,
A czarty na wichrach mkną jarami już.

Święty Michał Archanioł na wezgłowiu chmur
Świeży swój wianek kwiecia i liści, 10
Dusze ojców, na Boży oto niesie dwór,
Gdzie obietnicę Pan im uiści.
O, rzewniej sercami czas się ozwać — czas!
Za gęślą od ziemi
Podzwońcież za niemi! 15
Niech błogosławią, o! przeczyści, nas!

Chór.

Boże święty! o mocny Hospodynie nasz!
Kości tu ojców pełne mogiły;
Dusze ojców wysoko — na prawicy masz:
O, Hospodynie przedobry, miły, 20
Błogosław na roli ich siedzącym — nam!
Jak starym swym kmieciom,
Błogosław i dzieciom
I bądź — bądź pochwalon między nami sam!

Hospodynie! nie wiemy liczby naszych dni 25
Ni pracy, jako znojna i długa;
Łacno żmudzim i nudzim robotnicy źli,
Tęsknim ustawnie do dom u pługa.
Och! przymnóż pogody i zdrowia i sił;
Jak starym swym kmieciom: 30
Bądź szczodry i dzieciom,
Ochoczo się weźmiem, byleś z nami był!

Hospodynie! nie karaj ludzi wedle spraw!
Szatan, o! srodze u nas pustoszy;
Od powietrza, od głodu, ognia, wojny zbaw! 35
Zbaw od poślednich, gauśnych rozkoszy,
Albowiem stać chcemy w świętem prawie Twem!
Archanioł nasz Michał,
Jak czarty pospychał,
Z książęciem tu wrogów niech bojuje — z lwem. 40

Dusze ojców! latawce siedmiu złotych nieb!
Na Hospodyna wysokim dworze
Świętych jego na wieki pożywacie chleb:
Ku nam — o! ku nam, dzieciom w pokorze,
Powiońcie słodkością na gorycze lat! 45
Przeczyści, weseli
Jak Pańscy anieli,
Śród godów — patrzajcie na pokutny świat!

Co nam ciemne, wam jasne jako słońca blask;
Co jeno będzie kiedyś na świecie — 50

Zło i dobro na ludzi, ile kar i łask —
Wy, dusze ojców, wiecie, o! wiecie.
Kto, kiedy i jako powali się z nóg —
Czy sławnie na wojnie
Czy w chacie przystojnie: — 55
Pomóżcież uczciwie odnieść Panu dług!

Gęślarz.

Na niebiosach wybłyska złotorogi nów;
Step nasz, mogilnik, brzaskiem zasnuty!
Hej, panowie mołojce, kołpaki no z głów!
Hej, hej dziewczęta, barwinku! ruty! 60
Po trzykroć o! Amen, Amen, Amen wznieść:
Wiankami i kwieciem
Gdy w górę pomieciem,
Ojcowie podzwonią głośniej za nas w cześć!

Dumka hetmana Kosińskiego.

Hop! hop! cwałem, koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony!
Dłużej chwilką,
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ. 5
Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy;
Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już. 10
Wnet popędzą regestrowi
Ku odsieczy Czehrynowi;
Przy rozgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm. 15
Zagra ziemia pod kopyty,
Proch poleci słupem wzbity,
Urah! głosy
Pod niebiosy
Wzlecą z brzękiem surm. 20
Ho! ho! darmo, nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepię;
Jak się biją,
Gdzie się kryją,
Znam, jak murza hord. 25
Umiem z nagła wpaść na karki,

Rąbać szablą, grzmieć z janczarki;
W lewo, prawo,
Szybko, żwawo
Nieść ogień i mord. 30
Widać, widać już Stawiszcze!
Wiatr w chorągiew miasta świszcze;
Daszka szyki
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież. 35
Dniowa gwiazda, chmurna, blada,
Za krzywiecki las zapada:
Wrony koniu,
Po tem błoniu
Prędzej, prędzej bież! 40
Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały;
Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i koń. 45
I ot, stoi tam u drzewa
Moja młoda czarnobrewa,
Piękne oczy
Łzami mroczy,
Załamuje dłoń. 50
Łez i oczu żal się, Boże!
Cóż łamanie rąk pomoże?
Kiedy wola
Sejmu, króla
Każe bić się nam. 55
Wolniej, wolniej, koniu chyży,
Niech się luba moja zbliży;
Stój, stój chwilę,
Niech się schylę,
Pocałunek dam. 60
Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Śmierć i życie w mocy Boga;
Proś go lepiej,
Niech pokrzepi,
Natchnie męstwem nas. 65
Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Wrócę zdrowy w łasce Boga,
Przez las dołem
Z psem, sokołem,
Wrócę w ranny czas. 70
A gdy śpiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośnem całowaniem,
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,

Z czoła otrzesz znój.
Nie płacz, nie bluźń, czas upływa,
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa!
Próżne słowa,
Bądź, bądź zdrowa!
Dalej, koniu mój!

Wyprawa chocimska.

Trzema szlachy idą Lachy,
A Kozaki czterma walą;
W trawach pławią się po pachy,
Z rusznic palą, świecą stalą,
A chłop w chłopa, a koń w konia,
Aż stękają w okrąg błonia.

Gody, bracia! Dzień wesoły!
Jako mrowia — koni, luda;
Lud i konie jak sokoły!
Nasz Archanioł sprawia cuda!
Godyż! gody! — Z boków, z przodu
Grzmi rozgłośna pieśń pochodu.

Przy hetmanach młódź to konna
W rysich skórach. Kto jej nie zna?
Młódź litewska i koronna,
Aż od Wilna gdzieś a Gniezna!
A nad wszystkich panów znaczny
Nasz przesławny Sahajdaczny!

Pan ataman w rozdźwięk huczny
Ku torbanom kiwał głową;
Urodziwy w ślad buńczuczny
Wiał chorągwią malinową:
Biały Anioł na atłasie
Mile słaniał się w swej krasie.

»Sahajdaczny! miły bracie!
(Sam królewicz grzecznie skinie)
Wy psim węchem więcej znacie
Niż my wszyscy o Turczynie!
Nuże w taniec! Siudy, tudy
Po swojemu no! w prysiudy!«

Pan ataman ku Kozaczy
Musnął szablą po kołpaku.

Wie Kozacza, co to znaczy!
Zaszumiało po tym znaku;
Świsnął wicher między nimi: 35
Jakby zdmuchnął — znikli z ziemi.

Ciężkoż huka po nich ziemia;
Smutno, pusto — po zamieci;
Ukrainę żal oniemia;
Na mogiłach dziewy, dzieci: 40
Płaczą dzieci tam po ojcach,
Płaczą dziewy po mołojcach.

Od niedzieli do niedzieli
Poświst niebem we dwie strony;
Stąd orłowie wciąż lecieli, 45
Uciekały stamtąd wrony:
W poniedziałek walna rada:
Sokół wieści rozpowiada.

»Oj! na świecie niema gracza
Jak ataman naszej młodzi! 50
To też Lasza a Kozacza
Po strzemiona we krwi brodzi:
Sałhan, bracia, niesłychany,
Same tłuste basze, chany!«

Ałła! drała! — hu! z daleka! 55
Strach — bo strach tam — po harapie;
Wezyr pieni się i wścieka,
A co tchu w Bałkany drapie:
Chmura stoi nad Chocimem,
Chocim, bracia, poszedł z dymem! 60

Lecąż dzieci w skok za szlachy,
Klaski, wrzaski: »Nasi walą!«
Brat za brat Kozaki — Lachy
Z rusznic palą, świecą stalą;
Godyż, gody! W rozhuk grzmotu 65
Stała odtąd — pieśń powrotu!

Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody,
A chyla się, chyla!
Płacze, nudzi Kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.

O! nie chylaj się, jaworze! 5
Zielonyś, młodziutki!
I tyś, chłopcze, w rannej porze:
Na co ci tam smutki!

Jak się jawor chylać nie ma?
Fala wśród gałęzi! 10
Jak z suchemi stać oczyma?
Serce na uwięzi!

Kozak żegna kraj swój wiecznie:
A gdzie w inszej ziemi
Tak miłują się serdecznie? 15
Tak tęsknią za swemi?

Jedzie — jedzie przez dąbrowę
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony. 20

O! za Dunaj jedzie siny,
Na chleb gdzieś tułaczy:
Swojej lubej Ukrainy
Nigdy nie obaczy.

Rok za rokiem krwawe boje 25
Przez długie tam lata
Jak potomstwo liczy swoje,
Hoduje dla świata.

Idą przecie milsze chwile:
Grób stoi gotowy! 30
Prosi — wszczepić na mogile
Kalinę u głowy:

»Będą ptaszki dniem i nocą
Dziobać po kalinie;
Może kiedy zaszczebiocą 35
Wieść o Ukrainie!«

Z PIEŚNI SERBSKICH.

Bój kosowski.

Gdy car Łazarz zasiadł do wieczerzy,
Obok niego carzyca Milica,
Jęła mówić carzyca Milica:

»O! Łazarzu — o serbska korono!
Ty wyruszasz jutro pod Kosowo; 5
Wojewodów i służbę zabierasz,
Nie zostawiasz we dworze nikogo —
Ani męża, o carze Łazarzu,
Któryby choć list powiózł ode mnie
Pod Kosowo i nazad powrócił. 10
Wyprowadzasz mych braci dziewięciu,
Ukochanych braci Jugowiczów;
Zostaw, zostaw choć brata jednego —
Brata siostrze — o błagam pod klątwą!«
Odpowiedział przesławny car Łazarz: 15
»»Jejmość moja, carzyco Milico!
Kogoż z braci najradziejbyś chciała,
Bym zostawił na białym tu dworze?««
»Och, pozostaw Boszka Jugowicza!«
Wtedy znowu przemówił car Łazarz: 20
»»Jejmość moja, carzyco Milico!
Kiedy jutro dzień biały zaświta,
Dzień zaświta i słońce obrzaśnie,
A bramy się otworzą na grodzie,
Wynijdź zaraz pod bramę zachodnią; 25
Tędy wojsko wyciągnie w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami;
Na jej czele jest Boszko Jugowicz.
Nieść on będzie krzyżową chorągiew;
Pokłoń mu się i powiedz ode mnie, 30
Niech chorągiew zda komubądź zechce
I niech z tobą zostanie na dworze««.
Kiedy ranek nazajutrz zaświtał
I na grodzie otworzono bramy,
Wnet wybiegła carzyca Milica; 35
Czatowała u bramy zachodniej.
Otóż wojsko ciągnęło w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami,
A na przedzie był Boszko Jugowicz,
Na gniadoszu kapiącym od złota; 40
Brata Boszka i konia gniadosza
Obwiewała krzyżowa chorągiew;
Na chorągwi jabłko pozłociste,
Pozłocisty krzyż święty na jabłku,
A od krzyża pozłociste kity 45
Biły Boszka po obu ramionach.
Wnet pomknęła carzyca Milica;
Chwyta silnie za uzdę gniadosza,
Targa brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie: 50
»O, mój bracie, Boszku Jugowiczu!

Car się zmiękczył na moją modlitwę,
Abyś nie szedł na bój pod Kosowo;
Owszem ciebie pozdrawia i każe,
Byś chorągiew zdał komu sam zechcesz 55
I pozostał ze mną na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze«.
Odpowiedział brat Boszko Jugowicz:
»»Idź ty sobie, siostro, na wieżycę;
Ale ja się nie myślę tu zostać 60
Ni krzyżowej chorągwi ustąpić —
Choćby car mi ustąpił Kruszewca.
Coby rzekła bojowa drużyna?
Patrzcie tchórza Boszka Jugowicza!
Nie śmie z nami ruszyć pod Kosowo, 65
Za krzyż święty nie chce swej krwi przelać
Ani umrzeć za wiarę narodu!««
Pchnął się konno co żywiej przez bramę. —
Aż wyjechał sędziwy Jug Bohdan;
Za nim siedmiu synów Jugowiczów. 70
Wszystkich siedmiu obiegła carzyca,
Lecz ni jeden obejrzeć się nie chciał.
Chwilkę w płaczu zaledwie postała
Aż wyjechał Jugowicz Woina;
Powodowych lik koni prowadził 75
Pod kapami carskiemi, złotemi.
Zatrzymała carzyca gniadosza,
Chwyta brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
»O, mój bracie, serdeczny Woino! 80
Car, zmiękczony na moją modlitwę,
Pozdrowienie i rozkaz przesyła,
Abyś konie zdał komubądź zechcesz,
A sam został przy mnie na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze«. 85
Odpowiedział Jugowicz Woina:
»»Idź ty sobie, siostro, na wieżycę;
Jeśli taki jest między Serbami,
Coby doma dziś wolał pozostać —
Oby zaraz padł śmiercią haniebną! 90
Idę, siostro, chętnie pod Kosowo!
Za krzyż święty wytoczyć krew moją —
Idę umrzeć za wiarę z mą bracią!««
Pchnął się konny co żywiej przez bramę.
Gdy to widzi carzyca Milica, 95
Padła w płaczu na kamień, na chłodny,
Padła biedna bez sił, bez pamięci.
Aż wyjechał przesławny car Łazarz.
Kiedy ujrzał swą żonę carzycę,

Łzy mu jakoś po licach pobiegły; 100
Rzucił wzrokiem z prawego na lewo
I zawołał sługę Hołubana:
»»Hołubanie! ty wierny mój sługo!
Pójdźno z koniem, z twym koniem łabędziem;
Weźmij jejmość na białe ramiona, 105
Odwieź chorą co śpieszniej do dwora
I na Boga zaklinam cię, sługo,
Nie idź z nami na bój pod Kosowo,
Ale zostań na białym tu dworze!««
Gdy to słyszy młodzieniec Hołuban, 110
Łzy zrosiły rumiane jagody;
Zesiadł z konia swojego łabędzia,
Wziął carzycę na białe ramiona,
Powiózł biedną pośpiesznie do dworu,
Ale w sercu i nudzi i boli, 115
Że nie poszedł na bój pod Kosowo;
Więc powrócił do konia łabędzia
I poleciał manowcem za swymi.
Gdy nazajutrz poranek zaświtał,
Przyleciały dwa wrone gawrony 120
Od kosowskiej szerokiej równiny
I upadły na białą wieżycę,
Na wieżycę sławnego Łazarza.
Jeden kracze, a drugi przemawia:
»»Toż wieżyca sławnego Łazarza; 125
Czemuś głucho — czy niema nikogo?««
W całym dworze nikt tego nie słyszał,
Ale tylko słyszała carzyca.
Zbiegła prędko po schodach na prawo,
Za nią zbiegły dwie córy zamężne, 130
Wukosawa i Mara nadobna.
Łkając pyta carzyca Milica:
»Oj, przez Boga! dwa wrone gawrony,
Skąd lecicie tak białym porankiem?
Może z boju? może z pod Kosowa? 135
Czyście wojsko potężne widziały?
Czy się z sobą już wojska spotkały?
Które przecie odniosło zwycięstwo?«
Przemówiły dwa wrone gawrony:
»»Pokój tobie, carzyco Milico! 140
Od Kosowa lecimy porankiem.
Widzieliśmy dwa wojska potężne,
Kiedy z sobą spotkały się wściekle.
Już carowie z obu stron polegli.
Z Turków wprawdzie zostało niewielu, 145
Ale z Serbów, choć który i żywy,
Albo ranion lub we krwi się broczy««.

Gdy prawiły tak wrone gawrony,
Aż się zjawił nadworny Milutyn;
Prawą rękę niósł w ręce swej lewej, 150
Siedmnaście kroć razy raniony;
Koń krwią czarną opiekły calutki.
Zawołała ku niemu carzyca:
— »Co ci? co ci — o biedny mój sługo,
Żeś odstąpił tak cara samego?« 155
Odpowiedział nadworny Milutyn:
— »»Pani moja! zsiąść pomóż mi z konia!
Daj mi zimnej tu wody na skronie,
Pokrop winem czerwonem me usta;
Dokuczliwe nad siłę me rany!«« 160
Dopomogła zsiąść z konia carzyca,
Zimnej wody podała na skronie,
Winem usta obmyła zbolałe.
Kiedy nieco orzeźwiać się począł,
Przemówiła powtórnie carzyca: 165
— »Cóż się stało tam w boju kosowskim:
Kędyż poległ przesławny car Łazarz?
Kędy poległ sędziwy Jug Bohdan?
Kędy legli bracia Jugowicze?
I zięć jeden, Miłosz wojewoda, 170
I zięć wtóry, sławny Wuk Brankowicz,
I kochany Banowicz Stroina?
Kędyż — kędyż o! wszyscy polegli?«
Wtedy zaczął swą powieść Milutyn:
— »»Wszyscy, Pani, o! wszyscy polegli! 175
Kędy poległ przesławny car Łazarz,
Połamanych tysiące tam włóczni —
Włóczni serbskich i włóczni tureckich —
Jednak więcej serbskich niż tureckich;
Bo Serbowie ginęli przy panu, 180
Panu swoim i twoim, o Pani!...
A Jug, ojciec twój, Pani kochana,
Zginął niemal na pierwszem spotkaniu.
Legło przy nim i ośmiu tuż synów,
Bo brat brata odstąpić nie chcieli, 185
Póki który mógł władać orężem...««

Seweryn Goszczyński.

Urodzony w Ilińcach na Ukrainie, w roku 1803. Nauki początkowe w Międzyrzeczu u Pijarów; późniejsze u Bazylianów w Humaniu (razem z Bohdanem Zaleskim). Po ukończeniu szkół udał się

do Warszawy i tu z całym popędem swojej natury namiętnej rzucił się w dwa panujące właśnie pośród młodzieży prądy: romantyczno-poetyczny i polityczno-spiskowy. Z pierwszego wyszedł jego poemat Zamek kaniowski, wydany w roku 1828; z drugiego uczestnictwo w tajnych sprzysiężeniach. W nocy 29 listopada 1830 był jednym z tych kilkunastu, którzy uderzyli na Belweder. Po wojnie Goszczyński schronił się do Galicyi. Przebywał w różnych stronach, a różne jego pisma są śladem tych pobytów (Król zamczyska — — w okolicach Krosna, Sobótka, Straszny strzelec — w Tatrach). Bawił i w Krakowie, gdzie w r. 1835 ogłosił w Pamiętniku pow. nauk i umiej. artykuł pod tytułem: Nowa epoka poezyi polskiej; w tym dowodzi, że cała poezya polska, jak jest, Mickiewicza nie wyjmując, pozbawiona jest narodowego ducha.

W roku 1838 wydalony za granicę, pojechał Goszczyński do Paryża. Tu był jednym z najgorliwszych zwolenników tej polityki, która przez tajne spiski chciała wywoływać zbrojne ruchy w kraju. Pisał mało. Gdy się zjawił Towiański, Goszczyński, zawsze nieprzyjaźnie usposobiony względem katolickiego Kościoła, przechylił się do tej mglistej mistycznej nauki i został jej wiernym do śmierci. Na krótko przed śmiercią przeniósł się do Lwowa (w r. 1872), gdzie też umarł r. 1876.

Szkolny kolega i przyjaciel Zaleskiego, a z nim i z Malczewskim uważany za przedstawiciela poezyi ukraińskiej, jest we wszystkiem zupełnem Zaleskiego przeciwieństwem. Tamten jest z usposobienia łagodny i tęskny, a w wierszach dźwięczny i miękki: ten namiętny i gwałtowny, a w poezyi swojej przesadnie ponury i szorstki. Tamtego fantazya i uczucie opanowane są Ukrainą smętną, ale dla polskiego serca wdzięczną i drogą: ten lgnie do Ukrainy ponurej i krwawej. Tamten na bohaterów wybiera Kozaków rycerzy i wiernych Rzeczypospolitej: ten wrogich jej hajdamaków. Tamten w dziejach Ukrainy widzi boje z Turkiem i Tatarami: ten rzeź humańską. Jako poeta, Goszczyński ma zapewne więcej od Zaleskiego wyobraźni, ale wyobraźnia to jakaś niezupełna, która sytuacye tworzy wprawdzie, ale ich z sobą organicznie połączyć nie umie, i tworzy postacie, ale im życia i wdzięku nie nadaje. Tych zaś własności, jakie ma Zaleski: żywego uczucia, zdolnego udzielić się drugiemu człowiekowi, i wykwintnej, a własnej oryginalnej formy, Goszczyński nie posiada. A jeżeli tamten nadużywa czasem śpiewności i rzewności, to ten znowu nadużywa szorstkości i okropności; smaku i estetycznego zmysłu ma mało, a swojego wybitnego stylu i wiersza nie ma.

Zamek kaniowski, niewątpliwie najlepszy z jego poematów, ma treść szczęśliwie wybraną, która mogła była być poetyczną i tragiczną. Ale treść naprzód ułożona jest niezręcznie, tak, że czytelnik często nie może zrozumieć, co się dzieje i dlaczego; a potem te działające osoby mimo wielkiej energii i namiętności, jaka w nich być ma, są martwe, zimne. Są i nadużycia romantycznej licencyi

i mody, jedne niesmaczne i odrażające, jak waryatka Ksenia, ścigająca Nebabę swoją miłością; drugie niedorzeczne, jak rozmowa dwóch prawdziwych ptaków. Pomysł i sytuacye są własnością Goszczyńskiego, ale w wykonaniu jest naśladowanie dwóch poetów i dwóch poematów, mianowicie Mickiewicza i Grażyny w opisach, Malczewskiego i Maryi w lirycznych dygresyach. (Najpiękniejsze ustępy są: I 1—3., 7., II 12., III 10 i 11).

Jakkolwiekbądź, jest to najlepszy z poematów Goszczyńskiego.

Anna z Nadbrzeża, powieść poetyczna z XVII wieku, większa od Zamku kaniowskiego, ale znacznie słabsza, nigdy ani po ukazaniu się ani później za dobrą uważaną nie była. — Sobótka jest fragmentem, zatem sądzić ją trudno; może byłaby piękna, gdyby była skończona: ale to, co jest, nie zaleca się ani szczególnym ruchem i życiem ani wdziękiem. — Prozaiczna powieść Król zamczyska świadczy lepiej o talencie autora. Jest to allegorya dziejów Polski, które waryat Machnicki (człowiek, który istotnie był i mieszkał w okolicach Krosna), wyobraża sobie wcielonemi w Zamek odrzykoński, i tłómaczy je przyjacielowi swemu, autorowi. Stopniowe walenie się zamku wyobraża stopniowy upadek Rzeczypospolitej; a jak pod zamkiem są fundamenta, od niego nierównie większe, tak kiedyś z prostego ludu odrodzi się naród potężniejszy, niż był dawniej. — Inne, mniejsze prozaiczne powieści nie mają wartości, prócz tej chyba, że niektóre mają za bohaterów emisaryuszów, a przez to są charakterystycznym pomnikiem swego czasu.

Wiersze liryczne, zebrane i wydane pod tytułem Trzy struny (1839), są z małymi wyjątkami tak zimne, że naprawdę nigdy cenione nie były.

Prozą wydał także Tłómaczenie Ossyana (1838).

Człowiek dobrej wiary, prawego charakteru i poświęcenia, szanowny przeto — jako poeta Goszczyński miał niezaprzeczenie znaczny zasób talentu. Że się ten talent wyżej nie wyrobił i nie zdobył na nic lepszego jak Zamek kaniowski, to powodem mogło być niedostateczne wykształcenie poety, jego wyobrażenie (mylne), że dążność i treść tylko jest rzeczą ważną, a forma i sztuka podrzędną, stąd nie tylko zaniedbanie, ale umyślne i pogardliwe lekceważenie artystycznej strony poezyi. Wreszcie powód zapewne główny ten, że przy wyobraźni dość bujnej, przy niewątpliwie gorącej miłości ojczyzny i przy silnej namiętności politycznej, poeta ten nie miał dość uczucia na to, by ono przez poezyę trafić mogło do serca drugiego człowieka, albo ożywić i wzruszającemi uczynić postacie, które wyobraźnia jego tworzyła.

ZAMEK KANIOWSKI.

Kozak Nebaba, urodzony w Białozorze na Ukrainie, porzuciwszy rodzinne strony, udał się do Kaniowa, gdzie zyskał naprzód względy u starszych, a potem przełożeństwo nad przydwornem ko-

zactwem w zamku kaniowskiego starosty. Tam też podbiła serce atamana Kozaków młoda, jaśniejąca urodą dziewczyna, Orlika. Ale i rządca zamku, Polak, uczuł równą ku pięknej Orlice skłonność. W nim więc miał Nebaba współzawodnika przemożnego, choć mniej szczęśliwego, ponieważ rzeczywiście Orlika uczuć rządcy nie dzieliła. Rządca tedy chwycił się podstępu.

Oto początek powieści:

1. Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach rozpierzchnięty, 5
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło, 10
Rozległe brzegi obsiadły wokoło.

2. Wietrzna, jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu. 15
Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą, 20
Słychać skrzypienie głównej szubienicy:
Trup się kołysze, pies wyje ponuro.
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrzękując krzywą
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza, 25
Zwijając wąsy, przechadza się żywo.
To cisza nocy w myślach go ponurza,
To szubienicy skrzypięnie ocuci:
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia — 30
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
Gdzie, baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje, coś po drodze bieży. 35
Tfu! W imię Ojca... To tumany dyable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę i szablę
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3. W świetle księżyca, co wyjrzy czasami, 40

Mignął ktoś bielą i zagasł tam w krzaku.
I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w Kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać je można po jej miłej nucie) 45
W burzliwem sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie!
Oho! Już niema Kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije, 50
I szubienica skrzypie i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany
I wicher z jękiem dmie w zamkowe ściany.

Żołnierz, któremu straż nocną około szubienicy zlecono, był to brat Orliki. Według zwyczaju śmiercią bywał karany, z pod czyjego dozoru zginął trup powieszonego winowajcy. Zwabiony śpiewem znajomej dziewczyny, zbiegł szyldwach ze stanowiska. Tymczasem na rozkaz rządcy porwano wisielca z szubienicy, a Orlika musiała wybierać pomiędzy haniebną śmiercią brata a natychmiastowem oddaniem ręki chytremu rządcy. Dla ocalenia brata została Orlika żoną rządcy.

Na wieść o tem postanowił Nebaba zemścić się na znienawidzonym Polaku. Ówczesne niepokoje na Ukrainie i blizkość obozu Szwaczki, który przewodził kaniowskim hajdamakom, nastręczyły atamanowi łatwą do tej zemsty sposobność. Opuściwszy zamek wieczorem, przeprawił się przez Dniepr na drugą stronę, gdzie połączył się ze Szwaczką.

Ale stary i w pijaństwie rozmiłowany dowódca hajdamaków zbyt niedołężnie prowadził rzecz całą. Dlatego Nebaba, zniecierpliwiony nieczynnością Szwaczki, zebrał sam gromadę, stanął na jej czele i posunął się ku miastu, pragnąc zdobyć je nocą.

Stało się inaczej. Młoda rządczyni, Orlika, nie mogąc się odjąć żalowi i rozpaczy, umyśliła zabić męża, uniesiona srogą ku niemu nienawiścią. W przededniu napadu na zamek, kiedy rządca wyjechał, aby zapewnić miastu obronę, siedziała Orlika wieczorem wśród licznego grona służebnic.

II 12. Czy nie po panu zatęskniła pani?
Że wśród służebnic, a nie kwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladość.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku, 5
Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
Cerę co zgasła, wargę co pobladła,
Z milczącą skargą mgła serca osiadła...
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
Jak utajona tląc w serca głębinie, 10

Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą?
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje?
Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia, 15
W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
To łez nie puszcza, ta więzi westchnienia...
Może, uważną pracą zaprzątnięta, 20
Zapomni smutku, usiadła za krosna;
Może miłosna, może pieśń żałosna,
Posępną dumą utuli natręta,
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy. 25
Już na źrenicy łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy i stanęła;
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma: 30
Powstała z miejsca, lecz jak martwa cała;
I znów stanęła z takiemi oczyma,
Jakby się w izbie obłędu lękała.
Wlecze mdlejąca zwolna krok rozchwiany,
I nagłym rzutem ciska się do ściany. 35
U okna przecie. Nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli widać w poruszeniach siłę,
Promyk nadziei w spojrzenia światełku, 40
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku...

Orlika zamordowała męża.

Wytrzeźwiony Szwaczka, gdy spostrzegł, że go kozactwo opuściło, z resztą swoich ludzi i ze zbuntowanem chłopstwem popędził do Kaniowa, chcąc uprzedzić Nebabę.

Ataman czekał wieczornego zmroku.

III 2. Niepomnych czasów nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z sklepów zarośli 5
Strzelał gałęzią widniej i wynioślej
Niż wieża Ławry, złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca.

Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna,
Niejednej puszczy plemię on zaczyna; 10
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwały szczycie,
Jak tej piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje, 15
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima —
Korona jego ciągle zielenieje;
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana 20
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży...

10. Co-to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęźmi oparty bez ruchu?
Czem tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
Smutne powieści o klęskach tej ziemi, 5
Gdy pod jej niebem sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz może na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona; 10
Niejedno może ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.
Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem
Puścił się Kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania 15
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła,
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej nadziei uchylała wdzięki! 20
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło,
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
Cicho, ponętnie w marzeniach świeciło —
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
Życie — koń wrzący; świat — kwieciste pole! 25
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
Łzę utrapienia łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiej smutne wesołymi zmienia, 30
Jak jego umysł swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!
Po zwierciadlanej Białozoru wodzie
Mkną się rybackie z kagankami łodzie;

Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały, 35
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cyt, płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła. 40
We mgnieniu oka ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła, czółna wokrąg płyną;
Już w oczeretach syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze,
A tanecznice, migającym cieniem, 45
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.

11. Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica:
Wszystko kipiące, od serca począwszy, 5
Aż do rumaka, co go gdzie chce niesie.
Jak w duszy jego posępno w tym lesie:
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice, 10
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności — zorza zmartwychwstania.
Cóż-to za dziwna strona się odsłania? 15
Tu, pod nogami na równi poziomej:
Moszen spojrzeniem policzone domy,
Irdyń drzemiący w spleśniałej głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety, 20
Drzewa i sady i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry. 25
Dalej — piaszczyste pozłocone morze;
Dalej — bór spływa po piaszczystym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej i dalej i bliżej
Góra po górze, bór idzie po borze; 30
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry i łąki i piaski. 35
A coraz dalej stepy piasku bledsze,

A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż swobody, uniesień rozwinie 40
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony? gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?
Orzeł niech powie, co pod niebem krąży; 45
On wyżej buja i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtę okolicę.
O Zaporożu niechaj on opowie:
Jak tam rozlegle panują koszowi;
Jakie tam wiecznie hulanki i wola; 50
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.
A tabun pędzi ze rżeniem na pola,
A Zaporożec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, ugania po błoniu; 55
Jak wicher stepu jego pieśń tak dzika.
A tam po Dnieprze łódka się przemyka;
Lekka i chybka i szybka jak fala,
Leci za nurtem, po szklanej równinie:
Wpadła na poroh, ze skał się przewala, 60
Zapadła w głębię... przepadła... aż zdala
Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
Przeszło, co było, i co będzie — minie!
Ockniony z myśli ataman zawoła:
A co być musi, niechaj się już staje! 65
Kozacy tęsknią i ogień goreje!
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła!
Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
Już pod bajrakiem — i już hasło daje.

Wśród ciemności nocy dał się ataman wprowadzić w zasadzkę. Otoczony przez wojsko polskie, stoczył bitwę w tej właśnie chwili, gdy Szwaczka dobył zamku i zapalił go. Uganiając za rządczynią, którą zbrodnia popełniona obłąkała, zginął wódz hajdamaków razem z nią samą i większą częścią swoich pod stropami przetlałego gmachu.

Nebabę rannego wzięto do niewoli i żywego jeszcze wbito na pal przed bramą zamku.

Orzeł.

Wrzały burzą niebios głębie:
Na strzaskanym od burz dębie
Król ptaków się dąsał.
Patrzałem —

Wokoło niego chmury, kłąb przy kłębie, 5
Wrony i kruki, nawał za nawałem.
Widziałem —.
On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
Naraz ujrzałem —
Przez wrony i chmury 10
Pada promień z góry
Na ptaków króla:
Niebieskiem światłem oczy mu olśnęły,
Niebieskim wiatrem skrzydła się rozdęły —
Wrony się zbiły, chmura się stula, 15
A on, na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty
Po jasnym niebios promieniu
Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą wokoło niego, 20
On się nie puszczá szlaku swojego;
A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej —
I ot! pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chóry. 25
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu całem
Cisza i jasność — orzeł w słońcu zginął!
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął —
Śpiew to zwycięski w orlej dziedzinie. 30
Tylko w mojego ducha głębinie
Jak echem śpiewu zadrżałem:
To echo ducha na orła śpiewanie;
I jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy, 35
Ono budzi letarg duszy
I w ślad orli, w orle kraje
Nieść mię nie przestaje.

Joachim Lelewel.

Syn Karola i Ewy z Szelutów, urodzony w Warszawie roku 1786. Od dzieciństwa okazywał szczególny pociąg do prac historycznych. W r. 1801 oddany do szkół pijarskich w Warszawie, obok zajęć szkolnych oddawał się z własnej ochoty pracom historycznym. W roku 1804 udał się na uniwersytet do Wilna, gdzie oprócz innych prac pisał swoją Historykę.

W roku 1811 wydał w Warszawie Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, które dały go poznać jako badacza głębszego od współczesnych historyków. W roku 1814 powołany do Wilna na zastępcę profesora historyi w uniwersytecie, wydał tam Badania

starożytności we względzie geografii, i Dzieje starożytne; ale niebawem powrócił znowu do Warszawy, gdzie ogłosił między innemi Krótki rys panowania Stanisława Augusta, i Paralelę Polski z Hiszpanią. Kiedy powtórnie przybył do Wilna (1821), już jako zwyczajny profesor historyi, przyjęli go uczniowie z zapałem, którego ślad pozostał w wierszu Mickiewicza Do Joachima Lelewela. W tym czasie napisał Ocalenie Polski za Łokietka, Ksiąg bibliograficznych dwoje, Dzieje Polski potocznie opowiedziane itd. Po śledztwie i skazaniu uczniów wileńskich przez Nowosilcowa, usunięty z katedry, wrócił do Warszawy. Należał do wszystkich tajnych przygotowań powstania, a po jego wybuchu został członkiem Rządu Narodowego. Po kapitulacyi Warszawy zmuszony emigrować, udał się naprzód do Paryża, potem przeniósł się (1832) do Brukselli, skąd się już do ostatnich tygodni życia nie oddalał. Bez majątku, zmuszony koniecznością, żył prawie jak nędzarz. Byłby zapewne mógł pozwolić sobie na lepszą cokolwiek wygodę, ale o nią nie dbał; grosz, jaki miał, wolał wydać na książki lub na ubogich; a prócz tego rozmiłowany był w swoim ascetyzmie, w którym z czasem doszedł aż do dziwactwa. W izdebce swojej przesiedział lat 29, prawie nie wychodząc i żadnych stosunków z ludźmi nie utrzymując, oddany od rana do nocy pracy, która zdumiewa ogromem swoim i zakresem. Prace jego francuskie, numizmatyczne i archeologiczne, do dziś dnia używają wielkiej u uczonych zagranicznych powagi, a odkrycia jego na tych polach zmieniły i podniosły zasób wiadomości i samo stanowisko tych nauk.

Z dzieł polskich powstały w Brukselli: Polska odradzająca się, Dzieje Litwy i Rusi, Dostojności i urzędy, Zaszczyty i tytuły, Herby i heraldyka, Narody na ziemiach słowiańskich, Historyczny rozbiór prawodawstwa polskiego, Początki prawodawstwa polskiego, Polska wieków średnich, Wykład dziejów powszechnych, Atlas do geografii wieków średnich (który sam rytował) itd. Dzieła te zaczęły wychodzić w roku 1858 w zbiorowem wydaniu pod wspólnym tytułem Polska, dzieje i rzeczy jej, ale nie wszystkie są tem wydaniem objęte.

W roku 1861 już prawie dogorywającego przewieźli uwiadomieni o jego stanie przyjaciele do Paryża, gdzie wkrótce zgasł 26. maja.

Jeden z największych uczonych, jakich Polska miała kiedykolwiek, Lelewel »przez lat sześćdziesiąt badał chronologię, genealogię, geografię, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje świata, dzieje swego narodu, dzieje kultury i piśmiennictwa, bibliotek, druków, historyków i geografów, bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce, budowy, herby, pieczęcie, dyplomata, pismo, ubiory, obyczaje, zabytki starożytne Polski, Litwy i Rusi...« badał i znał wszystko, co się dawniej Polski tyczyło, a rozległością wiedzy nie

dorównał mu żaden z naszych historyków dawniejszych ani późniejszych.

Wielkie jest jego znaczenie w dziejach naszego dziejopisarstwa. Naruszewicz podniósł naszą historyografię z upadku; z kroniki lub słabego podręcznika zrobił ją krytyczną i na źródłach opartą: postawił ją na tym stopniu, na jakim w wieku XVIII stała historya w oświeconych krajach Europy.

Choć praca historyczna po Naruszewiczu nie ustała, choć w niektórych szczegółowych kierunkach miała i ludzi znakomitych i skutki prawdziwie wielkie (na przykład Czacki w badaniu prawa polskiego) — to przecież potrzebowała rozleglejszego, wszechstronniejszego badania. Naruszewicz opierał swoją historyę na źródłach: Lelewel pierwszy u nas (i jeden z pierwszych w Europie) zaczął krytycznie badać źródła same, ich wartość, prawdziwość tego, co podają; a od niego nauczyli się tego następcy.

Przez wyjątkową organizacyę swego umysłu, przez swoją namiętność do historyi i pracowitość bezprzykładną, zdołał niezmierny ogrom kwestyi i stosunków rozpoznać, bystro wyrozumieć, określić i spamiętać. Najwięksi zagraniczni badacze historyczni jego czasów nie byli uczeńsi od niego, nie badali sumienniej ani przenikliwiej; w tem tylko byli od niego szczęśliwsi, że było ich wielu, że mogli pracę między siebie rozdzielić, wybrać pewną jej część i tej wyłącznie się oddać, a przez to mogli wydawać dzieła bardziej skończone. Lelewel był jeden, i jeden musiał opanować cały ogrom stosunków polskich. Musiał mieć wyjątkową, prawie genialną zdolność, kiedy temu podołał; ale nie dziw, że nawet przy takiej zdolności nie mógł zrobić wszystkiego, i jeszcze pięknie i żywo pisać i opowiadać. Z rezultatów jego badania wiele jest dziś prześcigniętych, sprostowanych, tak, że się okazały w mniejszej lub większej mierze mylnymi. Ale taki jest los każdej nauki, a w szczególności historycznej, że nowe badanie odkrywa nowe prawdy, które każą widzieć i pojmować stosunki inaczej, niż je pojmował choćby największy historyk lat i pokoleń ubiegłych. Wielkości zaś takiego historyka nie ujmuje to nic, że następni niejedno po nim odkryli, poprawili albo sprostowali: bo bez niego nie byłoby tych następców, nie byłoby ich wiedzy i pracy, oni nie mieliby na czem się oprzeć, od czego zacząć, ani co poprawiać i prostować.

Polem zaś, na którem Lelewel najwięcej zrobił odkryć głębokich i najwięcej zasług położył, są wieki średnie i polskie w nich stosunki.

Zdarza się to zazwyczaj, że umysły wybornie usposobione do badania i rozpoznawania, mniej są zdolne do organicznego składania całości. Tak było i z Lelewelem. Niezrównany badacz, pracownik genialny na polu pomocniczych gałęzi historyi, nie miał tego organicznego zmysłu, który szczegóły łączy i składa; był wielkim badaczem szczegółów historycznych, nie był jednym z tych historyków, którzy odtwarzają ubiegłe dzieje, dają je poznać i zrozumieć; kwe-

stye szczegółowę zgłębia on i określa lepiej, aniżeli całość jakiejś epoki i ogół jej stosunków.

Jego sposób pisania, ciężki zazwyczaj, a niekiedy aż dziwaczny (jak dziwaczną jest pisownia, której się uparcie trzyma), chwilami ożywia się przecież i staje się świetnym (na przykład w przedmowie do Ksiąg bibliograficznych).

Jego błąd największy jest ten, że opanowany swoją polityczną i społeczną doktryną (gminowładczo-republikańską), przywiązany do niej fanatycznie, widzi w przeszłości jej objawy lub dowody nawet tam, gdzie ich niema, a gdy nie widzi i nie znajduje, to je wyszukuje i zjawiska historyczne do swego sposobu myślenia naciąga.

Niemniej słuszność ma Siemieński, kiedy mówi o Lelewelu (Portrety literackie): »Wyjątkowa to postać, jakiej pozazdrościłby każdy naród, nawet na szczycie pomyślności i bytu. Było w niej coś ze starożytnych filozofów Grecyi lub rzymskich stoików, coś ze średniowiecznego ascety i uczonego Benedyktyna; a w ogniu oka, w przekonaniu słowa przeglądał niekiedy trybun republikański. Uczoność i patryotyzm, to dwa wielkie jego tytuły do zaskarbienia pamięci narodowej.«

Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej.

(Polska, dzieje i rzeczy jej t. III).

Z uwag nad pierwszym okresem (od r. 860 do 1139). [1])

---

§. 13. Obowiązki, daniny, robota [2]).

Żeby mieć wyobrażenie o ciężarach, jakie podówczas gmin znosił, dość jest rozczytać się w nadaniu opactwa tynieckiego z roku 1085, potwierdzonego 1120 [3]). Ludzie prowincyi krakowskiej, dani klasztorowi ze wsiami, jakie zamieszkiwali, obowiązani byli kościołowi Tyńca opłacać czynsz *(tributum)*, stróżę i pomocne; grodzić podwórze po osiem łokci płotu; stawić

---

[1]) Lelewel dzieli historyę polską na następujące okresy: pierwszy od r. 860 do 1139; drugi od r. 1139 do 1374; trzeci od r. 1374 do 1607; czwarty od r. 1607 do 1795.

[2]) Z uwagami Lelewela porównać należy dr. St. Kutrzeby: Historyę ustroju Polski w zarysie (Lwów, 1905), mianowicie ustępy: Wolni i niewolni, str. 12—13; Ustrój grodowy, str. 19—22; Chłopi, kolonizacya niemiecka, str. 30—36; — jakoteż Anat. Lewickiego: Dziejów Polski, §. 28 (Urządzenia wewnętrzne w I okresie), §. 47 (Kolonizacya niemiecka) i §. 49 (Szlachta, magnaci, żydzi).

[3]) Dokument tyniecki ma obecnie ustaloną datę r. 1105.

corocznie dwie budowy czternastołokciowe; każdy z nich pięć kóp *(capetia)* żąć i do stodoły przywieźć; pięć fur siana ukosić i przywieźć corocznie; młócić dziesięcinę i klasztorowi dostawić; corocznie cztery dni pługiem w najbliższym folwarku odrobić; po dwóch do Tyńca na każde zawołanie; dostawić nadto wszystkiego na stani u siebie w podróżach opata, przełożonego, sędziego, poborcy; do klasztoru rocznie trzy miarki miodu i sześć wiewiórek dadzą. Ludzie, dani 1145 opactwu Lendi [4]), obowiązani byli co rok koło świętego Michała każdy dać 60 snopów jęczmienia, korzec owsa, miarę pszenicy, trzy miary piwa *(brasii)*; żąć po pięć kóp, kosić trzy wozy siana, tyleż urąbać drewek i dwa pniaki sosny; nadto trzy dni koleją całemi rodzinami pleć; jeden dzień każdy młócić; a dawać po trzy kity lnu; obowiązani też są pieszo lub konno listy i pisma zakonników po całej roznosić Polsce.

§. 14. *Od gmin wybierane uciążliwości.*

Zależność, służebność, robota i daniny ciążyły właściwie na osadnikach *(adscripticii et originarii)*, ale ich potomki, wchodząc w liczbę gminnych, mieszały się z kmieciami, którzy mniej więcej podobnież obarczeni byli: danin i roboty po trzy lub cztery dni w roku. Wszyscy mieszkańcy, a mianowicie kmiecie i *adscripticii*, dawali dziesięcinę swym kościołom, a znosić musieli rozmaite uciążliwości, częstokroć zupełnie miejscowe, pospolicie od posiadacza włości wybierane. Z targów i jarmarków, targowe niemały przychód czyniło; wybierano opłaty od rzecznych przepraw: przewóz, mostne. Gminy związane były danią i służbą: opola czyli sąsiedztwa, *vicinii*, dając krowne i wołowe, krowy i woły; a obowiązane do wspólnej pogoni i innych umówionych wspólności. Gminy i wielu pojedynczo płacili podworowe, od miejsca domu i opłoconego podwórza swego. Mniej robotujący płacili dań większą: znamienitsze posady płaciły vota 12 grzywien, rodzaj zdaje się uniżoności i życzliwości za pieczołowitość pańską [5]).

§. 15. *Łowy i udział w nich gmin.*

Gmin podzielał jeszcze wspólnotę wypasów, wrębów, łowów, pszczelnictwa; zapewne jednak doznawał uciążliwszych

---

[1]) Opactwo to zwało się Ląd (po łac. Landa).

[2]) Vota owe były daninami zarządów dóbr (kluczów) książęcych na rzecz klasztorów, ale nie daninami ludności wiejskiej dla jej panów.

z tego powodu trudów, a w łowach wzrastających ścieśnień. Wielkie polowania i połowy, jakie niegdyś wespół z gminami podejmowane bywały, zajmowały panów, wielkie włości dzierżących, a mianowicie króla, który jako dzierżawca kraju całego, jako panujący, łącząc w swej osobie zwierzchnictwo wszystkich powiatów i gmin, otrzymywał wszystkie korzyści z rozporządzeń i obyczaju łowiectwa. Bolesław Wielki miał ptaszników, łowczych wszelkiego narodu, których sprawność pokrywała jego stoły zwierzyną i ptastwem. Gdzie obwołano łowy, wszyscy myśliwi łączyli się z łowczymi królewskimi. Psy, sokoły, jastrzębie, konie pędziły za odgłosem trąbki, a gmin, mianowicie ten, co stroniąc zdzierstw przegonnych na traktach, siedlił się poborach, obowiązany był hodować i żywić wszystkie te psy, sokoły, konie. Nieraz dla łowów wielkiego zwierza, ruszone ludności gminne, miewały swą pracę przerywaną. Indziej wsie miały obowiązek czuwać nad bobrami lub przyrządzać i utrzymywać sieci do łowów ryb i zwierza.

§. 16. *Stójki, przejazdy, gońce.*

Bolesław Wielki, po ojcowsku władnący, nie uciskał ludu przejazdami swymi. Wolał odwiedzać posady z grodami *(civitates)* i grody czyli miejsca warowne *(castella)*, aniżeli ciągle w obozach lub pod namiotami przebywać. Urządził dobrze stójki; przejeżdżając z miasta do miasta, czuwał, aby powiatu jakiego nie przeciążył, odprawiał urząd i służbę powiatową powiatu, z którego wyjeżdżał do drugiego, gdzie go miejscowa służba i urząd przyjmował. Rolnik, woźnica, pastuch nie krył się ni z wołem ni z owcą; ubogi i bogacz spotykając go radowali się, zbiegali, aby go ujrzeć. Ale służba na traktach i wielkich drogach *(angariae)* nie ograniczała się samym panującego przejazdem: wymagała słańców pieszych i konnych dla utrzymania związku miejsc odległych; koni, wołów, powóźnych podwód dla przewodu od stójki do stójki, na każdej stójce żywności i strawy dla zaprzęgi i ludzi, podróżnych, gońców, urzędników państwa. Oprócz tych obowiązków dla panującego i dla państwa, możni panowie *(quique potentum)* od niepamiętnych czasów mieli we zwyczaju podróżować z przepychem, a pozwalali sobie grabić ubogim słomę, siano, ze stodół i chat porywać paszę i żywność dla swego dworu. Najmniejszy pan biegł z poleceniem jakiem, a drużyna jego chwytała biednych konie

i pędziła seciny mil. Za Bolesława Śmiałego jadący na wieca panowie wypasywali łąki, zabierali zżęte zboża, wypróżniali zapasy mieszkańców: palili opłoty, twierdząc, oni i drużyna ich, że to zwyczaj...

§. 17. Obrona kraju.

Mnogie podwody, pomnożone gońce, nieobliczona straż rozmaitych, do panującego należących rzeczy, były nieodzownym wypadkiem owego czasu tworzenia się państwa pod jednym panującym, który w stosunki z łacińskim cywilizowanym światem wchodził. Z tegoż tworzenia się państwa wielce ważną stawała się obrona jego, obrony owej urządzenie. Stróża miejsc warownych wzięła znamię służby państwa. Mniemanie, jakoby ją Bolesław Wielki ustanowił, pewnie jest ciasnem onej pojęciem. Strzegły je wprzód gminy, gdy od tego ich byt i bezpieczeństwo zależało. Stróżenie takowe znalazł Bolesław, urządził i nowymi przepisami w całem państwie umocował: dań tej straży, opatrzenie w żywność, obwarowanie, obwarowania utrzymanie, obronę i pilność, aby podchwycone nie były, mianowicie pograniczne, nie mniej dróg i mostów utrzymanie.

Sep naraz opatrywały grody i twierdze rozmaitem zsypywanem ziarnem, z każdej włóki po miarze owsa i żyta. Zmieniająca się w twierdzy załoga, czuwała nad całym obwodem kastellu, nad kastellaturą. Utrzymywał to rozporządzenie Bolesław, za następców bez ulgi dla ludu mniej dopełniane. Nikt nie mógł mieć swego zamku, warowne miejsca należały do państwa, takowych nikt posiadać nie mógł, ani ich dla siebie tworzyć. Dozierane były przez naczelników obwodu, powiatu *(comes castellanus)*. Pierwsze nadania, jakie znamy, żadnego uszczerbku ich obowiązkom nie czynią. Potężny wojewoda Sieciech jest pierwszy w dziejach wzmiankowany, co ma koło roku 1110 swój zamek własny.

Z uwag nad drugim okresem (od r. 1139 do 1374).

§. 33. Szlachta, obywatelski stan [1]).

Aby znać stopniowanie klas mieszkańców, co bytowali *extra muros* miast, w ziemiach i powiatach zważać trzeba na

[1]) Dr. St. Kutrzeby Historya ustroju — ustępy: »Służba rycerska« str. 10—12 i »Rycerstwo« (milites) str. 27—30.

taksę głowy, ran i uderzenia. Dawniej życie szlachcica płacone było 12 grzywien, kmiecia 3. Taksa ta podniesioną została. Najwyższa taksa za głowę duchownego lub nobilisa 60 grzywien wynosiła; *miles famosus, nobilis terrigena,* ziemianin szlachcic takową był opłacony. Za szlachcica drugiego rzędu, szlachty niezupełnej, *miles,* w Małej Polsce *scartabellus,* świerciałka, to jest towarzyszem, zawiercą, a w Mazowszu *vir communis,* czyli włodyką *de iure militari* zwanego, płacono grzywien 30. A za szlachcica, czy to z sołtysa czy z kmiecia świeżo uszlachconego, grzywien 15. Były to trzy stopnie szlachty czyli rycerstwa, *milites.* Wszakże sołtysi, mogący być uszlachceni, byli *in iure militari* z powszechnego wojennej służby obowiązku i z posiadania roli.

Na ostatek głowę zabitego kmiecia 6 grzywien opłacało w Wielkiej Polsce, 8 w Mazowszu, a 10 w Małej Polsce.

Stopniowanie głowy rycerstwa szlachty — nie długo utrzymać się mogło w porze, w której Władysław Łokietek powołał do sprawy stanu, ocalenia i urządzenia państwa. Jakoż głowszczyzna już nie różniła ich w Wielkiej Polsce. Wszystka szlachta posiadała ziemię wolną, od nikogo nie zależącą. Niestosownie było i nie należało szlachcicowi z posiadłością swą zaciągać się w osobistą uległość, zależność: dlatego prawo nagania szlachcicowi nabycie sołtystwa od panów zależnego. Dla wysokiej szlachty, *nobiles,* niedosyć było odróżniać się łańcuchem, jęli się herbów swych, które blazonowali na sposób niemiecki. Każdy stroił, brał, lub mieniał swój klejnot, na pieczątkach, chorągwiach i budowach i w aktach z nim występował. Nowy przepis zastrzegał tylko, aby synowie za życia ojca klejnotu swego nie zmieniali, i żeby zarzut szlachectwa odpierano przez genealogie czyli rodowe wywody. Nieco później, gdy się heraldyczne blazonowanie dostatecznie w rodzinach zagościło, prawo w odpieraniu zarzutu szlachectwa, wywołuje świadków tegoż herbu. Nadchodzi nareszcie pora, w której rycerstwo, szlachta, urządza się w stan, przybiera znamię ciała politycznego, wyobrażającego naród. W całym biegącym okresie, wielcy i więksi panowie dali czuć przewagę swą przez wyosabnianie się i wyłączanie uprzywilejowaniem; w okresie następnym prawodawstwo, szlacheckiego ludu tłómacz, działa dla stanu szlacheckiego.

§. 34. *Sołtystwa.*

Wójtostwa i sołtystwa, *advocatiae et scultetiae,* których w owej dobie wielka była liczba, a których posiadanie niestosowne wydawało się dla niepodległości szlacheckiej, były cząstki ziemi po kilka lub kilkanaście, a czasem i znacznie więcej włok rozciągłe, prawem teutońskiem niemieckiem obdarzone, sprzedane lub nadane na wieczne czasy, dziedzicznie, pod obowiązkiem czynszu lub jakiej usługi. Posiadacz sołtys powinien też był, tak względem gminy jak dziedzica włości, do której sołtystwo należało, pełnić obowiązki sędziego i policyi. Jego zależność od dziedzica, co imienną zachowywał własność, tak była słabą, że mógł swe sołtystwo dzierżawić, zastawić, sprzedać w części lub całkiem, nie zawiadamiając dziedzica. Nie brakło też pod owe czasy i innych małych posiadaczy ziem, ludzi powołania ze względem widzianych. Takimi naprzykład byli młynarze, których niepodległy byt osłaniały przepisy prawa; bartnicy, co mieli swój statut i sądownictwo.

§. 35. *Dwojaka kmieci posiadłość, dziedziczna i wola* [1]).

Położenie kmieci było daleko więcej zwikłane. W czternastym wieku prawodawstwo, uznając wolność i własność kmiecą, zajmowało się więcej opisaniem onych posiadania przez kmieci, aniżeli zabezpieczeniem od jakiego gwałtu lub zniszczenia. W tych przepisach, można rozpoznać dwojaki rodzaj posiadania ziemi przez kmieci, co miało miejsce z najdawniejszych wieków przez cały okres możnowładczy (1139—1374). Posiadali oni ziemie w dobrach książęcych czyli monarszych, w dobrach panów świeckich i duchownych, czyli włościach partykularnych, zawsze pod pewnymi warunkami, a takowe wynikają z dwojakiego rodzaju posiadania, albo wieczyście i dziedzicznie, co było własnością jakby z wieczystej dzierżawy wynikającą *(sortes);* albo czasowie, co z mowy czyli dzierżawy czasowej pochodziło.

Kmieć posiadał włókę albo łan *(mansus),* a częściej półwłók czyli pół łana, ilość dostateczną ziemi do wyżywienia rodziny, cząstkę niepodzielną. Było niemało, co posiadali więcej; ale więcej było takich, co posiadali mniej, cząstki mniej-

---

[1]) Podział posiadłości kmiecych na dziedziczne i dzierżawne (wola) nie zgadza się z obecnym stanem nauki.

sze a zawsze obciążone obowiązkami, stosownymi do wielkości cząstek, *sortes,* zawsze niepodzielnych. Była to własność dziedziczna z dawnych wieków, osadzona na prawie polskiem. Własność ta dziedziczna nie była narażona na żadną ujmę, wolna od wszelkich zobowiązań się, jakie na siebie pan przyjmował; nie odpowiadała ani za jego długi, ani poręczenia, ani za sztrofy lub sądowe ciąże, za nic: albowiem pan odpowiadał sam, jedynie ze swej własności, którą bezpośrednio na siebie zawiadywał. Pan nic nie miał do ziemi przez kmieci dziedziczonej; mógł się upominać o obowiązki, przez onej dziedziczenie zaciągnione, ale nie mógł kmieci wyzuwać z tego, co posiadali dziedzictwem. Prawo nie chcące więcej przypuszczać puścizny, wyraźnie zabroniło panom grabienia pośmiertnego nieruchomości lub ruchomości, jak czyjej bądź tak i kmiecej, czego się panowie dopuszczali w razie, kiedy kmieć bezpotomnie schodził; prawo wyraźnie w razie takim zapewnia dziedziczenie najbliższym pobocznym, równie jak to było prawem ziemskiem zapewnione.

Ponieważ takowa własność dziedziczna była niepodzielna, stąd wynikało, że jeden tylko z dziedziczących mógł ją posiadać: syn, zięć, synowiec, siostrzeniec. Ruchomość dzieliła się między innych, którzy szli sobie, gdzie się im zdawało najlepiej, i nic ich wstrzymać nie mogło, tam zasiedlić się, gdzie im było dogodno, w mieście z powodu rzemiosła, albo w innych włościach; albo nabyć jaką własność żadnym obowiązkiem nie obciążoną.

Niechaj nikt nie mniema, żeby przez takowy podział ruchomości, a oddział niepodzielnej nieruchomości jeden z rodu kmiecego miał być do ziemi przywiązany. Oprócz prawem zastrzeżonych przypadków, w których mógł porzucić ziemię i włość, było mu wolno, gdy w tem korzyść dostrzegał, przenosić się, gdzie mu się podobało, swą cząstkę takiem prawem opuścić, jakiem ją posiadł, byle aż do terminu onej trzymania dopełnił zaciągnione obowiązki, jakie wieczysta dzierżawa przepisywała. Opuszczona jego cząstka zostawała rozporządzeniu gminy lub pańskiemu dla pierwszego kmiecia, co jej zażądał.

Drugi rodzaj posiadłości kmieci, albo ludzi w stan rolniczy czyli kmiecy wchodzących *(adscripti, subditi)*, była dzierżawa czasowa, na pewne lata, od kilku do trzydziestu rozcią-

gana. Ten rodzaj posiadania zwał się wola, *libertas*, ponieważ wola pańska powierzała ziemię, która albo wolną ugodą była brana, albo nadawała wolność osadzonym docześnie, *coloni*, jeńcom wojennym, ludziom niewolnym, *adscripticii*. Powinni oni służyć, albo czynsz opłacać przez lata ugody, jeśli byli wolni, a przez lata nadania posiadłości dla wyzwolenia się z podległości, poczem ci ostatni byli wolni rozrządzać swą osobą, a pan swoją wolą czyli ziemią. Ugoda albo ponawiana i przeciągana była, albo też wola z rąk do rąk przechodziła.

Główna różnica między wolą a dziedzictwem kmiecem zasadzała się na tem, że wola była własność, zamieniona w doczesne dzierżenie *(beneficium)*, w wolnej dyspozycyi pana zostająca: mógł ją zniszczyć, przemienić stosownie do swego osobistego pożytku; obowiązki umówione, jakie z niej ciągnął, były bezpośrednio dla niego, dla jego osoby. Dziedzictwo kmiece wcale nie było na woli pańskiej, aby niem mógł tak dysponować i rozporządzać, jak wolą: była to cząstka włości, służba z niej dla włości; skoro osierociała, bez dziedzica, pan winien był ją oddawać w dziedzictwo innemu kmieciowi: nad tem gmina czuwać obowiązaną była. Mógł pan wolę, lub jakąkolwiek część własnej swej ziemi, włości, która była jego posiadaną własnością, zamienić wedle prawa polskiego na dziedzictwo kmiece, ale raz nadawszy dziedzictwem, już tego dziedzictwa niszczyć lub sobie przywłaszczać nie mógł, bo nie miał woli na dziedzictwie kmiecem: dlatego też duchowieństwo, dziesięcinę z dziedzictwa kmiecego, chociażby ją szlachcic posiadał, nazywało niewolną, *illibera*, jako pobieraną z ziemi, nad którą pan nie miał swej woli — dziesięcinę, która nie była ni z włości ni z woli [1]).

§. 40. *Polska wcale nie feudalna.*

Kończąc me spostrzeżenia nad dziejami polskiemi drugiego okresu, zatrzymuję się nad mniemaniem, usiłującem Polskę za twór feudalny poczytywać, a grubym błędem wiązać ją z systematem zachodnim, z czego wywiązują się inne urojenia, chmurzące czyste własnej rzeczy rozpoznawanie.

---

[1]) Dziesięcina niewolna *(illibera)*, bo chłopi musieli ją dawać temu, komu biskup dawać kazał.

Wielu pisarzy zwróciło baczność na nadużycia, jakie w badaniach dziejarskich z feudalizmem czyniono, a przezeń potwornie zdarzenia i dzieje wystawiano. Hallam, pisarz głęboki, dostrzega słusznie, że Francya i Wielka Brytania jedynie, oraz niektóre normandzkie osady feudalnie się urządziły; wszędzie zaś indziej feudalizm wywarł tylko swe słabsze lub silniejsze wpływy. Uczuły takowe ościenne mianowicie kraje: a jeśli trzeba wskazać kraj wbrew feudalnym zasadom przeciwny, takim bez wątpienia jest Polska. Przezorne oko umiało sprzeczny w niej żywioł dostrzedz, czy odgadnąć.

Pisarze francuscy, rozpatrując się w urządzeniach Polski, niemniej tej prawdy dostrzegli. Jan Jakób Rousseau z rozradowanem sercem patrzał na Polskę, ukazującą mu naród, ze wszystkich narodów jedyny, co się zbliżał najwięcej do ducha starożytnych Greków i Rzymian. Mably mówi swym Francuzom: Polacy wcale nie znali naszych praw albo zwyczajów feudalnych; ich rzeczpospolita jest stowarzyszeniem posiadaczy ziemskich; a wspólny interes zawsze był ich węzłem. Rulhiere też widzi, że nie feudalny rząd w Polsce, ale rząd dawniejszy, Franków, Greków i owych ludów, co z kniei północnych wychodziły, co feudalność wyprzedził.

Ale powaga i wziętość tylu znamienitych i pełnych zalet pisarzy, nie zdołała jeszcze powściągnąć niebacznego tłumu, co w odmętnem pojęciu swem błąd otrębuje. Wspomnieni pisarze francuscy mówili o Polsce współczesnej, obecnej; Hallam mówił o Polsce średnich wieków. Spodziewam się, że rozpatrywania nasze poprzednie zbiegają się z jego widzeniem; a następne nie będą w niezgodzie z temi, co inni wyrzekli.

§. 41. *Warunki feudalności są obce dla Polski.*

Znamiona i warunki feudalności są: 1. Zależność i osobista służebność wszystkich powszechna, od najlichszego niewolnika aż do panującego stopniowanie urządzona. Wolnego tam nie ma: wolny jest lichy człek wyrzucony z takiego grona. Wassali bezpośredni pierwszego rzędu, i drugiego rzędu, baroni i dalsi „arrières vasseau“, banarety, są ludzie *liges*, zawiązani, wassale i służebni, panom owym wzajemnie obowiązani służbę tak jak bezpośredni koronni wassale panującemu. Stopniowanie takie plącze się wzajemnemi osobistemi służe-

bnictwa zobowiązaniami, tworzy bez ładu tkaninę, w której sam panujący stawa się wassalstwem podległy.

2. Żadnej własności lub posiadłości bezwarunkowej, każdy dzierży ziemię cudzą, panujący jest jej imiennym właścicielem. Każdy daje i otrzymuje inwestyturę na dzierżenie, odbiera lub składa homagium. Ziemia czyli feudum opłaca służbę, jaką osobiście winien z lenności inwestyturą obdarzony. W takiej towarzyskości niema urzędników, coby się na wassalów przeistaczali.

Nic podobnego nie da się zastosować do tego, cośmy w dwu upłynionych dziejów polskich peryodach dostrzegli. Wolność osobista i niepodległość każdego jest posadą towarzyskości, które jeńcom nawet wojennym rychłe zaręcza wyzwolenie. Miała Polska ziemie czyli role, które z pewnego względu coś feudalnego wyobrażają; to jest dziedziny kmiece, ziemie, z drugiej ręki posiadane i obowiązane. Takie atoli ziemi posiadanie nie ciągnęło żadnego wassalstwa, posiadacze kmiecie byli wolni, dzierżyli jedynie wieczyście, nie osobiście panu, ale z dzierżawy włości się wypłacali. Powoła się kto na zależność kmieci od panów, gdy ci za nich sądowo otrzymują sztrofy; ależ ta opłata jest za opiekę, protekcyę, patronat, a nie wassalska służba. Każdy szlachcic mógł opiekować się każdym kmieciem, dać mu schronienie, porękę i pomoc jak człowiekowi wolnemu.

W powszechności w Polsce posiadanie ziemi jest bezwarunkowe, nie ma ani inwestytur ani homagiów. Zdarza się, że dawca ziemi zastrzega sobie jakie korzyści, te atoli nie dają mu prawa ani do osoby, w której ręce ziemia weszła, ani do danej odstąpionej ziemi. Zobowiązania się osobiste są wreszcie tak rzadkie, że są wyjątkami obcej myśli, wypadkiem naśladownictwa albo siedlenia pojedynczego Niemców. Jeden z urzędników Światopełk dorywa się władzy, rządzi sam, bez inwestytury, bez składania homagium. Każdy obowiązany jest służbę krajowi jedynie. Pojęcie narodowe obywatelskie w państwie góruje i narządza nieład osobistością zrządzony i żywiony.

W reszcie pojęć feudalnych nie dostrzeże; mowa nie ma na nie wyrazów obmyślonych lub zdolnych je oddać; cudzoziemskie przyswaja i powtarza, kiedy wymienia: *allodium, feudum, lehen, lehn, homagium, investitura;* a kiedy takowe podniesie, zwykle fałszywie, potwornie, zastosowywa dziwacz-

nie, do innej natury rzeczy; a napotykając one mocno się trzeba zastanawiać, aby wyrozumieć, co znaczą, aby powieści narodowej nie dać krzywego kierunku.

§. 42. *Systemy allodyalny i feudalny.*

Montesquien rozważał tworzenie się i początek feudalizmu, rozważał tedy wieki poprzednie systemu allodyalnego, z którego feudalny wyrodził się. Wieluż jest przecie czytelników, co nie bacząc na to, wpadają w odmętne pojęcia, mniemając wszędzie feudalizm dostrzegać, feudaląc w swem urojeniu cały stan socyalny od Faramunda do Ludwika XVI. Przezorni pisarze niemieccy pilnie rozróżniają dwa te systema i najmniejsze w nich odcienie. Badacze wieków średnich, mnodzy pisarze dziejów elementarnych, wykładów skracanych dla szkół i nauki, krótszych lub rozciąglejszych rozróżnienie wskazują. Wolność jest zasadą allodyalnego systemu, mówi Rottek, a służebność systemu feudalnego. Tamten wywodzi wszystkie prawa i obowiązki z pojęcia jedności narodowej: są to prawa i obowiązki obywatelskie. Ten drugi feudalny wyprowadza z osobistego splątania się, z którego wynikają umówione wymagania i obowiązki. W pierwszym naród i władze jego powołają do wierności, posłuszeństwa i danin; w drugim jedynie poddaność osobista. System allodyalny jest tedy zacniejszy, opiera się na idei, uznaje i utrzymuje godność człowieka i obywatela; system feudalny przeciwnie w swem uwidzeniu, z nienawiścią tej godności, przekłada zysk nad wolność osobistą, chyli się do nieładu i niewoli.

Do tych postrzeżeń dodać należy, że system feudalny był wynikiem nieładu i poddaństwa, które rosły pod panowaniem Franków i system allodyalny podważały; a system feudalny podniósłszy głowę, wyciągnął daleko ramiona swe i dał uczuć wpływy bytu swego. Zasiedziały w dojrzałej zupełności we Francyi, w Anglii, w Szkocyi, w Neapolu, wtargnął do półwyspu pyrenejskiego z niemałem łotrostwem; w górnych Włoszech rozbił się i skruszył o miejskie wolności, siejąc jednak i płodząc wielce szkodliwe latorośle.

Niemcy w środku Europy tworzą stugłowne imperyum: odetniesz jedną, wyrasta na jej karku kilka innych młodzieńczych. Feudalizm zapuszcza głęboko swe korzenie, rozrasta się, a mnogie swe ramiona i gałęzie plącze w różnorodną ro-

ślinność miejscową. Rozrosły, głuszy i wytępia różnorodną inną, wtedy nawet, gdy samego pochyliła niemoc starości. W wielkiej rozciągłości tam słowiańskie swobody upadły, pognębione w łomach i gruzach imperyum.

Wdzieranie się i działanie feudalizmu im dalej pomykało się na wschód, tem więcej słabiało. Dania, Norwegia, Szwecya w stronie północnej; Czechy, Polska, Węgry w stronie południowej, w czasach późniejszych niejednostajnym tknięte przezeń sposobem, mniej więcej szkodliwych dla swego żywiołu doznały następstw. Krajów tych żywioł sprzecznym był feudalizmowi i zasadom zachodu, dolegliwie tedy znosił nawiedziny obce. Ruskie ziemie jeszcze inny roztaczają widok: handlowne miasta, kniazie i wieśniacza nieprzezorna prostota tłukły się pod kierunkiem pojęć biblijnych i byzanckich [1]).

Maurycy Mochnacki.

Syn Bazylego i Maryi z Pągowskich, urodził się w Bojańcu w Galicyi (obw. żółkiewski) w roku 1803. Ojciec, biegły prawnik, sam uczył syna, który do szkół nigdy nie chodził. W r. 1818 rodzice przenieśli się do Warszawy, gdzie młody Mochnacki (r. 1820) poszedł na uniwersytet. Wcześnie zaczął pisać i w różnych pismach warszawskich drukował swoje rozprawy literackie i krytyczne. Należał do tych, co przygotowywali wybuch 29 listopada, a następnie przez mowy na różnych zebraniach i przez dziennik, jaki wydawał, wywierał na ówczesne wypadki wpływ znaczny, ale niekorzystny, bo zwiększający tylko nieufność w umysłach, a niepewność i zamęt w działaniu. Pod Ostrołęką był ciężko ranny. Na emigracyi był duszą i głową tego stronnictwa, które chciało zapomocą nowych tajnych związków wywołać nowy ruch zbrojny. Pisał wiele artykułów treści politycznej i Historyę powstania, której wszakże nie skończył. Zdrowie zaczęło się psuć, a od śmierci ukochanego brata i towarzysza wygnania pogorszyło się zupełnie. Umarł Mochnacki w Auxerre 20 grudnia 1835.

W życiu i w pismach był on doskonałym wyobrazicielem tej opinii, która podówczas była prawie powszechną i tworzyła wypadki. Tajne sprzysiężenie miał za najlepszy sposób oswobodzenia ojczyzny, zatem za obowiązek; hasło powstania brał za jego rzeczywistość i za jego skutek; początek działania brał za zakład i rękojmię zwycię-

---

[1]) Z powyższemi uwagami porównaj Zakrzewskiego Historyi powszechnej, tomu II., str. 38 i nast.

stwa; tak zwane rewolucyjne środki czyli terrorystyczną anarchię za dowód i akt siły. Po upadku powstania, na emigracyi układał ciągle plany poruszenia całych mas ludu, w złudzeniu, że to da się zrobić i że wojska regularne przeciw takiemu pospolitemu ruszeniu będą bezsilne. Patryotyzm jego był wielki, a talent w jednym zakresie (dziennikarskim) także; ale znajomość i rozumienie spraw politycznych były jednostronne i powierzchowne. Sam brał łatwowiernie zamiar za skutek, pozór za rzeczywistość, słowo za czyn: a przez wielką wziętość u współczesnych, powagę pism u późniejszych, przyczyniał się do tego niedoświadczenia i niewyrobienia politycznego, do tej nieznajomości rzeczywistych warunków powodzenia, która cechowała nasze późniejsze działania, a cechuje dotąd niektóre nasze pojęcia. W ostatnich latach życia zmienił się znacznie. Stosunki na emigracyi, oskarżenia, kłamstwa, potwarze, oburzały go tak, że oddalał się coraz więcej od tych, którzy je drukowali i szerzyli.

Jako pisarz miał styl świetny, miał namiętność i zapał, wielką łatwość pisania i ten dar żywego, wymownego, efektownego przedstawienia rzeczy, które sprawiały, że to, co napisał, mogło, a raczej musiało robić wrażenie. Ale ten rodzaj talentu nie wystarczał już do dzieł większych rozmiarów i głębszej treści; jego Historya powstania — niedokończona, doprowadzona do pierwszych dni tylko — jest długą polemiczną broszurą, obfitującą w świetne ustępy, ale nie jest historyą.

Przed rokiem 1830 Mochnacki, zajmujący się z zapałem estetyką i literaturą, pisywał wiele rozpraw tej treści i był między młodymi romantycznymi krytykami tych lat zapewne najzdolniejszym. Wykształcenie miał znaczne, choć dorywcze i bezładne, instynkt trafny, sąd i smak najczęściej pewny i dobry, a sposób pisania żywy. Zalety te wszakże były cokolwiek zepsute nadużyciem filozoficznych wywodów i definicyi. Cała połowa Literatury XIX wieku jest takiem dociekaniem filozoficznem i szukaniem definicyi, dość marnem, bo definicye niewiele określają i tłómaczą — dość zawiłem i niezrozumiałem, a do tego mało oryginalnem, bo wszystkie te wywody wzięte są z Schellinga, a nie przetrawione należycie. Kiedy przychodzi do przedmiotów praktycznych, do rozbioru i osądzenia pewnych danych dzieł, wtedy biorą górę jego wrodzone przymioty i wydają rozbiory, zbyt surowe może (zwłaszcza Grażyny i Wallenroda), ale ogółem wziąwszy, trafne i piękne. On ma tę zasługę i chwałę, że pierwszy poznał się na pięknościach Maryi Malczewskiego i dał je poznać.

— — — —

O LITERATURZE POLSKIEJ W WIEKU XIX.

O Maryi Malczewskiego.

(W skróceniu).

Poświęćmy kilka słów cieniom poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółziemianom. Urońmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych.

Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, który nam kreśli. Ofiara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna Maryi Malczewskiego. Nie we wszystkich ręku znajduje się ten poemat. Nie rozkupiono małej liczby odbitych egzemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. Marya Malczewskiego jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy i twardego, jak się niektórym zdaje, wysłowienia — jakie ja przynajmniej za zaletę poczytuję. — „Gdybyśmy tylko mieli Maryę i Grażynę“ rzekł Michał Grabowski w dzienniku Ordyńca, mielibyśmy już oryginalną literaturę“. — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! I jak właściwem godłem z Jana Kochanowskiego zagaił początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie,
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. — Nie tak czyn krwawy, jako przyrządzenia mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swej roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, manowce sieją postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przeczucie całą moc swoją

odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się uprzedzające skutek jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona fantazyi. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierzoną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnieniem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina Szekspira! Rodzicielka wielkich, tragicznych wrażeń! W tym mroku imaginacyi, za tą mglistą zasłoną fantazyi pojął Malczewski rzecz swego poematu. — Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko, co czułem, co mi się zdawało przy częstem odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary Wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy. — Była noc; nie spał, chodził w jej ciemnotach. Duszna wysoka komnata! Łatwo zgadnąć, dlaczego? — Otwiera okno, patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały.

Świt różanej jutrzenki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnej myśli. „Nie mógł na widoku zostać!“ Któż inny, jeśli nie poeta z użyczenia i daru nieba, mógł pochwycić to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wiedzie z światłem dziennem? Te szczególne rysy charakteryzują to, co zowiemy mądrością artysty. — Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda postanowił korzystać z tej okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża Maryi? Jak jej ojca oddalić z domu? Wysyła gońca z listem do Miecznika. Uprzejmemi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synowę zaprasza do domu. Więcej jeszcze: — „Takiego szczęścia“ — pisze Wojewoda — „syn mój nie wart; niechaj w wojennej potrzebie dobija się pierwej chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swej żony“. — Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych cukrowych wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy — miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak, uniósłszy się rycerskim zapałem, zostawi Maryę w domu — samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takiem pismem wyprawiwszy Kozaka,

tuli syna, z którym dotąd zostawał w rozdziale niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie i pieści się z nim, jakby dla powetowania niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrotą najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamyśle nieludzkiego okrucieństwa, depcącym wszystkie prawa i wszystkie zrywającym związki. Ja w tem prowadzeniu rzeczy, w tem wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, umnictwo Malczewskiego.

Odtąd Wojewoda na zawsze znika ze sceny poematu.

Cóż Miecznik? Pod rozsochatemi lipami domowej zagrody koił tymczasem, jak mógł, urazę we własnem sercu. Jego wejrzenie pochmurne; to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, pełen niechęci, gniewu — a może i wzgardy! Przewodzenie dumnego pana, niedola, miłość córki, jej wiek młody, bladość na jej licu, uczucie własnej godności, wszystko to boleśnie go dręczy. „Wolałby dźwigać więzy u brodacza Turka, wolałby umrzeć w ciemnej turmie, niżeli spokojnie patrzeć na te smutne śluby“.

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia! Malczewski podniósł do ideału historyczną postać, idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica — żupan, kontusz, toż broń jego — kord, karabelę do poetyckiej wzniósł godności i w poetyckiem pokazał świetle. Nie Podstoli Krasickiego, jak mniemano, ale Miecznik Malczewskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszej, która starego polskiego szlachcica wyobraża. Podstoli sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale Miecznik to rycerz-ziemianin! Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega w dali kształt historyczny — niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się w niwecz obrócić pięknej pamiątce! Za sprawą jego, co przepadło w historyi, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezya drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą!

Przybycie Kozaka z listem Wojewody smutek Maryi odmieniło w niespodzianą radość. Miecznik czyta i wydziwić się

temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia — ale ten promień dobroci Bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że Wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady i nie znał jej krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył ze zbrojnym hufcem po przybyciu wspomnianego Kozaka. Co żywo krząta się: bierze zbroję, rozdaje oręż ludziom, poleca Maryi, żeby suto zastawiła stół na uczczenie gościa. A tak kilka przynętnych wyrazów chytrości, jeden uśmiech na twarzy Maryi, obecność Wacława — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnej prawdzie? Nie szczeryż to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnymi harcami z łupieskiem pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacyi? Oni zapalczywość jako charta zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała wspólna potrzeba, gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona duma arystokracyi, zdrożne możnowładztwo z staroświecką cnotą i uczciwą godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i charakter światowy dziejów polskich, po wszystkie czasy daleko słynny wedle tego, żeśmy stawili dzielny odpór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała...

Nie zatrzymywałbym tak długo uwagi czytelnika nad Maryą Malczewskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilku laty wspomniane dzieło w tak omylnem świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zasłudze, żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego, razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. Malczewski był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadzi. Rzuca rys za rysem, kształci, ma-

łuje; porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przeźroczystą siatką, która się w poezyi nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już, w jakiem świetle pojął i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczorowi dzikiej, ponurej, melancholijnej fantazyi. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy też obiedwie pieśni wyrazami:

»I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie«.
»I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie«.

Zwycięski Wacław wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojowisku, żeby, jak mówił: dojrzeć objażdżki. Powrót Wacława jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej, czarującej powieści.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad Tatarami, to uściśnienie starego Miecznika, to dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trumnę i pogrzeb zastanie — ileż w tem wszystkiem smutku! Co tu żałości — a najbardziej ile efektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!!

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu Maryi. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakołatał; nikt mu nie otwiera, nic nie przerywa głębokiej cichości. „Musi być bardzo późno“ — pomyślił Wacław. Przy świetle księżyca błąka się około domu. Naostatek postrzega ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte okno widzi lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy, skacze przez to okno i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży.

Taka jest powieść Malczewskiego o wyniosłym Wojewodzie, o pięknej Maryi i o zacnym starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównaćby ją można z sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem ten poemat na czele nowszych dzieł ojczystej poezyi, nie iżby w mniemaniu mojem przodek przed niemi trzymał — bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrzny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość i cenić bez naciągania; ale szczególnie z tej przyczyny, że to jest

twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mógłżem właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że nie masz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść Malczewskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej ekspozycyi.

Nieliczny był poczet osób, składających żałobny orszak na pogrzebie Malczewskiego. Nie mówiono wtenczas: „Umarł wielki poeta". Przyjaciele żałowali tylko przyjaciela — geniusz przemknął się nieznany, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień ze skromnym napisem: »*Autorowi Maryi*«.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Urodzona w Warszawie 23. listopada 1793. W roku 1805 straciła ojca. Matka miała stosunki, znajomości i przyjaźni z wielu znakomitymi ludźmi owego czasu, więc w tem otoczeniu chowała i córkę. Młoda panienka czytywała z wielkim zapałem, a z pomiędzy znajomych matki szczególnie lubiła pisarzy, przedewszystkiem Woronicza. Zajęta domem matki i wychowaniem młodszego rodzeństwa, czytała jak mogła najwięcej, ale pisać i czasu i odwagi nie miała. Raz przecie z siostrą wpadła na pomysł, że byłaby rzecz pożyteczna ułożyć słownik wyrazów blizkoznacznych (Synonimów) polskich: Synonimy ukazały się w druku w Pamiętniku Warszawskim, co dodało młodej autorce zachęty i odwagi do pisania. Wpadła jej w rękę książka, która i chęć do pisania żywo pobudziła i ustaliła jej powołanie. Była to niemiecka książka Glatza o wychowaniu dziewcząt, pod tytułem Rosaliens Vermächtnis. Panna Tańska uznała ją za tak rozumną i dobrą, że postanowiła zastosować ją dla Polek; i przerobiwszy dość znacznie, na jej podstawie napisała swoją Pamiątkę po dobrej matce. Pamiątka zwróciła uwagę powszechną na młodą autorkę i dała ją poznać jako osobę szczególnie usposobioną do wychowania młodzieży i do pisania dzieł tej treści. Powodzenie Pamiątki dało jej pochop do napisania drugiego dzieła, poniekąd dalszego ciągu tamtego, którem jest: Amelia matką, przeznaczona nato, by w młodych umysłach utwierdzać znajomość, należyte rozumienie i miłość wiary.

Z dziełami dla wychowujących ukazywały się równocześnie książeczki dla małych dzieci (Wiązanie Helenki), a wreszcie w roku 1824 zaczęło wychodzić pismo peryodyczne, w którem i dzieci

i młodzież dorastająca mogły znaleźć upodobanie i pożytek, Rozrywki dla dzieci. Te są w swoim rodzaju doskonałością. Dobór i rozmaitość treści, stosowność jej dla młodych czytelników, obfitość i właściwy zakres podawanych wiadomości i nauk (z historyi, geografii i literatury polskiej, z życia znakomitych ludzi, wyjątki ze znakomitych pisarzy, opisy podróży), praktyczne rady w najrozmaitszych kierunkach, duch prawdziwie chrześcijański i polski, a przytem rzadki rozsądek i szczególny takt w działaniu na młode umysły — oto są zalety tego pisma, które wychodziło do roku 1828. Ozdobami jego (i może najładniejszemi rzeczami, jakie panna Tańska napisała) są Listy Elżbietki Rzeczyckiej, Dziennik Franciszki Krasińskiej, bardzo ładne i ciekawe obrazki obyczajowego życia polskiego w wieku XVIII, Listy o wychowaniu, Podróże po kraju etc.

Dwie wspomniane wyżej książki i Rozrywki nadały pannie Tańskiej stanowisko i powagę w kraju, zjednały jej przyjaźń niektórych pisarzy, nadewszystko Brodzińskiego, który ją radami swemi wspierał i namawiał już wtedy do pisania książki o Janie Kochanowskim.

W roku 1827 minister oświecenia Stanisław Grabowski mianował ją inspektorką szkół i pensyi żeńskich w Warszawie. W roku 1829 wyszła za Karola Hofmana, późniejszego autora Historyi reform politycznych w Polsce. Po ślubie została na swojej posadzie inspektorki aż do roku 1831. Podczas wojny pielęgnowała rannych w lazaretach. W chwili wzięcia Warszawy mąż był za granicą z jakiemś poleceniem od rządu, wracać nie mógł; ona wyjechała za nim.

Na emigracyi (w Paryżu) zajmowała się i pracowała zawsze wiele, ale właściwe jej powołanie było skończone. Nie mogąc trudnić się wychowaniem, pisała może więcej niż przedtem. Dwie wydała powieści obyczajowe, Karolinę i Krystynę; potem Jana Kochanowskiego, raczej obrazek poety, jego rodziny i życia, niż powieść — nie bez wartości; oprócz tego Książkę do nabożeństwa dla Polek, opisy odbywanych podróży, pamiętniki własne itd.

W pracach tych stawało jej na przeszkodzie zdrowie, które się zaczęło psuć. Choroba długa i bolesna ciągnęła się przez kilka lat. Śmierć nastąpiła 21. września 1845 r. w Passy pod Paryżem.

Pomiędzy jej zasługami jedną z największych jest ta, że jedna z pierwszych dziełami i przykładem wystąpiła przeciw wychowaniu, opartemu na francuskim języku i francuskich książkach, a zwracała je do pierwiastków i dzieł polskich. Wdziękiem i zaletą pani Hofmanowej jest wielka szlachetność uczucia, przy wielkim rozsądku i naturze bardzo zdrowej i prostej. Mało jest w literaturze powszechnej kobiet piszących, któreby były jak ona przywiązane do swego zawodu, a tak wolne od wszelkiej próżności, zarozumiałości, pretensyi; mało kobiet, któreby łączyły życie czynne, zawód pisarski, tak z doskonałem i trafnem pojęciem stanowiska kobiety i zakresu jej możności. Bardzo żywa i gorąca w swoich uczuciach, nie ma

ani przesadnej tkliwości, ani romantycznej chorobliwości i melancholii, ani sztucznej egzaltacyi; jest we wszystkiem i na wskróś rzetelna i prosta. Jej talent pisarski nie jest wyjątkowy ani nawet wielki, ale w swoim rodzaju jest niepospolity; i we wszystkiem, co u nas pisano dla dzieci lub dla dorastających, niema nic dotąd lepszego jak jej Rozrywki. Zdolnością pisarską nie trudno może ją przewyższyć, ale nie łatwo jej dorównać praktyczną wartością dzieł, moralną wartością charakteru i zasługą całego życia. Niema też dotąd w Polsce autorki, której imię byłoby tak powszechnie szanowane, tak popularne i sympatyczne, jak imię pani Hofmanowej, która prócz tego między nielicznymi naszymi prozaikami w latach od 1820 do 1830 należy z pewnością do celniejszych.

Z Dziennika Franciszki Krasińskiej,

pisanego w ostatnich latach panowania Augusta III-go.

Dnia 1. stycznia 1758 r. w maleszowskim zamku, w poniedziałek.

Tydzień temu, w same święta Bożego Narodzenia, Jmć dobrodziej ojciec mój kazał przynieść sobie ogromną księgę, w którą już od lat kilkunastu, obyczajem wszystkich niemal panów polskich, wpisuje własną ręką rozmaite publiczne i prywatne pisma; są w niej mowy, manifesta, uniwersały, listy, paszkwile, wiersze, wszystko porządkiem dat ułożone; pokazywał nam ów zbiór szacowny, czytał niektóre kawałki. Bardzo mi się podobała ta myśl zapisywania ciekawych zdarzeń i okoliczności; a ponieważ już od lat kilku i po francusku i po polsku dosyć gładko pisać umiem i niezmiernie pisać lubię; ponieważ i we Francyi wiele białych głów podobne rzeczy pisze: przyszło mi na myśl, czybym i ja też czegoś takiego według możności mojej rozpocząć nie mogła? Uszyłam sobie zatem duży sekstern; umieszczę w nim jaknajdokładniej, cokolwiek się mnie i mojej rodziny tyczy; wspomnę, jak potrafię, o rzeczach publicznych. Jmć dobrodziej, jako mężczyzna i człowiek stateczny, niemi wyłącznie swoją księgę zajmuje: on ją układa dla wszystkich, sposobem poważnym; ja, jako panna nieuczona i młoda, moją ramotę jedynie dla własnej zabawy pisać będę, ale szczerze i bez pretensyi: będzie to prawdziwy dziennik, bo go prawie codzień pisać zamyślam. Dziś właśnie Nowy Rok i poniedziałek, wyborna pora do zaczęcia porządnie

jakowej rzeczy; już tydzień, jak ją w umyśle układam, trzeba raz z nią wystąpić. Zaczynam więc; mam czas wolny, nabożeństwo odbyte rano, pacierze pozostałe odmówię na nieszporach; jużem ubrana i ufryzowana. Właśnie dziesiąta bije na zamkowym zegarze, dwie godziny mam jeszcze do obiadu; napiszę dziś, co tylko wiem o sobie, o rodzinie mojej, o domu naszym, o Rzeczypospolitej; a potem pisać będę kolejno, cokolwiek nam wszystkim ciekawego się przydarzy.

Urodziłam się w roku 1743, mam więc rok szesnasty; na chrzcie świętym dano mi imię Franciszki. Słyszałem już nieraz, żem gładka i dorodna; i nieraz, jak spojrzę w zwierciadło, mnie samej zdaje się, żem ładna. Idę nie tylko ze szlachetnej, ale z bardzo dawnej i zacnej familii Korwinów Krasińskich. To znakomite nazwisko nosząc, broń Boże! abym je kiedy splamić miała, owszem radabym uświetnić je jeszcze; i dlatego żałuję czasem, żem nie mężczyzną, gdyż snadniejby mi to przyszło. Jmć dobrodziej i Jmć dobrodziejka tak są przejęci zacnością domu Korwinów Krasińskich, tak często o tem i oni sami i dworscy i goście nawet mówią, tak naganną znajdują rzeczą o swoich antenatach dokładnie nie wiedzieć, że wszystkie mamy tą wiadomością głowy nabite. Ja genealogię Krasińskich i historyę każdego z nich tak umiem jak pacierz i łatwiejby mi było poczet przodków moich, niźli kolej królów polskich wymienić. Wreszcie pewną jestem, że niektóre szczegóły nigdzie nie są zapisane, tylko w pamięci naszej; lepiej im więc choć białogłowskiem piórem trwałość nadać. Może kiedy po mojej już śmierci kto ten dziennik znajdzie i wnuki nowe w nim dla siebie wyczytają rzeczy?...

Dziwna myśl... nie pomału mnie zajęła; któżby miał za lat kilkadziesiąt po śmierci mojej czytać ten dziennik? A czemuż nie? wieleżto listów, pamiętników we Francyi podobny los spotkał! O! trzeba pisać starannie i wyraźnie; szkoda tylko, żem w stylu nie tak wprawna, jak na przykład pani de Sevigné albo Motteville. Kto wie? możeby i mnie lepiej po francusku się udało? bo i pewnie... Ale nie; nie wypada, żeby Polka, żyjąc w Polsce, przestając z Polakami, nie po polsku dziennik swój pisała; wreszcie francuski język dziś jest w wielkiem używaniu pomiędzy panami; ale ta moda minąć może i zapewneby się kto w późniejszych czasach ze mnie zgorszył. Jeśli więc tego seksternu myszy nie zjedzą, lub też przy tylu

fryzurach kto na papiloty nie podrze; jeśli go kto kiedy znajdzie i przeczytać zechce: niech wybaczy nieumiejętności mojej w wielu rzeczach, niech pamięta, żem się nigdy pisać pamiętnika nie uczyła, że jeszcze lat szesnastu nie mam i że, co mnie dziś bardzo zajmuje i obchodzi, jemu w innych stosunkach i po tylu latach zapewne obojętnem się wyda... Ale co mnie się też zawsze po głowie uwija: jakieś dziwactwa na myśl mi przychodzą! Wystawiam sobie rzeczy, które nigdy nie będą; ja bardzo lubię tak bujać, a tu niema czasu na te urojenia, lepiej wrócić do rzeczy, do zaczętego rodziny mojej opisu.

(Następuje genealogia Krasińskich od czasów Bolesława Wstydliwego).

Aleksander, podkomorzy sandomierski, był rodzonym moim dziadem, bo syn jego Stanisław, starosta nowowiejski, praszyński, ujski jest Jmcią dobrodziejem, najukochańszym ojcem moim. Pojął za małżonkę Anielę Humiecką, sławnego wojewody podolskiego córkę, Jmć dobrodziejkę matkę moją. Ale ta linia Krasińskich na nim zgaśnie z wielkim żalem moim, bo nie mamy brata; zato jest nas sióstr cztery: Basia najstarsza, ja druga z kolei, Kasia i Marynia. Sługi i dworscy powtarzają mi często, że ja mam być najpiękniejsza, ale ja doprawdy że tego nie widzę; wszystkie jesteśmy ułożone, jako na panny wysokiej kondycyi, na starościanki przystało; wszystkie proste jak trzciny, zdrowe jak rybki, białe jak mleko, rumiane jak róże. Na pokojach, przy gościach umiemy dygać nizko i z gracyą, siedzieć spokojnie na samym brzeżku stołka, oczy spuścić w ziemię, usteczka ścisnąć, rączki ułożyć; mogłoby się wtedy zdawać komu, że żadna z nas trzech zliczyć nie umie i chodzić dla niej trudnością; ale niechby nas kto widział, kiedy w poranki letnie bez fryzur, bez trzewików na korkach, ale w rannej dezabitce i wygodnych patynkach pozwolą nam państwo iść do lasu, po górach się drapać; biegamy jak łanie, śpiewamy na umor, a biedna madame ledwie nóg i piersi nie straci, tak za nami dąży i woła. Ja i młodsze moje dwie siostry jeszcześmy mało z domu wyjeżdżały. Ponieważ dotąd nic prawie prócz Maleszowej nie widziałam, sądzić nie mogę, czy piękna czy nie; wiem tylko, że mi się bardzo podoba.

Niektórzy mówią, że nasz zamek o czterech piętrach, z czterema narożnikami, otoczony rowem pełnym wody, z mostem zwodzonym, w kraju skalistym i wśród lasów położony, jest nader smutny; ja tego bynajmniej nie doświadczam; mnie

tak na świecie wesoło, żebym chętnie cały dzień skacząc śpiewała. Słyszę państwo mówiących nieraz, że im niedosyć wygodnie; w samej rzeczy, są cztery piętra w naszym zamku, na każdem sala, sześć pokojów i cztery gabinety w narożnikach: jednak ponieważ nas jest bardzo wiele, nie możemy wszyscy i ze wszystkiem na jednem piętrze się mieścić: na innem jadamy, na innem się bawimy, a my panny aż na trzeciem mieszkamy. Państwo oboje już niemłodzi; przykro im tak codzień wchodzić i schodzić, ale mnie te schody niezmiernie bawią: często, jak się uchwycę poręczy, w mgnieniu oka jestem na dole, nie dotknąwszy nogą ziemi. Pomimo tego, że goście często w ciasnocie mieścić się muszą, bywa ich bardzo wiele i nie wiem, czybyśmy w wielkich gmachach lepiej bawić się mogli, czyby maleszowski zamek, choćby trzy razy był większy, mógł być świetniejszy. Tak w nim huczno, dworno i okazale, że go sąsiedzi małym Paryżem zowią; osobliwie, jak Bóg da zimę, to już kapitan dragonów naszych mostu przed wieczorem spuszczać nie każe, tyle się zjeżdża osób; kapela nadworna ma co do roboty, gra codzień, a my tańczymy do upadłego. I lato nie jest bez przyjemności: chodzimy, jeździmy, poobiedzia trawimy w naszej sieni, która jest wyborna; niezmiernie wysoka, bo przez wszystkie piętra zamku idzie, oświecona z góry: w największe upały tak w niej chłodno jak w piwnicy.

A i dworu naszego przepomnieć nie mogę; stosownie do majątku państwa, który jest bardzo znaczny, do mnóstwa osób, które prawie nieustannie w maleszowskim zamku goszczą, musi być liczny i okazały; jest też takim, i nie wiem, czyby wielu panów w Polsce przejść nas mogło w tej mierze.

Dwór nasz składa się z dworzan i z dworskich; dworzanie w większej są powadze. Jedni są respektowi, drudzy płatni, wszystko sama szlachta z szablą u boku. Niektórzy z nich byli wprawdzie przedtem czynszowymi czyli okoliczną szlachtą, lecz Jmć dobrodziej powiada: „szlachcic na zagrodzie równa się wojewodzie“; nikt im więc żadnego zarzutu nie czyni, uchodzą za szlachtę, na sejmikach mają głosy i dobrze ich mieć za sobą. Respektowych dworzan, których jest kilkunastu, taka cała funkcya: przyjść na pokoje, czekać przybycia Jmci dobrodzieja, prezentować mu się w przyzwoitym ubiorze, z miną do usług gotową, wykonać śpiesznie rozkaz jego, jeśli da jaki: jeśli nie, rozmawiać z nim, grać w karty, towarzyszyć mu

w czasie odwiedzin albo przejażdżki, bronić go w każdej potrzebie, głosować za nim na sejmikach, i jego i gości, kiedy są, bawić. Tej ostatniej powinności najlepiej dopełnia nasz Macieńko; szczególny to człowiek, a powiadają, że dawniej takich ludzi bardzo wiele bywało i nie mógł się żaden dwór obejść bez takowego: niby on jest głupi, niespełna rozumu, a tymczasem bardzo trafnie o wszystkiem sądzi i często bardzo dowcipnie się odezwie. Żaden z dworzan jego przywilejów nie ma; jemu zawsze wolno mówić, i to prawdę. Dwór cały zowie go błaznem, ale my zowiemy go Macieńkiem, bo mu Maciej na imię i na tamten przydomek bynajmniej nie zasługuje.

Do respektowych dworzan należy sześć panien dobrego urodzenia, które z nami mieszkają i pod naszej madame są okiem, i dwóch karłów. Jeden z nich ma lat 40, twarz starą, a wzrost czteroletniego dziecka, ubierają go po turecku; drugi ma lat 18, bardzo foremny i ładny, po kozacku chodzi: często dla zabawy Jmć dobrodziejka stawiać go każe na stole w czasie obiadu, a on tak się przechadza pomiędzy półmiskami i butelkami, jakby po ogrodzie. Dworzanie respektowi nie biorą żadnych zasług; prawie wszyscy są synami dosyć majętnej szlachty, oddani do naszego dworu dla nabrania ułożenia i dla promocyi do urzędów. Daje im się jednak obrok na parę koni i dwa złote na tydzień na masztalerza albo na pacholika, którego sobie utrzymywać powinni. Każdy ma swojego służkę, jeden go po węgiersku, drugi po kozacku ubiera; to moja największa zabawa patrzeć, jak każdy z nich w czasie obiadu lub wieczerzy za panem swoim stoi, zagląda na jego talerz ciekawie, oblizuje się i łyka zawczasu, i radby wydrzeć oczami każdy kawałek, który on do gęby kładzie; bo to, co mu pan zostawić raczy, całem jest jego jadłem: dla tych służków stołu osobnego niema. Macieńko codzień dziwne rzeczy ze swoim pacholikiem wyprawia, często boki zrywamy, śmiejąc się z nich obydwóch.

Płatnych dworzan jest więcej niźli respektowych; ci nie siadają do stołu, prócz kapelana, doktora i sekretarza; marszałek i piwniczny stoją za stołem, chodzą, patrzą, czy gdzie komu czego nie braknie; państwu i gościom codzień i gęsto wina dolewają, dworskim tylko w dnie świąteczne i to po małej lampeczce. Komisarz, podskarbi, koniuszy, szatni — wszystko to u marszałkowskiego stołu siada. Jużto i ci dwo-

rzanie, co z nami siadają, honoru mają wiele, ale korzyści nie dużo, bo nie zawsze jedzą to samo, co my, chociaż z tego samego półmiska; na przykład na pieczyste kucharz ułoży na wierzchu drób i zwierzynę, a pod spodem jest pieczeń wołowa albo wieprzowa; dlatego też kawał stołu, przy którym siedzą, szarym końcem się zowie. Chociaż na dwóch ogromnych półmiskach każdą potrawę obnoszą i z początku zdaje się niepodobieństwem, żeby zniknąć miały te fury zrazów lub bigosu, bardzo często ostatniemu ledwie łyżka strawy się dostanie. Potężnie wszyscy jedzą i czy jak codzień kucharz da cztery potrawy, czy siedm w dnie świąteczne, czy dwanaście, kiedy wiele gości, jeszcze nie pamiętam, żeby co kiedy zeszło ze stołu. Panny służebne w równej są u nas godności jak dworzanie respektowi, bo do naszego stołu siadają.

Dworzanie płatni wcale sute biorą zasługi: od trzechset do tysiąca złotych, obrok dla koni, barwę dla służącego; ale też Jmć dobrodziej wymaga, żeby porządnie chodzili i, osobliwie kiedy są goście, aby się prezentowali suto i modnie. Kiedy z którego kontent, to znajdzie łatwo sposobność obdarzenia go, a co rok w dzień imienin swoich hojne im daje podarunki, to z garderoby to w gotowiźnie. Dworskich nierównie u nas jest więcej niż dworzan; wszyscy pod jurysdykcyą marszałka, który ma moc strofować ich i karać. W pierwszym rzędzie są pokojowcy; ci zwykle są szlachta i tylko w tej służbie jakby nowicyat odprawiają, nie dłużej jak trzy lata; wszystko chłopcy młode od lat 15 do 20. Tych choć marszałek bić każe jak innych, skoro przewinią, nie rozciągają na gołej podłodze jak liberyę prostej kondycyi, ale na kobiercu. Nasz marszałek dosyć jest surowy, często plagi rozdaje; powszechne jest zdanie, że tak czynić z młodzieżą przystoi, dla utrzymania jej w przyzwoitej ryzie. Jmć dobrodziej zawsze powtarza, że w całym zamku maleszowskim niema pokoju, niema stołka, na którymby plag nie dostał; może dlatego taki dobry...

Pokojowców mamy kilkunastu; jednemu z nich, Michałowi Chronowskiemu, dorodnemu ale ubogiemu szlachcicowi, w dzień Trzech Króli nowicyat się skończy: będzie ceremonia wyzwolenia. Całą służbą pokojowca jest: być na pokojach pańskich, dobrze ubranym, prawie od rana do wieczora; kiedy jedziemy powozem, asystować konno albo pieszo i być zawsze gotowym do posyłki; bo czy państwo list mają pilny, czy chcą

gości jakich zaprosić, czy podarek komu posłać, zawsze pokojowców używają. Reszty dworzan i wyliczyć trudno; doprawdy ani wiem, jak wiele u nas kapeli, kucharzy, hajduków, kozaków, pacholików, chłopców, garderobian, dziewcząt służebnych; wiem tylko, że jest pięć stołów, a dwaj szafarze od świtu do południa mają co robić z wydawaniem na obiad i na wieczerzę. Bardzo często Jmć dobrodziejka jest przy tem, zwłaszcza kiedy nowe do magazynu przywożą prowianty; klucz zaś od apteki, gdzie korzenie, specyałki i dobra wódka, zawsze przy niej, a co rano marszałek podaje jej spis potraw, jakie mają być na obiad i na wieczerzę, a oną z radą Jmci dobrodzieja zmienia je lub pochwala.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze, wraz z madame. Każda z nas ma łóżko żelazne z firankami; Basia jako najstarsza ma dwie poduszki i becik mantynowy, my po jednej i kołdrę flanelową. Wstawszy i ubrawszy się na prędce, mówimy z madame pacierz francuski, poczem zaraz do nauki. Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marynię uczy, a Basię i mnie sama madame. Uczymy się na pamięć rozmów i wokabuł z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora, a o ósmej godzinie schodzimy na dół do państwa na dobry dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity. Po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem. Tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie; cały dwór i my mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać, co one znaczą. Po tem nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy też i listy na zadania. Madame nam wiersze poety francuskiego Malherba dyktuje. Mamy także klawicymbał i metra do niego Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych na rok bierze; wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdąka. Potem kładziemy podwłośniki i fryzyer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy: po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotowalnią siedzę;

na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi. Ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury; dzisiejsza na przykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby od niechcenia: włosy wszystkie czesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zwinięta, spada kręcąc się na kark i na ramiona; pudru w nich z pół funta. Ubiór nasz trwa parę godzin, przez ten czas uczymy się na pamięć przysłowi francuskich, a bez pamięci, cierpliwości; jak teraz, to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam madame czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: *Magasin des enfants,* przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z elewkami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy na dół na obiad i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Mamy też raz naraz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic: haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robimy siatki na wyścigi. Świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne. Ja tej już zimy wieczorami do całej komeszki zrobiłam siatki z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki. Wieczerza o siódmej i zimą i latem; po wieczerzy już niema roboty, tylko zabawa: gramy w karty, w maryasza albo drużbarta; warto widzenia, jakie miny Macieńko wyrabia, kiedy ma dolę albo siódemkę: ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec wysłany co tydzień do Warszawy powraca, kapelan czyta gazety, Kuryera, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam Jmć dobrodziej stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wcale zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie daleko więcej od polskich zajmują i nierównie więcej ich czytałam. Nasza madame ani słowa po polsku nie umie; z państwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty, to jeszcze rzadsze czytanie: gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ani sobie wystawiam, jak się bawią w Warszawie, u dworu; bo oczywiście że jeszcze lepiej i huczniej, niż w maleszowskim zamku. Radabym z duszy przez ciekawość samą zakosztować kiedy tych

zabaw... Ale co słyszę? już na dwunastę dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biedz na dół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

Aleksander Fredro.

Herbu Bończa, syn Jacka i Maryanny z Dembińskich, urodzony w Surochowie (w Galicyi, pod Jarosławiem) w roku 1793. Matkę stracił wcześnie, wychowywał się w domu pod okiem ojca (w Bieńkowej Wiszni, w Samborskiem). Do szkół publicznych nie chodził. Od r. 1809 służył w piątym pułku strzelców konnych księstwa warszawskiego, posunął się prędko na oficera, a kampanię rosyjską r. 1812 odbywał jako kapitan. W odwrocie z Moskwy zachorował na tyfus w Wilnie, i tak wzięty był w niewolę rosyjską. Ale umknął szczęśliwie, dogonił swoich pod Dreznem i był we wszystkich niemal wielkich bitwach roku 1813 i 1814 (Drezno, Lipsk, Hanau), jako adjutant sztabowy marszałka Berthier księcia Neufchatelu.

Po wojnach napoleońskich wrócił do kraju, w wojsku królestwa kongresowego nie służył; osiadł na wsi. Reszta życia, z rzadkimi i krótkimi wyjazdami, upłynęła między Bieńkową Wisznią a Lwowem.

Nie wiadomo, kiedy naprawdę zaczął myśleć o pisaniu. Jako dziecko pisał jakąś komedyę dla zabawy własnej i rodzeństwa, a jako żołnierz (jak sam wspomina) puszczał nieraz między kolegów żartobliwe wierszyki; ale kiedy odezwało się w nim powołanie pisarskie, o tem nie mówi. Tyle wiadomo, że z jego komedyi pierwszy ukazał się na scenie (w Warszawie) Pan Geldhab, a w ślad za nim poszły inne, tak, że większość ich napisana była przed rokiem 1830. Powodzenie ich i sława autora rosły ciągle, zwłaszcza, że talent jego coraz się rozwijał, a komedye późniejsze (Dożywocie, Jowialski, Zemsta i Śluby panieńskie) były najświetniejsze ze wszystkich — kiedy nagle Fredro dzieła swoje ogłaszać zaprzestał. Sądzono długo, że zniechęciła go złośliwa ich krytyka (napisana przez Goszczyńskiego), czemu wszakże sam w pamiętniku swoim (Trzy po trzy) zaprzecza. W każdym razie to pewna, że od roku 1835 żadnej nowej sztuki na scenę nie dał ani drukiem nie ogłosił. Pisać wszakże nie przestał, a po jego śmierci znalazło się niewydanych komedyi i ulotnych wierszy tyle, że napełniły one większą część tomów zbiorowego wydania. Życie wiódł niezmiennie jednostajne i ciche; z wiekiem tylko, od wypadków r. 1863 zapadać zaczął w smutek coraz cięższy. Zachowywał wszakże całą świeżość umysłu i uczucia, a mimo smutku tryskał z niego chwilami dawny świetny humor i dowcip. Umarł po długiej chorobie

we Lwowie 15. lipca 1876. Żonaty był z Zofią Jabłonowską. (Syn jego, Jan Aleksander, także pisywał komedye).

W naszej literaturze dramatycznej postać to jedyna i najpotężniejsza. Był on niezawodnie (bez swojej wiedzy i bez widocznego związku) skutkiem tych wszystkich usiłowań około podniesienia i wykształcenia komedyi, które zaczęły się za Stanisława Augusta, wydały Zabłockiego, a ciągnęły się dalej w początkach XIX wieku. Wszelako nie trzeba sądzić, jakoby Fredro z zamiarem i namysłem był wstępował w ślady swoich poprzedników. W jego zawodzie pisarskim właśnie niema z góry powziętego zamiaru i postanowienia, niema świadomego przygotowywania się i kształcenia. Talent i powołanie objawiają się znienacka, samorodnie, bez poprzedniego namysłu. Swoich poprzedników polskich znać musiał, ale prawdopodobnie zważał na nich mało. Wzorem działającym na niego widocznie i silnie był Molière. Nauki odbywał w domu, a niewątpliwie (jak wtedy powszechnie) język i literatura francuska zajmowały wielkie miejsce w tej nauce. W wojsku był w ciągłych stosunkach z Francuzami. W Paryżu z pewnością ciekawie przypatrywał się teatrom. W jego całem wychowaniu, w jego wykształceniu i smaku, było francuskiego wpływu wiele. W literaturze francuskiej zaś był wzór komedyi istotnie wielki, Molière. On więc był wzorem Fredry; a w układzie sztuk, w kreśleniu postaci, nawet w niektórych błędach (jak na przykład w zbyt łatwem rozwiązywaniu dramatycznego zawikłania) widać, że komedya Fredry od molierowskiej pochodzi. Ale obok tej zależności formy jest u Fredry najzupełniejsza oryginalność, samodzielność treści, tworzonych postaci, i najwybitniejszy rodzimy, własny charakter polski. W pustej farsie czy w najwykwintniejszej komedyi charakterów, w kontuszowej czy w późniejszej sztuce, zawsze jest się u niego w świecie i w życiu polskiem, między figurami rdzennie polskiemi, które w wyobraźni cudzoziemca wcale powstać nie mogły, a przynajmniej byłyby musiały przybrać inną fizyognomię. Literaturze, która dążyła do wyraźnie i odrębnie narodowego charakteru, komedya ta odpowiadała doskonale, urzeczywistniała jej dążenie; a polskie typy z komedyi Fredry są tak znakomite i żywe, że mogłyby stanąć bez wstydu obok samych nawet postaci z Pana Tadeusza.

W jego talenie jako pisarza komedyi są następujące główne zalety: dar tworzenia postaci żyjących, pełnych psychologicznej prawdy, wiernych typów natury ludzkiej w jej różnych odmianach, a pełnych zarazem jużto komicznego pierwiastku (na przykład Łatka, Papkin, Geldhab, Zrzęda i Przekora), już wdzięku niemal poetycznego (Aniela, Klara, Gustaw), już wreszcie szczeropolskiego, a czasem staropolskiego charakteru, z jego różnemi właściwościami, zdrożnościami lub śmiesznościami (Cześnik i Rejent, Jowialski, Radost z Cudzoziemczyzny).

Dalej, przymiotem rzadkim jest wielka scenicznożć jego komedyi, ten szczęśliwy zmysł dramatyczny, który umie akcyę zrobić żywą i zajmującą, zwięźle i treściwie uchwycić i przedstawić sy-

tuacyę w jej pierwiastkach najbardziej charakterystycznych, i w sposób, który musi wywołać wrażenie. Wreszcie humor i dowcip, samorodny, niespodziewany, sypiący jak z rogu obfitości najzabawniejsze koncepta albo zawikłania komiczne. Humor ten i dowcip Fredry jest rozmaity, od najwykwintniejszego aż do rubasznego nieraz, a tak świetny, że koncepta i dowcipy jego przeszły niemal w przysłowie; tak przytem szczerze i zupełnie polski, że przypomina i Reja i Kochanowskiego i Paska i Krasickiego, a żadnemu z nich nie ustępuje, raczej wszystkich przewyższa. Do tego ma język czysty i doskonały, wiersz łatwy, giętki; dyalog swobodny, naturalny, żywy; styl swój własny, jędrny, energiczny, świetny.

Fredro w naszej literaturze należy do pisarzy prawdziwie wielkich. Zbogacił tę literaturę całym jednym działem, który przed nim zaledwo jakieś znaki życia dawał, a przez niego stanął na stopniu zupełnie wysokim; dał nam komedyę własną, na wskroś polską, pod względem artystycznym znakomitą, pod względem moralnym zdrową, prostą, szlachetną. Na to zaś także zważać warto, i to wielka Fredry zaleta i chwała, że w swoich konceptach czasem nieprzyzwoity — w duchu i dążności swoich komedyi, w pojęciu ludzkich stosunków i obowiązków jest zawsze uczciwy, prawy i prosty.

Najznakomitsze jego komedye mieszczą się między temi, które sam wydawał. Z tych głębsze, te, których akcya, siła komiczna i wartość zasadza się na psychologicznych pierwiastkach lub sprzecznościach charakterów, są zawsze dłuższe (co najmniej trzyaktowe) i pisane wierszem (Zemsta, Śluby panieńskie, Dożywocie, Cudzoziemczyzna). Wyjątek stanowi tylko Pan Jowialski, pisany prozą, a pomimo akcyi na pozór błahej i komiczności niby niższej, zawierający głęboką i poważną moralną naukę. Komedye jednoaktowe i komedye pisane prozą są z małymi wyjątkami (na przykład Zrzędność i Przekora) poprostu tylko śmieszne; ale w swoim rodzaju i te są doskonałe (Damy i Huzary, Nikt mnie nie zna, z późniejszych Pan Benet).

Pisma, ogłoszone po śmierci autora, obejmują ośm tomów, a zawierają oprócz komedyi liczbę dość znaczną wierszy mniejszych, lirycznych lub satyrycznych i pamiętnik autora z dzieciństwa i lat wojskowych pod tytułem Trzy po trzy. Z komedyi tych niektóre należą do najlepszych w naszej literaturze (Wielki człowiek do małych interesów, Dwie blizny, Godzien litości, Co tu kłopotu, Ożenić się nie mogę), a od dawniejszych różnią się tem, że odstępują od dawnego molierowskiego typu, zbliżają się zaś do nowoczesnej komedyi, więcej potocznej i realistycznej w układzie i w dyalogu.

W wierszach drobnych Fredro nie jest tak znakomitym, jak w komedyach, ani tak oryginalnym. W poważnych, uczuciowych, przypomina stylem dawną elegię klasyków; w balladach rycerskich lub fantastycznych podobny jest do romantyków i niezbyt szczęśliwy. Jednak między wierszami lirycznymi są bardzo rzewne, bardzo

przejmujące (na przykład Stary śpiewak), a ballady lub małe powiastki humorystyczne (na przykład Szewc i dyabeł) należą do najlepszych, jakie posiadamy. Wiersze satyryczne, bajki, epigrammata, po większej części bardzo udatne i pełne trafnego przystosowania. Pamiętnik Trzy po trzy ciekawy, pełen zajmujących i zabawnych szczegółów, pisany z wielkiem życiem; szkoda tylko, że autor opowiada wypadki w miarę, jak mu na myśl przychodzą, bez kolejnego następstwa i porządku.

Uwaga. »Śluby panieńskie« mają być czytane w całości.

NIKT MNIE NIE ZNA.

Komedya w jednym akcie, wierszem (w skróceniu).

„Czy złe czynić, kto się niepotrzebnie obawia".
And. Max. Fredro.

OSOBY:

MAREK ZIĘBA, kupiec.
KLARA, jego żona.
CZESŁAW, jej brat.
SŁAWNICKI, major.
ŁAPKA, lichwiarz.
KASPER, służący Marka.
MARTA, żona Kaspra.
Urzędnik policyi, straż, słudzy.

Rzecz dzieje się w mieście, w domu Marka.

Marek Zięba, człowiek bardzo podejrzliwy, wszystkich zawsze posądza, że go oszukują. Gdy więc raz, jako kupiec, przez dłuższy czas nieobecny był w domu, postanowił za radą jakiegoś Jana Rembosza, filuta, którego w drodze spotkał, przebrać się w jego suknie i pod jego nazwiskiem przybyć do własnego domu, ażeby się przekonać, co się tam dzieje w jego nieobecności. Rozmowę tę podsłuchał przypadkiem Czesław, brat Klary, i postanowił raz na zawsze wyleczyć Marka z tej tak przykrej dla wszystkich podejrzliwości jego. Porozumiawszy się tedy z siostrą, wtajemniczywszy też w plan ten Martę, żonę służącego Kaspra, który z panem bawi w podróży, przebiera się w suknie Marka i ma wobec mniemanego Jana Rembosza udawać gospodarza domu, Marka Ziębę.

Scena II.

CZESŁAW, MARTA.

Czesław: No teraz w pana Marka przemienić się muszę.
(Wdziewa obszerny surdut i krymkę czerwoną — bierze kapelusz i laskę).
To zwykły ubiór?

Marta *(śmiejąc się):* Tak jest. Ach, na moją duszę!
Jak gdybym go widziała! On pozna sam siebie...
A gdy pan zechcesz całkiem udać go w potrzebie,
Niech pan krzyczy gadając, zrzędzi, gdera, łaje, 5
Rękoma wciąż rozprawia, a nigdy nie staje.

Czesław: Dobrze, dobrze. — A ty idź i nakaż surowo,
Aby nikt mi nie chybił i na jedno słowo:
Jestem dziś Marek Zięba i pan tego domu,
On zaś ma być najściślej nieznany nikomu. 10
Marta: Mówiłam i powtórzę. Ale proszę pana,
Mój Kasper także wraca?
Czesław: Ach, moja kochana,
Nie wiem. Ledwiem zasłyszał, jaki spisek nowy,
Spotkawszy się, dwie mądre ułożyły głowy,
Raczej jak Marka naglił do nazwiska zmiany 15
Jakiś pan Rembosz, panicz wcale podejrzany:
Zaraz nocąm wyjechał, by tu stanąć wprzódy.
Ale prawda! — Był jakiś służący — tak... młody,
Niezgrabny.
Marta: To on!
Czesław: Zawsze coś zrzuci, wyleje.
Marta: To on!
Czesław: Wszystkich roztrąca.
Marta: To on!
Czesław: Wciąż się śmieje. 20
Marta: Ach to on!
Czesław: Twarz rumiana, nieco głupkowata.
Marta: O mój mąż! niezawodnie.
Czesław: Znalazła się strata.
Marta: Już co głupi to głupi, lecz bardzo poczciwy.
Czesław: To nie głupi: — zły człowiek, to głupiec prawdziwy.
Marta *(biegnąc do okna)*: Cóż to za hałas? — Nasz pan! —
[Do razum poznała! 25
Czesław *(odciągając ją od okna)*:
Chodź...
Marta: W mundurze!
Czesław: Chodź!...
Marta: Kasper!..
Czesław *(wyprowadzając ją za rękę)*: Ach, będziesz go miała!
(Odchodzą).

Scena III.

MAREK, KASPER.

(Marek w mundurze zbyt przestronnym, czarna peruka i duże wąsy; Kasper także w peruce, z wąsami, zawsze tuż koło pana stoi, nadstawia ucha, gdy ten mówi, i często się śmieje: hi! hi! hi!).

Marek: Kasprze! Ja dobrze robię?
Kasper: Panie! doskonale.
Marek: Jesteśmy w domu własnym.
Kasper: Własnym.
Marek *(palec na ustach)*: Ale!
Kasper *(podobnież)*: Ale!

Marek: Sza!
Kasper: Sza!
Marek: Nikt tego wiedzieć nie będzie.
Kasper: Broń Boże!
Marek: Nikt z domowych nie poznał.
Kasper: I poznać nie może.
Marek: I żona mnie nie pozna.
Kasper: Gdzie tam jej pan w głowie! 5
(śmieje się).
Marek: Głupiś! *(Kasper się kłania).*
W głowie jej jestem, lecz jak się nie dowie,
To i wiedzieć nie będzie...
Kasper: Że to pan w mundurze...
Jak i Bartosz — nie poznać pana temu rurze!
Oczy wytrzeszczał, *(śmieje się)* śmiał się i wejścia
[nam bronił *(śmieje się).*
A pan jak go pchnie gdzieś w brzuch! *(śmieje się)*
[aż się nam pokłonił. 10
Marek: Godny oficer!
Kasper: Bartosz?
Marek: Głupiś!
Kasper: Wiem, wiem, panie:
Ten, co z nami nocował.
Marek: Jużci — jego zdanie
Wiele mię oświeciło; jego mądra rada
Ułożyła plan cały.
Kasper: Hm! rozum nielada!
Marek: Widział, żem niespokojny, jak każdy mąż bywa, 15
Któremu już za domem drugi rok upływa,
A w domu wszystko tylko na Boskiej opiece.
Kasper: I moja Marta, prawda?
Marek: I choć jak ptak lecę,
By zawsze wpaść z nienacka, wszystko nic nie znaczy,
Bo zawsze zły duch jakiś usłyszy, zobaczy; 20
A jeżeli zajadę skrycie do sąsiada,
Ktoś, gdzieś, jakoś przed żoną zawsze się wygada.
Raz byłem i śmierć własną ogłosił listami,
Alem w łeb dostał guza, słuchając pod drzwiami;
Drzwi pękły, pies zaszczekał, żona nie czytała — 25
I tak spełzła do razu tajemnica cała.
Teraz za tym powrotem konceptu nie stało,
Jakby zręcznie wyśledzić, co się w domu działo;
Aż mnie ów godny człowiek swoją radą wspiera:
Daje swój własny paszport, w swój mundur ubiera 30
I ze mnie Marka Zięby, kupca...
Kasper: Takie licho! *(śmieje się).*
Marek: Kasprze! kiedy pan gada, należy być cicho. —
Jadę, wjeżdżam do miasta, u rogatki staję,

Jako Jan Rembosz, były rotmistrz, podpis daję —
»Jan Rembosz« pisze strażnik, co mię zna od dawna. 35
Kasper: Ten, ten z nosem na bakier?... *(śmiejąc się).*
Marek: I co rzecz zabawna,
Żołnierze przede mną: traf! traf!
Kasper *(śmieje się):* Jak przed generałem.
Co tu śmiechu — gwałt! *(śmieje się).*
Marek: Słowem, tyle dokazałem,
Że nikt mnie nie zna w mieście, nikt mnie nie zna w domu...
Ale słuchajno, Kasprze: jak ty powiesz komu! 40
Kasper: O! czy ja lada głupiec?
Marek: Może tylko żonie?
Kasper: A fe!
Marek: Któż jestem?
Kasper: Marek Zięba.
Marek: Kto, gawronie?
Kasper: Nie... Rembosz, Marek Rembosz.
Marek *(biorąc go za ucho):* Marek?
Kasper: Jan, Jan, panie.
Marek: Proszę cię więc, pamiętaj.
Kasper *(trzymając się za ucho):* Już, już tak się stanie,
Jak pańska prośba każe.
Marek: Żeby cię kto dręczył 45
Prośbą, groźbą, kułakiem, żeby i umęczył,
Żebym ja sam rozkazał, chciał nawet przymusić:
Nie powiesz, kto ja jestem?
Kasper: Wolę się zakrztusić,
Wolę się...
Marek: Koniec końców, nie gadając wiele,
Jak powiesz, żem ja jest ja, to ja ci w łeb strzelę. 50
Kasper: A ja, panie?
Marek: Jakto ja?
Kasper: A ja kto?
Marek: Źle w głowie!
Będziesz sługą rotmistrza. Jak się tamten zowie?
Kasper: Kasper także, jak i ja. Może jaki krewny.
Marek: Nazwij się zatem Kasprem; będę nawet pewny,
Że myłki...
Kasper: Cóżbo pan drwi? czy rozum straciłem? 55
Jak tylko zapamiętam, to już Kasprem byłem;
Na cóż mam się nazywać?
Marek: Gadaj tu rozumnie,
A głupi głupim *(Kasper kłania się).*
Kasprem jesteś, Kasprem u mnie,
Ale nie tamtym Kasprem, co się Kasprem zowie.
Kasper: Już, już wiem to, wiem — mądrej głowie dość na
[słowie. 60

Marek: Słuchaj. Czy wszystko dobrze? *(obracając się przed nim).*
Mina?—co?—wojskowa?
Kasper: Jak Holofernes jaki!
Marek: Wzrok?
Kasper: Jak dzika.
Marek: Mowa?
Kasper: Jak grzmot! aż strach!
Marek: Wąsy?
Kasper: Jak pańskie rodzone!
Marek: Peruka?
Kasper: Jak przykuta!
Marek: Teraz dom i żonę
Wypróbuję dokładnie; ale biada! 65

W scenie IV. poleca Marek Marcie, ażeby o jego przybyciu doniosła pani domu i prosiła o chwilę rozmowy. Po odejściu Marty w scenie V. cieszy się Marek, iż sam niepoznany będzie mógł »w domu własnym widzieć wszelkie sprawy«.

Scena VI.

KLARA, MAREK, KASPER.

Kasper *(ciągnąc za połę):* Pst! panie! pani!
Marek: Cicho!
Klara: Pan rotmistrz,
[jak wnoszę,
(Kasper śmieje się pomimo znaków swego pana).
Chce mówić z moim mężem. *(Kasper śmieje się).*
Marek *(cicho do Kaspra, wykręcając mu rękę):*
Kasprze, póki proszę.
(do Klary): Tak, z mężem.
Klara: Niech pan siada.
(Siadają. Kasper staje za krzesłem Marka).
Męża w domu niema.
Marek: Wiem.
Klara: Ale wkrótce będzie.
Kasper *(nie mogąc dłużej wytrzymać, parska śmiechem):*
Kaduk tu wytrzyma.
Marek *(do Klary):* Za pozwoleniem.
(Wstaje, bierze Kaspra za kołnierz i za drzwi wyprowadza. Kasper wkrótce wraca cicho i staje za krzesłem, zatykając sobie gębę, aby się nie śmiał).
(Siadając): Słucham.
Klara: Mój mąż...
Marek *(do siebie):* Hultaj!
Klara: Pewnie... 5

Marek *(do siebie)*: Czekaj!
Klara: Panu...
Marek *(do siebie)*: Za twój śmiech zapłaczesz mi rzewnie.
Klara: Jest znany?
Marek: Pan Zięba?
Klara: Tak.
Marek: Od kolebki prawie;
Dlatego w jego domu czas jakiś zabawię...
Jeśli pani pozwolisz?
Klara: Bądź pan jak u siebie.
(Kasper obiema rękami gębę sobie zatyka).
Marek: Zaczekam tu dni parę.
Klara: I tydzień w potrzebie. 10
Marek: Mam w sądzie ważną sprawę, a nie znam nikogo;
Rady więc pana Zięby wiele mi pomogą.
(Po krótkiem milczeniu).
Dobry to człowiek!
Klara: Mój mąż?
Marek: Co? niedobry może?
Klara: O, i owszem, i owszem, sto razy powtórzę.
Marek: Kochasz go zatem?... Pani... żyjesz z nim szczęśliwie? 15
Klara: I nad tem zapytaniem nie mało się dziwię;
Grzeczności i rozsądku niewiele dowodzi,
Kto wstępnym prawie bojem w cudze sprawy wchodzi.
Jednak nie mam potrzeby postępować skrycie;
Tak jest, mój mąż stara się upiększyć mi życie. 20
Zbyt pewny, że w małżeństwie miłość bez ufności
Jest tylko źródłem trwogi, niesnasek, zazdrości,
Na obopólnej wierze, tej stałej zasadzie,
Pokój domu i szczęście nas obojga kładzie.
I słusznie, bo któż może taką miłość cenić, 25
Której strzeżeniem tylko wzbrania się odmienić?
Któż zwać jaką osobę przyjacielem może,
Gdy się lęka jej zdrady w każdej życia porze?...
Marek: Łatwo obojętnemu rozprawiać w tej mierze,
Ale to strzeżonego, mówią, Pan Bóg strzeże. 30
Klara: Ach, potrafi oszukać, kto oszukać żąda;
A zwykle mało widzi, kto we wszystko wgląda.
Marek: Ale mniej jeszcze widzi, kto oczy zamyka.
Klara: Tych dwóch ostateczności pan Zięba unika.
(Kasper wstrzymuje się od śmiechu).
Marek: Pan Zięba ma więc rozum?
Klara: I rzadkie przymioty: 35
Dzieli ze mną jak radość, tak równie zgryzoty;
Ale nie są mi znane te kwaśne humory,
Te dąsy mężów, gorsze niż najżwawsze spory,
Które chcąc przerwać, trzeba wprzód myśleć godzinę,
Nim się trafem nareszcie odgadnie przyczynę. 40

I często się wydarza, że za głupstwo sługi,
Za to, że jeden zbłądził albo spił się drugi,
Za to nawet, że słota i snopki zmoczone —
Mąż, nie mając na kogo, dąsa się na żonę.
Ale i zrzędność także równie przykra wada; 45
Mój mąż nigdy nie zrzędzi.

(Kasper parska śmiechem w ucho swemu panu).

Kasper *(śmiejąc się):* Co też pani gada!...
Marek *(zrywając się);* Precz, łotrze!
Kasper: Ani pisnę.
Marek *(chwytając go za kołnierz):* Precz!
Kasper *(chcąc się wyrwać):* Już się nie śmieję.

Scena VII.

KLARA, MAREK, KASPER, CZESŁAW.

(Marek, trzymając Kaspra za kołnierz, zostaje w tej pozycyi trochę przy stronie. Obydwaj nie spuszczają oka z Czesława, który, nie widząc ich niby i do Klary wciąż mówiąc, poprzed nich chodzi).

Czesław: A niech też kaci porwą! co się tutaj dzieje!
Człowiek z domu, szkoda w dom.
(rzucając kapelusz na stół):
Wszystko przewrócone!
Nigdzie rządu i ładu, każdy w swoją stronę;
A żeby jedna dobra dusza się ocknęła,
Tu, ówdzie jakoś przecie czasami wglądnęła! 5
Gdzie tylko sam nie zajrzysz, tam się dyabeł gnieździ!
Marek *(puszczając kołnierz):*
Już i po całym domu, jak uważam, jeździ.
Czesław: Dozorca chrapie w cieniu, słoneczko go razi;
Cieśla ciupie jak przez sen, stolarz jak ćma łazi;
Pan mularz gdzieś na szynku półgarncówkę doi, 10
A stajnia dotąd jeszcze nieskończona stoi.
I tę ścianę miał wybić, powygładzać wszędzie;
Karnawał dalej przyjdzie, a sali nie będzie.
Marek *(nie spuszczając oka z Czesława, na stronie mówi z Kasprem aż do końca sceny):*
Kasprze, co to jest?
Kasper: Surdut pański.
Marek *(coraz trwożliwiej):* Kasprze!
Kasper: Panie!
Marek: Co to jest?
Kasper: Krymka pańska.
Czesław: Czy Boskie skaranie! 15
Nikt nigdy nie zrozumie, choć powiem wyraźnie.
Kazałem sad tam wyciąć, gdzie mają być łaźnie,

A oni w prawo, w lewo cięli dla uciechy,
Tak, że zostały tylko płonki i orzechy.
Kasper *(ciągnąc za połę)*:
Panie, to pańska laska, znam ja ją niemało. 20
Marek: Kasprze!
Kasper: Hę?
Marek: Kasprze!
Kasper: Panie?
Marek: Co się tutaj stało?
Mnie coś mdło koło serca.
Kasper: Głowę panu ścisnę.
Marek: Głupiś. *(Kasper śmieje się)*. Nie śmiej się.
Kasper: Dobrze.
Marek: Cicho!
Kasper: Ani pisnę.
Czesław: Wczoraj przecie przedałem folwark za mogiłą.
Marek: Ach! *(Wsparty na Kasprze zostaje w osłupieniu do końca sceny)*.
Czesław: Wprawdzie za pół darmo, lecz cóż robić było? 25
Raz się przecie przeklęte długi zaspokoi;
Chodźmy wszystko obliczyć, a czy się co skroi!
Klara: Lepiej byłoby może...
Czesław: Może czy nie może —
Stało się, co się stało! — Dyabeł nie pomoże!
(odchodzą do pokoju po prawej stronie).

Scena VIII.

MAREK, KASPER.

Marek *(po długiem milczeniu)*: Ha! słyszałeś?
Kasper: Słyszałem.
Marek: Widziałeś?
Kasper: Widziałem.
Marek: Zatem folwark?...
Kasper: Sprzedany.
Marek: I ja, ja milczałem!...
Lecz jeszcze czego więcej dowiemy się może.
(Kasper, który stał zamyślony, zaczyna śmiać się nagle).
A to co?
Kasper *(śmiejąc się)*: Ale... proszę... bo to... o mój Boże!...
Kubek w kubek pan a pan ten jegomość nowy: 5
Tak chodzi, zrzędzi, łaje i grzmocić gotowy.
Marek *(chwytając za piersi)*: Śmiejesz się?
Kasper: Ani pisnę. — Jednak [powiem szczerze,
Że który z panów mój pan, sam sobie nie wierzę
I nie przysiągłbym teraz za nic na tym świecie.
Marek: Wiem ja, wiem, jakiś mądry; poznasz ty mnie przecie!... 10

Scena IX.

MAREK, KASPER, ŁAPKA.

Łapka *(powoli się wsuwając)*: Nóżki pańskie całuję, sługa uniżony.
Przecie też pan zawitał, zawitał w te strony;
Nie mam szczęścia być znany, ja to wiem, ja to wiem.
Mój braciszek, to ale.
Marek: Kto? — Jak?
Łapka: Zaraz powiem.
Wszak jegomość pan Rembosz ze mną mówić raczy?
Marek: Hm? — A, tak.
Łapka: Jan?
Marek: Hm? A, Jan.
Łapka: Rotmistrz?
Marek: Nieinaczej.
Łapka: Mam tu jego rewersik, rewersik maleńki. 5
Marek: Mój? Czyś waćpan szalony?
Łapka *(odsuwając się pokazuje)*: Podpis jego ręki.
W Poznaniu mój braciszek, pan Łapka Gerwazy,
Dał panu po sto czątych...
Marek: Sto czątych!
Łapka: Trzy razy.
Marek: Trzy razy! mnie?
Łapka: A zatem rzecz jasna i czysta,
Że zapłacisz łaskawie dukacików trzysta. 10
Marek: Ja? ja?
Łapka: Pan, pan.
Marek: A! już wiem — nie moje to długi!
(odprowadzając go na stronę)
Słuchaj mnie, panie... panie...
Łapka: Łapka na usługi.
Marek: Panie Łapka! Mieć trzysta dukatów to ładnie;
Żeś więc człowiek uczciwy, poznaję dokładnie —
Dam ci...
Łapka: Czy tylko ważne?
Marek: Najważniejszy w świecie 15
Dam ci dowód ufności — wyznam ci w sekrecie:
(odprowadzając go jeszcze dalej — Kasper za nimi postępuje)
Ja nie jestem Remboszem.
Łapka *(ironicznie)*: Tak?
Marek *(oglądając się)*: W pewnym zamiarze
Przybrałem to nazwisko.
Łapka: A roztropność każe
Odmienić je naprędce.
Marek: Pst!
Kasper: Pst!
Marek: Ciszej gadaj.
Zrobiłem ci zwierzenie, przyczyny nie badaj 20
I ruszaj sobie teraz, bo możesz przeszkodzić.

Łapka: Doprawdy?
Marek: Już tu nie masz po co i przychodzić.
Łapka: Nie Rembosz?...
Marek: Ciszej!
Kasper: Ciszej!
Łapka: Jesteś...
Marek: Ani słowa!
Kasper: Ani mru mru.
Marek: *(odprowadza go w drugą stronę. — Kasper za nimi postępuje).*
Słyszą nas. Chcesz, napisz do Lwowa,
Rotmistrz, jak list odbierze, zapłaci do grosza. 25
A teraz idź i rozgłoś, żeś widział Rembosza.
(Łapka śmiać się zaczyna. Kasper, z razu zdziwiony, śmieje się potem z nim razem).
Cóż się waćpan śmiejesz?
(w złości do Kaspra) A ciebie co śmieszy?
Łapka: Z konceptu swego pana wraz ze mną się cieszy.
Za kogożto mnie pan masz? Czy ja nie mam głowy,
Abym się szczerze nie śmiał z tej wykrętnej mowy? 30
Ja krok w krok za nim pędzę z samego Poznania.
Marek: Ja w Poznaniu nie byłem.
Łapka: Dość tego gadania.
Marek: Kiedy mówię, że zamiar...
Łapka: Kto się o to pyta?
To jest rewers waćpana, zapłacisz i kwita!
Marek: Nie zapłacę.
Łapka: Zapłacisz.
Marek: Idź do dyabła!
Łapka: Eraszka! 35
Marek: Precz!
Łapka: Zapłać!
Marek: Precz!
Kasper: Precz!
Łapka: Pójdę, jak oskubię ptaszka.
Marek: Idźże, idź, pókiś cały, jeszcze raz ci mówię;
Szukaj sobie Rembosza, ja się Zięba zowię.
Łapka: Zięba czy szczygieł, jesteś, ptaszku, w mojej klatce.
Widziałem paszport świeżo, zaraz na rogatce: 40
Próżny więc wykręt, zapłać — niech czasu nie tracę.
Marek: A, tego nadto! — zaraz ja ci tu zapłacę.
Kasprze! strąć go ze schodów!
Łapka: Mam dekret w kieszeni.
Marek: Kasprze! precz z nim! *(odchodzi do pokoju po lewej stronie).*
Łapka: Poczekaj! koza cię odmieni!
(szamotając się z Kasprem wychodzą — słychać upadnięcie za drzwiami).

Scena X.

KASPER.

Kasper *(wchodzi, kołnierz podniesiony, peruka przekrzywiona i najeżona; — poprawiając i ocierając suknie).*
Dyabeł nie Łapka! — O fe! — A bodajże zginął!
(śmiejąc się).
Ja chciałem nim zawinąć, a on mną zawinął.
Ledwiem drzwi łbem nie wybił, a tęgom się zaparł.
(pokazując) Ja tak — on siak: jak go pchnę! ażem [nogi zadarł.
Ktoby się był spodziewał, że wędzonka taka... 5
Tfu! i jeszcze mi za kark dołożył kułaka.
Ale też co tchórz, to tchórz! jak dotąd nie było;
(śmiejąc się)
Drapał przez cztery schody, aż się zakurzyło! *(śmiejąc się).*

Scena XI.

KASPER, MARTA.

Kasper *(na stronie):* Ha! Marta! muszę także zręcznie ją wybadać.
Marto! kochasz ty męża?
Marta: Ach! na cóż mam gadać
O tem, co kiedyś było.
Kasper: Było? nie jest zatem?
Marta: Jak ma być, kiedy mój mąż rozstał się z tym światem.
Kasper: Co? co? Kasper Dzbankiewicz?
Marta: Nie żyje! nie żyje! 5
Kasper: Ej fe, fe!... co to gadać! *(na stronie)* Jak mi serce bije!
(po krótkiem namyśleniu zaczyna się śmiać i coraz mocniej za każdą odpowiedzią Marty).
To ktoś skłamał! Ależto skłamał jak należy.
Marta: Ach, nie!
Kasper: Nie skłamał?
Marta: Ach, nie!
Kasper: Ona temu wierzy!
Marta: I tyle cierpiał!
Kasper: Cierpiał?
Marta: Nie za swoją winę.
Kasper: Umarł więc?
Marta: Umarł.
Kasper: Kasper?
Marta: Kasper.
Kasper *(trzymając się za boki i zachodząc się od śmiechu; siadając i coraz słabszym głosem):* Aj!... strach!... zginę!... 10
Oj! kolki!... och... och... gwałtu!
Marta: Wszak byłam w tej chwili,
Widziałam *(płacze).*
Kasper *(drwiąc):* Cóż widziałaś?
Marta: Jak go powiesili.

Kasper *(zrywając się):* O, o! fe, fe! złe żarty; fe, fe! brzyd-
Z tem nie trzeba żartować. [kie żarty;
Marta: W oczach swojej Marty
Biedny życie zakończył...
(Marta płacząc mówi dalej, Kasper rozczula się powoli)
»Bywaj zdrowa, żono!« 15
Mówił. — Bądź zdrów! ja rzekłam. — Potem go złożono...
W ziemię... *(szlochając)* głęboko...
Kasper: Biedny! *(po krótkim czasie, śmiejąc się)* A czego ja płaczę?
I mądry czasem głupi; *(na stronie)* lecz teraz zobaczę,
Czy mnie żona kochała. *(do Marty).* Cyt, nie płacz,
[kochanie,
Pociesz się, wszakże twój mąż kiedyś zmartwychwstanie. 20
Marta: Co to za dusza była!
Kasper: Ja wiem, takich mało.
Marta: Nigdy mędrcem być nie chciał...
Kasper: Dobrze ci się działo.
Marta: Żal mi go niewymownie.
Kasper: Bóg ci to nagrodzi.
Żal twój straszny, okropny, okrutnie dowodzi,
Że i byłaś i jesteś dobrą białogłową; 25
Słuchaj mię zatem, Kaspra Dzbankiewicza wdowo:
Ja się z tobą ożenię.
Marta: Nie można.
Kasper *(z ukontentowaniem):* A czemu?
Marta: Bom już serce i rękę przyrzekła innemu.
Kasper: Komu? niegodna!
Marta: Bratu Błażeja mielnika.
Kasper: Kiedy?
Marta: Jeszcze za życia męża nieboszczyka. 30
Kasper *(w złości):* Marto!
Marta: Lecz wybacz waćpan, oddalić się muszę.
Kasper: Czekaj!
Marta *(wybiegając)*: Adje!
Kasper: Niewierna! rozszarpię! uduszę!
(biegnie za nią — Major go zatrzymuje we drzwiach).

Major Sławnicki przybywa z polecenia pułkownika, ażeby pociągnąć do odpowiedzialności Rembosza, który nieprawnie mundur pułku nosi, a nieuczciwem postępowaniem wstyd sprawia wszystkim tego pułku żołnierzom; każe więc Kasprowi prosić pana o chwilę rozmowy (sc. XII i XIII).

Scena XIV.

MAJOR, MAREK, KASPER.

Major *(na stronie):* To nie on — cóż to znaczy? Inna postać cała.
Przebacz, panie kolego, omyłka się stała.

Jestem major Sławnicki, mieszkam w tym powiecie
I, choć ze służbym wyszedł, zawszem żołnierz przecie.
Wczoraj dostałem opis pewnego szulera, 5
Który się w mundur pułku bezwstydnie ubiera,
Pułku, gdziem niegdyś służył, a którego sława
Dotąd do mej opieki nie straciła prawa.
Wszakże i za powinność obaj pewnie mamy
Znaków naszej zasługi strzec od wszelkiej plamy. 10
(Marek coraz mocniej zmieszany).
Dziś więc zdala zoczywszy, jakeś tu z nim wchodził,
Rzekłem: Może przypadek prędko mi wygodził
I kto wie, może ten łotr w moje ręce wpada.
Idę, pytam i — proszę — każdy mi powiada,
Że w samej rzeczy Rembosz, ów hultaj, przybywa.
Kasper: Co? Rembosz? Jan? to mój pan! pan tak się nazywa. 15
Rotmistrz, jedzie z Poznania...
Marek *(na stronie do Kaspra):* Bodajeś skamieniał!
Bodajżeś pękł dwa razy!
Kasper: Za to, żem wymieniał...
Marek: Cicho, Kasprze przeklęty!
Kasper: Ale cóż ja robię?...
Marek: Idź, Kasprze, mój Kasperku, proszę cię, idź sobie, 20
Bo ci zęby wybiję.
Kasper *(wzruszając ramionami):* Idę, pójdę, idę *(odchodzi).*

Scena XV.

MAJOR, MAREK.

Major: Cóż to?
Marek: Nic, nic — to nie tak. *(na stronie):* Mamże nową [biedę!
Major: Jednak?
Marek: Kasprze przeklęty!
Major: Mospanie, do rzeczy:
Kto jesteś?
Marek: Kto? — Nie Rembosz.
Major: Hm! Kto jedno przeczy,
Drugie miewa nazwisko; zatem jak się zowiesz?
Marek: Nic nikomu do tego.
Major: Ale przecie powiesz, 5
Oficerem czy jesteś?
Marek: Nie jestem, broń Boże!
Major: A mundur, bratku, nosisz?
Marek: Pojutrze go złożę.
Major: Wiesz, że to kulkę ściąga?
Marek: Od kogo?
Major: Ode mnie.
Marek: Bywaj zdrów.
Major: Wyzywam cię.
Marek: Wyzywasz daremnie.

Major: Nie wyjdziesz?
Marek: O, nie wyjdę.
Major: Przymuszę w potrzebie. 10
Marek: Bajki!
Major: Na honor, prawda!
Marek: Zamknę się u siebie;
Nie znajdziesz w domu własnym, drzwi mi nie wybijesz.
Major: Ale u drzwi zaczekam, nigdzie się nie skryjesz,
Wszędzie ścigać cię będę.
Marek: Ścigaj sobie wszędzie;
Marek Zięba nie głupi, strzelać się nie będzie. 15
(odchodzi).

Czesław uspokaja Majora i przyrzeka mu wszystko wyjaśnić później (sc. XVI), z Klarą zaś porozumiewa się, że już rzecz całą zakończą, poprzestając na nauce, jaką Marek otrzymał, zwłaszcza z przypadkowego przybycia Łapki i Majora (sc. XVII).

Scena XVIII.

MAREK.

Marek: Już go niema! Źlem zrobił. Wszystko złe z nazwiska.
Trzeba było się zgodzić — sprawa dyable ślizka!
Wyzwał mię, może zabić, nikt mu nic nie powie;
Wyzwał mię, wolno strzelać — dyabeł nie śpi; kto wie,
Jeszcze gotów z za płotu gdzie do mnie wywalić. 5
(po krótkiem milczeniu)
A do kroć sto tysięcy!... chciałbym dom zapalić!
Dom spalić, sam się spalić, wszystko spalić wkoło!...
Moja żona!... gdzie ten łotr? o miedziane czoło!...
Dość tego! dalej! *(idzie i wraca)* Ale już wytrwałem tyle,
Będę jeszcze cierpliwym i zaczekam chwilę. 10
(siada w środku).

Scena XIX.

MAREK, KASPER.

Kasper: A fe! fe! O, to brzydko! — To obelgą pachnie.
Marek: Cóż ci to?
Kasper: Bartosz wziął kij i fiu! fiu! jak machnie,
Uderzył mię tu — w plecy raz po raz trzy razy.
Ja drugi raz nie zniosę podobnej urazy.
Ja wcześnie zapowiadam jasno i dobitnie: 5
Ja mu co powiem, jak mi jeszcze raz tak przytnie...
Chciałem trochę nastraszyć moją panią Martę,
Aż ten Bartosisko, ten!... bo to dyabła warte!
To do niczego! nie wiem, na co to pan trzyma,
Nuż do mnie. »Nikt tu (wrzaśnie) do niej prawa niema. 10
Ja z Kasprem nieboszczykiem żyłem jak brat z bratem;
Kto więc wdowie dokucza, może dostać batem«.

Może! — i łup! cup! — o tu! — Z tego więc wynika,
Że wybił mnie żywego za mnie nieboszczyka.

(Słowami Kaspra nanowo podrażniony, postanawia Marek w jakikolwiek sposób wyświecić rzecz całą; każe przeto Kasprowi prosić Klary i Czesława o chwilę rozmowy).

Scena XX.

MAREK, CZESŁAW, KLARA, KASPER.

Czesław: Ach, wybacz mi, rotmistrzu, moje roztargnienie,
Witam cię z duszy, serca.
(bierze go za rękę, którą ten wyrywa)
Lecz miałem zmartwienie:
Nie spostrzegłem cię pierwej, myśląc o mej stracie.
Marek: Kto jesteś? kto? kto?
Klara: Cóż to? czy wy się nie znacie?
Wszak pan mówiłeś, że znasz od kolebki prawie. 5
Marek: Jego? ja?
Czesław: A tak, w szkołach byliśmy w Warszawie.
Marek: Ja? z tobą?
Czesław *(chcąc go uściskać, czego ten unika):* Jaś ci to mój, Jaś
Aleś mi coś zakaty, Jasiu, podszarzany, [drogi, kochany.
Byłbym cię jednak poznał: ten nos, wzrok — ta broda —
Nieboszczyk sędzia kula w kulę.
Marek: Czasu szkoda: 10
Słuchaj...
Czesław: Pamiętasz, Jasiu, różne nasze psoty?
Był to z ciebie trzpiot wielki! hej, hej, wiek to złoty!
Marek: Milcz że, do stu kaduków! już cierpię czas długi.
(do Klary) Kto to jest?
Klara: Mój mąż.
Marek *(odskakując)* Twój?
Klara: Mój.
Marek: On?
Klara: On.
Marek: Mąż?
Klara: Mąż.
Marek: Drugi?
Klara: Jednego miałam i mam.
Kasper *(uderzając w ręce):* Masz teraz do kata! 15
Marek: Jednego? nigdyż Zięba nie oglądał świata?
Czesław: Ja też nim jestem właśnie.
Marek *(po krótkiem zdziwieniu):* Kto?
Czesław: Ja.
Marek: Ty? ty?
Czesław: Ja, ja.
Marek: Zięba?
Czesław: Zięba.

Kasper. Aj gwałtu!
Marek: Kasprze, weź hultaja,
Uduś go, zabij!
Kasper *(cofając się):* Zaraz.
Marek *(do Czesława):* Marek?
Czesław: Marek Idzi
Franciszek Zięba.
Marek *(do Kaspra):* To ja.
Kasper *(do Czesława):* Do słowa, Bóg widzi.
Marek *(do Czesława):* A któż ja jestem?
Czesław i Klara: Rembosz.
Kasper *(śmiejąc się):* Toż nam się udało! 20
Marek *(do siebie):* Będzie tu zaraz strachu i wstydu nie mało.
Kasprze, odepnij wąsy.
Czesław *(do Klary na stronie):* Dobrze mu się dzieje.
Klara *(podobnież):* Zbyt się dręczy.
Czesław *(podobnież):* Tem lepiej.
Marek *(na stronie):* Niewierna struchleje!
(przystępuje do Klary z wąsami w ręku):
Cóż?
Klara: Wąsy przyprawiane.
Marek: Nic więcej nie widzisz?
Klara: Nic.
Marek: Nie widzisz mnie, męża?
Klara: Czy waćpan z nas szydzisz? 25
Oto mój mąż.
Kasper: Źle!
Marek: Jakto? ty mnie nie znasz, Klaro?
Klara: Widzę pierwszy raz w życiu.
Marek: O straszna niewiaro!

Scena XXI.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, ŁAPKA, URZĘDNIK POLICYI I STRAŻ.

Łapka: Otóż jestem — tu dekret — tu straż — proszę z sobą.
Marek: Jestem Zięba, nie Rembosz.
Łapka: Zawsześ jest osobą,
Która wzięła pieniądze i zapłacić musi.
Idziesz?
Marek: Wprzód cię ta ręka jak węża udusi.
Łapka *(pokazując):* Dekret.
Marek: Kasprze!
(Łapka kryje się za urzędnika, Kasper cofa się w przeciwną stronę.
Kasper: Niegłupim.
Marek *(do siebie):* Któż mi wytłómaczy, 5
Co tu się w domu stało: — Co to wszystko znaczy?

(w ciągu rozmowy Marka z Klarą Czesław w głębi rozmawia z Łapką i urzędnikiem, którym zdaje się rzecz objaśniać).

Klaro! przestań udawać; na co to się przyda?
Powiedz im, kto ja jestem; odpraw tego żyda.
Klara: Mój panie, dość już tego.
Marek: Przebaczę.
Klara: Przebaczam.
Marek: Żono!
Klara: Skończmy rozmowę, gdzie równie uwłaczam 10
Sobie, jak i mężowi.
Marek *(na stronie)*: Co się ze mną dzieje:
Czy ja śpię, czy ja czuwam? Kto tu z nas szaleje?
(do Klary) Klaro, żono! zbierz zmysły, patrz, kto [w tej osobie.
Ja jestem Marek, twój mąż — przypomnijże sobie...
Nie pamiętasz? w Lublinie, w dzień świętej Justyny 15
Poznałaś mnie na balu — miałem fraczek siny;
Upadłem z tobą w tańcu, stłukłem ci kolano;
Potem ci powiedziałem, że jesteś kochaną.
Nie pamiętasz? — A potem w Łęcznej na jarmarku
Rzekłaś raz pierwszy: kocham ciebie, miły Marku — 20
A potem gdy zapowiedź wyszła już trzy razy,
Skojarzył nas w Lublinie ojciec. Anastazy...
Klara: Nie pamiętam i nie znam.
Marek: Tak? dobrze! — *(dzwoni)* [Hej, słudzy!
(dzwoni). Nie znasz, ale mnie poznasz, jak poznają [drudzy.

Scena XXII.

CIŻ SAMI, MARTA, FILIP, BARTOSZ.

(Stają w rzędzie po prawej stronie, po lewej Łapka i Czesław, na przedzie Klara z jednej, Kasper z drugiej strony).

Marek: Moje dzieci, powiedzcie razem, głośno, jaśnie:
Kto jestem? *(milczenie)* Nie znacie mnie? *(milczenie)*.
Niech was piorun trzaśnie!
(czule) Ty Marto, żono Kaspra, którąm zawsze lubił,
Której nic dać nie chciałem, gdy cię mąż zaślubił,
Którąm już raz wypędził, uwiedziony plotką — 5
Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?

(Marta wzrusza ramionami).

Poczekaj, czeczotko!
(czule). Ty Filipie, którego rzadko minie kara,
Któremum za karafkę potrącił talara,

Którego nie chcę trzymać, który nie dbasz o to —
Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?

(Filip wzrusza ramionami).

Poczekaj, niecnoto! 10
(czule) Ty Bartoszu, którego kij często przemierza,
Którego co niedziela wsadzam do śpichlerza,
Który przy bramie stoisz od rana do rana —
Powiedz, powiedz, Bartoszu, nie znasz twego pana?

(Milczenie. — Bartosz wzrusza ramionami).

Niewdzięczni! nie znacie mnie! nikt mnie nie zna
w domu! 15
O chwilo zaślepienia, nieszczęścia i sromu!

(rzuca mundur, perukę i obraca się przed nimi w prawo i lewo).

Teraz — teraz znacie mnie?

(Milczenie. — Marek wybiega na sam przód sceny).

Co to jest? o Boże!

(po krótkiem zastanowieniu)

Kasprze! na tobie Zięba zawieść się nie może.
Kasprze! ty wierny sługo, zawsze przy mym boku,
Co mi strzeżesz szkatułki, sypiasz na tłumoku, 20
Słuchaj, słuchaj mnie, pana: uwalniam od słowa,
Zapomnij, jaka była przeklęta umowa,
Powiedz tu, jakeś Kasper, jak ci miłe zdrowie,
Ach powiedz, kto ja jestem, jak się twój pan zowie.
(do wszystkich): Cicho!

Kasper *(okazawszy, że wie, o co idzie):*
Jan Rembosz, rotmistrz; je-
[dziemy z Poznania. 25

Marek: O morderco! zabójco! — Lecz stój, bez gadania:
Gdzie papiery? gdzie skrzynka?

Kasper *(pokazując ucho żelazne):* To się z niej zostało.

Marek: Jak? co?

Kasper: Siedząc na bryczce, trochę się drzemało.
Wtem słyszę: ktoś przy skrzynce — nic to, dalej chrapię.
Niech kradnie, myślę sobie, na uczynku złapię. 30
Ba! już ciągnie, a ja łap! — On sobie, ja sobie.
Wtem trzask prask! ucho pęka w tak nagłym sposobie,
Że fik! on leżał w jednym, a ja w drugim rowie.
Dwóch nas leżało — on na plecach, ja na głowie.
On się zerwał piorunem, jam się zerwał duchem; 35
On w nogi, a jam został — on z skrzynką, ja z uchem.

Marek: Milcz! milcz!

(rzucając się na krzesło, na środku stojące):

Dosyć już tego, niegodziwa gębo!

(Czesław wszystkich odprawia, potem on z jednej, Klara z drugiej strony Marka stają; Kasper i Marta trochę w głębi przy przeciwnych stronach).

Scena XXIII.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, MARTA.

Klara: Mój mężu!
Marek *(w zapomnieniu)*: Jestem mężem?
Czesław: Ziębo!
Marek *(jak pierwej)*: Jestem Ziębą?
Czesław: Jesteś.
Marek: Czemże ty będziesz?
Czesław: Szwagrem mego pana.
Marek: Szwagrem?
Klara: Wszystko już dobrze.
Czesław: Wszystko rzecz udana.
Marek: A folwark?
Czesław: Niesprzedany.
Marek: A sad?
Czesław: Niewycięty.
Marek: A major?
Czesław: Nic nie zrobi.
Marek: A Łapka przeklęty? 5
Klara: Już poszedł.
Marek *(wstając)*: Ach, to dobrze.
Czesław: Jam namówił Klarę,
By ci za podejrzliwość tę zadała karę.
Kasper *(zdejmując perukę i wąsy)*:
Panie, teraz czas na mnie. — Marto! jak to będzie?
Marta: Kasprze, mógłżeś ty wierzyć? jestżeś dotąd w błędzie?
Miałżebyś się odmienić? chcieć mieć mędrszą głowę? 10
Kasper: Broń Boże!
Marta: Więc wiesz...
Kasper: Wiem, wiem, spełniałaś...
Marta: Umowę
(podają sobie ręce).
Klara: Przebaczasz mi więc szczerze, żem cię mogła dręczyć?
Marek: Przebaczam z duszy, serca — i mogę zaręczyć,
Że nie spełźnie daremnie ta nauczka mała;
Podejrzliwość na zawsze władać mną przestała. 15
Czesław: I bardzo sprawiedliwie. Wierz mi, przyjacielu:
Ta furya bezsenna nigdy nie ma celu;
Nie polepszy dobrego, złe pogorszy życie;
Kto byłby trzpiotem jawnie, będzie łotrem skrycie.
I tysięczne w pożyciu uczą nas przykłady, 20
Że podejrzliwość bywa matką wszelkiej zdrady.

Uwagi ogólne o literaturze w pierwszej części okresu siódmego.

Okres ten nowej poezyi nazywano powszechnie romantycznym. Nazwa to niezupełnie właściwa. Romantyczność, przez którą rozumiano podówczas zamiłowanie wieków średnich i rycerstwa, wprowadzenie do poezyi zjawisk ze świata nadzmysłowego i wyzwolenie się z pod reguł francuskiej czy rzymskiej (Horacyuszowskiej) estetyki, nie obejmuje i nie oznacza jak należy ani istoty ani znamion tej poezyi. Słuszniej jest nazywać ten czas okresem wielkiej poezyi, albo od człowieka, który stoi na jego czele, okresem Mickiewicza.

Rozszerzenie się nowej poezyi. Koledzy i przyjaciele Mickiewicza. Nowa poezya polska była więc narodzona, była faktem. Z największym zapałem przyjęli ją naturalnie ludzie młodzi, a przed innymi ci, co najbliżej Mickiewicza otaczali, jego wileńscy koledzy i przyjaciele, towarzysze młodości i pierwszych poetycznych uniesień i tworzeń. Pomiędzy tymi była pewna liczba mniejszych talentów, które odtąd około niego skupione i od niego przejmujące promienie światła, są jakby trabanty, krążące około wielkiego planety. Uczuciowi bardzo, jak cała ówczesna młodzież w Europie, z wyobraźnią rozmarzoną czytaniem i namiętnem podziwianiem poezyi, uczniowie wileńscy naturalnym popędem chcieli też sami tworzyć to, co podziwiali. Pisanie wierszy było u nich powszechne, a te wiersze były co do treści wyrazem ich własnych uczuć (różnych, ale zawsze szlachetnych), co do formy naśladowaniem tego, co czytali, a przedewszystkiem bardzo podówczas modnych ballad i tak zwanych romanc.

W ich liczbie był Tomasz Zan, dusza i głowa ich ówczesnego koleżeńskiego życia, mniej wybitny jako talent poetyczny; w ich liczbie Chodźko, Korsak, Odyniec. Nazwano później tę grupę poetów szkołą litewską: niezupełnie właściwie, bo cech odrębnie i wyraźnie litewskich ona nie miała. Miała wspólne pojęcia i dążenia estetyczne, wspólny zapał dla romantyzmu; miała jako cechę wspólną pewne podobieństwo do Mickiewicza, naśladowanie jego języka i wiersza, odkąd on objawił się jako pośród nich największy i pierwszy. Jeżeli szkoła zatem, to chyba szkoła mickiewiczowska.

Do najzapaleńszych wielbicieli i naśladowców Mickiewicza należał także Stefan Witwicki (Ballady, Edmund, naśladowanie Gustawa z Dziadów, Pieśni sielskie, Poezye biblijne).

Inna odmiana nowej poezyi. Poeci ukraińscy. Wilno było w tych latach głównem ogniskiem odrodzonej poezyi, ale nie jedynem. Równocześnie byli i tworzyli poeci romantyczni w Warszawie, choć nie Warszawiacy, tylko przygodami życia z dalekich wschodnich stron tam sprowadzeni. Bohdan Zaleski już około roku 1820 zaczął pisać (a po części nawet ogłaszać) swoje wiersze drobne, z których najwcześniejsze były także w pewnej zależności od szkoły dawniejszej; ale niebawem objawiły się w nich właściwe temu poe-

cie przymioty, lekkość przedtem niewidziana, a zwłaszcza dziwna dźwięczność wiersza, świeżość i tęskność uczucia, a nadto ta rzewna miłość stron rodzinnych, to żywe i tęskne uczucie ich poezyi i wdzięku, które sprawiło, że młody poeta o Ukrainie zawsze marzył i śpiewał, a wierszom swoim (może nawet bezwiednie) nadawał ton i charakter ukraińskich dumek.

Słusznie też można między naszymi poetami rozróżniać i wyszczególniać tę osobną grupę Ukraińców. Z czasem znajdzie ona swoich zastępców w prozie (Michał Czajkowski, Aleks. Groza i inni), ale w początkach zamyka się w obrębie poezyi, a jej głównym, najbardziej charakterystycznym reprezentantem jest Zaleski.

Nie był on wszakże jedynym. Jego kolega i przyjaciel Goszczyński szukał swoich natchnień i pomysłów w tych stronach i stosunkach (Zamek kaniowski), a powieścią ukraińską nazwał Malczewski swoją Maryę.

Ten drugi i odmienny kierunek, objawiający się w naszej poezyi od pierwszej zaraz chwili jej odrodzenia, dowodził jej żywotności i przyrodzonej wielostronności, wzbogacił literaturę dziełami wielkiej wartości i piękności, a przez nadzwyczajną płynność i dźwięczność, jaką językowi swemu umiał nadać Zaleski, przyczynił się bardzo do wyrobienia formy u wielu poetów późniejszych.

Stanowisko klasyków. Strony ujemne romantyzmu. Odkąd w dwóch pierwszych tomach Mickiewicza znaleźli ci młodzi poeci urzeczywistnienie swego ideału i gotowy wzór, a przez to ułatwienie, zaczęli naturalnie pisać tem więcej — poezya romantyczna zaczęła się szerzyć. Klasycy znów zaczęli tem bardziej i tem ostrzej przeciw nim występować (pierwszy Jan Śniadecki jeszcze w roku 1818); to początek tej literackiej wojny, która przeszła do historyi pod nazwą walki klasyków z romantykami.

Nowy kierunek romantyczny miał istotnie swoje strony słabe i niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem, w bezwzględnem podziwieniu dla wszystkiego, co romantyczne, niedość rozróżniał; brał za dobre i naśladował łatwowiernie wszystko, co widział u Anglików i Niemców, a przez to narażał się na zarzut słuszny, że wyrzucając klasykom ślepe naśladownictwo, sam wpada w podobne, tylko innych wzorów.

Powtóre, w oburzeniu na krępujące przepisy i w dążeniu do wyzwolenia się, nasi romantycy, biorąc, jak niegdyś Niemcy w epoce *der Genialität*, swoje natchnienie za jedyne źródło i jedyne prawo piękności, mogli jak tamci gwałcić prawa zdrowego rozsądku i tworzyć rzeczy niezrozumiałe, nieestetyczne, nawet niedorzeczne lub potworne i takiemi poezyę szpecić; co się też czasem istotnie słabszym talentom zdarzało.

Wreszcie, niebezpieczeństwo największe, bo grożące nie już literaturze, ale społeczeństwu samemu, to że za przykładem Byrona, za przykładem naśladujących go powieściopisarzy i poetów mniejszych, romantyczność zaczęła pojmować niezgodę ze światem jako

warunek i dowód wyższości, genialności i poetyczności. Stąd poszedł częsty w ówczesnem pokoleniu a szkodliwy i chorobliwy zwyczaj miłowania się we własnem nieszczęściu, przesadzania lub wmawiania w siebie takich nieszczęść, narzekania na świat, uważania się za ofiarę prześladowaną przez los, a niezrozumianą przez ludzi, wreszcie przesadzania własnych uczuć, nierzetelnego udawania przed sobą i ludźmi, sztucznej egzaltacyi i zapałów na zimno. Talenta prawdziwe, nawet kiedy były dotknięte tą chorobą, zdołały ją przemódz lub mimo niej tworzyć wielkie rzeczy; ale słabsze krzywiły się i marniały w tem fałszywem pojęciu życia, i zasypały literaturę wielką liczbą dzieł niby bardzo poetycznych, a na prawdę bez wartości.

A wkońcu, wiara zbyt wielka w moc i skutki uczucia i zapału samego, pewna pogarda rozwagi i rachuby jako rzeczy niby poziomych i nizkich, właściwa temu pokoleniu, okazywała się czasem w praktycznem życiu i działaniu i musiała nieraz okazać się szkodliwą.

Nie byli więc klasycy zupełnie bez słuszości, kiedy przestrzegali przed tym nowym kierunkiem. Zbłądzili w tem, że jednostronnie i uparcie widzieli tylko jego złe strony, a piękności oczywistych i jasnych jak słońce widzieć i uznać nie chcieli. Walka ta, prowadzona w różnych pismach publicznych, ciągnęła się aż do roku 1829, w którym cenzura rosyjska zakazała nie tylko pisać o dziełach Mickiewicza, ale nawet wymieniać jego nazwiska. Z młodych krytyków odznaczali się w niej najwięcej Maurycy Mochnacki i Michał Grabowski.

Szczyt poezyi polskiej przed rokiem 1830. Mickiewicz, wywieziony do Rosyi, podczas swojego tam pobytu napisał Sonety i Wallenroda. Sonety mogą liczyć się wogóle do najpiękniejszych w literaturze świata, krymskie zaś były pierwszą w literaturze świata próbą zastosowania tej formy do opowiadań i obrazów. Ten rodzaj sonetu był wynalazkiem Mickiewicza, nowym dowodem jego wyjątkowej zdolności i niemałym dla niego tytułem do chwały.

Wallenrod był także natchniony smutkiem, ale smutek to był innego rodzaju. Prześladowanie młodzieży wileńskiej, bezpośrednie doświadczenie ucisku i jego skutków, rozwinęły w sercu poety i podniosły do wyższej potęgi miłość ojczyzny, uczucie jej krzywdy i nienawiść nieprzyjaciela. Pobyt zaś w Rosyi, naoczne przekonanie się o potędze tego nieprzyjaciela i o trudności pokonania go, nadały tej nienawiści siłę i cechę namiętności.

Aż dotąd przeważał w tej odrodzonej poezyi pierwiastek literacki i artystyczny i pierwiastek uczuć ogólnie i niezmiennie ludzkich: w Wallenrodzie dopiero wystąpiły w niej na przód nasze historyczne i polityczne stosunki. Dodać jeszcze trzeba, że niektóre ustępy Wallenroda, a przedewszystkiem Pieśń i Powieść wajdeloty, należą do rzeczy najwznioślejszych i najwspanialszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek napisał.

Do Wallenroda, jak do swego szczytu, dochodzi nasza poezya przed r. 1830 i na nim nawet chronologicznie się kończy. Oprócz niego wydała ona jeszcze w tym czasie Zamek kaniowski Goszczyńskiego (jego najlepsze dzieło) i pierwsze młodzieńcze poemata Słowackiego (po niektórych można już było poznać talent niezwykły). Ale te, nie ogłoszone jeszcze i nieznane, nie mogły liczyć się do tych dzieł, które w poezyi naszej przed r. 1830 miały znaczenie i wywierały wpływ.

Znamiona tego okresu i jego nabytki. Poezya. Jakiż jest więc charakter i jaki nabytek tych pierwszych lat odrodzonej poezyi? Przedewszystkiem, zwrot jest już dokonany, poezya polska jest wprowadzona na tę drogę, na którą weszły były po kolei niemiecka, angielska, najpóźniej francuska. Zmienione są formy, zmieniony jest sposób pisania. W miejsce dawnych reguł francuskich, zbyt ścisłych i sztywnych, występuje swoboda i niezależność (nieraz aż zbyteczna); w miejsce dawnego stylu poetycznego, formułkowego i stereotypowego, występuje naturalny, samorodny sposób wyrażenia uczuć i myśli; w miejsce ogólnikowej, konwencyonalnej charakterystyki tworzonych postaci występuje ich wyraźny indywidualizm w swojej psychologicznej i historycznej prawdzie.

W Dziadach znajduje (po raz pierwszy w poezyi polskiej) swój wyraz zupełny miłość nieszczęśliwa a namiętna, w Wallenrodzie miłość ojczyzny nieszczęśliwej i zagrożonej upadkiem. W Maryi Malczewskiego po raz pierwszy ukazuje się dawny świat polski, szlachecki i rycerski, jako przedmiot poezyi; po raz pierwszy polska kobieta jako prawdziwie poetyczna postać. W Grażynie (znowu po raz pierwszy w naszej literaturze) występuje historyczny charakter czasów i cywilizacyi i pierwszy raz w tym stopniu przymioty właściwe poezyi epickiej.

Ballada i Romanca, swojem pochodzeniem, w swoich przedmiotach rycerskich lub fantastycznych i w swojej formie obca, wydaje przecież rzeczy piękne, a niektóre znakomite; rozmiarami zaś i rodzajem zbliżona do niej Duma Zaleskiego jest może najdoskonalszem zastosowaniem tej formy do naszej poezyi, jej przerobieniem i spolszczeniem — odmiennym, szczero-polskim jej gatunkiem. Powieść poetyczna, rodzaj mieszany, łożony z epickiego i lirycznego pierwiastku, przez Byrona stworzony i z wielkim zapałem w całej Europie przyjęty, u nas w Wallenrodzie, w Maryi i w Grażynie wydaje dzieła tak znakomite, że sam Byron piękniejszych nie pisał. Wreszcie, w skargach nieszczęśliwego Gustawa (czwarta część Dziadów), w Odzie do młodości, w Farysie, w Pieśni wajdeloty podniósł Mickiewicz poezyę polską do takich wysokości lirycznego natchnienia, do jakich przedtem nigdy nie była doszła.

Nie można zaprzeczać ani zapominać, żę poezya ta kształciła się w znacznej mierze na obcych pojęciach i wzorach, że przyjmowała je i naśladowała czasem zbyt łatwowiernie. Miała ona przecież mimo tych wpływów swój wybitny i odrębny charakter, najistotniej

i najrzetelniej narodowy. Nie dlatego, że była często patryotyczną (taką była i dawna poezya klasyków) — ale że tym uczuciom dając wyraz doskonały i zupełnie ich godny, odtwarzała poetycznie świat polski w całej jego rzeczywistości i prawdzie. Dramat wzięty z historyi polskiej, jak Barbarę Felińskiego, a nawet sielankę o polskim wieśniaku, jak Wiesław Brodzińskiego mógłby był napisać Francuz albo Niemiec: Miecznika z Maryi, Halbana z Wallenroda, Kozaków z Dumek Zaleskiego nie mógł stworzyć nikt, tylko Polak.

Ten charakter narodowy nie sprawia przecież w tych latach tego, iżby pierwiastek patryotyczny górował w poezyi nad wszystkimi innymi, jak to się stało po roku 1831 pod wpływem nowych a smutnych wypadków.

Drugie spostrzeżenie, które się tu samo nasuwa, jest to, że jest wprawdzie wielu młodych ludzi piszących wiersze, ale jest między nimi jeden tylko poeta genialny. Obok niego drugi wielkiego talentu, ale zmarły, zanim jeszcze był poznany i oceniony, Malczewski — i trzeci Zaleski, w swoim rodzaju i zakresie talent bardzo niepospolity. Wszyscy inni mają zdolności słabsze i albo (jedni) wyczerpują się i ustają rychło, albo (inni), choć zostają przez całe życie wierni swemu poetycznemu zawodowi, nie dochodzą w nim do wyższego stanowiska i znaczenia.

W końcu przypomnieć należy, że pomiędzy r. 1820 a 1830 powstała większa część komedyi Fredry, które wszakże z całym nowym romantycznym kierunkiem literatury nie mają nic wspólnego i stoją na boku, niezależne od bieżących tych lub owych pojęć i wpływów. Dodać też trzeba, że na ten czas przypadają pierwsze Próby dramatyczne Józefa Korzeniowskiego (1826 Klara, dramat w 1 akcie, i Aniela, tragedya w 5 aktach, a w r. 1830. Mnich. tragedya w 3 aktach).

Proza. W literaturze prozaicznej zwrot nowy zaledwo daje się spostrzegać.

W powieści na przykład, która jako utwór wyobraźni najpierwsza powinna była uledz tym wpływom, znać je chyba na jednej Pojacie Bernatowicza, która jest bardzo ładnym romansem historycznym w rodzaju Walter-Scotta. W powieściach obyczajowych i współczesnych, Skarbka na przykład albo Jaraczewskiej, choć jest niezaprzeczenie postęp od tego, co było dawniej, od »Malwiny«, a nawet od powieści Niemcewicza, to daleko jeszcze jest do tego stopnia wyrobienia, na jakim stanęła powieść w latach późniejszych. Wogóle literatura prozaiczna tych lat jest raczej uboga.

Dziejopisarstwo ma reprezentanta znakomitego w Lelewelu, który jak podówczas był, tak na zawsze zostanie jednym z największych u nas badaczy dziejów, ale jako pisarz wzorowym nie był nigdy, a jako historyk dał się opanować doktrynie, która we wszystkich jego dziełach późniejszych zbyt wyraźnie się przebija, a w ówczesnych już przebijać zaczyna. Niemniej jego badania są wielkim w naszej historyografii postępem.

W filozofii nowością jest wpływ bezpośredni i wielki uczonych niemieckich, może reakcya przeciw temu wstrętowi, jaki miał do nich Jan Śniadecki, a w każdym razie przygotowanie do zbytecznego i łatwowiernego uwielbienia Hegla, jakie objawi się niebawem. W każdym razie, jeżeli w filozofii Śniadeckiego widziało się tylko bardzo rozumne i dobre powtórzenie systemu innych (Anglików), to Józef Gołuchowski jest może pierwszym z Polaków studyującym filozofię z tym stopniem samodzielnego myślenia, który już prowadzi (jeżeli nie dochodzi) do własnego systemu.

Estetyka, filozoficzna teorya piękności, zjawia się także po raz pierwszy w naszej literaturze, w pismach naprzód Brodzińskiego, a potem Mochnackiego i Grabowskiego. Zrazu (zwłaszcza u Mochnackiego) od Niemców (od Schellinga) zupełnie zależna i zjawiająca się nie pod formą własnego systemu ani nawet osobnego dzieła, tylko jako podstawa literackich krytyk i rozpraw — jest przecież i ona także rzeczywistym i pożytecznym krokiem naprzód w nauce.

Te prace krytyczne i estetyczne, a po części i inne naukowe zjawiają się w peryodycznych pismach literackich i naukowych, które w tym czasie zaczynają się mnożyć i nabierać znaczenia.

Poza tem wszakże trudno w prozie ówczesnej wskazać coś nowego i znaczącego. Dzieł lub broszur treści politycznej niema w tych latach wcale. Z nauk — oprócz ścisłych — postęp znaczny robi Ekonomia polityczna, którą po raz pierwszy u nas w dziełach Skarbka okazuje dążenie do odrębności i samoistności jako osobna i samodzielna nauka.

Prócz tego rozwija się dzielnie i szczęśliwie literatura pedagogiczna w dziełach Klementyny Tańskiej: tak w tych, które przeznaczone były dla dzieci i wyrostków, jak i w tych, które służyć miały do użytku wychowujących, rodziców lub nauczycieli.

OKRES SIÓDMY

II. CZASY PO ROKU 1831.

1. Emigracya. Rok 1831 skończył się przegraną. Między jego skutkami (zniesienie konstytucyi królestwa kongresowego, szkół polskich na Litwie i Rusi, uniwersytetu wileńskiego; w lat kilka później [r. 1839] krwawe prześladowanie Unii na Litwie i zapisanie ludu na prawosławie) do najważniejszych zaliczyć należy emigracyę. Wojsko, które nie chciało złożyć broni, członkowie rządu, ogółem wszyscy ci, których czekała śmierć lub Sybir, gdyby byli w kraju zostali, wyszli za granicę. Ale za nimi pociągnęło mnóstwo takich, którzy z mniejszem niebezpieczeństwem zostać byli mogli, a wyszli, porwani jakimś silnym prądem, złudną nadzieją, że w czasie niezbyt dalekim zajdą wypadki, które im pozwolą wrócić do ojczyzny z bronią w ręku, zwycięsko. Kilkanaście tysięcy Polaków przeniosło się w różne strony świata, głównie do Francyi. Emigracyi równie licznej nie było dotąd przykładu w historyi. Ta, aż do roku 1863, była czynnikiem niezmiernie ważnym w naszych dziejach.

Na literaturę polską wpłynął fakt emigracyi nie mniej, jak na historyę. Przedewszystkiem przez to, że co tylko było najzdolniejszych i najświetniejszych talentów, znalazło się za granicą. Jedni z konieczności, inni porwani przykładem, wyszli z kraju najznakomitsi poeci i pisarze, od Mickiewicza począwszy, tak, że ognisko literatury było przez lat ośmnaście we Francyi; w kraju zostały tylko mniejsze talenta albo ludzie zupełnie młodzi, którzy w przyszłości dopiero zdobyć sobie mieli imię i stanowisko. Za granicą literatura była wolna, nie krępowała jej żadna cenzura; wszelka myśl polska i polska boleść mogła tam wypowiedzieć się swobodnie. A właśnie po takim wybuchu silnym a nieszczęśliwym, jak było powstanie roku 1830, i po wszystkich publicznych i domowych nieszczęściach, jakie jej zły obrót za sobą pociągnął, uczucie patryotyczne potrzebowało wylać się na zewnątrz, wypowiedzieć wszystkie swoje uciski i swój ideał, swoje wspomnienia i swoje nadzieje. To zaś stać się mogło jedynie w słowie pisanem i przez nie, w poezyi przedewszystkiem, i to w poezyi swobodnej, zatem w emigracyjnej.

2. Pierwiastek patryotyczny w poezyi. Było rzeczą zupełnie naturalną, że poezya stała się jedynym wyrazem tych uczuć, które stanowiły treść duszy narodu; że skoro sama jedna mogła być

takim wyrazem, więc w życiu narodu zajęła wyjątkowe, nigdzie może niewidziane stanowisko. Wreszcie, kiedy sama jedna mogła otwarcie i śmiało mówić o ojczyźnie i jej miłości, myślała o niej i mówiła przedewszystkiem, prawie rzec można wyłącznie i jedynie. Poemata, któreby w tych latach nie mówiły o Polsce, o jej świętych nieszczęściach, o jej przeszłości albo o jej przyszłości, są rzadkie i nieliczne. Pierwiastek patryotyczny, który był zawsze, ale nie był jedynym i wyłącznym, teraz bierze górę nad innymi stanowczo i zupełnie i wybija swoje piętno na całym tym okresie poezyi.

3. Kierunek wieszczy. Po roku 1830 dwie główne myśli opanowały ducha narodu: jedna — dlaczego spotkał go taki los? druga — jaka będzie jego przyszłość? Do tych dwóch myśli zwraca się teraz, niemi zajmuje się głównie, te dwa pytania rozwiązać usiłuje — poezya. Poezya wchodzi w dziedzinę filozofii historyi, o ile zwraca się do przeszłości i tę chce zrozumieć i wytłómaczyć: w dziedzinę przewidywań, przeczuć, przepowiedni, kiedy stara się przedrzeć i rozsunąć zasłony przyszłości. Że zaś naród cały (jego część myśląca i świadoma siebie) niczego tak nie pożądał namiętnie, jak rozwiązania tej zagadki swoich losów i dziejów: rzecz więc prosta, że z zapałem i wdzięcznością bez granic, a z wiarą aż zbyteczną przyjmował tę poezyę, która nie tylko przynosiła mu odpowiedź na powyższe pytania, ale jeszcze dawała na nie odpowiedź pocieszającą, krzepiącą na duchu, rozkoszną. Tak zaczął się zwrot poezyi ku przyszłości, jej kierunek zwany wieszczym, i niema poety, aż do najmniejszych i najsłabszych, któryby o tych kwestyach nie myślał i nie pisał.

4. Odrodzenie uczuć i przekonań katolickich. W wielu narodach europejskich były w tych latach umysły wysokie i serca szlachetne, które wierzyły w ideał równowagi świata, opartej na sprawiedliwości i wolności, na wprowadzeniu chrześcijaństwa rzetelnie i na prawdę w stosunki polityczne i międzynarodowe, a widząc w tem podstawę i warunek konieczny istotnego postępu, uważały za swój obowiązek do niego dążyć. Byli tacy we Włoszech, w Hiszpanii, nawet w Anglii; najliczniej może we Francyi. Tylko przechodząc przez różne umysły i usposobienia ludzkie, ideał ten przybierał różne kształty. Powszechny niepokój dusz i sumień, powszechne uczucie, że sama dusza ludzkości potrzebuje naprawy, jeżeli poprawić się mają jej prawa i dzieje — wyrażały się i objawiały przez te różne dążności i nauki.

Pomiędzy tymi kierunkami ówczesnego europejskiego życia jednym z najważniejszych było odrodzenie uczuć i przekonań katolickich, które po rewolucyi francuskiej poczęte, wywołało nowe życie w Kościele; po tem osłabieniu i zgnuśnieniu katolickiego życia, jakie było w wieku XVIII, nastąpił jakby nowy i potężny jego wybuch. Do nas wszakże, przed rokiem 1830, dochodził on bardzo słabo jeszcze. Żyliśmy częścią w tradycyjnej prawowierności uczuć bez wyrobionych i rozumowych przekonań, częścią w obojętności chłodnej, odziedziczonej po wieku XVIII, częścią w tem mniemaniu dziwnem, ale nierzadkiem, że brak wiary jest warunkiem i początkiem postępu.

Kiedy emigracya znalazła się we Francyi, musiała bez swojej wiedzy i woli uledz wpływom tych pojęć i dążności, które tam wtedy właśnie wyrażały i ścierały się potężnie. Byli też w emigracyi tacy, którzy rychło wyzuli się z religijności i przywiązania do Kościoła. Byli inni, którzy tam dopiero poznali, że religijne uczucie nie jest jeszcze religijnem przekonaniem i życiem, że zrozumienie Kościoła, świadomość jego istoty i potrzeby, że żywy z nim związek i zjednoczenie istotne a czynne było u nas bardzo zatracone, nie przez złą wolę, ale przez niewiadomość, niedbałość i nieczynność. Po takiem spostrzeżeniu rychło nastąpić musiało przekonanie, że skoro odrodzenie narodu musi się rozpocząć od odrodzenia jego duszy, to to znowu nie może się zacząć bez odrodzenia czy przywrócenia życia religijnego.

Ten kierunek na emigracyi skupiał się około Mickiewicza, a głównymi reprezentantami byli prócz niego Zaleski, Witwicki, Stanisław i Jan Koźmianowie, Cezary Plater i t. d. Mickiewicz utrzymywał, że na to, by poprawić emigracyę i związać ją naprzód, a przez nią naród z Bogiem i Kościołem, potrzebny jest nowy, z jej łona wyszły zakon. Znaleźli się ochotnicy, żołnierze z roku 1831, Kajsiewicz i Semeneńko, którzy przyjęli stan kapłański i założyli zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego. Ono było skutkiem, najlepszym wyrazem katolickiego zwrotu na emigracyi, a zarazem dalszą przyczyną, siłą poruszającą w postępie i wzroście katolickich uczuć i przekonań w Polsce. Z jego łona wyszło też nowe odrodzenie naszej wymowy kościelnej.

5. Towianizm. Obok kierunku katolickiego był inny, religijny także, ale bardzo różny, który się wielokrotnie i rozmaicie w ówczesnym świecie objawiał i nam udzielił. Oczekiwanie, pragnienie wielkich, stanowczych zmian w samym moralnym nawet stanie świata rodziło w niektórych myśl, że chrześcijaństwo, skoro przez tyle wieków nie zdołało ludzkości zupełnie do Boga nawrócić, to i nadal mocy tej mieć nie będzie i skutku tego nie osiągnie, że zatem potrzebna jest wiara jakaś nowa, wyższa i doskonalsza. Znajdowali się ludzie, którzy siebie mieli za powołanych do takiego dzieła i tworzyli nowe nauki religijne (St. Simon we Francyi, wiele sekt w łonie wyznań protestanckich etc. etc.). Inni znowu (Lammenais) z żarliwego i aż namiętnego katolicyzmu przechodzili stopniowo do przekonania, że skoro Kościół nie brał śmiałej i doraźnej inicyatywy w tem spodziewanem odrodzeniu ludzkości, musi być do takiego dzieła niezdolnym. Tacy buntowali się i zrywali z Kościołem; a nawet kiedy sami nowych wiar nie wymyślali ani przyjmowali, przypuszczali przecież, że się one znajdą i objawią.

U nas odbiciem i wyrazem tych usposobień, tego stanu umysłów stał się Andrzej Towiański, Litwin, mistyk, który uczuł się powołanym do objawienia nowej wiary i wybrał się do Francyi w celu nawracania emigracyi.

Naukę tę zwolennicy jej nazwali messyanizmem.

Do emigrantów, żyjących ciągle w oczekiwaniu blizkich, jak mniemali, a nadzwyczajnych wypadków, łatwy przystęp mogły mieć

takie nowości, pełne obietnic i przepowiedni; wszakże jeżeli nauka Towiańskiego zdołała między nimi przyjąć się i szerzyć (nigdy bardzo silnie zresztą), to dlatego głównie, że przylgnął do niej Mickiewicz. On swoim potężnym umysłem dodał jej treści, swojem słowem powagi i ozdoby, swoim przykładem i wpływem siły, bo stał się niejako jej poręczycielem.

Nauka ta była, jak inne współczesne, zjawiskiem naturalnem i wynikiem niezdrowych stosunków XIX wieku, skutkiem sprzeczności między sumieniem i prawem a rzeczywistością: była przez to samo tem więcej naturalną i zrozumiałą w naszem społeczeństwie. Nie mniej była bolesnym dla ogółu błędem tych, którzy dali się nią porwać.

Juliusz Słowacki.

I. (1809—1833). Młodość. Syn Euzebiusza (profesora literatury polskiej w Krzemieńcu, a później, od r. 1811, w uniwersytecie wileńskim) i Salomei z Januszowskich, urodzony w Krzemieńcu 23. sierpnia 1809, stracił ojca w piątym roku życia. Matka (w roku 1817) wyszła powtórnie za mąż za doktora Bécu (profesora uniwersytetu wileńskiego), poczem chłopczyna chował się w domu ojczyma, przy jego dwóch (starszych od siebie) córkach z pierwszego małżeństwa, które pokochał jak własne siostry. Nauki szkolne odbywał świetnie, a od dzieciństwa okazywał już pociąg do poezyi, skłonność do marzeń i rojeń, wyobraźnię niezwykle żywą. Zawarł w szkole przyjaźń ze starszym od siebie kolegą, Ludwikiem Szpitznaglem, młodzieńcem chorobliwie romantycznego usposobienia, który później skończył samobójstwem, a wpływem swoim w młodym Julku rozwijał skłonność do rozmarzenia. Rychło też objawiła się ona miłością (którą Słowacki nazywa pierwszą i jedyną) do Ludwiki Śniadeckiej, córki Andrzeja. Miłość ta była nieszczęśliwą: bo panna, znacznie od niego starsza, nie kochała go wzajemnie. Wkrótce spadło na dom prawdziwe nieszczęście, gdy doktor Bécu zginął zabity uderzeniem piorunu (1824). Wdowa pozostała w Wilnie, ażeby z blizka doglądać nauk i wychowania syna. W roku 1826 przerwał Słowacki nauki uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż przez Podole do Odessy. W roku 1828 wstąpił do służby w Warszawie, w Komisyi skarbu, pod ministrem ks. Lubeckim. Zawiązał (lub odnowił dawne wileńskie) stosunki z młodymi literatami i poetami, a Niemcewiczowi dał do czytania pierwsze swoje poezye, mianowicie dramat Mindowe, który stary Nestor literatury bardzo przychylnie ocenił. Miał już wtedy Słowacki, oprócz drobnych wierszy, w Wilnie jeszcze pisanych, gotową Maryę Stuart i powieści (w rodzaju Byrona) Mnich, Arab, Hugo, Jan Bielecki.

Wybuchło powstanie 29. listopada. Słowacki pod jego wrażeniem napisał kilka wierszy (np. Oda do wolności, Kulig), poczem niespodzianie w marcu roku 1831 wyjechał za granicę.

Emigracya. Udał się naprzód do Drezna, nie wiedząc, co z sobą począć po nagłym i nierozważnym wyjeździe, kiedy tam powierzono mu ważne papiery z Warszawy z poleceniem, ażeby je zawiózł do Londynu. Tymczasem powstanie upadło. Słowacki pojechał do Paryża i został na emigracyi.

Tu zajął się wydaniem swoich dawniejszych poezyi i zaczął pisać Żmiję i Lambra. Przyjechał do Paryża Mickiewicz. Pierwsze spotkania były nie serdeczne, ale uprzejme; niebawem jednak poczęła się jakaś obustronna niechęć. Pod koniec roku 1832 wyszła trzecia część Dziadów, a w niej znalazł Słowacki swego ojczyma, zabitego piorunem doktora, w roli prześladowcy i donosiciela. Powziął stąd żal gwałtowny do Mickiewicza, chciał go wyzwać, ale odwiedli go przyjaciele od tego zamiaru. Zostać w Paryżu, spotykać Mickiewicza, a nie upomnieć się o tę obrazę drogiej sobie pamięci, było mu nieznośnem. Wyjechał do Szwajcaryi i osiadł w Genewie.

II. (1833—1841) Kordyan. Tu powziął myśl, ażeby zemścić się na Mickiewiczu poematem, któryby przewyższył Dziady: napisał Kordyana. Istotnie dzieło to oznacza wielki postęp i stanowi okres w jego zawodzie poetycznym. Dotychczas w swoich powieściach poetycznych był prostym naśladowcą Byrona, podobnym do wielu, a dalekim od piękności Wallenroda lub Maryi Malczewskiego. W drobnych wierszach dawniejszych przypominał Zaleskiego, w patryotycznych, pisanych w roku 1831, był raczej zimnym mimo pozorów zapału. Po jego dramatach można było wróżyć lepiej, zwłaszcza po Mindowem, który ma sceny piękne i niektóre figury szczęśliwie pomyślane; ale i w Mindowem i w Maryi Stuart było tyle pomysłów nierozważonych i nieusprawiedliwionych, tyle sprzeczności między zamiarem a wykonaniem, że były to w każdym razie dzieła talentu jeszcze niedojrzałego.

Kordyan pierwszy był dziełem talentu bardzo znakomitego. I w nim wprawdzie jest niedojrzałość, nie talentu, ale myśli i zamiaru, która niestety powtarzać się będzie u Słowackiego nieraz, aż do śmierci: niedojrzałość myśli i zamiaru w tem mianowicie, że chciał stworzyć w Kordyanie ideał bohatera, człowieka czynu, zbawcy, a stworzył poetycznego i szlachetnego, ale rozmarzonego, nerwowego, słabego romantyka, byronistę. Mimo tej różnicy między zamiarem a wykonaniem jest tyle w Kordyanie poetycznej piękności, że od niego liczyć należy drugi, najświetniejszy okres w zawodzie Słowackiego.

Mniemał on, że tym poematem przewyższy Mickiewicza dlatego, że Konrad z Dziadów tylko kochał i cierpiał za miliony, a jego Kordyan miał za miliony działać. Nie spostrzegł się jednak, że sam jego pomysł podstawny był wzięty od Mickiewicza i z Dziadów. Tu i tam główną treścią jest przemiana człowieka, który po różnych przejściach i uczuciach osobistych znajduje swoje powołanie w poświęceniu się dla ojczyzny. Że zaś sposób tego poświęcenia jest inny u Kordyana, to stanowi tylko odmianę w pierwotnym pomyśle, jak monolog Kordyana na górze Mont-Blanc jest tylko od-

mianą (i to dość słabą) Improwizacyi Konrada. Wpływ Dziadów na Kordyana nie tylko w tem jest widoczny. Akt pierwszy, w którym Słowacki umieścił wspomnienia swojej miłości do Ludwiki Śniadeckiej, przypomina bardzo Dziadów część czwartą. Niemniej należy ten akt do rzeczy piękniejszych w tym rodzaju, którego ojcem i wzorem był Werther. Akt drugi, podróże i przygody Kordyana po świecie, jest znowu odbiciem Byrona, a zwłaszcza Hild-Harolda. Trzeci, w którym odbywa się (i rozchodzi) spisek koronacyjny na cesarza Mikołaja I, okazuje Kordyana rozmarzonym poetą, a nie dzielnym bohaterem; ale natchnienia i dramatycznej siły ma bardzo wiele. Scena w więzieniu, kiedy skazany Kordyan gotuje się na śmierć, należy do najpiękniejszych w poemacie, który ogółem wziąwszy, przy wszystkich swoich usterkach, ma piękności pierwszego rzędu.

Mazepa. Po Kordyanie nastąpił w chronologicznym porządku dzieł Słowackiego Mazepa.

Dziwna jest rzecz, że poeta tak wrażliwy jak on i tak zawsze swojem własnem uczuciem opanowany, miał taką skłonność i taką zdolność do tego rodzaju poezyi, który wymaga właśnie przeniesienia się poety w naturę i uczucia tworzonych przez niego postaci ludzkich; ale faktem jest, że ze wszystkich naszych poetów najwięcej pociągu i najwięcej talentu do dramatu okazał Słowacki. Jego tragedye, choć każdej z nich wiele można zarzucać, stoją do dziś dnia na samem czele naszej poezyi dramatycznej.

Mazepa był pomyślany i napisany pod wpływem romantycznego dramatu francuskiego (taka już była natura Słowackiego, że przyjmował bardzo łatwo wpływ tego, co właśnie czytał lub widział, i wpływ ten zawsze, czasem bezwiednie — w swoich dziełach odbijał). Naprężone i dręczące sytuacye w Mazepie, wykonanie ich przesadnie energiczne i jaskrawe, niektóre efekta błahe i naciągane, wszystko to wpływ dramatu francuskiego (głównie Wiktora Hugo), a zarazem powód, dla którego tragedya w całości piękną i dobrze pomyślaną nie jest. Ale trzy figury: Zbigniew, Wojewodzina i Mazepa, mają tyle życia i poetycznego wdzięku, nieszczęśliwa miłość między pasierbem i macochą skreślona jest z tak delikatnym, artystycznym a tak szlachetnym moralnym zmysłem, niektóre sceny (rozmowa Zbigniewa z Mazepą, jego pożegnanie z Wojewodziną, opowiadanie Mazepy przy jego odmurowaniu) są takie wzruszające, język i wiersz wreszcie tak piękny, że choćby nawet dramat polski doszedł z czasem do najwyższej możliwej doskonałości, to Mazepa zawsze liczyć się będzie do jego świetnych ozdób.

Balladyna. Z wyobraźnią bujną i lotną, która musiała zawsze snuć coraz nowe pomysły, powziął teraz Słowacki zamiar bardzo śmiały, ale bardzo też ponętny. Chciał odtworzyć z podań i legend Polskę przedchrześcijańską, najdawniejszą, w szeregu kilku (jak się wyrażał) »dramatyzowanych kronik czy legend«. Mówił sobie, że z takich przedhistorycznych, mitycznych podań brali tragicy greccy przedmioty do swoich dramatów i zrobili z nich arcydzieła dotąd

nieprześcignione. W naszych podaniach, o poświęceniu Wandy na przykład albo o okrucieństwach Popiela, czy nie znalazłby się piękny materyał poetyczny i tragiczny? Fantazya, oczarowana tym pomysłem, zaczęła układać plan szeroki, obejmujący sześć takich dramatów: ale z czasem zarzucił poeta ten zamiar, z którego powstały tylko dwa dramata: Lilla Weneda, późniejsza, i napisana teraz w Szwajcaryi Balladyna.

Na tej pokazał się (po raz pierwszy tak wyraźnie) wrodzony błąd natury i talentu Słowackiego, ten mianowicie, że poeta pomysłu, zrodzonego w swojej fantazyi, nie lubił (może nie był zdolny) należycie rozważyć i wykończyć refleksyą i zastanowieniem. Skoro chciał tworzyć dramata z przedchrześcijańskich podań polskich, należało w treści tych dramatów trzymać się tych podań, wprowadzać imiona i zdarzenia w nich przechowane. Bez tego niepodobna nam uwierzyć, że to są poemata z tych podań wzięte i na nich oparte. Ale Słowacki, zachwycony swoim pomysłem, gdy przystąpił do wykonania, spostrzegł się, że te podania dostarczały mu bardzo mało i figur i wypadków: osnowę swego dramatu musiał sam uzupełnić i dorobić.—Wtedy pomyślał, że w pieśniach i powieściach ludu (oryginalnych lub artystycznie przerobionych) znajdzie i przydatne dramatyczne sytuacye i taki rodzaj pojęć i uczuć, jaki mógł być w odległych, prawie pierwotnych czasach. Z ballad tedy (Maliny Chodźki, Lilie Mickiewicza) zaczął brać motywa do swego dramatu; ale te z jego pierwotnym zamiarem, z tem poetycznem odtworzeniem przedwiecznych dziejów Polski, już w zgodzie nie były, mówiły o domowych, rodzinnych tylko zajściach lub występkach. Prócz tego dostarczały mu materyału na jeden szczegół, jedną sytuacyę, ale nie na cały ciąg tragicznej akcyi.—Trzeba więc było oprócz tej pomocy szukać jeszcze innej. Słowacki z zapałem czytał i podziwiał Szeskpira, przesiąkał (może bezwiednie) jego wspomnieniami i wrażeniami; z Szekspira też wziął to, czego mu jeszcze brakło do wątku jego dramatu. I tak z trzech różnych pierwiastków złożył Balladynę. Pierwszym jest ten śmiały zamiar odgadnienia i odtworzenia Polski przedchrześcijańskiej (zamęt i rozprzężenie, zrzucony z tronu król Popiel, rycerz Kirkor, który go chce na tron przywrócić, lud zebrany na wybór króla nowego — to są rzeczy należące do tego pierwiastka). Rycerz zdający wybór żony na los, dzbanek malin, zabójstwo jednej siostry przez drugą, spowiedź Balladyny przed pustelnikiem — to jest drugi pierwiastek, balladowy. Dalsze zaś losy Balladyny, ten fatalizm złego, który jej każe nowemi zbrodniami zakrywać stare, lub zapewniać sobie to, co pierwszemi zyskała, to jest pierwiastek trzeci, to rzeczy czerpane z Szekspira (z Macbetha, a po części z Leara), jak znowu świat fantastyczny, Goplana, Skierka i Chochlik, wzięte są także żywcem z Szekspira (ze Snu nocy letniej). Te trzy pierwiastki organicznie z sobą połączyć się nie mogły. Wątek balladowy poematu nie odpowiadał pierwotnemu zamiarowi historycznemu, legendowemu; sytuacye wzięte z Macbetha i z Leara przywaliły i przygłuszyły i treść balladową i zamierzoną

legendę z dziejów polskich; a pierwiastek fantastyczny znowu (Goplana i jej wpływ na sprawy ludzkie) nie łączył się logicznie ani z jednym ani z drugim. Wszystko razem wziąwszy, Balladyna jest dziwnym poematem, który ma pozór i kształt organicznej jedności, a nie ma organicznego związku, jedności myśli, dostatecznej jasności i świadomości zamiaru. Co nie przeskadza, że ma istotne i niepospolite piękności: za najcelniejszą z nich uważać należy ten świat fantastyczny, nadzmysłowy (Goplana i jej podwładni), z Szekspira wprawdzie naśladowany, ale wykonany tak cudnie, że sam Szekspir nie potrafiłby lepiej.

W Szwajcaryi. W roku 1834 przyjechała do Genewy polska rodzina Wodzińskich, złożona z matki i kilkorga dzieci, między któremi była i córka dorosła, panna Marya. W lecie roku 1834 wybrał się Słowacki z całą tą rodziną na małą podróż po Szwajcaryi (góra św. Bernarda, jeziora Czterech kantonów, Thun i Brienz).

Z tego wypadku w życiu poety powstał poemat W Szwajcaryi. Nie jest on wiernym obrazem ani wypadków samych ani nawet uczuć poety. Uczucie jego dla panny Maryi W., jeżeli było żywsze i czulsze, to nie było ani silne ani trwałe, i było mu bardzo daleko do tej miłości gorącej, do tej potem rozpaczy bez granic, jakiej wyrazem jest jego poemat. Wypadki zaś są zupełnie zmyślone. Jest to fantazya na tle wspólnej podróży po górach. On sobie wyobraża i roi, coby się było mogło stać, gdyby oboje, porwani nieprzezwyciężonem uczuciem, byli poszli gdzieś daleko od ludzi, gdyby w tej samotności był ją poślubił, i gdyby potem ona była umarła. Ale ta fantazya, to rojenie wyobraźni, stało się najpiękniejszym poematem miłości, jaki jest w języku polskim, i jedną z rzadkich doskonałości i arcydzieł w poezyi Słowackiego.

Podróż na wschód. Po wycieczce w góry opuścił poeta Genewę i przeniósł się na drugą stronę jeziora, do wioski Veytoux; ale po kilku miesiącach wrócił do Genewy. Właśnie wtedy brat jego matki wybierał się z żoną (jedną z jej pasierbic a przybranych sióstr Juliusza) do Włoch, więc tam udał się poeta. W Rzymie poznał się i zaprzyjaźnił z Zygmuntem Krasińskim, potem zachwycał się widokami Neapolu, kiedy niespodzianie nadarzyła mu się sposobność podróży do Grecyi, do Egiptu i do Ziemi świętej (w lecie 1836). Podróż ta trwała prawie rok. Jej zaś poetycznym plonem jest (oprócz drobnych wierszy, z których najpiękniejszy Hymn na morzu, List do Aleksandra H., t. j. Hołyńskiego, towarzysza podróży) fragment Podróży na Wschód i Ojciec zadżumionych.

Podróż na Wschód (fragment znaleziony i ogłoszony po śmierci autora) jest poniekąd naśladowaniem Don Juana Byrona, a przez to przygotowaniem do Beniowskiego. Przechodzi on ciągle z tonu poważnego lub uczuciowego w żartobliwy, a czasem ironiczny i gorzki, ale ani w jednym ani w drugim tonie świetny nie jest. Ma wszakże dwa ustępy wspaniałe. Jednym jest Noc nad zatoką korynką, drugim Grób Agamemnona, rzecz pod względem uczucia jak formy jedna z najwyższych, jakie Słowacki

napisał: niezrównany wyraz patryotycznego bolu. Wiersz ten byłby godzien bezwzględnego i najgorętszego podziwienia, gdyby w zakończeniu przez nadmiar swojego cierpienia nie był się poeta posunął do kilku słów obelgi dla swojej ojczyzny.

Ojciec zadżumionych. Ojciec zadżumionych jest niezaprzeczenie jego artystycznem arcydziełem. W podróży z Egiptu do Ziemi św. odbywał on kwarantannę na pustyni, a miejscowy lekarz opowiadał mu historyę nieszczęśliwego Araba, który na tem samem miejscu stracił po kolei siedmioro dzieci i żonę, potem zaś zdrów, tylko sam jeden pojechał do domu. Z tego opowiadania zrobił Słowacki powieść, nad którą niema nic smutniejszego i nic doskonalszego. Stopniowanie żalu tego nieszczęśliwego ojca, rozmaitość tego żalu, który po każdej nowej stracie jest odmienny, rozpacz głucha i niepocieszona, która na nim cięży, a w tej rozpaczy ani jednego słowa czy tonu przesadnego, zbyt jaskrawego — wszystko to daje nam prawo liczyć ten mały poemat do wielkich arcydzieł poezyi świata. Sławny Więzień Chillonu Byrona, rozmiarami a poniekąd treścią podobny (tam jest śmierć braci, tu dzieci), nie może przecie równać się z Ojcem zadżumionych, który tem jeszcze zasługuje na uwagę, że jest jednym z niezmiernie rzadkich w poezyi świata wyrazów boleści rodzicielskiej. Jakim sposobem zdołał ją tak odgadnąć i oddać człowiek, który nigdy nie był ojcem, to już tajemnica poetycznej intuicyi Słowackiego.

Ojciec zadżumionych i Szwajcarya wyszły razem z dodatkiem Wacława jako Trzy poemata (w Paryżu r. 1839). Wacław, pisany jak się zdaje w Neapolu przed podróżą wschodnią, jest niby dalszym ciągiem życia i dziejów Wacława z Maryi Malczewskiego. Jest to Wacław już stary, umierający z trucizny podanej mu przez żonę, a przed śmiercią robiący spowiedź ze swego życia. Gdyby był cały taki jak jego początek i jak ta spowiedź, byłby może godnym towarzyszem tamtych dwóch poematów. Ale dodatki (żona Greczynka, jej kochanek, Eolion, syn z pierwszej żony, otrucie popiołami przodków) nie robią go smutniejszym i tragiczniejszym, a robią zawiłym, przesadnym i niepodobnym do prawdy.

Anhelli. Jest to może najdojrzalszy i najgłębszy ze wszystkich poematów Słowackiego. Jak Dziady i Księgi pielgrzymstwa, jak Kordyan — tak i on natchniony jest dzisiejszem położeniem narodu i smutnem rozmyślaniem o jego przyszłości. Małecki (w dziele o Słowackim) określił najlepiej jego cel i objaśnił znaczenie. Podług niego Sybir jest tylko dekoracyą, uboczne figury dodatkami i ozdobami, a prawdziwą treścią jest obraz tego, co naród cierpi, i tego, co czyni. Nigdy właściwa Słowackiemu tęskność i rzewność nie była smętniejszą i bardziej rozdzierającą, jak właśnie w Anhellim w obrazach tych cierpień; a znowu w przedstawieniu naszych czynów i błędów (przyczem Słowacki miał na myśli przedewszystkiem emigracyę) jest tyle surowej i gorzkiej, ale niezaprzeczonej prawdy, że napisanie Anhellego należy policzyć Słowackiemu za akt niepospolitej odwagi i obywatelskiej zasługi.

Piękność języka i niektórych obrazów jest znowu nad wszelkie pochwały. Niektóre szczegóły niezrozumiałe. Myśl zaś podstawna, zbawienie narodu przez cichą i bierną ofiarę szlachetnie cierpiącego serca, poetycznie wzniosła, praktycznie byłaby oczywiście mylną; ale też nie szuka się w poezyi i nie żąda od poetów reguł praktycznego postępowania.

Po powrocie ze wschodu osiadł Słowacki na rok przeszło we Florencyi. Tam wykończył Anhellego, rozpoczętego jeszcze w Ziemi św. (wyd. w Paryżu 1838). W Florencyi napisał poeta jeszcze Piasta Dantyszka poemat o piekle. Pomysł był piękny. Kary i zgryzoty winowajców mogły były natchnąć i uczucie i wyobraźnię. Niestety, wykonanie się nie udało: poemat pełen fałszywej rubaszności, obrazów wstrętnych i budzących obrzydzenie zamiast zgrozy, jest rzeczą może najsłabszą ze wszystkich, jakie Słowacki napisał.

Lilla Weneda. Na rok 1839 powrócił do Paryża, gdzie odtąd już stale przesiadywał. Znaczniejszym poematem, który teraz nastąpił, była Lilla Weneda (wydana w Paryżu r. 1840).

Należy ona, jak Balladyna, do owego zamierzonego a nigdy w zupełności nie wykonanego cyklu poematów z przedchrześcijańskiej przeszłości Polski. Za treść ma przyjście Lecha i wytępienie dawniej tu osiadłego ludu Wenedów. I wewnętrznej jedności, logicznego związku i natchnienia ma ona więcej niż Balladyna. Owszem, właściwe Słowackiemu przymioty ma w takiej mierze, że należy do jego dzieł najwyższych. Mianowicie tło poematu, rozpacz tego plemienia, które ulega pod przemocą silniejszego najezdcy, przemódz go nie może, a czuje, że ginie niesłusznie, skreślone jest mistrzowskimi rysami, z ogromną mocą żałości i oburzenia. Postacie niektóre mają heroiczne rozmiary wielkości, męstwa i smutku (Derwid, król Wenedów, jego córka Roza i synowie Lelum i Polelum). Lech i jego żona, on waleczny, porywczy a miękki, ona namiętna, przebiegła i twarda—są oboje znakomicie wymyśleni i skreśleni. Bohaterka sama, Lilla, która się trzy razy poświęca, żeby ojcu wziętemu w niewolę ocalić życie, a wkońcu poświęca się za swój lud, kiedy oddaje się Gwinonie w zamian za harfę, w której zaklęta jest jakaś czarowna moc zwycięstwa, Lilla w swojej naturze cichej i łagodnej, w swoich nieszczęściach i poświęceniach, ma niezmiernie wiele rzewnego smutku i poetycznego wdzięku. Słabą stroną poematu jest: niezrozumiały, niewytłómaczony związek między losem Wenedów a harfami, synowie Derwida zawsze przykuci do siebie łańcuchem, pozorne raczej niż rzeczywiste ocalenie Derwida od śmierci, przez które Lilla wygrywa zakład z Gwinoną o jego życie, i kilka drobniejszych szczegółów. Szkodliwą zaś i fałszywą jest rozpaczliwa myśl podstawna Lilli Wenedy, ta zguba bez rady i bez ratunku, przeciw której ani ludzka wola i zasługa ani sprawiedliwość Boska mocy nie ma.

Fatalność złego, samowola jakichś potęg piekielnych, które wikłają ludzi bez ich winy i woli w szereg najstraszniejszych zbrodni

i nieszczęść, jest główną treścią tragedyi Beatrix Cenci, która przecież, obok przesadnych efektów i straszliwie naprężonych sytuacyi, ma ustępy niepospolitej piękności.

Beniowski. Beniowski, poemat bohaterski a żartobliwy, był Słowackiemu natchniony przez Ariosta, jak on mniemał, na prawdę przez Don Juana Byrona. Słowacki, dumny bardzo i w swojem rozumieniu niedość wysoko ceniony, miał zawsze żal do ludzi, a w szczególności do krytyków za obojętność, za niesprawiedliwość: chciał raz wziąć odwet i wyśmiać lub wysmagać tych, do których miał urazy. Tak robił Byron w pomienionym poemacie, i jego, a nie Ariosta wziął Słowacki za wzór w swoim nowym utworze. Odwet i gorycz są cechą i ostatnią przyczyną ironii Byrona w Don Juanie, a podobnie i Słowackiego w Beniowskim. Ten pierwiastek ujemny, niższy, nieszlachetny zaszkodził bardzo dziełu. Te żarty i przytyki, odnoszące się do osób i stosunków, nigdy zapewne nieznaczących, a dziś zupełnie zapomnianych, są dla czytelnika niezrozumiałe, obojętne i niecierpliwią go tylko albo nudzą, kiedy mu przerywają zajmujące i pełne wdzięku sceny lub obrazy powieści. Szkoda jest nieodżałowana, bo bez tych dodatków Bieniowski byłby może najpiękniejszą powieścią poetyczną w naszej literaturze. Tło czasu, konfederacya Barska, ostatnie walki Rzeczypospolitej upadającej, oddane są wspaniałymi rysami bohaterstwa i smutku; figury niektóre mają bardzo wiele rycerskiej tęgości lub wdzięku (Beniowski, Sawa, Panna Aniela), a wszystkie bardzo wiele fizyognomii, życia, prawdy; opisy i dygressye liryczne są śliczne, a te, wszystkie zalety razem mogły były złożyć dzieło pierwszego rzędu. Uważać i pamiętać warto, że ze wszystkich naszych poetów żaden nie zajmował się tyle co Słowacki ostatnimi czasami Rzeczypospolitej, żaden tak nie przeniknął i nie oddał tragicznego charakteru ówczesnych uczuć, zdarzeń lub sytuacyi. Dowodzi tego Beniowski. po części Sen Salomei i Ksiądz Marek, a zwłaszcza wspaniały, niestety nieskończony, fragmentowy dramat Horsztyński. Beniowskiego ogłosił poeta tylko pięć początkowych pieśni. Po jego śmierci znalazło się jeszcze kilka i znaczna liczba ustępów luźnych, fragmentów, które do dalszego ciągu służyć miały. Pierwiastek ironiczny i sarkastyczny znika w tych ułamkach zupełnie, a uczuciowy odzywa się czasem tak pięknie, że odżałować nie można tego stanu niewykończenia, w jakim do nas doszły. Z Beniowskim (1841) kończy się drugi, najświetniejszy okres zawodu Słowackiego. Zaczyna się trzeci i ostatni okres — towianizmu.

III (1841—1849). Towiański i jego wpływ. Że Słowacki do tej nauki przylgnął, to tłómaczy się łatwo i naturalnie całem jego usposobieniem i życiem. Miał on zawsze fantazyi nierównie więcej niż rozwagi; miał religijne uczucia i popędy, ale nie miał stałej wiary ani przekonań; miał wielką tęsknotę i pragnienie lepszej przyszłości; i miał dumę ogromną a nigdy nie zaspokojoną. Do tej fantazyi przemawiała nauka, zasadzająca się na ciągłym i od naszej woli zależnym związku ze światem nadzmysłowym, do tych religij-

nych uczuć i popędów, zarazem do jego patryotycznego cierpienia przemawiała nauka, która obiecywała odrodzenie świata i Polski przez nowe objawienie, nowy wylew łaski Bożej; do jego zaś dumy i zarozumiałości przemawiała łatwo i rozkosznie nauka, która mówiła, że człowiek sam przez skupienie swego ducha może robić cuda, robić co zechce i ludzkość całą wyżej podnosić; która uznając wędrówkę dusz, pozwalała człowiekowi wyobrażać sobie i uwierzyć, że w różnych ciałach należał do całej historyi świata, całą przebył, w całej działał i znaczył. Ciągnął więc towianizm Słowackiego za wszystkie lepsze i gorsze strony jego natury i, nie dziw, że go pociągnął. Nie był wszakże Słowacki uczniem powolnym, towiańszczykiem prawowiernym. On na podstawie tej nauki zaczął z własnej fantazyi snuć nowe do niej dodatki i pomysły, i rychło oddzielił się od braci, a został sam z jakimś messyanizmem swoim własnym i odrębnym.

Skutki. Fakt ten, psychologicznie naturalny i zrozumiały, był niemniej smutny, bo na dalszy zawód poety wywarł wpływ najszkodliwszy.

Nigdy nie był Słowacki panem swojej myśli i swego zamiaru. Zawsze dał się porywać i unosić wyobraźni, a nie umiał nigdy dostatecznie rozważyć, ustalić, osądzić pomysłów, które ona snuła. Szedł za nią i za wrażeniem, pisał jak one mu dyktowały, dojrzałej rozwagi i świadomości, męskiej władzy nad skłonnościami i popędami swego umysłu nie miał nigdy. Tem tłómaczą się te sprzeczności i nieskładności, te braki związku i jedności, które się dają widzieć we wszystkich niemal jego dziełach, nawet w najlepszych, z nader nielicznymi wyjątkami.

Ale teraz, pod wpływem towianizmu, stracił do reszty władzę sądzenia i dozorowania swojej myśli, jej jasną świadomość. Pod wpływem tej nauki bowiem uwierzył, że jak on podda się zupełnie i ulegle duchowi Bożemu, to ten duch zstąpi na niego niejako i przez niego objawiać będzie ludziom swoje prawdy i swoją wolę. Cokolwiek odtąd roiła jego wyobraźnia, to nie były już jego własne myśli; to były natchnienia Ducha, których ani sądzić ani zmieniać się nie godziło, tylko należało je tak ludziom podać, jak jemu były natchnione. Wpada więc w mistycyzm, w jakiś ton niby proroczy a rozkazujący; pisze to, co Duch pisać mu każe, a on sam jest tego Ducha tylko posłusznem (ale przecież wybranem) narzędziem.

Niestety, w tem, co mu duchy pisać kazały, najczęściej niema ani związku ani prawdy ani znaczenia. On oczywiście jakieś znaczenie i jakąś myśl widzieć zawsze musiał, ale dla zwykłego czytelnika są to tylko niewyraźne, niedokształcone, mgliste pomysły i widziadła.

Wyjątków jest niestety bardzo mało. Do tych należy zaliczyć dramat, przez niego nie wykończony ostatecznie, któremu Małecki w wydaniu z r. 1866 dał tytuł Niepoprawni; tytuł drugi, prawdopodobnie przez Słowackiego wymyślony, jest Nowa Dejanira.

Prawdopodobnie powstał ten dramat z dwóch różnych pomysłów i redakcyi (które poeta byłby może doprowadził do jedności, gdyby był to dzieło ogłaszał); stąd złożony jest jakoby z dwóch połów, które do siebie niedobrze przystają; ale mimo to wszystko pełen talentu i ustępów świetnych.

Wiersz do autora trzech Psalmów (oskarżenie Krasińskiego), politycznie błahy i fałszywy, a moralnie niesprawiedliwy, w niektórych ustępach zepsuty niezrozumiałym a napuszonym mistycyzmem, ma przecież ustępy świetne, godne dawnego Słowackiego.

Wpływ Calderona. Jedynem wreszcie dziełem z tych lat, które należy do prawdziwych i wielkich ozdób naszej literatury, jest przekład Księcia Niezłomnego z Calderona, nie wierny, ale wspaniały, piękniejszy może od oryginału.

Calderona, poetę gorącego, religijnego ducha, czytywał teraz Słowacki z wielkim zapałem, przejął się nim i od niego wziął formę swoich dwóch dramatów z ostatniego okresu. Te dramata, to Ksiądz Marek i Sen srebrny Salomei. Oba osnute na jakichś niedocieczonych i niezrozumiałych dogmatach nowej wiary poety, pisane z rozkazu duchów (o pierwszym mówi to Słowacki wyraźnie w liście do Krasińskiego), są zbiorem różnych tajemniczych działań duchów i cudów, a mają zapewne (w myśli autora) być najzbawienniejszą dla nas nauką; ale myśl i znaczenie jej dla nas niedocieczone, dla niego samego nie musiały być jasne. (W Księdzu Marku mało, w Salomei więcej znać dawny Słowackiego talent, mianowicie kozak Semenko, herszt hajdamaków, jest szczęśliwie wymyśloną i nakreśloną postacią).

W drobnych wierszach z tych lat, w większym fragmencie Poeta i natchnienie, poznaje się szlachetne i łatwo zrozumiałe uczucie patryotyczne, ale tak zamglone mistycznymi pomysłami, objawianemi niby a niedocieczonemi prawdami, i tak nieprzyjemny przez pewny siebie, dumny ton proroczy, że przez te grube zasłony uczucia poety przebić się i czytelnikowi udzielić nie mogą.

Król-Duch. Największem jego dziełem z tego okresu (na rozmiary największem ze wszystkich ogółem) i tem, do którego sam przywiązywał największą wagę, jest Król Duch. Łączy się on poniekąd z dawnym zamiarem odtworzenia przedhistorycznej przeszłości Polski. Popiel (Król Duch) jest synem Rozy Wenedy i przepowiedzianym przez nią mścicielem jej ludu. Ale w ciągu lat dawny pomysł przeszedł w inną formę (opowiadającą z dramatycznej), a przeobraził się nawet w samej swojej istocie.

Poeta przypisuje Króla Ducha Polsce i mówi, że ona »znajdzie w nim tajemnicę początku i końca — Alfę i Omegę świata, a zatem i Ojczyzny«. Chciał wytłómaczyć w nim całą tajemnicę Polski, jej początku, jej bytu i jej upadku, wpływów i powodów, pod którymi ona kształciła się i upadała, złego i dobrego, jakie zrobiła. Każdy z naszych poetów zadawał sobie te pytania i rozwiązywał je: jest więc Król Duch wyrazem i skutkiem tego kierunku poezyi,

który się rozwinął po roku 1831, o którym była mowa już nieraz. Powstał on z dwóch czynników: patryotycznego cierpienia i filozoficznych wyobrażeń Słowackiego, wyrobionych pod wpływem mistycznej doktryny, której jednym z dogmatów była wędrówka dusz.

Król Duch bowiem wciela się w różne ciała: jest Popielem, Mieczysławem, Bolesławem Śmiałym; kim miał być dalej, niewiadomo, bo poemat urywa się przed samem zabójstwem św. Stanisława. Zawsze jest tym duchem naczelnym, w którym skupia się cała siła i przyszłość narodu, i który raz przez srogość i okrucieństwa, kiedy naród potrzebuje zahartowania (Popiel i Bolesław), drugi raz przez cnotę i dobroć (Mieczysław) kształci go, wychowuje i podnosi; a zawsze, kiedy go najbardziej gnębi i upadla (Popiel), robi to z miłości dla niego, dla jego dobra.

Pomijając całą filozoficzną podstawę tego poematu, wędrówkę dusz, i pomijając oczywisty i oburzający fałsz moralny tej miłości, która przez występki, okrucieństwa i znikczemnienie ma niby swój naród kształcić i podnosić, wystarczy jeden argument, żeby wykazać całą błahość i marność tego pomysłu Słowackiego. Jeżeli Król Duch miał być wytłómaczeniem całej tajemnicy początku i końca Polski, jak się jego autor wyraża, to powinien był tłómaczyć tę tajemnicę na dziejach Polski rzeczywistych, tych, które istotnie były, a nie na takich, których poeta swoją wyobraźnią domyślał się i w niej dowolnie wymyślił. Cały zaś ten początek dziejów, jaki Słowacki podaje, wytępienie Wenedów przez Lecha jako pierwszy grzech Polski, potem spisek Rzepichy z cesarzem Ottonem na jej zgubę, potem anielskie sielankowe panowanie Ziemowita, albo ta misya Popiela, który srogością hartuje nas na naród rycerski, wszystko to są domysły poetycznej wyobraźni, ale nie historyczne fakta. A na takich dowolnie wymyślonych faktach losy narodu łatwo jest równie dowolnie tłómaczyć, tylko trudno jest, iżby ktokolwiek w prawdziwość tego tłómaczenia uwierzył.

W szczegółach niejasności bez liku i bez miary, a nieraz zawiłość taka, że nawet gramatycznego, a nie już głębszego i ukrytego znaczenia dojść nie można. Błyski talentu trafiają się, ale rzadko.

Odkryte w ostatnich latach fragmenta dramatów, mianowicie Samuel Zborowski i Zawisza, mają tę samą podstawę mistycznej doktryny i ten sam charakter oderwania od wszelkiej rzeczywistości.

Ostatni rok życia. Kiedy wybuchły wypadki roku 1848, Słowacki powziął myśl i nawet ułożył plan konfederacyi, która miała być środkiem polskich działań. Plan ten, w Paryżu uznany za fantastyczny, chciał on urzeczywistnić na ziemi polskiej i wybrał się do Poznania. Jedynym praktycznym i dobrym skutkiem tej podróży było spotkanie z matką (w Wrocławiu), pierwsze od pożegnania w Krzemieńcu w roku 1828 i ostatnie w życiu. Z końcem lata wrócił Słowacki do Paryża i zaraz dostrzeżono tam zmiany w jego zdrowiu. Rozwinęła się choroba piersiowa. Z zimą nastąpiło pogorszenie; w początkach marca było już widocznem, że koniec blizki.

Zostawał wtedy przy chorym poecie i pielęgnował go do ostatka młody przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński, później kapłan i arcybiskup warszawski. W dzień przed śmiercią jeszcze pisał Słowacki sam i dyktował Króla Ducha. Po nocy bardzo źle spędzonej zażądał księdza: przyjął ostatnie Sakramenta z rozrzewniającą radością. Potem jeszcze kazał sobie przynieść i czytać swój poemat, ale po chwili zamknął go, mówiąc: »Wszystko to głupstwo«. Wkrótce potem skończył, 3. kwietnia 1849.

Charakterystyka. Słowacki był najdoskonalszym u nas wyobrazicielem tego usposobienia chorobliwego i nerwowego i tej niezgody ze światem, które same były skutkiem niezdrowych stosunków historycznych, a których typem był Byron i jego poezya. Ze wszystkich wszakże poetów tego rodzaju i usposobienia (Shelley, Musset, Heine), z wyjątkiem samego Byrona, był Słowacki i talentem najpotężniejszy i naturą najszlachetniejszy. Stan narodu powodował i tłómaczył w wielkiej mierze ten brak równowagi, jaki w nim był, a w życiu jak w dziełach jego nie znajdzie się nic tak zdrożnego i gorszącego, jak znajduje się u tamtych. Z wyobraźnią bujną i świetną, jakiej żaden może nie miał z naszych poetów, z formą, której czy wdziękiem czy siłą dorównać trudno, łączył on wielki zasób rzewnego i tęsknego, ale zarazem namiętnego uczucia. Słabą stroną jego talentu i charakteru był brak rozwagi, brak mocy nad sobą, który sprawił, że ani w dziełach, ani w postępkach swoich do prawdziwej dojrzałości i zgody z sobą nigdy nie doszedł. To usposobienie niemęskie robi go bardzo wiernym i ciekawym wyobrazicielem jego czasu, ale ono stanęło na przeszkodzie jego talentowi, że nie rozwinął się i nie doszedł do tej miary, jaką przez swoje inne własności mógł był osiągnąć.

W jego życiu i twórczości, jak powiedziano wyżej, dadzą się rozróżnić trzy okresy. Pierwszy, młodzieńczy, jest raczej naśladowniczym, byronicznym, i choć zapowiada talent, nie zapowiada jeszcze wielkiego ani oryginalnego poety. — Ale wielkie narodowe nieszczęście wstrząsa jego duszą, wygnanie rozwija jego smutek (i jego wrodzoną drażliwość); wrażenia zewnętrzne (Szwajcarya, Włochy, Wschód) działają potężnie na jego wyobraźnię. Pod tymi wpływami rozwija się talent pięknie, a rozwinąłby się był jeszcze piękniej, gdyby melancholia, żal do ludzi i wielka duma nie były go w tym rozwoju krzywiły. Okres to (drugi) najświetniejszy, zaczęty Kordyanem, skończony Beniowskim. — Wreszcie dusza, zmęczona ciągłem cierpieniem i ciągłem szarpaniem się, chwyta się zewnętrznej podpory, która na jej stan wewnętrzny potężnie oddziaływa. Następuje epoka trzecia, towianizmu, mistycyzmu. Człowiek ukołysany tą doktryną staje się spokojniejszym, szczęśliwszym, nawet lepszym, niż był przedtem, ale poeta słabnie.

W poezyi polskiej od Mickiewicza oczywiście mniejszy (co go boleśnie zawsze dręczyło), od Krasińskiego myślą nierównie mniej głęboki i potężny, ale fantazyą świetniejszy, wszystkich innych poetów przewyższa Słowacki niezaprzeczenie i o wiele.

W końcu dodać warto, że ze wszystkich naszych poetów on jeden doczekał się dotąd dzieła doskonałego, które i jako żywot i jako sąd o dziełach jest zupełnie wyczerpujące: jest to Ant. Małeckiego Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki.

KORDYAN.

Część pierwsza trylogii.

Treść: W akcie I Kordyan, 15 letni młodzieniec, przedwcześnie znudzony życiem, pomimo dobroczynnego wpływu starego sługi Grzegorza nie może się zdobyć na wiarę w siebie. Obłąkany miłością ku Laurze, nosi się z myślą odebrania sobie życia.

W akcie II (w r. 1828) Kordyan podróżuje po różnych krajach, po Anglii i Włoszech. Umysł jego dojrzewa, wreszcie na szczycie góry Mont-Blanc postanawia życie swe oddać za naród.

W akcie III, mającym tytuł: Spisek koronacyjny, w scenie 4. w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie przedstawia poeta zebranie spiskowców, jednak pomimo gorącej przemowy Kordyana jako podchorążego tylko pięciu głosuje za zbrodnią, a 150 oświadcza się przeciw. Wtedy Kordyan, który miał najbliższej nocy pełnić straż przy królu, postanowił sam spełnić zamach. Lecz w stanowczej chwili (sc. 5), miotany sprzecznemi uczuciami, pada omdlały, a straż zbudzona aresztuje go. Kiedy car wydał rozkaz złożenia sądu wojennego i wykonania wyroku śmierci (sc. 7), Kordyan gotuje się na śmierć.

Scena VIII.

Izba klasztorna, obrócona na więzienie; okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordyan, skazany na śmierć, mówi z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.

Grzegorz *(do siebie)*: Ten ksiądz już od godziny dręczy
[mego pana...
Ot, dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: Dziecko w więzy okuj?
Niema Boga, przystaję do cechu szatana.

Kordyan: Grzegorzu, módl się za mnie.

(Grzegorz jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. Kordyan klęka u stóp księdza; ten błogosławi i mówi, podnosząc Kordyana).

Ksiądz: Synu! powstań z prochu 5
I leć do Boga, ale przebacz światu.
Bóg cię wyrywa z lwiej paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu.

Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi? 10

Kordyan: Nic.

Ksiądz: I nikogo na ziemi?

Kordyan: Nikogo.

Ksiądz: Nie byliż ludzie przyjaciółmi twymi?

Kordyan: Nikt.

Ksiądz: Tyś mi tego nie powiedział grzechu:
Zlituj się nad nim, Boże! Wielki Boże!

Kordyan: Nim zimne ciało do grobowca złożę, 15
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu:
Pamiątek woła — i śladu na świecie.

Ksiądz: I to grzech, synu. Wy, młodzieńcy, chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić lub mieczem wykrwawić; 20
Pocóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy, jak pacierze
W ustach przechodnia. I pocóż te ślady?..
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może 25
Jestem za stary, a ty dziecię wiosen —
Więc nie rozumiem. Słuchaj! przy klasztorze
Jest ciemny ogród, szpalerami sosen
Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie,
Zasadzę różę miesięczną i twojem 30
Nazwę imieniem, by zakwitła w chłodzie
Posępna, blada —

Kordyan: Niech ci pociech zdrojem
Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojem imieniem? i może nie zwiędnie!
(*Ksiądz odchodzi*)
Spłyńcie się teraz w jednej myślnej chmurze, 35
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy, bo konam!
Bo tam przed ludźmi, choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam; 40
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem, przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma,
Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami, 45
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje —
A jam nie słyszał. Czegoś mi nie staje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam 50

Z ziemią, piastunką ludzi. O! ty, ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?
(*Po chwili ze wzgardą*)
Niech się rojami podli ludzie plemią,
I niechaj plwają na matkę nieżywą:
Nie będę z nimi! Niechaj z ludzkich stadeł 55
Rodzą się ludziom przeciwne istoty
I świat nicują na złą stronę cnoty,
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł,
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. Niechaj tłum ów drobny, 60
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna:
Nie będę z nimi! Niech słowo ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w to słowo wsiąknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery: 65
Nie będę z nimi! Niech szubienic drzewa
W ogrodach miejskich rosną jak szpalery,
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,
Śmiechom przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny 70
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy:
Nie będę z nimi! O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy, 75
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono;
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny;
Tak wam płacono.

Grzegorz: Panie, nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze. 80
Oj, paniczu mój drogi, nacóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam, w lesie oko miesięczne świeciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś: Grzegorzu! woła.
Szedłem po lesie — nagle widzę me dzieciątko 85
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny —

Kordyan: Nie wspominaj mi o tem.

Grzegorz: Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owej winy.
Widzi pan: człowiek siebie nad brata miłuje;
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata — 20
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje...
(*Zatrzymuje się i z rozpaczą*)
Przewidziałem nieszczęście! lecz śmierć z ręki kata!
O! o! o! Panie drogi, pociesz mię, mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa; 95

Każę je dzieciom w grobie położyć — koło mnie,
Blizko, bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.
Kordyan: Czy ty masz dzieci?
Grzegorz: Och! mam syna.
Kordyan: Czy żonaty?
(Grzegorz daje znak głową, że tak)
Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojem: Kordyan. 100
Grzegorz: Panie,
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordyanie!
Kordyan: O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi —
Nie nazywaj Kordyanem!
Grzegorz: Paniczu mój drogi,
Nie wydzieraj, coś dawał; jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec choć nędzarz, ubogi, 105
Ja go będę nazywał Kordyan; — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordyanek mały! mój Kordyanek! mój bławatek.
(Śmieje się ze łzami w oczach)
O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!
Kordyan: Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz, 110
Ani mu stworzysz życie równe memu życiu?
To dziwnie, że jak człowiek tonący w rozbiciu
Chwytam się każdej słomki — szukam przeżyć [siebie.
(Zamyślony)
Więc gdy mi wezmą życie, a starzec pogrzebie...
Kiedyś!... za błędnem dzieckiem, po łąkach lub [w borze, 115
Głos matki wołać będzie: Kordyan! Kordyan! [długo...
Dziecię śmiechem odpowie, nad kwiecistą strugą...
A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym [klasztorze
Róża moja zakwitnie... Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi... Więc róża — i dziecię... 120
(Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym)
Ksiądz: Synu!...
Kordyan: Na jaką idę śmierć...
Oficer: Na rozstrzelanie...
(Grzegorz pada na kolana, Kordyan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całując mówi przerywanym głosem)
Kordyan: Bądź zdrów, mój wierny — ojcze... *(odchodzi).*
Grzegorz *(wyciągając ręce):* Panie! panie! panie!
(Pada na ziemię... Potem zrywa się i wybiega śpiesznie za Kordyanem.)

W stanowczej jednak chwili, kiedy już wyrok miał być wykonany, car Kordyana ułaskawia.

W SZWAJCARYI.

I. Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki 5
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II. W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie? 10
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic jej nie zburzy i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny; 15
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany, 20
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy, 25
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć; 30
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją, 35
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy. 40

. . . . . .

IV. Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać
Chodzić po wodach i po niebie latać, 5

A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią!
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem, 10
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie: 15
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była co chce zrobić ze mną.

. . . . . .

VIII. Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą; 5
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba, tam pójdziemy z sobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry, 10
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy, 15
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX. Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą; 5
I wiele nam róż do okien świeciło
I wiele wiszeń naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłótni słowików płaczących z kaskadą; 10
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały 15
Rozwijał skrzydła od skały do skały,

I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

. . . . . .

XVI. Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać, 5
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyany;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą, 10
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklany;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną. 15
O takiej chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

. . . . . .

XXI. Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu, i tam, za morzem i wszędzie, 5
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe, 10
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskoce tak duszę tajemnie, 15
Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

BALLADYNA.

Tragedya w 5 aktach.

Popiel IV strącił z tronu starszego brata Popiela III, a po ucieczce tegoż ze stolicy, dzieci jego okrutnie zgładził ze świata. Dawny książę żyje w lesie jako pustelnik, a do chaty jego często

przychodzą ludzie z prośbą o radę lub pomoc. Przybywa tedy do niego Kirkor, młody i dzielny rycerz, z prośbą o radę, kogo ma pojąć za żonę, ażeby sobie zapewnić szczęście. Pustelnik radzi mu poślubić dziewczynę wiejską, a wybór zdać na przypadek; niech idzie za pierwszą jaskółką i do tej chaty wejdzie, pod której belką ptaszę gniazdko ulepiło.

Aktu I scena 2.

(Las. Widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik wchodzą).

Skierka: Gdzie jest Goplana, nasza królowa?
Chochlik: Śpi jeszcze w Gople.
Skierka: I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami 5
Czarne jaskółki biją w jezioro,
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków?
Chochlik: Zanadto skoro
Zbudzi się jędza i będzie
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie 10
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące, to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi 15
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki;
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki, 20
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Na przekor ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągle trąbić do ucha naukę: nie kradnij,
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą. 25
Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.
Skierka: Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku! (*Patrzy na jezioro*)
Ach patrz: na słońca promyku 30
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie

Uśnieżony żagiel steru, 35
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka,
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki, 40
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie? 45
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Chochlik: Ona ma wianek na głowie.
Czy to kwiaty? czy sitowie?

Skierka: O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki. 50
Tak powiązane za nóżki
Kiedyś, w jesienny poranek,
Upadły na dno rzeczułki:
Rzeczułka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany 55
Na złote włosy Goplany.

Chochlik: Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany;
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać:
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi; lub każe spowiadać 60
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

Skierka: Więc uciekaj... ja się bawię.
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka; 65
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha,
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać 70
Kos rozwianych; nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano! (*Wchodzi Goplana*).

Goplana: Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek. 75

Chochlik: Już się zaczyna praca. (*Odchodzi, mrucząc*).

Goplana: Czy to jeszcze rano?

Skierka: Pierwsza wiosny godzina.

Goplana: Ach! gdzież mój kochanek?

Skierka: Co mi rozkażesz, królowo?
Zadaj piękną jaką pracę:
Winąć tęczę kolorową 80

Albo budować pałace,
Powojami wiązać dachy
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.

Goplana (*zamyślona*): Nie!

Skierka: Chcesz tronów 85
Z wypłakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek?
Z owych pereł, które dają
Lep na ptaszki, ale mają
Takie blaski, takie wody, 90
Jak kałakuckie jagody.
Chcesz, lecę na trzęsawice,
Dojrzę — dogonię — pochwycę
Błędnego moczar ognika;
I zaraz w lilijkę białą 95
Oprawię jak do świecznika
I nakryję białym dzwonkiem,
By ci świecił... Czy to mało?
Rozkaż, pani! co pod słonkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę: 100
Drzewa, kwiaty, światło, rosę —
Co nad ziemią, w ziemi łonie:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje, w jezior burzy 105
Kołysane.

Goplana: Skierko miły,
Ja się kocham.

Skierka: W czem? czy w róży
Bezcierniowej? czy w kalinie?
W cztero-listnej koniczynie?
Może w kwiatku: *niech Bóg świeci,* 110
Który posadzi macocha
Na grobie mężowskich dzieci?
Może w Magdaleny nitce,
Co bez wiatru leci płocha?
Może w białej margierytce, 115
Co piątym listkiem *nie kocha*
Zabiła młodą pasterkę?
W czem się kochasz? poślij Skierkę!
A przyniesie ci kochanka
I wplecie do twego wianka; 120
I będziesz go wiecznie miała,
Pieściła i całowała
Do przyszłej wiosny poranka,
Do drugiego kwiatów wieku.

Goplana: Ach! ja się kocham, kocham się w człowieku. 125

Opowiada Goplana, jak ubiegłej zimy zakochała się w Grabcu, który przypadkiem wpadł był w wyrąbaną przez rybaków »przełomkę« na zamarzniętem jeziorze. Na to nadchodzi Grabiec, ale pomimo najczulszych słów Goplany, ucieka przed tem »stworzeniem z mgły i galarety«; więc Goplana narzeka:

Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną
W bezdrożne niebo! niechaj róże więdną!
Co mi po słońcu, po gwiazdach, po kwiatach?
Wolę je stracić, niż kochanka stracić.
Co mam potęgi, co nadprzyrodzonej 5
Siły nad światem, to obrócę na to,
Aby to serce podbić i mieć mojem.
Skierko! Chochliku! *(Skierka przybiega).*
Czy słyszałeś, Skierko,
Moją rozmowę z kochankiem? aniołem?
Skierka: Nie karz... ciekawość... szczera moja skrucha; 10
Biały powoju kwiatek uszczyknąłem
I końcem rożka włożywszy do ucha,
Słyszałem... przez kwiat.
Goplana: Gdzie Chochlik?
Skierka: Leniwy,
Ciągnie się z wiankiem. *(Wchodzi Chochlik z wiankiem).*
Goplana: A wstydź się, Chochliku!
Patrz, coś ty narwał chwastu i pokrzywy, 15
Brzydkich piołunów, koniczyn, trawniku.
Skierka: Pozwól mi, pani, niech ja go wysiekę
Za taki wianek.
Chochlik: Ej, ja cię urzekę.
Goplana: Słuchajcie mię cicho, dyabliki.
Oto, Chochło, polecisz za moim kochankiem! 20
Idź przy nim, przed nim, za nim, jak skoczne ogniki,
I błąkaj po murawach, tak, by przed porankiem
Nie trafił do mieszkania ani do tej chaty,
Gdzie mieszkają dwie piękne dziewczęta, dwa kwiaty,
Córki wdowy... Rozumiesz... a o wschodzie słońca 25
Tu miłego przyprowadź.
Chochlik: Będę go bez końca
Błąkał i sadzał w błocie... cha! cha! cha! cha! cha! cha!
(Odchodzi).
Goplana: A ty, mój Skierko, leć na mały mostek,
Gdzie jest mogiła samobójcy stracha.
Ukryj się w łozy zarostek. 30
Za godzinę przez ten mostek
Będzie jechał pan bogaty,
Ustrojony w złoty szaty,
Jak do ślubu — bez oręży.

I kareta złotem błyska, 35
I pięć rumaków w zaprzęży;
Cztery kare i klacz biała,
Przodem lecąc iskry ciska.
A na mostku wypróchniała
Leży belka drżąca, ślizka. 40
Czy rozumiesz?

Skierka: Wywrócić?

Goplana *(skłaniając głowę)*: Lecz nie szkodzić żywym,
Ani ludziom ni koniom.

Skierka: A potem?

Goplana: Tego pana w płaszczu złotym
Hymnem wiatru, czułym, tkliwym,
Zaprowadzić aż do chaty, 45
Gdzie mieszka uboga wdowa
I dwie młode córki chowa.
Uczyń tak, by pan bogaty
Wziął tam żonę i we dwoje
Odjechał złotą karetą. 50
Luby Skierko! dziecię moje! *(Skierka odlatuje).*
Więc rozesłałam Sylfy; niech pracują
Na moje szczęście. Teraz nie idzie o to,
Aby wojskami kwiatów zdobywać niwy;
Nie kwiatów strzedz mi teraz, nie tęczę winąć, 55
Ani słowiki uczyć piosenek ani
Budzić jaskółki wodne: kocham! ginę!
A jeśli on mnie kochać nie będzie? cała
W mgłę się rozpłynę białą i spadnę łzami
Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę. 60
(Rozpływa się w powietrzu).

Scena 3.

(Chata wdowy. — Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami).

Wdowa: Zakończony dzień pracy, moja Balladyno.
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą. 5

Alina: Nie, nie, nie! jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoją główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa
Do białych kwiatów, ani go od włosa 10
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła,
O biedna matko!

Wdowa: Dobre moje córki,
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci. 15
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewic — niech i kuchta dworu 20
Albo koniuszy, zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: Poczciwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek. Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna. —
Tobie się także, Alino, dostanie 25
Rycerz za męża; ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą. —
W rzeczułkach woda goni się za wodą,
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.
Balladyna: Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino? 30
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.
Alina: Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.
Matka (*do Bal.*): Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg wie nie co. Ale 35
Bogu się także w wiekuistej chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia?
Balladyna: Ach! słychać jakiś turkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia... 40
Pięć koni... złota kareta... ach kto to?
Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto
Między drzewami błyska. Ach! mój Boże,
Co im się stało? śród naszego mostu
Powóz prr... stanął... i ruszyć nie może. 45
Wdowa: Pewnie chcą konie napoić...
Balladyna: Ot właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu.
Wdowa: Ha! jeśli pić chcą.
Alina: Już słoneczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo...
Balladyna (*biegnąc od okna*): Ach lampę zaświecić... ach lampę...
[co żywo!.. 50
O! gdzie mój grzebień? (*Słychać pukanie do drzwi*).
Wdowa: Cóż to? co? ktoś stuka.
Otwórz, Balladyno.
Balladyna: Niech siostra otworzy.
Wdowa: Prędzej otwórzcie, ktoś do chaty puka.
Alina: Ach! ja się boję...
Wdowa: Niech wszelki duch Boży

Boga wychwala... ja odemknę chatę. 55
(*Patrzy przez dziurkę od klucza*).
O! jakie stroje złocisto-bogate. (*Otwiera*).
Czy w imię Boga? (*Kirkor wchodzi*).

Kirkor: Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem —
Szukam schronienia.

Wdowa: Proszę poza stołem, 60
Mój królewiczu, siadać, proszę siadać.
Chata uboga — raczyłeś powiadać,
Że powóz... O! to nieszczęście! Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewicu...
A to już dawno człowiek nie pamięta 65
Takich przypadków, chyba przy księżycu,
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny —

Balladyna: Matko,
Dosyć — daj panu mówić.

(*Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów*).

Kirkor: Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń... Czy to córki
Wasze grywają na lutni?

Wdowa: Przepraszam, 70
Nie, królewicu.

Skierka: Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewice, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której nakłonić
Serce Kirkora. Muzyka echowa 75
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jednem sercem dwa serca pokocha.

(*Wkłada wieńce kwiatów na głowę dziewicom — Słychać muzykę*).

Wdowa: Może królewic chce odpocząć trocha... 80

Kirkor (*z zadziwieniem i niespokojnością*).
Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze to są pieśni?
Słyszę śpiewanie...

Alina: Czy się panu nie śni?
Tu w chacie... cicho...

Kirkor: Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!..

Skierka (*na stronie*): Czar działa... 85

Kirkor: Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
To z pewna wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

Balladyna: Lecz my nie mamy wieńców.
Sługa Kirkora (*wchodzi bogato ubrany*): Naprawione
Koło w powozie...
Kirkor: Wyprządz z dyszla konie, 90
Ja tu zostanę... (*Sługa odchodzi*).
Wdowa: Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakiem on sienie
Spać będzie?... Jemu listki róży cisną...
Kirkor (*do siebie*): Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary!
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną, 95
Gdzie dach słomiany...
Skierka (*do siebie*): Zakończone czary...
Kirkor (*do wdowy*): Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony... 100
Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca; 105
Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach? czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umiem
Wybrać...
Wdowa: Ja ciebie, panie, nie rozumiem!.. 110
Kirkor: Proszę o rękę jednej z córek... Może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach?.. Otóż Kirkor... to ja!.. 115
Proszę o jedną z córek.
Wdowa: Córka moja?..
Ja dwie mam córki — ale Balladyna...
Kirkor: Czy starsza?
Wdowa: Tak jest... a młodsza Alina
Także jak anioł...
Kirkor (*do siebie*): Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny, 120
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów — a ta zaś różana —
Ta ma pod rzęsą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem... 125
Skierka (*śpiewa do ucha wdowy*): Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,

Tę za żonę pan wybierze.
Wdowa: Coś matce staruszce 130
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu!
Jeśli pozwolisz swej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny, 135
I niechaj malin szukają po lesie;
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.
Kirkor: Wyborna rada... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nie skłócone, 140
Dni rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko, niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie 145
Hrabini Kirkor... Sądź sam, wielki Boże!
Wdowa: Królewic znajdziesz w tej chateczce łoże,
Pachnące siano, zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka... proszę do alkowy. 150
Kirkor (*klaszcze, wchodzi sługa*): Przynieś z powozu puhar [kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo. (*Sługa odchodzi*).
Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone...

(*Odchodzi do alkowy, poprzedzany przez wdowę*).

Alina: Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!
Balladyna: Jeszcze nie złowione! 155
To szczęście, siostro, może nie dla ciebie...
Alina: O! moja siostro! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą. 160
A tobie trzeba jutro wziąć się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek... 165
Balladyna: Milcz!..
Alina: Ha, siostrzyczko? a ja wiem, dlaczego
Malin nie zbierasz...
Balladyna: Co tobie do tego?
Alina: Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała,
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... A gdybym kochała, 170

Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...
Balladyna: Nie chcę rady
Od głupiej siostry.

(*Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i ukrywszy ją w dłoni, wychodzi*).

Alina: Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?.. 175
(*Klęka*). Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,
A przysięgając, nie złamię przysięgi...
Boże, ptaszęta u Twojej potęgi
Mogą uprosić o wiszenkę czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną. 180
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię... wszędzie czerwone maliny...

(*Siada na ławie i usypia*).

Skierka (*śpiewa*): Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny,
A ja lecę do Goplany... (*Odchodzi*). 185
Alina (*przez sen*): Wszędzie maliny! maliny! maliny!

Z aktu II. scena 2.

(Nazajutrz obie siostry poszły w las na maliny. Alina wkrótce pełny uzbierała dzbanek. Wtedy Balladyna, która prawie nic malin nie miała, zamordowała siostrę, ażeby zostać żoną Kirkora).

(*Ganek przed chatą wdowy, ocieniony lipą. — Wdowa i Kirkor siedzą na ławie*).

Kirkor: Nie widać córek...
Wdowa: Wrócą, panie, wrócą
Jedna za drugą jak dwie gąski białe,
Jedna za drugą. Ach! łzy mi się rzucą
Ze starych oczu, na Chrystusa chwałę,
Gdy je zobaczę...
Kirkor: Któraż pierwszą będzie? 5
Czy Balladyna?
Wdowa: Pewnie Balladyna.
Wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie
Pierwsza... z organem piosenkę zaczyna.
Alina także pierwsza.
Kirkor: Więc Alina
Może powróci?
Wdowa: Ha! może Alina, 10
Bogu to wiedzieć.
Kirkor: Czy wiesz, moja stara,

Żem niespokojny o twoje dziewczęta.
Wdowa: To i ja właśnie... jakaś niby mara
W głowę mi wlazła. Choć nikt nie pamięta,
Żeby na wiosnę kiedy być nie było 15
Malin... A gdyby się też przytrafiło,
Że niema malin... Tak marzyłam wczora,
Nim sen przyleciał; gdyby też śród bora
Nie było malin? — potem sama sobie
Mówiłam: głupiaś — wszak koń przy żłobie 20
Gdy niema owsa, to zajada siano;
Jeśli dziewczęta malin nie dostaną,
To nazbierają poziomek. — Wy króle,
Może wam w zamkach nie znać, co poziomka,
A co malina, co siano a słomka, 25
A co są dziuple, a co pszczelne ule.
Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto...
Kirkor: Ach! nie wierz temu — nieraz my zgryzotą
Trapieni, w zamkach dni pędzimy liche.
Po stokroć, matko, wolę twoje ciche 30
I wiejskie życie... Miło na tym ganku
Czekać wieśniaczej małżonki. Jak lubo
Kołysze sercem ten powiew poranku!
Ty taka dobra, choć masz szatę grubą.
Wdowa: To mój świąteczny przecie ubiór — proszę! 35
Cycowa suknia! tylko w święto noszę
Takie ornaty... Wraca Balladyna.
Kirkor: Gdzie?
Wdowa: O! nie widać; lecz matce wiadomo.
Patrz, panie! oto jaskółeczka sina,
Zamiast wylecieć, kryje się pod słomą 40
I cicho siedzi... Gdyby zaś Alina
Wracała z gaju, tobyś to, mój panie,
Usłyszał w belkach szum i świergotanie;
Jedna za drugą pyrr... pyrr... lecą z gniazdek
Do tej dziewczynki i nad nią się kręcą, 45
Niby chmureczka małych, czarnych gwiazdek
Nad białą gwiazdką...
Kirkor: Dlaczegóż się nęcą
Ptaszki do młodszej córki?
Wdowa: Któż to zgadnie?
Idzie Balladyna, widzisz?
Kirkor: Jak jej ładnie
Z tym czarnym dzbankiem na głowie. 50

(*Balladyna wchodzi ze spuszczoną głową*).

Dziewico!
Oddaj mi dzbanek, ja ci zaś nawzajem

Daję pierścionek...

(*Bierze dzbanek, Balladyna odwraca głowę — Kirkor kładzie na jej palec pierścionek*).

Wdowa: Brylanciki świecą.
Kirkor: Oby nam życie było słodkim rajem.
Idź do komnaty starym obyczajem, 55
Niechaj ci warkocz zaplatają swatki,
Niechaj świeżymi przetykają kwiatki,
A za godzinę, drżącą, uwieńczoną,
Wezmę z rąk matki i będziesz mi żoną.
Kareta czeka, po księdza pojadę. (*Odchodzi*). 60

Balladyna: Och!
Wdowa: Czegoż wzdychasz? i coś niby blade
Usteczka ściskasz?
Balladyna: Matko moja droga,
Nie wiem, jak wyznać?
Wdowa: Cóż, córeczko miła?
Czy ty już drżąca od łożnicy proga
Chciałabyś uciec jak sarneczka?
Balladyna: Siła 65
Złego mam donieść...
Wdowa: Co?
Balladyna: Ach, nie dasz wiary,
Ale Alina — Ach... ta siostra młoda
I tak kochana — Ach! jaka jej szkoda!
Wdowa: Co, córko?
Balladyna: Bo też psułaś ją bez miary.
Twoja to wina, że dziś...
Wdowa: Mów, bo skonam.
Balladyna: Lękam się mówić, może nie przekonam 70
Ślepej miłości, matki przywiązania.
Lecz któżby myślał, że ta młoda łania
Ucieknie...
Wdowa: Córko... Alina?
Balladyna: Uciekła...
Wdowa: Gdzie... jak? z kim? Boże! Matki się wyrzekła! 75
Balladyna: Ach, przewidziałam dawno, że tak będzie,
Jakiś obdarty młokos chodził wszędzie
Za tą dziewczyną, szeptał jej do ucha.
Napominałam. — Wiesz, jak ona słucha
Kazań od siostry? I dziś... z nim uciekła... 80
Wdowa: Wyrodne dziecko! Więc idź aż do piekła!
Nie pomyślałaś na te stare oczy,
Że będą płakać — dobrze, bo nie będą
Płakać po tobie. — Bo matka ma smoczy
Płód zamiast serca, można serce krajać, 85
To się kawałki węża znowu sprzędą,

Jak płótna kawał... Chciałabym ją łajać...
Przeklinać... dręczyć... Ot wiesz, że te oczy
Jak noże, ot tak... wlepiłabym w łono,
Jak noże... tylko bez tej łzy, bo mroczy. 90
Możebyś ty mnie widziała szaloną,
Ale co płakać... Nie! nie! nie! (*Płacze łkając*).

Balladyna: Mój Boże!
I tak zasmucić!

Wdowa: O! i tak zasmucić!

Balladyna: Zasmucić matkę starą!

Wdowa: O! mój Boże, 95
Tak starą... Ale ona może wrócić.
Kto wie!.. Nieprawdaż? ona wrócić może?
Jak sama kiedy siądzie przy oświatce
Nocą — pomyśli: gdzie matka? a jużby
Serca nie miała, żeby też o matce 100
Nie pomyślała nigdy...

Balladyna: Idą drużby...

(*Słychać weselną muzykę*).

Wdowa: Jak oni grają smutnie i wesoło.
Ty teraz skarbem moim — daj mi czoło,
Niech pocałuję... Cóż to! jakaś plama
Jak krew czerwona?

Balladyna (*z przerażeniem*): Krew?

Wdowa: To od maliny 105
Może... daj... zetrę.

Balladyna (*ścierając*): Matko... zetrę sama.

Wdowa: Jeszcze jest.

Balladyna (*trąc czoło*): Teraz?

Wdowa: Jeszcze — jak rubiny
W twoim pierścionku pięknie sobie świeci.

Balladyna (*na nowo usiłując zetrzeć*): A teraz?

Wdowa: Jeszcze jest — by na osieci
Listek czerwony.

Balladyna: O! o! to okropnie! 110

Wdowa: Daj mi to czoło, a zetrę roztropnie.
Może to ranka... (*Wspina się na palcach*).

Balladyna: Matko, nie dotykaj
Tej plamy.

Wdowa: Czy cię boli?

Balladyna: Nie — nie boli.

Wdowa: Przyniosę wodę z pod owej topoli,
Gdzie piją wróble. (*Odchodzi*).

Balladyna: Plamo krwawa, znikaj! 115

(*Wchodzą swaty i drużki, ustrojeni, z muzyką, zbliżają się do Balladyny, ta odwraca twarz*).

Swaty (*śpiew*): Nie odwracaj czoła,
Wstydliwa dziewczyno;
Mąż na ciebie woła,
Młodziutka kalino,
Nie odwracaj czoła... 120
Dziewice (*śpiewają*): Chcą nam ciebie wydrzeć swaty;
Niech cię bronią białe kwiaty
Twego wianka...
Swaty (*śpiewają*): Kwiaty ciebie nie obronią
Ni białością ani wonią 125
Od kochanka.
(*Dziewice podają Balladynie kosze z kwiatami*).
Balladyna: Precz! precz! — Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże
Z czerwonemi plamami?.. Wynieście te kosze.
(*Ucieka do chaty*).
Jedna z dziewic: Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę,
Ja, dawna przyjaciółka.
Jeden z młodzieńców: Patrzcie, w pyłu chmurze 130
Błyska złota kareta, jedzie Kirkor z księdzem.
Drugi z młodzieńców: Przy tej karecie słońce zdaje się mo-
[siędzem.

Z aktu III. scena 1.

Dom wdowy dopalający się; przed pogorzeliskiem garstka wieśniaczego ludu.

Pierwsza kobieta: Oj widzicie, jak dyabły ludziom szczęście
[noszą.
Ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą
W złotej karecie błotem na nas biednych bryzga.
Druga kobieta: Oj prawda, że to gorzko; nam się to wyślizga,
Co się drugim dostało.
Starzec: A ja wam powiadam, 5
Że staruszka poczciwa, sam nasz ojciec Adam
Mógłby ją wziąć za żonę, lepiej mu przypadła
Niż Ewa.
Pierwsza kobieta: Bo bez zębów, jabłekby nie jadła.
Starzec: Pamiętajcie, że ona ubogie leczyła;
Ty sama, co tu wrzeszczysz, moja pani miła, 10
Jużby cię dawno szatan pojął do swej chwały,
Gdyby nie ta staruszka.
Druga kobieta: I mój Stasiek mały
Także jej winien życie, więc jej nie zazdroszczę,
Dalibóg nie zazdroszczę; wóz sianem wymoszczę
I pojadę w zamczysku odwiedzieć staruszkę. 15
Dziewczyna: I Balladynie miło będzie widzieć drużkę.
Pojadę z tobą, matko.
Druga kobieta: Jak chcesz, moje dziecię.

To narwijże róż polnych i bławatków w życie,
Na wianek dla tej pani.

Starzec: Oj! nie jedź, kobieto!
Widzisz ten pożar?

Druga kobieta: Cóż stąd, że słomą podbitą 20
Chatę spalili — cóż stąd?

Starzec: Widać, że się wstydzą
Chaty, słomy, bławatków i nas.

Pierwsza kobieta. Na to zgoda;
A mówiłam, że oni z biednych chłopków szydzą.

Starzec: Dajcie im święty pokój.

Dziewczyna: A ta panna młoda,
To zadzierała nosa! Widzieliście wczora. 25
Wstążkę czarną na czole miała zamiast wianka:
Wszystko, by się odróżnić... a w kosach równianka
Nie z białych róż, ze złotych. Twarz niby upiora
Blada. A uśmiech hardy; a kiedy się śmieje,
To ząbków ani widać.

Druga kobieta: Nim słońce dogrzeje, 30
Jedźmy, dziewczyno, wozem do zamku Kirkora.

Druga dziewczyna: Nie jedź! nie jedź!

Dziewczyna: Nie jadę.

Druga kobieta: Stara wóz wymości
I pojedzie. Jak do nich mówić po godności?

Starzec: Grzecznie mówić.

Druga kobieta: Pojadę.

Dziewczyna: Tego im i trzeba.
Każą ci na dziedziniec wynieść kawał chleba, 35
A ty się kłaniasz nizko jak wieko u skrzyni;
A pani z okna plunie. — Ha! mościa grabini,
Przyniosłam ci kosz jajek. — Wiecie wy, że ona
Była już na grabinię z dawna przeznaczona,
Bo miała wziąć za męża Grabka pijanicę? 40
Wiecie o tem? na Boga — to nie tajemnice;
Zwąchali się z Grabiczem; to dziw, gdzie on siedział?
Nie było go na ślubie.

Pierwsza kobieta: Może się dowiedział
I poszedł do jeziora z rozpaczy.

Dziewczyna: Nie łatwo
Wisusowi utonąć.

Pierwsza kobieta: Otóż Grabiec pędzi 45
Z lasu, jak zwykle wiejską otoczony dziatwą,
Niby kania od wróblów.

(*Grabiec wpada na scenę, za nim tłum dzieci*).

Dziewczyna: Niech z wami gawędzi,

Jeśli dotąd nic nie wie, nie mówcie o niczem!
Narwę grochu na wianek. (*Odchodzi*).
Dzieci: Z Grabiczem! z Grabiczem!
Tańcujmy! tańcuj, Grabku!
Grabiec: Precz, bachury! 50
Starzec: Gdzieżeś to bywał? czemu tak ponury?
Grabiec: Co? gdziem ja bywał?
Dziewczęta: I coś robił?
Grabiec: Rosłem.
Dziewczęta: Co ty powiadasz?
Grabiec: Rosłem.
Dzieci: On był osłem!
Grabiec był osłem.
Grabiec: Milcz, przeklęty tłumie,
Bo mi się zdaje, że liściami szumię. 55
Gdybym przynajmniej miał tyle gałązek,
Co miałem wczora, nie szczędziłbym wiązek
Na wasze plecy.
Dzieci: Co pan Grabek plecie?
Grabiec (*do starca*): Powiedz mi, starcze? czy to można w lecie?
Czy możnato być — dotąd korą świerzbię! — 60
Być wierzbą?
Starzec: Wierzbą można zostać wierzbie,
Ale grabinie to nie.
Grabiec: A ja byłem
Wierzbą.
Starzec: Co mówisz?
Grabiec: Mówię, co mówiłem.
Bogdaj was dyabeł pozamieniał w łozy,
Córki tej wierzby, i piekielne kozy 65
Wypuścił na was. Ale ja w rozpaczy:
Ja byłem wierzbą.
Starzec: Jednak to coś znaczy.
A byłeś w karczmie?
Grabiec: Wprzód nim wierzbą byłem,
To byłem w karczmie.
Starzec: I piłeś?
Grabiec: A piłem.
Starzec (*śmiejąc się*): Więc to sen, panie Grabku, wierzba owa! 70
Grabiec (*pokazując na pogorzelisko*): A gdzie ta chata?
Dziewczyna: Jaka?
Grabiec: Ta, gdzie wdowa
Żyła z córkami.
Dziewczyna: A toż chata stoi.
Grabiec: Gdzie?
Dziewczyna: Ty pijany!
Grabiec: Gdzie?
Dziewczyna: Tu!

Grabiec: Niech was poi
Rosą dyablica, jak mnie napoiła,
Jeśli tu chata.
Dziewczyna: Chata się zmieniła 75
W twój nos czerwony, kiedyś ty się zmienił
W płaczącą wierzbę.
Grabiec: Bogdaj cię ożenił
Sztokfisz w habicie z dyabłem — a gdzie ona?
Dziewczyna: Kto?
Grabiec: Balladyna?
Druga dziewczyna *(wchodzi z grochowym wiankiem)*: Także [przemieniona
W ten grochowy wianuszek, w grochowy wianuszek. 80

(Rzuca Grabkowi na głowę wianek).

Dzieci: Cha! cha! cha! groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek,
Cha! cha! cha! panie Grabku! Grabku, gdzieś ty bywał?
A tu słowik kochance mężulka wyśpiewał.
Dziewczyny: A pan Grabek był wierzbą!
Dzieci: Grabek rosnął w lesie!
Dziewczyny: A żoneczka w złocistej smyknęła kolesie! 85
Cha! cha! cha!
Dzieci: Żeń się, Grabku, z miotłą czarownicy!
Cha! cha! cha!
Starzec *(bierze Grabka za rękę)*: Chodź do karczmy, przy miodu [szklanicy
Ja ci wszystko opowiem. *(Wyprowadza Grabka).*
Dzieci *(lecąc za Grabkiem)*: Gil, wróbel i dzierzba
Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam wierzba. 90
Nuż z niego kręcić dudy. Smyknęła dziewczyna!
Cha! cha! cha! wierzba wierzbie, wierzbiątka, wierzbina.

(Dzieci i cały tłum wychodzą za Grabkiem).

Odtąd dla zabezpieczenia tego, co pierwszą zbrodnią zdobyła, popełnia Balladyna cały szereg nowych występków; przy pomocy obcego przybłędy, von Kostryna, zdradza męża, nielitościwie wypędza matkę, która tułając się po lesie podczas piorunowej burzy straciła wzrok i tak przyszła do chaty pustelnika (IV, 2).

Z aktu IV. scena 2.

Wdowa *(za sceną)*: Biedna ja! biedna!
Pustelnik: Co to za wołanie
Tak pełne płaczu?
Wdowa *(za sceną)*: O biedna, ja biedna!

(Wdowa wchodzi jak ślepa szukając drogi ręką).

Pustelnik: Jakaś kobieta jak łachman w łachmanie,
W noc tak okropną, ślepa sama jedna!

(*do Wdowy*)

Skąd moja matko?

Wdowa: Matko? O! na Boga 5
Tak nie nazywaj, córko niegodziwa!
Matka? psia matka!

Pustelnik: Skąd idziesz uboga?

Wdowa: Ja nie uboga — siwa, siwa, siwa
Jak gołąbeczek. — Nie wiesz, co się stało?!
Grafini moja córka, wielka pani, 10
A ja na wietrze z głową taką białą
Mówię piorunom: bijcie! bijcie we mnie!
I nie chcą słuchać... A w zamku zebrani
Pijaki sobie winszują wzajemnie,
Że córka moja pije, wielka pani. — 15
Czy ty rozumiesz? — Ma zamek i wieże —
Grafini —

Pustelnik: Jak się córka twoja zowie?

Wdowa: Zowie się córką. Ale ja nie wierzę
Ażeby ona miała oczy w głowie,
Oczy, co płaczą. — W taką zawieruchę! 20
W takie pioruny, na deszcz wygnać matkę!
Co ją karmiła, co piersi ma suche,
Starością suche — a włos taki biały
Jak co świętego.

Pustelnik: Chodź pod moją chatkę,
Ty drżysz od zimna! Chodź!

Wdowa: I zamek cały 25
Do niej należy, wielki jak pół świata...
Widzisz!... Grafini?!

Pustelnik: Chodź!...

Wdowa: Tu będę czekać.
Czy córka moja wie, gdzie twoja chata?
A kto wie? może, jak pies zacznie szczekać
Na jaki łachman, to wspomni o matce, 30
I każe szukać po świecie. — Być może!
Wszak Bóg ma litość?

Pustelnik: Chodź przepłaczesz w chatce
Tę noc burzliwą, a gdy błysną zorze
Ja cię powiodę do wielkiego króla;
Do nóg się rzucisz błagając o litość 35
I...

Wdowa: Powiem — jemu... ja biedna matula
Do nóg się rzucam.

(*klęka*)

Królu! złoty panie!
Każ córce, która ma złota obfitość,
Niechaj mnie kocha.

(*wstaje*)

A król z tronu wstanie
I zaprowadzi mnie do serca córki. 40
O! o! o!

(*płacze*)

Wiesz ty, za szkaplerza sznurki
Wieszałam się na sośnie skrzypiącej, za gardło,
Drzewo się ułamało...
Głupia — ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą,
Gałązkę — córkę drzewa. — Żelazna gadzino, 45
Nie zlitowałaś się ty matki wdowy?
A jabym żyła chleba okruszyną
W twoich pałacach! Niechby twoja ręka
Sypiąc gołąbkom w trawę żer perłowy,
Nie odganiała od pszenic ziarenka 50
Zgłodniałej matki. — Wygnać w las! na burze!
Wypędzić matkę! — Upadłam w kałużę
I grom czerwony wyjadł z powiek oczy,
Wyjadł do szczętu...

Pustelnik: Oślepłaś?...

Wdowa: Mózg toczy
Okropna ciemność. Miałam przed wieczorem 55
Tyle światłości, że mogłam za borem
Rozróżnić białe słońce od księżyca,
A teraz...

(*Błyska*).

Pustelnik: Jakto i ta błyskawica
Nie świeci tobie.

Wdowa: Wzrok ludzi nie strzeże
Od Boga ręki — co mi dziś po wzroku. 60
A wiesz ty? wiesz ty, że ja teraz wierzę,
A nie wierzyłam dawniej — że co roku
Ptaszki jaskółki, nim pójdą za morze,
Stare, zgrzybiałe, biedne matki duszą.
Tak, tak, tak... ludzie prawdę mówić muszą. 65
Żebrząc po świecie piosenkę ułożę;
Groszową piosnkę o jaskółkach czarnych,
Co duszą matki. — Proszę! w ptaszkach marnych
Jaka nielitość! wygnać matkę starą,
Głodną, na cztery wichry targające 70
Za siwe włosy.

Pustelnik: Poczciwych tysiące
Padają na tym świecie złych ofiarą.
Gdybym ja ciebie wziął za nieszczęść świadka?

Wdowa: To i ty matka... i ty także matka?
Nie pójdę z tobą, bo się będziem kłócić 75

O piękność imion naszych córek. — Moja...
Ach gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić,
Wołaj Bladina — Pójdę szukać zdroja
I pić jak wróble, zadzierając główkę
Do pana Boga — dzięki mu, dał wody. 80

(Śpiewa mrucząc)

Stara miała jedną krówkę,
I chacinę i ogrody
I dwie córki...

(odchodzi w las).

Pustelnik: Po kraju całym szukąć każę
Tej matki — i okropny sąd wydam na dziecko.

(odchodzi do celi).

Ale Balladyna zabija i Pustelnika, który się dowiedział o popełnionej przez nią zbrodni, i Grabca, który na własne żądanie przez duchy w króla przemieniony, przybył do jej zamku na ucztę.

Śmiercią kochanka zrażona, Goplana porzuca okolicę Gopła (aktu V. sc. 1).

Aktu V. scena 1.

(Poranek na leśnej łące. — Skierka i Chochlik).

Skierka: Jak po burzy ranek świeży!
Byłem u matki bociana
I nakarmiłem.

Chochlik: Ja na zamku wieży
Ucztowałem u sowy. Gdzie pani Goplana?

Skierka: Znów polecę po rozłogach, 5
Polecę łąką i borem;
Kwiatki postawię na nogach,
Rozczeszę żyto na grzędzie:
Zatrzymam się nad jeziorem,
Zawołam labu! labusie! 10
I dwa Goplany łabędzie,
Po wód błękitnym obrusie,
Przypłyną do mnie z ajeru;
Garsteczką złotego żeru,
Śnieżne ptaszęta przysypię. 15
I znów lecę pod leszczynę,
Gdzie łania Goplany szczypie
Błyszczącą deszczem krzewinę;
I tęczę nad nią zawieszę,
I różę nad nią rozwinę; 20
I znowu dalej pośpieszę
Na skrzydłach babki konika.

(Przypływa tuman mgły rannej, oświecony tęczą; z pod bramy kolorów wychodzi Goplana).

Goplana: Chodźcie mnie uścisnąć aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O! zapłakane fijołki! 25
Róże moje, bądźcie zdrowe!
Skierka: Co ty śpiewasz?
Goplana: Niestety! niestety!
Piosenkę pożegnania.
Skierka: Jeszcze oczerety
Nie gną się od jaskółek, jeszcze dnie wiosnowe.
Goplana: Polecę w okropną krainę, 30
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar;
Gdzie księżyc jak twarz tych mar,
Co z grobu wychodzą na cmentarz.
Anioł kar za mną popłynie, 35
Krzycząc mi w duszy: pamiętasz
O róż i malin krainie.
Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!
Poplątałam ludzkie czyny,
Tak że Bogu mścicielowi 40
Trzeba wziąć grom i opuścić
Na ludzkie dzieła i winy...
Skierka: My cię nie chcemy opuścić,
Goplano! Goplano! Goplano!
Goplana: Puszczajcie biedną, wygnaną! 45
Kiedyś wam o mnie zaśpiewa
Piosenkę obca ptaszyna,
Usiadłszy na gałązce płaczącego drzewa.
Bądźcie zdrowi! moja wina,
Że wygnana w północ lecę. 50
Chochlik: Jeszcze ci w drodze poświecę,
Jak hajduk biegnąc z ognikiem.
Goplana: Dziś długim związane szykiem
Na północ lecą żórawie,
Uczepią się tego wianka, 55
I w powietrzu się przepławię,
Jak biedna dziewic równianka
W błękitne rzucona fale.
Skierka: O biada! o biada! o biada!
Goplana: Próżne żale! próżne żale!... 60
(pokazuje w głąb lasu)
Tam szarfa żórawi spada
Na łąki błyszczące rosą;
Gdy się żórawie podniosą,
Uchwycę się szarfy końca
I w błękit polecę blada, 65
Blada jak miesiąc od słońca,
Lekka jak liść, co opada.

Lecz nad mury gnieźnieńskiemi
Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi.
(Wychodzi. — Skierka i Chochlik lecą za nią).

Balladyna, dostawszy w swe ręce prawdziwą koronę Lecha, występuje przeciw własnemu mężowi, który po obaleniu Popiela IV stanął do walki z hufcami Kostryna. Gdy Kostryn odniósł zwycięstwo i Kirkor zginął, Balladyna trucizną zgładziła ze świata wspólnika i ostatniego świadka swych zbrodni, myśląc, że teraz będzie mogła wieść życie spokojne i dobre. Ale w chwili, gdy pierwszy raz zasiadła na tronie jako królowa i miała sądzić, stają przed nią oskarżyciele i żądają sprawiedliwości na (niewiadomych) morderców Kostryna i Aliny i na wyrodną córkę, która wygnała matkę z domu. Na tych winowajców nieznanych Balladyna wydaje wyrok śmierci. W tej chwili pada piorun i zabija ją.

Anhelli.

Na ziemię sybirską przybyli wygnańcy, a było ich około tysiąca ludzi różnego stanu, i chcieli tam zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej. Przybył do nich Szaman, król ludu sybirskiego, ażeby zawrzeć przymierze pomiędzy nimi a swoim ludem, a widząc, że to są ludzie słabego ducha, wybrał z nich jednego, który miał się stać odkupieniem swoich współbraci. Był nim młodzieniec imieniem Anhelli. »Położywszy więc na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość«, a chcąc go przygotować do spełnienia zadania, zabrał go ze sobą, ażeby mu »pokazać wiele rzeczy bolesnych« z życia współbraci (rozdz. I. i II.). Po takim wstępie następuje (rozdz. III—IX) wędrówka Szamana z Anhellim po ziemi sybirskiej.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą obudził Szaman Anhellego, mówiąc mu: Nie śpij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt, gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ognią.

A w środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary moskiewskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu, Szaman rzekł: Powiedz! nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka, szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi Świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciątek.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się, zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owem próchnie człowieka chodziły skry... jak owe iskierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom, rzekł: Nie lękajcie się; Bóg z wami.

Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny, krzycząc: Staruszku, weź nas z sobą!

I rzekł Szaman: Gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci, chcecież, abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed Panem Bogiem?

Odpowiedziały mu dzieciątka: Weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: My Polaki, odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych, aż Szaman począł płakać, uśmiechając się...

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu, na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy kozacy, patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberyi, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen...

Tak nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelimy ci łoże w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi:

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: Oto opuściłeś nas i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman, uśmiechnąwszy się, rzekł: Chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: Chcemy! uczyń to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł: Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uśpił i duszę twoją, wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?

Anhelli odpowiedział mu: Czyń, jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał, co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: Panie! widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii.

Słysząc o tem Anhelli, obrócił się do Szamana i rzekł: Prawdaż to jest? a Szaman rzekł: Prawda, opętanyś jest przez anioła.

Cóż więc, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja, będąc wolną? powiedz, bo nie pamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: Oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca, i uciekała w tamtą stronę jak człowiek, co się śpieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc: Ona chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go, coby to było, ów szczęk żelaza i bicie? a zaś aresztant odpowiedział: Karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy.

A udawszy się na miejsce męki Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a w środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha i szczęk drugi, wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litosnych.

Lecz starzec, odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: Mój ojcze!...

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej.

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

(Tymczasem pomiędzy wygnańcami, przybyłymi do ziemi sybirskiej, wybuchły były swary i kłótnie. Podzielili się oni na trzy różne gromady, a gdy zdali się na sąd Boży, trzej przedstawiciele ich dobrowolnie ponieśli śmierć męczeńską. Szaman pogrzebał ciała trzech ofiar, poczem udał się do owych wygnańców, aby ich skarcić i ostrzedz. Lecz oni, oburzeni słowami prawdy, zabili go. Umierającego starca wyniósł Anhelli na cmentarz, a »pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która niegdyś była zbrodniarką«. Potem spełniając wolę Szamana, udał się Anhelli z ową niewiastą na północ.)

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc, Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nią ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi, mówiąc: oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos Boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swoimi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: Czemże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie, bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojem ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to anioł złoty stojący nade mną?

Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do niej.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanię do Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* skonała.

I na znak cudu upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest; i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: Naszą jest!

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania; i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

W trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed aniołem.

A Eloe, uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnymi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było.

(W rozdziale XIV. poeta przedstawia zupełną zagładę wygnańców).

*

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: Poznałem was, nie kryjcie się; aniołami jesteście.

Przychodzicie li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy — samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekami przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.

I rzekł im odpowiadając Anhelli: Zaprawdę, urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem tylko nędzę?

Czy przyszliście przerazić mnie, wołając: ciemności nadchodzą? Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilia na grobie ojca mego jest moją rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie! i powiedzcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej, to ją dam.

I przerwali mu anieli, mówiąc: Gubisz się, żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?

I ukorzył się Anhelli, mówiąc: Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się i skrzydła myśli moich uniosły mię:

Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami... Do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

A wzrok mój jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę — nigdy!

A znowu przerwali mu anieli, mówiąc: Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je miesza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli Boskiej, że za niewiele godzin umrzesz — przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli Boskiej. A zaś aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: Więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzał na nie Anhelli i zawołał: Gdzie wy lecicie, o mewy?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: Lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja lub który z krewnych twoich i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: Tu był żołnierz, niech wstanie!

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza — tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz, a Eloe, powstawszy z nad trupa, rzekła: Rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak dyamentowe źródło i tak wonne jak lilie wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej.

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

Z WIERSZY DROBNYCH.

Rozłączenie.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta;
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta.
Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala; 5
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty 10
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.
Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć 15
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;
Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem. 20
Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem dojrzałem dwa z okien światełka.
Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora, 25
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i bladą, lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy, 30
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Z „PODRÓŻY NA WSCHÓD".

Zatoka Koryncka.

Jest na korynckiej górze mała grota,
Figowem drzewem od wejścia zakryta;
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko smętne wita
Kraj cały — żyzny, zielony, szeroki, 5
Przerznięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie,
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie, 10
To zamyślone odwrócić się nie chce —
Tak je ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt!... Już myślisz, że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie; 15
Lecz Korynt dzisiaj — to chatek gromady!
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn — ten kościołek.

Wszedłem... W świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce 20
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze — w dudki, z trzcin wycięte, grali;
Kilka baranów sennych — i tam dalej...

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek... 25
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi —
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowemi
Takiemi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły. 30

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny

I pełny owiec cień każdej oliwy;
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki, 35
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
Na śpiące owce, na pasterzy twarze!
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze. 40
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny:
I w takiej ziemi żyć! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem!
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem, 45
Nad którą Parnas w hełmie z błyskawicy
Czuwa i ciche sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie stawałbym — pobożny,
Od moich owiec raniej, od jaskółki; 50
Do mnieby gołąb zlatywał nie trwożny,
Z Hymetu - by się zlatywały pszczółki
I kładły miody w złamanej kolumnie:
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy czara starożytna 55
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy, w ciszy wieczora
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzew, kilka malw z jasnemi kity.. 60

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześnie noc już być zaczyna —
Noc, sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża — 65
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy, amora słudzy, wietrzne duchy,
Z motylowemi skrzydłami wietrzniki!
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki; 70
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary was — mówiących plotki...

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które, nie kochane, pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych... 75
A gdybyście mi o czem smutnem jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile:
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą, 80
Między różane gdzie zarzucił ciernie
Lub, wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi, 85
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło. 90

A tam na szarej kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich, siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku
Dawałby ręką takt — tańcowi młodych
I przyklaskiwałby memu rymowi... 95
Duchy! sny! straty! starce! — bądźcie zdrowi!...

Hymn o zachodzie słońca na morzu.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze, 5
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu. 10
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,

Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali 15
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem, 20
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi, 25
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę:
Smutno mi, Boże! 30

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże, 35
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień; a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie. 40
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie 45
Patrzący marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Na sprowadzenie zwłok Napoleona.

I wydarto go ziemi — popiołem
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,
Gdzie był sam — nie w purpurze błyszczącej,

Ale płaszczem żołnierskim spowity, 5
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli? *)
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli? 10
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? — powiedz — czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna 15
W tym grobowcu podźwignie i ruszy
I łańcuchy zeń zrzuci zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu — 20
I zaczęli prochowi urągać
I zaczęli nań wołać: »Wstań, prochu!«
Potem wzięli tę resztkę zgnilizny
I spytali: »Czy chcesz do ojczyzny?« —

Szumcie, szumcie więc, morza lazury, 25
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie do góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew girlanda szara
Jest to flota z popioły Cezara... 30

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne lamentu!
Raz ostatni hetmanisz ty roty! 35
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty!

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską powagą, 40
Z takiem strasznem na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu, gdy wracasz tu — niczem.

---

*) Książę Joinville, syn Ludwika Filipa, wysłany na wyspę św. Heleny po zwłoki Napoleona I.

Poeta i natchnienie.

(Wyjątek).

...Wtenczas w myślach moich zamęt,
Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament, 5
Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A w tem od Boga
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy; 10
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka
Bez pierza, mały zimny trupek, lichy;
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy,
Prosto do gniazda, do swojego kątka, 15
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże! z jaką wrzawą?
Wie matka, której ludzie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli je pod moją ławą —
Oboje z nieba jak martwi upadli, 20
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niem, a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biedaczki za sobą,
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świeża, 25
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec matce nie dowierza —
Oboje w dzióbek żer mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i pierza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą, 30
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! 35
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżej niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc, że w niem lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci! 40

Tak połączone przez biały dyament
  Stało nade mną w niebie biedne stadło.
Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
  Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niem znów i lament 45
  Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
  Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła: 50
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
  Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi tak, jak wicher bierze,
  Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci: — 55
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

Testament mój.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
  Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami,
  A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica, 5
  Ani dla mojej lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
  I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
  Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode; 10
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
  A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
  Mojej biednej ojczyzny — przyzna kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany, 15
  Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
  I biedne serce moje spalą w aloesie
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
  Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie... 20

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei 25
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne; 30
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi, 35
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. 40

Z listów do matki.

Genewa, d. 21 sierpnia 1834.

Najdroższa mamo moja! List ten kilku dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewana. Bawiąca tu pani Wodzińska, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze i, wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed mojemi oczyma. Nim przystąpię do opisania podróży mojej, muszę, matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przysłaną mi spokojność; niepewność o ciebie dręczyła mię podczas całej wędrówki, myśl o tobie nie odstępowała mnie; ileż razy

chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tylè cieniów przeszłości nie stanęło przede mną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich; było mi smutno i miło.

Abyś mię sobie, mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć nizki, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką; do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij, wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat piętnaście wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani W., dwie jej córki, panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W., jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

Rano 31. lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Paquis, i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanne Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, słowem, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Ville-neuve! Tam najęty powóz zawiózł nas do Bex, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnemi drogami, niosąc w rękach lampy żela-

zne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyę, zwłaszcza rozsadzanie skały prochem.

Nie będzie ciebie, mamo moja, interesował wojaż, wyszczególniający tylko miejsca popasu i noclegu; opiszę ci więc tylko niektóre, bardziej zajmujące miejsca. Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą, przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja, jak ci ludzie wydawali się mrówkami! O godzinie piątej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem, mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Spaliśmy w celach, zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące koło kominka towarzystwo śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blizko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! W różnych pozycyach zmarli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok, mamo moja! Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny: po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest stercząca, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest podobna; droga, w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było. Na zielonej równinie pod tą górą leży sławne wodami miasteczko Luèche; żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro

i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty, i kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety. O matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie. ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thun, Brienz, do sławnej Giesbach; gdym patrzał na nią, przychodziła mi na myśl Zofiówka; a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej, do Wierzchówki, byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giesbach, damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucerny, my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry; tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubbach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija wpośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło. Tam widziałem z gór spadające lawiny. Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja, jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym je sobie kiedy między wami mógł przypominać i o przeszłości marzyć!

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie mało jeszcze było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci; mróz nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy

na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaści, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna — a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Righi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny; góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka: można z niej patrzeć na Szwajcaryę bez przerażenia, a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem; nie wiem, dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli; byłem w Rosenlaui, prześliczne widziałem lodowce, byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne przepaści i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca padały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, moja mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą tymi samymi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty? Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę św. Gotharda, widziałem na niej sławny most dyabła, nareszcie po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Lucerny, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro 4 kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella; łódka nasza zatrzymała się przy skale, na którą bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta, tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamo, być musi. Wreszcie przez Bern wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę po-

znają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie: gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; jej matka także mię po macierzyńsku uściskała; więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O matko moja! Dziś dzień moich urodzin. Biedna matko moja! dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż; Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem. Ale, matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego: nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, mamo droga! Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich i, widząc, że do ciebie piszę, prosiła, abym od niej zasłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie, mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona ciebie kocha, mamo, i przyjmij tę miłość, wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały.

Napisz, kochana mamo, Teofilowi o mojej podróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków mógł liczyć śnieżne wierzchołki gór albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wierzcie mi, że chętniebym się z wami podzielił... o, nawet oddałbym je wam wszystkim za jeden wasz uścisk. To dziwnie, mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszenki, która ocienia grób babuni. O gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza mamo; boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 lub 7 mil drogi robiłem, i to z góry na górę; do tego dodajcie i to, że nigdzie na górach poczty niema, to uniewinnicie mię. Całuję rączki kochanego dziadunia; niech pomyśli o wnuku i spojrzy na zamkową górę. Mamo, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych

białych, imaginacyjnych górach ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twojem mieszkaniem. Adieu, matko moja. Twój *Juliusz.*

Zygmunt Krasiński.

I. (1812—1832). Pierwsza młodość. Syn Wincentego, generała wojsk polskich, i Maryi z ks. Radziwiłłów, urodzony w Paryżu 19 lutego 1812. Matkę stracił w dzieciństwie. Pierwsze nauki pobierał w domu (przez pewien czas od Józefa Korzeniowskiego, później głośnego pisarza) i okazywał od razu niezwykłe w nich zdolności. W roku 1826 oddany do liceum warszawskiego, zaraz w następnym przeszedł na uniwersytet. Tu zaprzyjaźnił się z kolegą swoim Konstantym Gaszyńskim, którato przyjaźń została najściślejszą na całe życie. Bez matki, bez rodzeństwa, przy ojcu, który lubił życie światowe i wesołe, młodzieniec czuł się samotnym i smutnym; tem bardziej też lgnął do przyjaciela. Wszystkie wolne godziny przepędzali oni razem na nieskończonych rozmowach i na czytaniu wszystkiego, co przynosiła współczesna literatura romantyczna, a zwłaszcza poezya. Żywa wyobraźnia młodego Krasińskiego rozwijała się pod tym wpływem, a niebawem obudził się i popęd do pisania. Owocem jego były dwie powieści, napisane w myśli naśladowania Walter-Scotta: Grób rodziny Reichsthalów i Władysław Herman, obie bardzo słabe, a pełne przesadnej, ponurej romantyczności. Te zajęcia wszakże nie oderwały młodzieńca od rzeczywistej, obowiązkowej nauki, i wykształcenie jego, zwłaszcza znajomość języka i literatury łacińskiej, historyi i literatur nowożytnych były bardzo gruntowne i niezwykłe.

W roku 1829 zaszedł niespodzianie wypadek, który wpłynął na całe jego dalsze życie. Posłuszny ojcu, nie wziął udziału w manifestacyi politycznej, którą ojciec jego potępiał. Zato jednakże doznał od kolegów swoich uniwersyteckich obelgi i zniewagi. Po stronie skrzywdzonego stanął i wziął go w obronę tylko Gaszyński i drugi odtąd na całe życie przyjaciel, Konstanty Danielewicz.

Po tem zajściu ojciec wysłał Krasińskiego na dalsze nauki do Genewy (1829).

Wyjazd za granicę. W siedemnastu latach znalazł się więc młodzieniec w położeniu nader trudnem i bolesnem. Musiał zadać gwałt własnemu uczuciu, poddać się woli ojca, którego zdania nie podzielał; bo okazując, że go nie podziela, byłby wykroczył przeciw swemu obowiązkowi syna. Musiał przyjąć na siebie i znieść cierpliwie pozór uczucia i zdania innego, niż miał. Musiał dalej, on w całym tym zbiorze młodzieży najznakomitszy i w swoich uczuciach polskich najsilniejszy, jak dowiodło jego późniejsze życie, znieść oskarżenie o brak tych uczuć i publiczną zniewagę. Wreszcie,

musiał w tych młodych latach doświadczać rzeczy tak bolesnej, jak niesprawiedliwość i krzywda od swoich, a wskutek doświadczonej krzywdy musiał smutniej a mniej ufnie patrzeć na ludzi. Wszyscy świadkowie jego życia i najzaufańsi powiernicy jego myśli twierdzą zgodnie, że owo zajście w uniwersytecie warszawskim wywarło wpływ stanowczy na jego charakter i życie, że rozwinęło w nim ten pierwiastek głębokiego smutku, wzniosłego uczucia obowiązku i męstwa w cierpieniu, który jest głównem znamieniem jego duszy i życia.

Nowe wrażenia nieznanego świata działały wszakże silnie na młodą a bujną wyobraźnię i ukoiły na pewien czas doznaną boleść. W Szwajcaryi pisywał dla pism zagranicznych wiadomości o literaturze polskiej, dla siebie małe powiastki (zawsze w tym samym przesadnie romantycznym rodzaju i bez wartości). Przypadkowo spotkał się i poznał z jadącym do Włoch Mickiewiczem i wraz z nim i jego towarzyszem Odyńcem odbył kilkudniową podróż po szwajcarskich górach. Połowę roku 1830 i część 1831 przepędził we Włoszech, głównie w Rzymie, w tem samem kółku znajomych, z którem przestawał Mickiewicz. Potem wrócił do Szwajcaryi i teraz dopiero dokonał się naprawdę i dojrzał ten zwrot w jego duszy, który się rozpoczął w Warszawie.

Wpływ roku 1831. Jakie były jego ówczesne walki i cierpienia, to tylko on jeden wiedział, bo je odbył sam jeden, w tajemnicy swego serca. W ostatnich latach dopiero, ogłoszona korespondencya Krasińskiego z przyjacielem Anglikiem Reeve, i listy jego do ojca (umieszczone w dziele prof. Kallenbacha p. t. Młodość Krasińskiego), dały poznać dobrze ówczesny stan jego duszy. W roku 1832, gdy się dowiedział, że jego przyjaciel Gaszyński znajduje się bezpiecznie za granicą, na emigracyi, w listach do niego dał wyraz swojej rozpaczy. Takim wyrazem jest mały ustęp w tych czasach pisany, Wygnaniec, i kilka innych, prawdopodobnie też niektóre wiersze, później dopełnione i wcielone w poemat Ostatni. Wszystkie te ślady jego ówczesnej myśli dowodzą, że w duszy młodzieniaszka rozwinęła się niezmiernie zdolność i potęga uczucia i cierpienia, w jego głowie dojrzała zdolność i siła myślenia, a w autorze słabych, naśladowanych powieści pod tym wpływem wyrabiał się już wielki poeta.

Jednak resztki młodzieńczego (żeby nie rzec dziecinnego) usposobienia jeszcze się odzywają w błahych powiastkach, jakie jeszcze pisywał, i nawet w większej historycznej powieści Agay-Han (1834), która jest dziełem niezwykłego talentu, ale przesadną jaskrawością obrazów i napuszystością stylu dowodzi talentu bardzo jeszcze niedojrzałego.

W ciągu roku 1832 powołał Krasińskiego ojciec do kraju. Podróż ta, po skończonej wojnie, kiedy podczas wojny odbyć jej nie mógł, była dla niego męką: tem większą, że miała się skończyć podróżą do Petersburga. Z tych udręczeń zapadł ciężko na zdrowiu już w Genewie, potem w ciągu podróży; wreszcie stanął w Warszawie i w Petersburgu. Tu (na swoje szczęście, jak później

pisze w listach), był tak chory, że przez siedm miesięcy prawie nie wychodził z pokoju. Musiał wszakże przedstawić się cesarzowi Mikołajowi I, który bardzo uprzejmie ofiarował mu miejsce w jakiejby chciał gałęzi służby (wspomnienie tego posłuchania i osoby cesarza znalazło się później w Pokusie). Ale zdrowie jego było tak widocznie złe, klimat północny działał na nie tak zgubnie, że za wymówkę starczyć musiało, a co więcej posłużyło do otrzymania paszportu za granicę. Ten mając w ręku, wyjechał Krasiński niezwłocznie i odetchnął swobodniej aż w Wiedniu.

Stąd na nowo zaczął pisywać do Gaszyńskiego (z Rosyi do emigranta pisywać nie mógł) i stąd donosi mu w największej tajemnicy, że napisał nowy poemat.

II. (1833—1848). Nieboska Komedya. Tym poematem była Komedya nieboska (wydana r. 1834).

Powstała ona z rozmyślania nad pytaniem, jaki może być koniec nienawiści społecznych, wzmagających się w naszym wieku. W krótkich, szkicowanych obrazach (poemat cały jest krótki i napisany od jednego rzutu, bez poprzedniego planu) poeta obejmuje różne rodzaje upośledzeń i ucisków, namiętności i żądz, których skutkiem są nienawiści społeczne. Żądza równości posiadania i równości używania działa przez zniszczenie wszystkich istniejących stosunków i praw — i zwycięża. Ale po jej zwycięstwie zostaje tylko zniszczenie, niema w niem żadnych pierwiastków, żadnych sił do stworzenia nowego lepszego porządku rzeczy, wyższej i prawdziwszej cywilizacyi. Na tle tej walki rysują się dwie postacie, dwóch przywódców. Jeden, hrabia Henryk, broni dawnego porządku rzeczy, choć widzi i rozumie wszystko, co w nim jest złem; bo sądzi, że krwawa anarchia będzie od niego jeszcze gorszą: broni bez wiary w zwycięstwo, dla honoru, z obowiązku, z tradycyjnego przywiązania i z osobistego popędu poetycznego, z upodobania w walce i w roli, jaka mu przypadła. Drugi, wcielenie wszystkich społecznych nienawiści i wódz rozpasanych tłumów, Pankracy, zanim dzieło swoje rozpoczął, myślał, że po zniszczeniu wszystkiego, co było, stworzy świat nowy, szczęśliwszy, oparty na wolności i sprawiedliwości; ale wśród samych swoich zwycięstw stracił wiarę w swoje dzieło i w swoją drogę, uczuł, że gwałt i zniszczenie nie posuwa ludzkości naprzód, ale ją cofa w tył. Jeden jest tragiczny przez to, że broni porządku rzeczy, którego nie ceni, w którego wartość nie wierzy, z obawy czegoś gorszego; drugi przez to, że stanąwszy u celu, nie wie, co począć, nie znajduje ani w sobie ani w swoich stronnikach sił i prawd, któreby mogły ludzkość podźwignąć: przekonywa się, że »dzieło zniszczenia nie jest usprawiedliwionem«. Henryk w chwili, kiedy ma się już dostać w ręce nieprzyjaciela, rzuca się w przepaść i kończy samobójstwem: Pankracy, w chwili, kiedy odniósł ostatnie już zwycięstwo, traci do reszty wiarę w siebie i w swoją sprawę, i z tego zwątpienia umiera. W konaniu ma widzenie Zbawiciela z krzyżem w ręku, który go przeszywa wzrokiem i zdaje się sądzić; umiera wołając: Galilaee vicisti.

Znaczenie tej sceny i całego poematu i tych dwóch jego głównych postaci jest to, że po żadnej stronie niema istotnej słuszności i prawdy; że nienawiść społeczna, jeżeli wybuchnie walką, sprowadzi tylko zniszczenie całej cywilizacyi, zdziczenie społeczeństwa; że po takim jej końcu Bóg mocą swoją przywróci ludzkości siły do nowego życia; że w Nim tylko, w Jego nauce i Jego krzyżu są te prawdy i prawa, które ludzkość mogą odrodzić w przyszłości, a dziś odwrócić walki i nieszczęścia, uratować ją od barbarzyństwa, a do prawdziwego postępu, do rzetelnej i lepszej cywilizacyi ją podnieść..

Irydyon. Po napisaniu Nieboskiej komedyi pośpieszył Krasiński z Wiednia do Włoch, do których rwał się zawsze z utęsknieniem, w których ze szczególnem upodobaniem przebywał. Rzym zwłaszcza był miejscem, w którem jego usposobienie, poety i myśliciela, znajdowało nieprzebrany zasób potrzebnych sobie wrażeń i rozmyślań. Z tych też wrażeń rzymskich korzystał poeta, pisząc drugi swój poemat, Irydyon, którego pierwszy pomysł powstał w głowie jego jeszcze w Petersburgu (wyszedł w r. 1836).

W Nieboskiej komedyi zajmowało Krasińskiego pytanie, jaka może być przyszłość europejskich społeczeństw, jeżeli nienawiści społeczne wezmą w nich górę: Irydyon wyniknął z rozmyślania nad pytaniem, czy i jakim sposobem dźwigać i odradzać się mogą narody, które straciły byt polityczny; czy nienawiść nieprzyjaciela i zemsta nad nim, wymyślona z największą przebiegłością, wykonana z największą energią i z nieograniczonem nawet poświęceniem, wystarczyłaby na to, by ożywić i odrodzić upadłą ojczyznę? Na to pytanie, które sam sobie zadał, odpowiada Krasiński: Nie. Odrodzenie polityczne narodu pokonanego nie może się udać i dokonać, jeżeli go nie poprzedzi odrodzenie moralne, poprawa w duchu, uznanie i pełnienie praw Bożych przez ogół (przynajmniej przez większość) tego społeczeństwa.

Myśl tę wykłada poeta na przykładzie następującym:

Wyobraża sobie Greka, potomka dawnych bohaterów, których duch przechodził dziedzicznie z ojca na syna przez wieki. Jeden po drugim marzyli oni o oswobodzeniu Grecyi, a tchnęli namiętną nienawiścią Rzymu. Ale wiedzieli zarazem, że Rzym był zbyt silny, iżby można porwać się nań skutecznie, i czekali cierpliwie, ukrywając swoje zamiary i nadzieje. Przetrwali tak w oczekiwaniu ostatnie czasy republiki i Cezara i Augusta i następców jego i jeszcze Antoninów. Zawsze jeszcze Rzym był za silny na to, by się na nim pomścić. Ale z późniejszymi imperatorami zaczął się jego stopniowy upadek i rozkład: i wtedy można było myśleć o pomszczeniu Grecyi i o zgubie Rzymu.

Amfiloch, ojciec Irydyona, znacznie już to dzieło przygotował. U wszystkich ludów Rzymowi podległych na południu i na Wschodzie miał przyjaciół i stronników; w Chersonezie Cymbrów poślubił Grymhildę, kapłankę Odyna, a przez to wszedł w związki z barbarzyńcami północy. Umarł, poruczając synowi spełnienie dzieła.

Rzecz dzieje się za Heliogabala. Irydyon w dziedzictwie po ojcu objął stosunki ze wszystkimi nieprzyjaciółmi Rzymu: wszyscy czekają jego rozkazu; tak samo niewolnicy, gladyatorowie, wszyscy upośledzeni i nieszczęśliwi w mieście samem. W swój spisek przeciw Rzymowi chce wciągnąć i chrześcijan z katakomb i dlatego pozornie przyjmuje chrzest. Ale to jeszcze nie wystarcza mu do działania. Potrzeba mu władzy: potrzeba opanować imperatora i przez tego wydawać rozkazy, któreby Rzym zgubiły. W tym celu poświęca Irydyon siostrę, Elsinoę, której Heliogabal zapragnął: przez nią opanuje umysł Cezara i wydrze mu władzę.

Wszystko przygotowane doskonale, wszystko idzie po myśli. Ale tymczasem resztki Rzymian uczciwych, oburzonych na Heliogabala, korzystają ze wzburzenia pretoryanów, domagających się wypłaty żołdu, i wchodzą z nimi w porozumienie, żeby zrzucić Heliogabala, a Cezarem obwołać Aleksandra Sewera. Irydyonowi to właśnie na rękę: będzie niby bronił Heliogabala, ale w tej walce jego ludzie zapalą Rzym ze wszystkich stron naraz, rzucą się między walczących, tak, że zginie i Heliogabal i Aleksander i Rzym.

Plan się nie udaje. Irydyon czeka na pomoc, jakiej się spodziewał z katakomb, ale ta nie przychodzi: biskup wstrzymał swoich i zabronił im walczyć. A tymczasem Aleksander ze swoimi dotarł na Forum, Heliogabal zabity, nowy Cezar obwołany, za nim jest wojsko i lud. Ten nowy stan rzeczy zwalić się w tej chwili nie da: Rzym zostaje, czem był, zemsta Irydyona spełzła na niczem.

On wtedy chce sobie życie odebrać, ale wstrzymuje go Masynissa, szatan pod postacią starca, przyjaciela i nauczyciela, który i ojca i jego utwierdzał w nienawiści i zemście na to, by te złe uczucia, zmieszane z ich uczuciem dobrem, z miłością ojczyzny, prowadziły ich do złych uczynków, dla których znowu sprawiedliwość Boska nie będzie mogła dać zwycięstwa ich sprawie — dobrej. Masynissa tedy obiecuje Irydyonowi, że po wiekach uczyni zadość jego zemście, pokaże mu Rzym poniżony i upokorzony, ale żąda za to, żeby Irydyon oddał mu swoją duszę na wieczność. Układ staje: Masynissa usypia Irydyona na długie wieki.

Budzi go w epilogu, w wieku dzisiejszym, i pokazuje mu Rzym w upadku, chrześcijaństwo opuszczone, lekceważone, poniewierane przez dzisiejszych chrześcijan. Irydyon zrazu raduje się na widok miasta wyludnionego i zubożałego, ale rychło poznaje, że to nie ta zemsta, jakiej pragnął. On zasypiając spodziewał się ujrzeć jakiś w przyszłości tryumf słabszych i skrzywdzonych nad przemożnym ciemiężycielem, a szatan pokazuje mu tylko krzyż opuszczony. Jest to tryumf Masynissy-szatana, ale nie Irydyona — miłości spraw dobrych i poświęcenia się dla nich. Irydyon też na ten widok jest tak smutny jak przed wiekami, kiedy patrzał na zwycięstwo Rzymu: i teraz w Colosseum odbywa się nad nim sąd. Szatan woła, że Irydyon do niego należy, bo nienawidził Rzymu: anioł (Kornelia, niegdyś przez Irydyona kochana i kochająca go chrześcijanka) odpowiada, że należy mu się zmiłowanie, bo kochał Grecyę. Głos z góry

posyła go na próbę »do ziemi mogił i krzyżów«, każe »ufać Imieniowi mojemu, być spokojnym na dumę i ucisk niesprawiedliwych, prosić nie o chwałę swoją, ale o dobro tych, których ci powierzam, czynić ciągle i bez wytchnienia« — a jeżeli ten rozkaz Irydyon wypełni, obiecuje mu »zmartwychwstanie nie ze snu, ale z pracy wieków«. Miłość ojczyzny, która swojej sprawy nie zbawiła, bo służyła jej w złych uczuciach i złymi czynami, ale która potępioną być nie może, bo była miłością dobrego (choć mylnie pojętą), ma w tej próbie jak złoto w ogniu wyczyścić się i uświęcić, a wtedy nabędzie i siły i prawa do zwycięstwa.

Taka jest treść i taka myśl Irydyona, który od Nieboskiej komedyi daleko większy i bardziej wykończony, zdumiewający i pomysłem i pięknością wielu scen i obrazów, a zwłaszcza genialną charakterystyką i upadającego Rzymu i postaci dramatu (Irydyon, Masynissa, Heliogabal, Ulpianus etc.), jest pod względem artystycznym i poetycznym zapewne od Nieboskiej komedyi wyższym. Jego zaś myśl i znaczenie wskazuje, że poeta, który w swojem pierwszem dziele zajęty był ogólnym stanem naszego świata, teraz przeszedł do kwestyi szczegółowej, do tej mianowicie, jaką w tym stanie świata może być przyszłość jego własnej ojczyzny. Z tego pytania rozwinie się cała dalsza poezya Krasińskiego: cała będzie tylko szukaniem odpowiedzi.

Pobyt we Włoszech. Zwrot do filozofii. Przez lata następne przebywał jak mógł najwięcej we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, w otoczeniu kilku serdecznych przyjaciół (w r. 1836 w Rzymie znajomość i przez lat kilka gorąca przyjaźń ze Słowackim). Latem tylko jeździł do Niemiec dla poratowania zdrowia u wód i dla spotkania się z ojcem. Pisał mało i same rzeczy drobne. Taka jest Noc letnia, którą natchnęło poecie zamęście jakiejś młodej Polki z Rosyaninem, i Pokusa, napisana na przestrogę i upomnienie młodym ludziom, którzy w służbowych i towarzyskich stósunkach mogliby zapominać o godności narodowej i własnej. Ale pisząc mało, myślał Krasiński i pasował się ze swoją myślą wiele. Wytężał wszystkie siły swego umysłu na zrozumienie i odgadnienie myśli Bożej w dziejach i tajemnicy losów Polski. W Irydyonie doszedł był już do jakiejś konkluzyi i wskazał ją: ale wytężał się dalej, żeby tę prawdę lepiej uchwycić, jaśniej określić, uzupełnić. Wyrabiała się w jego umyśle powolnie ta filozofia historyi, którą z czasem sformułuje we wstępie do Przedświtu, ale była jeszcze w stanie chwiejności i niejasności. Wogóle te lata od Irydyona do Przedświtu są okresem jakiegoś zamętu i niepewności w jego umyśle. Za odbicie tego stanu w jego pismach uważać można Trzy myśli Henryka Ligenzy, pisane w r. 1839 (Syn cieniów — Sen Cezary — Legenda).

Do ustalenia pojęć Krasińskiego i przekonań przyczyniła się głównie rozprawa filozoficzna Aug. Cieszkowskiego, Prolegomena zur Historiosophie (wydana w roku 1838). W rozprawie tej zbija Cieszkowski historyozofię Hegla, który dzielił dzieje świata na

cztery epoki (wschodnią, grecką, rzymską i chrześcijańsko-germańską), a dowodzi, że »podział dziejów musi opierać się na troistości, że ludzkość przebyła dotąd dwa okresy swego rozwoju, starożytny i chrześcijański: w pierwszym wykształciła prawo, w drugim obyczaj (moralność). Ale obyczajność doskonała i zupełna, zasadzająca się na zastosowaniu woli do poznanych i uznanych prawd, a mająca urzeczywistnić poznane dobro, ta ma się dopiero począć. Będzie ona zadaniem, treścią i cechą trzeciej wielkiej epoki historycznej, u której wstępu stoimy«.

Rozumowanie to posłużyło Krasińskiemu za punkt stały, na którym oparły się jego własne myśli, dotąd niezupełnie określone. Poeta, który od roku 1831 rozmyślał tylko nad rozwiązaniem zagadki dziejów i wytłómaczeniem losów Polski, teraz znalazł odpowiedź na swoje pytania, doszedł do tego, co miał za prawdę, i do tej prawdy przylgnął całą duszą. Znalazłszy zaś, chciał ją i wypowiedzieć; i wtedy w głowie jego zaczął się składać poemat, który jest tych jego pojęć najlepszym wyrazem: Przedświt. Wogóle są to lata bardzo ważne w jego życiu. Oprócz tego wyrobienia i ustalenia się jego systemu filozofii historyi, zapisać tu należy miłość ku pani Delfinie z Komarów Potockiej (rozwiedzionej z mężem, obdarzonej usposobieniem bardzo artystycznem, żywą wyobraźnią i wielkim talentem muzycznym), którą wspomina w Przedświcie jako swoją Beatrice.

Przedświt. Przedświt jest niejako szczytem całego tego kierunku przepowiadającego, wieszczącego, jaki przybrała nasza poezya po roku 1831. Wszystkie te pytania, które zadawali sobie i rozwiązać usiłowali wszyscy niemal poeci, skupiły się w tym poemacie Krasińskiego, wyraziły się w nim najjaśniej i w nim znalazły również najjaśniejszą, najściślej sformułowaną odpowiedź. Z Przedświtu znów jak ze źródła wypływają wszystkie późniejsze patryotyczno-przepowiadające poezye.

Poemat ten (pierwszy, jaki Krasiński napisał wierszem) ma kształt długiej pieśni lirycznej, podzielonej na kilka ustępów. W początkowych poeta i jego Beatrice znajdują się na łodzi, na wodach włoskiego jeziora, szczęśliwi oboje, ale temu szczęściu czegoś brak. Rozmowa schodzi na Polskę, i z piersi poety wyrywa się to pytanie, które było w sercu wszystkich, za co i dlaczego taki los? Wtedy następuje widzenie. Królowie i bohaterowie dawnej Polski stają przed pytającym, a na ich czele Czarniecki, który mu tłómaczy, że gdyby Polska była utrzymała się przy bycie, byłaby dziś w takim stanie rozstroju i upadku, jak są inne państwa w Europie, że wolna od win i odpowiedzialności, przechowała w swoim niebycie politycznym tę świadomość Bożego prawa, tego ducha chrześcijańskiego, którym siebie i ludzkość całą podniesie i stanie się ludem naczelnym w przyszłej lepszej i szczęśliwszej epoce dziejów.

Widzenie znika, a poeta uniesiony szczęściem, widzi znowu w zachwyceniu tę lepszą epokę przyszłą, wszystkie ludy połączone

w miłości i jej prawem rządzone, a wśród nich i przed nimi Polskę, która je swoim przykładem wiedzie do Królestwa Bożego na ziemi.

Pytanie, które Mickiewicz zadawał sobie w Dziadach i Księgach pielgrzymstwa, które później doprowadziło go do messyanizmu, które wszyscy poeci rozwiązać usiłowali, rozwiązał sobie Krasiński w sposób powyższy. To tłómaczenie dziejów i losów Polski wydało się taką prawdą jasną i oczywistą, przyjęte było z takiem uniesieniem radości i wdzięczności, z taką wiarą, że poeta, dotąd mało znany i uważany, stanął w uczuciu powszechnem wyżej od wszystkich poetów, z jednym tylko wyjątkiem Mickiewicza, a poemat jego wpłynął przeważnie na ukształcenie uczuć i pojęć późniejszego pokolenia. Dziś łatwo jest poznać się na tem, co w nim zbyt pochlebne i mylne; mylnym jest ten charakter narodu wybranego, jaki on nam przypisuje. Ale to, co mówi o dzisiejszym stanie świata i o nieuniknionej dla niego konieczności albo podniesienia się do wyższego bytu przez zastosowanie chrześcijaństwa do stosunków politycznych, albo jeżeli nie, to upadku i zagłady cywilizacyi — to jest i prawdziwe i genialne.

Przedświt wydany był pod imieniem Gaszyńskiego. Wszystkie swoje pisma wydawał Krasiński bezimiennie, z obawy rządu rosyjskiego: tym razem chciał się ukryć jeszcze bezpieczniej, za nazwiskiem rzeczywistego żyjącego człowieka, a przyjaciel zrobił dla niego to poświęcenie, że pozwolił położyć swoje nazwisko pod dziełem, które przechodziło miarę jego zdolności.

Psalmy przyszłości. W kilka miesięcy po wydaniu Przedświtu ożenił się Krasiński z panną Elżbietą Branicką. Myślał w dobrej wierze, że pisać już nigdy nie będzie, że dotrzyma tego, co mówił w Przedświcie: »To jest moje ze słowem rozstanie«. Ale w zimie roku 1844, którą spędzał z żoną w Warszawie przy ojcu, zgłosił się do niego emisaryusz emigracyjny z żądaniem, żeby przystąpił do gotującego się nowego powstania, które miało głównie opierać się na rewolucyi socyalnej i nie cofać przed bratobójczą walką. Wtedy Krasiński, przerażony przyszłością, jaką te zamysły musiały zgotować krajowi, gdyby miały dojść do skutku, uznał za swój obowiązek zrobić co mógł na to, by je odwrócić. Chwycił za pióro i napisał Psalmy przyszłości. Trzeci i najważniejszy, Psalm miłości, napisany był w Warszawie bezpośrednio pod wrażeniem pomienionej rozmowy, później tylko wykończony i poprawiony. Dwa pierwsze dodane już za granicą, w roku 1845. Pierwszy, filozoficzny Psalm wiary, jest wyrazem jego pojęć o człowieku i jego stosunku do Boga, o przeznaczeniach ludzkości i narodów w niej, a przedewszystkiem polskiego. Psalm nadziei jest przypomnieniem wszystkich obietnic Przedświtu, tego odrodzenia, które niechybnie nastąpić musi, jeżeli mu sami nie przeszkodzimy i nie odepchniemy go własną ręką. Po tem przypomnieniu dopiero przychodzi w Psalmie miłości upomnienie i zaklęcie zaślepionych, ażeby »rzucili hajdamackie noże«, bo inaczej lud zepsują, przyszłość odsuną w dal jakąś niewiadomą i niedo-

strzeżoną, i »będą kląć na nich wieki — że cel wieków znów daleki«. Psalm miłości ma charakter dziwny: jest okolicznościowem pismem politycznem, broszurą, żeby się tak wyrazić, w poetycznej formie; ale napisany z ogromną siłą poetycznego natchnienia, jest on niemniej silnym wyrazem politycznego rozumu, a jednym z najsilniejszych na świecie wyrazów zbolałej miłości ojczyzny, na widok tejże ojczyzny, dobrowolnie lecącej w przepaść. Demostenes kiedy w Atenach mówił Filipiki, Skarga kiedy mówił kazania sejmowe, byli w podobnem położeniu i mówili w takiem uczuciu, w jakiem Krasiński pisał Psalm miłości.

W roku 1848 wydał jeszcze dwa Psalmy. W pierwszym z nich, Psalmie żalu, napisanym z powodu wiersza Słowackiego »do autora trzech psalmów«, powtarza na nowo swoje dawne myśli i dowodzi, że miał słuszność. Początek należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński napisał; ciąg dalszy zato, w którym wykłada znowu swoje pojęcia, jest ciężki i prozaiczny. Ale obrona własna, a choćby obrona słuszności, to nie było dosyć: narodowi, zgnębionemu świeżą a straszną klęską, wielki umysł i wielkie serce poety winne były dać coś więcej, radę i naukę, jak ma się ratować i do lepszej przyszłości dążyć. Tem jest Psalm dobrej woli. Zaczyna on się od słów zbyt pochlebnych: »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie«, ale zawiera najmędrsze, najświętsze prawdy, których trzymając się może naród ducha i życie w sobie przechować i wzmocnić. Złudzeniem i pomyłką Krasińskiego w Psalmie dobrej woli (jak w Przedświcie) jest pojęcie Polski jako narodu wybranego, najwyższego i najlepszego ze wszystkich: prawdą, mądrością i nieśmiertelną zasługą są te zasady wszelkiego trwałego i zdrowego bytu społecznego i historycznego, które poeta oznacza i określa w swojej prośbie o dobrą wolę wewnątrz nas samych.

Pod względem poetycznego natchnienia nigdy może Krasiński nie był tak wzniosłym jak w tym Psalmie, który też uważać można za ostatnie i najwyższe słowo jego poezyi, a zarazem jako dopełnienie i zakończenie całej natchnionej poezyi patryotycznej, wieszczącej, i nieraz mistycznej. Wielka epoka poezyi polskiej kończy się chronologicznie dwoma ostatnimi Psalmami Krasińskiego.

Dalsze dzieła. Po nich wydał on jeszcze (w roku 1848) dwa poemata, dawniej napisane. Jednym jest Dzień dzisiejszy, obraz wszystkich najrozmaitszych opinii, zdarzających się między Polakami, skreślony z fotograficzną wiernością, ale z mniejszą już poetyczną siłą. Wspaniała jest wszakże przemowa Szatana, który umierającemu Polakowi urąga i kusi go, żeby się wyparł swojej ojczyzny. W zakończeniu zjawia się Anioł, który obwieszcza dawne nadzieje Przedświtu, a wtedy wszyscy zwaśnieni wyrzekają się swoich zaślepień i jednoczą się w tej wyższej miłości ojczyzny, która ma sprawić jej odrodzenie. Ostatni, którego niejeden ustęp niewątpliwie pisany był jeszcze w Genewie w pierwszej młodości poety, jest to ostatni więzień, zamknięty przez całe życie w lochach

jakiejś turmy, żyjący nadzieją ostatecznego zwycięstwa; a kiedy to zwycięstwo istotnie przyszło, kiedy wszyscy wychodzą na wolność, on jeden, zapomniany przez swoich, zostaje w więzieniu i umiera, składając ten ostatni ból Bogu na ofiarę za szczęście i chwałę ojczyzny. Pod względem poetycznym Ostatni jest od Dnia dzisiejszego wyższy, jest bardzo piękny.

Potem pisał Krasiński już bardzo mało, a nie wydawał nic, prócz jednego wiersza Resurrecturis, który jest krótkiem streszczeniem całej jego nauki, zbiorem najistotniejszych prawideł postępowania moralnego i politycznego dla dzisiejszej Polski. Glossę św. Teresy pozwolił wydać tylko na usilne prośby przyjaciół. Znaczna liczba mniejszych wierszy, pisana w tych latach i w dawniejszych, znalazła się dopiero po jego śmierci, pomiędzy listami do przyjaciół i do żony. Był jeden poemat, który zaczął był jeszcze przed rokiem 1840, do którego kilka razy i jeszcze w ostatnim roku życia powracał, ale którego nie skończył, to ten, który po jego śmierci wydany był jako Niedokończony poemat. Jest to dorobiona do Nieboskiej komedyi młodość hrabiego Henryka. Młodzieniec pełen zapału dla wszystkiego, co dobre, przez swego starszego przyjaciela Aligiera kształcony na to, by się cały służbie spraw dobrych poświęcił, ma naprzód we Śnie widzenie wszystkich nieszczęść i wszystkich zdrożności naszego wieku. (Sen drukowany był jako ustęp osobny dawno jeszcze za życia poety). Potem, w innem widzeniu patrzy na cały bieg dziejów ludzkości i wyciąga z nich naukę, że teraz właśnie zbliża się trzecia najwyższa epoka tych dziejów, urzeczywistnienie Bożego prawa, przyjście królestwa Bożego. Jako całość Niedokończony poemat daleki jest od Nieboskiej komedyi i od Irydyona.

III. (1848—1859). Ostatnie lata i śmierć. Od roku 1848 aż do 1855 przebywał Krasiński najwięcej i najchętniej w Badenie lub Heidelbergu, a to dla blizkości lekarza, do którego miał wielkie zaufanie, a którego jego zdrowie coraz gorsze koniecznie potrzebowało. Po śmierci cesarza Mikołaja I. dostał paszport do Francyi (pierwszy raz w życiu) i przez ostatnie lata życia przebywał dużo w Paryżu. Zdrowie zdawało się poprawiać: pozwalało na dłuższe podróże, do ojca (do Warszawy i na wieś). Ale właśnie podczas takiego pobytu w kraju (1857) stracił najmłodsze dziecko, trzechletnią córeczkę; i wtedy zdrowie zepsuło się już bez ratunku. Cały rok 1858 przebył w strasznych cierpieniach i w ciągłem niebezpieczeństwie życia. Lekarze chcieli jeszcze spróbować skutków klimatu i wysyłali go z Paryża do Algieru, kiedy przyszła wiadomość o chorobie, a wkrótce o śmierci ojca poety. Ta strata dobiła go ostatecznie. Męczył się jeszcze trzy miesiące w coraz straszniejszych cierpieniach, w chwilach spokojniejszych wysilał się na pisanie żywota ojca (początek istotnie napisał): z wszelką świadomością blizkiego końca gotował się na śmierć, ostatnie Sakramenta przyjmował parę razy; umarł 23 lutego 1859.

Charakterystyka. Pomiędzy ludźmi, którzy w pierwszej połowie XIX. wieku oczekiwali oparcia stosunków politycznych Europy na zasadach chrześcijańskich i to uważali za zadanie i przeznaczenie tego wieku, Krasiński był jednym z najwyższych. Jego poezya jest doskonałym i bardzo szlachetnym, a może ze wszystkich najgenialniejszym wyrazem tego kierunku, który się objawiał we wszystkich prawie narodach i literaturach europejskich. Jej właściwą cechą jest, że cała wyłącznie zajmuje się politycznemi i społecznemi kwestyami, kwestyą lepszej przyszłości świata. W stopniowym pochodzie i rozwoju swoich idei i swego talentu, zaczyna Krasiński od kwestyi najszerszych, ogólnych: przedmiot Nieboskiej komedyi obchodzi cały świat europejski, wszędzie jest zarówno ważnym i z życia wziętym. W Irydyonie przechodzi już do kwestyi więcej szczegółowej, do odrodzenia jednego narodu i do sposobów, jakimi ono sprawić się może. Przy tem pytaniu pozostał już Krasiński zawsze, tylko pracował nad znalezieniem coraz jaśniejszej, coraz prostszej i pewniejszej odpowiedzi. Taką wydała mu się ta, którą po długiej pracy wewnętrznej sobie i nam dał w Przedświcie. W pierwszych Psalmach stoi on zawsze jeszcze na tem samem stanowisku: w dwóch późniejszych pojmuje zawsze Polskę jako naród przeznaczony na to, by ludzkość podniósł i zbliżył do Boga, ale nie oczekuje już i nie zapowiada nowej epoki Ducha św., staje się coraz mniej mistycznym; coraz jaśniejszym i trzeźwiejszym. Co w jego myśli i poezyi jest mylnem, a co prawdziwem? odpowiedzieć łatwo. Pojęcie Polski dawnej czy teraźniejszej jest mylne, zbyt pochlebne: ale w tem, czego od Polski dzisiejszej żąda, co jej radzi, co jej wskazuje jako konieczny warunek i jedyną drogę do lepszej przyszłości, w tem ma nie tylko słuszność, ale mądrość i wielkość.

Umysł przedewszystkiem filozoficzny i polityczny. Krasiński jest więcej myślicielem niż poetą. Jego poezya zajęta politycznemi i społecznemi ideami i kwestyami, wskutek tego często allegoryczna i symboliczna, jest niekiedy do zrozumienia trudną. Nigdy też strona artystyczna i wartość literacka dzieł nie była dla niego celem, lecz zawsze tylko ta moralna i polityczna prawda, której przez te dzieła chciał dowieść. Wskutek tego jego poezya nie może być tak piękną, jak poezya Greków albo Goethego albo Mickiewicza, ale niemniej musiała w nim być ogromna zdolność poetyczna i potęga wyobraźni, jeżeli pomimo takiego zakresu i takiego charakteru swojej poezyi mógł tworzyć dzieła tak piękne, postacie tak wielkie. Zważać przytem należy, że jego poezya jest najzupełniej oryginalna, treścią jak formą do żadnej innej niepodobna, niezależna ani od starożytnych ani od Anglików ani od Niemców ani od współczesnych poetów polskich. Jego słabą stroną jest zbyteczne upodobanie w przyborach i dekoracyach, skłonność do pewnej przesady w pomysłach, a napuszystości w stylu. Ale skłonność ta, widoczna w niektórych dziełach słabszych (Agaj-Han, Noc letnia, Trzy myśli), w Irydyonie i w Nieboskiej komedyi trzyma się w mierze

i nie zmniejsza prawdziwej wielkości scen i figur. Styl zaś, czasem nienaturalny i napuszony, ma znowu takie przymioty jędrności, dosadności, mocy i powagi, że może niema w naszym języku wyższego pod względem wielkości i majestatu.

Wyobraziciel najszlachetniejszych dążności i pragnień swego wieku, poeta a zarazem sędzia najsurowszy jego błędów i jego nieszczęść, wyraz doskonały wszystkich boleści i ucisków swego narodu, ale i mędrzec ostrzegający go trafnie przed błędami, a wskazujący środki ratunku, umysł jeden z najpotężniejszych, jakie Polska kiedykolwiek wydała — Krasiński jak jest produktem jej położenia i ducha, tak jest tego ducha pokrzepieniem, świadectwem jego wielkiej siły i jej nowym przybytkiem i pomnożycielem.

NIEBOSKA KOMEDYA.

(Dwie pierwsze części dramatu poświęcone są rodzinnym stosunkom bohatera, hr. Henryka, dwie drugie starciu się dwóch wrogich w społeczeństwie europejskiem obozów. Hr. Henryk (Mąż), marzyciel i poeta, ożenił się z kobietą zacną, ale prozaiczną. Po niejakim więc czasie porzuca ją i goni za widmem młodzieńczych swych zachwytów i sławy. Gdy się przekonał, że to było tylko złudzenie, wraca do domu, atoli dowiaduje się, iż żona jego znajduje się w szpitalu obłąkanych. Śpieszy do niej, ale biedna kobieta na jego rękach umiera. — W części drugiej przedstawia poeta zmartwienia hr. Henryka, spowodowane chorobą syna Orcia. Dziecko wątłe i słabe, traci wreszcie wzrok zupełnie, duchem jednak żyje w świecie widzeń i natchnień. Hr. Henryk tymczasem, powodowany żądzą władzy i sławy, postanawia rzucić się w wir życia publicznego. Nastręcza się do tego sposobność, gdy przeciw dotychczasowemu porządkowi rzeczy występują ludzie pragnący przewrotu. — We wstępie do części trzeciej w następujący sposób kreśli poeta ogólny obraz tego obozu i wizerunek wodza tłumów, Pankracego):

Do pieśni — do pieśni.

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie.

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo, żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie się za sobą, pędzi przed się, bawi się wami,

przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślizko, bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam.

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórz i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie ust się dotknie, tam głos się wydobędzie: groźba, przysięga lub przekleństwo. On lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc wśród tysiąców. Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!

Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni ze znojem na czole, z rozczochranymi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu? — Ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczony — a tamten stemplem żelaznym nad głową powija; dalej w bok pod wierzbą, chłopię małe wisznie do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska. Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku; — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy!

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysiąców? Ten, który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło i panuje nad nimi, mówi do nich. Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły, strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu!

To ich wściekłość, ich kochanie, to władca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły,

pękły po wszystkich stronach. — »Niech żyje Pankracy — chleba nam, chleba, chleba!« A u stóp mowcy opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz, czy sługa.

Oko wschodnie, czarne, cieniowane długiemi rzęsy — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężne w bok schylone — na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego — na palcach złote pierścienie; — i on także głosem chrapliwym woła: — »Niech żyje Pankracy!« — Mowca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. »Obywatelu przechrzto, podaj mi chustkę«.

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — »Chleba nam, chleba, chleba! Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba!«

(Pankracy chciałby jednak hr. Henryka przeciągnąć do siebie, czuje bowiem, że w takim razie dzieło jego nie byłoby marne i złe, dałoby mu wiarę w siebie samego i w swoją sprawę. Dlatego chce się zobaczyć z hr. Henrykiem, aby go dla swej sprawy pozyskać).

(Namiot. — Porozrzucane butelki, kielichy).

Pankracy: Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą i za każdem słowem mojem krzyczało: Vivat! — Czy choć jeden zrozumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! *fervide imitatorum pecus! (Wchodzi Leonard i Przechrzta).* Czy znasz hrabiego Henryka?

Przechrzta: Wielki obywatelu, z widzenia raczej, niż z rozmowy. — Raz tylko, pamiętam, przechodząc na Boże Ciało krzyknął mi — »ustąp się« — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej.

Pankracy: Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie, pojutrze w nocy.

Przechrzta: Wiele mi dasz ludzi, bo nieostrożnie byłoby się puszczać samemu?

Pankracy: Puścisz się sam, moje imię strażą twoją — szubienica, na której powiesiliście barona zawczoraj, plecami twemi.

Przechrzta: Aj waj!

Pankracy: Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze.

Przechrzta: A jak mnie każe zamknąć lub obije?

Pankracy: To będziesz męczennikiem za wolność ludu.

Przechrzta: Wszystko, wszystko za wolność ludu. *(Na stronie)*: Aj waj!

Pankracy: Dobranoc, obywatelu. *(Przechrzta wychodzi).*

Leonard: Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy, rozmowy? — Kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła lecącego wprost do celu, za człowieka stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę.

Pankracy: Milcz, dziecko.

Leonard: Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkąz; daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zmieni, i przejdzie w grom.

Pankracy: Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz i to nazywasz zapałem.

Leonard: Rozważ, co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. Naprzód, mistrzu, bez zwłoki naprzód i po nich!

Pankracy: Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w rozkoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą.

Leonard: Kogoż się boisz — któż cię wstrzymuje?

Pankracy: Nikt — jedno wola moja.

Leonard: I na ślepo jej mam wierzyć?

Pankracy: Zaprawdę ci powiadam — na ślepo.

Leonard: Ty nas zdradzasz.

Pankracy: Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej; — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...

Leonard: Tu szpiegów niema, a potem cóż?

Pankracy: Nic — tylko pięć kul w twoich piersiach za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności. *(Przystępuje do niego)*: Wierz mi — daj sobie spokój.

Leonard: Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż.

Pankracy: Jesteś żywy, pełen nadziei i wierzysz głęboko; najszczęśliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia.

Leonard: Co mówisz?

Pankracy: Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków?

Leonard: Posłałem Dejca z oddziałem.

Pankracy: A składka szewców oddana do kasy naszej?

Leonard: Z najszczerszym zapałem się złożyli co do jednego i przynieśli sto tysięcy.

Pankracy: Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o hrabi Henryku?

Leonard: Pogardzam za nadto panami, bym wierzył temu, co o nim mówią; — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą.

Pankracy: On jednak zbiera swoich włościan i, zaufany w ich przywiązaniu, gotuje się iść na odsiecz zamkowi świętej Trójcy.

*

Leonard: Kto nam zdoła się oprzeć? — Przecie w nas wcieliła się idea wieku naszego.

Pankracy: Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę.

Leonard: Zabity arystokrata.

Pankracy: Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym.

Leonard: Przebaczasz mi, obywatelu?

Pankracy: Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki.

Leonard: Jutro nic nie będzie?

Pankracy: Dobrej nocy i miłego marzenia. *(Leonard wychodzi).* Hej Leonardzie!

Leonard *(wracając)*: Obywatelu wodzu.

Pankracy: Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka.

Leonard: Słyszałem. *(Wychodzi).*

Pankracy: Dlaczegoż mnie, wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — Siły jego małe w porównaniu z mojemi — kilkaset chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić? czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? Ostatnia to zapora dla mnie na tych równinach — trzeba ją obalić, a potem... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łudzisz? — wstydź się przecie, ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie się zeszła wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — ludziom podłym, nieznanym nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś na około siebie — a sama błąkasz się i nie wiesz, czem jesteś. Nie, nie, nie! ty jesteś wielką. *(Pada na krzesło i duma).*

(Hr. Henryk zgodził się na rozmowę, ale wprzód w towarzystwie Przechrzty, przebrany, przechodzi przez cały obóz Pankracego, aby się przekonać, czy to, czego Pankracy pragnie, lepsze jest od tego, czego on chce bronić. Przekonawszy się, że w obozie Pankracego są »wszystkie stare zbrodnie świata, przebrane tylko w szaty nowe«, gardzi nim i nienawidzi go tem bardziej. Tak usposobiony przyjmuje Pankracego).

(Komnata podłużna. — Obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach. — W głębi filar z tarczą herbowną. — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym, na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar. — Naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary).

Mąż: Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli Brutusowi ukazał się geniusz Cezara.

I ja dziś czekam na podobne widzenie. Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża, co wydobył się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości.

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem, co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów. *(Bije dwunasta)*. Teraz gotów jestem. *(Wstaje)*.

Sługa zbrojny *(wchodząc)*: JW. Panie, człowiek, który miał się stawić, przybył i czeka.

Mąż: Niech wejdzie. *(Sługa wychodzi)*.

Pankracy *(wchodząc)*: Witam hrabiego Henryka. — To słowo »hrabia« dziwnie brzmi w gardle mojem. *(Siada, zrzuca płaszcz i czapkę wolności i wlepia oczy w kolumnę, na której herb wisi)*.

Mąż: Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu. — Starym zwyczajem piję zdrowie twoje.

(Bierze puhar, pije i podaje Pankracemu).

Gościu, w ręce twoje.

Pankracy: Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne zowią się herbem w języku umarłych. Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi. *(Pije)*.

Mąż: Za pomocą Bożą wkrótce tysiące ich ujrzysz.

Pankracy *(puhar od ust odejmując)*: Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. Odgrażająca się, jak umarły w bajce powoźnikowi u furtki cmentarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios. *(Pije)*.

Mąż: Śmiej się z własnych słów. Ateizm, to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie.

Pankracy: Śmiej się z własnych słów. Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki. *(Pije i rzuca kubek)*.

Mąż: Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

Pankracy: A całe życie byłeś dyabła igrzyskiem. Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy. — Do rzeczy!

Mąż: Czegoż więc żądasz ode mnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

Pankracy: Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre, ocalić.

Mąż: Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją.

Pankracy: Szabla twoja, Bóg twój — mara. Potępionyś głosem tysiąców — opasanyś ramionami tysiąców — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarcza — dwudziestu dni bronić się nie możecie. Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność — a wreszcie, gdzie męstwo?... Gdybym był tobą, wiem, cobym uczynił.

Mąż: Słucham — patrz, jakem cierpliwy.

Pankracy: Ja więc, hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: »Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem«. — Wiele masz lat, hrabio?

Mąż: Trzydzieści sześć, obywatelu.

Pankracy: Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. Bądź więc sobie ostatnim hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rznąć herby. A o tych nędzarzach nie myśl więcej. Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami. *(Nalewa sobie drugi puhar).* Zdrowie twoje, ostatni hrabio!

Mąż: Obrażasz mnie każdem słowem; zda się, próbujesz, czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. Opatrzność mojego słowa cię strzeże.

Pankracy: Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia, a łączysz się z umierającymi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowa *ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi duszy sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć.

Mąż: Tobie zaś i twoim cóż inszego?

Pankracy: Zwycięstwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi — on jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta: »Zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym«. — Ale — ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

Mąż: Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją! Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew. A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić

pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą. — Nie dręcz mnie więcej. *(Siada pod herbem swoim).*

Pankracy: Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy... *(Wstaje, idzie ku mężowi i opiera się na herbowym filarze)*... ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: »Jestem« — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: »Jestem«.

Mąż: Cóż dalej?

Pankracy: Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemię, ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.

Mąż: Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

Pankracy: Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. — Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg, pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. Bóg ludzkości objawił się im.

Mąż: A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

Pankracy: Niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od jego śmierci na krzyżu.

Mąż: Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił, niż twoje — sto bogów twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było, że jest Panem świata.

Pankracy: Stara powiastka — pusta jak chrzęst twego herbu. *(Uderza o tarczę).* Ale ja dawniej czytałem twe myśli. Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek: słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia; krwi, którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie. — Ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną.

Mąż: Tyś młodszym bratem szatana. *(Wstaje i przechadza się wzdłuż.)* Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju.

Pankracy *(na stronie)*: Zagiąłem palec popod serce jego — trafiłem do nerwu poezyi.

Mąż: Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby... Stało się. Przed stoma laty, przed dwoma wiekami polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz wiem — teraz trzeba mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia.

Pankracy: Biada zwyciężonym! — Nie wahaj się, powtórz raz tylko »biada« i zwyciężaj z nami.

Mąż: Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, człowiecze z gliny jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

Pankracy: Nie łudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego. *(Zegar bije).* Czas szydzi z nas obu. Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego.

Mąż: Dusza jego czysta już ocalona w niebie, a na ziemi los ojca go czeka. *(Spuszcza głowę między dłonie i staje).*

Pankracy: Odrzuciłeś więc? *(Chwila milczenia).* — Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem.

Mąż: Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego! Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz ode mnie!

Pankracy: Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie! — Patrz na mnie. Myśli i kształty są woskiem palców moich.

Mąż: Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każdy z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. *(Wyciąga ręce ku obrazom).* Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: »Chwała ojcom naszym«.

Pankracy: Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzeć. Ów, starosta, baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem *kanclerz* — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyśpieszył spadki — stąd wsie twoje, dochody, potęga. Ów z runem złotem, w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzo-

ziemców... — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. Głupstwo i niedola kraju całego. Oto rozum i moc wasza. Ale dzień sądu blizki, i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

Mąż: Mylisz się, mieszczański synu. — Ani ty ani żaden z twoich by nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale. — Kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. — Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze. — A teraz czas już tobie wynijść z domu mego. — Gościu, wolno puszczam ciebie.

Pankracy: Do widzenia na okopach świętej Trójcy. A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

Mąż: To się zbliżym na długość szabel naszych. Do widzenia.

Pankracy: Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem. *(Bierze płaszcz i czapkę wolności).* Przechodząc próg ten, rzucam przekleństwo należne starości. I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu.

Mąż: Hej, Jakóbie! *(Jakób wchodzi).* Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu.

Jakób: Tak mi Panie Boże dopomóż. *(Wychodzi).*

(Hr. Henryk idzie (część czwarta) na odsiecz obrońcom dawnego ładu, zamkniętym w okopach św. Trójcy. Staje na ich czele i, dumny z uzyskanej władzy, pomimo braku wiary w możność ocalenia twierdzy, walczy dla samej tylko sławy. Atoli własny syn Orcio w jasnowidzeniu wypowiada wyrok na niego).

(Krużganek na szczycie. — Mąż. — Jakób).

Mąż: Gdzie syn mój?

Jakób: W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia i śpiewa proroctwa.

Mąż: Najmocniej osadź basztę Eleonory — sam nie ruszaj się stamtąd, i co kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników.

Jakób: Wartoby, tak mi Panie Boże dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki.

Mąż: Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych hrabiów i książąt. *(Jakób wychodzi).*

Mąż *(wchodzi kilku schodami wyżej, pod sam sztandar na płaski taras).* Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogi. Teraz już nie marnym głosem, mdłem

natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali.

Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole skupione naokoło siebie, i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu.

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie. — Ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej gwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. To moja pieśń ostatnia!

Nad skałami zachodzi słońce w długiej, czarnej trumnie z wyziewów. Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. Znaki wieszcze zgonu mojego, pozdrawiam was szczerszem, otwartszem sercem, niż kiedykolwiek wprzódy witałem obietnice wesela, ułudy, miłości.

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich — ale nagle, znienacka, tak jakom marzył zawżdy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, wodzem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli.

(Komnata w zamku oświecona pochodniami. — Orcio siedzi na łożu. — Mąż wchodzi i składa broń na stole).

Mąż: Sto ludzi zostawić na szańcach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie.

Głos za drzwiami: Tak mi Panie Boże dopomóż.

Mąż: Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki, ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro.

Orcio: Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i niema go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, ojcze.

Mąż: Lękałeś się o mnie?

Orcio: Nie — bo wiem, że twoja godzina nie nadeszła jeszcze.

Mąż: Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał jak dawniej w domu naszym.

Orcio: Za mną, za mną, ojcze — tam straszny sąd co noc się powtarza. *(Idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je).*

Mąż: Gdzie idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — Tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości.

Orcio: Gdzie oko twoje zwyczajne słońca nie dowidzi — tam duch mój zstąpać umie. Ciemności, idźcie do ciemności. *(Zstępuje).*

(Lochy podziemne. — Kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur połamane, leżące na ziemi. — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi).

Mąż: Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie.

Orcio: Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształtów?

Mąż: Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp tylko rozświeca przed nami.

Orcio: Co raz już bliżej — co raz już widniej — idą z pod ciasnych sklepień jeden po drugim i tam zasiadają w głębi.

Mąż: W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz, dziecię — i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba.

Orcio: Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące się na sąd straszny. Oskarżony już nadchodzi i jako mgła płynie.

Chór głosów: Siłą nam daną — za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy i potępiajmy — a kary szatan się podejmie.

Mąż: Co widzisz?

Orcio: Oskarżony — oskarżony ot! załamał dłonie.

Mąż: Kto on jest?

Orcio: Ojcze — ojcze!

Głos jeden: Na tobie się kończy ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje, i wszystkie namiętności swe, i całą dumę swoją, by skonać.

Chór głosów: Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

Mąż: Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach westchnienia i żale, wyroki i groźby.

Orcio: On teraz podniósł głowę, jako ty, ojcze, kiedy się gniewasz — i odparł dumnem słowem, jako ty, ojcze, kiedy pogardzasz.

Chór głosów: Daremno — daremno — ratunku niema dla niego, ni na ziemi, ni w niebie.

Głos jeden: Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś na tej samej skale boleści.

Mąż: Znam ja was, podłe duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich. *(Idzie kilka kroków naprzód).*

Orcio: Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa imię święte, zaklinam cię, ojcze!

Mąż *(wraca)*: Powiedz, powiedz, kogo widzisz?

Orcio: To postać...

Mąż: Czyja?

Orcio: To drugi ty jesteś — cały blady — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje. *(Pada na kolana)*. Przebacz mi, ojcze. — Matka pośród nocy przyszła i kazała... *(Mdleje)*.

Mąż *(chwyta go w objęcia)*: Tego nie dostawało! — Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła. Maryo, nieubłagany duchu! — Boże! i Ty, druga Maryo, do której modliłem się tyle! — Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności. — Nazad! — Muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka. *(Ucieka z synem)*.

Chór głosów *(w oddali)*: Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

(Wreszcie wyczerpały się wszystkie środki obrony i hr. Henryk widzi, iż twierdza dłużej już trzymać się nie może).

(Okopy Świętej Trójcy. — Trupy na około. — Działa potrzaskane. — Broń leżąca na ziemi. — Tu i ówdzie biegną żołnierze. — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim.

Mąż *(szablę chowając do pochwy)*: Niema rozkoszy jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawżdy, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko.

Jakób: Ostatnimi naszymi nabojami skropieni, odstąpili, ale tam w dole się gromadzą i niedługo wrócą do szturmu. — Darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem.

Mąż: Niema już więcej kartaczy?

Jakób: Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie.

Mąż: A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał. *(Jakób odchodzi)*. Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się, jakby dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje. *(Siada na murze)*. Człowiekiem być nie warto — aniołem nie warto. — Pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swojem i zapragnął potężniejszych sił. — Trzeba być Bogiem lub nicością. *(Jakób przychodzi z Orciem)*. Weź kilku naszych, obejdź sale zamkowe, i pędź do murów wszystkich, co spotkasz.

Jakób: Bankierów, hrabiów i książąt. *(Odchodzi)*.

Mąż: Chodź, synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej, czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości.

Orcio: Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się męże twoi do broni — słowa jej płynęły tak lekko jak wonie, i mówiła: »Dziś wieczorem zasiędziesz przy mnie«.

Mąż: Czy wspomniała choćby imię moje?

Orcio: Mówiła: »Dziś wieczorem czekam na syna mego«.

Mąż (*na stronie*): U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Nie daj tego, Boże! — Za jedną chwilę odwagi masz mię więźniem twoim przez wieczność całą. (*Głośno*). O synu, przebacz, żem ci dał życie — rozstajemy się — czy wiesz, na jak długo?

Orcio: Weź mnie i nie puszczaj — nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą.

Mąż: Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry. — O Jerzy — Jerzy — o synu mój!

Orcio: Co za krzyki — drżę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam.

Mąż: Śpieszaj, śpieszaj, Jakóbie.

(*Orszak hrabiów i książąt przechodzi przez dolny dziedziniec. — Jakób z żołnierzami idzie za nim*).

Głos jeden: Daliście odłamki broni i bić się każecie.

Głos drugi: Henryku, ulituj się.

Trzeci: Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom.

Inne głosy: Gdzie nas pędzą — gdzie?

Mąż (*do nich*): Na śmierć. (*Do syna*): Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trzeba mi w inszą stronę. (*Orcio pada trafiony kulą*).

Głos w górze: Do mnie, do mnie, duchu czysty — do mnie, synu mój!

Mąż: Hej! do mnie, ludzie moi. (*Dobywa szabli i przykłada do ust leżącego.*) Klinga szklana jak wprzódy — oddech i życie uleciały razem. — Hej tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności!

(*Zamieszanie i bitwa.*)

(Hr. Henryk rzucił się w przepaść: twierdza dostała się w ręce Pankracego.)

Pankracy: Gdzie Henryk? — czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego. (*Oddział zbrojnych schodzi z murów*). A wy nie widzieliście Henryka?

Naczelnik oddziału: Obywatelu wodzu, udałem się za rozkazem generała Blanchetti ku stronie zachodniej szańców, zaraz na początku wejścia naszego do fortecy, i na trzecim zakręcie bastyonu ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku, by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się i patrzył chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz, który ma dać nurka, i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała spadającego po urwiskach — a oto szabla znaleziona kilka kroków dalej.

Pankracy *(biorąc szablę)*: Ślady krwi na rękojeści, poniżej herb jego domu. To pałasz hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, gilotyna wam! Generale Blanchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku. — Leonardzie! *(Wstępuje na basztę z Leonardem)*.

Leonard: Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich.

Pankracy: Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ostatniem ich westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trzeba zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

Leonard: Bóg wolności sił nam doda.

Pankracy: Co mówisz o Bogu — ślizko tu od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci.

Leonard: Chyba to ciało przebite.

Pankracy: Ciało jego powiernika — ciało martwe, ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło.

Leonard: Bledniesz, mistrzu.

Pankracy: Czy widzisz tam — wysoko — wysoko?

Leonard: Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca.

Pankracy: Znak straszny pali się na niej.

Leonard: Chyba cię myli wzrok.

Pankracy: Milion ludu słuchało mnie przed chwilą gdzie jest lud mój?

Leonard: Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie.

Pankracy: Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

Leonard: Kto?

Pankracy: Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

Leonard: Co się z tobą dzieje? co tobie jest?

Pankracy: Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw.

Leonard: Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

Pankracy: Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

Leonard: Czy dobrze tak?

Pankracy: Nędzne ręce twe — jak u ducha, bez kości i mięsa, przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż!

Leonard: Oprzyj się na mnie.

Pankracy: Daj mi choć odrobinę ciemności.

Leonard: O mistrzu mój!

Pankracy: Ciemności — ciemności!

Leonard *(wracając)*: Hej! obywatele — hej! bracia demokraty na pomoc! Hej! ratunku — pomocy — ratunku!

Pankracy: *Galilaee, vicisti!*

(Stacza się w objęcia Leonarda i kona.

Uwaga. Z Irydyona niema tutaj wyjątków, gdyż utwór ten uczniowie czytać będą w całości.

PSALM DOBREJ WOLI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącoletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! — Twego Syna 5
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje:
Z Polski — ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje;
Co mieczem — tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy, 10
Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami 15
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie.

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otchłanie,
Zmarłych żywymiś trzymał na walk polu! 20
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni,
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze srebra i szablą ze stali!
Do serc wsmętnionych w cierpienia czyścowe 25
Wlewałeś bicie wśród nicestwa nowe;
Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie,
Wrzkomo z nas trupy, a duchy w istocie!

Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził w okół naszych cieni, 30
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie — ciało uiskrzyły!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami 35
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża —
I krzyż, lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie! 40
Tchem dzieje świata Tyś przegiął jak kłosy
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa!
Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa!
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić: 45
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić;
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każdy, że Twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem! 50
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami 55
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!...

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie —
Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie;
Aż się rozwiała w perzyny i dymy, 60
Rozdarta w sobie, a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca!
I ona kiedyś być miała królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie!
Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie, 65
A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
By nad nich podnieść się życiem na nowo: —
Odkrólewszczona — i stała się wdową
I dotąd płacze na Twojego Syna
Za to, że plemion toporem nie ścina, 70
Jedno krzyż wziąwszy w zmartwychwstałe dłonie,
Światy obala, gdzie tym krzyżem wionie!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,

Daj nam, o Panie, świętymi czynami 75
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

. . . . . .

Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
Nie! — darmo: teraz tu stać musim sami!
Ach, wiem! ta chwila już do nas należy.
W ostatniej losów tej naszych przemianie 80
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży:
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Lecz wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi,
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku Twój nakaz już czcili 85
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
W Królowej Polskiej — Twojej ziemskiej matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich polskich dusz wyszły miliony 90
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem;
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;
Niech w wielką zmarłych tych ubrana chmurę
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp dążnych w górę 95
Szatani z piekła — lub też ludzie podli.
Spojrz na Nią, Panie, gdy z dusz onych rzeszą,
Co wokół wieńcem powietrznianym śpieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem!
Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły, 100
Wszystkie w przestworach wirujące siły
Znikły pod smętnem rozrzewnienia czarem;
Coraz to wyżej, jakby na promieniach
Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury, 105
Płynie za słońca, taka bielejąca,
Coraz to wyżej, do góry — do góry!

. . . . . .

Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu! 110
O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkich mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunty rozwiewasz na szczęty 115
Jak serc przewrotność; — Ojcze, Synu, Duchu!
Ty, coś rozkazał człowieczej iściźnie,
By nędzna siłą i kolebką mała,
Przez moc ofiary się wyanielała,

I Polskiej naszej rozkazał ojczyźnie, 120
By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Niezatraconej prawości przykładem,
Choć wciąż pod głazów grobowych opadem
Wszystkich tych ludów otruwana jadem;
Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu 125
Wściekłych piorunem przybijasz do darni,
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni;
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże, 130
A światu męscy — my, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu;
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią 135
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie: z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu! 140
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie 145
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Z WIERSZY DROBNYCH.

DO ANIOŁÓW.

Ja was wyzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Boście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,
Niż wy w niebiesiech. Nie lękam się wzroków 5
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia;
Jak wy — dziś płynę wśród światła potoków,
Jak wy — wznieść mogę nieśmiertelne pienia!
Tę, którą kocham, płaczącą widziałem:
Łzą rozrzewnienia powrót mój witała! 10
Odtąd sam cały na zawsze skonałem,
Bom zlał się z duszą tej, która płakała!

Mówcie wy teraz, duchy i anieli,
Czy w nierozłącznej z jej sercem jedności
Duch mój niebiańśtwa waszego nie dzieli, 15
Choć pije z ziemskiej truciznę miłości?
Wyście spokojni, trwałem wasze szczęście:
Na ziemi radość — choć nie z ziemi rodem —
Dwa serca spaja w wznioślejsze zamęście,
Bo zagrożone boleści rozwodem! 20
Są chwile ludzkie — o! wam niedościgłe:
Wy od nas górniej i piękniej mieszkacie,
Lecz serca wasze wśród niebios wystygłe;
Co piorun szczęścia w nieszczęściu, nie znacie!
Co kropla rosy wśród piekielnej spieki, 25
Co twarz kochana po długim rozdziele,
Co zmartwychwstanie po śmierci — na wieki,
Co kwiat w pustyni, co iskra w popiele!
Co wzrok łez pełen, co ściśnienie ręki,
Co wspólna bojaźń, co boleść dzielona — 30
Nie, wy nie wiecie, co na krzyżu męki
Rozkwitająca cierniowa korona!
I ten kwiat głogów na tej smutnej ziemi
Wszystkie wytrzyma słoty, wichry, burze;
On z trosk wyrasta, on z smutków się pleni — 35
Świeży i piękny jak edeńskie róże!
Stokroć rozdarty, rozszarpany, zmięty,
Na czas upadnie w głąb duszy człowieka;
Tam niewidzialny, ale równie święty,
Znów listki puszcza, pory słońca czeka! 40
Takiego kwiatu, duchy i anieli,
Wy nie znajdziecie po waszych błękitach,
Bo się odświeża tylko w łez kąpieli,
Bo rośnie w głębi a nigdy na szczytach!
Patrzcie na wieniec, co krwawi mi skronie: 45
To znak mój ludzki, ta z purpury wstęga!
To kwiat męczarni, co wre w mojem łonie;
I duch mój cierpi — lecz do was dosięga!
A kiedy nagle rozwidni się wkoło,
Gdy blask uniesień uderzy mi czoło, 50
Gdy noc tak jasna, cicha, nieskończona
Tę krew osrebrzy, co płynie mi z łona: —
Wtedy ja silniej od was wszystkich czuję,
Wtedym prawdziwie syn nieskończoności!
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję, 55
Niż wy, gwiazd pany, za szczęście wieczności!

PO ŚMIERCI.

Gdy wkrótce, droga! śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me w popiół, ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę.
Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu, 5
Grób mój nie tutaj, mój grób — tam na niebie!
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przeźroczu
O chwili, w której jam tu szukał ciebie.
Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu,
Modląc się, zejdziesz i staniesz w żałobie, 10
Jak posąg biały u chłodnika wchodu:
Może ja wrócę lub przyśnię się tobie.
Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą albo listkiem może — 15
Listkiem tak błędnym, jak liście jesieni.
Bo ja na przemian i gwiazdką i listkiem,
Gdym żył, błądziłem po tej smutnej ziemi;
Dla ciebie byłem gwiazdą, pieśnią, wszystkiem:
Dla ludzi niczem — bom ja gardził nimi! 20
Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów!
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło;
Żyłem w twych oczach i w oczach aniołów:
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło.
Jam bardzo kochał — zanadto, zawiele! 25
Jam bardzo kochał, aż znękan rozdziałem,
Duszęm wypłakał; jam nie mógł w rozdziele
Żyć z tobą tutaj — więc tutaj skonałem.
Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem, tchnieniem!
Do harfy twojej dziś mój duch przylega 30
I pod twą ręką drży strun twoich drżeniem,
Aż znów ucicha, omdlewa, odbiega!
Jam się stał iskrą, sinym błyskiem, mgnieniem!
Gdy chmura pędząc czarną pierś roztworzy
I krwi się twojej obleje promieniem — 35
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy!
Gdy księżyc wznijdzie, cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozzłacam się wkoło;
A gdy cię ujrzę, zbliżę się stroskany
I milcząc, światłem całuję cię w czoło. 40
Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie;
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzy, lasów i rzucam na szaty;
Ty je otrząsasz i depcesz w żałobie.
Proszę się duchów, archaniołów, Boga, 45
Bym mógł raz jeden objawić się tobie:

Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąć widzialny o wieczoru dobie.
Lecz darmo proszę! Tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powieniem 50
I, bladych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszanem żegnać cię westchnieniem.
Próżno mnie wabią gwiazdy i lazury —
Ja zbiegam ciągle na dół, tam ku tobie
I smętny wracam w niebieskie tortury; 55
W nieskończoności pusto mi jak w grobie!
Nieszczęsny jestem, choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni;
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni. 60
Samotny jestem wśród toni wszechświata;
Co mi po nurtach tej elektryczności,
Która dziś wieńcem siły mi oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?
Co mi, że latam i wieję i płynę? 65
Że mnie witają po drodze komety?
Że gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?
Jedno mi tylko pociechą się stało —
Twarz gdzieś anielską raz jeden spotkałem, 70
Co mi twą piękność jak snem przypomniało;
I to mi było w niebie szczęściem całem!
O! płacz nade mną gorzką łzą pamiątek!
Płacz nad nieszczęsnym, coby wolał z tobą
Dzielić łzy, bole i ziemski zakątek, 75
Niż świateł marną spętany żałobą,
Wśród tych ogromów tak rozbłękitnionych,
Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
Latać i błądzić, tęsknić i narzekać
I ciebie wiecznie — tylko ciebie czekać! 80

DLA ELIZY.

Nieraz żądałaś, bym złożył ci wiersze:
Może ostatnie to — choć razem pierwsze!
Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziękuję Bogu, żem cię znał na ziemi;
I idę śmielej w zagrobowe koła, 5
Bo jeślim spotkał w tobie tu anioła,
Znać, że Bóg dobry — znać, że Bóg na niebie —
Ufam w moc Jego i miłość — przez ciebie!

Daruj mi wszystkie oh! doznane bole,
Którymim duszę twą szarpał na ćwierci! 10
Odprowadź wiernie aż na boju pole
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, proszę cię, tych, których kochałem;
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem
I ciało moje zniknie w ciemnej głębi; 15
Bo myśli mojej i zgon nie wyziębi:
Trup się rozwieje, a ona zostanie!
Jej dotrwać może wiernem twe kochanie,
Bo nic w niej nigdy szpetnego nie było;
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą; 20
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze,
Szła niespodlona przez podłości morze
I ludziom brudnym proroczo wołała:
Że w cnocie tylko szlachetnej jest chwała!
A teraz: Amen! — Błogosławię tobie! 25
Smutnem jest życie — może jaśniej w grobie.

Z listów do Konstantego Gaszyńskiego.

XVII.

Rzym, 17. stycznia 1834.

.... Nie marz, że pięknie i cnotliwie dojść można do ideału twego; bądź pewnym, że naprzód — nigdy on się nie sprawdzi, jak każdy ideał; a potem, że usiłowania, dążenia ku niemu będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem i same wreszcie się wyniszczą. Bo ludzie nigdy nie wiedzą, ani co zrobią ani co się stanie — tak jak autor nie wie, co napisze. On chce to napisać — nie prawda! dzieło jego będzie różne od jego chęci. Ludzie to zamyślają, a robota ich wcale inaksza od ich zamiarów. Przeczytaj historyę rewolucyi francuskiej, a zobaczysz, że żaden z aktorów tego strasznego dramatu nie odegrał zamierzonej roli — a usłyszysz burzę słów i wrzasków, nie ujrzysz żadnej ostatecznej budowy.

Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem, że blizkie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga: — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują; przejdą jak koń Attyli i — głucho po nich! Dopiero to, czego ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy

z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje; — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą!

Wielką pomyłką niszczycieli i zwykłą im w czasach cywilizowanych jest to, że się mają za ludzi poczciwych i za restauratorów, za wskrzesicieli, za budowników. Oni są tymczasem tylko narzędziami do tortur rodu ludzkiego — i sam ród ludzki kiedyś nimi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzim kratami i łańcuchami gotyckich więzień.

Ostrzegam cię więc, nie ufaj ludziom, którzy (zda mi się) wielki wpływ na ciebie wywierają, tak jak na mnie dawniej. Nie tak z czytania dzienników, tych ulotnych liści, co kwitną dzisiaj, by wyschnąć dziś jeszcze, można sądzić o świecie, jak z czytania dziejów jego przeszłości. Na świecie masy najczęściej idą jak bydło, porwane entuzyazmem chwilowym lub interesem długim. Fanatyków jest bardzo mało prawdziwych. Kto takim jest przez wiarę, tylko wiarę — tego szanuję; ale fanatyzm wyradza się z interesu, powleczonego barwą idei, z kłamstwa często powtarzanego, z udanego szału, udawanego razy kilka. Takich strzeż się, mój drogi; chciałbym, byś potem nie uczuł tej strasznej goryczy, z którą nieraz ja sam obejrzałem się naokoło i nie znalazłem nic podobnego do snów moich.

A co się tyczy poezyi, i tu wbrew zaprzeczę twojemu zdaniu. Co ty mnie chcesz stosować poezyę do ducha czasu? Poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, t. j. mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości, o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach — o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty, żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic. Inszem słowem zowie się to wszystko religijnością — a to, co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem i t. d., ale nigdy poezyą! Zapewne, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń greckich, czy z katedr niemieckich wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrze-

ścijańska jest dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie. Poeci a poezya — to dwie rzeczy często bardzo różne. Poeta — to śpiewak śpiewający sobie i kołu swojemu; poezya — to pieśń odwieczna ludzkości! Dlatego poeta może być chemikiem, adwokatem i t. d., ale poezya nie może być ani chemią ani polityką i t. d. Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych — kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.

Potem uważaj, że historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, staje się poetyczną, t. j. że budżet, interwencya, handel i t. d. nikną, a zostaje tylko ich synteza, t. j. główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność: i dlatego w końcu historya jest najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem....

XXXIX.

Kissingen, 6. czerwca 1837.

Drogi Konstanty! L. Ulrych się na krytyka urodził, ma naturę zaprzeczania; „nie“ jest jego wszystkiem, jak u Mefistofelesa w Fauście. Jego rozumowanie podobne do tego: „Jeśli czarno, to fałszywie; jeśli biało, to nieprawdziwie; jeśli zaś cudem jest zarazem biało i czarno, to niedorzecznie“. Naprzód krytyk powinien ogarnąć myśl dzieła; jeśli jej nie pojmuje, niechaj się do krytyki nie bierze. Albowiem można tylko sądzić o tem, co jest w naszym rozumie pojęciem, o tem, co się stało niejako gościem mózgu naszego. Lecz jak mówimy: „twarz tego zamaskowanego człowieka jest brzydka lub piękna“, to głupstwo; bo naprzód larwę, co go kryje, zedrzeć powinniśmy, a dopiero o rysach jego wydać zdanie. Jedyna prawda całej krytyki Ulrycha w tych mieści się wyrazach: „gdzie

chciał być dowcipny, nieco ciężki", zresztą nic a nic podług mnie nie trafił.

„Masynissa niepotrzebny".

Co to znaczy powiedzieć: niepotrzebny? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba że jej nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznej; wtedy należy mówić, że owa postać niedopełniona, nieożywiona, niedorzeczna, ale nie, że niepotrzebna. Tak samo możnaby wyrzec, że cały poemat niepotrzebny, że suknie, obuwie niepotrzebne, że wszystko niepotrzebne, bo można nago, boso chodzić; Mefistofeles w Fauście niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy i czyny skupić w parę sentencyj i położyć w przedmowie, w przypisku lub dewizie; sam Faust niepotrzebny, bo można było nic nie napisać; stworzenie całe niepotrzebne, bo można było nic nie stworzyć. Nic nie jest potrzebnem, ale są rzeczy konieczne: i tak Bóg nie potrzebował zapewne ani komet ani słońc ani komarów; lecz koniecznością jego rozumu poszło, że biegą komety, świecą słońca, brzęczą komary.

Masynissa jest to pierwiastek wszech złego, który ciągle koniecznością samego stworzenia przemienia się na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to, to nic, to zero niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe.

Dalej Leon takie stawia zadanie: „Czy autor chciał po-„wiedzieć, że zemsta nie tylko pogańskim bogom, ale i chrze-„ścijańskim miła? czy też że Irydyon jest to ludzkość, na wieki „wieków zemsty szukać przymuszona? Jeśli to myśl poli-„tyczna, to niestosowna forma; jeśli filozoficzna, to radykalnie fałszywa".

Dość zawiły peryod, rozwikłać go trudno; jednak dzieło samo winno było nań odpowiedzieć. Spytaj się Leona, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią znikły nieszczęśliwie na ziemi; których głowa

pałała jednem tylko dzikiem marzeniem, a których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci? Zstąpili oni do grobu, hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; ale oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem: błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów — słowem, całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi. Polityka mało o nich lub nic nie powie, historya więcej, poezya najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohaterowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwycięstwem, niesławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć, i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohaterskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej masy jest Irydyon. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się zżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać: krótkie albowiem dni jego; duch może myśleć, modlić się, kochać: bo ma wieki przed sobą. Ciało, gdy raz padnie, nie powstanie więcej; duch z serc, co pękły, przelewa się w serca, co biją, i kończy zaczętą drogę. Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie zmysłowej, młodzieńczej, bohaterskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie, co począć; śmiech szatana nad tem wszystkiem się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończone, ogień i żelazo słabe są na doprowadzenie ich do końca. W drugiej, ostatniej części, chrześcijańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko, co złe, darowane być musi za to, co było dobrego, i przestroga, nauka, by duchem działać, by z pracy wieków zmartwychwstawać. Cóż to jest praca wieków? To jest praca ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest: to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyi i rzezi, je-

dno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność, doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej; wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo, co jest, to jest; nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum Boży. Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezyą, koniecznością, ogółem.

Autor więc dwie części miał w tem wszystkiem na myśli: 1) zemstę, ciało i konwulsye, co zwykle miotają światem, i tylu umarłych zawcześnie, pięknych, dzielnych, niepamiętanych; 2) ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześcijański, idealny, którym wszystko, co jest i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza ducha, by potem wcielić w świat tegoż ducha; rozum Boży przeciwstawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijanym. Stąd pochodzi, że za czyściec, za powtórną próbę każe głos, słyszany w Kolizeum, iść Irydyonowi do ziemi mogił i krzyżów, i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich, nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na dobre; i w nagrodę takiej pracy (okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje) obiecuje mu zmartwychwstanie, i to jeszcze na ziemi. Chrześcijaństwo nie inaczej owładnęło światem. Spodziewam się, że teraz Leon mnie pojmie.

Zresztą, mówiłem z autorem wiele o tem. On sam wie, że wykonanie jest w wielu miejscach słabe, niedostateczne, chrome, że dramatyczność nieraz zasypia, słowem, że są ogromne błędy, pod względem wyrobienia. Lecz o myśli głównej, przewodniej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka, i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednej strony, a z drugiej z przemijającymi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychanej, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei. Ten jęk, wcielony w postać artystyczną, był jego miłością i celem. Jak dalece dokonał celu, o tem każdy niech sądzi — ma prawo; ale celu się tykać samego, to się zdaje niesłusznem i poza granicami wszelkiej krytyki, bo to, co jest prawdą, nie podpada pod jej

zarząd. A na to, że to prawda, mógłby autor wywołać cienie poległych i łzy żyjących; mógłby niejednego zapytać: „Czyś ty nie czuł, nie marzył tak?“ a niejedenby odparł: „Tak jest“ — nie tylko niejeden, ale naród cały!

Zresztą niech się sam autor broni, psuć sobie oczów w obronie jego nie myślę; i tak już nie wiem, poco tyle o tem do ciebie nabazgrałem.

Co do konfederacyi barskiej, uznaję, że przedziwny przedmiot, ale do takowego zbywa ducha, na którym coraz więcej zbywać zaczyna twojemu przyjacielowi. Coraz bardziej okrążają go realne nudy, przymusy, fakta, życie praktyczne. Spokój, twojem zdaniem tak potrzebny przy tworzeniu, daleki od jego duszy, przeczucie nędznego zawodu i końca go trapi. Jednak on ci obiecuje, że jeśli nieba dozwolą mu jeszcze spokojniejszych chwil, to on wypełni, coś jemu zalecił, gdyby to nawet być miało tylko przez przyjaźń dla ciebie. Kilka rzeczy on zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się. Wandy myt jest przecudownym dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać. Różne także komiczne, humorystyczne wiły się zamiary w głowie jego; ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem. On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się. Niech Bóg mu dozwoli z tej toni z nową i męską wyjść wiarą!

Mówisz, że podżegacza żadnego materyalnego nie potrzeba, by pisać; różnię się zdaniem od ciebie. Praca rąk i nóg na codzień przeznaczona człowiekowi, tę odbyć może bez rozdrażnienia nerwów; ale natchnieniem się nie napoi, jeśli wprzódy mózgu nie nastroi na nutę natchnienia.

Pisz mi tutaj zaraz; jestem tu z ojcem moim schorzałym. Pisz zaraz. Konstanty ci się kłania serdecznie.

Żegnam cię i ściskam z głębi duszy.

Hieronim Kąjsiewicz.

Urodzony w Augustowskiem, w roku 1812. Do szkół chodził w Sejnach, na uniwersytet w Warszawie. Ale kiedy był na drugim roku prawa, wybuchło powstanie: wstąpił do 3. pułku ułanów.

Ranny pod Nową Wsią (szrama przez oko i całą twarz została mu na całe życie), wzięty do niewoli, odbity pod Puławami, po skończonej wojnie poszedł na emigracyę. Tu »politykował« (jak się sam w pamiętniku wyraża), należał do klubów i pisał wiersze. Z jego późniejszych uczuć i przekonań nie znać w tych wierszach ani śladu, owszem zupełne ich przeciwieństwo: ale znać, choć wiersze (Sonety) nieszczególne, rzeczywistą siłę uczucia i duszy. Znać także trzeźwość i jasność myśli: ani śladu tego mistycyzmu, który w owych latach był tak powszechnym.

W roku 1835, jak sam mówi, uczuł w sobie powołanie kapłańskie. Jaką drogą do niego doszedł? Niezawodnie przez miłość ojczyzny, ale i przez tę jasność i męskość własnej duszy, która mu mówiła, że wszystkie starania są dodatkowe tylko, a stanowczem, skutecznem, najpotrzebniejszem jest odrodzenie samej duszy narodu. Że zaś nie rozumiał powołania połowicznego, nieszczerego, więc w stanie kapłańskim widział przedewszystkiem służbę Bożą; że nie rozumiał połowicznego poświęcenia, więc skoro uznał, że trzeba Polaków, którzyby Bogu z całego serca służyli, nie wahał się i nie targował, ale postanowił takim być.

W tych latach właśnie skupili się około Mickiewicza wszyscy, którzy przejęci byli katolickiemi uczuciami i dążnościami w emigracyi; i mówiono wiele o potrzebie polskiego zakonu, ale nikt w tem gronie duchownego powołania nie miał. Uczucia religijne wszakże rozbudził w Kajsiewiczu Mickiewicz, i jemu pierwszemu zwierzył się Kajsiewicz ze swojem postanowieniem. Takie samo powziął równocześnie młodszy od niego o lat dwa Piotr Semeneńko. W rok później zaczęli chodzić na teologię.

Uznano wszakże i oni sami zrozumieli, że powinni odbywać nauki w Rzymie, świadczyć tam o katolickich uczuciach Polski, a w potrzebie dawać wiadomości o jej stanie. Poselstwo rosyjskie otwarcie i skrycie stawiało tysiączne przeszkody przyjęciu ich do któregokolwiek zakładu, niedostatek znosili wielki; wszelako zdołali wszystko przezwyciężyć i wytrzymać, i w roku 1841 otrzymali święcenia kapłańskie. W dzień Wielkiej Nocy 1842 zawiązali się w zgromadzenie zakonne, a od tego dnia nazwali się zgromadzeniem Zmartwychwstania Pańskiego.

Zaraz potem okazała się potrzeba walki z wielkiem religijnem niebezpieczeństwem, z nauką Towiańskiego. Ksiądz Kajsiewicz, wysłany do Paryża, próbował z prawa dawnej przyjaźni otrzeźwić Mickiewicza, ale napróżno. Żeby zaś innych łatwiej w wierze utrzymać, wyrobił z pomocą hr. Montalemberta pozwolenie na osobne nabożeństwa dla Polaków i na tych (nie wiedząc jeszcze o swojej zdolności kaznodziejskiej) zaczął kazać. Pierwsze jego kazanie (i jedno z najpiękniejszych) o Rządach Opatrzności było odpowiedzią na to samo pytanie, które słyszy się ciągle w naszej poezyi: jak pogodzić zwycięstwo złego ze sprawiedliwością Boską. Tylko on odpowiada na pytanie inaczej niż poeci, i przypomina tyle polskich grzechów i zaniedbań, że kara po nich nastąpić mu-

siała, a zwyciężenie złego w sobie musi być warunkiem i początkiem wszelkiego zwycięstwa. Po tem kazaniu nastąpił szereg innych, o Walce i żołnierstwie duchowem, o Wytrwałości, o Cierpliwości itd. — wszystkie polityczne, jeżeli się można tak wyrazić, odnoszące się do naszego stanu i położenia, i najpiękniejsze może ze wszystkich, o Pokucie.

Towianizm przestał się szerzyć, służba duchowna polska w Paryżu była urządzona i zapewniona, ksiądz Kajsiewicz odbył misye po różnych miastach francuskich, gdzie było więcej Polaków, a potem wrócił do Rzymu. Trafił tu właśnie na chwilę, kiedy niespodzianie zapowiedział swój przyjazd cesarz Mikołaj I. (1845). Dostarczywszy wszystkich szczegółów o ostatnich prześladowaniach religijnych, podał ks. Kajsiewicz Grzegorzowi XVI. memoryał z wyliczeniem tych praw i swobód, które się Kościołowi polskiemu należą, i tych, które jako minimum są mu do życia konieczne. Memoryał ten nie był bez wpływu na stanowisko, jakie względem cesarza zajął Grzegorz XVI. i jego sekretarz stanu. Wkrótce potem umarł Grzegorz XVI. (1846), a Pius IX. otoczył młode zgromadzenie szczególną łaską i opieką. Gdy w roku 1848 Kajsiewicz, wezwany do Poznania przez arcybiskupa Przyłuskiego, dla zaburzeń dostać się tam nie mógł, przyjechał do Krakowa, gdzie przez kilka miesięcy bawił, często kazał, odbywał konferencye dla księży, zawiązywał bractwa, założył pismo Tygodnik kościelny. Gdy wojska rosyjskie, idące na wojnę węgierską, zbliżały się do Krakowa, przestrzeżony, że będzie uwięziony i wywieziony, wyjechał do Paryża.

Po zaburzeniach roku 1848, w których imię ojczyzny tylokrotnie było nadużyte do anarchicznych a ojczyźnie szkodliwych celów i czynów, należało się nam zrobić rachunek sumienia z owego roku. Zrobił to ksiądz Kajsiewicz w kazaniu o Duchu narodowym i duchu rewolucyjnym; zrobił rozróżnienie jednego od drugiego i wykazał, czem drugi pierwszemu szkodzi. Wtedy zaszła w kościele scena i gorsząca i zarazem wspaniała. Kiedy kaznodzieja po wielu innych zrobił niektórym Polakom zarzut, że targnęli się w Rzymie na Namiestnika Chrystusowego i pomagali do jego wypędzenia, począł się w kościele rozruch. Ale Kajsiewicz mocniejszy był od rozruchu. Zgromił go i zmusił do milczenia: a to zrobiwszy, zakończył kazanie wspaniałą, najrzewniejszą modlitwą za Polskę.

Zgromadzenie rozwijało się szczęśliwie (w Bułgaryi i w Ameryce), pracy przybywało ciągle. Dwukrotnie odbył ksiądz Kajsiewicz podróż do Kanady, Stanów Zjednoczonych i Brazylii, dla zwiedzenia tych domów i zakładania nowych. Starał się także o pozwolenie zakładania domów w Galicyi. Trudności były znaczne. Kilka razy przyjeżdżał w tym celu (i sprawę znacznie posunął), raz ostatni na krótko przed śmiercią. Umarł nagle, w Rzymie, 26. marca 1873.

Oprócz kazań zostawił wiele innych pism treści duchownej,

Pamiętnik swego zgromadzenia i Listy ze swoich podróży do Ameryki.

Ksiądz Kajsiewicz jest postacią znaczącą w naszej historyi przez to, że jest skutkiem i dowodem, ale zarazem dalszą przyczyną i siłą poruszającą, odrodzenia się ducha katolickiego w Polsce. Kierunek ten, widoczny w całej Europie od rewolucyi francuskiej, a coraz widoczniejszy, u nas ma w nim głównego, bo najwszechstronniej czynnego reprezentanta. Ustalenie i wyrobienie się (w wielu z nas) katolickich zwyczajów i tradycyi w przekonania i zasady, jest w znacznej mierze skutkiem jego słowa, pism i działania.

W literaturze zaś ma on to znaczenie i stanowisko, że jest największym kaznodzieją polskim naszego wieku, a od dwóch wieków przeszło pierwszym prawdziwie wielkim. Jest co do formy jednym z najwyższych, najdoskonalszych w tym wieku prozaików i stylistów polskich; co do treści jest jak nasi wielcy poeci naturalnym skutkiem położenia i stanu narodu. Tylko na polu religijnem i z kazalnicy objawił się ten skutek inaczej, niż na polu świeckiem i w poezyi. Punkt wyjścia jest ten sam; ten sam patryotyczny ból, który wydał naszą poezyę, wydał kazania, a może nawet cały zawód duchowny Kajsiewicza — tylko, kiedy poeci widzieli trafnie, czem i jaką Polska być powinna, ale mniej jasno, jaką ona w rzeczywistości jest: to kapłan i kaznodzieja, mając ten sam co oni ideał jej w duszy, wyraźniej od nich miał w oczach wszystko złe, które się temu ideałowi sprzeciwia, i wytykał to bez ogródek.

Jako kaznodzieja ma on naprzód dar i siłę wymowy w stopniu bardzo rzadkim, wyjątkowym. Potem ma zadziwiającą znajomość swego narodu. On zna nawskróś naturę polską, wie zawsze nie tylko to, co Polak robi, ale dlaczego robi, co czuje, co myśli, co cierpi, co zamierza. Jako psycholog i znawca narodowego usposobienia, ksiądz Kajsiewicz należy do najznakomitszych w naszej historyi. Ta właściwość czyniła go szczególnie zdolnym i usposobionym do tego rodzaju kaznodziejstwa, który możnaby nazwać specyficznie polskim, bo nigdzie nie spotyka się go w tej mierze i w tej świetności — do kaznodziejstwa politycznego. Skarga pierwszy mówi o obowiązkach i grzechach obywatelskich przeciw ojczyźnie, jako o obowiązkach i grzechach religijnych przeciw Bogu i chrześcijańskiemu sumieniu. W jego ślady wstępuje Birkowski, Starowolski, Młodzianowski. Potem urywa się ta tradycya: w czasach narodowego upadku niema takich kaznodziejów ani takiego rodzaju kaznodziejstwa. Podejmuje tradycyę w półtrzecia wieku po Skardze Kajsiewicz, w czasach nierównie nieszczęśliwszych niż czasy Skargi, a podejmuje z takim ogniem, z taką potęgą Bożego i polskiego ducha, że w całej historyi naszej wymowy, naszego piśmiennictwa, naszego Kościoła i narodu, nikt nie jest Skargi tak blizkim jak on. Pierwszy po Skardze w rzędzie naszych religijnych mowców, podobny jest do niego Kajsiewicz i przez to, że połączył w sobie doskonale miłość i służbę Boga i ojczyzny: a obiedwie były w nim tak wysokie, że dorównać mu w nich bardzo trudno.

KAZANIE O POKUCIE.

(29. listopada r. 1842).

Niejeden z was był może naocznym świadkiem, jak w chwili odsłonięcia cudownego obrazu Bogarodzicy w Częstochowie pobożny a gęsto skupiony lud nasz rzuca się krzyżem na ziemię i, wielki płacz zawodząc, przeciągłe jęki wywołuje z murów rozległej świątyni... Oto nabożeństwo prawdziwie uroczyste, jakie nam dziś przystoi, jakiegobym wpośród nas życzył, na jakiembym przestał. Przestałbym chętnie na cichem zadumaniu się, rozmyślaniu, skupieniu i rozrzewnieniu ducha. Tak sprzeczne wspomnienia i uczucia tak się tłumnie cisną! Każdy czuje dziś mocniej niż kiedykolwiekbądź, że połową tylko serca żyje; że druga daleko, daleko... a obie tak się gwałtownie a niewidomo przyciągają. Każdego dziś milczenie myślące i mówiące; radbym i ja milczał.

Ale jeżeli chcecie, bym mówił, i tak licznem zebraniem się waszem dodajecie mi ochoty i wyzywacie niejako na słowo, mówić będę, ale mówić o tem, czem duch mój wezbrany, czego pełen: o pokucie.

Miejsce samo woła do pokuty. Ciemne, wilgotne, przysiadłe mury tej kaplicy przypominają, nie prawdaż? na poły więzienie, na poły katakomby podziemne pierwszych chrześcijan. Obrazy jakie? Po prawicy Chrystus przybijany do krzyża; zda się mi jeszcze słyszeć razy młota i cichy, dźwięczący, srebrny jęk Zbawiciela. Nade mną, nad ołtarzem, Chrystus Pan na krzyżu; u stóp jego Magdalena we łzach: jawnogrzesznica, ale już pokutująca, już oczyszczona, już święta. Po lewicy Zbawiciel, ciało przynajmniej w grobie, dusza zstąpiła głęboko do otchłani: żal i nadzieja Bogarodzicy tam go ściga. A ten ołtarz w głębi? co na nim? Serce Zbawiciela przebite boleścią, miłością płonące.

Uczynię zatem z wami, o bracia, rachunek sumienia narodowego, spowiedź niejako publiczną. Chwalić was nie będę; bo i obcy nas i samiśmy się już dosyć, bodaj nadto może nachwalili, a najczęściej kosztem innych niestety! nieraz odsłaniając przed obcymi domowe nędze nasze. Niech się chwali i weseli, kto może; ja nie widzę, z czego. Po chwilach przelotnej i wątpliwej chwały — długie oto lata cierpienia i niesławy; widzę przyszłość zasunioną gęstymi i krwi pełnymi

obłoki. Jawne, sterczące grzechy narodu, dotychczas nie poprawione, leżą mi w oczy i serce bodą. Na nie się tedy obracam, na nie, źródło i powód trwania wszystkich nieszczęść naszych; nie sfolguję im, jakiekolwiek i gdziekolwiek są, otworzę w goryczy usta moje; ja proch i pył kościelny, ja dzieciuch Pański, grzeszny i ostatni służka w domu Jego, przecie mówić będę. Dzień sam, wigilia św. Andrzeja, namiętnego miłośnika i apostoła krzyża — wszystko, wszystko woła do pokuty. Od dawna się już zbierałem na tę wyprawę, i dotychczas serca mi nie stało. O! nie takto łatwo grzesznemu wytykać grzechy innych; nie takto łatwo gromić z miłości i żalu, jak z pychy i nienawiści. Miłościwy niech mi Pan będzie w dzień sądu mojego, Jemu samemu polecam pocieszenie dusz pokutujących, a pójdę ścigać zbłąkanych rozprószeńców z domu Izraela; do nich mam sprawę, na nich wołam: Czyńcie owoce godne pokuty, bo już siekiera jest przyłożona do korzenia.

Panie mój! jeżelim Cię kiedy prosił, abyś kierował memi usty, tedyć goręcej proszę dnia tego i godziny, racz sprawiać słowa moje i serca tych miłych braci, aby rany, które im zadać mogę, za wdzięcznem a wonnem namaszczeniem Twojej łaski, stały się im ku zbawieniu. O co cię błagam, za przyczyną świętej a boleściwej Matki Twojej!

Kiedy naród jaki, opatrzony we wszystkie warunki fizyczne, potrzebne do istnienia, i mający za sobą długowieczne doświadczenie, upada, najracyonalniej każdy wniesie: więc musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Ślizga się bowiem po powierzchni, kto się czepia okoliczności zewnętrznych i na nie wszystko spędza. Cóż dopiero, jeżeli spojrzymy ze stanowiska wiary i Opatrzności! Jak wkorzenione i uparte być musi zepsucie w narodzie katolickim, gdy go Bóg w gniewie swoim podawał w ręce ludów niekatolickich. Przepowiadał wam to wielki Skarga, przepowiadali inni ludzie z ramienia Bożego. Długo grozili, dziś już grozić nie trzeba, już się groźby spełniły... zostaje jedynie obawa ostatecznej niepokuty, ostatecznego opuszczenia ze strony Bożej. Aby od pierwszego was odwieść, a od drugiego ochronić, jeszcze wołamy do was: Pokutujcie, bo siekiera do korzenia jest przyłożona.

Kiedy choroba jest wewnętrzna, tedy i leki powinny być wewnętrzne; czego dotychczas nie chcieliście zrozumieć i je-

szcze nie chcecie. Zawszeście chcieli siłą i przebojem wydobyć się z pod chłosty, nie usuwając jej przyczyn: a przeto wciąż idziecie przeciw woli Opatrzności i zdwajacie wasze cierpienia. Naród, jak człowiek, jest wprawdzie wolny, ale jeżeli nie wczas lub źle użyje swej woli, grzeszy i cierpi karę, aż póki użycie onej nie spotka się z chwilą łaski i wyroków Bożych... Naród nie jeden człowiek; naród podbity długi stanowi szereg więźniów przykowanych do siebie jednym łańcuchem. Wszelki wysiłek, wszelkie poruszenie nieużyteczne, okropny, bolesny jęk wyrwie z piersi wszystkich współtowarzyszy. Tak człowiek, jak naród nie tworzą wypadków. W ich odgadnieniu, w ich dobrem użyciu leży zasługa i mądrość; a do tego trzeba czystego bardzo sumienia, wyrzeczenia się siebie, szukania większej chwały Bożej i pożytku bliźnich. Wolność, nadużycie wolności czyli grzech, i podnoszenie się z grzechu przez pokutę i zadośćuczynienie, oto treść dziejów tak ludzi jak narodów. Nie rozumieją lub nie chcą tego rozumieć drążkowi politycy i dlatego tak krótko widzą; nie rozumieją palca Bożego w kierowaniu narodami i dlatego tyle błędów i tyle cierpienia.

Dlatego i powstanie listopadowe, pomimo tylu najczystszych pojedynczych poświęceń, nie miało za sobą błogosławieństwa Bożego. Nie sił fizycznych, ale siły moralnej zabrakło. Ale Bóg i złe umie na dobre obrócić. Nie wiedząc, co czynicie, odśpiewaliście nieszpory do św. Andrzeja. Czas i dni wielkich wypadków nie są bez znaczenia. Św. Andrzej, pierwozwaniec Chrystusowy, jest apostołem Słowian i rzecznikiem ich przyrodzonym w niebie. Od dziesięciu wieków prawie straszny dualizm religijny dzieli kraje słowiańskie, a Polska i Moskwa jego wyobrazicielki i zapaśnice. Od dawna już Polska zaniechała swego powołania — jednoczenia odszczepieńców do całości kościelnej. Bóg dopuścił, iż nacisk zaczepny schizmy wraca nas koniecznie na stanowisko historyczne: bez tego bylibyśmy je ostatecznie opuścili, a błądzili po zużytych ścieżkach obcego zachodniego liberalizmu. Propaganda schizmatycka na szerszej dziś niż kiedykolwiek postawiła się stopie: wywiera się na północną i wschodnią Europę, mniejszą i środkową Azyę, Abissynię i Egipt, Sycylię i Korsykę samą. Naród nasz pierwsze miejsce ma w tej walce, świat cały zajmującej. Oby tylko wytrzymał, oby zrozumiał, że się wielka rzecz zaczęła! Myśleliście wyłącznie o stronie politycznej waszej sprawy,

Bóg ją teraz obrócił na stronę religijną; a człowiek nie jest panem kłaść zadania w ludzkości, musi je przyjąć jak położone. Małoście i źle chcieli; Bóg może i zdaje się chcieć dać wam więcej, choć inaczej, abyście mu tylko byli wierni. Broniąc religii, nic nie tracicie, możecie zyskać tylko.

Religia katolicka, bracia moi, była i jest podstawą całego życia umysłowego, moralnego i historycznego Polski. Powiecie, że i innych narodów katolickich; prawda, ale na jednem tle wymalowane różne młode narodowości europejskie, odmienną przyjęły barwę i kształty. Życie Polski tem wyłączniej spoczywa w katolicyzmie, iż on jeden był spójnią tego kruchego ciała, w którem indywidualność zawsze przemagała, a poza rodzinę nie wychodziła. On zastępował tę sklejność i organiczne instynkta, których zarówno z innymi ludami nie posiadamy; on zastępował ten zbiorowy rozum narodu, publiczny, który, nigdy weń niebogaci, dziś z osłabieniem wiary zupełnieśmy zatracili. Katolicyzm przy tak odrębnem naszem urządzeniu społecznem, wiązał nas jedynie z resztą zachodniego świata i przyniósł nam to wychowanie, co nas czyni wyższymi nad wszystkie inne ludy tegoż plemienia. Bo jeżeli wszędzie i zawsze wielkie myśli z serca płyną, tedy najbardziej u nas pobożność, zapał płynący z wiary zastępował wszystkie niedostatki rządu i rozumu. Narodowość więc nasza jest jak obraz na murze malowany, weń wpity, wrośnięty. Dopóki mur cały, jakkolwiekby obraz uszkodzony, wszystko da się naprawić; ale skoro się mur obali, a dziś już jest podważony, wszystkie wasze teorye, cały patryotyzm nie zbawi narodu, Polska przestanie być Polską. A gwałtem chcecie bronić samego obrazu, co niepodobna; a co najgłówniejszego, bierzecie zawsze za podrzędne. Nie od dzisiaj już tak grzeszycie. Od XVI wieku ubiegacie się za śmieciem zachodu, stroicie się i pysznicie poważnie starzyzną germańskich i romańskich ludów... Pokazał się nareszcie filozofizm francuski, ten rozum nierozumu, to twierdzenie nicestwa — i toście przyjęli. I iluż jeszcze starannie pielęgnuje i upornie go broni! Teraz młodzież garnie się do dymnika niemieckiego panteizmu. Truje się w najlepszej wierze tym niedokwasem zdrowego rozsądku, tym rozczynnikiem wszelkiego poświęcenia, wszelkiego natchnienia, wszelkiego obyczaju. W samą porę przynoszą nieszczęśliwemu krajowi nieugięte fatum, kiedy on najbardziej potrzebuje wierzyć

w Opatrzność, dającą się przebłagać. W samą porę ten świerzb nowych systematów i religii! W czas uciekać z pola, aby szukać nowej taktyki do walki, kiedy naród stoi pod ogniem działowym męczeństwa! W samą porę dzielić siły, jakobyśmy ich mieli za wiele! Wyborny sposób szukać wiecznie prawdy, aby nigdy nie pełnić obowiązku!

Bracia moi! Z grzechów to naszych wyrosło, śmieszkami się tego nie pozbędziecie. Wyrzuty te i rany na ciele ojczystem zdradzają zepsucie soków żywotnych siły narodowej, wszystko to pochodzi z niewprowadzenia w życie religii waszej. Urządziliście sobie wiarę, jakiej nigdzie niema na świecie. Z małym wyjątkiem, katolik polski, szczególniej człowiek mający się i miany za oświeceńszego, spowiada się jakkolwiek raz około Wielkiejnocy, nie dopełniając przez rok cały przepisów ani Bożych ani kościelnych; a po spowiedzi zaczyna od zbytków stołowych, od mów przeciwko wierze i obyczajom, od gier, od procesów niesprawiedliwych, od niedotrzymania słowa i zobowiązań, od uciemiężenia słabych i poddanych, i tym podobnych drobnostek; i tak znowu trwa rok cały, aż do drugiej Wiekiejnocy. Kto inaczej robi, bigot jest i fanatyk!

Wielki Boże! jaki dziw potem, że kiedy w tylu krajach religia wzrasta, u nas upada. Jaki dziw, że Bóg dopuszcza klęsk i prześladowania. Co Bogu i ludziom po takich katolikach i po takim katolicyzmie? Widzimy ich za granicą w tych okropnych czasach, żyjących z dnia na dzień jak ofiary pod nóż rzeźniczy, nie chcących nawet myśleć o swem położeniu, bawiących się, jak gdyby Sas u nas, tu Ludwik XV panował. I Sasa niema, niema od dawna, a Polska jeszcze nie wytrzeźwiała. Miał Polak zostać mądrym po szkodzie, a tu mniej mądry jeszcze! Widzimy tyle młodzieży zarozumiałej i płochej, ze czczem sercem i umysłem, goniącej za zbytkiem a rozkoszami; widzimy rozsławiających imię Polski za kulisami teatrów, po domach gry, i gorzej jeszcze, stawających przed sądem, idących do więzienia nie za wiarę ani za ojczyznę... ale za długi. Jakże wytrzymają tak ciężkie próby! Mówiliśmy o Kościele unickim; zostawił trochę nasienia, krwi męczeńskiej, obudził on sumienie dzieci swoich przed kilkudziesięciu laty w podobny sposób nawróconych, nie przystał na schizmę, ale sądził, że mu wolno ugiąć się powierzchownie. Teraz burza spada na Kościół łaciński, już na Rusi blizko przychodzi wybierać mię-

dzy wyrzeczeniem się wiary przodków a majątkiem i ojczyzną; przyjdzie kolej na inne części Polski. Duchowieństwo rozpędzają lub głodem morzą. Mówią o zamiarach targnięcia się na Ostrobramę, na Częstochowę, to ognisko serc, tę stolicę duchową katolickiej Polski i Słowiańszczyzny. Aby wytrwać, trzebaby gorliwości pierwszych chrześcijan, gęstej i gorącej modlitwy, uczęszczania do SS. Sakramentów, żywej pamięci na obecność i sądy Boże, pogardy bogactw i życia. Czy im dostarczy tej siły ów letni, materyalny katolicyzm, jaki sobie stworzyli? Mrowie przechodzi na myśl o liczbie odstępców, o rzadkich wyznawcach i męczennikach. Oto siekiera przyłożona do korzenia...

A wy, bracia moi! którzyście popchnęli naród do tej toni, który dziś was, nie oszukujcie się, w chwilach rozpaczy, porywania mężów, dziatek, ściga może nieraz swem złorzeczeniem i przekleństwy — o czem myślicie? Jeżeli macie jakie powołanie, to abyście raz wprowadzili katolicyzm w życie, abyście świecili narodowi przykładem i, kiedy on dzisiaj daje świadectwo prawdzie, abyście podnieśli błagalne ręce ku niebu, w skrusze i pokajaniu. Nie żyjąc życiem narodu, jesteście kupą piasku, którą wiatr w rozmaite rozwiewa garstki, a piasku mniej coraz i coraz lichszy. Kłócicie się o zasady. Ale jeśli tymczasem braknie gruntu, na którym je zasiewać chcecie, naco się one wam zdadzą? Cóż tak pilnego — czy zaginą książki, z których je wzięliście, i pisma wasze? Czy prócz was i po was nikt się ich nie dopyta? Wolnoż tak myśleć wam, ludziom postępu? Jużeście wszystko powiedzieli, każdy pochwycił jedną myśl, na jednej strunie gra od lat dziesięciu, jedno ma tylko oko na widzenie tego, co chce widzieć, jedno ma tylko ucho na słyszenie tego, co mu się podoba.

Wystawiliście dzienniczki jak owe rozbójnicze zameczki w średnich wiekach; kto wam się nie opłaci, obedrzecie go z imienia i poczciwości, niczego nie szanujecie, przewyższyliście rychło w nadużyciach dziennikarstwo zachodnie. Szlachetnie bezpieczni, że obrażony nie zechce obcym się sądem spierać! Piękne zadatki dobrego używania wolności w waszym kraju! Sączycie żółć zimną, znak zepsutego serca, krzywicie zwiędłe wargi do śmiechu, wojujecie śmiesznością. Czy śmieszność kogo poprawi? Czy rzecz publiczna aby krokiem naprzód postąpiła? przeciwnie. Jaki pożytek z dowiedzenia sobie nawzajem, żeście

wszyscy, żeśmy wszyscy nie wiele warci? Boć takie następstwo z sądów naszych prawnie wyciągnąć mogą nieprzyjaciele nasi, ach! i już wyciągnęli. Czy to wszystko z zasad płynie? Gdyby tak było, każdy uczciwy człowiek powinien się zarzec zasad wszelkich i na zawsze. O, gdyby o zasady tylko chodziło, tobyście dawno zbliżyli się i porozumieli, ustąpili każdy coś ze swego, przynajmniej nie przeszkadzali sobie nawzajem. Jest coś innego na dole, pycha i zazdrość, która wszelką jedność i miłość niepodobną czyni. Pycha, nawet nie pycha, bo ona się wielkich rzeczy czepia, górno chodzi, na wysokie się kasze — ale, jak ją Skarga zowie: „szara pyszka“.

Zdrobnieliście, politykując na piasku, w powietrzu zawieszeni bez żadnej podstawy, straciliście już instynkt do jakokolwiek praktycznych rzeczy; w wielu umysłach skrzywionych, śpiących na jawie, prawda marzeniem, marzenie prawdą. Gdybyście czysto szukali dobra powszechnego, nie byłoby tylu ochotników do władzy. Chęć władzy to choroba powszechna, mania emigracyjna. Władza nad czem i nad kim? nad pajęczyną? nad dymem? Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie i z sobą; zawsze tak u nas bywało. Działacie, jak mówicie (już ten wyraz, jak wiele innych, zużyty nadużyciem i w śmieszność podany), działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, wołać głośno, podpisać, wydrukować; działacie, aby drugiemu przeszkodzić, aby się nie dać ubiedz wypadkom. Pilno wam o te wypadki, a ja pragnąc ich z jednej strony, z drugiej drżę z obawy, by was niegotowych nie zaskoczyły. Boże mój! jak was takimi znajdą wypadki, czego się tu dobrego spodziewać! O, pokutujcie, póki czas! nie czekajcie, ażby Pan podniósł swą prawicę i oświadczył się, że już nie będzie czasu. A już siekiera do korzenia przyłożona...

Jest przyrodzona człowiekowi w razach wielkiego nieszczęścia zapominać o przesądach umysłu, o urazach serca. Wszystkie narody, w niebezpiecznych razach uciekały się w duchu pokuty a modlitwie do Boga o pomoc i przebaczenie. Czy to robicie? Niektórzy zapewne. Ale większość jak żyje? Panie! daj mi siłę powiedzieć! Jedni popisują się zbytkiem swoim, urągają się nędzy głodnych i schorzałych braci; brak tylko staropolskich moździerzy wiwatowych dla zagłuszenia ich skargi i jęków. Są całe szkoły karciane, tracące czas, sumienie i zdrowie na obdzieraniu wzajemnej nędzy. Dziwny sposób

do życia! A o niepowściągliwości tak powszechnej co powiem? O! niech milczenie moje, wstyd ust moich wszystko powie. I tacy zowią się męczennikami, wyznawcami świętej sprawy, zowią się katolikami, patryotami!

O, skończył się już, skończył taki patryotyzm robaczywy! Nowy się zaczyna, patryotyzm z poświęcenia. Długo Pan pozwolił operować nad biednym narodem ludziom nie mającym w sercu, na czole znamienia krzyża; ale dziś Pan widocznie sam się wdał w rządy. Do szkoły swojej Pan mój naród powołał. Nie znalazł innego środka na zbawienie człowieka, jedno krzyż: niema środka, prócz krzyża, na opamiętanie grzesznego narodu. Wszystkie uczynki dziś mierzą się krzyżem: gdzie tego piętna niema, to pieniądz fałszywy; jakiekolwiek nosi światowe godła, na nic się nie zda Bogu ni ojczyźnie. Najlepszy dziś patryota, który jest najczystszym moralnie człowiekiem, najgorętszym chrześcijaninem.

Naciągnął Pan mój naród na krzyż, jak strunę na lutnię — on Boski lutnista, naród mój najmłodszy z katolickich, Benjaminka narodów, i stroi go do Boskiej swej harmonii; coraz to próbuje, struna jęczy przeraźliwie... ach! czuję, jak jęczy; ale jeszcze nie doszła, a dojść musi albo pęknie: Polska wytrzyma próbę albo upadnie, emigracya się nawróci lub marnie zginie. Prorokiem nie jestem; co potem będzie, nie wiem; ale to wiem pewno, że bez poprawy wewnętrznej nic dobrego być nie może lub, co gorsza, a czego nie daj Boże, będzie powód nowych, ostatecznych nieszczęść narodu, bez korzyści i nawet bez chwały. Dlatego nam tak pilno, bracia moi, dlatego mówimy do was, jak gdybyśmy mówili po raz ostatni. Gdyby naród miał obietnicę trwałości jak Kościół, pogwizdywałbym bezpiecznie na wszystkie wysiłki nieprzyjaciół naszej wiary. Gdyby czasy nie były tak ciężkie, bylibyśmy cierpliwsi; ale oto naród się rozkłada, wszystkie w nim zarody śmierci, życie tak słabe. Pytamy się nieraz, czyśmy już opuszczeńcy Pańscy? czy Bóg nas odepchnął ostatecznie za tak długą niepokutę? Wszystkie nieszczęścia nas otoczyły dokoła, jak wody wielkie przejadają się w trzewia i w kości. Jakby wałem z żaru otoczył Pan jak owada: żadnej pokuty! Tymczasem wiara upada, odstępstw bez liku, między wami już kosztem wiary żebrzą o powrót do domów; dlatego nam pilno — zachodzimy w głowę, jak do was mówić, jak obudzić z letargu; oto już grabarze

mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie: już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płyny niewidome ściskają się w twierdze ciężkich czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne — i zagrzmią, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne szarpią się, rozsadzą sklepione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrzęsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się gniewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając wkoło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne mocy serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiej, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak, honoru uczucie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju i te wszystkie inne mocy, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie te same potęgi są zamknięte i w każdym z osobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człeka i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie; i spokojnie też w piersiach pojedynczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich, jak jest wzajemnem ich podniecaniem się, tak i wzajemnem ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichem, choć bezświadomem, uznawaniem ogólnego prawa, uczczeniem ogólnej prawdy wiekuistej, wewnętrznej, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie samej i zestraja je wszystkie w sobie. Lecz gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną, bezwzględną; gdy pęknie łączące je przymierze, gdy jedna z tych mocy szczegółowych dźwignie się olbrzymem, samodzielnie w piersiach, gdy przygłuszy inne mocy, inne pierwiastki, inne prawdy: wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onej ogólnej prawdzie Bożej, co jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sercu jego, demonicznem oczarowaniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowładną mistrzynią i panią; wtedy rzuci go o innego człowieka, w któ-

rym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych mocy jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą tej jednej miotającej nią siły, co stanowi jej życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotem ją opłaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sercem własnem.

Każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszność, a zarazem nie ma słuszności. Jest bowiem w prawie swojem, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za które życie daje, jest jedną z owych wielu prawd szczegółowych, które władają światem, które są przytomne i w każdym z nas: dlatego właśnie skon i los jej tragiczny wzbudza w nas współczucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiej strony figura tragiczna zawiniła w tem, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do jej posłuchu mają prawo, że tem samem obraża oną prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, oną prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dlatego też postaci tragiczne zderzeniem śmiertelnem, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadośćuczynieniem za grzech przeciw onej prawdzie wiekuistej; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w ręku, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tem wszystkiem wspomniałem tutaj, aby nam łatwiej przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną, klasyczną, a Szekspirem.

To wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest wspólnem i tragiczności starożytnej i Szekspirowskiej. Obaczmy teraz, w czem między niemi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onej prawdy nieskończonej, wiekuistej, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnemi, słowem, z temi wszystkiemi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samem sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym człowiekiem, żeby się mógł obejść bez powagi zewnętrznej; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Za tem idzie, że ona prawda

wszystkich prawd, ona prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty też on nie zdoła się na nią patrzeć, jako na moc zewnętrzną, któraby była tylko mocą, a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niej, już tem samem rodzi się rozdwojenie, dysharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą; za tem idzie, że też mocy, które go za winę karzą, są również w jego oczach czemś obcem, cudzem, zewnętrznem, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczej zupełnie ma się rzecz w tragiczności Szekspira. Tu świat chrześcijański w całem znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka, świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje; człowiek ma wagę swoją na wewnątrz; człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem Bożem, niezmrużonem nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw tej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwaja się we własnem wnętrzu swojem. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy tej prawdy ogólnej, wiekuistej, to jej skon jest właśnie zadośćuczynieniem tej prawdzie, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Za tem idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedyi klasycznej (greckiej), zderzając się jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznej, a zatem ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nierozdzielna w sobie, całem brzemieniem istoty swojej waży w stronę, kędy ją porywa jej losowładne uczucie. Ona jest niby z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża

tylko jedną pojedynczą myśl, która nią włada; dlatego te postaci są tak plastyczne, do posągu rzeźbionego podobne, w którym przecież „równie jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem“. Wynika stąd, że figury tragedyi klasycznej mniej są charakterami rozwijającemi się, jak raczej typami prawie nieruchomymi, niezmiennymi od początku do końca tragedyi. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedyi klasycznej niema potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które ona za prawdę najwyższą uważa, lub ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, nieskończonej, obejmującej w sobie owe szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzną, więc ją zastępuje chór tragedyi greckiej, który także jest zjawieniem zewnętrznem, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka, ale jest bezwładnym, bezczynnym.

Inaczej u Szekspira! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własnem sercu człowieka; stąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do swojego wnętrznego przekonania, jako wyroczni niemylnej. Atoli ta ufność, która z istoty swojej winna być poleganiem na prawdzie wiekuistej, przebywającej w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca. Dlatego też człowiek w średnich stuleciach, nie zrozumiawszy tej własnej dufności ku sobie, tej niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jej zadość uczynić puszczaniem się na awantury fantastyczne. Co więcej, człowiek nie zdołając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokuśnych, od wołania Bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzny, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli, jakie się stąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące tylko osobistem, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiarą zbawienia, a która nigdy nie zmruży wiekuistej źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Szekspira wobec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samo-

wolnego, uczucia osobistego. Przecież gdy w tym samym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistej, zatem człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści powątpiewanie o samym sobie. Ale im mocniej w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc; im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się w sobie: tem więcej, jakby przez nową reakcyę, ów popęd złowrogi napręża się w sobie, potęguje, podnieca się i skupia w sobie, by nie uledz onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dlatego właśnie te uczucia te namiętności w tych figurach rosną, a rosną przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadna wewnętrzna potęga, żaden patos, który prze do działania bohaterów tragedyi klasycznej; dlatego też właśnie te figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistej prawdzie, istniejącej zewnętrznie, ale przeciw własnej nieskończonej istocie swojej: bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdej figurze Szekspira mimo wysilenia się duszy jej, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna, wiecznie stoi na straży, wiecznie żyje w jej sercu; wynika stąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnej formie wedle różnej indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiejkolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach owa prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna, będzie dla nich najwyższą wyrocznią, której one ufają bez granic. bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczymy dla przykładu niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Szekspirowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistem patos swojem, z onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorye życia, osobne tryby zapatrywania się na świat, a tak widać, że w tej figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niej: ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III n. p., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa

przecież oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dlaczego chce być ludzkości wrogiem. Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydną, potworną — ludzie go nienawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sponiewierać jej ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkiem, odpłacić się za krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat, urósł w szatana.

Znowu w innej figurze, jako lady Makbet, w innej formie pojawi się ta prawda wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jej się zdaje, że zamordowany Dunkan tak podobny do jej własnego ojca; to znów ze świecą w ręku, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają odjąć zapachu krwi z jej małej ręki! Albo prawda wiekuista znów w innej, nowej a zupełnie właściwej i odwrotnej postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając, by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnej zbrodni, dokonanej na ojcu jego. Ale Hamlet tem grzeszy, że niema właśnie żadnej namiętności, żadnego popędu energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania, on z natury swojej bezczynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zacności, charakter trwożliwy, szperający, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniu nad sobą i prawdą, waży i mierzy i chwieje się i waha, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnię ojczyma i w słabość pełną winy własnej matki swojej, bo ma wstręt do wszelkiej czynności i w tem właśnie jego wina, tem właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tę ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcej tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Szekspira? Odstępuję od zamiaru tego, by mnie kto nie pomówił słusznie o lekkomyślność, żem się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zostaną zdrojem żywym mądrości artystycznej. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich obja-

śnień i komentarzy, do których odsyłam. Czynię ci tylko tę uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżej rzekł, okazuje się cała przepaścista głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań, w której mieszka wiekuistość; stąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak na sobie się opierające; stąd tyle wewnętrznej energicznej potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tem właśnie widać iście romantyczny pierwiastek w całej swojej mocy — ów żywioł, który napotykaliśmy w średnich stuleciach.

Tak tedy Szekspir, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyi ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stuleci romantycznych w dramata swoje (n. p. duchy, czarownice, widma i t. d.). Ale z drugiej strony, Szekspir jest synem XVI. wieku, a to już właśnie dlatego, że jest autorem dramatycznym. On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i mocy, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznem prawem jego. Szekspir ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historyę wewnętrzną człowieka, on czynił studya psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się poznawać ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co rzekłem, widać już, że Szekspir jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI. stulecia; ale spytasz się: gdzież znajdziemy w nim pierwiastek klasyczności? Wszak ten pierwiastek klasyczności jest również żywiołem XVI. stulecia, a przecież geniusz Szekspira, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrotnym biegunem wszelkiej klasyczności.

Poezya klasyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytne stulecia; klasycyzm wśród ludów chrześcijańskich będzie zawsze rośliną egzotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. Starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedyą klasyczną a pojmowaniem Szekspira; ale za tem nie idzie bynajmniej, jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech wspólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na wspól-

nej podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżej zasady ogólnej i Szekspirowskiej tragiczności.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął w szczegółach dramata Szekspira i okazał, o ile mają pierwiastek wspólny z tragedyą starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Arystoteles był Grekiem; a zatem już z samego urodzenia swojego człowiekiem-klasykiem; on przecież miał przed oczyma arcydzieła wielkich tragików greckich, zatem swoich ziomków, a prawie mu współczesnych; on, zapatrując się na te wzory, a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawidła poezyi, rozwinął teoryę dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat prawidła te są prawdą, a będą prawdą, póki ludzie będą wierzyli w rozum i czuli prawdę. Otóż ustawy, które skreślił Arystoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Szekspira.

Zaiste, Szekspir dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Arystoteles. Pochodzi to stąd, że co Arystoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacyą rozumową i z wzorów geniuszów dramatycznych własnej ojczyzny swojej, to uczuł instynktem natchnienia Szekspir. Od Arystotelesa do Szekspira świat, ród ludzki urósł blizko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnej, bogatej. Więc jak z jednej strony mistrz angielski zadość uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Arystoteles, tak z drugiej strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klasyczność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jak organa różne w żywem ciele. Gdyby tedy dziś żył Arystoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Szekspira, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, alebу te prawidła rozwinął, roztoczył; i kto wie, czyliby ten filozof-klasyk nie przyznał się chętniej do Szekspira, jak do nowożytnej, zwichniętej klasyczności. Czem byli Francuzi-klasycy dla świata francuskiego dworu, tem są tragicy greccy dla całej starożytności, dla każdego człowieka nieco ukształconego, tem jest i będzie Szekspir dla wszystkich narodów i wieków. Dość być człowiekiem z trochę zdrowem sercem, a głową niechorą, aby złożyć mu cześć i uwielbienie.

Zważ — niema pierwiastka, żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównej jakiej figurze Szekspira; każdy z tych pierwiastków przybrał się

w ciało i krew jednego pewnego człowieka; a choć pierwiastek ten, n. p. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Szekspira pojawiają, mają tyle silnej i oryginalnej indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Szekspira figura jest całością i zupełnem zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epopeją, w której występują mocy serca ludzkiego; ale przez ten świat tuteczny, przez mocowanie się, walkę potęg, patrzą się oczy wiekuistości.

August Cieszkowski.

Syn Pawła, urodzony w Suchej na Podlasiu w r. 1814. Nauki pobierał w domu; dopiero na uniwersytet pojechał do Berlina. Było to już po śmierci Hegla, ale cała nauka filozofii była jeszcze opanowana jego duchem i systemem. Cieszkowski więc kształcił się na tym systemie, przeciw któremu miał niebawem wystąpić. Od początku wszakże wybiera on w filozofii jeden kierunek, który miał być głównym przedmiotem jego refleksyi i pracy, mianowicie filozofię historyi. Pierwsza jego rozprawa »Prolegomena zur Historiosophie«, uważana przez niego za wstęp do systematycznego dzieła (którego nie wykonał), zwróciła na niego uwagę wszystkich zajmujących się filozofią i zrobiła mu od razu poważne stanowisko i głośne w świecie imię. Dwudziestoczteroletni młodzieniec zbijał w tem dziełku, małem na objętość, ale świetnem pomysłami i sposobem dowodzenia, Heglowski podział historyi na cztery wielkie epoki, wschodnią, grecką, rzymską i chrześcijańsko-germańską; dowodził zaś, że dzieje ludzkości muszą się dzielić na trzy epoki, z których dwie dopiero są przebyte. Pierwszą była starożytność, duch ludzki na stopniu zmysłowości; ta epoka wykształciła przedewszystkiem prawo. Drugą jest chrześcijaństwo, którejto epoki treścią i cechą jest przewaga pierwiastków duchowych, myśli, uczucia i sumienia, a rezultatem moralność czyli wyższy stopień prawa. Po nich nastąpi (i zacznie się niebawem) epoka trzecia, która pierwiastki obu poprzednich połączy. Jej istotą i cechą będzie rozumna, świadoma i uszlachetniona wola, a rezultatem uduchowione czyny, taką wolą powodowane i sprawione. Oczywiście te pojęcia Cieszkowskiego mogą także podlegać zarzutom i były nieraz zbijane.

Ten wykład historyozofii nikomu może nie trafił tak do prze-

konania, jak Zygmuntowi Krasińskiemu. Uznał on go genialnym i na nim oparł te swoje pojęcia, które złożył w Przedświcie i w Niedokończonym poemacie. W rok później (1839) nastąpiła osobista między nimi znajomość, która stała się od razu najserdeczniejszą i najwierniejszą przyjaźnią, doskonałą zgodnością i wspólnością myśli, przekonań i dążeń. Dwie następne rozprawy Cieszkowskiego: Die Persönlichkeit Gottes i Gott und Palingenesie są obroną osobowości Boga przeciw panteistycznej nauce Hegla i jego adeptów.

Rzecz szczególna, ten umysł abstrakcyjnie filozoficzny, umiał zarazem być praktycznym i zgłębiać z wielką bystrością kwestye najpraktyczniejsze, mianowicie ekonomiczne. Jak Prolegomena u Niemców, tak u Francuzów zrobiła Cieszkowskiemu sławę (i utrzymuje ją do dziś dnia) rozprawa O kredycie i obiegu (du crédit et de la circulation). W ślad za tą poszły inne treści ekonomicznej (jak Organizacya handlu drzewem) lub społecznej (jak O ochronach wiejskich, a zwłaszcza Zur Verbesserung der Lage der Arbeiter). Czując niemożność pracy naukowej i swobodnego związku z nauką i literaturą europejską pod rosyjską cenzurą, Cieszkowski przyjął poddaństwo pruskie, nabył majątek ziemski pod Poznaniem i tam zamieszkał.

Filozofia historyi wróciła znowu jako Ojcze nasz (1848). Na podstawie tych samych trzech epok dziejów ludzkości, których dowodził w Prolegomenach, rozwija Cieszkowski w tem dziele cały system filozofii historyi i nawet filozofii religii, za nić przewodnią zaś służy mu Ojcze nasz, który w myśli jego jest nie tylko modlitwą, ale streszczeniem i przepowiednią całych dziejów ludzkiego rodu. Każda prośba tej modlitwy była lub będzie urzeczywistnioną w pewnym okresie historycznego bytu ludzkości. Ojcze nasz, wydany w r. 1848, jest dużem dziełem, ale jest tylko wstępem, pierwszą częścią całości zamierzonej, nad którą autor pracował przez całe życie, ale jej sam nie ogłosił. Pisany językiem bardzo pięknym, ale podług naszych dzisiejszych wyobrażeń za poetycznym na dzieło tej treści, tą swoją formą jak treścią pokrewny jest dziełom Krasińskiego. Jest on na polu filozofii wyrazem i skutkiem tego usposobienia narodu, z którego wyszła poezya przepowiadająca i wieszcza: głębokiego a namiętnego rozmyślania nad przyczynami dzisiejszego stanu świata i nad jego możliwą przyszłością. — Po śmierci Cieszkowskiego znalazł się w rękopisie dalszy ciąg dzieła Ojcze nasz, który syn autora wydaje. Dotąd (oprócz części pierwotnej, wstępnej) wyszły dwa tomy.

Cieszkowski od wydania pierwszej części dzieła Ojcze nasz drukował już bardzo mało. Tem więcej zato występował w życiu czynnem: naprzód w politycznem życiu Wielkopolski, jako długoletni poseł na sejm pruski i jeden z najznakomitszych umysłów w tym sejmie i w kole posłów polskich; w życiu naukowem jako członek jeden z najczynniejszych, a w końcu prezes Towarzystwa Przyjaciół nauk; wreszcie, przez ciągły i żywy związek

z ciałami uczonemi, uczestnictwo w naukowych kongresach zagranicznych i t. d. Mimo podeszłego wieku niestrudzony w pracy, czynności (rzec można) potrzebujący do życia, prowadził razem i archiwalne poszukiwania i głębokie studya nad różnemi naukami w ich najnowszych wynikach, i zbiorowe prace ciał uczonych, i wreszcie, zamknięty w swojej pracowni, owoce swoich rozmyślań i badań spisywał.

Jedyną pracą nową, jaką wydał w późniejszych latach, jest O drogach ducha. Mała książeczka (znowu wstęp tylko do zamierzonego a dotąd nieogłoszonego dzieła), której myśl i treść jest ta, że wszystkie objawy i działania ludzkiego ducha (nauka, sztuka, przemysł, handel, rolnictwo i t. d.) są to różne drogi, któremi ten duch do swego przeznaczenia, do Boga, dąży. Żadna z tych dróg nie jest lepszą ani prawdziwszą od innych, każda staje się błędną, kiedy się za wyłączną, jedyną, najwyższą uważa. Społeczne życie jest ich wspólnym celem, do którego wszystkie razem i równo dążyć mogą. »W tem społecznem życiu skupiają się wszystkie drogi ducha, nie wyłączając się ani ubliżając sobie nawzajem — owszem każda z osobna właściwy sobie kierunek i szczyt przeznaczenia znajdując«.

Umarł w roku 1894, wkrótce po uroczystym obchodzie pięćdziesięcioletniej rocznicy pierwszych jego prac w zawodzie pisarskim.

Z DZIEŁA p. t. „O DROGACH DUCHA".

Wiadomo, że w starożytności pod ogólną nazwą muzyki nie tylko pojedynczą jak dziś sztukę, ale cały organizm sztuk pięknych pojmowano. Nawzajem sama już nazwa matematyki świadczy, iż tę wyłączną dziś umiejętność za naukę wszech nauk niegdyś poczytywano. Rozbiorczy postęp ducha, jedną jak drugą w ściślejsze zawarłszy granice, nie uwłóczył przecież tą odrębnością ani żadnej z osobna ani też całości dróg ducha. Owszem jak niegdyś tak i teraz, choć nie przezywamy już muzyką całego sztuk wiązania ani też matematyki nie poczytujemy za panującą nad całym przybytkiem nauk kopułę, pojmujemy przecież doskonale, co starożytni może silniej od nas czuli: wzajemną sztuk i nauk solidarność. Wielebną dla nas, bo też w istocie wielmożną jest wszelka umiejętność; nie wynosząc żadnej nad inne, nie ubliżamy też żadnej, owszem w każdej z nich uznajemy prawą dla namysłu drogę do świątyni ducha. Niemniej potężnym dla nas środkiem dobrania się

ducha, bo też i arcydzielnym jego objawem dla zewnętrznego lub wewnętrznego zmysłu, jest każda ze sztuk pięknych, a we wszystkich razem upatrujemy liczne i współuprawnione rodzeństwo cnych służebnic ducha, których muzyka w wyłącznem znaczeniu, jakie dziś przybrała, pojedynczą tylko, ani potrzebniejszą ani zbyteczniejszą od innych, ale wdzięków i łaski pełną stała się siostrzycą. Bo każda z nich ma sobie właściwe, a wzdy dobroczynne powołanie, każda po swojemu toruje drogę duchowi, każda go rozwija, wyzwala i właściwymi sobie środki ku spółpożytkowi uprawia. A jak nie „może rzec oko ręce: nie potrzeba mi cię; albo zasię głowa nogom: nie potrzebuję was; owszem daleko więcej członki ciała, które zdadzą się być mdlejsze, są potrzebniejsze“ — tak i żadna z owych zmysłowych (estetycznych) potęg, służących wraz z umysłowemi i przemysłowemi „na okazanie ducha ku spółpożytkowi“ nie może się pochlubić, żeby się w spełnianiu tego posłannictwa bez rówienniczek obeszła. Owszem jedna drugiej w tem właśnie pomaga, w czem tamta niedomaga. A kędy ich cały liczniejszy jeszcze poczet umysłowych potęg: sztukom powinowate, z niemi i między sobą równouprawnione, a do dalszej służby tegoż ducha spółpowołane wszech nauk rodzeństwo.

Nikogo bezwątpienia nie zadziwi ani obrazi, że do tego wyzwolonych sztuk i nauk rodzeństwa liczymy równem prawem nie tylko czysto umysłowe, jak niegdyś bywało, ale też zastosowawcze, a więc i przemysłowe kunszta i umiejętności; bo komuż niewiadomo, ile te ostatnie przyczyniły się już, a przyczyniają się coraz dalej do istnego wyzwolenia ducha? Nie byłby chyba synem swego czasu, ktoby dziś jeszcze ich równouprawnieniu chciał zaprzeczać, albo ów przestarzały antagonizm między wyzwolonemi a niewyzwolonemi nadal utrzymywać, niepomny na to, że dziś wszelka praca, byle prawa, stała się wyzwoloną, a więc szlachetną sztuk i nauk uczestniczką, a chyba jedno lenistwo i próżnowanie nieszlachetnem pozostało i jako takie bez sztuk i nauk się obchodząc, pod niższe żywioły świata tego zniewalać się daje. Ale nawzajem, nie byłby jako żywo nastającego czasu spółuczestnikiem, ktokolwiek prądem przemagającego w obecnej chwili realizmu porwan, miałby się łudzić nadzieją wyłącznego przezeń opanowania ducha, lub w potężnym zaiste po-

pędzie ku materyalnemu pożytkowi, jaki się dziś objawia, najwyższe powołanie człowieczeństwa chciał upatrywać. Zaprawdę nie wyłącznie, ale włącznie odbywa się postęp ludzkości, a duch jej coraz nowsze zgarniając zdobycze, nic z dawnych nie urania, owszem świeżemi dawne utwierdza i uprawia; inaczej, zrzekając się dawnych, i świeże niebawemby postradał. Sam przemysł przeto, dziś tak potężny, nie uwłóczy nigdy, pod karą samobójstwa, umysłowym ani uczuciowym ducha drogom; i biada raczej jemu samemu, gdyby się o to pokusił. Bo zaparłszy się tego właśnie, co go wyzwoliło i uszlachetniło, co go z upośledzenia starożytnych i średnich wieków do spółdziałania w wyzwoleniu ducha powołując, przez to samo najpowszedniejszym sprawom jego piętno ducha i coś wiekuistego nadało, zdradzałby tylko doczesną marność własną, a więc zdradzałby sam siebie. Ponieważ zaś sztukom i naukom nie tylko winien swą potęgę, ale nawet jej utrzymanie i ustawiczny jej przyrost zawdzięcza, przeto idzie tu o coś więcej niż o sentymentalną wdzięczność lub niewdzięczność, z której mocarze tego świata szydzić, a z szyderstwa jeszcze chlubić się lubią: nie bacząc, iż w przedziwnej ducha logice moralnym obowiązkom realne przecież odpowiadają prawa, którym na sankcyi nigdy nie zbywa; że więc prędzej czy później szyderstwo wdzięczności własnem wywdzięczyć się musi wyszydzeniem. W rzeczy samej idzie tu o istny, niezbędny a spólny życia warunek. Bo spółdziałanie to jużci wzajemne jak nieodzowne. Chromiałyby sztuki i nauki bez odpowiednich postępów techniki; zmarniałby przemysł, gdyby go sztuki i nauki nie podsycały. Nic tu nie masz mdlejszego ani podlejszego, każde owszem w swojem miejscu potrzebniejsze; niczem więc jednemu przed drugiem chełpić się nie godzi, tylko spółubiegać się wolno, a co lepszem stawać się przystoi. Umysłowiec przeto, gardzący dziś przemysłowcem, wyszedłby chyba na śmiesznego ubiegłych dawno wieków ciurę i mimowiednie samby siebie potępiał, bo jeśli sam nie chce pozostać płonnym tylko marzycielem, musi się do godności płodnego pracownika przy warsztacie ducha poczuwać, a udzielonym sobie talentem na wspólną braci i własną korzyść rzetelnie obracając, do wzmagania skarbów ducha wedle przemożenia się przyczyniać. Nawzajem przemysłowiec wszelki, w praktyce i w pożytku zamiłowań, urągający n. p. teoretykowi lub poecie, ubliżałby

znowu tylko sobie; — bo jeśli jest zaprawdę istnym przemysłowcem, nie zaś partaczem ani frymarczycielem, jużci musi być w swojej gałęzi uczonym, a nawet, im na zawołańszego wyszedł profesyonistę lub inżyniera, tem niezawodniej musiał się w swoim rodzaju, a w starożytnem znaczeniu tego wyrazu, urodzić poetą.

Bo taka jest spólność i solidarność, choć odrębność i rozmaitość wszechdarów, dróg, środków i powołań ducha, że to wszystko sprawia jeden i tenże sam duch, objawiający się w każdym inaczej, rozróżniający usposobienia, miarkujący uposażenia i rozdający dary twórczości, jako chce — jednemu wieszczy, drugiemu umiejętny, innemu znowu zastosowawczy albo wykonawczy, a to wszystko ku spólnemu budowaniu, ku spółpożytkowi, ku wzajemnej po wszelkich ducha drogach pomocy. Bogactwo zaś i szczodrobliwość ducha są tak wielkie, że nie tylko każdy bierze w nich udział, ale nawet obdarowanemu zwykle wybór służy między kilku dary, które jak chemiczne ekwiwalenta, w statecznej nawzajem mierze zastępować się mogą, snać na to, by opatrzne wychowanie lub zewnętrzne okoliczności nie pozbawiły nikogo możności zużytkowania jednorodnej tylko zapomogi. A tak wobec wzrastającej obfitości coraz przystępniejszych w społeczeństwie środków, niemasz pojedynczego ducha, któryby tą lub ową drogą, byleby chciał natrafić na właściwe sobie powołanie, nie umiał i sobie zadość uczynić i sowicie wywdzięczyć się duchowi za otrzymany z góry zadatek, przyczyniając się celującem u siebie usposobieniem do spełniania powszechnego celu społeczności ducha *(communitas spiritus)*. Którykolwiek owszem zagrzebuje z umysłu otrzymany z góry talent, pod wymówką, by go nie uronił, ten spada na „gnuśnego i niepożytecznego sługę“, a uniknąwszy liczby z uronienia, winien ją przecież dla nieprzyczynienia. I utraca niebawem nawet to, co zachował, na korzyść onego, co najwięcej zarobił.

Zarabiać więc i dorabiać się, posiadanem jak najkorzystniej obracać, a na żadnej nie ustawać drodze, owszem po wszelkich a różnorodnych drogach ducha ustawicznie postępować, nie tylko że się godzi, ale jest „wiernego sługi“ znamieniem. Tylko dwom panom służyć niepodobna, bo jest jeden i jedyny, który wszystkiem swobodnie kieruje i rządzi,

wszystko ku spółpożytkowi obraca, a tymci panem jest właśnie duch. Byłażby w tem by najmniejsza sprzeczność? Jako żywo! Najzupełniejsza owszem harmonia. Dysharmonią dopiero wprowadziłby ten, ktoby w tem upatrywał jakiejkolwiek drogi wyłączenie lub zgoła potępienie; boć tu nie idzie o poniewierkę żadnej, ale tylko o niebranie drogi za metę. Alboż to duch jest czczą mrzonką lub też bezcielesnym jakimś upiorem *(daemonium incorporale)*, jak go sobie niestety abstrakcyjni filozofowie wyobrażać zwykli, aby miał którąkolwiek z prawych dróg do niego należących, a spełnię jego stanowiących, pogardzać? On wszystkie kocha, które posiada, wszystkiemi też objawia się ku spółpożytkowi, a tylko temi się brzydzi, które od spólnego celu odbiegając, schodzą na manowce, a jako takie sobie kłamią i same się gubią, albo też, przestając na sobie, jużci tem samem jako drogi ustają. Wszelkie więc drogi, o ile się tylko w samogubne manowce ani w samolubne ustanki nie wyradzają, są wielebne i czcigodne, by dążyć do spólnego celu. Ale nawzajem żadnej drogi, by najwielebniejszej za sam cel poczytać nie można bez chybienia celu, właśnie przez samo przestanie i ustanie na drodze. W temci tkwi harmonia wszelka, która niczem nie jest jeno spółdziałaniem.

Atoli od filozofów i estetyków nowoczesnych gotów nas tu spotkać zarzut, jakoby w tem wszech dróg duchowych spółuprawnieniu tkwiło wierutne ich upośledzenie. Przywykłszy bowiem „co lepsze“ z nich za „absolutne“ poczytywać; uznawszy nadto, czego im nigdy nikt nie zaprzeczy, że sztuki i nauki stanowią cele przez się, których przeto, bez ubliżenia tak im jak sobie, nigdy nikomu na środki obracać nie uchodzi: zapytają nas owi zwolennicy absolutnej abstrakcyi, bodaj czy nie z pozorem słuszności, w co się obróci nieskończone tych wyzwolonych potęg ducha uprawnienie, jeśli je wszem wobec nie za samoistne przez się cele, czem są, ale tylko za drogi ducha uważać będziemy. Zbyteczna i to troska.

Wszakże jest duch jednostkowy, podmiotowy, jakim jest każdy w społeczeństwie człowiek, skoro prawem nieśmiertelnego ducha stanowi *sui iuris* osobę, nie zaś rzecz żadną *alieni iuris*, jużci jest sam w sobie i przez się celem, którego też nikomu ani na środek obracać ani wyzyskiwać niewolno; a przecież nieskończonemu uprawnieniu temu bynajmniej sam nie ubliża, owszem w duchowem dostojeństwie jedno wzrasta,

im się więcej sam z siebie bratnim duchom udziela, im się lepiej i skuteczniej zbiorowym zwłaszcza osobistościom rodu, narodu, ludzkości poświęca, słowem im dzielniej i potężniej z własnej woli służy społeczności ducha *(communitati spiritus)*. Wszakże w tem coraz doskonalszem uspołecznieniu celem sam będąc, po wszelkich drogach i szczeblach żywota cel celów ściga, do jego spełnienia własnym czynem się przyczynia, a przez to dążenie własnego przeznaczenia tak dalece nie chybia, że go owszem dopełnia. Temci bardziej wszelkie przedmiotowe drogi ducha, aczkolwiek nieskończenie w sobie uprawnione, aczkolwiek same przez się celne, a więc na byle środki nieobracalne, przecież nie ujmy żadnej, ale owszem przyrostu własnej potęgi dostępują, ilekroć same z siebie nie przestając na sobie, we wzajemnej pomocy a spólnej służbie ducha spółubiegają się i prześcigają. Niechaj więc uprzedzonych zwolenników estetyki lub filozofii nowoczesnej nie zadziwia ani obraża wytknięte tu sztukom i naukom, wżdy dzielne i samodzielne, byle nie „absolutne“ posłannictwo. Wielebniejszemi one zaiste pozostaną w dostojnym urzędzie wyzwolonych służebnic ducha, niżeli w udanym stroju własnej absolutności, w jaki nowożytne szkoły, acz z prawdziwych założeń wyszłe, lecz w błędne, bo przesadne wynikłości zaciekłe, przybrać je usiłowały. O ile bowiem wyzwolona samodzielność (autonomia) sztuk i nauk wielebną zawdy była i będzie prawdą, o tyle ich wyuzdane samodzierżstwo (autokracya) wierutnym pozostanie fałszem. Bezwzględnie więc „absolutnymi sobie celami“, za co je odniekąd głosić poczęto, nie są i nie staną się nigdy sztuki i nauki; jedno względnymi zawsze i spółograniczonymi celami, uprawnionymi oczywiście w sobie, przez się i dla siebie, jak wszystko, cokolwiek z ducha rodem, duchem jest i społeczność ducha składa, a przez to właśnie arcywyzwolonymi; a przecież spółkującymi organicznie w żywocie absolutnego ducha, spółzawiśle od niego i pomiędzy sobą, jak pojedyncze, lecz zrosłe w zdrowem ciele członki, jak odrębne i wolne, a przecież zjednoczone w zdrowej rzeczypospolitej instytucye lub stany, jak niepodległe nareszcie, choć wcale nie samowolne, póki w zjednoczonych stanach, rzeczypospolite.

Błądziłby niepomału, ktoby przypuszczał, iż ubliżamy tym wielkim, a dziś za panujące uznanym, duchowego świata potęgom, odmawiając im bez ogródki przywłaszczonego świeżo

samowładztwa, ale raczej mediatyzując je wszem wobec i każdą z osobna, nie pod władzę którejkolwiek z nich, jak to w średnich wiekach na korzyść teologii bywało, ale pod konfederacyjne prawo społeczności ducha, której są i uznać się powinny swobodnymi wprawdzie u siebie, ale organicznie z sobą związanymi spółczynnikami. Błądziłby jeszcze mocniej, ktoby upatrywał w tem religijnem oczywiście, choć wcale nie teokratycznem stanowisku, by najmniejsze powinowactwo ze scholastyczną niewolą, która ich żywot w średnich wiekach przytłaczała. Stanowiska te między sobą *toto coelo* się różnią i tak dalece nic do siebie nie mają, że owszem jedno drugie stanowczo wyklucza; jak np. w żywocie człowieka pełnoletność, skoro osiągnięta, jużci wszelką opiekę, przebytej małoletności właściwą, raz na zawsze usuwa.

Zaprawdę była i scholastyka potrzebną, ale w swoim czasie, kiedy szło o ćwiczenie, hartowanie i wyhodowanie w karbach tradycyi ducha młodocianej ludzkości. W onto czas o swobodzie ducha tego mowy nie było, bo też być nie mogło, bo swoboda, która dla dojrzałej już istoty ma wartość samegoż życia, ponieważ spełnię jego stanowi, która dla dojrzewającej nawet ma chlubne i pożyteczne, a więc nieuniknione niebezpieczeństwa, dla dziecięcia przecież lub niedorostka byłaby nieochybną zgubą. Kto czasów nie rozróżnia, zdrowo w dziejach wnioskować nie zdoła; potępia w swoim czasie wielebne, albo niewcześnie uwielbia zmarniałe. Otóż scholastyczne wieki były dosłownie tem dla dorastającej ludzkości, czem są lata szkolne dla dorastającego młodzieńca. Wieki te w dziejach minęły bezpowrotnie. Od reformatorskich zachcianek aż do Kartezyuszowego »*cogito, ergo sum*« kusił się zbiorowy duch ludzkości o wyjście ze szkoły — i krwawo na otrzymanie „świadectwa dojrzałości“ pracował; aż go nareszcie, dorósłszy i dojrzawszy w sobie, dostąpił i stanowczo też ze scholastyki wystąpił. A to wystąpienie było wielebne. Była to uroczysta chwila dokonanego samychże sztuk i nauk odrodzenia (Renaissance). Od tejto chwili jął zbiorowy duch ludzkości po wszelkich duchowych drogach o własnej, wyzwolonej próbować się sile i *humaniora* swoje już nie szkolnym trybem jako dane i zniewolone pobierać, ale *sua sponte* po swobodnych wszechnicach jako wyzwolone sobie obierać. A wyzwolonych raz zakosztowawszy i w niedomyślane przedtem skarby wiedzy, w ciągu onego

trzystulecia akademicznej swobody, ducha wzbogaciwszy, jął się też poczuwać do niedomyślanego dotąd dostojeństwa i naprawdę samego siebie wyzwalać. I nie zajrzał mu tego wiekuisty Pan; owszem ucieszył się, bo: „Pan ci jest duch — a gdzie duch pański, tam wolność“. Które to wielkie objawienia wyrzeczenie umiejętność nowoczesna oburącz podpisuje — wtórując mu odpowiednim wypadkiem własnego badania i nawzajem oświadczając: gdziekolwiek znać wolność, tam musi być duch. Bo doszła taż umiejętność, po długiem dociekaniu i mozolnych w krainie ducha badaniach, do stanowczego odkrycia, że nie co innego samą istotę i objawy ducha wyraża, nie co innego przeto *criterium* jego stanowi, jedno wolność. Wszakże sama filozofia germańska, aczkolwiek raczej teoretycznej myśli, aniżeli społecznemu czynowi i praktycznej woli hołdująca, uznała przecież przez wszystkich koryfeuszów swoich wolność za powód i dowód — za alfę i omegę ducha; w tem tylko chybiając, a raczej niedomagając, iż wolność tę tylko idealnie we wnętrzu ducha zakłada i na abstrakcyjnej znów swobodzie choćby najspełniejszej w sobie myśli poprzestaje, niepomna, że nic niemasz wewnętrznie utajonego, coby się zewnętrznie objawiać nie miało, ani też naprawdę idealnego (a więc urojonego), coby się zrealizować nie potrzebowało. Konsekwentniejsza w tym względzie filozofia słowiańska, żadną abstrakcyą, by najwspanialszą, uwodzić się ani zaspokoić nie dająca, przekroczyła już i ten niedostatek. Bez ubliżenia idealnej swobodzie myśli, owszem dla tem lepszego jej uwielbienia i sprawdzenia postarała się o to, co jej się żywo należy: o czynne i realne dopełnienie. Nie sprzeciwiając się więc założeniu w myśli, owszem dopominając się jej nawet aż w uczuciu, rozróżniwszy przeto jej przybliżone szczeble, stanowcze dopiero zadowolenie i zadośćuczynienie wolności oczywiście w wolnej woli, w próbie czynu, w pełni społecznego życia znalazła. Do czego mozolnie doszedłszy, spogląda wstecz na przebytą od tylu wieków drogę i spostrzega tu z pociechą, ówdzie ze zdumieniem, że właściwie nic nowego ani dotąd niesłychanego nie odkryła, jedno stare, a wiekuiście prawdziwe pod umiejętną tylko formą do świadomości wniosła, że więc dorobiła się tego tylko, w co ją *in nuce* uposażono, i powróciła, skąd wyszła; albowiem, co przynosi, niczem nie jest, jedno to, z czem ją na świat wysłano, gdy doktorom i nauczycielom

ówczesnym powiedziano: „I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi“.

Aliści o to szło właśnie wiekuistej umiejętności, aby tę oswobadzającą prawdę wszechstronnie poznała i uznała. Danąć była od wieków, ale nie poznaną ani uznaną, póki niesamoistnie przez się rozwiniętą czyli niewyzwoloną; inaczej nie byłby Objawiciel — mówiąc przecież do tych już „co mu uwierzyli“ i zastrzegając wyraźnie: „jeśli trwać będziecie przy mowie mojej, prawdziwie uczniami mymi będziecie“ — dodał *in futuro* „i poznacie prawdę“. Wierzyła też dopiero w tę daną prawdę scholastyka cała; a trwając przy niej wiernie, skarby wiedzy przecież mnożyła, jak to nam nieposzlakowany w tym względzie, bo arcywyzwolony świadek, Leibnitz zeznaje; — ale poznać ją jak się należy i dać jej własnego przekonania już niezachwiane, bo nienarzucone świadectwo, mogła dopiero stanowczo wyzwolona umiejętność. I niemasz obawy, by tego uznania odmówiła. Wszakże już u świtu onego sztuk i nauk wyzwolenia jeden z nauczycieli, którzy duchowi ludzkiemu przy wyjściu ze scholastyki świadectwo dojrzałości spółpodpisali, słusznie wyrzekł o filozofii, że ledwo zaczerpnięta, odchodzi od Boga, do dna zaś wyczerpnięta *(penitus exhausta)* dopiero dowodzi do Boga. To samo z równą słusznością powtórzyć dziś można o wszelkich naukach, a nawet wyraźnie dodać, co bodaj czy się już staremu i doświadczonemu Bakonowi nie roiło, że wszelkie umiejętności, do których wyzwolenia tyle się sam przyczynił, póki jednostronnie i wyłącznie dla siebie uprawiane, a więc samopas puszczone, w swawolę zawiodą i w samolubstwo zapadną, a dopiero na dobre życiu społecznemu przyswojone i ze spółpotęgami ducha sprzymierzone, do zapowiedzianego przez prawdę oswodzenia dowiodą. Bo żadna umiejętność choćby się nauką nauk mieniła, choćby ją za „czcigodną nauk matkę“ poczytano, choćby się jej zdało nareszcie, że „do dna wyczerpnięta“ — ani sobie ani duchowi sama przez się nie wystarcza; owszem im bardziej celu własnego dopina, tem bardziej ku dalszemu się wspinając, sama siebie przekracza i w organizm dróg i potęg ducha swobodnie, bo żywotnie się splata.

Henryk Rzewuski.

Syn Adama, kasztelana witebskiego, urodzony 3. maja 1791. Nauki początkowe u Karmelitów w Berdyczowie, później w Petersburgu, wkońcu w Krakowie. W roku 1809 wstąpił do wojska; dosłużył się stopnia oficerskiego, ale wkrótce wystąpił ze służby. Odbył podróż za granicę, potem gospodarował na wsi. W r. 1825 poznał się z Mickiewiczem w Odessie i z nim razem (także ze swoją siostrą Karoliną Sobańską, D. D. z ówczesnych poezyi Mickiewicza) zwiedził Krym. Powtórnie spotkał się z Mickiewiczem w Rzymie, w roku 1829 i 1830, i wtedy miał go Mickiewicz zachęcić do spisania różnych szczegółów z XVIII wieku, które Rzewuski znał z ustnego podania. Od roku 1833 mieszkał na wsi w Cudnowie na Wołyniu; w tym czasie zaczął pisać.

Pierwszem i najlepszem jego dziełem (wydanem w roku 1839) były Pamiętniki Jmci pana Seweryna Soplicy. Jest to właśnie zbiór opowiadań i anegdot z XVIII wieku, których Rzewuski znał bardzo wiele, a spisał je z takiem życiem, z takim epicznym talentem, że pod względem artystycznym te jego powieści są arcydziełem. Stworzył on nowy rodzaj, Gawędę ze staropolskiego szlacheckiego życia: wszystkie, tak liczne gawędy późniejsze, wierszem czy prozą, były z niego naśladowane. Ale pod względem moralnym i obywatelskim wartość Soplicy jest mniejsza, a raczej ujemna. Apoteoza wszystkiego, co było w dawnej Polsce: nie męstwa, pobożności i dobrego serca tylko, ale i nieuctwa i pijactwa i burd i pogwałceń prawa, apoteoza księcia Panie kochanku za to, że należał do konfederacyi Barskiej, z zapomnieniem tego, że był marszałkiem konfederacyi Radomskiej — ta apoteoza zdrową i dobrą nie była. Ale książka była napisana tak pięknie, że oczarowała wszystkich; mało kto poznał się na tem, co w niej było złego: autor stał się bardzo wziętym i ulubionym.

Ale nie na długo. Niebawem wyszły Mieszaniny obyczajowe Jarosza Beyły, które opinię powszechną gwałtownie przeciw Rzewuskiemu zwróciły. Są to uwagi filozoficzne i moralne o społeczeństwie polskiem. Trafnych spostrzeżeń i uwag rozumnych jest wiele, ale mimo to książka jest istotnie zła. Cała, zdaje się, na to napisana, by nas przekonać szeregiem bardzo naciąganych a płytkich argumentów, że jesteśmy organizmem w rozkładzie, którego pierwiastki i duch sam muszą wejść w skład obcych mu żywiołów. Oburzenie było niezmierne i powszechne. Szkoda tylko, że objawiało się pustymi frazesami lub niesmacznymi żartami, a nie wykazało błahości twierdzeń i dowodzeń Rzewuskiego. W rozumny sposób zgromiony, a choćby wyśmiany, byłby może wszedł w siebie. Zakrzyczany, wziął na kieł i znajdował złośliwą przyjemność w drażnieniu uczuć powszechnych, a stopniowo doszedł na tej drodze do cynizmu i do poniżenia swego charakteru i stanowiska.

Listopad znowu wzbudził podziw powszechny, i słusznie. Jako obraz XVIII wieku, z jego życiem i obyczajem, od dworu Stanisława Augusta aż do dworków szlacheckich, ze staropolskiemi i nowomodnemi francuskiemi pojęciami, Listopad nie ma równego sobie w naszej literaturze. Z wyjątkiem scen czułych i dramatycznych, które się nie udały, powieść jest bardzo zajmująca, a figury skreślone z niezmiernem życiem i prawdą. Powodzenie Listopada zachęciło Rzewuskiego do historycznej powieści, i napisał Zamek krakowski: bohaterem jest Samuel Zborowski, a treścią romansową jego miłość do Gryzeldy Batorówny. Ale nieporównany znawca wieku XVIII znalazł się na polu nieswojem, kiedy ten wiek porzucił, i ani w charakterze czasu ani w figurach ani w samej intrydze powieści, dawnej fantazyi i sztuki już nie pokazał. Powieść jest bardzo słaba. Wogóle późniejsze powieści, czy większe jak Rycerz Lizdejko, czy zbiór mniejszych Nie Bajki są słabe. Adam Śmigielski (nie romans ani historyczny żywot, raczej powieść dla dorastającej młodzieży) zajmujący i ładny.

Wędrówki umysłowe są składem filozoficznych, politycznych i religijnych wyobrażeń Rzewuskiego, napisanym może w myśli obrony własnej przeciw padającym na niego oskarżeniom. Ostatnia rozumowań jego konkluzya jest ta, że epoka historyczna się kończy, a nowa doprowadzi do zjednoczenia wszystkich wyznań chrześcijańskich w Kościele katolickim. Polska, która sama zniszczyła dawną formę swego bytu (Rzeczpospolitą szlachecką przez konstytucyę 3. maja), straciła z nią i siły swego ducha. Gdzie duch jest zwątlony, tam tylko podbój może przywrócić mu siły. Stan dzisiejszy, który nam wydaje się nieszczęściem, może rozwinąć w nas nowe życie. — Prawdopodobnie chciał Rzewuski przez to dzieło pokazać, że ten jego sąd o Polsce, jaki był w Mieszaninach, był zwątpieniem tylko, ale nie odstępstwem.

Teofrast polski, zbiór typów różnego usposobienia, charakteru lub obyczaju polskiego, ma niektóre wizerunki skreślone trafnie i dowcipnie, ale nie jest także wolny od złośliwości i stronniczości.

Ostatnia jego powieść Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, długa i nudna, podstawną myślą i wrażeniem, jakie sprawiła, podobna była do Mieszanin Beyły. Bohater przechodzi wszystkie zmiany, jakie się dokonały w Polsce od roku 1788 do 1815, a za każdą zmienia swe przekonanie i stanowisko. Cynizm, a cynizm naiwny, nieświadomy swojej nikczemności, owszem mający się za roztropność i cnotę, w żadnej książce polskiej nie występuje z taką wstrętną otwartością.

Było to ostatnie dzieło Rzewuskiego. Przez czas, kiedy pisał te późniejsze dzieła (od roku 1850), był on urzędnikiem do szczególnych poleceń przy księciu Paszkiewiczu, namiestniku królestwa Polskiego, a podczas wojny krymskiej przeznaczony był na jej historyografa. Wkońcu jednak wystąpił ze służby i wrócił na wieś. Umarł w roku 1866.

Jako człowiek bardzo rozumny i sławny z wielkiego dowcipu w rozmowie — jako pisarz pokazał Rzewuski talent naprawdę niepospolity w jednym rodzaju, gawędowym i obrazkowym. We wszystkich innych rodzajach talent ten okazuje się zwyczajnym lub nawet słabym.

Fanatyk dawnej Rzeczypospolitej i konfederacyi Barskiej, a zarazem wyznawca i apostoł przywiązania do Rosyi, legitymista *liberi veto* i zarazem legitymista monarchiczny, katolik szczery a zarazem mimo prześladowań Kościoła wielbiciel cesarza Mikołaja, moralista surowy i czujny stróż narodowego szlacheckiego i osobistego honoru i godności, a zarazem w życiu przykład cynicznego szyderstwa ze wszystkiego, nawet z siebie samego — jest Rzewuski dziwnym zbiorem sprzeczności, które się tem jednem dadzą wytłómaczyć, że niezdrowe czasy i stosunki muszą wydawać między ludźmi niezdrowe natury i umysły.

Z PAMIĘTNIKÓW PANA SEWERYNA SOPLICY.

Trybunał lubelski.

Ośmdziesiąt lat mija, jak bieduję na tym padole płaczu; ale i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem ani młokosem, ale już miałem blizko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdroszczę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki to nie będzie, co było. I nasze trybunały były pełne powagi i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwoma set laty i więcej narodom sprawiedliwości wymierzał.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która różne koleje przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki... Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat

nie widział. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputatował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł; taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc go mieć niedaleko oka; ale ten więcej szabli niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowie przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucherlawy, figura niepoczesna — ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznajomych i, udając mazgaja, przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym; dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku — a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojciec dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. Sędziego upitskiego, więc miałem przewagę nad panem Bartłomiejem i wierzył mi. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mnie w drodze o Koronę.

Razu jednego mówi mi:

— Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami — szczególniej radbym poznać jakiego Łęczycanina.

— A to czemu?

— Temu, że kiedy mnie w szkołach nauką męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzy mówią: bić się po dyabelsku, a Polacy: bić się po łęczycku. Tyle mi się zostało z całej francuszczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.

— Ej, porzuć, panie Bartłomieju, pleść takie koszałki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz — a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie; to książę waćpana nie każe wypuszczać ze stancyi.

— Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o tych burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał — ale dla Boga! księciu panu o niczem nie wspominaj.

Myślałem, że się panicz utemperował, bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczali z góry, naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląkłem się mocno i zrobiłem intencyę, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójdę do spowiedzi i do komunii. Jakoż, lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencyi, bo książę kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłómaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że książę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncyusza, bo inaczej byłbym mszę św. przypiekł. W istocie konferencya po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazylianów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wyspowiadał, ale komunię do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyę z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał: że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Książę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, cywuna ejragolskiego, co z przy-

jaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipotencie specyalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać; a jednak niebardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie juryzdykcye były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się:

— Nieźle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka.

— Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść.

Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich pąsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie — i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip — widzę pana Bartłomieja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyzbie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki. Przybliżyłem się do niego — a on mi, mazgaja minę zrobiwszy:

— Panie Sewerynie Dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniaszowskim językiem, a ja ich nie ze wszystkiem rozumiem.

Aż jeden z pąsowych panów: Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy juryzdykcya trybunalska — to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi stąd wyjść albo mąką albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zemleć, a którego skrupić?

Ja im na to:

— Moi panowie, jam już za stary, żebyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunii przystępuję. Powtóre,

będąc w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A to jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas spokojnie.

Między nimi był, jakem później się dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z Bracławskiego, który wiedział o interesie księcia i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał:

— Panowie koledzy! to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, zwłaszcza, że on się nie dotknął naszego kamienia — ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonii.

— A czyście mnie ze swego śpichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli?

— Powiedzno, bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?

— A dla ozdoby.

— To my ciebie wyuczym, jak się z nią obchodzić. Wstawaj i dobywaj szabli.

— A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a mleć kogo z waszych, bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde.

— Obaczymy — odezwał się jeden — czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać: wstawaj więc, bracie!

— A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić niż bić się...

— Już to za późno — bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy cię wypłazowali.

— No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie masz między wami Łęczycanina jakiego? niech się nie męczę! — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakała po swoim Bartku!

Tak ja: Panowie Dobrodzieje! posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Czyby nie lepiej, na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili? Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał po wino i was uczęstował w tej gospodzie.

Zaczęła się miękczyć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła: Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza — on nie wiedział o prawach naszego młyna.

Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła; i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc w głowę:

— A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie, to mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.

— Słuchaj, bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam.

— Nie gniewaj się, W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko seryo mówię. A wiesz, dlaczego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? bo mówią, że Łęczycanie mają rozum: a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mi wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się go przestraszył.

Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości i, dobywszy szablę, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć — dobył swojego smyczka, a plunąwszy w rękę, od pierwszego składu tak marszałkowi dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali mu koledzy rękę; a on, nie tyle z bólu, ile z konfuzyi, stał jak wryty.

— A no! — odezwał się pan Bartłomiej: — myślałem, że się bić z koroniarzem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.

— Poczekaj, gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi i z ogromnym pałaszem dalej na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i ten drugi smyczkiem po łbie dostał.

Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu. Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał.

— A to dyabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. — Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas; udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepetycyi. Jeżeliś temu rad, ofiarujem ci naszą przyjaźń — jeżeli nią

gardzisz, chociażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem.

— *Omne trinum perfectum* — odezwałem się; — będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.

— Zgoda — odpowiedział Bartłomiej. — Jak ja mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytuję sobie waszą przyjaźń.

Zaczął się z nimi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególniej marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.

Jakoż szczerze się pojednali i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów rannych, my piechotą, a ranni na furmance u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcej niż wprzódy pokochał, bo tak i honor prowincyi litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków palestry i pacyentów w ustępowej sali — było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc.

Naraz usłyszeliśmy woźnych, różnymi tonami powtarzających: Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie! — A potem znowu: Ustąpcie się! JW. Poznański idzie! — i tak ciągle coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czemprędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwiema liniami palestry i pacyentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkiem skinieniem głowy odpłacając nizkie ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnów i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie! uciszcie się! uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie! — I prawda, że w tak licznem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między

którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał; i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnieniem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło i między nimi JO. książę wojewoda wileński z JW. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając.

JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźni im krzesła poustawiali; bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność się usuwali. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator,* a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoteż wielu z palestry i pacyentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć...

Z LISTOPADA.

Tomu pierwszego: Rozdział XIII.

Imieniny.

Nim Ludwik i Michał bracia Strawińscy stanęli na zwodowym moście nieświeskiego zamku, już trębacz przed nimi czatujący otrąbił przybycie nowych gości; a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Godzina była piąta po południu, kiedy kareta zastanowiła się przed perystylem, czyli jak to dawniej nazywano, krużgankiem zamku; natychmiast dwóch sążnistych hajduków otworzywszy karetę, na rękach z niej wynieśli naszych gości i lekko ich postawili na samym progu. Starosta (Ludwik) nie obzierając się za sobą, rzucił płaszcz z plec swojemu strzelcowi, a wojski (Michał) nieco uważniej zdjął huńkę swoją i oddał ją hajdukowi, z napomnieniem, by o niej miał staranie, a podwoje, prowadzące do wielkiej sali zamku przed nimi się rozwarły.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między niemi księcia wojewodę, który, jako gospodarz pełen gościnnej grzeczności, za każdem odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imie-

nin. Książę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy, na której pogoda serca się malowała i uśmiech, któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne pełne ognia i dowcipu, błyszczały jak dwa szczęsne luminarze, na licach, których białość mogłaby pobudzić zawiść kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry zakręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty. W dniu tym nosił na sobie mundur albeński, tak jak wojski i wielka część gości przybyłych, z tą tylko różnicą, że wszyscy Albeńczykowie na spinkach nosili cyfrę księcia, a on sam nie swoją cyfrę, ale na podobnej emalii błękitnej miał trzy litery brylantowe F. A. F., których znaczenie było: *fiducia amicorum fortis*. Jak bracia zbliżyli się do niego, książę obu się skłonił, a do wojskiego naprzód obracając mowę:

— A przecież nasz wojski zawitał! Zacząłem już tęsknić za waćpanem, panie kochanku. Generał Kunicki mnie skrewił, myślałem już, że i jego przyszły zięć na mnie niełaskaw.

— Bóg świadek, książę panie, że pan generał nigdy tyle nie narzekał na niemoc swoją, jak dziś, zato jedynie, że waszej książęcej mości służyć nie może.

— To też żart tylko, panie kochanku; moi przyjaciele to całe moje bogactwo; znam ich serce, bo kiedy byłem w biedzie, to mogłem ich doświadczyć. Pan Józef (Kunicki) był moim dobrodziejem, tak jak i pan strażnik, świętej pamięci ojciec waćpana, po którego śmierci nieraz się łzami zalewałem, jak i wszyscy moi Albeńczycy. Za granicą wasz chleb jadłem, to też wszystko, co mam, jest wasze. A wiesz, panie kochanku, że twoja narzeczona już dawno u mnie; w bawialnych pokojach ją znajdziesz z mojemi siostrami. A jaką śliczną dzieweczkę dobrałeś sobie! Ruszajże sobie do niej, panie kochanku, bo widzę, że w duchu dyabłami mnie karmisz za to, że cię tak długo zatrzymuję.

— Wolne żarty waszej książęcej mości, ale w tej chwili nie tyle mi narzeczona moja w głowie, ile to, żebym umiał wynurzyć moją radość, iż doczekałem się dnia, tyle pożądanego dla nas, sług i przyjaciół waszej książęcej mości, w którym mogę mu złożyć najgłębsze powinszowanie, najprzychylniejsze życzenia, a razem przedstawić mu mojego brata, starostę wieluńskiego.

— Bardzo się cieszę, że w moim domu przyjąć mogę pana starostę; przypominam się jemu, bo niejednokrotnie na pokojach królewskich miałem zaszczyt oglądać jego oblicze. Cóż to za szczęśliwa dla mnie gwiazda sprowadza pana starostę, orderowego pana i tak znakomitego kawalera wielkiego świata, do domu szlachcica, wieśniaka, i jeszcze w dniu jego imienin? chyba, żeby z nas wzorki zbierać i w Warszawie panów wielkiego świata zabawiać kosztem naszym.

— Mości książę, od dawna chciałem być przedstawiony w jego własnym zamku dostojnemu protektorowi nieboszczyka ojca i żyjącego brata i złożyć mu moje uszanowanie w dniu, tak świetnym dla całego narodu. A król jegomość i wuj jego, książę kanclerz Czartoryski, wiedząc o tym moim zamiarze, na moje ręce przysyłają waszej książęcej mości listowne oświadczenie ich życzliwości, które to listy księciu jmci śmiem składać.

— Z najgłębszem uszanowaniem przyjmuję ten dowód łaskawej pamięci najjaśniejszego króla, pana mojego miłościwego; a co się tyczy księcia kanclerza litewskiego, tem wdzięczniejszy mu jestem, że nie zawsze zaszczycał mnie podobną łaską.

— Był czas, mości książę, kiedy kanclerz, za odmiennem idąc przekonaniem, sprzeciwiał się waszej książęcej mości: ale to pewna, że dziś niczego więcej nie pragnie, jak tylko dawać mu niepłonne dowody swojego wysokiego szacunku i życzliwości.

— A tak, tak, teraz i ja o tem nie wątpię, kiedy tak grzecznym listem ją oświadcza dla mnie. Przed kilku laty, w sam dzień św. Karola, ogłosił dekret sejmowy, skazujący mnie jako *hostem patriae* na banicyę *et abiudicationem ab omni activitate*, ale dzisiaj mnie to wynagrodził, przysyłając mnie wcale inne wiązanie, w nawiedzeniu znakomitego męża, wielce zasłużonego ojczyźnie, bo już orderowego pana.

— Nie chełpię się z żadnych zasług dla kraju, mości książę, a jeżeli król jegomość, pan moj miłościwy, raczył orderem swoim wesprzeć me dobre chęci, jakkolwiek ten zaszczyt mało waży u waszej ks. mości, za złe mi wziąć nie można, że wysoko cenię dowód łaski mojego monarchy.

— Jakto mało ważę? ja panie jego ważę wiele. Może go

w duchu w. panu zazdroszczę, bo król mnie tej łaski nie zrobił, by mi pozwolił nosić swój order.

— Wolne żarty w. ks. mości. Król jmć chyba nie śmiał go dać w. ks. mości, jako kawalerowi wyższego orderu u nas i tylu wysokich zagranicznych.

— Nie wierz pan temu, mości starosto! Ja kilka razy przymawiałem się do tego zaszczytu, a król zawsze jakby tego nie chciał zrozumieć. Nareszcie pan Michał Rejtan, który zaraz może mi zadać kłamstwo, jeżeli zmyślam, jako szambelan najjaśniejszego pana, będąc u niego na służbie, wprost jako łaskawy na mnie przyjaciel, zaczął prosić króla o order św. Stanisława dla mnie; ale król mu powiedział: „Wasz Radziwiłł młody, głupi, nic nie zrobił dla kraju; nie dam, pokąd na niego nie zasłuży". I tak nas z kwitkiem odprawił.

Starosta zaczerwienił się, zacisnął zęby, ale tyle zostało mu rozwagi, że nie biorąc tego za żadną przymówkę, lekki uśmiech, acz nieco kwaśny, dołączył do głośnych śmiechów orszaku otaczającego księcia. Po chwili milczenia książę się odezwał:

— Mości panie starosto, najpokorniej przepraszam, że go tak długo zatrzymałem w miejscu tak nieprzyzwoitem dla jego godności, ale mam w zwyczaju po naszemu przyjmować gości łaskawych u podwojów mojego domku. Dałaby mi bracia litewska, gdybym aż gdzieś na nią czekał, póki się pierwsza ze mną nie przywita, jak to bywa u koroniarzów, gdzie gospodarz ani ruszy z miejsca, choć turkotanie kół na dziedzińcu zaprasza go do sieni. Proszę pana starosty z sobę na pokoje, bo nasze panie i panny pomyślą, że my na nie jakieś spiski knujemy.

I nizko się jemu skłoniwszy, puścił go przed sobą, a obracając się do wojskiego:

— Panie Michale, coś się trębacze nie odzywają; jak widzę, już nikogo więcej nie mam się spodziewać. Zapieczętowałeś, panie kochanku liczbę Radziwiłłowskich przyjaciół. Oj, oj, oj, czemuż nie widzę mojego strażnika! to to ja jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza uczył nożem do celu trafiać, i na swoją biedę mnie wyuczył, bo potem w zakład rzucamy, on poważny regent, a ja sobie błazenek. Jednego poranku raz u niego dwadzieścia tynfów wygrałem, ale potem te zabawy dały mi się we znaki; ś. p.

książę hetman mój ojciec porządną batogową sprawił mi łaźnię za to, że rozmawiającemu z nim panu pisarzowi Rymszy ciśnięciem noża wylot u kontusza w ścianę zagwoździłem.

I po tych słowach, wszystkich puszczając przed sobą, poszedł za nimi do pokojów, opierając się z jednej strony na panu wojskim, a z drugiej na panu Michale Rejtanie.

Starosta, przechodząc sale staroświeckiego zamczyska, nie bez zadziwienia uważał skromność jego ubrania. Nie widać było ani bronzów ani mahoniów ani tych innych wymysłów, napełniających mieszkania nierównie mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców, zawieszonych na niektórych ścianach, żaden zbytek, żadna wykwintność nie raziły równości szlacheckiej. Gdy weszli do sali, nazwanej portretową, że jużto się zbliżyła szósta godzina, a pajuki zapalili światła, mógł więc uważać na ścianach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu, poczynający się od protoplasty Lizdejki, ofiarnika wielkiego Perkuna, a kończący się na księciu Michale, hetmanie wielkim litewskim, ojcu księcia wojewody, którego wąsy, w kształcie kłów dzika strzyżone, coś surowego przydawały do twarzy, zresztą łagodnej. Wisiał jego obraz między dwiema jego żonami: pierwsza z królewskiego domu Wiśniowieckich, matka naszego księcia, druga ze znakomitego wielkopolskiego rodu Mycielskich. Wokoło tej wielkiej sali, pod ścianami były ławki, obite aksamitem utrechtskim, kiedyś zielonym; a w przerwach między temi ławkami stały gdzieniegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, aksamitem pokryte jedwabnym karmazynowym, ale niemniej spłowiałym. Oprócz tego, mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porozrzucanych w rozmaitych dyrekcyach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek, w arabeski wyrabianych, była po prostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyny sprzęt, któryby w tej sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pająk na pułapie zawieszony, z kryształu weneckiego: oświecony trzystu świecami, wprawdzie żółtemi, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowych kryształków, wracał sowicie wszystkie utracone blaski dzienne. Takich pająków było w zamku dwanaście, oświecających w potrzebie rozmaite sale.

Była to jedyna spuścizna, spadła po królu Michale na dom Wiśniowieckich, a weszła z różnymi na Ukrainie i Polesiu dobrami w dom Radziwiłłowski, kiedy książę hetman zaślubił ostatniego tego domu potomka.

W tejto sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego. Kobiety, siedzące na ławkach, i matrony poważne urzędem i ważne osoby duchowne i świeckie, na wygodniejszych kanapach, żywą pomiędzy sobą prowadziły rozmowę; inni, usiłując panów i damy zabawić, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Kiedy książę wszedł do sali z braćmi Strawińskimi, chociaż to jego przyjście może dziesiąty raz się odnowiło, wszystko na chwilę powstało, by go powitać uniżonym ukłonem: on też wszystkim jak najniżej się odkłonił; a zbliżywszy się do księcia biskupa wileńskiego, jeszcze raz mu podziękował za zaszczyt, jemu zrobiony jego przybyciem, i dodał, przedstawiając mu swojego gościa:

— Mości książę, przedstawiam waszej pasterskiej mości pana starostę wieluńskiego, zapewne dobrze mu znanego w Warszawie.

— Nie tylko w Warszawie, ale i w Wersalu miałem przyjemnosć często widywać pana starostę, kiedy to jeszcze był pułkownikiem w wojsku francuskiem; a nawet nieco głębiej możemy zapuścić naszą pamięć, bo znam pana starostę od niemowlęctwa, gdyż byłem blizkim krewnym i opiekunem jego matki.

— Wiadomy mi jest ten zaszczyt, nawet koligacya z waszą książęcą mością nie mało mi pomogła do otrzymania orderu św. Łazarza.

— A prawda! — na to książę wojewoda — zapomniałem, że Massalska was rodzi. Ona *secundo voto* była za Mycielskim, kasztelanicem poznańskim, blizkim krewnym mojej macochy. Pamiętam, że w całej Warszawie jego laufer był najbogaciej ubrany i najprędzej biegał.

— Tak jest, mości książę, ale jego majątek jeszcze prędzej biegał, bo syn jego, a nasz przyrodni brat, który służy zaszczytnie w wojsku francuskiem, po nim nie znalazł z czego sprawić sobie żałoby.

— To szczęście, odezwał się książę wojewoda, że ma zamożnego krewnego w osobie jego pasterskiej mości, księcia biskupa wileńskiego, który mu zginąć nie da. Ale pozwól, mości starosto, żebym w. pana poznał z moją siostrą, Morawską, gospodynią mojego domu.

I zaprowadził go przed panią generałowę, która blizko nich stała, opierając się na księżniczce Maryi, najmłodszej siostrze księcia, przezwanej Lilią nieświeską, dla nadzwyczajnej białości i wysmukłości jej kibici. Księżniczka słynęła z piękności, ale tak była nieśmiała, że jej książę inaczej nie nazywał, tylko siostrą-flegmiczką. Ukłonił się starosta księżniczkom, poruszeniem pełnem dworszczyzny oświadczając radość swoją, że może poznać tak znakomite i piękne damy. Na to generałowa rubaszna:

— Panie starosto, tylko ostrożnie z tymi komplementami, bo jak powiesz wyraźniej mojej siostrze Maryi, że piękna, gotowa się rozpłakać. Ja na takie rzeczy mam więcej odwagi, bo jużem tego się nasłuchała, będąc panną. Jednak starosto, jeżeli zechcesz chwalić piękność moją, nakwasisz czasu niepotrzebnie, bo już mam takiego, co aż do naprzykrzenia unosi się nad moimi wdziękami; oto widzisz go, jak nakręcając wąsa, z niespokojnością na nas spogląda. Ale obejrzyj się wokoło siebie, mój starosto, a obacz, ile tu znajdziesz piękności, które nie tylko mową, ale i wierszem pochwalić można, chociaż to prawda, że po paryskich i warszawskich może nasze wieśniaczki nie najlepiej się wydadzą jego oczom.

— *Princesse,* piękność Polek jest słynną w całej Europie. Ile razy w Wersalu jaka dama nasza pokazała się dla uczczenia królowej rodaczki, rozpacz była pomiędzy Francuzkami. I aż nadto o tem przekonać się można, okiem wokoło siebie rzuciwszy. Ale gwiazdy gasną przy słońcu, obok którego się znajdują.

Generałowa parsknęła śmiechem.

— Piękna to poezya, panie starosto, ale wolę pana w krainę rzeczywistości zaprowadzić, pokazując mu osobę, którą ze wszelkiego względu winieneś poznać.

I w głos się odezwała:

— Zosiu, Zosiu, mam ci coś ciekawego do pokazania.

Na te słowa powstała młoda dziewica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłej w wieku, i z postawą pełną

uszanowania i skromności przybliżyła się do generałowej. Czystość jej rysów, żywość granatowych oczu, osłoniętych długiemi a ciemnemi rzęsami, giętkość jej talii, wszystkie te wdzięki razem, wprzód jeszcze nim usta otwierała, już zniewalały, a sposób, jakim była ustrojoną, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła. Wszystko tak było dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, którego wszystkie narody zazdroszczą naszym Polkom, że niema na kuli ziemskiej miejsca, gdzieby zjawienie się podobnej niewiasty, w takim stroju, jakiegoś wrażenia nie zrobiło.

— Powiedzże teraz, mości starosto — rzecze pani generałowa Morawska, śmiejąc się — która tu z nas gwiazdą, a która słońcem? Stanął jak wryty starosta na widok tylu wdzięków, którym karmin wstydu, po tych słowach generałowej, nowych powabów przydawał. Skłonił się jednak pannie z uszanowaniem, jakiegoby przed królową francuską większego nie okazał, a mowę obracając do generałowej, rzekł:

— *Princesse,* domyślam się, że ta szlachetna pani musi być jedną z jej sióstr, a więc wszystkie, należąc do jednego rodu luminarzów, bez żadnego spółzawodnictwa z sobą, możecie panować nad nami.

— Nie, mości starosto, mylisz się, i jak widzę płonne to rzeczy, co ludzie mówią o zmyślności serca; bo gdyby ona była w istocie, powinienbyś był zgadnąć, kto jest ta panna, tak hoża: jest to Zosia Kunicka, przyszła pańska bratowa.

Zosia zarumieniła się, a generałowa odskoczyła od nich, śmiejąc się do rozpuku, i skacząc przybiegła do wojskiego, by mu opowiedzieć poznanie brata z jego narzeczoną.

Chwil kilka starosta pozostał w milczeniu; nakoniec wziął Zosię za rękę, a przycisnąwszy ją do ust:

— Pani, rzecze, ileż szczęśliwym się czuję, że przecie poznaję przyszłą siostrę, przyszłą ozdobę domu mojego! Jakżem się nie domyślił po gwałtowniejszem biciu serca, że się zbliżam do tej, której już jestem od kilku miesięcy kochającym bratem. Znam panią z listów brata mojego, ale że rzeczywistość tu jest wyższą nad wszelkie opisanie, wyznaję, że panią wziąłem za jedną z sióstr księcia wojewody.

— Co do mnie, ani na chwilę nie zostawałam w wątpliwości, że pan jesteś starszym synem nieboszczyka pana straż-

nika, bo obraz przysłany jemu tak do pana podobny, jak jedna kropla wody do drugiej.

— Byłże więc obraz mój tak szczęśliwy, byś raczyła go chować w pamięci?

— Winnam panu staroście ponowić moje dzięki za dar, coś mi go pan raczył przysłać na pamiątkę, a który i teraz mam na sobie, jako pan widzi.

— Nic innego widzieć tu nie mogę oprócz pani samej; ale z jakąś bojaźnią przybliżam się do pani, chociaż serce moje do niej mnie gwałtem przyciąga, bo wszystko, coby gdzieindziej za mną przemówiło, tu będzie obrócone na moje potępienie.

— Nie rozumiem pana starosty.

— Łaska króla, niewinnie będącego przedmiotem nienawiści u jej blizkich, młodość moja w rzemiośle rycerskiem, ale za granicą strawiona, nawet ten strój, tak obcy tutejszym okolicom, wszystko przegradza mnie od przyjaźni pani.

— Cóż może mieć wspólnego różnica ubioru z przyjaźnią?

— Ach pani, czyż na wstępie do tego pałacu nie doświadczyłem, ile ten ubiór mój ściąga na mnie podejrzenia? Sam książę, zapomniawszy na chwilę o względach należnych w domu swojemu gościowi, przybywającemu do niego z hołdem grzeczności od wspólnego im króla, a uszanowania od siebie, przywitał mnie cierpką przymówką. Pogardliwie dał mi poznać, jak lekceważy zasługi moje, za granicą nabyte, a których świadectwo na sobie noszę; a jednak jakaś sława, zyskana przez Polaka w ziemi obcej, własnej ojczyźnie hańby nie przynosi. Wszakże obojętnie zdołam uważać te wszystkie uprzedzenia, bylem sobie mógł pochlebiać, że dla pani nie jestem obcy.

— Nie do nas biednych dziewcząt o tych rzeczach należy rozumować, ale to pewna, że syn najściślejszego przyjaciela mego ojca nie może być dla mnie obcym.

Starosta, jakby zachwycony, drugi raz ujął białą i pulchną rączkę przyszłej bratowej, gdy głośny śmiech pani Morawskiej zwrócił jego uwagę: ujrzał wesołą generałowę, opartą na ramieniu Michała.

— Wstydź się, rzekła do swojego przewodnika, mości wojski, żeś się dał mnie uprzedzić; wszakże do ciebie, a nie do mnie należało poznać brata z twoją narzeczoną. Ale coś

zawczasu postępujesz po mężowsku, zagawroniłeś się z swoimi Albeńczykami, a do biednej Zosi dotąd słówka nie obróciłeś, a tymczasem starosta twoją rolę przy niej wygrywa. Nikomu nie wierz, mój wojski, a najmniej Paryżanom; dopiero pod bokiem mojego wąsala sypał mi komplementa. Teraz tłómacz się sobie przed Zosią, żeś jej zaniedbał. Już obiadowa pora. Wojski niech swoją Zosię prowadzi; wpan, panie starosto, prowadź moją siostrę Marysię, która trzyma oczy spuszczone, jakby szpilek szukała po podłodze. A ja muszę poszukać Moriconiego; jest to Włoch z przodków, ale w kontuszu, przecież starosta grodowy wiłkomirski, a wkrótce będzie — nie potrząsaj tak głową, Marysiu, moim bratem.

I spostrzegłszy go o kilka kroków za nimi, spoglądającego na księżniczkę Maryę, porwała go za rękę i kazała siebie prowadzić do sali obiadowej.

Był to czwarty i ostatni obiad z rzędu, gdyż od godziny pierwszej po południu, co dwie godziny stoły zastawiano; na św. Karola bowiem w Nieświeżu zjazd był tak wielki, że nie byłoby sposobu wszystkich umieścić razem za jednym stołem. Książę biskup, a z nim duchowieństwo szli naprzód; po nich książę wojewoda podał rękę jw. Niesiołowskiej, wojewodzinie nowogrodzkiej, siostrze księcia biskupa, którą tyle szanował wraz z dostojnym jej małżonkiem, ile pogardzał osobą i sposobem myślenia jej brata. Po nich koleją postępowały pary, które jeszcze nie obiadowały. Na niekończącym się stole z orzechu, który nie na jedno pokolenie Radziwiłłowskie patrzał, były pozastawiane srebra prawdziwie monarchiczne, bo jedno pokolenie przekazywało je drugiemu, a zawsze z naddatkiem. Sala był to długi prostokąt, którego węższe ściany były obite kobiercem, gobelin zwanym. Pradziad księcia dostał go w darze od Ludwika XIV. wraz z orderem św. Ducha, kiedy się żenił z siostrą króla Jana. Jedna z tych makat wyrażała gody w Kanie galilejskiej, druga nakarmienie pięciu chlebami licznego narodu, zebranego dla przysłuchania się słowom naszego Zbawiciela. Książę kanclerz zawiesić je kazał w sali obiadowej, jako najstosowniejszej do przedmiotów, na tych kobiercach wyrażonych. I on i syn jego książę hetman długo przemyśliwali, by dobrać podobnych kobierców i do ścian dłuższych, ale zmuszeni byli tego zaniechać. Aż nakoniec ten ostatni kazał je domalować *al fresco,* przez dwóch

sławnych malarzów, umyślnie na to sprowadzonych z Rzymu. Na jednej ścianie były oddane łowy, na których pan Ilinicz, wojewoda brzeski, rozdartym został przez niedźwiedzia, a na drugiej wjazd królowej Barbary Radziwiłłówny do Krakowa. Oprócz doskonałości pędzla, co było w tem malowaniu najszacowniejszego, to, że wszystkie osoby na tych obrazach były zdjęte z krewnych, przyjaciół i sług księcia hetmana. Każdy więc Litwin, siedzący za stołem, mógł rozpoznawać znajome a często drogie oblicza.

Nic się nie pokazało na tym obiedzie, czegoby każdy zamożny szlachcic nie znalazł w potrzebie i u siebie. *Ad libitum* barszcz i rosół dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszych blatach, wszystko ze srebra, pajuki roznosili wołowinę z chrzanem, flaki z imbirem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z sardelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyzny pieczone. A to wszystko przeplatane szczupakami, złoconymi szafranem — karpiami, miodem zarumienionymi — jazgarzami i sielawą, zaprawionymi goździkami i kwiatem muszkatołowym. Były też rozmaite przysmaczki, w Litwie tylko widziane, jako łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiorem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone, garnirujące naroki sarnie, przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennem winie duszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem. Niknęły półmiski pod zębem litewskim, a książę, jako gospodarz, chodził około stołu od panów do szlachty, wszystkich przepraszając, że nie przyjmuje ich jeszcze wedle swoich życzeń i ich wartości. I nieraz na przyjacielskim talerzu brata-szlachcica nabierze jakiegoś jadła i śpiesznie je pożywa na jakimś stoliku, postawionym pod jakąś ścianą.

Starosta, wstrzemięźliwy w pokarmie, zjadł trochę rosołu, ze wstrętem odwrócił się od pływającego w szafranie szczupaka, z większym jeszcze od łap podobnych do ludzkiej ręki, przekąsił jednak skrzydło indyka i trochę głowizny dzika, jako potraw najwięcej zbliżonych do cywilizacyi kuchennej. I na tem poprzestawszy, czekał z niecierpliwością końca obiadu, w ciągłej obawie, by mu pajuki, noszący półmiski, w niwecz nie obrócili galowej sukni. Zaczęły kolejne kielichy krążyć za zdrowie solenizanta i innych, co jeszcze więcej po-

psuło mu humoru, ile że się nie mógł wymówić od spełnienia solenizantowskiego wiwatu z kielicha, który już wielu ust się dotykało, i to winem węgierskiem, żadnego podobieństwa nie mającem z tem, co je wytłaczają mieszkańcy brzegów Garonny i Saony. A kiedy inne zdrowia zaczęły się powtarzać, pomimo najusilniejszych nalegań pić nie chciał, tłómacząc się piersiową chorobą, która pod karą śmierci zabrania mu być uczestnikiem tej miłej zabawy. Znudzony, roztargniony, głuchy na wszystkie krotofile kielichowe, nawet na genialne kłamstwa gospodarza, kiedy niekiedy szukał okiem swojej przyszłej bratowej, która opodal siedziała między jego bratem, wedle swojego zwyczaju mało do niej mówiącym, i jakimś innym Albeńczykiem, z podwójną kresą na czole, który do niej ciągle się obracał, jakieś jej mówił rzeczy, z których sam tylko śmiał się serdecznie, robił jej jakieś gałeczki z chleba i pokazywał je na swoim talerzu. Na zapytania odpowiadała Zosia, ale jak uważał, to wszystko niewiele ją zajmowało. Nie wiedział, kto to jest ten Albeńczyk, ale domyślał się po jego poufałości z Zosią, że musi być jej krewnym. Siedział starosta jak na szpilkach, i pewnie w kaplicy zamkowej, asystując królowi, nie z taką niecierpliwością czekał końca kazania, ile teraz czekał końca obiadu, chociaż siedział obok księżniczki młodej i pięknej.

Ignacy Chodźko.

Urodzony w roku 1795. Nauki początkowe w Borunach, uniwersytet w Wilnie. Ukończył go w roku 1814, zatem nie był kolegą Mickiewicza i jego przyjaciół, ale był z nimi w ścisłych i serdecznych stosunkach. Całe życie spędził na wsi, w Dziewiętni, zajęty gospodarstwem i ziemskim urzędem (dopóki takie były jeszcze na Litwie). Miał w domu starego przyjaciela, niegdyś konfederata Barskiego, i z jego opowiadań zaczął spisywać Obrazy litewskie, których dalsze tomy zapełnił już własnemi wspomnieniami. Obrazy te, jako też Podania litewskie są wielką ozdobą naszej literatury powieściowej. Z wyjątkiem jednego Henryka Rzewuskiego nikt nie opisywał staropolskiego życia i obyczaju z takiem życiem i z takim wdziękiem, jak Chodźko; a nad Rzewuskim ma tę wyższość, że w jego pismach niema nic niezdrowego i fałszywego. Najładniejsze są Pamiętniki kwestarza, Boruny, Domek mojego dziadka i jego Śmierć.

Umarł Chodźko w Dziewiętni w roku 1861.

Z POWIEŚCI p. t. „PAMIĘTNIKI KWESTARZA".

(Rozdział X i XI).

Miły Boże! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc, Bernardyńskim? bo jeszcze nie bardzo przyzwyczaiłem się do tego nazwania. Prawdę powiedział, wyprawując mnie z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: — *Homo proponit, Deus disponit* [1]) — i prawdziwie była w tem wszystkiem wola Boska, *digitus Dei* [2])! Zapisawszy powyżej moją ucieczkę i transfiguracyę na Karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progres ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis* [3])? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a skąd znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorek to nędzny i drewniany, ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął:

— Czy poszaleli? Przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów.

Podałem mu obedyencyę, ani czytać jej nie chciał: więc wsunąłem list. Ujrzawszy na kopercie: *soli,* spojrzał na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się! *reverendissime* [4]) — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł stamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posil się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę. — Jakoż ja i posiliłem się i siedziałem już z półgodziny, a on chodził nieustannie szerokim kro-

---

[1]) człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. — [2]) palec Boży. — [3]) koniec. — [4]) przewielebny.

kiem po celi, nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem, na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve* [1]), *reverendissime! salve!* — rzekł on; a spostrzegłszy mnie: — Cóżto? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem od nóg do głowy — Postura *tamquam* [2]) kufa! ot co jest! — Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić wielebność waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią i na konsolacyę, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, *reverendissime,* ten list! wyrozumiesz może lepiej ode mnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezrozumianego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się jegomości nie z jego broń Boże! przyczyny lub jakiego excesu, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* [3]) zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte* [4]).

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis* [5])... *Una salus servire Deo, cetera fraudes!... intellegis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei* [6]).

---

[1]) witaj. — [2]) jakby. — [3]) w najwyższym stopniu. — [4]) obróć. — [5]) drogą namowy. — [6]) jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność! rozumiesz?... czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża —

— *Est res et nulla res est!* jest rzecz i niema rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti* [1]). Ot co jest! Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* [2]) zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot co jest!

— A to zaco? — zapytał poruszony przeor.

— A to dlatego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, pokorę, która, jak wiecie, niebiosa przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis* [3]), na czemże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum* [4]), mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum* [5]), nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale* [6]).

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał mi się być kontent z pozbycia się i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z moją szablą przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

---

[1]) dobrze powiedziałeś. — [2]) bez wątpienia. — [3]) rozważywszy, co rozważyć należy. — [4]) proszę ze sobą — [5]) pożywienie i odzież. — [6]) bądź zdrów.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata kanaparza; jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* [1]) przełożeństwa nad zamożną klasztorną dyspensą i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza, żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało; i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mnie razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* [2]) prawie w każdej celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* [3]) dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz, jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium* [4]), które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po korytarzach, *stricte* [5]) pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

---

[1]) tymczasowo. — [2]) odpoczynek. — [3]) z czystego ziarna. — [4]) znaku milczenia. — [5]) ściśle.

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze. kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty, złoty, w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* [1]) wszystko co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ksiądz przeor głębocki — a w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

— Ot, to byłaby piękna kapa na *asperges* [2]) — mówił on, gładząc pas mój lity — a z żupanów grodeturowych i atłasowych ornaty, z kontuszów *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *reverendissime,* po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Dyabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod obedyencyą! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod obedyencyą. Ot co jest!

— Widzisz, *reverendissime,* na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tęgo, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i dyscyplinę, mógłbyś od razu zostać jubilatem, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój animusz nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób profesyę na braciska *sine missa* [3]), zostań z nami Bernardynami, Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

---

[1]) i tego rodzaju, tym podobne. — [2]) pokropienie (przed sumą). — [3]) bez prawa odprawiania mszy św.

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z tymi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę ci długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzywał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych obligacyi na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo: to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencyę nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób, co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upór na upór; ale najgorsze w życiu ludzkiem to jak chcesz! I tak dobrze, i tak dobrze; albo i tak źle, i tak źle... A Bóg wie tylko, co lepiej, a co gorzej. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę.

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A Jej osobliwszym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie spostrzegłem, jak się nie-

szpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy wtem usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ks. kustosz, który siedział w konfesyonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląkł potem obok; zmówiliśmy *Te deum laudamus* i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne korytarze.

Dopadłem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą moje suknie i pasy do kuferka — To, ojcze! — rzekłem — zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniesiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum [1]). Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza przeora, udałem się na spoczynek i bez żadnych żalów lub molestacyi, najspokojniej zasnąłem.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor* [2]). — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtem zastukał do celi ks. kustosz, idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: — A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej znowu duch nowy i jakby pragnienie habitu weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycyę odebrania nazad ofiary.

— Owszem! *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowa-

---

[1]) jak rzekł, tak się stało. — [2]) służebny.

łem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że, gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i złoto z głowy znikło; a ksiądz kustosz, obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego i za jego rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale obedyencya dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej wokacyi, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* [1]) zatem, bracia mili, i przyjmijmy go *apertis manibus* [2]): bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą profesyę.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na probanta i serwitora.

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim serwitorze? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła; to znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. Serwitorów, definitorów mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą dyspensę, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną benewolencyę [3]) i rzekłem: — Podobno,

[1]) Cieszmy się. — [2]) otwartemi rękami. — [3]) życzliwość.

reverendissime, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami — excypuję tylko sobie, *si licet* [1]), dukata *cum effigie* [2]) Najświętszej Panny.

— *Iterum iterumque gaudeo* [3])! — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnej twej intencyi; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater,* nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem* [4]). Bo i u któregoż Bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? A że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek; a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką? — jeszcze zapytał, uśmiechając się.

— Odeślę ją przy okazyi memu przyjacielowi, podczaszemu Świebodzie.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów, jadących razem do Nieświeża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed patrami, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do kontentacyi zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i experyencyi smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem, śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzywszy od stóp do głowy.

---

[1]) jeżeli wolno. — [2]) z wizerunkiem. — [3]) bardzo się cieszę. — [4]) aż do grosza.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedynczo przed nim dla egzaminu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. Kwestya pierwsza: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — Kwestya druga: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — Kwestya trzecia: Jaki był mój stan przeszły i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim* [1]) i pokrótce całe moje życie, a szczególniej, jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* [2]) na Karmelitę, i *tandem* za pomocą Bożą na Bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moją ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcyi. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświeżu urządzał *sumptem* naszym obiady, a potem obierzesz sobie rezydencyę, gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświeżu, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłymi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnymi *omnis generis* [3]) i specyałami z klasztoru sióstr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanymi, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są kustodyą.

Józef Korzeniowski.

Syn Wincentego, urodzony w Brodach w roku 1797. Szkoły w Zbarażu, w Czerniowcach; później w Krzemieńcu. W roku 1818 przeniósł się do Warszawy, gdzie był (przez krótki czas) nauczycielem małego Zygmunta Krasińskiego. W roku 1823 powołany do Krzemieńca na profesora języka i literatury polskiej (po śmierci Felińskiego), zostawał tam aż do zamknięcia liceum wołyńskiego. Następnie był profesorem języka łacińskiego i historyi w uniwersytecie kijowskim, skąd przeniesiono go do Charkowa na dyrektora

---

[1]) ogólnie. — [2]) niespodzianie. — [3]) wszelkiego rodzaju.

gimnazyum. W roku 1846 powrócił do Warszawy; został wkrótce wizytatorem szkół. W roku 1861 przy nowej ich organizacyi przez margr. Wielopolskiego, został dyrektorem wydziału w komisyi wyznań i oświecenia. Umarł w Dreźnie, w podróży do kąpiel dla poratowania zdrowia, 17. września 1863 roku.

Zawód pisarski Korzeniowskiego obejmuje dwa kierunki: dramatyczny i powieściowy.

Pierwszy był wcześniejszy. Po kilku młodzieńczych próbach (n. p. Aniela, Klara, Piękna kobieta) w roku 1830 wyszedł jego Mnich. Jest to tragedya o Bolesławie Śmiałym. Bolesław już w Ossyackim klasztorze, szarpany między skruchą a tęsknotą za władzą i koroną, nakreślony jest z pewną dramatyczną siłą; wiersz piękny. Rokował on nadzieje, jakich późniejsze utwory Korzeniowskiego (n. p. tragedya Andrzej Batory) nie ziściły. Potem powrócił na pole potocznego, domowego dramatu i komedyi. Do pierwszego zachęciło go może wielkie podówczas (nietrwałe) powodzenie Aleksandra Dumasa lub Fryderyka Soulié; przynajmniej można tak wnosić z treści małych dramatów, takich jak Piąty akt, Okno na pierwszem piętrze, których kolizye wypływają z małżeńskich stosunków i nieporozumień. Komedye znowu, ze swoim charakterem potocznym, codziennym, bardziej realistycznym niż u Moliera i jego następców albo u Fredry, należą do tego typu, jaki między rokiem 1830 a 1850 cieszył się wielką wziętością, a reprezentowany był przez Eugeniusza Scribe. Dramata i komedye Korzeniowskiego miały tę niezaprzeczoną zasługę, że teatrom dostarczały sztuk coraz nowych, tworzyły zapas sztuk polskich, a od komedyi dawniejszych (z wyjątkiem Fredry, ma się rozumieć) były znacznie lepsze. Wszelako czy w smutnym czy w wesołym rodzaju, pierwiastku dramatycznego w nich wiele niema. Z takich najżywszym, najbardziej wzruszającym i przez sytuacyę i przez osoby są Karpaccy Górale, rzecz osnuta na prawdziwem zdarzeniu. W Żydach są niektóre typy dobrze uchwycone i skreślone: nieszczęściem, zdrożności lub śmieszności przedstawione są z taką przesadą, że tracą charakter prawdy, a cnoty przemawiają tonem płaczliwym i kaznodziejskim, ale współczucia nie budzą dosyć. W komedyach z potocznego towarzyskiego życia figury podrzędne, uboczne miewają nieraz fizyognomię i życie: głównym zwykle na nich zbywa. Akcyi zazwyczaj mało, nawet w tych, które jak Młoda wdowa albo Wąsy i Peruka w swoim czasie najwięcej miały sławy i powodzenia. Z dawniejszych Doktor medycyny, z późniejszych Podróżomania mają najwięcej może humoru i życia.

Jeszcze za młodu pisywał Korzeniowski małe powiastki, ale w większych powieściach próbował się dopiero od roku 1846. Niektórzy żałowali, że poświęcił dla nich swój zawód dramatyczny (choć go nie zaniedbał zupełnie). Żal nieusprawiedliwiony. Właściwe Korzeniowskiemu przymioty miały w powieści więcej niż w dramacie lub komedyi pola do pokazania się, strony słabsze jego talentu na tem polu były mniej widoczne.

Jako pisarz powieści Korzeniowski ma wielkie zalety. Naprzód bardzo ładny, poprawny, staranny język; styl i sposób pisania żywy i przyjemny, który sprawia, że jego powieści czytają się zawsze z zajęciem, nawet kiedy są słabsze i mniej zajmują swoją treścią. Dalej, niema on wiele wyobraźni, ale ma bystry zmysł spostrzegawczy i dar trafnego, żywego przedstawiania charakterów i typów. Zwłaszcza typy komiczne (w najrozmaitszych rodzajach) kreśli z humorem, nie bez ironii, ale bez złośliwości i żółci. Postaci i sceny z wiejskiego życia i obyczaju są nieraz bardzo zabawne, a zwykle pełne życia i ruchu. Czasem obrazki wcale wdzięczne ze spokojnego rodzinnego życia. Figury uboczne kreślone z humorem, i zbiorowe obyczajowe sceny lub obrazki, to zwykle strona najsilniejsza jego powieści; figury z zakrojem wyższym i szlachetniejszym udają mu się gorzej. Charakter miejscowy scen i okolic, w których powieść swoją mieści, oddaje Korzeniowski bardzo wiernie i ładnie. Nauki moralne daje zbyt wyraźnie, czasem zbytecznie pobłaża swoim bohaterom lub bohaterkom i sądzi łagodnie lub uniewinnia postępki niepiękne. Nie wynika to wszakże ze złego zamiaru autora, tylko raczej z pewnej nieuwagi.

Powieści wcześniejsze, Spekulant i Kollokacya, należą do najładniejszych. Późniejsze mają szerszy zakres, większą ilość postaci, akcyę bardziej zawikłaną; przez to robią więcej efektu: ale nie mają może więcej rzeczywistej wartości. Tadeusz Bezimienny i Garbaty mają z tych powieści późniejszych najwięcej może zalet i pięknych rozdziałów. Krewni, Wdowiec, Wędrówki oryginała, Stolnikowicz wołyński, uzupełniają szereg większych jego powieści.

W latach, kiedy najwięksi pisarze byli za granicą, kiedy cenzura nie dopuszczała rozwoju piśmiennictwa w kraju, powieść miała to znaczenie i tę zasługę, że utrzymywała ciągłość i życie literatury w kraju. Korzeniowski utrzymywał je i przez powieść i przez swoje sztuki teatralne. W obu kierunkach oznaczał on postęp. Pomiędzy prozaikami polskimi swego czasu należy do najlepszych; gdyby nie małe niedbałości (jak zdarzające się wyrazy przyswojone z francuskiego zamiast polskich) możnaby go nazwać wzorowym. W historyi zaś polskiej powieści i sztuki dramatycznej ma miejsce i pamięć zapewnioną na zawsze.

MNICH.

Tragedya w trzech aktach.

Aktu I scena 1.

(Miejsce przed wnijściem do klasztoru, przy którym wielkie drzewa i kilka mogił, przyłożonych kamieniami. Adalbert, młody zakonnik, siedzi na jednej mogile; Wacław wychodzi śpiesznie z klasztoru, nie spostrzegając Adalberta).

Adalbert: Ojcze Wacławie, dokądże tak śpieszysz?
Wacław: Dawnoż tu siedzisz, bracie Adalbercie?
Adalbert: Już od godziny patrzę na te góry.
Wacław: Samotność zgubna stęsknionemu sercu.
Adalbert: Ta ciężka suknia na nią mię skazuje. 5
Wacław: Przecież ta suknia lżejsza niźli zbroja.
O! nie znasz stanu, do którego tęsknisz:
Lepsze tu życie. Niema tu uciechy,
Lecz niema smutku: tu nie zerwiesz kwiatu,
Ale i cierniem ręki nie skaleczysz. 10
Uwierz, młodzieńcze, co ci mówi stary,
I stań się mądry cudzem doświadczeniem.
Adalbert: Proszę cię, przestań; jużeś mię przekonał.
Wacław: Nieszczerze mówisz.
Adalbert: Pewnie coś lepszego
Masz do zrobienia. Życie nasze krótkie. 15
Śmierć zawsze prędsza niźli pilność ludzka;
Nie trać więc czasu.
Wacław: W poręś mi przypomniał.
W którąż się stronę udał ów przychodzień?
Adalbert *(niedbale)*: Tą ścieżką poszedł.
Wacław: Pewnie ku tej skale,
Skąd czasem mierzy, jak głęboka przepaść. 20
Dziwny to człowiek! Próżno trudzę głowę,
Bym doszedł, skąd jest? czemu tu przebywa?
To tylko jawnie widzę, że daremnie
Światowe żądze ubrał w mniszy kaptur;
Niema na czole jego poświęcenia 25
Ni w jego sercu ciszy zakonnika.
Adalbert: Serce człowieka jest to ciemna głębia:
Zbyt trudno dojrzeć, co jej dno ukrywa.
Wacław: Roztropnie mówisz, lubię ja twój rozum;
Ale tem bardziej smutek twój naganiam. 30
Adalbert: Zostaw mi smutek, ma on swe powaby;
Większej nagany warta twa ciekawość.
Wacław: Ciekawość? jakto?
Adalbert: *(powstając)*: Chodzisz za człowiekiem,
Który unika ludzi; śledzisz wszędzie
Nieszczęśliwego, dla którego może 35
Samotna chwila jest największem dobrem.
Widziałem nawet, że go podsłuchujesz,
Gdy mówi z sobą, kiedy w zapomnieniu
Głuchym urwiskom troski swe powierza.
Bracie Wacławie, to niedobrze. Pókiś 40
Broń w ręku nosił i na czatach stawał,
Póty ci wolno było słuch zaostrzać
Na słowa drugich; pótyś był powinien
Śledzić twym wzrokiem chytrość nieprzyjaciół;

Dziś, w tem odzieniu, patrz na siebie tylko 45
I słuchaj mowy serca, czy nie grzeszna.
Wacław: Gdyby ciekawość wiodła mię, nie przeczę;
Przestrogi twojej nie mógłbym odrzucać!
Ale się mylisz. Śledzę go, to prawda,
Lecz sama litość za nim iść mi każe. 50
Nieraz krok śmiały niesie go w te miejsca,
Do których żaden zwierz nie dostępuje;
Widzę go często na urwiskach, gdzieby
Orzeł się gnieździć nie śmiał. Idę za nim,
Bym go ostrzegał o niebezpieczeństwie. 55
Sługa Chrystusa, tego tylko żądam,
By się czyn dobry spełnił, nie zważając,
Jakie mu źródło kto naznacza, jak mi
Dobra chęć moja odpłacona będzie.
Nie zważam nawet, czyli wart przysługi, 60
Komu ją chętnie w szczerej myśli świadczę.
Adalbert: Czemużby nie był godzien?
Wacław: Jabym sądził,
Że on wart raczej kary, niż litości.
Adalbert: Czyliż nie widzisz, jak jest nieszczęśliwym?
Wacław: Zbyt jeszcześ młody i nie umiesz patrzeć. 65
Adalbert: Wielkie nieszczęścia biły w głowę jego:
Ślad ich widoczny.
Wacław: Powiedz raczej, bracie,
Wielkie występki ciężą w jego duszy,
A sąd twój pewnie sprawiedliwszy będzie.
Już miesiąc prawie u nas przesiaduje; 70
Jeszcze w świątyni nie był, dotąd jeszcze
Nie zgiął kolana przed ołtarzem Pańskim.
Cóż go wstrzymuje jeśli nie sumienie?
Jeżeli nie ta bojaźń złego sługi,
Który obraził ciężko swego pana? 75
Niema tak ostrej skały, tak dzikiego
Miejsca wśród lasów i przepaści naszych,
W któremby nie był. Jeśli kiedy siędzie
W ciemnym zakącie i, oparłszy głowę
Na dłoni swojej, w myślach się zatopi: 80
Chwila to krótka; zrywa się, ucieka,
Jakby duch jaki chwytał go za piersi.
Cóż go tak pędzi, jeśli nie sumienie?
Znam ja się na tem. Nieszczęśliwy lubi
Sercu bliźniego troski swe powierzać; 85
Zmienność fortuny wstydu nie przynosi,
Szuka więc ludzi, kto litości żąda.
Lecz kto im nie śmie piersi swych otworzyć,
Znak to nie dobry; czuje, że mu trzeba
Bać się ich sądu. — Ale zapomniałem, 90

Pocom tu przyszedł. Słońce się zapuszcza:
Mogę go dzisiaj wcale już nie znaleźć.
Bądź mi zdrów, bracie!

Adalbert: Miej szczęśliwą drogę.

Wacław *(wracając)*: Lecz jeszcze słowo! Za przestrogę, którą
Mi dałeś, przyjmijże wzajemnie moją. 95
Masz rozum, ale nie sądź zbyt porywczo
I, pókiś młody, nie ucz nigdy starszych. *(Odchodzi)*.

Adalbert: Znam ja cię dobrze! W to ustronie święte,
Nie samą szczerość przyniosłeś ze świata.

Scena 2.

(Przeor wychodzi zwolna z klasztoru. Adalbert zbliża się do niego z uszanowaniem).

Przeor: Zawsze twe czoło smutne, Adalbercie!

Adalbert: Wieczór przynosi smutek i dumanie.

Przeor: I jam też wyszedł, bym mu się przypatrzył;
I wierz mi, nigdy on mnie nie zasmuca.
Jak złoty ranek, tak rumiany wieczór 5
Radość mi daje, wlewa podziwienie;
Jużem go stokroć widział na tych górach,
Dziękując Bogu, że mi w tej zaciszy
I żyć pozwolił i swą chwałę głosić.

Adalbert: Ojcze! podzielam podziwienie twoje; 10
Lecz nie dziękuję Bogu, że tu jestem.

Przeor: Znam ja, mój synu, twoje chęci. Młoda
Myśl twoja rada z naszych gór zstępuje.
Ciekawość ciągnie cię wśród ludzi; chciałbyś
Poznać ich trudy, szczęście ich i chwałę. 15

Adalbert: Czytasz w mem sercu.

Przeor: Potłum te żądania;
Zamroź ten potok, póki w kroplach spada.
Musisz szanować w twego ojca woli
Wolę twojego Boga i ulegać
Skromnie i cicho prawom tego stanu, 20
Który ci kiedyś, jak mnie, miłym będzie.

Adalbert: Nie będzie nigdy, daruj mej szczerości!
Żal mię uciska, gdy nad sobą myślę;
Czemże tu jestem? mogęż się tu poznać
Lub się dowiedzieć, czylim zły, czy dobry? 25
Czym wart szacunku swego, czy pogardy? —
Puść mię stąd, ojcze! Niechaj się doświadczę.
Bóg mi dał siły, które marnie pójdą,
Jak plenne ziarna, jeśli tu zostanę;
Ciebie przeznaczył, abyś jak ów prorok, 30
Klęcząc na górze, ręce miał ku niebu:
Mnie zaś inaczej praw swych bronić kazał.

Przeor: Pojmuję myśl twą; ale wierz mi! lata
Ujmą ci ognia i pokażą prawdę.
Chwała i laury piękne są w nadziei; 35
Lecz otrzymane, nie ogrzeją serca,
Jak obraz słońca w lodach tych odbity.
Z słów twych postrzegam, że nie długo głos mój
Wstrzymać cię zdoła; że bez doświadczenia
Rzucisz się na świat.
Adalbert: Mógłżem go tu nabyć? 40
Przeor: Tu ci, mój synu, było niepotrzebne;
Ale wśród ludzi każdy krok twój będzie
Krokiem ślepoty, gdy bez niego stąpisz.
Adalbert: Świat uczy życia, życie mądrość daje.
Przeor: Prawda, lecz możeszże przewidzieć dzisiaj, 45
Jak drogo ziemia to światło ci przeda?
Przybliż się, synu! Czyś się ty przypatrzył
Życiu przychodnia, co tu ma przytułek?
Z kilku słów, które wyrzekł, gdy mię prosił,
By się mógł schronić w murach Ossyaku, 50
Wniosłem, że także kiedyś był żołnierzem.
Za całą chwałę, którą mógł się okryć,
Nie chciałbym w sobie serca jego nosić.
Może w młodości był jak ty szlachetnym
I jak ty pragnął chwały i honorów. 55
Zbyt ślizka droga na ten szczyt prowadzi!
Często pod wieńcem, co ma być nagrodą,
Wąż jadowity leży i ciasnymi
Skręty niebaczne serce obwiązuje.
Nie wychodź z portu, do którego później, 60
Po wielu burzach, z zamąconą duszą,
Z cierniami w piersiach mógłbyś i ty wrócić.
Adalbert: Wzruszasz mię, ojcze, lecz nie przekonywasz!

Scena 3.

(Ciż. — Wacław wchodzi pomieszany).

Przeor: Cóż ci się stało? czegóżeś tak pobladł?
Wacław: Szanowny ojcze! nigdybym nie wierzył,
Gdyby me własne oczy nie widziały.
Przeor: O czem chcesz mówić?
Wacław: Pozwól niech odetchnę.
W ślady przychodnia tego szedłem: sama 5
Litość mię za nim często wyprowadza.
Wkrótcem go ujrzał na tej niebezpiecznej
Skale, co ostrą głowę swoją zwiesza
Nad Sławoboja przepaść. Stał i patrzał
W dno jej, złomami wieków najeżone: 10
Wstrząsłem się cały, skorom go obaczył.
Chciałem zawołać, tchu mi brakło: on zaś

Oboją ręką w piersi uderzając,
Schylił się, zachwiał — byłby upadł.

Przeor: Przebóg!

Wacław: Niespodziewanie jakaś dziwna postać 15
Stanęła przy nim. Na jej białej sukni
Widziałem ślady krwi; w swej ręce miała
Coś nakształt berła, jakie w uroczystych
Obrzędach zwykli mieć pasterze nasi.
Po chwili znikła: on, czy oswojony, 20
Czy jej nie postrzegł, stał bez ruchu, potem
Wzniósł oczy w górę i tak śmiało, jakby
Po drodze setną nogą udeptanej,
Zstąpił. — Lecz patrzcie! oto już powraca!

(Mnich nieznajomy przechodzi, zakryty między drzewami, i gubi się za klasztorem; wszyscy milczą, póki nie przeszedł).

Przeor *(po chwili)*: Mamże dać wiarę, coś mi tu powiedział? 25

Wacław: Ojcze mój! jużem stary i niedługo
Przed Bogiem stanę.

Przeor: W jego ręku cuda!
On może zamknąć przepaść przed grzesznikiem,
By mu zostawił porę do pokuty.
Obraz człowieka tego z myśli mojej 30
Ustąpić nie chce. Z tego, com sam widział,
Com teraz słyszał, wnoszę, iż to wielki
I znakomity zbrodniarz; jego rysy,
Jego wspaniałe czoło, które marszczą
Ciężkie zgryzoty, jego chód i postać 35
Świadczą, że kiedyś musiał stać wysoko;
Przytomność jego staje mi się przykrą.
W to święte miejsce modłów i pokoju
Wprowadził trwogę i ciekawość. Radbym,
Żeby już odszedł z Bogiem tam, skąd przybył. 40

Wacław: Rządca klasztoru tego, możesz przed nim
Tę bramę zamknąć.

Przeor: Tego nie uczynię.
Na cóż jesteśmy w tem zdziczałem miejscu?
Tu kwiat nie wschodzi, w tych się skałach żaden
Ptak nie zagnieżdża, zboże tu nie rośnie: 45
Ledwie mech nagie głazy przyodziewa
I smutne jodły w chmurach się zielenią.
Tu jest granica życia; tu nas ręka
Wszechmocna karmi, byśmy nieszczęśliwym,
Gdy ich przygoda na te szczyty wpędzi, 50
Podali kawał chleba, udzielili
Dachu przeciwko wichrom i przemocy.

Wacław: Lecz taki zbrodniarz!

Adalbert: Wieszże, co uczynił?

Wacław: Nie wiem, lecz może plamy jego ręki
Łzyby całego życia nie obmyły. 55
Przeor: Cokolwiek zrobił, niech zostanie. Dom nasz
Otworem stoi nawet dla występku,
Który się z niebem jedna; ale powiedz,
Niktże z was nie wie, kto on jest? skąd przybył?
Wacław: Któżby do niego zbliżyć się ośmielił? 60
Odkąd tu mieszka, żadnem jeszcze słowem
Nie zdradził głosu swego; nadaremnie
Chciałby kto w głębi duszy jego czytać.
Dzikiem spojrzeniem, wprawnem do rozkazów,
Niszczy ciekawość, grozą przerażając: 65
Wśród cichej nocy, kiedy każde oko
We śnie się nurza, on się jeden błąka
Po kurytarzach, wzdycha, czasem staje,
Otwiera wązkie okno i śpiewania
Puszczyka słucha. Mówią nawet bracia, 70
Że ktoś z nim chodzi krok za krokiem, mówi
Posępnym głosem, grozi, upomina;
Raz go znaleźli pode drzwiami celi:
Twarzą ku ziemi, bez pamięci leżał.
Przeor: Wszechmocy Panie! bądź mu litościwym! 75
(Patrząc na dół).
Cóżto za rycerz do nas się przybliża?
Adalbert: Z krzyżem na piersiach! O mój ojeze! pozwól,
Bym go powitał! *(Wybiega uradowany).*
Przeor: Jak pośpiesza. Żal mi
Tego młodzieńca. Widzę, że napróżno
Surowy ojciec wygnał go ze świata; 80
Ta suknia sercu jego nie przystoi,
Pod twardą stalą wolniejby oddychał.
Wacław: I jam był takim.
Przeor: Ale gość nasz, widzę,
Z trudnością wspina się na górę naszą;
Musi być synem równin.
Wacław: Już niemłody 85
I ciężka zbroja gniecie go do ziemi:
Radbym już wiedzieć, poco tu przybywa,
I słyszeć, co nam o swych czynach powie.
Przeor: Zbyt lubisz wojny.
Wacław: Wzrosłem wśród obozów.
Przeor: Sługą pokoju jesteś.
Wacław: Dawne chęci 90
Wracają czasem.

Rycerz przybyły (Śreniawita), powiernik niegdyś i doradca Bolesława Śmiałego, opowiada dzieje tego nieszczęśliwego króla

i pyta Przeora, czy też nie ukrywa się w okolicy klasztoru jaki tajemniczy pokutnik. Przeor zabiera Śreniawitę ze sobą, ażeby z nim o tem pomówić.

Scena 5.

(Mnich nieznajomy wchodzi z przeciwnej strony i postrzega odchodzącego za Przeorem Śreniawitę).

Mnich nieznajomy: Cóż to za żołnierz? Ta mi postać znana!
Podobny szyszak, takie same pióra
Były przy boku moim, gdym przed laty
Mieczem pradziada w Złotą bramę godził.
Cóżby tu robił? pocoby tu przyszedł? 5
Nie do mnie pewnie, o mnie świat zapomniał!
Dawnom nie widział hełmu i pancerza;
I na ich widok dziwnem się wzruszeniem
Przejęty czuję. Jeszczeżbym miał w sobie
Iskrę zapału? mogłażby się jeszcze 10
W płomień rozniecić pod żelazem, które
Kolebką było moich lat dziecinnych?
Nie, nie, nie, nigdy! — z krwawej dłoni mojej
Wymknął się oręż, berło wyśliznęło:
Przeklętej głowy mojej nie odzieje 15
Hełm i korona. Kij żebraczy, kaptur,
Podłe łachmany, to szkarłaty moje.
(Siada na kamieniu, zakrywając twarz).

Scena 6.

(Mnich, Wacław i Adalbert zbliżają się. Słychać dzwonek).

Wacław: Pójdźmy już bracia, dzwonek na nas woła!
(Postrzega Mnicha).
Otóż on, patrzaj! Zimno mię przejmuje,
Jak gdybym ducha tego przy nim widział.
Zbliż się doń, bracie; ostrzeż, że już późno.
Adalbert: Ty sam to uczyń; wszakżeś dosyć często 5
Przez samą litość nawykł go ostrzegać.
Wacław: Nie śmiem.
Adalbert: Żołnierzu!
Wacław: Śmiałym tylko z ludźmi.
Adalbert: Nie byłem z tobą; ale mi się zdaje,
Że ci i w bitwach duchy się zjawiały.
(Zbliża się do Mnicha).
Mnich *(porywa się)*: Czego chcesz?
Adalbert: Chciałem cię ostrzedz, że późno: 10
Wejdź do klasztoru, wkrótce furtę zamkną.

Mnich: Żaden odźwierny jaskiń nie zamyka;
Jest tu ich wiele i znam do nich drogę.
Adalbert: Kamień zanadto twardem jest posłaniem.
Mnich: Gdy dusza nie śpi, każde łoże twarde. 15
Adalbert: Stroskana dusza niech pociechy szuka
Pod dachem ludzkim i w przyjaznych piersiach.
Mnich: Kogo pocieszyć jeszcze ludzie mogą,
Nie jest zupełnie nieszczęśliwym.
Wacław: Źle jest, 20
Że od nas stronisz.
Mnich *(patrząc nań surowo)*: Bom niektórych poznał.
Wacław: Boisz się raczej, byś poznanym nie był.
Mnich: Zuchwały mnichu! kto ci to powiedział?
Czegoś się wpatrzył? co jest w twarzy mojej,
Coby ciekawość twoją obudzało? 25
Zawsze cię widzę tuż przy sobie, jakobyś
Cieniem był moim. Zostaw mnie, niech nigdy
W śladach mej stopy noga twa nie staje.
Tego wymagam, drugi raz bezkarnie
Przestrogi takiej z ust mych nie usłyszysz! 30
(Odchodzi w bok klasztoru).
Adalbert: Wierz mi, mój bracie, człowiek ten nie nawykł
Daremnie grozić.
Wacław: Niech mu Bóg wybaczy,
Że tak źle dobre chęci moje płaci.
Gdy porównywam, co nam rycerz mówił,
Z życiem i słowy jego, widzę jawnie, 35
Z jakim człowiekiem mamy do czynienia.
Czy się domyślasz?
Adalbert: Czego się domyślam,
Nie mówię nigdy, bo się mylić mogę. *(Odchodzi).*
Wacław *(sam)*: Teraz rycerza tego radbym znaleźć!
Ja go podobno z wszystkich braci moich 40
Najlepiej przyjmę; bo wiadomość dobra
Czekającemu jest najmilszą ucztą.

Kiedy Śreniawita w Mnichu nieznajomym domyśla się Bolesława, przybywa do tego samego klasztoru (akt II.) ksiądz, przez biskupa wysłany, z klątwą na króla wygnańca. Zebranym w celi Przeora mnichom ogłosił ksiądz wyrok biskupa, a gdy wszyscy zwrócili się do nieznajomego Mnicha, żądając, ażeby odkrył, kim jest, on wolał raczej opuścić klasztor, niż odsłonić swą tajemnicę. Lecz w chwili wyjścia jego z celi zachodzi mu drogę Śreniawita, a poznawszy go, wita go jako swego króla.

Odtąd ukrywa się Mnich w odległej grocie skalnej (akt. III.), a na nowo w sercu jego obudzona nienawiść ku Śreniawicie, który niegdyś był jego doradcą i pomocnikiem, a teraz odkrył przed

światem jego tajemnicę, odbiera mu spokój i udaremnia pokutę. Tutajto przybywa do niego Śreniawita, ażeby wybłagać u niego dla siebie przebaczenie. Zrazu niewzruszony jest Bolesław, ale duch św. Stanisława wzywa go, ażeby mu przebaczył. Słucha tego głosu król wygnaniec i przebacza Śreniawicie — a wtedy Bóg i jemu odpuszcza winę: Bolesław umiera spokojnie u stopni ołtarza.

Z POWIEŚCI p. t. „KOLLOKACYA".

Wizyta z sąsiedztwa.

Pan Płachta był jednym z zamożniejszych obywateli w Czaplińcach. Miał on tam blizko siedmdziesiąt dusz, najlepszą część sianożęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Płachta był w młodości swojej totumfackim w jednym z możnych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *comme il faut.* Zaczął od wzięcia żony *comme il faut.* Była to kobieta z bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów *a Madame la Comtesse Płachcina;* do męża nie mówiła inaczej jak *Monsieur Płachta,* imitując jedną z dam, która wróciła z za granicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykuły *en* i *y,* które pasyami lubiła. *En voulez vous du café, Monsieur Jacob?* mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który ją często odwiedzał. Pan Jakób był *comme il faut;* bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał nieźle Te brzóz kilka i inne piosnki. Oprócz pana Płachty i pani Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki, Zenobia i Kryspina, które matka zawsze z francuska nazywała *Zenobie* i *Crispine.* Ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionem swojem *comme il faut,* dodawał *Medmozele Zenobi* i *Kryspin;* a pan Jakób nazywał je *Biniu* i *Piniu.* Były to panienki młode i nieszpetne, ale ich edukacya i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Płachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Płachcie dostał się przy kollokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkiemi jego przyległościami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obory w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej cząstce utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy, wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowaną; — resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Płachta osądził, że jest *comme il faut* mieć kilkanaście pokojów i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za kołnierz, chociaż często panny Płachcianki musiały z łóżeczkami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi. W toalecie państwa Płachtów i panien Płachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarzanej komilfowości. Pani Płachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami; ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materyi, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiały się na jej głowie, i porobił szczerby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba dającej jej postać królowej. Panny Płachcianki występywały także w materyalnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szlomy; w trzewiczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki dziurawe na piętach, w perłach z fermoarem ciężko bronzowym; w kwiatach, na których kurz dawny grubą legł warstwą i dawał różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznogci w febrze.

Państwo Płachtowie mieli także lokaja, z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon — bo jakże może być dom *comme il faut* bez galonowej liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryćka we fraku nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie — zszarzana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, podziurawione i wypłowiałe obicia, łatane dywaniki i t. d.

Otóż w takim to domu, 17. października, w dzień św. Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości, nie tylko wszystkich czapliniec-

kich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Płachta w cynamonowym fraku, z długiemi, ale wąziutkiemi połami, w granatowych szarawarkach; podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zimny, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przestawiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zostawiając po kątach. Niemało także miał roboty, nim wazonkami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frendzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i industryi panny Zenobii, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Płachta, nastrzępił bardziej *comme il faut,* i symetryczniej świece poustawiał. Sporą trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał — a obejrzawszy raz jeszcze wszystko, kazał zakadzić zasuszonemi skórkami z jabłek. Zadyszany i spotniały Żorż zwijał się jak mucha w ukropie i ciągle dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który przybrany w jakiś odwieczny frak pana Płachty, z zachowaniem jednak swoich chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych — czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale zato na szyi zwijał się w przeźroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy. Pani Płachcina rzuciła przymrużonemi oczami wokoło, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przypłaszczonego i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu, a poprawiając jeszcze beret na głowie, rzekła:

— *Eh bien Monsieur,* czy już wszystko gotowe?

— Już, już. A co? *comme il faut,* nieprawdaż?

— Tak — odpowiedziała — wszystko to twoje starania, *Monsieur* Płachta, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu...

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Płachcina i starając się wyrazowi temu dać intonacyę, jaką mu dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię.

Zaśmiał się pan Płachta, podłożył obie ręce pod poły

fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię.

— Ale gdzież to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się ukażą — odpowiedziała pani Płachcina, a uchyliwszy cokolwiek drzwi, zawołała: Zenobie, Crispine, *en venez vous ou non?*

— *Nous y venons, maman, tout de suite* — odezwały się po francusku. Bo zacna pani Płachcina, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także swoją znajomość francuskiego języka. Katowały go one jak mogły w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle i rozumiały się doskonale. Pan Płachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że miał tak *comme il faut* żonę i córki.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju — zaczęli się też zjeżdżać i schodzić goście.

Wszedł naprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facyatą, posianą brodawkami, z nosem zaczerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w ręku. Wąsy wielkie i gęste przykrywały zwierzchnią wargę, a czupryna dość nizko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, bo zresztą był człowiek dobry. Posunął się staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, wypalił odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinę. Obok niego była pani Birucka, mała, chuda, ale najeżonym czepkiem i wielkiemi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej ręku, jeszcze jednak wlókł się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, swej najmilszej sąsiadce, bo cierpieć jej nie mogła — co jej ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckiemi i widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz jak sroczki i lubiły się wzajemnie — ale później oziębiły się zupełnie sąsiedzkie stosunki i tylko panowie utrzymywali jeszcze pozorną zgodę.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajechała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześcioro

małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niej wylazła ta czuła para i z całem swem pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się niezwykły ruch i wrzawa. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno powinszowanie solenizantce — dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbierać i wołały „do domu"; a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to i owo. Matka zażenowana, piskliwym głosem zwoływała je; a panna Zenobia, bojąc się o swoje frendzelki przy świecach, które już jeden malec począł skubać, usuwała je nieznacznie. Nowo przybyły był to pan Bartłomiej Skrętski z żoną Placydą, którą zawsze nazywał przez pieszczoty Placusiu. Sąsiad dalszy pana Płachty, żadnych z nim nie miał zatargów; to tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że mieć taką zgraję dzieci nie było wcale *comme il faut*. Weszli potem i dwaj inni sąsiedzi, pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Tym sposobem dopełniała się kompania; schodzili się ubożsi i możniejsi sąsiedzi, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku. Zjawiały się i panie w perkalikowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach z białemi chustkami na szyi.

Ale pani Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Płachcianki co moment także przecierały okno chusteczką. Pani Płachcina oczekiwała pana Jakóba, a pan Płachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich. Pan Remigiusz grał dobrze na skrzypcach i obiecał je przywieźć z sobą, a pan Paweł akompaniował mu zwykle na klarynecie. Zajechała wreszcie żółta bryczka na dwóch resorach — i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypcami, owiniętemi czerwoną chustką do nosa, drugi z klarynetem, także czerwoną chustką okręconym, razem z niej wyskoczyli i wszedłszy do pokoju, winszowali solenizantce i witali zebranych gości.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała dawać kawę. Panna Zenobia wraz z siostrą stanęły obie przy stoliku nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny

zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się żartami, wykradali cukier z filiżanek, trącali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne równie miłe i dowcipne robili figliki — za to wszystko odbierali to uśmiech znaczący, to łyżeczką po rękach, to kilku kroplami śmietanki zręcznie ciśnionemi po twarzy.

Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle ile gości, pani Płachcina lekko się podniosła, a wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około 40; był średniego wzrostu i chudy. Czarny frak dawnego kroju zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce, grubo i dosyć wolno okręcona, szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i nizkich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe uśmiechały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód; a że miał sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobny był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub, z tylnych włosów naczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapał muzyczny psotę mu wyrządzał, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę w tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony. Wszyscy prawie krzyknęli: A! pan Jakób! pan Jakób! Widząc się tak pożądanym, Orfeusz Czapliniecki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękki kastorowy kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i ową stronę, i tak witał kompanię.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakób, przechodząc koło panienek, a chociaż go nie zatrzymywały, rzekł:

Lecz puśćcie mię do mamuni,
Ażebym w dzień jej imienia
Złożył u nóg jej życzenia —
A potem dacie kawuni.

A co? — dodał i, nie czekając, jaki efekt zrobi czterowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, które tak zakończył:

Dajże nam, Panie Boże,
Byśmy za rok o tej porze
Zeszli się na imieniny
Do Lucyny, do Lucyny.

— A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tym razem wszyscy huknęli brawo.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. Pan Jakób wystąpił naprzód i improwizował. Mężczyźni wychylali kieliszki duszkiem, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile go potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pierogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były *comme il faut*. Pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba z przymileniem rzekła:

— *En voulez vous chanter quelque chose, Monsieur Jacob?*

— Cóż mam robić? — odpowiedział artysta, ulegając niby gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Płachcianki uradowane, zaczęły klaskać rękami i postawiły krzesełko na środku pokoju. Pan Jakób usiadł na swojem miejscu i założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary — i nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, po krótkiem preludyum zaśpiewał: „Te brzóz kilka, ten bieg wody“ itd.

Ale pierogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapał — i gdy się na stole ukazały, każdy ruszył się do półmiska, a dzieci pani Placydy wołały: pierożki! pierożki!

Gdy stół wreszcie sprzątnięto, panny Płachcianki przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły jak mogły najwdzięczniej i spojrzały najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowscy tę niemą prośbę — grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywijał także z solenizantką. Pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie. Żorż zmęczony stał przy

drzwiach, oparłszy się o ścianę. A pan Płachta, patrząc na ten ruch i symetryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywało się *comme il faut.*

Michał Wiszniewski.

Urodzony w Firlejowie (w Galicyi) r. 1794. Szkoły we Lwowie, później w Krzemieńcu; nauki uniwersyteckie za granicą, głównie w Edynburgu. Przykładał się szczególnie do filozofii i po powrocie powołany był na profesora logiki w Krzemieńcu. Niedługo wszakże tam zostawał. Po powtórnej podróży za granicę osiadł na wsi (na Wołyniu) i gospodarował. Ale powołany na profesora uniwersytetu do Krakowa, przeniósł się tu i wykładał zrazu historyę powszechną, potem literaturę powszechną, a w końcu i najdłużej literaturę polską. Praca nad tą ostatnią była dopiero w zarodzie. Książka Bętkowskiego była jedyną całością, jedynym ciągiem dziejów piśmiennictwa, a była właściwie tylko inwentarzem autorów i dzieł. Wiszniewski zabrał się do swego przedmiotu z prawdziwem naukowem jego zrozumieniem i z niepospolitą zdolnością. Zmienił też i podniósł całe stanowisko swojej nauki w Polsce. Z wielką skrzętnością w poszukiwaniach, z ciekawością i sumiennością badacza, który żadnego szczegółu nie chce pominąć, łączył on umysł bystry i żywy, zdolny odkrycia swoje organicznie łączyć, objaśniać i oceniać. Jego Historya literatury, założona na wielkie rozmiary, dla tej obszerności swojej, dla ogromu pracy nie została skończoną; ale jest dotąd jedynem u nas dziełem, które przekracza zakres historyi literatury, a staje się niemal historyą oświaty. Organizacya i stan wychowania od najdawniejszych czasów, dzieje każdej nauki z osobna, biblioteki, drukarnie, związki uczonych lub poetów, sztuki piękne, wszystko to obejmuje Wiszniewski, a na tem tle dopiero podaje dokładne, na źródłach oparte wiadomości o pisarzach, których prawie zawsze charakteryzuje i ocenia trafnie.

Przy takich zaletach mniej znaczą usterki jego dzieła, takie jak powtarzanie się, zbyteczna rozwlekłość niektórych ustępów, niekonieczna potrzeba innych, i podobne. Dzieło to podstawne, bez którego do dziś dnia nauka ta obejść się nie może, wychodziło tomami od roku 1840 do roku 1857, ale tylko siedm tomów wydał autor sam; dochodzi w nich do końca XVI. wieku. Wmieszany mimo swojej chęci w wypadki krakowskie roku 1846, napróżno usiłujący utrzymać porządek a przeszkodzić złym skutkom, zniechęcił się i w rok później wyniósł się z kraju do Włoch. Ostatnie tomy Literatury (czasy Zygmunta III.) wydawali z jego rękopisów i notat, często niewykończonych, inni. We Włoszech założył dom bankowy (w Genui), na którym zrazu powodziło mu się dobrze, ale wkońcu poniósł ciężkie straty i bank swój zwinął. Umarł w Nizzy,

r. 1865. Oprócz historyi literatury zostawił po sobie z czasu swoich studyów filozoficznych Bakona metoda tłómaczenia natury, i Charaktery rozumów ludzkich, skreślone z niemałą bystrością i dowcipem. Z ostatniego okresu jego życia zostało dzieło p. t. Podróż do Włoch, Sycylii i Malty.

Z HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ
TOMU II ROZDZ. 11.

Historya architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki za Piastów.

W czasach przedchrześcijańskich w całej Słowiańszczyźnie i w Polsce murowanych świątyń nie było. Potem kościoły chrześcijańskie na miejscu pogańskich budować zaczęto; i tak klasztor Lubuski na Szląsku i kościół Świętokrzyski w Sandomierskiem stoją na posadzie dawnych bożnic słowiańskich.

W Polsce Piastowskiej była granica, przedzielająca architekturę gotycką od bizantyńskiej. Przed Bugiem i Sanem ostre kąty, wysmukłe kolumny, wieże jak strzały; za temi rzekami okrągławe, niekiedy złociste kopuły. Tu już budowano z ciosu i cegły, tam jeszcze z drzewa, dawnym obyczajem Słowian. W Polsce za Piastów kwitła architektura germańska czyli, jak zwykle zowiemy, gotycka. Z 65 kościołów, które Kraków w połowie XVII wieku liczył, najpiękniejsze gmachy gotyckie za Piastów zbudowano.

Germanowie, wpadając w granice państwa rzymskiego, burzyli z obojętnością wspaniałe świątynie i gmachy rzymskie, które byli Rzymianom Grecy nabudowali; zostawszy panami zachodniej cesarstwa połowy, dali im niszczeć i upadać przez niewiadomość i opieszałość. W pierwszych pięciu wiekach po osiedleniu się za Renem i w Italii, poczęli się budować, lecz stawiane przez nich gmachy ciemne i ciasne, wewnątrz ze wszystkich ozdób obrane, tylko schronienie dawały. Atoli w wiekach średnich, podobnie jak w starożytności, ze wszystkich sztuk pięknych naprzód architektura kwitnąć poczęła; bizantyńscy architekci nie dawali jeszcze upadać swojemu kunsztowi; nie dorównywując starożytnym, piękne dosyć wznosili gmachy i okrągłe sklepienia wiązać umieli. Już historycznie wywiedziono wpływ architektury bizantyńskiej na arabską, na

Wschodzie i w Hiszpanii; nie podlega też wątpliwości, iż arabska i bizantyńska przyczyniły się razem do wzrostu germańskiej w zachodniej Europie najwięcej dostarczaniem kamieniarzy, murarzy i innych biegłych rzemieślników; — a wzniosła myśl, przebijająca się w gmachach gotyckich, wypłynęła z duszy, chrystyanizmem w przyszłość porwanej. Szczególniej wieże, starożytnym niemal całkiem nieznane, mają ścisły z religią chrześcijańską związek i są jej dziełem. Może atoli być, że wieże podobnie jak dzwony pochodzą z Indyi. Architektura gotycka powstała w X wieku u narodu germańskiego, który najlepiej starożytnych plemienia swego obyczajów dochował, to jest u Anglo-Sasów. Już roku 1130 w opactwie świętokrzyskiem w Winczester były ostre sklepienia. Cechy przyczyniły się do jej wzrostu, a towarzystwo murarskie, zawiązane w Yorku 926 r., było wzorem późniejszych cechów z mistrzów i czeladników, którzy we wszystkich krajach wschodniej Europy po San i Bug wspaniałe gotyckie gmachy budowali.

W pierwszych wiekach zaprowadzenia chrześcijaństwa w zachodniej Europie, mnisi budowali kościoły, a poddani zamki, pod okiem jakiego biegłego w budownictwie mistrza. Po zawiązaniu cechu murarskiego, architektura wyszła z opieki duchownych, podobnie jak nauki po zaprowadzeniu uniwersytetów. Lecz jako scholastyka tylko w obrębie wyobrażeń Kościoła chrześcijańskiego krążyła, podobnież towarzystwo murarskie budowało świątynie pod wpływem duchownych. Architektura gotycka zakwitła w wiekach przewagi papieżów, a w XIII wieku wzniosła się do największej doskonałości, równie w Niemczech, północnej Francyi i Anglii, jak i w Polsce. W XIII wieku zbudowano kościół strasburski, fryburski i koloński i najpiękniejszy z polskich, gotycki kościół Panny Maryi w Krakowie. Rozpoczął go Iwo Odrowąż r. 1226, a dokończył Wierzynek za Kazimierza W. w XIV wieku. Wewnętrzna cudowna harmonia, której nawet nabudowane później ołtarze, innej zupełnie a niewłaściwej architektury, zepsuć nie mogły, zachwyca i w zadziwienie wprawia patrzącego, zwłaszcza gdy zachodzące słońce, przez malowane przejrzawszy okna, na tę wspaniałą budowę różnobarwne rozrzuci światła. Nieznany nam jest architekt tego kościoła; i w Niemczech tylko jednego Erwina ze Steinbachu, który budował strasburski kościół, imię się zachowało.

Zewnątrz atoli kościół Maryacki nie może iść w porównanie z kościołem strasburskim, kolońskim lub westminsterskim, w których ogrom i wysokość równie zadziwia, jak filigranowa robota, na którą kunszt wysilił się. Całość tu mocne czyni wrażenie, a na przepatrzenie szczegółów nieskończonego potrzebaby czasu. Wysokie sklepienie, ostre kąty, będące przeciągnieniem okien i drzwi, wysmukłe kolumny, zuchwale wznoszące się pod niebiosa, i przeźroczyste wieże, gzymsy, przykrycie i kolumny, wieżyczkami, posągami i plecionką z liści obficie przyozdobione, przebijająca się wszędzie chęć wzniesienia się ku niebu, wieże do nieba myśl prowadzące, rozlegający się z nich poważny i dźwięczny głos dzwonów — wznieca w duszy uczucie pobożne i serdeczną skruchę. Wysokie nader okna malowane, przytłumione wewnątrz światło kolorami szyb, poważnie płynący głos organów — napełniały serce chrześcijan uczuciem i porywały myśl do wielkiej przyszłości. Tak dusza, znękana i otrętwiała scholastyczną filozofią, wśród tych świątyń do wyższych podnosiła się uczuć i myśli, a kunszt wzniecał w duszy ludzkiej uczucia, które fałszywa nauka była stłumiła. Trudno o drugi takiego wpływu sztuk pięknych na duszę ludzką przykład w historyi kształcenia się ludzi.

W początku XI wieku, kiedy znikła obawa końca świata, którego się w tysiąc lat po narodzeniu Chrystusa spodziewano w całej Europie, a mianowicie we Włoszech i we Francyi, zaczęto budować kościoły katedralne. Gorliwość budowania, szczególniej na chwałę Matki Boskiej, szerzyła się w wieku św. Bernarda; wówczas i architektura właściwej sobie cechy nabierać poczęła, a w XIII wieku do najwyższej wzniosła się doskonałości. W Anglii, Francyi, Niemczech i Włoszech zawiązały się bractwa z panów i ubogich, z młodzieży, starców i niewiast, które najtrudniejsze roboty w głębokiem milczeniu podejmowały. W czasie odpoczynku tylko westchnienia do Boga Rodzicielki, głośna spowiedź lub modlitwy rozlegały się. Wszyscy pokorę i posłuszeństwo dla prowadzącego budowę księdza ślubować musieli. W uroczystej procesyi, z chorągwiami rozwiniętemi, za danym znakiem ciągnęli ogromne ciosy przez góry i trudne drogi, lub prowadzili drzewo, wapno, zboże, oliwę i inne rzeczy, do życia lub budowy potrzebne. To naprzód zdarzyło się przy budowaniu kościoła Panny Maryi w Orleanie, a wkrótce w całej Normandyi.

Czyli takowa gorliwość i u nas w czasie budowania kościołów Maryackich powstała, nie znajduję wyraźnej wzmianki; lecz domyślać się można, iż np. kościół Maryacki w Krakowie nie samego Iwona Odrowąża kosztem stanął. Podobnego atoli zwyczaju ślady zachowały się w Przemyskiem. Lud okoliczny, a nawet i z Węgier, idąc do Kalwaryi klasztoru OO. Franciszkanów nad rzeką Wiar, za pierwszem zoczeniem wieży kościelnej, bierze kamień i ten aż na miejsce zanosi; kupy narzucanych pobożną ręką kamieni koło tego kościoła znajdują się.

Przypatrując się gotyckim świątyniom w Anglii, Francyi, Niemczech i Polsce, od XII do XV wieku pobudowanym, zadziwia nas piękność, symetrya i jednostajność nawet w najdrobniejszych i najbardziej ukrytych częściach. Ta więc architektura w chwili dojrzałości nie była owocem imaginacyi swobodnie sobie bujającej, ale systematem dziwnie mocno złożonym i spojonym szczelnie; na tych świątyniach mamy ślad niezawodny, iż budowali je ludzie jeden cech składający, którzy się między sobą żmudną nauką i długą pracą kształcili. Ten cech musiał mieć mistrzów swoich i uczniów, swoje prawa zwyczajowe i swoich nauczycieli. Jak się zaś ten cech wędrownych murarzy po całej Europie rozszerzał i kiedy przybył do Polski, już dziś historycznie skreślić nie podobna. Wielka atoli liczba kościołów w ogólnych rysach i szczegółach tak mocno do siebie podobnych dowodzi, iż musiały być jednostajne prawidła i powszechna szkoła, w której architekci, mechanicy i murarze kształcili się. Te nauki, ten system kształcenia architektów wędrownych został li podany na piśmie? Możemyż postępu architektury, któremu w gmachach z takiem podziwieniem przypatrujemy się, dowieść i okazać pismami?

Bynajmniej. Architektura gotycka była w czasie kwitnącym tajemnicą jednego cechu, którego pamięć zachowała się do nowych czasów w tajemnicach wolnych murarzy. O architekturze więc gotyckiej nic nie pisano w tych właśnie wiekach, kieda ona we wspaniałych gmachach najpiękniej się rozwijała. Nic niemasz trudniejszego, jak opis kunsztów i rzemiosł; i dziś jeszcze język nie może wypowiedzieć wszystkiego, co przemyślna ręka zrobić potrafi. Ledwie dziś, po wydoskonaleniu geometryi wykreślnej, opisy architektury gotyckiej zrobić się dadzą. W XII i XIII wieku, złotym architektury gotyckiej,

nigdzie jeszcze o niej nie pisano. Ci wielcy architekci gotyckich świątyń żadnego o swoim kunszcie nie zostawili pisma, nawet w zachodniej Europie. Ich wielkie pomysły prosty kamieniarz i murarz wykonywał. Ciemny rzemieślnik korzystał z najdowcipniejszych w mechanice wynalazków geniuszu. Te więc świątynie są jedynym, ale wymownym pomnikiem gotyckiej, nie ujętej pismem architektury; są ciosaną w kamieniu poezyą wieków średnich i ich nagrobkiem; bo gdy już pieśni trubadurów, truwerów, minnesaengerów i polsko-słowiańskie przebrzmiały, gdy pobożność serdeczna i duch rycerski upadły, murarze jęli kować w kamieniu oblicze i podobieństwo wieku, który już zamierał i ku wielkiej odmianie nachylał się.

W pierwszych wiekach zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej w Polsce do XII wieku, podobnie jak na Rusi i w Niemczech za Ottonów, panowała architektura bizantyńska czyli grecka. O Wojskim, architekcie Mieczysława I, którego tenże zaraz po przyjęciu wiary chrześcijańskiej miał wysłać do Włoch dla przypatrzenia się świątyniom, który miał się wsławić w Europie i być Krakowianinem, nic pewnego powiedzieć nie umiem.

Pod Gnieznem miał być kościoł św. Jerzego budownictwa greckiego, a w gnieźnieńskim kościele były malowidła greckie.

W Krakowie najdawniejszy był kościół słowiański na Kleparzu, a po nim kościół św. Wojciecha na rynku krakowskim, oba zbudowane za Bolesława Chrobrego. Tenże król na Łysej górze dał zmurować kościół obyczajem Greków. W wieku XI Władysław Herman zbudował kościółek św. Idziego w Krakowie, założył kościół katedralny na Zamku i Karmelitów na Piasku. Roku 1097 za Władysława Hermana odbudowano powtórnie kościół gnieźnieński. Piotr Dunin siedmdziesiąt kościołów po różnych stronach Polski w XII wieku zbudował. Jaxa z Miechowa, herbu Gryf, z matki wnuk sławnego Piotra Dunina, rycerz polski z rodu książąt serbskich pochodzący, wróciwszy z Ziemi Świetej, dokąd z Henrykiem księciem sandomierskim i lubelskim na krucyatę r. 1159 ze znacznym pocztem ludzi zbrojnych był się wyprawił, zbudował w roku 1181 kościół św. Augustyna czyli Norbertanek, na Zwierzyńcu koło Krakowa, który w połowie XVII wieku przerobiono. Kościół św. Krzyża w Krakowie ze sklepieniem, wspartem na jednym cienkim filarze, tudzież kościoły św. Andrzeja, św. Jana, św.

Floryana i podobno kościół św. Michała, zbudowano w XII wieku. Żaden z tych kościołów krakowskich nie odznacza się ani wielkością ani pięknością architektury. Wreszcie wszystkie w późniejszych wiekach kilkakrotnie przebudowywane i zmieniane bywały.

Najwspanialsze gotyckie świątynie w Krakowie stanęły w XIII i XIV wieku, kiedy się już w Niemczech architektura gotycka do największej doskonałości podniosła. Z XIII wieku posiada Kraków kościół katedralny na Zamku, odbudowany po strasznym pożarze r. 1320; kościół św. Trójcy, Dominikanów, kościół Maryacki, św. Barbary, św. Franciszka i św. Marka, zbudowane przez Bolesława Wstydliwego. W XIV wieku Kazimierz W. zbudował wspaniały gotycki kościół św. Katarzyny i Bożego Ciała dla kanoników regularnych laterańskich.

Prócz kościołów budowano już za Piastów zamki, na przepaścistych górach i urwiskach, jak np. zamek krakowski na Wawelu, który Bolesław Wstydliwy zbudował był z drzewa r. 1265, a który gdy się spalił, Kazimierz W. dał go zmurować; Czorsztyn, Pieniny, Lanckorona i zamek Melsztyński, wiszący nad Dunajcem, o pięć mil od Tarnowa; zbudował go Jaśko z Melsztyna, syn Spicymira Leliwity w r. 1330, z którego teraz jedna pozostała baszta. W budowaniu zamków, podobnie jak kościołów, zapatrywano się na sąsiednich Niemców, których zamki znamy dziś dokładnie z pieśni. Wyraz komnaty, jeszcze w XVI wieku u nas używany, jest wyraz wieków średnich górno-niemiecki, i znaczył tam mieszkanie niewiast. Z tego domyślać się można, iż i w wewnętrznem urządzeniu mieszkań sąsiednich Niemców naśladowano, do czego pierwszy popęd mogli dać szląscy Piastowie, którzy się wcześnie z Niemcami wiązali.

W Polsce aż do XIV wieku zamki, wcale nieobszerne, były drewniane i nie murem, ale ostrokołem otoczone. Dopiero Kazimierz Wielki, mający upodobanie w budownictwie, zwiedził Prusy, gdzie wówczas wielki mistrz Winrych Kniprode piękne gmachy stawiał, i wiele zamków, zwłaszcza w południowej Polsce, namurował i basztami umocnił. W ogólności po Piotrze Duninie Kazimierz Wielki najwięcej kościołów i zamków nabudował. W zamkach brama nizka bywała przy wieży, albo między dwiema niższemi wieżami, jakich jeszcze ślady przy północnej bramie zamku krakowskiego widzimy. Sklepie-

nie bramy bywało załamane; zaraz z bramy wychodząc, most zwodzony. Mury mieszkań idących naokoło, ozdabiano cegłą polewaną w szachownicę. Dachówka różnokolorowa z daleka błyszczała. Do obszernej sali szło się wschodami, zewnątrz przyczepionemi; w tej sali szły dębowe naokoło ławy, ściany bywały pokryte kobiercami, szyby w oknach nie były rzeczą powszechną. Strop drewniany z wyrzynanemi belkami podparty był rzędem takichże słupów. Po obu stronach sali wchodziło się do komnat. W grubych murach były framugi, w których panie siadywać lubiły i tam odzież dla mężów szyły i przędły. W wieżach na górze były komnaty, a na dole pod ziemią więzienia, tak, iż mieszkaniec komnat słyszał westchnienia swych więźniów. Strzelnicami szło się do górnych izb na wieży. Strażnica była to wieża wysoka, zwykle nad urwiskiem, lub na skale zbudowana, mająca drzwi znacznie od ziemi podniesione; przystawione tu wschody w czasie trwogi zdejmowano, a wtenczas windą tylko na strażnicę można się było dostać. W lochu tej wieży była studnia, u dołu kuchnia; resztę na więzienia obracano. Kaplica zawsze była obrócona na wschód. Wszystkie budowy, wszystkie drzwi były nizkie, mieszkania ciemne.

Historya nasza zachowała nam nazwiska dwóch polskich architektów: Oktawiana Wolcnera, Krakowianina, który około roku 1150 budował co do murów i kamieniarstwa kościół Wszystkich Świętych w Wiedniu, dzisiejszy kościół św. Szczepana — i ks. Wacława z Tęczyna, który był synem Andrzeja z Tęczyna, wojewody krakowskiego, i żył za Kazimierza Wielkiego, co miał budować nowy zamek we Włodzimierzu na Wołyniu, na co ten król był 600 grzywien przeznaczył.

Kościoły budowane za Piastów zachowały się do naszych czasów; zamki i domy poniszczały; z domu dość skromnego, który sobie Kazimierz Wielki zbudował w Łobzowie, tylko kawałek muru pozostał. Lecz architektury wiejskiej ślad zachował się może w dworkach wiejskich szlacheckich, które mają właściwe sobie rysy, w żadnym innym kraju nieznane. Może to będzie jedyna architektura prawdziwie polska, która dziś znika, gdy każdy chciałby mieszkać w pałacu greckim; a pamięć tej zaniedbanej, nie dostrzeżonej przez rodaków architektury, ochronił w drzeworycie Anglik Laudon w swojej historyi agronomii. Czyli tak i za Piastów budowano, któż o tem

z pewnością dowiedzieć się może? zwłaszcza, że te domy, obyczajem słowiańskim z drzewa, choć najczęściej modrzewiowego budowane, czas i ogień pożarły. Ale że tak być mogło, domyślać się można przynajmniej z tego, iż budownictwo wiejskie tak, jak wszystko na wsi, nie tak łatwo się zmienia. Cokolwiekbądź, jeszcze podobno w ziemi sanockiej, na Żmudzi i po innych miejscach ustronnych na takie natrafić można dworki, które godniejsze są rysunku i litografii, niż pałacyki niby greckie, które przypominają ową rzeczkę Krasickiego, co chciałaby płynąć, ale bez wody nie może.

Słowianie dla swoich bohaterów i książąt z ziemi pomniki sypali, jak między innemi świadczą mogiły Krakusa, jedna na Lasocie pod Krakowem, a druga pod Krakuszowicami niedaleko Bochni. Gdyby nawet te mogiły i z innych zupełnie sypane były powodów, jak chce Chodakowski, zawsze są owych wieków pomnikiem.

Najsławniejsze bożyszcza słowiańskie były drewniane, ale olbrzymiej wielkości. Drobniejsze bogi robili z kruszcu, wtykali na żerdzie i tak na wojnie nosili. Świątynie ciemne i ciasne były rzeźbą i malowaniem ozdobione, mianowicie zewnątrz.

Za Piastów chrześcijańskich kwitły już w Polsce sztuki piękne. Gallus powiada, iż po śmierci Mieczysława, syna Bolesława Szczodrego, młodzieńca pełnego nadziei, sztukmistrze i inni rzemieślnicy robotę rzucili.

W Wiślicy, jednem z najdawniejszych miast polskich, stał jeszcze za czasów Baszkona kamień, na którym były wyryte romansowe dzieje Heligundy i Walkierza.

W jednej kaplicy katedry poznańskiej były obrazy króla Przemysława i królowej, które w roku 1371 rozwalona od piorunu wieża zniszczyła. Kazimierz Wielki darował do biblioteki kapituły krakowskiej *decretalium liber*, na którego pierwszej stronicy była miniatura tego króla jeszcze młodego, z gołym mieczem w ręku.

W aktach radzieckich Krakowa z XIV wieku, znajdujemy często o malarzach wzmiankę. I tak z roku 1397 czytamy umowę malarza Mikołaja przed urzędem radzieckim o malowanie sklepienia w kościele Panny Maryi.

Kazimierz Wielki przyozdobił kościoły i gmachy w zamkach sztukateryą i malowidłami. Kościoła katedralnego cały strop gwiazdami złotemi na dnie błękitnem, z czego dotąd tylko

strop w kaplicy św. Krzyża zachował się, nadto zamek krakowski malowidłami przyozdobił i groby królów polskich w Poznaniu, w ziemi zapadłe, podniósł i odświeżył.

Jeszcze dziś z lubością patrzymy na malowidła w pozostałych trzech oknach kościoła Panny Maryi w Krakowie. Te okna wyobrażają szczegóły Pisma św.; na jednem widać jakby na wysokości niebios wyrażone wszystkie cuda i tajemnice żywota Chrystusowego; na drugiem zmartwychwstanie Zbawiciela świata, objawienie się uczniom, wniebowstąpienie i t. d.; na trzeciem smutek i boleść Matki Zbawiciela aż do jej wniebowzięcia. Jedenaście takich okien, za Kazimierza Wielkiego robionych, przetrwało panowanie Jagiełłów i trzech Zygmuntów. Z czasów Bolesława Chrobrego tylko drzwi miedziane w katedrze gnieźnieńskiej się zachowały. Drzwi te zabrał był Chrobry z Kijowa i niemi kościół gnieźnieński przyozdobił. Podług niektórych, Rusini te podwoje greckiej roboty zdobyli w Chersonie, gdzie było wiele kościołów greckich. Tadeusz Czacki rozumiał, iż na nich wyobrażona jest historya męczeństwa św. Wojciecha.

Z pomników snycerstwa i rzeźby niewiele z czasów Piastowskich posiadamy. Trzech Piastów, Bolesława Kędzierzawego, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego (od roku 1173—1227) pomniki zniszczały roku 1306, kiedy kościoł katedralny na Zamku krakowskim aż po ziemię zgorzał. Z pomnika jakiegoś Władysława, wodza z familii Piastów, który umarł na dziesięć lat przed Bolesławem Wstydliwym, tylko wierzch w kościele Franciszkanów widzimy.

Najdawniejszy pomnik jest Władysława Łokietka.

„Idąc od drzwi skarbca kościelnego, mówi ks. Franciszek Salezy Jezierski, najpierwej spotykają oczy grobowiec Władysława Łokietka, niegładko wyrobiony posąg w znak leży; oznacza pamiątkę pogrzebu i pokładu tego monarchy; niezgrabny sposób wyrobionego nagrobka, dla tego samego, że brzydkim jest, pięknym zostaje: bo jest szczerym zakładem prostoty owego wieku. Stanąwszy nad tym grobem, przyszła mi na pamięć osnowa wszystkich przypadków tego króla: był on synem Kazimierza, kujawskiego księcia, wnukiem Konrada Mazowieckiego, książęcia, prawnukiem Kazimierza Sprawiedliwego, a praprawnukiem Bolesława Krzywoustego. Spadkiem krwi należało mu się królestwo, otrzymał je i pisał się dziedzicem

polskim; stałość jego serca i dzielność umysłu, zdaje się, że zmordowała niestateczną w odmianach fortunę, trzy razy wyzuty z tronu, trzy razy do niego powrócił; doznał on ślizkiej przychylności osób ujętych dobrodziejstwami swojemi; nieszczęścia przyuczyły go do odwagi i męstwa, uczyniły mu poufałość tyle razy z niebezpieczeństwem, otworzyły mu oczy na poznanie charakteru swoich Polaków i na poznanie swoich własnych przywar. Pamiątką jego męstwa jest zwycięstwo otrzymane pod Płowcami."

Kazimierza W. pomnik, z marmuru czerwonego w stronie przeciwnej postawiony, wyobraża tego króla leżącego; w twarzy zachowano podobieństwo, jak świadczy Długosz.

Hanko, młynarz z Brześcia, i drugi młynarz, byli nader biegli w sztuce strzelniczej i roku 1376 z Władysławem, księciem gniewkowskim, działami ognistemi bronili Złotoryi.

Muzyka była od dawna ulubioną słowiańskich ludów zabawą, namiętnością; a ta do muzyki skłonność przeżyła w Czechach różne koleje losów i wieków. I Polacy w muzyce kochali się. Gallus powiada, że po śmierci Bolesława Chrobrego po gospodach nie odzywały się lutnie w czasie żałoby. Anna Gedyminówna, żona Kazimierza Wielkiego, tak polubiła polską muzykę, iż gdy jechała konno czy w kolebce, zawsze ją poprzedzała huczna muzyka i śpiewacy. Wreszcie muzyka kościelna na wzór włoskiej kształciła się.

Uwagi ogólne o literaturze w drugiej części okresu siódmego.

Rzut oka na literaturę w tych latach przekonywa, że to jest istotnie chwila najświetniejsza w całych jej dziejach. Lata poprzednie były przygotowaniem, zbliżaniem się do szczytu: ale szczyt osiągnięty był dopiero po roku 1831.

Nigdy nie było u nas tylu, i nigdy takich poetów. Geniusz Mickiewicza dochodzi swego zenitu w Panu Tadeuszu; Słowacki i Krasiński, w porównaniu z nim mniejsi, ale sami przez się wielcy poeci; tworzą w tym czasie wszystkie swoje dzieła. Niższych, ale przecież niezwykłych talentów liczba znaczna. Literatura prozaiczna towarzyszy dzielnie rozkwitowi poezyi: w jednych kierunkach, jak w powieści, rozwija się bardzo, w innych nie upada; w jednym, w wymowie kościelnej, staje tak wysoko, że zbliża się do Skargi. Literatura naukowa, pomimo warunków nader niekorzystnych, nie cofa się, ale idzie naprzód, a w niektórych gałęziach (filozofia,

prawo polskie, badania historyczne) bardzo znacznie naprzód. Jak zaś poezya kwitnie głównie na emigracyi, tak proza na odwrót silniej rozwija się w kraju, a żadna jego część nie jest na tem polu bezczynną i bezpłodną.

Głównem wszakże znamieniem tego czasu jest górujące stanowisko poezyi; jej zaś główną cechą: duch patryotyczny — po części mistyczny. Piękność, wartość artystyczną, mają te dzieła poetyczne zawsze, bo bez tej nie byłyby poezyą: ale tendencya polityczna i myśl filozoficzna jest często jej właściwą istotą i treścią.

A. Poezya. I. Na emigracyi.

1. Nowy zwrot poezyi naszej wytryska w trzeciej części Dziadów (pisanej w Dreźnie w roku 1832). W Improwizacyi Konrada jest wyraz tej sprzeczności, jaką Polska czuła między swoim losem a sumieniem (wyraz posunięty aż do bluźnierstwa przeciw Bogu). W Widzeniu księdza Piotra jest wytłómaczenie tej sprzeczności: nieszczęście Polski jest (według tego) ofiarą za grzechy świata; po spełnionej ofierze nastąpi jej tryumf i podniesienie ludzkości całej do wyższego, doskonalszego, prawdziwie chrześcijańskiego bytu. Wkrótce potem wydał Mickiewicz Księgi narodu polskiego i Pielgrzymstwa polskiego (1832), napisane dla emigracyi, a uczące ją tonem ewangielicznym, że Polska jest narodem wybranym, przeznaczonym na to, by wszystkie inne swojem cierpieniem i przykładem do Boga nawrócił i królestwo Jego na ziemi sprowadził i urzeczywistnił. Zarody tych myśli znajdują się już u Woronicza, w Brodzińskiego Mowie o narodowości (na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół nauk 1831) występują one już wyraźnie; jeszcze wyraźniej w jego Posłaniu z ziemi ucisku do braci jej na wygnaniu. Mickiewicz sądził, że naród, który drugim nic złego nie zrobił, lepszym jest od wszystkich innych i wybranym; w tem zaś, że cierpiał, wydał mu się podobnym do Chrystusa Pana, Jego obrazem w dziejach, niejako ofiarą, która okupuje grzechy świata i męką swoją zapewnia mu wyższe życie.

Zbytecznie mówić, że takie rozwiązanie zagadki dziejów naszych i świata, zrozumiałe i wytłómaczone zbolałem uczuciem poety, prawdziwem nie było. Prawdą jest w niem to, że do królestwa Bożego, do chrześcijańskiego prawa i bytu dążyć powinny wszystkie narody świata — i nasz także. Nie jest prawdą, jakoby był wybranym i lepszym od innych, bo przy zaletach wielkich miał i ma wady wielkie. Nie mógł zaś być ofiarą na kształt Chrystusa, bo taką żeby być, trzebaby naprzód być zupełnie bez winy, a prócz tego trzebaby dobrowolnie na taką ofiarę się poświęcić. To więc jest ten pierwiastek fałszywego mistycyzmu w naszej wieszczej poezyi; pierwiastek, który i Mickiewicza samego w dalszym jego zawodzie sprowadził na błędne kierunki i przyćmił niezrównaną czystość, szlachetność, wzniosłość, moralną i chrześcijańską prawdę naszej wielkiej, patryotycznej poezyi.

2. Kierunek ten nie był wszakże jedynym i nie przeszkodził tej poezyi rozwijać się potężnie i świetnie we wszystkich innych. Dzieła genialne i dzieła nieśmiertelnej piękności powstają teraz jedne po drugich w obfitości i szybkości rzadkiej. W roku 1834 wychodzi Pan Tadeusz, arcydzieło Mickiewicza (a zatem szczyt całej do dziś dnia poezyi polskiej). Potem Mickiewicz, coraz więcej zagłębiony w pobożności i w dociekaniach przyszłości, porzuca poezyę jako rzecz (w jego ówczesnem mniemaniu) ziemską i błahą. Ale kiedy on zamilkł, podnoszą głos inni, i, nie dochodząc jego wysokości, wznoszą się ku niej śmiało i blizko. — Juliusz Słowacki chwyta myśl zawartą w trzeciej części Dziadów (myśl poświęcenia się dla sprawy publicznej), przerabia ją na swój sposób i pisze Kordyana, w którym jego talent ogromny i pełen wdzięku po raz pierwszy objawia się w swojej właściwej mierze; a po Kordyanie pisze wielką liczbę poematów, które mimo znacznych błędów należą do najpiękniejszych w naszej literaturze. — Zaleski wydaje (1840) zbiór swoich poezyi dawnych, powiększony znacznie nowemi, z tego samego co za młodu zakresu natchnień i w tej samej, jemu właściwej formie; tworzy prócz tego religijno-sielankowy obrazek w Przenajświętszej Rodzinie, a w Duchu od stepu dotyka (on także) wielkich zagadnień historyi i przyszłości. — Goszczyński staje się w swoich drobnych wierszach ciekawym wyrazem skrajnych ówczesnych emigracyjnych opinii i dążności, ale w większych poematach zostaje poniżej wartości (niezbyt wielkiej) Zamku kaniowskiego. — Obok nich występują młodsi, których przed rokiem 1830 nie było. Stefan Garczyński (1805—1833), żołnierz z roku 1831, przyjaciel Mickiewicza, wysnuwa z trzeciej części Dziadów swego Wacława (jak Słowacki Kordyana), tylko z mniejszym nierównie talentem. — Konstanty Gaszyński (1808—1866), z drugorzędną zdolnością, pisze ładne wiersze, sympatyczne szlachetnem uczuciem, z formą na Mickiewiczu wyrobioną. — Stefan Witwicki (1800—1847), naturą i dążnością do niego podobny, ale zdolnością od niego niższy, odróżnia się od innych jeszcze wyraźniejszym, głębszym rysem pobożności. — Lucyan Siemieński, młody podówczas i porwany jak inni poetycznym prądem, widzi w poezyi swój główny zawód i powołanie, ale daje już poznać na swoich ówczesnych wierszach tę łatwość formy i wykwintność smaku, które z czasem zrobią go znakomitym krytykiem i świetnym, doskonałym tłómaczem Homera i Horacego. Pomijamy wielu pomniejszych poetów emigracyjnych, którzy głębszego śladu w literaturze po sobie nie zostawili.

3. Bezimiennie i zrazu bez wrażenia i rozgłosu występuje Zygmunt Krasiński — umysł jeden z najgłębszych w naszym wieku; jako umysł filozoficzny najpotężniejszy niewątpliwie pomiędzy Polakami, różny tem od wszystkich innych (polskich czy zagranicznych) jako poeta, że w poezyi swojej nie ma i nie zna przedmiotu innego, jak dzisiejszy stan ludzkości i jej przyszłość, jak to przejście z jed-

nej, kończącej się epoki w inną, która powinna być prawdziwym postępem ludzkości do wyższego, rzetelnie chrześcijańskiego bytu w sprawiedliwej wolności i pod rzetelnem prawem. Jest więc poezya Krasińskiego nie tylko więcej od każdej innej (a raczej wyłącznie) zajęta przyszłością, ale jest ze wszystkich najbardziej filozoficzną i zarazem najbardziej, najściślej polityczną.

Pierwszem jego dziełem (nie licząc nieznaczących młodocianych utworów) była Nieboska komedya. Dramat sam jest poetycznem przedstawieniem tych sprzeczności i namiętności, wśród których żyje dzisiejszy świat europejski; a bez przesady możemy sobie oddać to świadectwo, że nasza poezya pierwsza w Europie wzięła w posiadanie kwestye tego rodzaju i zrobiła je swoim przedmiotem, że przedstawiła je z siłą i prawdą taką, iż równego ich obrazu niema w całej literaturze świata — i że (rzecz może najdziwniejsza), zachowując tym sprawom współczesnym całą ich rzeczywistość i prawdę, umiała im nadać charakter poetyczny i tragiczną wielkość.

Drugiem dziełem Krasińskiego (jakkolwiek pierwszy jego pomysł powstał jeszcze przed Nieboską komedyą) był Irydyon. Dramat prozą pisany i niesceniczny, jak Nieboska komedya, jest jak ona w treści swojej dramatem politycznych i moralnych zasad i kwestyi. Tylko kwestya sama jest tym razem inna. Nie chodzi tu o społeczne nienawiści i namiętności, ale o to, jaki rodzaj miłości ojczyzny jest moralnie dobry, a praktycznie skuteczny. Pod kształtem Greka, który na Rzymie chce pomścić upadek swojej ojczyzny — daje poeta swojemu narodowi tę naukę, że zwycięstwo spraw upadłych zasadzać i zacząć się musi od moralnego odrodzenia i podniesienia ludzi i społeczeństwa całego, a zwycięstwo spraw dobrych nie da się osiągnąć przez złe uczucia (nienawiści i zemsty) ani przez złe czyny; do dobrego celu nie dochodzi się złymi środkami, a kto chce (człowiek czy naród), żeby prawo Boże panowało w stosunkach i dziejach ludzkości, ten musi prawa tego słuchać i pełnić je w swoich postępkach. W ten sposób rozwiązywał Krasiński w Irydyonie to pytanie o odrodzeniu Polski, którem zajmowała się głównie cała nasza poezya w tych latach.

4. Z przewidywania i oczekiwania przyszłości wyszła także dalsza poezya Krasińskiego; ale jego pojmowanie tej przyszłości, choć ma ten sam punkt wyjścia i pewne pierwiastki wspólne, różni się wielce od messyanizmu Towiańskiego i Mickiewicza. Od roku 1831 jest w nim stale i rozwija się mniemanie, że nasza epoka historyczna i cywilizacyjna jest już na schyłku, a zacznie się jakaś nowa. Ale jaką ona będzie? czy będzie lepszą od dawnej? Oto dręczące pytanie, które zajmuje go głównie i bez ustanku. Wreszcie znalazł na nie odpowiedź, którą miał za ostateczną prawdę i naukę dziejów, za niemylną wskazówkę przyszłości: »Powodem złego jest rozbrat między prawem i przykazaniem Bożem a polityką. Skutkiem tego rozbratu jest rozprzężenie, w jakiem się nasz świat dzisiejszy znajduje. Stan jego jest taki, jaki był stan Rzymu za Cezarów. Jak tamten

oznaczał koniec jednej epoki, a zapowiadał epokę nową: tak nasz stan obecny zapowiada, że pocznie się nowy okres bytu ludzkości. Cechą tego okresu będzie wprowadzenie chrześcijaństwa w stosunki między narodami (nazywa go Krasiński epoką Ducha Ś-go). Obecny zaś stan Polski jest na nią zesłany przez Opatrzność na to, by wydoskonalona i oczyszczona, mogła być w tej przyszłej epoce wyobrazicielką najlepszą myśli i woli Bożej w ludzkości«.

Myśli te złożył Krasiński w Przedświcie, który przyjęty był z uniesieniem radości i wdzięczności, jako też z wielką (aż zbyteczną) wiarą przez społeczeństwo, łaknące jakiejś pociechy, a przywykłe żądać od poezyi przedewszystkiem odgadywania i przeczuwania przyszłości; odbił się też wielokrotnie w literaturze, w wierszach różnych pomniejszych poetów, działał silnie na ukształcenie uczuć i wyobrażeń ludzi młodych, a przez to pośrednio wywarł może pewien wpływ na historyczne u nas wypadki.

5. Działania tej części emigracyi, która chciała wywołać w kraju ruch zbrojny, prowadziły się tymczasem z wielką energią. Krasiński, który o nich wiedział, a nie przewidywał z nich nic dobrego, wydał (r. 1845) Psalmy przyszłości (bezimiennie, jak wszystko). Są one powtórzeniem nauk i nadziei Przedświtu z przystosowaniem ich do tego szczególnego wypadku, z upomnieniem, żeby nierozważnym krokiem, a zwłaszcza rozbudzeniem w ludzie wiejskim nienawiści do szlachty, nie udaremnić i nie odwrócić widoków lepszej przyszłości, nie sprowadzić nowego nieszczęścia, które byłoby nie tylko polityczną, ale gorszą od tej klęską społeczną.

Głosu jego wszakże nie słuchano.

Na usprawiedliwienie swoich przestróg dawniejszych napisał Krasiński teraz Psalm żalu; na podniesienie ducha, na utrzymanie wiary i nadziei napisał Psalm dobrej woli, który przypomina nam jeszcze raz, że epoka historyczna ma się ku końcowi, że w tem przesileniu musimy »sami zbawić siebie«, że ratować i dźwigać się możemy tylko zasługą własną, a do tej, jak do siły i nowego stanowiska w świecie dojść możemy jedynie przez »dobrą wolę wewnątrz nas samych«. Nadzieję odrodzenia zachowuje Krasiński i zostawia ją nietkniętą, ale czyni ją zależną od prawdziwego odrodzenia moralnego, to zaś od naszej woli, i to od dobrej woli.

Niebawem przyszły zawichrzenia i wstrząśnienia roku 1848 i sprowadziły, w samej połowie wieku, pewien zwrot w stosunkach i sprawach politycznych w historyi europejskiej.

Równocześnie z okresem historycznym (1815—1848) kończy się i okres naszej literatury. Mickiewicz nie pisze nic oddawna; Krasiński przyłożył dwa ostatnie Psalmy jak pieczęć na pracy całego swego życia i odtąd doda do niej mało, a nie zmieni żadnych ze swoich myśli; Słowacki umiera (r. 1849). Inni poeci emigracyjni (Zaleski, Goszczyński) piszą coraz mniej, a wydają jeszcze mniej, dorywczo tylko i przypadkowo. Poezya emigracyjna się koń-

czy, a tem samem kończy się wielka epoka naszej poezyi. Rozpoczęta w roku 1822—1823 czwartą częścią Dziadów i Grażyną, zamyka się w roku 1848 Psalmem dobrej woli.

II. W kraju.

Mówiliśmy wszakże dotąd tylko o literaturze emigracyjnej; a przecież nie była ona całą literaturą. Była jej szczczytem, ale nie była wszystkiem. Ci, którzy pozostali w kraju, nie mogli pisać ani o tem, o czem byliby chcieli, ani tak, jakby chcieli, a jednak pozostali i pisali; nowi dorastali i rozpoczynali swój zawód, życie szło swoim torem i przynosiło nowe potrzeby, nowe kierunki, nowe rodzaje piśmiennictwa: i literatura polska w kraju, choć przyćmiona blaskiem emigracyjnej, nie usycha, lecz żyje i rozwija się między rokiem 1831 a 1848.

Część jej najsłabszą stanowi zapewne poezya, skoro wielcy poeci żyli za granicą. Z pozostałych młodych najwięcej talentu miał niezawodnie Wincenty Pol, który w Pieśniach Janusza okazał się, jak żaden inny może, poetą roku 1831, poetą żołnierzy, wojska, wojennych zapałów i czynów: on samorodną, instynktową śpiewkę patryotyczną podnosi swoim talentem do godności poezyi artystycznej, zachowując jej przytem cały jej właściwy prosty, świeży, naiwny charakter. Zbiór ten wierszy, trafiający w uczucie powszechne i oddający je wiernie, doskonałym był wyrazem ówczesnego usposobienia; jakoż przyjęty przez ogół z wdzięcznością i zapałem, zjednał autorowi swemu wielką wziętość i sławę, którą Pieśń o ziemi naszej podniosła jeszcze wyżej. Oprócz tego wydał Pol w owych latach Obrazki z życia i podróży i Przygody Benedykta Winnickiego, pierwszą swoją szlachecką gawędę. Wszystkie inne większe poemata W. Pola należą już do lat późniejszych.

Podczas gdy Pol stał na stanowisku osobnem, nikogo nie naśladując i przez nikogo nie naśladowany, była obok niego także poezya naśladownicza, mianowicie dalszy ciąg romantyzmu, który opuszczony przez wielkich poetów, wpadł w ręce mniejszych i wydawał znaczną liczbę wierszy, a nawet poematów (powieści, dramatów fantastycznych i t. d.). Ich myśl była pożyczona (z małą odmianą), a forma naśladowana (rzadko kiedy szczęśliwie) z wielkich poetów swoich lub obcych. Romantyzm to wyrodzony, usychający, często aż śmieszny w swoich pomyłkach i przesadach (np. Jordan Antoniego Sowy), ale przyjmowany dobrze tak przez publiczność chciwą poezyi, trzymającą się jeszcze przesad i przesądów romantycznej mody, jak i przez krytykę, zwykle u nas nieśmiałą, pobłażliwą, przestającą na małem, a w owych latach dużo mniej jeszcze niż dziś wyrobioną. Do takich poetów hyperromantycznych a słabych należą: Magnuszewski, Żegliński, Norwid, Zmorski, Zieliński (którego Kirgiz do dziś dnia jeszcze bez dobrego powodu i prawa bywa wspominany). Ostatnim w szeregu tych spóźnionych

romantyków i byronistów, tylko już odmiennym i wyrodzonym, z odcieniem rzeczywistego czy udanego sceptycyzmu, a nawet cynizmu, był Ryszard Berwiński. Na osobną wzmiankę zasługuje Edmund Wasilewski, który w swojem zacięciu ludowem i miejscowem krakowskiem ma właściwą cechę i oryginalność, w swoim talencie pewien wdzięk rzewności i prostoty, wszelako bez większej siły.

Odyniec, oderwany od dawnych towarzyszy, zostawiony własnym siłom, pozostał na dawnej drodze, tłómaczył (bardzo dobrze) Walter-Scotta, Byrona, Schillera i innych; a kiedy pokusił się o drogi nowe i własne, to próbował dramatu (Felicyta). Starzy klasycy, Koźmian i Wężyk, pisali ciągle i pisali lepiej niż za młodu i lepiej od romantyków w kraju pozostałych, ale nie ogłaszali nic; Morawski jeden między nimi, jak przed rokiem 1830 odmiennych pojęć, tak teraz nie uważający się za pobitego, nie waha się drukować tego, co pisze, i znajduje zawsze dobre, sympatyczne przyjęcie. Fredro, jak przedtem do literackich walk i obozów, tak teraz (i do śmierci) do literackiego cechu nie należący, stoi na uboczu; po roku 1831, ale tylko do r. 1835 pisze i daje na scenę kilka ostatnich najznakomitszych swoich komedyi; nieszczęściem zrażony (jak mniemano) złośliwą a niesłuszną krytyką (Goszczyńskiego), zamyka się rychło w upornem milczeniu, z którego już do śmierci nie wyszedł.

Z młodych zaczyna pisać (a wyjątkowo ogłaszać) swoje pierwsze wiersze Lenartowicz, a Kornel Ujejski rozpoczyna świetnie swój zawód poety Skargami Jeremiego, które wychodzą w ostatnich latach tego okresu, odpowiadają jego ostatnim wypadkom i są wiernym wyrazem uczuć i usposobień ówczesnych.

B. Proza.

1. Powieść. Bujniej zato rozwijała się literatura prozaiczna, przedewszystkiem powieść.

Jest to czas, kiedy potężny popęd romantyczny obudził w umysłach wielki ruch wyobraźni, potrzebę i namiętność tworzenia. Poetów było wielu w całej Europie, ale obok nich były talenta innej natury, innego zakresu, niezdolne może władać poetyczną formą, ale (jak poeci) wyobraźnią zwłaszcza czynne, i te talenta wydały nigdy przedtem niewidzianą liczbę powieści, a zarazem nadały im większe niż kiedykolwiek znaczenie. Francuskie — choć angielskie nie były od nich gorsze — były najbardziej pożądane i czytane. W niezliczonem mnóstwie pisarzy i rodzajów francuskiego romansu trzy były talenta najpotężniejsze: Balzac przez znajomość i niezmiernie trafną i dosadną charakterystykę natury ludzkiej w jej przeróżnych objawach i odcieniach (z realizmem surowym, nieraz nieprzyjemnym w wykonaniu) — George Sand (Aurora Dudevant), z usposobieniem niezmiernie artystycznem, z wyobraźnią poetyczną, z niezwykłą siłą uczucia i namiętności, z formą wreszcie bardzo

powabną i pociągającą — Aleksander Dumas, z niewyczerpanem (zbytecznem) bogactwem pomysłów i łatwością pisania, z niewyczerpanem także życiem i darem żywego, łudzącego przedstawienia osób lub wypadków. Zaczęło się panowanie powieści, rozpowszechnienie i naśladowanie jej w całej Europie.

U nas, jak wiadomo, było jej pragnienie od pierwszych lat naszego wieku, ale skutek do roku 1830 był dość słaby. Teraz ten wzmagający się prąd powieściowy doszedł i do nas. Zaczyna się zawód literacki Kraszewskiego (pierwsze próby w r. 1829 jeszcze), zawód przeszło pół-wieczny, znaczący w literaturze mnóstwem i rozmaitością dzieł i wpływem, jaki one wywierały. Pierwsze powieści Kraszewskiego były słabe, nacechowane jakimś realizmem grubym i niesmacznym, były też zrazu przyjęte chłodno. Z czasem, choć przerzucał się na pola najrozmaitsze (prac historycznych, literackich, nawet poezyi), talent wyrobił się i rozwinął bardzo; a jakkolwiek powieści jego (nawet najlepsze) podlegają wielu słusznym zarzutom, może dlatego w znacznej mierze, że były tak liczne a pisane w pośpiechu, to niemniej od niego i przez niego powieść stała się żywotną częścią naszej literatury. Kreślił on mnóstwo naszych współczesnych stosunków społecznych i towarzyskich, dotykał mnóstwa kwestyi, związanych z naszem życiem i naszą przyszłością, kreślił (czasem bardzo dosadnie i szczęśliwie) różne rodzaje naszych wad, skłonności i śmieszności. Zajmował przytem czytelników swojem opowiadaniem; a choć powodzenie powieści przechodziło niekiedy ich wartość, niemniej prawdą jest, co o nim powiedziano, że nauczył nas czytać polskie powieści, że zrobił je potrzebą publiczności, a konieczną i niezbędną częścią składową literatury.

Józef Korzeniowski, usposobieniem i talentem od niego zupełnie różny, jako artysta od niego wyższy, jako pisarz w języku i stylu nie tylko staranny i poprawny, ale wzorowy, w karceniu i satyrze łagodniejszy, w dowcipie mniej ostry a świetniejszy i weselszy, w uczuciu spokojniejszy — był drugim znakomitym pisarzem obyczajowej powieści w tym okresie. Zaczął od dramatu, i to od śmiałego, ambitnego dramatu wierszem (Mnich, fragment tragedyi o Bolesławie Śmiałym). Mimo talentu, jaki okazał, zeszedł wszakże rychło na niższy rodzaj prozaicznych dramatów z domowego życia współczesnego i komedyi, które były może w dalekiem pokrewieństwie z współczesną francuską komedyą Scribego i innych, jak dramata z dramatami Aleksandra Dumasa lub Souliégo. Dramata te wszakże, a zwłaszcza komedye, miały nie tylko powodzenie, ale tę rzeczywistą i niezaprzeczoną zasługę, że scenie polskiej (a przedewszyztkiem warszawskiej, żyjącej pod ostrą cenzurą) dostarczały sztuk coraz nowych, odświeżały ją, wspomagały, utrzymywały przy życiu. Powieści jego, nierównie mniej liczne i może mniej wpływowe od powieści Kraszewskiego, były pisane nierównie staranniej, do czytania milsze, a jako wierne obrazy obyczaju i życia powabniejsze i na pozór niby lżejsze, ale nie płytsze od tamtych.

Pomijając wielu innych, mniej znacznych pisarzy powieści obyczajowych, jednego wymienić trzeba, który wyróżniał się i rodzajem swoich powieści i prawdziwym w tym rodzaju talentem: to August Wilkoński, którego Ramoty i ramotki, zbiór małych, zabawnych powiastek i szkiców, należą do dziś dnia do rzeczy najlepszych w naszej literaturze humorystycznej.

Niemały talent miał Michał Czajkowski, który był w powieści odbiciem i dalszym ciągiem ukraińskiego kierunku naszej poezyi. Jego powieści współczesne, mniejsze czy większe, odbywają się zawsze na Podolu lub Ukrainie; z tych Gawędy, obrazki i anegdoty z życia tamtejszej szlachty, mają niekiedy dużo życia i humoru. Powieści z dawniejszych czasów mają zawsze za bohaterów Kozaków, za tło zaś walki kozaczyzny przeciw Rzeczypospolitej lub za nią. Z większych powieści historycznych najwięcej rozgłosu i powodzenia miał Stefan Czarniecki, z współczesnych Owruczanin. Obok niego była cała grupa ukraińskich powieściopisarzy (Michał Grabowski, czyli Edward Tarsza).

Ale w powieści historycznej palmę otrzymał Henryk Rzewuski. Pamiętniki Soplicy, zbiór anegdotycznych obrazków ze szlacheckiego życia XVIII. wieku, są w swoim rodzaju arcydziełem, źródłem i wzorem całej późniejszej gawędowej i staroszlacheckiej literatury w prozie jak w poezyi. Listopad, powieść historyczna Rzewuskiego z czasów konfederacyi Barskiej, jest pod względem znajomości ówczesnej Polski i kreślenia jej typów istotnie znakomitą i uchodziła słusznie przez długie lata za najpiękniejszą powieść polską historyczną.

Wdziękiem, prawdą i życiem najbardziej zbliżył się do Rzewuskiego w tym rodzaju Ignacy Chodźko w Obrazach litewskich.

2. Piśmiennictwo naukowe nie ustawało w tych latach, ale owszem rozwijało się i postępowało, ile mogło w niekorzystnych warunkach. Uniwersytety warszawski i wileński były zniesione; ten sam los spotkał i liceum krzemienieckie; lwowski uniwersytet był niemiecki. Zostawał polski jeden tylko, w Krakowie, małej stolicy maleńkiego kraiku, który przez to już musiał być ograniczonym do bardzo szczupłej liczby uczniów, do bardzo skromnych środków. Rzecz prosta, że ten stan rzeczy dla nauk pomyślnym nie był. A jednak okres ten nie był dla nich nieszczęśliwym, owszem przeciwnie. Wszystkie nauki były uprawiane; wiele z nich zrobiło postępy bardzo znaczne. W Krakowie służyło do tego oprócz uniwersytetu Towarzystwo naukowe, z nim złączone i pielęgnujące starannie zarówno ścisłe jak wyzwolone nauki. We Lwowie Zakład Ossolińskich był ogniskiem, skupiającem i rozwijającem naukowe zdolności i prace. W Poznaniu (który w owym czasie najwięcej używał wolności, a najmniej doznawał przeszkód) mogli znakomici i zasłużeni ludzie otwarcie i skutecznie oświatę i naukę utrzymywać i posuwać naprzód, przez zakładane w tym celu stowarzy-

szenia (Pomoc naukowa — Towarzystwo przyjaciół nauk) i przez wydawnictwa (Marcinkowski, Edward Raczyński, Tytus Działyński etc.). Naturalnie każda z tych części dawnej Rzeczypospolitej, żyjąc w innych stosunkach i prawach, ucząc się w innych szkołach, musiała kształcić się inaczej, nabierać przez to pewnych cech osobnych, co się też i w literaturze odbijać musiało. Z natury rzeczy ruch i postęp naukowy musiał być najsłabszym pod rządem rosyjskim. Stąd może poszło, że tam powieść rozwijała się najbujniej, a pracom naukowym brakło silnej i pewnej podstawy, którą umysły głębsze i zdolności wyższe umiały sobie zdobyć same, ale której brak musiał źle wpływać na umysły słabsze i na ogół, pogrążyć je w pewnej powierzchowności wiedzy i myślenia.

W Galicyi, oprócz opłakanego u ogółu skażenia języka (skutkiem nauk i wszystkich spraw urzędowych w języku obcym), była powszechna gnuśność i obojętność dla nauki i literatury: tem większa zasługa i cnota tych, którzy tu i nauce się poświęcali i posunęli ją naprzód, i w dziełach swoich tradycyę czystego języka i dobrego pisania utrzymać zdołali. Kiedy zaś Królestwo Polskie i kraje zabrane, zostawione same sobie, nie miały żadnej styczności ze światem zewnętrznym i żyły z własnego zasobu wiedzy i myśli lub, co najwięcej, śladem dawnej literatury i nauki polskiej, znały tylko dzieła francuskie i zostawały pod ich wpływem: to w Galicyi znowu wpływy niemieckie, znajomość tej literatury, działały silnie na kształcenie się i rozwój pojęć, na uprawę i kierunek nauki, wreszcie na pojęcia estetyczne i na sposób pisania. Oprócz Zakładu narodowego im. Ossolińskich, o którym dopiero była mowa, wielką zasługę około literatury i około utrzymania umysłowego życia polskiego w tym kraju miał teatr lwowski pod długoletnią dyrekcyą J. N. Kamińskiego. Ten, słaby jako poeta, ale doskonały do kształcenia aktorów i prowadzenia sceny, utrzymał ją na stopniu dziwnie wysokim, zważywszy tak niepomyślne warunki. Jego wychowańcami byli znakomici aktorowie Benza, Smochowski, Nowakowski, pani Starzewska, sławny w Niemczech Dawison i pani Aszpergerowa. W Warszawie, pomimo że niewolno było grać tragedyi, pomimo że rządowi zawiadowcy teatrów dbali głównie o balet; teatr stał bardzo dobrze dzięki aktorom wielkiego talentu, jak pani Halpertowa, a zwłaszcza Żółkowski. Kraków, choć tak mały, miał także w owym czasie teatr bardzo dobry; w nim kształcili się i rozpoczynali swój zawód niedawno zmarli znakomici aktorowie, Rychter i wyższy od niego Jan Królikowski.

Podobnie, a może jeszcze silniej niż w Galicyi, działał wpływ niemiecki na Wielkopolskę, jako wpływu tego najbliższą. Że zaś w Niemczech (a za ich przykładem w całej Europie) jest to czas przeważnego zajmowania sie filozofią (przedewszystkiem filozofią Hegla), więc naturalną było rzeczą, że w Poznaniu ten kierunek odbił się najsilniej, nie tylko na polu filozofii, uprawianej tam liczniej i dzielniej niż w Krakowie lub w Galicyi, ale w najrozmaitszych gałęziach nauki, a nawet w piśmiennictwie lżejszem.

3. Historya. Jeżeli aż do roku 1830 nasze prace naukowe swoją metodą i filozoficzną podstawą, pojęciem swego zadania łączą się jeszcze z wiekiem XVIII, to teraz znikają wszelkie ślady tego podobieństwa, a każda praca naukowa opiera się na innych i pewniejszych podstawach, na ściślejszem, gruntowniejszem badaniu.

W historyi rozpoczął ten zwrot i dał przykład Lelewel. Obecnie, na emigracyi (największy z naszych tam uczonych) do samego końca długiego żywota, z energią godną podziwienia, z bystrością nie mniejszą ciągnie dalej swoje prace, których słabą stroną (oprócz sposobu pisania) jest polityczna teorya, przebijająca przez pracę historyczną i nad nią niekiedy górująca. W kraju najdzielniejszym (przez długi czas jedynym) takim historykiem-badaczem jest August Bielowski. I on (jak tylu w jego pokoleniu) rozpoczynał swój zawód od poezyi i sądził się do niej powołanym: ale niebawem odezwało i odkryło się powołanie prawdziwe, któremu towarzyszyła ogromna erudycya i równa jej ścisła sumienność. Być może, że stan ówczesny, nie dopuszczający swobodnego mówienia o bliższych nam wiekach historyi polskiej, przyczynił się po części do tego, że Bielowski poświęcił się badaniu wieków najdawniejszych, pierwotnych. Ale niewątpliwie pchała go w tamtą stronę sama natura jego umysłu logicznego i ścisłego, mniemanie i nadzieja, że przez prawdziwe poznanie samych początków Polski dojdzie się do prawdziwego poznania i rzetelnego zrozumienia dalszych jej dziejów i losów. Obok tego badacza początkowej historyi samej staje, pierwszy po Czackim, znawca dawnego prawa polskiego i jego historyi, Antoni Zygmunt Helcel; a każdy z nich ma pod sobą (choć z sobą niezłączonych i od siebie niezależnych) sobie nierównych, ale dzielnych i pożytecznych pracowników na tem samem polu. Tak Kazimierz Stadnicki na przykład pracuje nad wzajemnymi stosunkami i dziejami Piastów, później książąt litewskich przed Jagiełłą; Wacław Aleks. Maciejowski nad Historyą prawodawstw słowiańskich. Wydawnictwa źródeł i dokumentów (Bielowski, Muczkowski, Rzyszczewski, Działyński) odpowiadają tej pracy historycznej, jak wydawnictwa pisarzy i pisma naukowe (Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego, Biblioteka Ossolińskich) odpowiadają pracy około literatury. Umiejętnemu badaniu zaś towarzyszy rozpowszechnienie nauki przez dzieła lżejsze, do potocznego, podręcznego użytku przeznaczone. Dzieła takie, poświęcone samej historyi polskiej noszą na sobie wyraźną cechę czasu, tę mianowicie, że jedne z nich są zabarwione tą lub ową doktryną polityczną (Moraczewski) — inne znowu (Koronowicz) lirycznym, sentymentalnym patryotyzmem. Lucyan Siemieński w opowiadaniach Grzegorza z pod Racławic dał mylną nieraz, ale pięknie i żywo napisaną historyę polską dla młodego wieku i (jak mniemał wtedy) stosowną dla wiejskiego ludu. Pod koniec tego okresu zaczyna występować Szajnocha, który od Bielowskiego, od historyków niemieckich nauczył się cenić i badać źródła historyczne, a przyniósł do prac historycznych ten zasób

uczucia i wyobraźni, ten dar żywego przedstawienia rzeczy, w którym mu mało kto dorównał.

4. Dzieje literatury. Rozwijają się także boczne, pomocnicze gałęzie historyi i składają się wszystkie na lepszą znajomość przeszłości. Kiedy Mickiewicz w *Collège de France* daje ogólny i pobieżny, ale świetny i nieraz genialny obraz dziejów literatury polskiej, to Wiszniewski z ogromną nauką i pracą zbiera materyały do całkowitego i szczegółowego jej obrazu, zakreśla ten obraz na wielkie rozmiary, wykonywa go w jednej części zaledwo, ale tem, co wykonał, jak tem, co przygotował, podnosi tę naukę na stanowisko wyższe, od dawniejszych (Bętkowski, Brodziński, Euz. Słowacki) bardzo odmienne, daje jej prawdziwie umiejętny kierunek.

Mnożą się też podręczniki historyi literatury (Wojcicki, Majorkiewicz, L. Łukaszewicz, Dembowski), dalekie naturalnie od powagi i wartości Wiszniewskiego, zwykle (z wyjątkiem pierwszego) zbyt pobieżne i krótkie, czasem z pewną szumną a czczą przyprawą filozoficzną, jednak pożyteczne. Krytyka literacka ma reprezentantów może najpoważniejszych w Michale Grabowskim i w Aleks. Tyszyńskim; obok nich ukazują się (w pismach poznańskich) rozprawy Stanisława Koźmiana (tłómacza Szekspira) i młodego, zaledwo poczynającego Antoniego Małeckiego.

Lingwistyka także nie leży odłogiem, a umiejętne badanie języka polskiego właściwie teraz dopiero zaczyna się zjawiać (ks. Malinowski, Deszkiewicz, Łazowski, Suchecki). Na tych badaniach opiera się (i podług nich dzieli się w swoich zasadach) liczba dość znaczna gramatyk podręcznych (Muczkowski, Łazowski, Sierociński i inni).

5. Nauki ścisłe, przyrodnicze i lekarskie, szczycą się w tym czasie licznym (jak nigdy może przedtem) szeregiem imion znakomitych lub przynajmniej zasłużonych.

W botanice po Jundzille i Szubercie (dyrektorze ogrodu botanicznego w Warszawie) odznacza się Wojciech Jastrzębowski, Antoni Andrzejowski, Ignacy Czerwiakowski, a Warszewicz (w tym czasie w Ameryce zostający) zdobywa sobie sławę w całym świecie. Zoologia w różnych swoich działach ma badaczy równie uczonych jak zamiłowanych: Jarocki (w zoologii ogólnej), Antoni Waga (w entomologii), Tyzenhauz (w ornitologii). Mineralogia i geologia ma Ludwika Zeisznera, a Ignacy Domeyko organizuje w Chili razem uniwersytet i kopalnię kruszców, oświatę i bogactwo tego kraju, a do ostatniego dnia życia zostaje w żywym związku z ojczyzną i nauce polskiej służy pismami, radą, opieką nad młodymi badaczami na drugiej półkuli.

Nauki lekarskie nigdy przedtem nie miały u nas tylu głośnych i znakomitych reprezentantów, a wielkiego w nich postępu dowodzi choćby to, że nauka ta uprawiana jest w każdej swojej gałęzi z osobna, a każda z nich przez ludzi bardzo znaczących. I tak; na polu fizyologii, po starszych jak Mile i Remak, następuje

Józef Majer, w okulistyce odznacza się Wiktor Szokalski, w anatomii Adam Bielkiewicz i Antoni Kozubowski, w chirurgii Klemens Nowicki, Józef Korzeniowski i Ludwik Borkowski, w farmakologii Skobel, w medycynie wewnętrznej Malcz, w gynekologii Raciborski. Pomija się wielu, wyliczając tylko tych, którzy zajęli najwybitniejsze stanowisko w nauce i pracami lub odkryciami swemi posunęli ją naprzód.

6. Filozofia nigdy nie była u nas uprawianą z takiem zamiłowaniem i skutkiem jak w tym okresie. Skutkiem zapewne w znacznej części powszechnego jej podówczas panowania nad umysłami, ale skutkiem także tej pracy przygotowawczej, jaka się na tem polu odbyła w okresie poprzednim przez Szaniawskiego i Śniadeckiego, w okresie, o którym mowa, była filozofia uprawianą u nas liczniej, a dodajmy głębiej i skuteczniej niż kiedykolwiek. Ludzie, którzy ją uprawiają (Gołuchowski, Libelt, Cieszkowski, Trentowski, Kremer), w żadnym kraju nie uchodziliby za pospolitych i niższych, a niektórzy z nich musieliby uchodzić za umysły bardzo niezwykłe. Wszystkim przyświeca jeden ideał wspólny, mianowicie: stworzyć osobną filozofię polską, któraby zarówno daleka od zbyt abstrakcyjnych i subtelnych spekulacyi niemieckich, jak od praktycznego empiryzmu Francuzów, połączyła dobre strony obu tych kierunków i stała się dopiero prawdziwą, od tamtych wyższą filozofią. Filozofia ta nie opierałaby się na rozumie w przeciwieństwie do innych władz duszy, ale na harmonii i równości wszystkich; nie na różnicy i sprzeczności filozofii z religią, ale owszem miałaby wykazać wrodzoną zgodność wiary i wolnego badania. Do tego ideału filozofowie ci dążyli różnemi drogami i zapomocą różnych pojęć. Gołuchowski najściślej ze wszystkich trzymał się katolickich nauk i zasad. Libelt na wyobraźni i na uczuciu opierał swoją zasadę piękności, która miała być tym pierwiastkiem łączącym, harmonizującym sprzeczności i wydającym nowy system filozofii. Trentowski, ze wszystkich najbardziej może systematyczny, jeden z nich w dziełach swoich objął całość filozofii, ale ze wszystkich najbardziej zabłąkał się w pogoni za własnym oryginalnym systemem. Cieszkowski zwraca się głównie do filozofii historyi, tę chce wydobyć i określić w swoich dziełach (niedokończonem: *Prolegomena zur Historiosophie* i w Ojcze nasz). Kremer najmniej ze wszystkich sili się na własny i samodzielny system, za to najwięcej może i najlepiej zapoznaje swego czytelnika z istotą i treścią nauk filozoficznych, najprzystępniej daje ją zrozumieć.

Wszyscy oni pochodzą od filozofów niemieckich, przeciw którym występują nieraz stanowczo — Gołuchowski głównie od Schellinga, inni od Hegla — a osobnego systemu filozofii, słowiańskiej czy polskiej, nie wydają. Wszelako w ogólnej europejskiej nauce filozofii stanowią grupę osobną i poważną, a u nas mają tę wielką zasługę, że wznoszą na wyższy szczebel naukę filozofii, że nie pozwalają o niej zapomnieć, że kształcą późniejszych, a przez wiele

świetnych i głębokich (choć tylko częściowych) dowodzeń i określeń, zdobywają nam poważne stanowisko w tej dziedzinie myśli i wiedzy.

7. Mówiliśmy w okresie poprzednim, że za księstwa warszawskiego i królestwa Kongresowego pism treści politycznej nie mamy prawie wcale. Teraz się to zmienia. W kraju wprawdzie pod cenzurami (bardzo surowemi) ta gałąź piśmiennictwa rozwijać się nie może, ale w swobodzie emigracyjnych stosunków dzienniki i broszury polityczne powstają nader licznie. Z natury rzeczy wynika, że przeznaczone na chwilowe wrażenie, wywołane chwilowymi stosunkami lub uczuciami, pisma takie mają też chwilowe tylko życie: i rzadko które, dzięki imieniu autora lub szczególnie ważnemu przedmiotowi, zdoła się utrzymać w ludzkiej pamięci. Ale choć pisma te jednodniowe do literatury właściwie nie należą, a obchodzą raczej tylko przyszłych historyków, którzy szukać w nich będą śladów naszych ówczesnych usposobień i opinii, to niemniej wspomnieć i zapamiętać należy sam fakt bytu tej literatury. Oznacza on bowiem poczęcię się i działanie czynnika dziś bardzo ważnego w życiu wszystkich narodów europejskich, dziennikarstwa. Przed rokiem 1830 zaledwo istniejące i nie wywierające wpływu, później w kraju tłumione i mówiące tylko o rzeczach obojętnych, na emigracyi wydaje ono pisma różne, mówiące o wszystkich sprawach europejskich i zamiarach polskich, i rozwija się tak, że później, po roku 1848 przeniesie się do kraju jako rzecz gotowa i przyjmie się jako potrzeba społeczeństwa. Kolebka naszego dzisiejszego dziennikarstwa jest na emigracyi. Nieszczęściem, dodać trzeba, że ono nie tylko rozwinęło się tam i wychowało, ale w namiętnościach i zatargach stronnictw po części może za przykładem znacznej części prasy francuskiej, nauczyło się bez skrupułu i uwagi używać naciągań, przekręcań, zmyśleń, nieraz potwarzy, wszystkich tych zdrożnych sztuk i zwyczajów, przez które dziennikarstwo zamiast kształcić opinię i społeczeństwo, może je tumanić, oślepiać i psuć.

W kraju codzienne pisma polityczne były zupełnie czcze i bez znaczenia: były też (nawet w Warszawie) bardzo nieliczne. Z miesięcznych i naukowych (oprócz pomniejszych i zwykle krótkotrwałych) ważniejsze były: — Kwartalnik w Krakowie, Ateneum (Kraszewskiego) w Wilnie, Rok i Orędownik w Poznaniu, Rozmaitości we Lwowie; dwa miały i dłuższe życie i poważną niepospolitą wartość: Biblioteka Warszawska i Przegląd Poznański. Ten ostatni pod redakcyą Jana i Stanisława Koźmianów, odznaczał się wielką wartością artykułów literackich, głębokością sądów i stałością przekonań; charakter miał ściśle katolicki. Wydawany w Lesznie Przyjaciel Ludu, pismo lżejsze, (w rodzaju dzisiejszych illustrowanych), był bardzo dobry, zajmujący do czytania a rozumny.

Taki był stan naszej literatury od roku 1830 do połowy XIX. wieku. Zmiany, jakie w nim zaszły później, należą już do następnego okresu.

OKRES ÓSMY

(od roku 1850 do naszych czasów).

Ostatni okres literatury narodowej, podobnie jak poprzedni, dzieli się na dwie części: na czasy przed rokiem i po roku 1863.

I. CZASY PRZED ROKIEM 1863.

Jest to czas przejściowy pomiędzy tylko co skończoną wielką epoką naszej poezyi, a dzisiejszą literaturą, która wyrabiała się już po roku 1863. Czas ten nie ma swoich cech wybitniejszych, oryginalności własnej; ale ma dużo życia, dużo zapału dla literatury, niektóre jej kierunki rzeczywiście posuwa naprzód i około cywilizacyi polskiej wogóle ma niezaprzeczone i niemałe zasługi.

1. Stosunki polityczne. Skończyły się zaburzenia roku 1848. Skutkiem ich we Francyi było drugie cesarstwo (Napoleona III). Nowy rząd, żeby się utrwalić, potrzebował dać uczuć swoją siłę na zewnątrz, a narodowej miłości własnej Francuzów uczynić zadość przez znaczenie i chwałę. Zaniosło się też niebawem na wojnę. Francya w przymierzu z Anglią, w obronie Turcyi, wypowiedziała ją Rosyi, a prowadziła ją w Krymie. Zdawało się, że wojna ta, jeżeli potrwa, będzie musiała w dalszym ciągu toczyć się w ziemiach polskich. Niespodziewana, prawie nagła śmierć cesarza Mikołaja I. nadała wypadkom inny obrót. Jego następca mógł bez zbytecznego upokorzenia zawrzeć pokój (1856). Wojna nie miała głębszych skutków. Nie była jednak bez skutków dla Polski ta zmiana panowania w Rosyi.

Aleksander II. nie miał twardej natury i silnej woli ojca: łagodniejszy a chwiejny, zasiadał na tronie z zamiarami (nieokreślonymi) reform w Rosyi; zniesienie poddaństwa wykonał rzeczywiście. Względem Polski miał te same co ojciec uczucia i to samo pojęcie swojego do niej stosunku, ale w sposobie postępowania (aż do r. 1863) różnica była znaczna. W Królestwie i w krajach zabranych rząd złagodniał, ucisk sfolgował.

2. Pisma peryodyczne. Między innemi oznakami tej zmiany było i to, co na literaturę wywarło wpływ niemały, zwol-

nienie cenzury. Przez to wzmogło się i wydawnictwo książek (w Warszawie, w Wilnie, w samym Petersburgu), i ich przywóz (polskich jak obcych) z zagranicy, i wreszcie liczba, wpływ i znaczenie pism peryodycznych. W Warszawie zwłaszcza zaczęły się one mnożyć, a że mogły swobodniej o sprawach i wypadkach europejskich mówić, więc stały się dla ogółu i więcej zajmujące i więcej potrzebne. Jest to pierwiastkiem ważnym i charakterystycznem znamieniem naszej literatury w tym okresie. Przez dzienniki dostawały się do ogółu wiadomości polityczne, ale także literackie i naukowe: przez wykończoną już, regularną i coraz szybszą komunikacyę ze światem zagranicznym zapomocą kolei żelaznych, książki i pisma zagraniczne, wiadomości o nich, dochodziły nierównie łatwiej, prędzej i liczniej niż przedtem. Przez to szybcej też szerzyło się i rozchodziło ogólne wykształcenie, ogólna znajomość wielu spraw i rzeczy. Ale obok pożytku była w tym fakcie i zła strona, ta mianowicie, że te ogólne wiadomości o wszystkiem były powierzchowne, pobieżne. W pismach peryodycznych, pośpiesznie na termin układanych, a dopieroż w pismach codziennych, wiadomości te nie mogły nawet być innemi; a stąd poszło, że wykształcenie i oświata, tą drogą szerzone, mogły rozlać się dość szeroko, ale musiały rozlać się płytko. Ogół, który dawniej czerpał swoją oświatę z książek, z dzieł pisanych z rozmysłem, gruntownie i pracowicie, teraz przywykł przestawać na wiadomościach, czytanych bez trudu w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach. Nie u nas tylko, ale w całej Europie cechą oświaty w drugiej połowie XIX. wieku jest wykształcenie dość powszechne i na pozór nawet dość wysokie, ale raczej lekkie, nie głębokie i niezawsze prawdziwe. Umysły potężne, dzieła mądre lub piękne, jednem słowem literatura poważna i długotrwała, mimoto w całej Europie jest; ale ogół czytających czerpie swoje wiadomości i wykształcenie wygodniejszym a mniej skutecznym sposobem, z drugiej ręki, z dziennikarskich sprawozdań i artykułów. I u nas wykształcenie ogólne stało się powszechniejszem w tych latach, ale nie stało się głębszem. Niemniej to jego rozszerzenie się było niezaprzeczonym i wielkim pożytkiem; z większej liczby wykształconych (choćby powierzchownie) wyrabiać się może z czasem coraz większa liczba takich, którzy zawód pisarski lub naukowy będą pojmowali i prowadzili poważnie, a przez to z czasem zdołają i należycie pogłębić tę szerzej rozlaną oświatę.

3. Usposobienie ogółu. W usposobieniu ówczesnem było silne pragnienie życia i jego widomych objawów (zwłaszcza pod rządem rosyjskim, gdzie od roku 1831 wszelkie objawy życia były wzbronione i tłumione). Stąd przywiązanie i zapał do wszystkiego, co było tego życia oznaką (n. p. zebrania Towarzystwa rolniczego w Królestwie). Stąd skłonność zrozumiała i naturalna do nadawania rzeczom wagi większej, niż ją naprawdę miały: stąd na polu literatury i sztuki skłonność do łatwowiernego podziwiania, do przesadnego unoszenia się nad wszystkiem, co nam dawali współcześni pisarze lub artyści. — Dla literatury skutek takiego stanu rzeczy

nie był korzystny. Silniejsze pożądanie nowych rzeczy do czytania sprawiało, że wydawcy książek, a zwłaszcza redaktorowie pism peryodycznych przyjmowali nieledwie bez braku wszystko, co im kto przyniósł; wzajemne pochwały znajdowały wiarę u czytającej publiczności; krytyka sprawiedliwa i poważna była rzadką, a niezawsze śmiała być szczerą. Stąd mnóstwo mierności różnego rodzaju zalało literaturę, stąd wielkie a niezasłużone reputacye, które czas rychło obalał, ale które miały ten zły wpływ, że psuły sąd i smak publiczności, przyzwyczajały ją brać rzeczy małe lub liche za dobre i wielkie, zdolności mierne i słabe za prawdziwe. Literatura w tym przeciągu lat stawała się potrzebą większej liczby ludzi, ale w większości swoich płodów była często płytką.

Jako poważniejsze pisma zbiorowe, zajmujące się literaturą i nauką, wspomnieć należy Przegląd poznański, Bibliotekę warszawską, w Krakowie przez lat kilka Dodatek miesięczny do »Czasu«, we Lwowie Bibliotekę Ossolińskich i Dziennik literacki (pod redakcyą Karola Szajnochy), w Paryżu (przez lat cztery) Wiadomości polskie.

4. Instytucye naukowe. Do ożywienia i podniesienia literatury w Galicyi (co zwłaszcza we Lwowie stało się w owych latach dość widocznem) przyczyniły się znacznie dwie instytucye, Towarzystwo naukowe w Krakowie i Zakład im. Ossolińskich we Lwowie. Wielką wagę i wpływ miała też dokonana w r. 1849 reorganizacya gimnazyów. Językiem wykładowym pozostawał zawsze język niemiecki (a do gimnazyum krakowskiego wprowadzono go teraz po raz pierwszy), ale plan nauk i sposób udzielania ich był od dawnego znacznie lepszy, dlatego też na poziom wykształcenia musiał wpłynąć korzystnie. Uniwersytet lwowski dostał w tym okresie po raz pierwszy katedrę literatury polskiej, a ta, zajęta chlubnie przez Ant. Małeckiego, miała także swoje szczęśliwe i dobroczynne skutki.

W Poznaniu ogniskiem umysłowego życia było Towarzystwo przyjaciół nauk, a w niem odznaczali się między innymi ludzie tacy jak Cieszkowski, Libelt, Józef Łukaszewicz i Stanisław Koźmian; zaczynali pracować i dorabiać się znaczenia młodzi jak Jarochowski, Wegner, Nehring i t. d. Tytus Działyński oddawał znaczne usługi nauce swojemi wydawnictwami z Biblioteki kórnickiej.

Wincenty Pol.

Syn Franciszka, austryackiego radcy sądu krajowego, i Eleonory Longchamps, urodził się w Lublinie w roku 1807. Nauki pobierał (przeważnie prywatnie) we Lwowie i (przez jeden rok) w Tarnopolu, na uniwersytet uczęszczał we Lwowie. Wakacye i oprócz nich dużo czasu spędzał u krewnych i przyjaciół na wsi. Tam to z towarzystwa i opowiadań starych ludzi, szlachty konfederatów,

kozaków, księży, zaczął od młodości wciągać w siebie staropolskie podania i zamiłowanie dawnych czasów. Lubiał czytać i z wielkim zapałem zajmował się historyą i literaturą, z trudnością zaś zmuszał się do nauk przepisanych: stąd niepowodzenie w egzaminach. Gdy bez nich żadnej posady dostać nie mógł, a jakiejś potrzebował, zaczął jej szukać poza granicami Galicyi. Uniwersytet wileński potrzebował właśnie lektora języka niemieckiego: tam więc udał się Pol z listami polecającymi pod jesień roku 1830. Czy otrzymał nominacyę i czy rozpoczął wykłady, rzecz niepewna; w każdym razie, jeżeli się zaczęły, to nie trwały długo, bo z wiosną r. 1831 wyszedł Pol z Wilna z garstką towarzyszy, po długiem błądzeniu przedarł się do korpusu Giełguda i w nim służył aż do wyparcia tego korpusu za pruską granicę. Wtedy udał się z wielu innymi do Drezna. (Tu znajomość z Mickiewiczem i stąd wycieczka do Weimaru dla widzenia Goethego). Z końcem roku 1832 dostał pozwolenie powrotu do Galicyi. Wrócił, ale znowu pozbawiony wszelkiej możności otrzymania stałej posady, szukał jej napróżno przez lat kilka, a zostając w ścisłych stosunkach ze znakomitszymi pisarzami i uczonymi we Lwowie, wydawał pierwsze swoje poezye i prozaiczne rozprawy (Pieśni Janusza 1833). W roku 1837 ożenił się. Znalazłszy jakiś obowiązek u swego starego przyjaciela, Ksawerego Krasickiego (z którego opowiadań napisał później Mohorta), lat kilka mieszkał w Sanockiem. Z tego czasu pochodzą Przygody Benedykta Winnickiego (1840), Wspomnienia z podróży, pierwsze prace geograficzne, Pieśń o ziemi naszej (1843), i Obrazy z życia i podróży.

W roku 1846 mieszkał już w własnym majątku, pod Krosnem, i tu, podczas wypadków ówczesnych napadnięty w domu, pokaleczony, zaprowadzony był do więzienia i trzymany we Lwowie, do roku 1848. Tu powstał przekład Psalmów pokutnych i wiersze więzienne (w zbiorowem wydaniu rozrzucone między innymi). W roku 1848, podczas zjazdu słowiańskiego w Pradze, napisał wiersz Słowo a Sława.

W roku 1850 powołany na profesora geografii fizycznej do uniwersytetu Jagiellońskiego, osiadł Pol w Krakowie; i wtedy zaczęła się druga epoka jego poetycznego zawodu. Piszący dotąd głównie w małych rozmiarach i w lirycznym rodzaju, teraz zaczyna próbować się w większych kompozycyach. Wychodzi (1852) Senatorska zgoda, (1853) Sejmik w Sądowej Wiszni, gawędy, które z poprzedniemi Przygodami składają Pamiętniki Benedykta Winnickiego. Usunięty z katedry w roku 1853 (razem z Helclem, Małeckim i Zielonackim), pozostał Pol w Krakowie i w wielkiej obfitości wydawał coraz to nowe dzieła. W roku 1854 ukazał się Mohort i zbiór mniejszych wierszy Z klasztoru i z boru; w 1857 Wit Stwosz i Przebolało. W tymże roku obywatele lubelscy odkupili dla niego ze składek wieś Firlejówkę pod Lublinem, która niegdyś była własnością jego rodziców. W r. 1859 przeniósł się do Lwowa. Tu wydał Pacholę hetmańskie

(1862), Kilka kartz krwawego rocznika (1864), Rapsod z wyprawy wiedeńskiej (1865) i dramat Powódź. Potem powrócił do Krakowa na resztę już życia. Wydał Legendy o śtym Janie Kantym, Stryjankę, Pieśń o domu naszym (1868), Pieśń o Krakusowym grodzie. W ostatnich latach ociemniał. Umarł 2. grudnia 1872. Pochowano go w kościele na Skałce, w »grobie zasłużonych«.

Co przedewszystkiem odróżnia Pola od innych współczesnych poetów, to jego zupełna niezależność od obcych czy własnych wzorów: Nie ma on nic wspólnego w usposobieniu ani w formie z całym europejskim romantyzmem, nie ma w swoich uczuciach polskich nic mistycznego, w swoim sposobie myślenia i tworzenia nic mglistego, allegorycznego, jak wszyscy niemal poeci nasi jego czasu. Czysto-polski, staro-polski i staro-szlachecki charakter jego poematów, widoczny i w wyborze przedmiotów i w formie, jaką im nadawał, jest nawet zjawiskiem dziwnem, jeżeli zważymy, że Pol był synem Niemca, że przez matkę miał znowu krew francuską; jest on też pięknym przykładem tej zdolności przyswajania sobie pierwiastków obcych, jaką ma naród polski. Ta jego zupełna oryginalność i staro-polszczyzna niekoniecznie wychodziła na dobre jego poezyi: talent gdyby był więcej kształcony na różnych wzorach, myśl i wyobraźnia gdyby była przestawała w szerszych zakresach, byłyby zapewne wyrobiły się piękniej i dzielniej.

Sympatyę i wdzięczność ogółu zdobył sobie odrazu pierwszem swojem dziełem. Pieśni Janusza były zbiorem drobnych wierszy, piosnek prawie wyłącznie patryotycznych i żołnierskich. Miały zaś tyle życia, tyle śmiałego zacięcia i tęgości, inne tyle rzewności i smutku, że ze wszystkich drobnych wierszy, natchnionych wojną roku 1831, one najwierniej może i najzupełniej oddawały ton powszechnego uczucia i są niezaprzeczenie szczytem naszej patryotycznej poezyi piosenkowej. Że do tego rodzaju Pol był doskonale usposobionym, dowodzą często jego późniejsze wiersze drobne.

Pieśń o ziemi naszej podniosła jeszcze jego sławę i miłość, jaką miał u publiczności polskiej. Właściwie jest ona pieśnią o zewnętrznej, geograficznej i etnograficznej stronie tej ziemi, i to niezupełną, bo Wielkopolska pominięta jest zgoła. Strona historyczna — dawne dzieje i walki lub późniejsze klęski i uciski — nie występuje tam wcale: w rzadkich tylko ustępach trafia się jakiś zwrot myśli do rzeczy głębszych. Pierwiastek uczuciowy, tak powszechny i górujący w naszej poezyi, a przy takim przedmiocie tak usprawiedliwiony i prawie konieczny, odzywa się rzadko i tonem cichym, jak żeby umyślnie stłumionym. Ton i charakter poematu jest raczej potoczny, gawędowy. Stąd wrażenie i uwaga, że tytuł był dla poematu za wielki i zapowiadał więcej, niżeli treść dotrzymała.

Jedyną kompozycyą Pola z pierwszego okresu jego zawodu były Przygody Benedykta Winnickiego, mały obrazek ze szlacheckiego życia XVIII wieku, ułożony z opowiadań bohatera samego, dobrze poecie znanego. Było w tem dużo życia i humoru:

a choć srogość ojca niedorzeczna, bo do małej winy syna nie zastosowana, ukazywała tę przeszłość w świetle raczej przykrem (zatem nie takiem, jak poeta chciał), to jako jeden obrazek, jako wyjątek, w swoim rodzaju mogło być dobrem i podobać się. Pol utrwalił ten rodzaj, powtórzył go w swoich późniejszych poematach, stworzył poetyczną gawędę ze staropolskiego szlacheckiego życia. Każdy rodzaj może być dobrym w poezyi, byle był dobrze uprawiany; ale ten rodzaj nie można przyznać, iżby się był udał szczęśliwie. Soplica Rzewuskiego, ze starych opowiadań i anegdot układane obrazki, był zapewne wzorem Pola i posłużył mu za popęd, a ustne opowiadania starych polonusów (Winnicki, Ksawery Krasicki) dostarczały materyału.

Pol w swoich Gawędach podobnie rozmiłowany w staropolskich cnotach (pobożności, dobroduszności, prostocie serca itp.), nie dość pamięta o złych stronach ówczesnego życia, i wystawia je w poematach swoich, albo nie domyślając się, że są złe i sprawie publicznej szkodliwe, albo przynajmniej uważając je za drobne usterki i upatrując w nich wdzięk sympatyczny. Pod względem artystycznym znowu wpada w ten wielki błąd, że te stare anegdoty i tradycye podaje bez braku i przerobienia, wiernie, jak mu były opowiedziane; swoją wyobraźnią nic nie dopełnia, żywych figur nie kreśli, akcyi nie rozwija i nie prowadzi — słowem układa tylko w wiersz, ale zresztą podaje *in crudo* surowy materyał, jak mu był opowiedziany. Ta sama treść, opowiedziana prozą, dałaby może obrazki tak dobre jak Rzewuskiego; podniesiona wierszem do godności poezyi, a bez jej koniecznych warunków (twórczej wyobraźni i sztuki), zostaje w sprzeczności ze swoją formą i stanowi rodzaj niewątpliwie nowy i oryginalny, ale rodzaj dotąd przynajmniej w poezyi nieświetny. Taka jest Senatorska zgoda i Sejmik w Sądowej Wiszni, które dodane do dawnych Przygód Benedykta Winnickiego, składają niby jego Pamiętniki.

Że Polowi brakło wyobraźni twórczej i epickiej zdolności, dowodzi następujący, dotąd najsławniejszy z jego poematów, Mohort. I ten z ustnych opowiadań wzięty, jako materyał na poemat wdzięczny, mimo swego tytułu »Rapsodu rycerskiego«, został znowu gawędą tylko, dlatego, że do tego materyału wyobraźnia nic nie dodała, nic z niego nie wysnuła. Jest figura postawiona jako rycerska i bohaterska, ale w dalszym ciągu są tylko drobne, potoczne sprawy anegdotyczne, do których dodana jest wiadomość o młodocianej niegdyś miłości Mohorta. Są ustępy ładne, ale tego bohaterskiego charakteru, jaki Pol chciał nadać swemu poematowi i jego głównej postaci, niema; niema też epickiej żywości i wyrazistości. Sama śmierć Mohorta, istotnie bohaterska i poetyczna, opowiedziana jest znowu sucho i po kronikarsku i wrażenia nie robi.

Wogóle jest w talencie Pola ten niedostatek, że kiedy wymyśli postać poetyczną, to nie umie wprawić jej w ruch i kazać jej działać. Tak jest z Mohortem, tak w Pacholęciu hetmańskiem z hetmanem Tarnowskim, którego drobne tylko sprawy

i zwyczaje Pacholę zapisuje w swoim pamiętniku. Poemat ten ma być staropolskim dyaryuszem, podniesionym do poetycznej formy. Piszący go Maciej Różanka jest zrazu pacholęciem, później dworzaninem hetmana, po jego śmierci doradcą żony i syna, później dostaje się do niewoli tureckiej, na starość wraca do ojczystej wsi. Najdłuższy to z poematów Pola, a mimo treści z odległych czasów, mimo poważnego tonu i niektórych wypadków smutnych, zawsze w tym samym gawędowym rodzaju.

Wit Stwosz, owoc lat i wrażeń krakowskich, zamiłowania do tego miasta i jego zabytków, jest opowiadaniem starego, ociemniałego i w Norymberdze srodze skrzywdzonego snycerza o szczęśliwej młodości w Krakowie. Całe religijne natchnienie artystów średnio-wiecznych ma przebijać przez jego słowa, a późniejsze nieszczęścia przedstawione są jako kara za dumę i zarozumiałość. Wszelako ani wielkość tej jego winy ani wzniosłość tych natchnień nie daje się widzieć i rozumieć wyraźnie w jego opowiadaniu.

Wrażeń i wspomnień z najmłodszych lat życia poety znajduje się wiele w zbiorach mniejszych wierszy — Z klasztoru i z boru, i Przebolało. W tych drobnych rozmiarach i formach jest Pol wogóle szczęśliwszym aniżeli w większych; różnym rodzajom uczucia, pogodnym czy smutnym, rzewnym czy wzniosłym, daje często wyraz bardzo piękny, czasem wdzięk prostoty i tęsknoty, czasem powagę wysokiego poetycznego natchnienia. Podobnie Kilka kart z krwawego rocznika, na tle wypadków roku 1863. Z większych poematów Powódź, dramat, a właściwie dyalogowana powieść, jest raczej słaba. Stryjanka i Starosta kiślacki, obrazki staro-szlacheckiego życia, pogodne i wesołe, są w swoim gawędowym rodzaju wcale udatne. Mniej Legendy o śtym Janie Kantym i Dyaryusz z wyprawy wiedeńskiej. Zato Pieśń o domu naszym, dzieło starości, napisane do pary niby z młodzieńczą Pieśnią o ziemi naszej, ma więcej niż tamta poetycznego ducha i uczucia.

Był to w każdym razie talent niezwykły, niezaprzeczenie oryginalny, któremu (podobnie jak Zaleskiemu) zbywało do wielkości tylko na potężnej wyobraźni, może poniekąd na artystycznem wykształceniu. Jak Zaleski tak i Pol, przez to, że zostaje zawsze w zakresie tych samych form i pomysłów, staje się jednostajnym, a nawet w stylu swoim dochodzi do pewnej maniery. U Zaleskiego wyradza się ona z dźwięczności i ukraińskiej tęsknoty, u Pola jest staroszlachecką, niekiedy przesadnie i niezrozumiale archaistyczną w wyrażeniach. Mimo tych wad, jest on w tym okresie przejściowym, między następcami wielkich poetów, niezawodnie najzdolniejszym. Stworzył nową, osobną formę poetyczną, której można wiele zarzucać, ale której tego odmówić nie można, że była własną i oryginalną. W Pieśniach Janusza miał dużo tęgiego żołnierskiego ducha, w późniejszych wierszach lirycznych dużo rzewności, czasem prawdziwą wzniosłość i natchnienie. Zrazu nad miarę może chwalony, później znowu poniżany nad miarę (za swoją pobożność

i swoje przywiązanie do staropolskiego życia i obyczaju), okrzyczany był niesłusznie, jakoby chciał był świat dzisiejszy podług tamtego zmieniać. Jakkolwiek w dawnym obyczaju poetycznie rozmiłowany, wiedział on dobrze, że dawne formy życia przywrócić się nie dadzą i o tem nigdy nie myślał. Że zaś z dawnego ducha chciał utrzymać i utwierdzić wiarę, prostotę obyczaju, prawość i miłość ojczyzny, to za zaszczyt tylko i zasługę policzyć należy i jego rozumowi i jego obywatelskiemu duchowi.

Z PIEŚNI JANUSZA.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani,
Świat tumany ciemią;
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.
Białe na nich wyłogi: 5
»Dyć to pułk nam znany!
»A gdzież Jonek z Ożogi?
»Gdzież nasz brat kochany?
»Wszyscy święci anieli!
»Cały pułk już minął — 10
»Gdzieście brata podzieli?«
Zginął! — rzekli — zginął!
A w tem znowu ktoś jedzie:
Dwóch ułanów czesze;
Jeden konia z nich wiedzie, 15
Drugi ognia krzesze.
Koń się szarpnął przed górką,
Zarżał, urwał wodze
I co wyskok w podwórko
Poleciał po drodze. 20
»O dla Boga! dla Boga!
»Skądże go to macie?
»Wszak to konik z Ożoga,
»Konik po mym bracie!
»Oj sierotą już chata, 25
»Kiedy on zabity!
»Gdzieżeś podział mi brata,
»Koniu jabłkowity?«
A obadwa ułani
W podwórko przybyli 30
I obadwa stroskani
Na dziewkę patrzyli:
»»Zatrzymajcie go sobie!
»»Nikt go wam nie bierze;

»»Oj wasz Jonek już w grobie — 35
»»Tu jego szkaplerze!
»»Jam je zabrał w szczerości,
»»Bo legł od Moskala,
»»A tych naszych świętości
»»Niechaj wróg nie kala! 40
»»Możeć moje szkaplerze
»»Da tam kto ojcowi!
»»No, niech Bóg was tu strzeże —
»»Bywajcie nam zdrowi!««

Z MOHORTA.

Rzecz cała włożona jest w usta Ksawerego hr. Krasickiego, który poecie wiele opowiadał o Mohorcie. Znał on osobiście tego rycerza kresowego, bo za młodu pod jego okiem ćwiczył się w sztuce wojskowej, a nawet obecny był przy jego śmierci.

Wyprawiony przez rodziców, przybywa Ksawery Krasicki na kresy i udaje się do strażnicy Mohorta.

... Noc już zapadła od godziny blizko,
Gdym w końcu stanął na luce strudzony,
Gdzie pan porucznik miał swe stanowisko;
Jemu listami byłem polecony.
Po drodze nocny rozjazd mnie powitał 5
I przeprowadził do samej granicy;
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.
Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad półki kaganek oświecał, 10
A od tej półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wązkim się pasem po izbie rozścielił;
W wielkim kominie płomień czasem strzelił 15
I zbiegł wężykiem po szybach od okna.
A izba była pusta jak stodoła:
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca — nic więcej nie było.
Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie, 20
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przede mną orężny, 25
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury;
Na koźle z drzewa uciosanym siedział

Niby na koniu, a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał. 30
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu niźli do człowieka.
Był to pan Mohort. A gdy przed nim stałem, 35
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dlaczego ojciec mówił: »Czołem! czołem:
I nie zapomnij waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana porucznika!« 40
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.
Długo myślałem, co robić wypada: 45
Zbudzić? nie budzić? — Trudna była rada!
Stoję i czekam, kaganiec się mroczy,
Wtem brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
A pan porucznik rozwarł zwolna oczy —
— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! 50
— »Na wieki wieków!« — z cicha odpowiada
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potem trochę kagańca poprawił,
A potem rzucił na mnie wzrok surowy
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy 55
I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
— »Jak się dzień zrobi, to i list wyczytam,
A teraz syna pana Antoniego
Jako krew bratnią z poczciwością witam! 60
Dziś już za późno i jestem na służbie,
Lecz jutro waści na kresach podrużbię;
Już tu niejeden pierwsze żołdy czynił,
Więc po staremu będę gospodynił...«
Poszedł ku półce, kędy stał kaganek, 65
Do owych sznurów za zegar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących
I rzekł: »Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze, 70
Czekam tu waści!« — Potem krzyknął: »Służba!«
Starszy towarzysz, człowiek już nie młody,
Wstąpił do izby. — »No, przybył nam drużba:
Dacie mu nocleg, a koniom wygody!«
Rzekł pan porucznik i zlecił nas Bogu 75
I przeprowadził oczyma do progu.

Następnie, zawsze przez usta hr. Krasickiego, kreśli poeta obraz służby wojskowej na kresach, charakter i sposób życia Mohorta; potem opowiada, jak Mohorta sprowadzono do Warszawy, ażeby księcia Józefa Poniatowskiego polskiej komendy nauczył (pieśń II); jak po niejakim czasie książę, przybywszy na Ukrainę, ażeby objąć komendę hufców narodowych, odwiedził Mohorta i oglądał jego stadninę, futor i pasiekę (p. III); jak wreszcie w r. 1792 Mohort, jadąc do obozu ks. Józefa, w rozmowie z Ksaw. Krasickim przypomina szczegóły swego niegdyś przybycia na Ukrainę (p. IV) i powody, dla których ojczystą Litwę opuścił na zawsze (p. V).

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka i niby bezpieczna;
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.
Tam do pierwszego przyszło więc spotkania, 5
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzéma kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania
I pan Kościuszko przednią straż prowadził
I był się znacznie przodem już odsadził. 10
Głównym korpusem sam książę dowodził,
A w tylnej straży komendę generał
Wielhorski miał i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.
Marsz trwał dzień cały. Pod wieczór się miało, 15
I boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą, most za sobą spalić
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; jakoż po dwa razy
Przysyłał książę z takimi rozkazy. 20
Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą;
A nim most stanie aż nazajutrz z rana
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi, 25
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi —
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi;
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.
Gdyśmy na groblę weszli boryszkowską, 30
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie... Poczęło się mroczyć,
Śpieszno nam było — więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć.
Generał przeszedł po moście na czele, 35
A Mohort jechał ostatni na zadzie

I wołał: »Stępo!« tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.
  Wtem straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi wzbiły się w niebiosy. 40
— Co tam?! — Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel w tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił —
I na trzech liniach czysto jak po miotle, 45
A koło mostu zawrzało jak w kotle;
Z ludzi i koni niby kra się sparła.
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać i groblę wydarła
I woda buchła nagle rzeką całą 50
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało
I wpław do stawu i z grobli na błota;
A i ranionych było już bez liku.
Po trupie Mohort przedarł się na siłę
I do rotmistrza, który jeszcze w szyku 55
Swych ludzi trzymał, rzekł: »A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!«
I jak duch bitwy stanął na mogile
I powiódł wkoło oczyma przez chwilę
I krzyknął: »Baczność! równaj się szóstkami!« 60
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.
  »Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę; 65
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz też w pędy idź z drugim oddziałem« —
Rzekł do rotmistrza i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
»I jedna wiara — mówi Paweł święty!« 70
  Z dział uderzono — i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: »Teraz na nas praca,
Marsz!« — i już cały drugi zastęp w locie. 75
Wpadamy, patrzym — a działa w odwrocie
I kanoniery leżą już pod koniem.
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem stajem, kędy stały działa;
I noc zapadła i skończona sprawa. 80
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.
  Koło północy stanął już most nowy;
I kto na grobli nie położył głowy,

Szedł za drugimi... Wtem rozruch na przedzie 85
I głos podają: »Książę! książę jedzie!«
Książę z raportu już o wszystkiem wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały... Rzekł: »Szkoda mej Litwy! 90
I jakże zginął?« — »»Jak giną rycerze! —
Rzekł Ostaszewski. — Jąk dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!««
A książę na to: »Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.« 95
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami
I na mogile ogień nałożono.
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie 100
I kazał na nim złożyć towarzysza.
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie,
Aż gdy grób cały wkońcu był zasuty,
Rzekł książę tylko do obecnych tyle: 105
»Żył z szablą w ręku — niech leży w mogile!«
A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żałosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał: 110
Czas do domu, czas!
Zabawili nas!
A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła wkońcu nawet straż ostatnia; 115
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żałość bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żałości tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił, 120
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy śród nocy się palił.

PRZEBOLAŁO.

Gdzieżeś, gdzieżeś, wieku młody?
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody
I zielone moje lasy?
Gdzież są owe ludzkie twarze 5
I dusz czystych Boskie dary?

Ach, i święte te ołtarze,
Kędym pierwsze niósł ofiary?
Gdyby jeszcze taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą, 10
Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą!
Gdyby takie głosy wieszcze
Pan do duszy zesłać raczył,
To nie tylkobym przebaczył, 15
Ale mógłbym kochać jeszcze!
Boć bogate niby wiano
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia miłościwe. 20

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie; wkoło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.
Smutne świerki nad sadami 25
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.
W niejto miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku 30
I radości tam bez liku
W dniach dzieciństwa i wesela.
Był to starzec tak życzliwy
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny, 35
A jak ziemia miłościwy!
On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa
I jak żyje w ulu pszczoła... 40
Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby
I na kwiaty w dzień godowy.
A w południe, gdy wesoła 45
Na świat cały grała pszczoła,
Utrudzony wśród pszczół brzęku,
Usypiałem mu na ręku.
Jak pustelnik albo święty
Pracowity i modlący. 50
Wiecznie skrzętny i zajęty
I zabiegły a milczący.

Tak poczciwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczółki;
Zbierał zioła, wonne smółki, 55
Wkoło sadu nocą chodził.
I gromadził i hodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne... 60
Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje
I owoce i ruczaje
I bliźniego twarz w uśmiechu 65
I tę pszczółkę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!
Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w swej dobroci,
I bez zasług ziemię darzy 70
I pociechą życie złoci —
Tak i on tam gospodarzył
W swej pasiece miłościwie
I darami ziemi darzył
I oświecał mię życzliwie. 75
Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda
I najźralszy owoc sadu
I kryniczna zawsze woda.
Tam też biegłem na przysmaki; 80
I ochotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki,
Z pod wiewiórki podebrane.
Wiosną słowik tam zawodził,
Kiedy kwilił do gniazdeczka; 85
Latem chróściel tam podchodził
I wabiła przepióreczka.
I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem — 90
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tem wspomnieniem tylko pieszczę!...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywot mi zacięży, 95
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, czarno w duszy,
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futor ów przede mną
I pasieka z swoim chłodem 100

I krynica z swoją wodą,
Ach, i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mlekiem, miodem.
A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę 105
Głos mi znany, choć daleki,
Jak od łąki, czy dąbrowy:
»Porzuć, porzuć świat jałowy,
A powracaj do pasieki!«
Gdzieżeś, gdzieżeś, przyjacielu? 110
Mój ty stary pasieczniku,
Pierwszy mój nauczycielu,
Bogobojny pustelniku?!

II.

W starym zamku króla Jana
Był tam pokój w narożniku;
W okna biła zorza rana
I stoliczek stał w kąciku.
Na nim pióro, kałamarzyk, 5
Kilka skryptów, książek parę;
A nad łóżkiem relikwiarzyk,
A przy łóżku krzesło stare...
Wielki komin marmurowy
Płonął nocą w drugim rogu; 10
Nad nim hetman stał surowy,
Co ojczyznę zlecił Bogu...
A na środku tej komnaty,
Stał stół duży, a na stole
Stał krucyfiks strojny w kwiaty. 15
W tymto domu, w takiej szkole
Uczył mentor mnie miłości
Przy porannej owej zorzy;
I pierwiastki mej młodości
Jam bojaźni święcił Bożej... 20
Ksiądz Bazylian, starzec siwy
I zakonnik miłościwy,
Był podówczas mym mentorem
I za jegom stąpał wzorem.
Święte były jego ślady, 25
Mądre mowy, wielkie rady!
Bo czy uczył czyto prawił,
Tylko światu błogosławił;
I co dobrem tylko było
I czem życie się zrobiło, 30
To od niego wszystko wzięte!
Bo w pokorze mię układał,

Dzieje Polski, Pismo Święte
I Plutarcha opowiadał.
A gdy prawił Greków dzieje, 35
Ze czcią patrzał w twarz hetmana;
Gdy miłości i nadzieje,
Na Chrystusa patrzał Pana.
A gdy bliższe dzieje prawił,
Czasem ręką tylko rzucił, 40
Z relikwiarza ócz nie zwrócił
I domowi błogosławił.
Błogosławiąc nic nie gadał
I podobien był świętemu.
A jam do nóg jego padał 45
I płakałem — nie wiem, czemu...
Wówczas mawiał mi w miłości:
»Błogosławię twej młodości!
A jeżeli dola sroga
Cię wybierze na boleści, 50
To niech obok nich się mieści
W sercu twojem wielkość Boga!«
Po nauce po dniu całym
Wracał mentor do klasztoru;
A ja sam już zostawałem, 55
Sam — z kozakiem od wieczoru;
I nie miałem towarzysza
Prócz człowieka do usługi;
Kozak, komin, nocna cisza —
To młodości mentor drugi. 60
Z Ukrainy był on rodem;
Tęsknił po niej jak po raju,
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
W zamku zwano go sokołem, 65
Bo sokole miał też oko;
W świat poglądał hardem czołem,
A już serce tak wysoko
Nosił w piersi, że z postaci
Niktby pewnie go nie ganił 70
Wśród rycerskiej nawet braci,
Gdyby hufcom zahetmanił.
Słów niewiele — wiele treści,
Wiele życia w oku, w ruchu,
W sercu wiele miał boleści 75
I rozpaczy pięknej w duchu.
Jednem słowem umiał zganić
Lub przytulić i pochwalić;
Umiał rzutem oka zranić
I pochwycić lub zapalić. 80

Onto serce me zagrzewał
I do konia mnie układał
I wieczorem dumy śpiewał,
Nocą gadki opowiadał.
I pod niego, chłopię małe, 85
Jam się tulił w tem zamczysku
I wieczory, noce całe
Siadywałem przy ognisku;
I przy jego pieśni dźwięku
Jam usypiał mu na ręku. 90
»Dziś, paniczu, wyście młodzi;
Lecz gdy dojdą wasze lata,
Znać wam trzeba, że ze świata
Milczkiem schodzić się nie godzi!...
»Wiele w świecie się przedziało, 95
Dziać się będzie jeszcze wiele;
W stepach mogił tam niemało
I niemało dusz jest w ciele...«
Tak mi mawiał — a ta gadka
I ta jego pieśń ponura, 100
To mych pierwszych natchnień matka,
To mój Homer i Padura!
I po dziś dzień w duszy jeszcze
Grają jego pieśni wieszcze.
Gdy świat zmroczy mgła jesienna, 105
Gdy zatęsknię do ogniska,
Gdy nadchodzi noc bezsenna,
A pierś ciężko coś uciska: —
To po dziś dzień, wielki Boże!
Jak się wsłucham w nocną cisnę, 110
Jak się w tamte czasy wdrożę —
To pieśń jego jeszcze słyszę,
Jak od stepów, jak od szlaku...
Gdzieżeś, gdzieżeś, mój śpiewaku?!

Z PIEŚNI O DOMU NASZYM.

Wstęp.

Ducha karmę, niebios rosę —
Komu sercem złożyć — komu?
A czy wiecie, co wam niosę?...
Dziś wam niosę »Pieśń o domu«.
Pieśń o starym domu naszym, 5
O Piastowym domu laszym,

Co na roli ojców stoi
Z lat tysiąca w ziemi twojej.
Więc przyjdź do mnie, bracie młody.
Bo na wielkie spraszam gody, 10
Do wielkiego dziadów stołu —
I odprawim je pospołu.
Nie jest moje, co przynoszę —
I zrozumieć to potrzeba,
Gdy na ucztę dziadów proszę, 15
Że te dary dane z nieba.
Dzisiaj, moi towarzysze,
Ja wam polski dom opiszę:
Jego skarby i nadzieje,
Jego węgły i koleje. 20
Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali —
To ten dom wasz w Panu strzeże.
Więc ni z drzewa ani z cegły 25
Dom ten stawił wiek ubiegły:
Duch tu Polski budowniczym —
To nie zburzyć domu niczem!
Ni powodzią ni pożarem,
Ani mieczem ni rozbojem: 30
Bóg zamieszkał w domu starym —
Duch zamieszkał w domu twoim.
A dla wiary i dla ducha
W ziemi dziadów śmierci niema;
Choć rwie wieków zawierucha, 35
Dom się w węgłach swoich trzyma.
I dostoi i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości —
Bo krew dziadów we krwi twojej,
A kość żyje w twojej kości. 40

XX.

Oto moja »Pieśń o domu«,
Którąm wyniósł wam z pogromu,
Bo stać może na wyłomie,
Jak duch tylko pieśń w tym domie.
Oto domu twego węgły: 5
Krew i dzieje, kościół, księga;
Oto sojusz zaprzysięgły,
Co od ziemi w Niebo sięga.
W tymto domu, w tem przymierzu
Stój, rolniku i rycerzu! 10
To, com z mleka matki wyssał,

Jam krwią serca w pieśni spisał;
I przebyłem straszne lęki
W tej mozole mego ducha —
Ach! i poszło z polskiej męki, 15
Co się łatwo w pieśni słucha.
Więc niech krwawy ten nabytek
Niech wam idzie na pożytek;
I niech pieśń ta skarbów strzeże,
Których woda nie zabierze, 20
Których ogień wam nie spali
Ani weźmie ostrze stali!
Kiedym w świat szedł sercem z młodu,
»Pieśń o ziemi« dla narodu
Jam wam poniósł; dziś z pogromu 25
Ja wynoszę »Pieśń o domu«.
Byłem stróżem tej korony
Wielkich skarbów — dzisiaj staję
I domowi skarb oddaję,
Jako został mi zwierzony 30
Od sług Bożych, od rycerzy
I od matron wielkiej cnoty
I od polskich tych szermierzy
I od ziemian, od prostoty
I co poszło z Bożej rady 35
I z serc czystych w tej ojczyźnie,
Od wybranych i gromady —
To wam składam tu w spuściźnie.
I niech pieśń ta ziemią płynie
I niech lepszą przyszłość wita; 40
I niech w tej Piastów krainie
To odnieje, co w niej świta!
Jak wierzyli — i my wierzym:
Synem byłem i rycerzem
Onej ziemi z woli Bożej; 45
A kto serce ma i ducha
I tej pieśni się przysłucha,
Na mym grobie kord położy.

Kornel Ujejski.

Syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, urodzony w r. 1823 w Boremnianach w obwodzie czortkowskim w Galicyi. Szkoły odbył w Buczaczu i we Lwowie. W tych latach młodzieńczych zaczął pisać swoje pierwsze poezye i to z niepospolitym talentem. Maraton np., napisany kiedy poeta miał lat zaledwo dwadzieścia, ma taką siłę uczucia i wyrażeń, taką sztukę układu i taką żywość przedsta-

wienia, że zapowiadał wielkiego poetę. Forma też bardzo piękna, wiersz i język poprawny i czysty, a przytem żywy, jędrny i dźwięczny, styl własny, z nikogo nie naśladowany, to były przymioty, które młody poeta pokazał przy pierwszem wystąpieniu i które mu zostały na zawsze. Wypadki roku 1846 zmusiły go do wyjazdu za granicę; tu poznał się z Mickiewiczem, zaprzyjaźnił ze Słowackim; stąd dostał się do kraju pierwszy drukowany zbiór jego poezyi, Skargi Jeremiego. Wrażenie zrobiły one wielkie. Oprócz wyżej wskazanych zalet, miały jeszcze tę, że w wielu swoich ustępach dawały wierny, gorący, potężny wyraz uczuciom i usposobieniom ówczesnym. Rzadko kiedy pierwszy występ młodego poety był tak szczęśliwy, tak wiele obiecujący. Słuszność każe nie zapominać o tem, że przez poetów starszych (a zwłaszcza trzech wielkich) strona techniczna poezyi była doskonale wyrobiona, a w tem dla następnych było wielkie ułatwienie. Ale niemniej mało kto z tych następnych umiał tak dobrze jak Ujejski korzystać z tych wielkich poprzedników, nie naśladując ich. Na Ujejskiego formę, jak na jego pojęcia i uczucia, najsilniej działał Słowacki, i wpływ jego daje się rozpoznać wyraźnie — ale wpływ tylko, nie naśladowanie. W rytmie i dźwięku, w budowie strof, działał niekiedy i wpływ Zaleskiego, ale znowu bez naśladowania.

W roku 1848 wrócił do kraju, osiadł we Lwowie, następnie na wsi w Zubrzy pod Lwowem, i w latach najbliższych wydawał szybko i obficie nowe zbiory poezyi (Kwiaty bez woni, 1848, Zwiędłe liście, 1849, Melodye biblijne, 1852). Zachował w nich właściwe sobie przymioty: język i wiersz miał zawsze śliczny, nieraz wielki popęd i siłę uczucia, którą w swoich młodzieńczych dziełach okazał w stopniu może najwyższym. Odrazu, jednym skokiem stanął na szczycie swojego zawodu, a później już się nie rozwijał i nie postępował. Talent, nie zasilany nowymi zasobami myśli i pracy, nie mógł wydobyć z siebie tych wszystkich sił, jakie miał z natury. Nie wyczerpał się, bo poeta pisał mało i nie wpadł w powtarzanie siebie samego, ale stanął na miejscu. Uczuciowy przedewszystkiem, Ujejski miał szczęśliwą znajomość swego talentu i pisał same wiersze liryczne. Raz jeden spróbował się w dramacie (Samson), ale napisał tylko akt pierwszy, w którym daje się widzieć właściwe mu usposobienie liryczne; talent dramatyczny musiał być słabszy, skoro ten pomysł Samsona został tylko próbką i fragmentem.

W latach dojrzałych i w wieku już późnym mało dodał Ujejski do swoich dawniejszych zbiorów, ale i w tych późniejszych poezyach są zalety podobne jak w dawnych. Jedyną różnicą jest pewien realizm, jakiego dawniej nie bywało, a który teraz zjawia się w niektórych wierszach i wcale szczęśliwie (na przykład Za służbą). Illustracye do niektórych kompozycyi Chopina (Tłómaczenia Chopina), w których tłómaczy słowami myśl muzycznego utworu i oddaje jego charakter, a nawet rytm naśladuje, przez niektórych cenione bardzo wysoko, są w każdym razie godne uwagi, a nieraz pełne wdzięku i zadziwiające lekkością.

Ujejski umarł w r. 1897.

Między naszymi lirycznymi poetami będzie on miał zawsze miejsce wysokie, a w niniejszym okresie był pod tym względem niezawodnie pierwszym. Niektóre wiersze ze Skarg, z Melodyi biblijnych i z późniejszych jeszcze, należą do piękniejszych rzeczy, jakie w tym rodzaju ma nasza poezya.

Z MELODYI BIBLIJNYCH.

Hagar na pustyni.

14. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał jej dziecię i odprawił ją, która poszedłszy błądziła w pustyni Bersabee...
15. A gdy nie stało wody w bukłaku...
Genezis roz. XXI.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A wkoło pustynia; — do Ciebie, Jehowa,
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw, Panie, by niebo nade mną wychłódło,
I skały granitu zmień, Panie, na źródło, 5
A piasek czerwony na wrzos!

I nigdyż, Jehowa, i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem, 10
Nie usnę strudzona pod jego namiotem
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach
I rzemień popękał na naszych sandałach
I cierpi i płacze mój syn. 15
Jam, Panie, kochała i była kochaną,
Szczęśliwą — to słusznie, że jestem karaną;
Lecz syn mój Ismael — bez win!

Gdy wicher ogniowy w pustyni zawieje
I żarnym popiołem gdy po nas posieje, 20
Ismael upada jak kwiat;
Ja Tobie, o Panie, natenczas się kłaniam
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzemnę na piasku, 25
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej gazeli to wrzask;
A wkoło szakale oczyma mi świecą
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask! 30

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami 35
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał, iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg;
I usta otworzył — o Panie! on pragnie, 40
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu! 45
Przed głosem przed moim czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody! och rosy!
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

Anioł Pański.

Och, jasno, zielono — a wieczór tak cichy!
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka, 5
Tam skrzypią chróściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną
I szemrze mącona rzeczułka;
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka: 10
Anioł Pański!...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci, 15

Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co świat ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta, 20
A usta zamarłe odchylą:
Anioł Pański!...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało, pielgrzymką stargane boleśnie,
Do ciszy trumiennej się skłoni: 25
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi, 30
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł Pański!...

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie,
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie 35
Jak pszczoły w swym ulu spróchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięstwem promienny, powagą spokojny
Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży, 40
Z dumania się mego ocucę
I serce tak żywo jak dzisiaj uderzy,
Jak dzisiaj pokornie zanucę:
Anioł Pański!...

Z TŁÓMACZEŃ CHOPINA.

Zakochana.

(Mazurek).

Jego dotąd niema,
A duszeczka roi;
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencyę 5
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie?...
Przyjedzie! Przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota — 10
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek
I bez sroczki płotek —
Pewnie nie przyjedzie... 15
Przyjedzie! Przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach, piękny! ach, duszka!
Ach, srebrny! ach, złoty! — 20
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przede mną...
Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! Nie skręci!

A potem tak grzecznie 25
Pochlebiał matusi;
Ach, kocham! ach, wiecznie!
Ach, moim być musi! —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce — 30
A nuż panicz skrewi?...
Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać! a więc zato,
Gdy przyjedzie, to ukarzę:
Niech poczeka! — przed herbatą 35
Pewnie mu się nie pokażę!

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
No, to zresztą wyjdę już. 40
Ale zato będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie, 45
Że szaleje, mówił sam;
Nuż co złego mu się stanie?...
No, to zresztą różę dam.
Ale zato pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować... 50
I to srogo! — a więc w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma 55
Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
Kasztanek na przedzie!
E! to proboszcz jedzie!

Władysław Syrokomla.

(Prawdziwe nazwisko: Ludwik Kondratowicz). Urodził się w roku 1823 na Litwie. Szkoły odbył w Nieświeżu i Nowogródku, wyższych nauk nie miał. Za młodu osiadł na wsi, na dzierżawie, gospodarował i zaczął swój zawód pisarski od przekładów łacińsko-polskich poetów. W roku 1852 przeniósł się do Wilna; po jakimś czasie wziął znowu w dzierżawę wieś Borejkowszczyznę w okolicy, i tu powstała większa część jego dzieł. (Gawędy i rymy ulotne, 1853—61, Jan Dęboróg, 1854, Margier, 1855, Zgon Acerna, 1856, Stare wrota, 1857 i t. d.). Umarł w roku 1862.

Poeta bardzo płodny. Liczba jego dzieł poetyckich jest znaczna: zbiorowe ich wydanie obejmuje dziesięć tomów. Są to w większej części powieści z dawnych czasów, niekiedy o historycznych ludziach (Skarga, Orzechowski, Klonowicz), czasem wysnute z miejscowych podań. Rodzajem zbliżają się najbardziej do gawęd Pola; treścią są od nich zwykle poważniejsze, smutniejsze, myślą i dążnością różne; bo kiedy Pol rozmiłowany jest w świecie i obyczaju staropolskim, to Syrokomla szuka w nim losów i cierpień ludzi ubogich, zapomnianych, upośledzonych; talentem są te poemata od Polowych niż-

sze. Widać w nich przymiot łatwości wierszowania, aż zbytecznej może, dobre uczucia i chęci, żywe przywiązanie do ojczyzny i do pięknych chwil i postaci przeszłości. Ale ani głębszej myśli ani stylu jędrnego i własnego ani wyższych poetycznych darów, wyobraźni i natchnienia w nich niema. Pogodne, potoczne i w mniejszych rozmiarach, udają się zazwyczaj lepiej (np. Dęboróg) od większych i zakrojonych na poważne epickie dzieła (np. Margier). Wszystkie jego gawędy są do siebie podobne, żadna nie zostawia po sobie silniejszego wrażenia. Dramata, których Syrokomla napisał kilka (Karlińscy, Wyrok Jana Kazimierza itp.), słabsze są od powieści. Między drobnymi wierszami zdarzają się ładne, rzewne uczuciem albo ujmujące pogodnym wdziękiem. Przekłady z poetów łacińsko-polskich (Krzyckiego, Dantyszka, Janickiego, Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego), jakkolwiek niezawsze wierne i niezawsze oddające klasyczny charakter oryginałów, miały tę wielką zasługę, że publiczności nie umiejącej po łacinie, dostępną robiły tę gałąź naszej poezyi. Łatwość zaś i dobry wiersz tłómacza sprawiają, że przekłady te czytają się przyjemnie i mają niezaprzeczoną wartość.

Urodzony Jan Dęboróg.

(Gawęda szlachecka — w wyjątkach).

III. Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie: 5
— »Proszę aspana, czas wyśmienity,
»Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
»A gdzie się uczyć bez Jezuity?
»Minęła wiara i karność stara!
»Po szkołach jakieś nowotne dzieło: 10
»Nie masz łaciny, nie masz Alwara;
»Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
»Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
»Wrażał łacinę i karność w dziecię,
»Przetoż bywało i mądrość kwitnie, 15
»I lepiej jakoś było na świecie.
»Przodkowie nasi stąd mieli ducha,
»Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
»Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
»Z pijarskich książek łacina chuda. 20
»Synabym w domu nie trzymał dłużej,
»Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie;
»Dać do konwiktu możność nie służy,
»Uczyć przy farze jakoś nie chce się,

»Zwłaszcza, gdy człowiek z dawna pamięta, 25
»Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie,
»Byliśmy w szkole między panięta,
»Chłostę na perskim brali dywanie.
»A dziś... mój dziedzic..., biada nam, biada!
»Daremno człowiek ratunku szuka, 30
»Codzień to ciężej ród podupada
»Z ojca na syna, z syna na wnuka.
»Proszę aspana, uczyć się pora,
»Lecz nie masz zaco, nie masz widocznie.
»Uproszę księdza definitora, 35
»Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
»Kształć się w łacinie i świętej wierze,
»Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
»Może się u mnie grosiwo zbierze
»I Jezuici wrócą do kraju«. 40

IV. O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny, 5
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi. 10
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
I tak modlitwę szepcąc pobożnie, 15
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie...

V. Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada, 5
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie —
A ojciec mówi: »At, proszę aspana,
»Ksiądz i poczciwy; lecz pożal się Boże, 10
»Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
»Że o szlacheckim zapomniał honorze...
»Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
»Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
»By chciał mi syna przyjąć ku nauce. 15
»Bo już co prawda, to wyznać potrzeba,

»Że jego głowa przemądra, choć stara —
»Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
»A cnoty — chyba od samego Nieba;
»Uczony, skromny, pracowity, szczery, 20
»Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
»O! dla młodego taki mistrz nielada,
»Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie:
»Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
»Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie«. 25
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała roztrzygnąć ją może.
Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię Boże.

VI. Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło
I rzekł: — »Zostań tu, chłopcze, ucz się w imię Boże!
»Wszystką miłością w sercu, chlebem co w komorze
»I nauką co głowie — choć jej tak niewiele, 5
»Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę!
»Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca dalej —
»Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
»Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
»Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę; 10
»A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
»Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
»Czy kto ma herb, czy nie ma, braciaśmy po prostu;
»Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chróstu,
»Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem! — 15
»Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
»Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada;
»W zakrystyi wyręczać kulawego dziada;
»Na polu mnie się nieraz w pracy dopomoże:
»Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże; 20
»A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
»Z gramatyką łacińską i Wergiliuszem,
»Z konwią mleka i z chlebem — toż to będzie cudnie,
»Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
»Posilając się sobie, póki skwaru chwila, 25
»*Tityre! tu patulae*... tłómaczyć z Wergila:
»Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą.
»A szlachcic, co ma dzierżyć lud Boży pod władzą,
»Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
»Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty; 30
»A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
»Równiejsze będą skiby«...

IX. Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką — pojętność, pokora,

Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu, 5
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...
Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą —
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą, 10
Albo wziąwszy więcierze idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy, 15
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniósłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Linnégo, Newtona 20
I tłómaczy mniej z książki, a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica i śniegi i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży? 25
Jak się ów ptak nazywa, k' czemu kwiat ten służy? —

XII. Biegły me dni jak w niebie na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele. 5
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mnie z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział, jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa! 10
— »Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
»Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
»A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
»Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
»Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie, 15
»Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
»Staremu trzeba uledz, bo mię zrzędzić zacznie,
»Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
»I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
»Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy. 20
»Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
»Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa«.
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno; 25

Inszy świat definitor rozjaśniał przede mną:
Tam dla duszy przestronniej i sercu weselej.
Ojciec to zauważał — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo 30
I syna wnet zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy.
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy, 35
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie;
Stary *Servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu. Ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo, 40
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

(Po ukończeniu szkół publicznych przebywał Jan Dęboróg w domu. Często w okolicę robiąc wycieczki, poznał w niedalekiem sąsiedztwie Zofię Brochwiczównę, z której rodzicami Dęborogowie oddawna żyli w niezgodzie z powodu sporu o grunta graniczne. Długo sprzeciwiał się temu związkowi ojciec Jana, dawną niezgodą powodowany, lecz wreszcie za sprawą ks. Definitora przyszło do skutku małżeństwo Jana Dęboroga z Zofią Brochwiczówną, a tem samem pojednanie obu zwaśnionych domów).

Teofil Lenartowicz.

Urodzony w Warszawie w roku 1822, tamże pobierał nauki. Po ich ukończeniu wstąpił do urzędu. W roku 1848, pociągnięty ówczesnymi wypadkami, wyjechał z Królestwa: udał się do Poznania, do Krakowa; potem bezpiecznie już wrócić nie mógł i został emigrantem. Zrazu mieszkał w Paryżu, w zażyłości z wielu znakomitymi Polakami — z Mickiewiczem między innymi. Po kilku latach przeniósł się do Włoch; zamieszkał naprzód w Rzymie, następnie we Florencyi. W r. 1861 ożenił się z Zofią Szymanowską, młodszą siostrą (zmarłej od r. 1855) żony Mickiewicza. Stracił żonę po niedługiem pożyciu, a od jej śmierci żył we Florencyi samotny, z ciągłą myślą o ojczyźnie, z głęboką pobożnością w sercu, z budującą rezygnacyą i niezwykłą siłą duszy, znosząc samotną starość i dolegliwości wieku cicho, łagodnie, bez skargi, z wiarą w Boga i przyszłość, z miłością i dobrocią dla ludzi. Oprócz talentu poetyckiego odkrył się w nim w latach późniejszych talent rzeźbiarski (obudzony, a w każdym razie wykształcony widokiem i wpływem dzieł sztuki, któremi był otoczony we Włoszech). Rzeźba stała się (obok poezyi)

jego zajęciem i pociechą; a znawcy przyznają tym jego dziełom wiele zalet i wartości. Umarł roku 1893; pochowany w Krakowie, w kościele na Skałce.

Właściwą i odrębną cechą Lenartowicza, która go odróżnia od wielu innych współczesnych poetów, jest wiejskie ludowe zacięcie jego poezyi. Jak w wierszach Zaleskiego na formie znać rytm i dźwięk dumki, a w usposobieniu rzewność i tęsknotę ukraińskiego ludu, tak u Lenartowicza wiersz ma charakter, a często i rytm śpiewki ludu mazowieckiego — a jego natchnienie znajduje często popęd i przedmiot w życiu, w uczuciach lub w wyobrażeniach tego ludu (zwano go też lirnikiem mazowieckim). Wiersz jego sam miewa często rytm krakowiaka albo wiejskiego obertasa. Podobnie jak Zaleski ma usposobienie łagodne, czułe a ciche, ma głęboką wiarę i rzewną pobożność; kiedy znowu zamiłowanie wsi, żywe uczucie wdzięku, jaki tkwi w ludzie i jego życiu, ma Lenartowicz wspólne z Brodzińskim. Tylko, kiedy u tamtego, chowanego jeszcze pod wpływem dawnych form poezyi, zamiłowanie to przybrało formę konwencyonalnej sielanki i wydało Wiesława, to Lenartowicz młodszy i na romantykach kształcony, ma (pomimo usposobienia także w gruncie sielankowego) więcej rzeczywistości i prawdy, więcej życia. Słuszność każe wyznać, że u niego także — znowu jak u Zaleskiego lub Brodzińskiego — przestawanie zbyteczne w zakresie tych samych form i pomysłów sprowadza pewną jednostajność.

Lenartowicz zaczął pisać bardzo wcześnie, bo jeszcze w roku 1841. Pierwszy ogłoszony zbiór jego poezyi, Polska ziemia (1848—1850), miał już ten charakter uczuciowy, patryotyczny i wiejski. Lirenka, wydana w roku 1855, okazywała talent więcej wyrobiony, ale miała tę samą cechę. Pod wpływem pobytu we Włoszech i odbieranych tam religijnych i artystycznych wrażeń (na które poeta bardzo był czuły), zjawiają się nowe i odmienne przedmioty poematów (na przykład Gladyatorowie) i otwierają się nowe źródła natchnienia, z historycznej lub artystycznej przeszłości Włoch, z natury lub potocznego ich życia. Wszelako i w takich odzywa się zawsze patryotyczna struna i tęsknota. Takie na przykład jest (zbiór jego wrażeń włoskich) wydane w r. 1870 Album włoskie.

Z rzeczy osnutych na pojęciach i podaniach ludu (i może z całej poezyi Lenartowicza) najpiękniej udało się Zachwycenie, rozmowa, w której przebudzona z letargu matka opowiada małemu synkowi, co przez czas tego snu widziała na drugim świecie. Podług wyobrażeń ludu dusza osoby uśpionej snem letargicznym przebywa w niebie. Parą do Zachwycenia jest Błogosławiona, dusza (zapewne tej samej osoby), po śmierci ciała przyjęta już na całą wieczność do nieba i oprowadzana po niem przez swoje święte patronki.

Pobyt we Włoszech nie wstrzymał wcale patryotycznych i wiejskich natchnień Lenartowicza. Z takich powstały Racławice,

większy poemat, którego sam tytuł wskazuje treść, a któremu to jedno można zarzucić, że krótki i skoczny wiersz, mazurkowy rytm w dłuższym utworze wydaje się jednostajnym i cokolwiek nużącym.

Do tego samego zakresu, z dawniejszych tylko czasów, należą Ze starych zbroic (1870) i roku 1881 Rytmy narodowe (o Sobieskim i Kościuszce). W r. 1895 wyszło we Lwowie pośmiertne wydanie poezyi Lenartowicza w dwóch tomach, w których oprócz wielu wierszy już znanych, znajdują się także nowe w tym samym zawsze tonie ludowym.

MAZUR.

Hej! do tańca, dziewuchy!
Zagraj, dudko Jaśkowa! —
Cóżto, grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Ano! żywo do licha! 5
Cóż to wam się przydało?
Każdy siedzi a wzdycha —
Czy złe ludzi spętało?
Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera, 10
A dziewuchy, parobcy —
Jak nie swoi, jak obcy.
Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy,
A Jan stary z za stoła: 15
Grajże, grajku — zawoła.
Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył;
Maciek w taniec wyskoczył,
Ognia dały obcasy. 20
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Cóż to grajko tak smutnie?
Wesołego niech utnie,
Bo mnie na złość kapeli 25
Jakoś coraz weselej!
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły, 30
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam:
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj ta dana, oj dana, 35
Dołoż moja kochana!
Co mam nie być wesoły?
Mój majątek dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małem dzieckiem złożona... 40
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Grajże, dudko wesoła!
Toó na mnie nikt nie woła,
Nikt nie czeka stęskniony 45
W mej chałupie spalonej...
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda, 50
Więc tańcuję najszczerzej,
Jutro pójdę w żołnierzy.
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Gdy tak tańczy ochotnie, 55
Cóżto grajko tak potnie?
Kropla w kroplę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.
Czy się zmachał od grania?
Skrzypki rzucił; podeptał, 60
Otarł lice sukmanem
I coś mruczał i szeptał;
A dziewki się spłakały,
Że skrzypki grać przestały.

Bądźcie zdrowi, wy starzy, 65
Niechaj Pan Bóg wam darzy!
A gdy skrzypków nie stało,
By się w karczmie hulało,
Śpiewam sobie: Oj dana,
Dołoż moja kochana! 70

ZACHWYCENIE.

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?
— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze; 5
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą. 10
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotymi kłosy,
Co się pochyla pod Boże nóżki — 15
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki,
Te w Bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebo powyrastali. 20
— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?...
— O moje dziecko, o! kochające, 25
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe.
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę. 30
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej, 35
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,

Co się na naszych płotach oplata.
— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli? 40
— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami;
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi, 45
I przez tę litość zboże się plemi.
— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?
— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje. 50
— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?
— O jeszcze piękniej, jeszcze weselej;
Na złotych skrzypkach grają anieli.
— A gdzież się uczą przeróżnych pieśni? 55
— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej...
— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną? 60
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce, 65
Na małym wzgórku przy Bożej męce?
— O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy!
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną; 70
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.
— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?
— Potem widziałam, strasznej wielkości 75
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą;
A Piotr apostoł karta za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem: 80
Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi:
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.

Kiedy śmierć człeka nędznego blizko, 85
To zaraz anioł czyta nazwisko. —
— Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata, 90
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może 95
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.
— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc! O moje dziecię,
Iść tam potrzeba przez całe życie. 100
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To wkońcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł Boży, 105
Złocistym kluczem niebo otworzy.
— Toście wy dużo, matko, widzieli
I pewniebyście wrócić tam chcieli:
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. 110
— O! ty zostaniesz, małe pacholę.
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody?
Krasiatą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki? 115
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę...
— Ej! co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie... 120

Józef Ignacy Kraszewski.

Syn Jana i Zofii z Malskich, urodzony w Warszawie w r. 1812. W dzieciństwie chował się przy babce i prababce na wsi, na Podlasiu. Do szkół chodził naprzód w Białej, następnie w Lublinie i Świsłoczy. W roku 1829 poszedł na uniwersytet w Wilnie i wtedy zaczął pisać pierwsze swoje powieści i rozprawy. Od roku 1833 przesiadywał najwięcej na wsi, na Podlasiu i Wołyniu, pisząc zawsze wiele i w różnych kierunkach (powieści, prace historyczne, rozprawy

językowe). W r. 1837 mianowany był profesorem języka polskiego w uniwersytecie kijowskim, ale katedry tej nie objął, gdyż ją przed otwarciem skasowano. Ożeniony w roku 1838 (z Zofią Woroniczówną), mieszkał i gospodarował na wsi, na Wołyniu (w Gródku; później w Hubinie). Pisał zawsze bardzo wiele, a powieści jego budziły coraz więcej zajęcia. Dla skupienia ruchu umysłowego w krajach zabranych założył i wydawał w Wilnie pismo zbiorowe Ateneum. Po roku 1850 działalność jego i wpływ jeszcze się rozszerzyły. Mieszkając zawsze na Wołyniu, zostawał w ciągłych i ścisłych stosunkach z piśmiennictwem warszawskiem; w Żytomierzu (gdzie osiadł w roku 1853) objął kuratoryę szkół, a zarazem kierownictwo teatru. Gdy po śmierci cesarza Mikołaja I zmieniły się stosunki cenzuralne, a przez to ożywił się ruch piśmienniczy i dziennikarski w Warszawie, Kraszewski osiadł tam i objął redakcyę Gazety codziennej (później zwała się Gazetą polską). Po pierwszych wypadkach warszawskich w r. 1861 należał do delegacyi, która utrzymywała porządek w mieście i była, jakoby pełnomocniczką ludności wobec rządu. Gdy stosunki te wikłały się i naprężały coraz bardziej, Kraszewski na rozkaz rządu wyjechał do Drezna (w roku 1862) i tam już miał stałe mieszkanie (własny dom) do śmierci.

Po roku 1863 znaczną część dzieł swoich wydawał pod przybranem nazwiskiem Bolesławity; pisywał do wielu pism krajowych; zjeżdżał do Galicyi i do Poznania, gdzie miewał czasem publiczne odczyty. Gdy w roku 1879 kończyło się pięćdziesiąt lat jego autorskiej pracy, powstała myśl uczczenia go uroczystym obchodem jubileuszowym, który się odbył w Krakowie, w październiku rzeczonego roku. Zjazd był bardzo liczny, ze wszystkich części Polski; sędziwemu pisarzowi składano publicznie adresy i dary pamiątkowe. Przy tej sposobności złożono znaczny fundusz, którym on miał według swego uznania rozporządzić na cele publicznego użytku. Z tego funduszu powstała instytucya wydawnicza Macierzy polskiej we Lwowie.

W parę lat później rząd pruski oskarżył Kraszewskiego o tajne stosunki z francuskiem ministeryum wojny i o dostarczanie temuż raportów o stanie i rozłożeniu wojsk niemieckich. Aresztowany w Dreźnie, przewieziony do Berlina, zostawał Kraszewski pod śledztwem przez lat blizko dwa (1882—84). Wyrok sądowy skazał go na półczwarta roku więzienia w twierdzy. Osadzony w Magdeburgu, więzieniem i zmartwieniem doprowadzony do bardzo smutnego stanu zdrowia, Kraszewski tu (jak i przedtem w więzieniu śledczem) pracował i pisał ciągle. Zdrowie jednak podupadło tak oczywiście, że w jesieni roku 1885 pozwolono mu wyjechać za kaucyą (20.000 marek), która służyła za rękojmię jego powrotu. Udał się do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch; zdrowie jednak nie mogło się poprawić. Zeszedł tak cały rok 1886. W początkach 1887 zamieszkał w San Remo, gdy nagle w nocy 23. lutego zawalił się sufit w jego pokoju: trzęsienie ziemi! Wtedy chory starzec miał tylko jedno gorączkowe

pragnienie: uciekać z tego miejsca. Wyjechał też do Genewy, ale podróż wyczerpała ostatek sił i nabawiła go nowej choroby, zapalenia płuc. W cztery dni po przyjeździe do Genewy umarł 19 marca 1887. Pochowany kosztem kraju w Krakowie na Skałce (w grobie »zasłużonych«).

Kraszewski był najpłodniejszym ze wszystkich pisarzy polskich, jacy kiedykolwiek byli: prace jego liczone są na 200 dzieł, a 500 tomów. Jest też jednym z pisarzy najbardziej wszechstronnych. W powieściach, które stanowią część największą jego pracy, dotyka najrozmaitszych zjawisk i stosunków obyczajowego i społecznego życia; a zajmuje się prócz tego historyą, literaturą, sztuką, archeologią, filozofią, nieraz też bieżącemi sprawami politycznemi. Tak ogromny zakres pracy, w połączeniu z żywym, zawsze przystępnym, nieraz świetnym sposobem pisania sprawiał, że i wpływ jego był bardzo wielki. Pracowitość jego jest zdumiewająca: nie osłabił jej ani wiek ani złe zdrowie ani więzienie. Ta mnogość pism i rozmaitość kierunków miała wszakże tę nieuniknioną złą stronę, że Kraszewski musiał pisać pośpiesznie, pobieżnie; że dzieła jego są często zaniedbane w wykonaniu, a niedostatecznie rozważone w treści. Ale taka już była natura i talentu i usposobienia Kraszewskiego, której zmienić nie było w jego mocy.

Pierwsze jego powieści są słabe. Jest w nich jakieś umyślne sadzenie się na szyderstwo, błędne szukanie energii i dosadności w przesadzie: a obok tego skłonność do naśladowania francuskich i niemieckich romansów (Pan Karol, Cztery wesela). Następnie bierze górę pierwiastek chorobliwie romantyczny. Poeta lub artysta, w niezgodzie ze światem, staje się częstym bohaterem powieści Kraszewskiego. Powieść historyczna i praca historyczna (Historya miasta Wilna) rozwijają się równocześnie. Przez chwilę zwraca się Kraszewski do poezyi: pisze »Witoloraudę—rapsody białym wierszem w czasów pogańskich Litwy, później Mindowsa i Witoldowe boje. Poemata te nie przeszkadzały wszakże literackim i krytycznym artykułom i powieściom. Między temi ostatniemi zaczęły teraz zjawiać się jako nowości powieści z życia ludu (Ulana, Ostap Bondarczuk i t. p.), obok tych powięści historyczne (Zygmuntowskie czasy i t. p.), opisy podróży, rozprawy filozoficzne i literackie (Studya). Zamiłowanie w sztuce i pojęcie (mylne) artysty jako istoty skazanej z góry na to, by była niezrozumiana przez ludzi, a prześladowana od losu, wydały Sfinksa, najświetniejszą może z jego dawniejszych powieści.

Ostatnie lata pobytu na Wołyniu (1850—58) były może najświetniejsze w jego zawodzie. Z tego czasu pochodzą powieści: Interesa familijne, Dyabeł, Powieść bez tytułu, Dwa światy. Zajęty żytomierskim teatrem, zaczął Kraszewski pisywać komedye, do których wszakże nie miał szczególnego daru.

Lata pobytu w Warszawie (1858—1862), zajęte pracą redaktora dziennika, a później zapełnione ważnymi wypadkami, był mniej obfite w literacką produkcyę. Zato po roku 1863 ożywia się ona

na nowo, i to w najrozmaitszych kierunkach. Powstają powieści (pod imieniem Bolesławity wydane), z tych wypadków wzięte (Dziecię starego miasta, Szpieg, Moskal, My i oni, Czerwona para itp.). Wyszło też (pod własnem nazwiskiem Kraszewskiego) wiele innych powieści różnej treści, ogłaszanych w różnych pismach; były nawet ze świata starożytnego (Rzym za Nerona). Oprócz powieści pisywał do wielu pism polskich korespondencye i sprawozdania o ruchu literackim i naukowym w kraju i zagranicą. Wydawał też Rachunki, roczne sprawozdania z różnych kierunków polskiego życia (rok 1866—69). Oprócz tego pisywał dramaty i komedye (Trzeci maj, Miód kasztelański itp.). — Obok wielu powieści obyczajowych współczesnych, wraca Kraszewski znowa do powieści historycznej. Pobyt w Saksonii i łatwy stąd zwrot myśli do czasów saskich w Polsce, łatwość także poznania wielu szczegółów z tych czasów, wydały powieści takie, jak Hrabina Cosel, Brühl itp. Te zaś powieści z XVIII wieku naprowadziły Kraszewskiego na pomysł śmiały, ujęcia całej historyi polskiej (głównych jej chwil i epok) w powieści. Pierwszą z rzędu (i najświetniejszą) była Stara baśń. Autor, bardzo do tego swego zamiaru przywiązany, pracował nad nim niezmordowanie i doszedł w tych powieściach do połowy wieku XVIII. Czynność nie ustała do końca: w samem więzieniu Kraszewski pisał ciągle i nowe plany układał; ale dzieła jego z ostatniego okresu, a zwłaszcza z ostatnich lat, są słabsze; co się tłómaczy naturalnie i wiekiem i zdrowiem i przygnębieniem moralnem.

Jako pisarz powieści, Kraszewski miał talent ogromny. Właściwą jego siłą jest obserwacya i wyrazista, energiczna charakterystyka postaci (zwłaszcza śmiesznych lub zdrożnych; szlachetne, zbliżone do ideału udają mu się zwykle gorzej). Świetna była niekiedy charakterystyka czasów, zwłaszcza wieku XVIII. Treść często bardzo zajmująca, zawikłania i sytuacye wzruszające, czasem znowu komiczne i bardzo zabawne. Sposób pisania, kiedy niezbyt pośpieszny i zaniedbany, jest żywy, energiczny; nieraz wielka siła uczucia. Słabą stroną tego talentu, a raczej stroną odwrotną jego przymiotów jest pośpiech, niedbałość, zdarzające się powtarzanie tych samych pomysłów i postaci w kombinacyach cokolwiek zmienionych, wreszcie smak niedość wyrobiony, skłonność do przesady czy to w tonie potocznym, czy w tonie podniosłym i patetycznym.

Właściwą cechą i zasługą zawodu Kraszewskiego jest to, że jego książki treści najrozmaitszej, ponętne dla czytelnika jako powieści, przystępne i łatwe jako rozprawy naukowe, rozpowszechniły wielce zwyczaj i potrzebę czytania. Powieść przed Kraszewskim uboga, przez niego podniosła się na stopień daleko wyższy, nabrała znaczenia, stała się codzienną potrzebą społeczeństwa. Aż dotąd potrzebę tę zaspokajały (u ludzi wykształconych, zwłaszcza u kobiet) niemal wyłącznie powieści francuskie. Teraz książka polska potoczna, do codziennego użytku i rozrywki, zaczęła się szerzyć i zakorzeniła się jako konieczny w życiu czynnik. Gdy zaś Kraszewski i w powie-

ściach swoich i w rozprawach i w artykułach dziennikarskich dotykał mnóstwa stosunków obchodzących ogół i podawał wiadomości o mnóstwie rzeczy i kwestyi (literatura, sztuka, historya, filozofia, archeologia itp.), więc przez niego dochodziły te wiadomości aż do takich, którzy przedtem mieli o nich bardzo mało pojęcia. Tym sposobem działał on cywilizacyjnie, rozszerzał zakres myślenia i wiadomości, podnosi stopień oświaty.

Ale rzecz jest naturalna i nieunikniona, że wiadomości, w ten sposób udzielane, musiały być powierzchowne. Kraszewski sam miał umysł pojętny, chwytny, ale więcej żywy, niż głęboki. Stąd jego własne wykształcenie miało charakter eklektyczny, obejmowało mnóstwo rzeczy, ale nie dochodziło do dokładnej i pewnej nauki.

Jak zaś jego wykształcenie i jego wiadomości były więcej rozległe niż głębokie i pewne, tak znowu jego pojęcia i zasady były niestałe, chwiejne. Umysł ciekawy i pojętny, przestawał na encyklopedycznem przyswojeniu sobie wiadomości, których nie zgłębiał; podobnie charakter, uczuciowy i wrażliwy, przystępny był wszystkim pojęciom lub ideom, wciągał je w siebie, ale z nich stałych przekonań i zasad nie wyrobił. Ta sama chwiejność, ten sam eklektyzm, który jest w jego nauce i wiedzy, jest także w jego pojęciach politycznych, religijnych i filozoficznych.

Z tego względu jest Kraszewski bardzo nauczającym i bardzo wiernym wyobrazicielem swego społeczeństwa: podziela on gorąco i wyraża żywo dobre uczucia i skłonności tego społeczeństwa, przez to jest tak wziętym i ulubionym. Ale jest zarazem i wyobrazicielem naszej wrodzonej i powszechnej wady, skłonności do eklektyzmu, do powierzchowności wykształcenia i wiedzy, do niejasności i niestałości pojęć i przekonań. Ma zato przymiot u nas rzadki, przez który może nam być doskonałym przykładem, pracowitości wielkiej i niezmordowanej i nieustającej, w której jest naturalnie i cnota wytrwałości i wielka miłość swego narodu. Przez talent niepospolity, przez wyjątkową płodność tego talentu, przez wpływ, jaki wywierał, przez to wreszcie, że jego dzieła mogą kiedyś potomnym służyć za średnią miarę umysłowego i cywilizacyjnego stanu naszego społeczeństwa, Kraszewski choćby z czasem przestał być czytanym, zostanie zawsze w literaturze jako pisarz wielkiego znaczenia.

ZE SFINKSA.

(Jan Rugpiutis, syn żmudzkiego zagrodnika, zdolnością swą do rysunków zwrócił na siebie uwagę dziedzica; dzięki jego pomocy przez pięć lat kształcił się w Wilnie, następnie wybrał się w podróż do Warszawy. Po drodze spotkał się z wojewodzicem S..., którego tak zachwycił wyrysowanym na prędce szkicem jakiegoś zamku, iż ten dał mu list polecający do Bacciarellego, nadwornego malarza króla Stanisława Augusta).

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani nawet jak trafić. Wyszedł zamyślony błądzić po mieście. Szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. W blaskach jasnego dnia wydało mu się miasto wielkiem, pięknem; lecz wielość ludzi. ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak tu dać radę wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy, nieraz słyszane:

„Miasto wielkie tysiące dla malarza nastręcza pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił mu niegdyś nauczyciel — wyrzec się świata i pokus jego; stłum w sobie żądzę, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie".

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział, czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojnem oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zamku, bo król musi go mieć pod ręką i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to: — król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącaj ku niemu z tylu się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórcu ogromnym w taki wpadł zgiełk ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne, zleżałe ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, wkońcu całkiem głowę stracił i nie wiedział, co począć.

Nazajutrz o południu Jan potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał stąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą, i wiele a wiele

pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijść mu dalej nie dozwolono.

Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francusku; Jan nie umiał po francusku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się, czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jakto od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę, i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G... Czekał do samej piątej, aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sesyi malarskiej, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośnem mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową i począł zrazu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną:

— No, czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyj, rzekł: mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzic S... chce, bym wam pomógł i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co roku przez ciąg pa-

nowania malowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach; najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebijał się z fizyognomii królewskiej. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończało koronki i t. p.

— Gdzie pan byłeś? — spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani? A! a! Włoch, Florentczyk, povero. — Skrzywił się. — Co umiesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon*... ale tylu już mam w swojej malarni. Weź waćpan kredę — dodał od niechcenia — i odrysuj mi co chcesz na tem płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan, pomimo przelęknienia, rzucił kilku śmiałymi rysami głowę starca (w rodzaju św. Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nieźle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli. Lecz możeszże malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A! tylko rok?

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: „Na nic mu się nie przydam!“.

— Jeśli pan pozwolisz — dodał — ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba...

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — dorzucił niedbale —

mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pędzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza psuł umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca, już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jej, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była, prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrysy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jej zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli to bladł, to czerwieniał.

— Che diavolo! — przecedził przez zęby: wcale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcyą, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? — spytał Jan nieśmiało.

— Tak — rzekł malarz. — Co zrobisz, będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie koledzy go nauczą.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz, kolego? i skąd przybywasz? — rzekł jeden.

Jan dopiero po tem pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej, ale czystej. Drugi, za nim stojący, mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskiemi i blademi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wspartą. Trzeci, mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos miał ciemny, rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapień; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty, cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie aksamitnym na uchu, z włosem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno-niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pędzlem po palecie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzieindziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was, panowie i przyszli towarzysze, proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Te kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie, poszli zaraz do sąsiedniej sali, śpiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał z trzema, z owym figlarnym śmieszkiem, z pierwszym co go był zapytał, i z smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci, Boże, szczęście! mój Żmudzinie, mój Litwinie — rzekł żartowniś; — ale czy wiesz, co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogańską i że czci żaby i węże; musimy cię więc naprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro

ułomny; daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, śpiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale będzież ci smakował, kolego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! zawołał wesoło chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Dixi.*

To mówiąc porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy, co Jana zapytał, i ułomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłonie i prawie razem szepnęli: „Poczekaj, pójdziemy razem".

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Feliksem; jaki zły duch zagnał cię do Bacciarellego?

— Zły duch? — spytał Jan; ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj, śliczne szczęście! przedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować jak machince, pracować dla niego ze swej myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks, zwany Chmurą; opowiesz nam, jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z wojewodzicem.

— Wojewodzic S..., rzekł Chmura, zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Nicże się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego, co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłómaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Zato używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że stąd po niejakim czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! żaden przecież tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go, jeśli o to się stara: niewiele stoi o wyraz, trochę więcej o miły, harmonijny koloryt, a nadewszystko o podobanie się królowi i tym, przed którymi dworuje. Najwięcej robi portretów. Jeśli kogo wyśle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję, jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz! dodał Chmura.

— Bierzcie mnie, jak widzicie. Wolę być oszukanym, niż oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się; wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i niełatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może nic do wyboru, chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście, jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem, a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś niezepsuty i poczciwy, rzekł powolnie; przyjmijże niektóre rady, mogące ci bardzo w nowem życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemiła, zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie narobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi, co ma minkę Rafaela. Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem

Bacciarellego. Wesoły chłopiec, co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin wzdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata i gotowi spodlić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura; przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i razem gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie okażesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydawało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem, nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Niepodobała się ta maniera mistrzowi i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do maniery miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nie nauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najlżejsze odstąpienie od swego sposobu karcił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość — swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi środki i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę, a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chceszli być artystą, unikaj miasta... To Sodoma i Gomora.

*

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionej i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimer młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzedanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III. pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan, dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tej Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie lub włócznie łamali nadkruszone.

Przypatrywał się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego, i całej przepysznej uroczystości, takiemi naówczas okrytej oklaskami, i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazujutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel! jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III. ożył.

gdy król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc na niego: — „A to wcale dowcipnie!“ (ale z gorzkiem ust skrzywieniem); — Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go

wprawdzie wykonał i massy tylko pooznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król, tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, chodził od trójnoga do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel! — rzekł Stanisław August — i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! jaka śmiałość ręki! jakie grupowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Winszuję ci, mój chłopcze! — odezwał się król, wpatrując się coraz uważniej w rysunek; — prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był — gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj — rzekł Jan — jeśli chcesz i jeśli ci kazano; ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego! — kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go blady i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością — odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje: za to mu płacę. — rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. — Taka była umowa nasza. Podoba mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem! — wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę, nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały! — zawołał Bacciarelli, ściskając ramionami i ostrem wejrzeniem ścigając Litwina. — Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

— Ja?! Z rozkoszą woli najj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jego jest, aby Rudolf malował.

— Niechże maluje! — odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? — dodał tryumfujący Bacciareli.

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w niepojęty gniew wprawiła Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i dalej. Król dowiedział się o tem.

Niebardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich...

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości, corocznie się malującego. Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał, wpatrując się w niego:

— A co? mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie — podchwycił Włoch szybko — jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? — dodał z intencyą król, mierząc go oczyma.

Ten postrzegł, a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci niedobrego, i chciał wyprzeć się nie swojej roboty, ale Włoch przerwał, nie dając mówić:

— Zdaje mi się — rzekł żywo — żem się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle;* pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecie rysował? — spytał król obojętnie.

— Nie ma go tu — odrzekł Bacciarelli; — nie wiem, czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię, mości Bacciarelli.

To rzekłszy król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan zrazu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał, jakby nie wiedział, dlaczego tyle dni nie pokazywał się w pracowni i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięsko z tak trudnego zadania. Jan, podżegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydzieło: drobniutkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne, choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światłocieniem. Pod pretekstem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i, zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tem nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrzeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na niem roboty swej nie mógł znaleźć! Oczy mu zaszły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— Che bestia! — mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowem, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go, czegoby sobie życzył.

Ośmielony łagodnem i wesołem wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historyę, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań niepohamowanych każdego artysty: — Włochy!

— Jedź! — rzekł król — a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małem. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przesyłaj mi roboty swoje. Prócz tego — dodał cicho — nie masz tu podobno przyjaciół.

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozpłakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potem, opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Z CHATY ZA WSIĄ.

(Do wsi Stawisk, na pograniczu między Wołyniem a Podolem, przybyła banda cygańska, a pośród niej młody chłopak Tumry. Ten niebawem pokochał Motrunę, córkę starego gospodarza Lepiuka, który sam będąc z krwi cyganem, mimo to zagroził córce przekleństwem, gdyby za Tumrego poszła. Kiedy cyganie wieś opuścili, Turmy pozostał, i za wsią, koło cmentarza budować zaczął chatę. Lepiuk spalił mu ją. Wkrótce potem zachorował i umarł, nakazawszy synom, aby się wyparli siostry, jeżeli odda rękę Tumremu. Pomimo tego za wdaniem się dworu przyszło małżeństwo to do skutku i odtąd żyli Tumry i Motruna w chacie koło cmentarza, walcząc z coraz większym niedostatkiem. Nędza oziębiła ich stosunek do siebie: Motruna tęskniła za domem, Tumry za cyganami; gdy zaś ci powtórnie przybyli, wpadł Tumry w rozpacz i, szarpany namiętnościami, powiesił się wkońcu. Na krótki czas przedtem powiła Motruna córkę, której wychowanie stało się odtąd jedynym celem życia nieszczęśliwej kobiety. Atoli wkrótce zabrakło jej sił i umarła, powierzając dwunastoletnią ledwie córkę opiece żebraka Rataja i jego żony, znachorki Sołoduchy).

Dziewczęciu w jej lepiance ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczem słowem ani ciasno tego rozu-

mieć i zastosowywać potrzeba, czego nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Niejedni kapłani mają je sobie udzielonemi; wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystem i poczciwem, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególny, do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez anioła opiekuna niewidzialnie ześle Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza Bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu i, spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą się ziemię, na gospodarski ruch wioski, której głos jej dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błądziły machinalnie, goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakie to maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm i życie im daje... Pracują niebożątka i, siedząc w strzesze przegniłej, gniazdka sobie budują i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty: „Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją ani żną ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyliż wy nie daleko ważniejsi niźli one?“

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegożbo ja stoję w progu? — spytała sama siebie — łzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą; zmówię pacierz za matuchnę i koło chaty się wezmę!!

I przeżegnawszy się, wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny rozpatrując się, jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukień i biedoty leżały bezładne; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko, na którem umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jej ścisnęło: ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do tej bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubem płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jej żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościerała stoły i ławy, poprzechowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, skąd weźmie drzewa na opał, skąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chróśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nazbieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędła... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Świtek stanie mi na całe życie: w starej chodzić będę w dni powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda... niema głodu! E! dam sobie rady przy pomocy Boskiej, przy opiece matki,

bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! stamtąd ona silniejsza niżeli tu była, bo u Boga żyje i od Boga dziecku co zechce wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niem, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą stąd całą widać było jak na dłoni: pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czem, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyśliwała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chróstu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jej z oczu pobiegły:

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejdą do reszty, oschnie, i w chróśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogienek rozpłonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnej zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tem żyć można? — mówiła w duchu, zajadając zacierkę chlebową. — Ot, i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się i wziąwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jej raz-wraz biegało po chatce, po sierocem dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli, jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę, gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słychać jak ucieka, i już około południa ktoś przed chatą zagadał! Myśląc, że to Soło-

ducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić: wtem drzwi się otwarły i dwie nieznajome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcąc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia, wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała, żeby się do niej odezwały; aż nareszcie Maksymowa, szturknięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się znamy... ale —

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być: haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niej czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono... a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie — dodała Marysia, zmiatając im ławę fartuszkiem, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszły choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być samej!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno — odezwała się Marysia uśmiechając; ale mi tu wróble swoim językiem cały Boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagląda, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę

do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, tażto i stary lepiejby nie potrafił... Nie widziana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcąc między sobą i trącając łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcej niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom, choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie, do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę — mówiła im Marysia; — nie mam was czem przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czem chata bogata, tem rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jecie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic: alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, bylem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przędziwo nie przepadnie i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebiedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzędę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a co raz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dolę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja mileńka — odezwała się Maksymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy—rzekła Marysia.—Jużem się wypróbowała i obmyśliłam, jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe: a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet wkońcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły; jak siedziały na ławie, tak poza siebie zasunęły, co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance: z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskiem, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słychać tylko o niej. Nienawiść ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała się zobojętnieniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczyna da rady: przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, skąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

(Samotny pobyt Marysi w chacie przerwało zjawienie się młodego szlachcica Choińskiego, który na dobre zakochał się w pięknej »cygance« i odtąd coraz częstszemi niepokoił ją odwiedzinami. Ojciec jego, dowiedziawszy się o tem, udał się do Marysi i tak surowo ją

złajał, że biedna uległa namowom cyganów, bawiących znów w pobliżu, i z nimi poszła na wędrówkę. Młody Choiński puścił się za nią, oznajmiwszy przez Sołoduchę rodzicom, że nie myśli wracać; wówczas ojciec, wyrzekłszy się dumy szlacheckiej, dogonił go i zezwoleniem na małżeństwo skłonił i jego i Marysię do opuszczenia obozu cyganów).

Z BRÜHLA.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. — Szerokim gościńcem, przerzynającym puszczę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnemi; środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołem usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionymi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcej szczęśliwie Saksonii i Polsce, Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król, mimo wieku, wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdążał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córa, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Znużeni jeźdźcy pozsiadali z koni, gdzie który mógł popadali

na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rzęsiste, dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodal od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny, dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia, przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z meiseńskiej porcelany, biała, różowa, niemal dziecinnej i dziewiczej piękności, z uśmieszkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającemi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozpłomienieć i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. — Kochali go niemal wszyscy, nie wyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczem, nigdy nikogo nie chciał zaćmić, a mimo to wezwany do jakiejkolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Był to ubogi szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Soemmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce, lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich młody paź ze swoją miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak, co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu nigdy w życiu nie widział, a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor, i tak swą służbę zrozumiał, starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzał, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejednał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do usługi sercem. Nie obawiano się wcale, aby takie niebożątko pokorne mogło zajść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Nigdy słówko złośliwe ani dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliwa matka — natura.

I w tej chwili, gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak nazywano) przechadzał się samotnie po ścieżce, do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś, że to czynił, aby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwnie służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością wcale różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim, że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej

przepysznie. Peruka, jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy, porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVIII wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcej stworzony był na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz królewicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn niemajętnego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył to, co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo chociaż August II wyglądał przy swem zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć, jak najprostszy śmiertelnik. Z nowem słońcem wschodzącem i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu się najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie z powagą, ale z łaskawością razem.

(Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dawszy poznać Augustowi II swe uzdolnienie, został Brühl jego sekretarzem i tak sobie umiał zaskarbić łaskę króla, że tenże umierając polecił go synowi swemu jako najwierniejszego sługę. Od tej chwili był Brühl współzawodnikiem Sułkowskiego na dworze młodego króla. Sprzymierzony z królową i jej spowiednikiem ks. Guarinim, który w Sułkowskim widział człowieka niereligijnego i rozwiązłego, skorzystał z kilkumiesięcznej podróży współzawodnika i dokazał tego, że Sułkowskiego zaocznie pozbawiono wszystkich dostojeństw, a nawet po powrocie wzbroniono mu wstępu na dwór królewski.)

W r. 1756 w czasie wojny z Prusami, późną już jesienią, musiał August III uchodzić do Polski.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych szląskich miasteczek poka-

zało się z za szarej opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświeconymi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwej słoty na nocleg w mieścinie pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżnem, do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jedną miało. Dość liczna służba, towarzysząca już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie „pod koniem“ zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się, że dość będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiem i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscelencyi pobiegł „pod konia“, gdzie znalazł dość szumny dwór i dość pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego książęciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencyi.

Usłyszawszy nazwisko, książę ów dziwnie się skrzywił, zamyślił się i odparł Niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety, tak skutecznie, iż we wnętrzu jej mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl, nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać „pod konia“.

Spodziewał się, że tu ktoś wyjdzie przeciw niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie, gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocnem postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole, szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale niezmieszanego tem niespodziewanem spotkaniem,

nieco tylko podstarzałego, ale dumniejszego jeszcze, niż kiedykolwiek był — Sułkowskiego.

Książę stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem; obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad; zdawało mu się, że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak silnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Brühl stał osłupiały; widocznem było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszeć bajkę — rzekł Sułkowski — o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... Coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się napół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sułkowski. — Prawdziwie zabawna rzecz, takie spotkanie dla mnie, i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu losu ręka mię pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniej.

— Mości hrabio! — odparł Sułkowski — gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księstwa miałbym dziś wygodną kwaterę w Koenigsteinie.

— Mości książę — wtrącił Brühl — przypisujesz mi większą władzę, niż miałem... Upadek swój winieneś położyć naprzód na karb własnej nieopatrzności, potem słusznego czy nie gniewu królowej jejmości, naostatek woli N. Pana, której ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sułkowski — należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historya kiedyś zapisze, że N. Pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książę się mylisz.

— Hrabia nie możesz mnie przecież sądzić tak ograniczonym — dokończył Sułkowski — abym znając lepiej od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę za świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniej — odparł Sułkowski — bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, żeby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszem świadectwem Bożem jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszej polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek — rzekł; — zobaczymy, jak na tem wyjdą najezdnicy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu, co Saksonię! — roześmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonii — kłaniając się rzekł Brühl — nie potrzebowałem żadnych innowacyi, dosyć mi było wstępować w ślady mego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Saksonii — rzekł Sułkowski dumnie; — dowodem ten plan, który pochwyciwszy mu, wydałeś pan dworowi austryackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżymnął się.

— Ja? ja o tem nie wiem nic — przebąknął ponuro, zmieszany... Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia się do Brühla.

— Słuchaj, Brühl, mówię po staremu i bez tytułu — rzekł zwracając się — nie graj komedyi, przynajmniej ze mną; to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną, nie odegrasz jej w obliczu historyi, której kłamać niepodobna. Zakażesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje się wydadzą... Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość; ale nie jest w niczyjej mocy uczynić cię czystym przed historyą. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy pręgierza za życia, nie ujdziesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawnem! — zawołał Brühl, unosząc się — tajemnic nie mam; pragnę tego sądu, mości książę.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał, mości hrabio, nie unikniesz! to darmo... będzie nieubłaganym i okrutnym.

— Poddaję się mu — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś, mości książę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie udało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się zawołał Sułkowski — Padre Guarini, czy... Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

— Na honor, hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi, że jabym to samo co wy na waszem miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze, nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakicheście dokonali, przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii; znałem Augusta III., pana naszego, szlachetną, ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jej dopomagać. To, co mam, winienem wspaniałomyślności pana mego, a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książę — przerwał Brühl — tego już nadto!

Sułkowski się zwrócił ku niemu, ruszając ramionami.

— Przecież my oba, jak augurowie rzymscy, możemy się z tej komedyi za kulisami śmiać, nie kryjąc przed sobą! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym, dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze, kłaniającego się lokajom...

Ministra twarz bladła i czerwieniała na przemiany, niecierpliwość go porywała, widać było, że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nie rozpaczając jeszcze o tem, że się potrafi zbliżyć i wytłómaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszoność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociężałość, sądził, iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła. Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl wkońcu odezwał się, cedząc po cichu wyrazy:

— W. Książęca Mość winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce, gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce, panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie, niż ja jego obawiać

może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlachcica urósł na austryackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z W. Ks. Mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek, coby nie wiedział, jakeście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli? To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny — okłamaniem prawdy.

— Mości książę, jeżeli życzysz sobie, abym opuścił izbę — rzekł Brühl, zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedyi grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący. Wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą, przykuwającą go do tej jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał.

Minister namyślać się zdawał.

— Mości książę — odezwał się — mówmy jak starzy towarzysze.

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód, że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemię tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie za ciężkie.

— A tak — przerwał Sułkowski — mógłbyś się nimi podzielić. Liczmy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akcyzy generalnej, fundacyi naumburgskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pułkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacyi meisseńskiej kapitularz, proboszcz budziszyński, kawaler polskiego orderu Orła białego i rosyjskiego św. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! — śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortec saskich — przerwał Sułkowski. — Nie, dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i stamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owej sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym, a w innych świętoszkiem czyniła i chętnie odgrywał rolę niewinnej ofiary.

A! — zawołał — niema pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nade mnie, przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to, co mogłem nieraz dobrego uczynić, przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nade mną; ci, którym życzę dobrze, ścigają mnie.

— A! kochany hrabio! — śmiał się Sułkowski - rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystała wam. Gracie ją źle... Bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzejcie się przy kominie i nie mówmy więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku; siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwnem też położeniu, spoglądając niekiedy na siebie, przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjacielowi i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc, został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleźć ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny, a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczał i wył jesienny wiatr najdzikszymi głosami; czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jej tonem zgadzało... Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie zatrzaskiwały się same gwałtownie, tak, że ściany domu drgały. Resztki ognia, jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły

w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się wracały do komina. Najweselej usposobiony umysł musiałby był uledz wrażeniu tej nocy i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzemać obojętny.

— Pozwól mi książę słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie — szepnął Sułkowski.

— Król nasz dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał — ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u W. książęcej Mości, ale ksiądz biskup krakowski lub...

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić — odezwał się zagadnięty — że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie?? Nie łudź się pan tem, byłem i jestem świadomym wszystkiego, co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody, że królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisał robotę własnoręczną tam, gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto doskonałym jesteś artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać...

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! — rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. — Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie, przekonałbyś się, że znam moją sprawę do gruntu.

— Tak — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to powiedzieć powinien...

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach: ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz, hrabio, że chcesz być ich narzędziem — rzekł Sułkowski — i właśnie, żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjem, zostałem strącony. Do tej roli jam stworzony nie był, a waćpan odgrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałeś króla — rzekł minister, rzucając się w inną stronę — nie miłożby było zbliżyć się do niego?

— O! pewnie! gdybyście przez lat czternaście pracują nad tą łagodną i flegmatyczną naturą, nie uczynili z niej lata wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nie umiejącej kochać nikogo, a bawiącej się wszystkiem — westchnął Sułkowski. — Patrzeć dziś na tę ruinę człowieka nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszej...

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się, że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zabliźnić do reszty ranę i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z mej strony wszystko, co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi! — rośmiał się Sułkowski. Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwnem usposobieniu spotkałem w. ekscelencyę, między luteranizmem saskim a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszły się na granicy i zdublowały, a stąd taka pobożność!!

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce — odparł Sułkowski — *ratio status*

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was poczciwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc splunął Sułkowski, pochylił się i przylgnął niemal do szyby ciemnej, chcąc wyjrzeć na podwórze.

Potem słowa nie mówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego , wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do pierwszej lepszej wsi, gospody, chaty, byle stąd precz — zawołał. — A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnej, w której Brühla pozostawił: wolał sień zimną, a gdy nareszcie po dość długiem ocze-

kiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwy i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz: wszystko jedno!

Przez oświecone z wnętrza okna gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności, co się przed domem działo.

Powóz Sułkowskiego ruszył i głowa w oknie znikła.

ZE STAREJ BAŚNI.

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń świeżo rosą zlanych młodych liści i traw, które się w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwinęły. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi złociły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptastwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściało i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę... popatrzyło czarnemi oczyma i pierzchnęło... zatętniało za niemi — cicho znowu.

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleściał łoś rogaty — wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóz zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodymi, drżenie

osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów, suchych szum sosen i żałosne jodeł szelesty.

Szedł wiatr stąpając po wierzchołkach puszczy, i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu. Obłoczki białe rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie. W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojnie skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień ..

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szałas na prędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok, tuż, było wygasłe ognisko, spopielałe i kilka w niem niedopalonych głowni. — Poniżej w zielonych, bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszu, rozdęły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię; jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szałasu pokazała się głowa, cała włosami okryta długimi — zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod

gałęziami. Wkrótce potem rozgarniając je wydobył się z pod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długiem leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się — popatrzał na niebo, potem na konie... Te zobaczywszy go, zwolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie — nic słychać nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał nizkie czoło tak, że oczy wprost z pod nich patrzały. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się z pod wąsów i brody, wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi miał też suknem i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Z pod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosem okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, napół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała, zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami i wnet z pod nich wypełzło chłopię, wydobyło się z za liści — zerwało rześko na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

— Gerda — do koni! słońce weszło... Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkiem potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu, i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzódy napoju szukały. — Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię, siedzące

na jednym, ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali to poranna modlitwa?

Naostatek konie, napojone, podniosły głowy i jak zadumane słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognał ku szałasowi. Tu już nagotowane leżały suknem i skórą poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlazł jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na niem; rękami popróbował sakiew, na grzbiecie powiązanych, i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny, naprzeciw, rozgartując ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Z za gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach napół podziwieniem otwartych...

Podróżny tymczasem ku słońcu poglądał i na bieg rzeki...

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwie, obrócone na wschód łbami — starszy pomyślał trochę, oczyma łąkę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębinę. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowała — ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grzązką ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława

piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Oba podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem, wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć już tuż tuż, za gęstwiną coś szeleściało dziwnie... Zwierz spłoszony, myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniegdzie zwalona burzą kłoda, napół przegniła, pół z kory opadła, pogiętę od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. — Na wzgórzu... coś bielało nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry. Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie do koła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst dał się słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwiło na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do broni ma się brać czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiła mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując... a miotała się, jakby i ona groziła.

Konię, głosami tymi podżegnięte, przyśpieszyły kroku — ale nieprzyjaciela już ani widać ani słychać nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował naprzód, konia pędząc skoro — chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, śpieszył za nim, pochylony na szyi swojego... przebiegli tak staj kilkoro, aż nie słysząc nic, nie widząc pogoni — zwolnili kroku...

Starszy się dopiero obejrzał na chłopca ze zbladłą twarzą, z zaciętemi usty, z wytrzeszczonemi oczyma, przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała

się jeszcze. Tu dopiero na polance, konia ściągnąwszy starszy, obejrzał się na strzałę, i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bolu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Piorunyby w nich biły... i burze! — zawołał warcząc rudy. Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło się za bałwana...

(Mimo to dostał się Hengo szczęśliwie do chaty gospodarza Wisza, skąd po gościnnem przyjęciu udał się na zamek (Chwostka-Popiela), ażeby księżnie, Niemce rodem, zanieść pozdrowienie od rodziny. Po powrocie opowiedział Gerda córce Wisza o okrucieństwach Chwostka. Skutkiem tego wybrał się Wisz w natychmiastową podróż celem zwołania wiecu; lecz przypłacił to życiem, bo niebawem po powrocie napadli na jego dom ludzie książęcy i zabili starca).

W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi, zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor, hukając w umówiony sposób; lecz nim mu na jego głos odpowiedziano, nim nadeszły żona, córki, synowe, sługi i wnuki, noc już była w połowie...

Wśród ciszy lasów zdala ten pochód żałobny słychać było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanemi, z zamkniętemi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejęły smutkiem i grozą. Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przypadł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu... Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając po cichu.

— ...Odszedłeś nas — wołały płaczki — niema cię, panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców twoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały...

I miłość miałeś u ludzi... żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki. Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie, krew

twa pomszczona, zemsta nie syta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za niemi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce. Cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, nim otoczonem, wśród gęstego boru, który obcym bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bladym porosłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w którem popioły i ofiara obietna mieścić się miała: chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic — ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku; przy niem składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły jakby wschodami do góry, gdzie Wisza trup stał otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka,

przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby ustąpiły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią: wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki, i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i, objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi; przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwie, zajęły się nagle, szybko płomieniem jasnym, i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinymi do koła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc się uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając się chłonąć stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa, już przezeń zjedzone, opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzali z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało się im, iż ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odganiać należało złe siły, czarne bogi; i czterej parobcy na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi. Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było zczerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła; to znowu osła-

niały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomię ogromne, w którem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły... duchy wzleciały. Dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i obiatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarą.

Zarzewie na zgliszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i popiołu. Zsuwano głownie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą, przyniesioną ze świętego zdroju, zwolna zalewać zaczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnicę, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnicę pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze — duch uleciał:.. Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniósł nad popiołami Wisza...

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pra-

cujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i zdala niewiasty.

W tem gęśla zabrzęczała i cisza nastała wielka, gałęźmi tylko w lesie wiatr szumiał zdala... Słowan dobywał z piersi głosu.

— Pusty w lesie dwór twój stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... woju stary... włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata!... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół twój łzami polali; poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracać ci na ziemię... a po jasnem latać niebie — młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, obiaty ci nie skąpili... O Łado! Łado! Łado!...

Za starym wszyscy wołali: Łado! i rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

— Ojcze dobry... Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry:

— Krew za krew!

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, stał smutny i on, jakby własnego ojca utracił... I począł też wołając na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem:

— Stary Wisz niech się pocieszy! stanie się, czego on żądał, spełni się, co on przykazał... Idą wici, lecą wici... I starszyzna już zwołana... Strach na grodzie... Chwostek blady niewolników swoich zbiera... Na wiec pójdziem, poniesiemy krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy... i o zemstę powołamy...

Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący, pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróżki i przekleństwa rzucała, coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ściśnione pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar powiększał: starsi o zmarłym rozpowiadać zaczęli, jak on młody wiek spędził w znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak gość był dlań świętym... Kubki krążyły, żal stawał się coraz gorętszym i zemsty pragnienie.

Niewiasty także, siedząc na uboczu, śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego i przeciągnęło dzień drugi i noc drugą, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy, biegała na wyprzodki do celu pieszo i konno: rzucała kamieniami, próbowała sił, borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycieńczyło. Dopiero się wszyscy rozchodzić poczęli, mogiłę żegnając jeszcze, a okładając ją gałęźmi zielonemi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgliszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi, przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj Ludek — rzekł — albo to pora albo nie, mówić o takiej sprawie... a ja chcę z serca zrzucić, co na niem mam... Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman braciom ręce podając począł:

— Ja z wami... ja wam bratem chcę być, bądźcie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek, który po ojcu odziedziczył ten sam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo ni wiele, ale co rzekł, to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on to nie swoją uczynił wolą... Co myślicie poczynać?

— Dobrzeście wprzódy rzekli — odparł po namyśle Ludek — zaniesiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym

ją przed starszyzną i rzeczemy: Zginął Wisz za was, za wiec — niech wiec stanowi o pomście za krew jego.

(Do wielu strasznych zbrodni dodał Chwostek najstraszniejszą: sprosiwszy stryjów na ucztę, potruł ich za radą żony. Nie minęła go jednak kara, bo zbuntowany lud, z rodziną Myszków na czele, napadł nań w jego zamku i zamordował. Synowie jego, których dziadek, ojciec księżny, przysłał ze zbrojną odsieczą, również zostali pokonani, a wiec, zgromadzony dla wyboru nowego władcy, godność książęcą oddał Piastowi).

Lucyan Siemieński.

Urodzony w Magierowie (w Galicyi) w roku 1809. Szkoły odbył w Lublinie. Po ich ukończeniu wysłany był przez opiekuna (wuja Dłuskiego) do Odessy, gdzie miał się uczyć języków wschodnich, w zamiarze wstąpienia do służby konsularnej. Ale gdy wybuchło powstanie roku 1830, Siemieński pokryjomu opuścił Odessę i wstąpił do wojska. Wzięty do niewoli, dzięki usilnym staraniom przyjaciół, uniknął zesłania w głąb Rosyi lub na Sybir. Dostał się do Galicyi. We Lwowie, w ścisłej przyjaźni z Bielowskim, Szajnochą, Goszczyńskim, Polem, Józefem Borkowskim, wspólnie z nimi zajmował się literaturą i starał się o jej ożywienie w Galicyi. Jak wszyscy w owych latach, tak i oni z zapałem oddawali się poezyi, a szukali jej odrodzenia w pierwotnych instynktowych poezyach ludowych, przedewszystkiem ludów słowiańskich. Z tego popędu wyszedł Bielowskiego przekład Wyprawy Igora na Połowców. Siemieński wybrał sobie Królodworski rękopism, o którym podówczas nie było wiadomo, że jest podrobiony, lecz uchodził za autentyczny zabytek odwiecznej bohaterskiej poezyi czeskiej. Oprócz Rękopismu tłómaczył wiele mniejszych pieśni słowiańskich, romańskich, a nawet celtyckich ludów. Pisał też i sam drobne wiersze liryczne; próbował się w poematach większych rozmiarów; prozą pisał powieści i małe rozprawy. Przy ówczesnej cenzurze drukowanie tych utworów było trudne. Ledwo udało się wymienionym młodym pisarzom otrzymać pozwolenie na pismo zbiorowe pod tytułem Ziewonia, ale i tego wydawnictwa musieli niebawem zaprzestać.

W roku 1838 Siemieński (jak wielu innych) dostał rozkaz wyjazdu. Udał się do Francyi (naprzód do Strasburga); wszedł w stosunki ze znakomitszymi ludźmi emigracyi i pisał (zawsze głównie poezye). Nauka Towiańskiego i jego pociągnęła do siebie zrazu silnie, ale nie na długo. W roku 1844 zebrał i wydał swoje poezye; w zbiorze tym, oprócz wymienionych wyżej tłómaczeń, znajdują się ładne oryginalne poemata (Trąby w Dnieprze, Trzy wieszczby i t. d.) i znaczna liczba drobnych wierszy, a między tymi niektóre bardzo ładne. Lata 1844/45 przepędził w Poznańskiem i tam

napisał Wieczory pod lipą, historyę polską dla młodego wieku, która, mimo pomyłek wspólnych całej ówczesnej historyografii polskiej, a później wykrytych i sprostowanych, sposobem pisania, prostotą i żywością opowiadania jest do dziś dnia najlepszą, jaką w tym rodzaju posiadamy. Wydalony z Poznania (1845), udał się do Brukselli. Tu zaczęły się ścisłe przyjazne stosunki z generałem Skrzyneckim (zostającym w służbie belgijskiej), który wpłynął znacznie na wyrobienie pojęć i przekonań Siemieńskiego, a przedewszystkiem wyleczył go do reszty z pociągu do nauki Towiańskiego. W roku 1848 powrócił Siemieński do kraju i osiadł w Krakowie. Znany i słusznie ceniony jako krytyk i znawca literatury powszechnej, a przedewszystkiem polskiej, powołany był na jej katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim; ale niebawem z niej usunięty, zamknąć się musiał w tem polu działania, jakie mu otwierał dziennik Czas, którego był jednym z założycieli i pierwszym redaktorem. Pole to wszakże było bardzo rozległe, a Siemieński rozwinął na niem czynność wieloraką i skuteczną. W sprawozdaniach dziennika miał sposobność i obowiązek mówienia o wszystkich bieżących zjawiskach i kierunkach literatury własnej i obcej. Były to (z natury rzeczy) rozprawy małych rozmiarów — co zresztą do rodzaju jego talentu było najlepiej zastosowane — ale mieściły w sobie tyle nauki, wykształcenia i smaku, że roznosiły mnóstwo wiadomości i trafnych pojęć; pisane z rzadkim darem i wdziękiem prostoty, żywości i dowcipu, były bardzo ponętne. Artykuły te i rozprawki, razem zebrane, składają kilka większych całości, jak Pogadanki literackie, Kilka rysów z literatury i sztuki i t. d., które przy treści rozmaitej, a lekkim sposobie pisania, mają wielką wartość. Nie przestając na literaturze, był Siemieński pierwszym u nas prawdziwym krytykiem sztuki, do której wrodzony pociąg i upodobanie wykształcił za granicą do stopnia prawdziwego i umiejętnego znawstwa. Nie przestając na krytyce literatury współczesnej, pracował wiele nad dawną. Owocem tych studyów były Portrety literackie, czterotomowa publikacya, obejmująca krótką, ale dosadną i prawie zawsze bystrą i trafną charakterystykę wielu pisarzy polskich, od najdawniejszych aż do najmłodszych. Większe dzieła jednolitej treści szły mu trudniej, i na nieszczęście nie były skończone; tak Dzieje literatury powszechnej, których jest jeden tylko tom, obejmujący świat starożytny, i Żywot Kościuszki. Prace krytyczne i naukowe nie zdołały przecież oderwać Siemieńskiego od poezyi. Pisywał zawsze z wielkiem upodobaniem i powodzeniem drobne wiersze liryczne, z wielkim dowcipem bajki (zwykle polityczne, podobnie jak bajki Niemcewicza, dlatego podpisywał je pseudonimem »Ursynka«); czasem powiastki wierszem (na przykład Mimoza); ale głównie zwrócił się do tłómaczeń. Przetłómaczył wybór niektórych Ód Horacego; jest to niewątpliwie najpiękniejszy polski przekład tego poety. To tłómaczenie rzeczy klasycznych służyło mu za wprawę i przygotowanie do wielkiego dzieła jego starości, do przekładu Odyssei. Jego Odysseja jest niezaprzecze-

nie jednym z najpiękniejszych na świecie przekładów Homera, a najpiękniejszym jego przekładem polskim.

Po wypadkach roku 1863 (w których stracił jedynego syna) stawał się coraz smutniejszym. Wrodzona wesołość i bystry dowcip błyskały jeszcze czasem, ale rzadko, a w ich miejsce występuje coraz wyraźniej zamyślenie, pamięć o śmierci, pobożność, czasem ciężka tęsknota i rozczarowanie. Temu usposobieniu odpowiadają jego przekłady mistyków i poetów religijnych (św. Teresy, św. Bonawentury, św. Jana od krzyża i t. d.). Ale świecka i literacka praca nie ustaje; owszem w tymto ostatnim okresie powstała znaczna część Portretów literackich, Odysseja, parę powieści, rzecz o ogrodach, kilka rozpraw z zakresu sztuki: ciągła i wielostronna czynność utrzymywała się do ostatka. Zdrowie psuło się nieznacznie, od kilku lat, ale nie zapowiadało wcale blizkiego końca, który przyszedł prawie nagle, w Krakowie 27. listopada roku 1877.

Zawód pisarski Siemieńskiego dzieli się na trzy okresy. Zrazu to młody romantyk, biorący poezyę za swoje główne powołanie; ten okres młodości, wyłącznie poetyczny, trwa do wyjazdu za granicę, do roku 1838. — Dziesięcioletni okres emigracyjnego życia, to znowu różne działające na niego wpływy pojęć i doktryn filozoficznych, politycznych, nawet religijnych, które wywołują pewien zamęt i brak równowagi w jego duszy i w jego dziełach. Ale zarazem są to lata, w których pod wpływem i piśmiennictwa zagranicznego i naocznej znajomości dzieł sztuki, kształci się i wyostrza jego zmysł artystyczny, a jego umysł zbogaca się mnóstwem wiadomości i doświadczeń, dochodzi do rozległej i poważnej wiedzy. — Trzeci wreszcie i ostatni okres jego dojrzałości, od roku 1848 do śmierci, to praktyczne spożytkowanie nabytych nauk i wrażeń i praktyczne, skuteczne działanie w literaturze. Jako pisarz prozaiczny jest on przedewszystkiem wzorowy pod względem języka i stylu, a pod względem jednego ich przymiotu, to jest lekkości i żywości, może u nas niedościgniony przez nikogo.

Z usposobienia pogodny i wesoły, niezwykle dowcipny, Siemieński jest jednym z nader rzadkich u nas pisarzy, którzy umieją być wesołymi, zabawnymi, naturalnymi, a nie wpaść nigdy w rubaszność i zły smak. Niezmiernie przystępny wrażeniom sztuki i wrażeń takich chciwy, bystry przytem, wiele i łatwo obejmujący, doszedł do bardzo wszechstronnego i poważnego artystycznego wykształcenia. Przez swój sposób pisania zaś, prosty, przystępny, a bardzo powabny, stworzony był jak umyślnie na to, żeby lepsze pojęcia, lepszą znajomość rzeczy literackich i artystycznych szerzył i wykształcenie ogółu na wyższy stopień podnosił. Do rozumu, talentu i wykształcenia dodajmy szlachetne i wzniosłe uczucie, miłość ojczyzny gorącą, odwagę w mówieniu prawdy, trafne zawsze rozróżnienie złego od dobrego, wysoki cel życia, jaki sam przed sobą widzi i drugim wskazuje — a będziemy mieli całość pisarskiego zawodu i żywota, w której duch publiczny i charakter obywatela łączy się doskonale i równa z talentem i wieloraką zasługą pisarza.

Z WIERSZY DROBNYCH.

Komu w drogę — temu czas.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękicie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem — księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołem lub chmurnem licem!
Jutro już może nie powitam was: 5
Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru mistyczne szumy w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mruczące kryształy,
Rozmyślań mych towarzysze! 10
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni 15
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwytać was:
Komu w drogę — temu czas!

Wy, uskrzydlone duchy, z dłutem, pędzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mię do siebie, 20
Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie!
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!

O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne, 25
Marzenia wieszcza, zapału ekstazy!
Życia rozkosze już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas! 30

O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie! — Twórczość to niepłodna;
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdym nie dopił się do dna.
Bezsilne... więcej grób powie od was... 35
Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,
Pójdę ku słońcom, w przestwory szafiru!

Gdzie czysta prawda będzie mi podaną,
Wykuta jakby z porfiru. 40
Żal mi serc kilku... Moi! żal mi was!...
Komu w drogę — temu czas!

Czas do Boga.

Ziemskim potęgom tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień!
Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
Razem uderzy, a pole odłogiem... 5
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!
W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
A choć wśród cierpień i jęku rozpaczy
Na promień łaski człek baczył tak mało,
Tak bezrozumnie dufał w szał junaczy, 10
Że myślał niebo zwalić pychy rogiem:
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!
Odkądem z starą wziął rozbrat osobą,
Ścieżki mych ojców jako drogi mleczne
Widzę za sobą i widzę przed sobą 15
Ścieżki przyszłości ni to tęcze śliczne...
Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiem?
Czemużem z ojców nie łączył się Bogiem?!
Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci!
A ta ich wolność — to na dusze śruby;
W miłości ojca najwolniejsze dzieci:
I głów nie ugną, nie klękną przed wrogiem...
Czas nam — czas, bracia, połączyć się z Bogiem!...

Kto wspomni?

Burzami gnany wędrowiec
Czyż swoją ziemię powita?
Czy się o jego grobowiec
Blizka potomność dopyta?

Jeżeli miejsca spoczynku 5
Nikt z druhów nie zwilży łezką —
Kalino, różo, barwinku,
Strząście nam rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwrócą lica, 10
Przyświecajże mu łagodnie,
Cichy promieniu księżyca!

Jeśli nakoniec nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni —
Wspomnijcie, gaje i niwy, 15
Wspomnijcie, ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękicie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie! 20

Z OBOZU KLASYKÓW.

Spór między starożytnymi a nowożytnymi, którzy z nich lepsi — nie od dziś się datuje.

Jeszcze za Rzymian pod Augustem starzy poeci mieli swoje stronnictwo, prześladujące i oczerniające nowych poetów. Horacy, należący do tych ostatnich, był jakby romantykiem ówczesnym; dość przeczytać list jego do Augusta (II, 1, 34—38), aby się przekonać, jak sobie drwi ze starożytnych, zapytując, czy wiersze tak jak wino im starsze, tem lepsze? a pisarz, żyjący przed stu laty, czy ma być policzony do starożytnych, to jest wzorowych, czy między partaczów, to jest nowych pisarzy?

Sławny siedmnastego wieku filozof Kartezyusz poruszył to pytanie w dowcipny sposób: „Nie mamy żadnej rozumnej przyczyny — mówi on — przyznawać tak wielką zasługę starożytnym za ich starożytność. My to raczej powinniśmy nazywać się starożytnymi; świat bowiem starszy dziś, niż za ich czasów, a doświadczenia nierównie więcej mamy, niż oni".

Argument ten, w którym filozof daje znaczenie wyrazom odnośnie do wszechświata, a nie do człowieka dziś żyjącego, pochwycono przed stukilkudziesięciu laty we Francyi i zaczęto zapuszczać się w coraz głębsze rozumowania, dowodząc, że jak dla jednych, uznana powaga wszystko rozstrzyga, tak dla drugich własny rozum służy za powagę. Jedni też lubią powoływać się na starożytnych i dają się jak dzieci ojcom prowadzić; drudzy utrzymują, że starożytni, należąc do młodego świata, właśnie są nowożytnymi, a nowożytni, jako żyjący w starym już świecie, mają prawo nazywać się starożytnymi i stanowić właściwą powagę.

Pocieszne te subtelności, czepiające się znaczenia wyrazów, służyły potem za punkt wyjścia w długiej wojnie piórowej między stronnikami wzorów greckich i rzymskich a obrońcami nowożytnej literatury.

Walka ta przeniosła się i do Włoch i do Anglii, gdzie najnudniejszemi rozprawami spierano się o pierwszeństwo to dla starożytnych, to dla nowożytnych. Pope najtrafniej godził kłócących się, powiadając: „Nie przywiązujcie się ani do tego, co stare, ani do tego, co nowe; ale umiejcie odrzucić fałszywe piękności, a podziwiać utwory z piętnem prawdy".

W rzeczy samej, wszystkie te spory rozstrzyga to wyorne zdanie; zapomniano jednak o niem, kiedy przed pięćziesięciu laty wytoczyła się wojna klasyków z romantykami.

Jest to pierwszy spór literacki, jaki przeniósł się z zaranicy i do naszej literatury. Dawniejsze spory z 17-go i 18-go rieku nie dostały się do nas. Czemu? bo ani czasopism literackich nie było ani też literaci nie tworzyli osobnego ciała. Jawet nie istniało nazwisko literata. Ten był ziemianinem, en księdzem, ten kanclerzem, ten hetmanem — a jeśli pisał, o nie w zamiarze, żeby być policzonym do tej lub innej zkoły. Właściwe koło literatów sformowało się dopiero na lworze Stanisława Augusta i utworzyło nową szkołę, która nie potrzebowała z literatami, reprezentującymi dawną epokę republikańską, staczać walki na polu teoryi, z prostej przyczyny, że zastawszy przysposobione umysły, miała opinię po sobie. Tamci szli w zapomnienie, ci używali wziętości i protekcyi, dopóki przeciw tym nowatorom, wyczerpanym już i zużytym, nie zaprotestował w pierwszych dwudziestu latach 19-go wieku romantyzm.

Tradycya literatury Stanisławowskiej najuparciej przechowywała się w Warszawie i miała tam główny swój obóz, nad którym powiewała chorągiew dobrego gustu. Jak Turcy koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tem, żeby nic takiego nie powiedzieć, czegoby się nie znalazło w pisarzach podawanych na wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył się na niezwykłe wyrażenie lub z śmielszą, a mniej spowszedniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez tych arcykapłanów świątyni gustu, wprawdzie nie po pismach publicznych (nie lubili bowiem wdawać się w drukowane rozumowania), lecz na koteryjnych zebraniach, gdzie niemiłosiernie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi, a głównie w poufnych literackich korespondencyach, tworzących niooszacowany materyał, dający poznać ich sposób sądzenia utworów romantycznej szkoły, a wogóle stan literackich pojęć.

Szczęśliwy przypadek rzucił w moje ręce kilkaset listów, obejmujących peryod najżwawszej walki między klasykami a romantykami, t. j. od roku 1823 do 1830. Są to korespondencye samych koryfeuszów tak zwanego klasycznego obozu, a zatem wcale nowy dokument do tej epoki, którą gdyby

chciał kto opowiedzieć, musiałby uciec się jedynie do broszur i artykułów dziennikarskich stronnictwa romantycznego — bo jak wyżej rzekłem, klasycy, osobliwie główne ich powagi, miały sobie za ujmę wstępować na polemiczną arenę. Prelekcye literatury Ludwika Osińskiego, tego Ulissesa klasyków, mogłyby także posłużyć za materyał; ale szanowny profesor nie wdawał się w żadne rozbiory ani w sądy o duchu i dążności nowej szkoły, tylko dowcipnymi sarkazmami odprawiał tak Szekspira, Schillera, Byrona i wszystkie literatury obcych narodów, jak świeżo jawiące się płody litewskiego wieszcza. Pochwyciwszy dwa wiersze z Dziadów, sparodyował je:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupstwo było, głupstwo będzie!

i był przekonany w zarozumieniu swojem, że już na wieki zabił i dzieło i autora.

Rzecz godna zastanowienia się, że między klasykami ludzie nawet wyżsi charakterem i oczytani uznawali powagę tej lekkiej głowy, mającej jedyny talent dobrego deklamowania wierszy, i wierzyli w jego zdanie, chociaż nie miał żadnego, jak w sybillińską wyrocznię. Z tej uważani strony, przedstawiają się oni, nie jako klasycy zentuzyazmowani dla arcydzieł Grecyi i Rzymu, których nawet dobrze nie znali, ale jako stronnictwo walczące pod sztandarem tradycyjnej powagi przeciw nowemu stronnictwu, które zrazu innym wzorom przyznając pierwszeństwo, dążyło do oswobodzenia się z wszelkiej tradycyi i powagi, co — jak wytłómaczył Mochnacki, pierwszy z romantycznych estetyków — miało być uznaniem się w swojem jestestwie. Ale, gdy wtenczas nie było mowy o dalszych następstwach tego prądu objawiającego się w młodem pokoleniu, cały spór ograniczał się w szrankach literatury i na tem polu tak zwani klasycy przy bardzo miernych zasobach nauki, a przy ogromnej dozie rozumienia o swojej nieomylności, potrójną ponieśli klęskę: pobiły ich utwory romantyków, którymi entuzyazmowała się opinia, pobiły polemiczne i estetyczne pisma, pobiły wypadki...

Karol Szajnocha.

Syn Wacława i Maryi z Łozińskich, urodzony w Komarnie (obw. samborski) w roku 1818. Ojciec był Czechem i urzędnikiem

w służbie rządowej. Nauki pobierał młody Szajnocha naprzód w Samborze, potem we Lwowie ale już w siedmnastu latach musiał je przerwać. Dostał się bowiem do więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach; ale gdy chciał się zapisać na uniwersytet, nie został przyjętym. Więzienie to pozbawiło go nie tylko zawodu, ale i zdrowia; w niem bowiem poczęła się ta choroba, która w późniejszem życiu rozwijana niezmierną pracą i długim niedostatkiem, nie opuściła go już do końca. Zarabiał na życie prywatnemi lekcyami, drobnymi artykułami do pism peryodycznych, a pracował nad sobą i swojem wykształceniem prawdziwie po bohatersku. Jest podanie, że nie mając za co kupić świecy, czytywał i pisywał po nocach przy księżycu; i to miało być powodem osłabienia i późniejszej utraty wzroku. W tych latach wszakże nie czuł w sobie jeszcze swego prawdziwego, historycznego powołania; rwał się do literatury, a przedewszystkiem do poezyi. Napisał parę powieści i dramat Stasio (r. 1843), któremu słusznie wiele można zarzucać, ale nie można autorowi odmówić siły i poetycznego usposobienia. Cokolwiek już więcej znany, znalazł nareszcie skromne miejsce w redakcyi (w roku 1843) Gazety Lwowskiej, a właściwie przy tygodniowym dodatku do Gazety, Rozmaitościach. Gdy w r. 1846 miejsce to utracił, ratował się znowu nauczycielstwem domowem. Trafił nareszcie na swoją właściwą drogę. W r. 1848 wydał dwie prace historyczne: Bolesław Chrobry i Pierwsze odrodzenie się Polski (za Łokietka). Dzieła te zwróciły na niego uwagę i obok ogromnej erudycyi i umiejętnego opanowania źródeł i przedmiotu, dały w nim poznać i wielkiego pisarza, wielkiego mistrza stylu i historycznego kunsztu, a zarazem wielki umysł, zdolny dawno przeszłe stosunki przeniknąć, odtworzyć, przedstawić i sądzić. Sława i stanowisko historyka były zdobyte. Podstawą materyalnego bytu była redakcya Dziennika literackiego (r. 1852). Prace historyczne tymczasem szły swoim trybem, jedne za drugimi wychodziły niezrównane Szkice.

Historyk i pisarz tej miary nie mógł dłużej bez wstydu dla społeczeństwa zostawać bez pewnego miejsca na świecie; Szajnocha znalazł je nareszcie przy Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich, jako zastępca kustosza. Wtedy napisał Jadwigę i Jagiełłę (r. 1855).

Wkrótce potem (r. 1858) wydał Szajnocha Lechicki początek Polski, hipotezę może mylną, ale z wielkim zasobem erudycyi postawioną i bronioną (o normandzkim podboju i normandzkiem pochodzeniu szlachty polskiej). Nieszczęściem choroba oczów robiła groźne postępy, praca stawała się niemożliwą, Szajnocha złożył swój urząd. Wzrok mimo to nie poprawiał się, owszem (w roku 1858) przyszła zupełna i nieuleczalna ślepota. A i wtedy jeszcze nie ustała jego praca. Pisać nie mogąc, dyktował żonie (Joannie z Bilińskich), która była nie tylko uczestniczką i pomocą w pracy, ale aniołem opiekuńczym i szczęściem jego życia; dokumenta kazał sobie czytać przez młodego ucznia (Bernarda Kalickiego). Zwrócił się

w tych latach z całą umiejętnością badacza, z całą siłą uczucia i głębokością sądu, z całą także poetyczną wyobraźnią, jaką miał, do czasów bolesnych, do przełomu dziejów i losów Polski w wieku XVII. Wtedy powstał przepyszny Mściciel, wtedy szkice takie jak Miecznik Jabłonowski, Krzysztof Opaliński, Hieronim Radziejowski, i wtedy najgłębsze może z jego dzieł, Dwa lata z dziejów naszych, w którem tragedya tych czasów przedstawiona jest z największą siłą, z najgłębszą przenikliwością historycznego i politycznego sądu. W stanie zdrowia coraz gorszym, w cierpieniach coraz boleśniejszych, przeżył Szajnocha ostatnie lata życia. Umarł we Lwowie, 10. stycznia 1868 roku.

Jak określić stanowisko Szajnochy w historyografii polskiej?

Mówiliśmy, że Lelewel był większym badaczem niż historykiem; to znaczy, że przy ogromnej wiedzy i przy ogromnej zdolności dochodzenia i rozpoznawania szczegółów historycznych, nie miał daru składania z nich całości. Podobny rodzaj uzdolnienia miał Bielowski. Szajnocha był między dziejopisami polskimi XIX wieku pierwszym, który miał tę zdolność składania i przedstawiania całości; a miał ją w stopniu tak wysokim, że pierwszy w tym rodzaju co do czasu, jest także jednym z pierwszych i największych co do wartości. Doskonały znawca i sumienny badacz źródeł miał to wykształcenie zawodowe, które się zowie krytyczną metodą historyczną, a uważane jest słusznie za konieczną, rzeczywistą podstawę wszelkiej poważnej, naukowej pracy historycznej Przymiot ten konieczny, u niego jest dziwnym z tego względu, że kiedy inni nabywają go ćwiczeniem, uczą się go w szkołach (seminaryach) historycznych, on doszedł do niego sam, własnym popędem i mozołem, bez pomocy nauczycieli.

Ale na tej podstawie umiejętnego przygotowania i traktowania rzeczy opierał się właściwy mu szczęśliwy dar zrozumienia, przeniknięcia całości we wszystkich jej szczegółach i stosunkach, i dar żywego, jasnego jej przedstawienia. Szajnocha ma tę bystrość i logikę umysłu, która widząc jakiś skutek umie dojść jego przyczyny; na odwrót mając daną przyczynę, poznaje trafnie skutki. U niego każdy fakt historyczny wywiedziony jest trafnie i głęboko ze swoich najistotniejszych przyczyn, a ukazany w związku ze swojemi logicznemi następstwami. Tej zaś wielkiej zalecie towarzyszy u niego druga, niemniej ważna i potrzebna, zdolność poznania i opisania pewnego faktu lub okresu wszechstronnie, w całej mnogości i rozmaitości jego stosunków. Jego historya opowiada przebieg zdarzeń, ale zarazem objaśnia polityczne położenie kraju, tłómaczy względy, które nakazywały w pewien sposób postąpić, i powody, które sprawiły, że faktycznie postąpiono inaczej. On kreśli i odtwarza skład i stan społeczny kraju w danym czasie, zna i opisuje prawa, dążności, potrzeby, interesa różnych części składowych społeczeństwa, jego stan ekonomiczny, jego usposobienie religijne, jego oświatę i naukę, jego obyczaj i życie domowe. Stąd wynika, że jego hi-

torya jest nie tylko przedstawieniem faktów, ale i obrazem całego cywilizacyjnego i politycznego stanu epoki.

Ta zaś bystrość i przenikliwość, ta rzadka zdolność odtwarzania przeszłości, łączy się u niego z dalszym a niemniej cennym przymiotem, z duchem publicznym i patryotycznym. Miłość ojczyzny — tem dziwniejsza u niego, a dla nas tem droższa, że ze krwi i pochodzenia nie był Polakiem i miał prawo jej nie mieć — przejmuje na wskroś i ożywia swoim ogniem i duchem każdą kartę dzieł Szajnochy. Nikt z większym od niego zapałem i zachwytem nie kocha wielkich czynów i wielkich ludzi przeszłości, nikt nie rozumie lepiej i nie podziela żywiej ich trosk i cierpień; nikt także nie boleje srożej nad tem, co w dawnej Polsce było złego i co ją do upadku przywiodło. To ostatnie zaś stanowi nową zasługę, nową i piękną cechę jego dzieł. W jego przekonaniu miłość ojczyzny nie wymagała zamykania oczów na jej błędy, ale owszem nakazywała znajomość jak się da najlepszą jej błędów i swego usposobienia, bo tylko na takiej znajomości oparta miłość ojczyzny może złe skłonności ludzkiej i polskiej natury przezwyciężyć, dobre rozwijać i w dzisiejszych czy przyszłych czasach chronić się od tych popędów i błędów, które w przeszłości przyniosły nam takie szkody i klęski. Psychologiczna znajomość Polski i bystry trafny polityczny zmysł i sąd, to są dalsze charakterystyczne cechy i zalety Szajnochy.

Wreszcie podnieść należy jego sposób pisania, jego dar plastycznego przedstawienia wypadków i ludzi. Przymiot życia, kolorytu i nadawania życia kreślonym postaciom czy wypadkom, nie wielu historyków świata miało w tym stopniu co Szajnocha, a z historyków polskich żaden nie dorównał mu pod tym względem. Zarzucano mu nieraz raczej nadmiar, zbytek tej zalety; mówiono, że przez wielką obrazowość, malowniczość opowiadania, historya pod ręką Szajnochy staje się zajmującą jak powieść, a traci na powadze na surowej prostocie naukowego stylu i przedstawienia rzeczy. W takim sądzie jest dużo przesady. Historya traciłaby na powadze i ścisłości naukowej, stawałaby się powieścią, gdyby Szajnocha brak prawdziwej i uzasadnionej wiadomości sztukował domysłem i fantazyą, gdyby rzeczy przypuszczalne i domyślne podawał za prawdziwe. Ale tego on nie robi; owszem każde swoje twierdzenie czy opowiadanie opiera na źródłach i dokumentach, które zawsze przytacza, każde przypuszczenie niemi usprawiedliwia. Ze wszystkich naszych historyków Szajnocha jest najpowabniejszym, najponętniejszym do czytania, że prędzej i silniej niż każdy inny zajmie czytelnika, opanuje jego wyobraźnię, zapali go szlachetną ciekawością własnych dziejów i ich miłością. Że zaś czytelnikowi temu podaje tylko rzetelną prawdę, więc daje mu i prawdziwe wyobrażenie o dziejach, istotną ich znajomość. Zajęcie wyobraźni i poruszenie uczucia służy i pomaga do tego, żeby w umyśle wiedzę zaszczepić i złożyć jej pierwiastki i zarody.

Jakiekolwiek będą dalsze losy historyografii polskiej, Szajnocha jak jest dotąd, tak zostanie w niej zawsze jedną z największych postaci, jedną z jej świetnych chwał, ozdób i względem narodu zasług.

ZE SZKICÓW HISTORYCZNYCH.

Zdobycze pługa polskiego.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w tej mierze historya wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a niezasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastyi Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemże ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przedewszystkiem przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tęż samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkiemi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskiemi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu, i trawne oczerety a stepy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsi i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco dalej nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadł około 1390 r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnem Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony woje-

woda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekiemi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła; kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę: — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd

gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsi i miasteczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopa. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsi szlacheckie. Zapewnie nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historyi takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie, niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątaką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w nim targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z ma-

łym wyjątkiem! Z trzynastu większych miast dzisiejszej austryackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyę. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszałe sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około roku 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV-m jako wioska do dóbr oleskich i wzniósł się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w roku 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięciu laty pierwej za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski, około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki około r. 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czortkowskich nastał Czortków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. — Tęczyńscy n. p. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. — Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wznieśli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustań czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. — Zamoyscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów, niegdyś Rogoźno, 1588 Krzeszów. — Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1584 Tarnogórę. — Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1548 początek Brodom. — Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553 Suchostaw czyli Jabłonów, około roku 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kuty. Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizów, 1566 Dobromil. — Żórawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. — Lipscy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskiem. — Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów, niegdyś Domanysz. — Tarłowie 1570 Mikołajów. — Fredrowie 1580

Niemirów. — Firleje 1570 Firlejów. — Reje 1547 Rejowiec. — Jordanowie 1595 Mikulińce. — Sienieńscy 1504 Pomorzany. — Jazłowieccy 1559 Barysz. — Mieleccy 1548 Ujście nad Dniestrem. — Opalińscy 1638 Opalin. — Maciejowscy 1557 Maciejów. — Płazowie 1615 Płazów. — Pileccy 1569 Sokołów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacyi miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk, 1400 Hrubieszów, 1420 Dunajów, 1424 Sokal, około 1431 Mrzygłód, 1431 Radymno, 1455 Rawa, 1471 Komarno, 1471 Kamionka Strumiłowa, 1510 Żurów, 1515 Uhrynów, 1516 Załoźce, 1525 Husaków, 1530 Borek, 1538 Waręż, 1549 Budzanów, 1549 Mosty wielkie, 1559 Husiatyn, 1571 Rozdół, 1588 Dubienka, niegdyś Dębno, 1588 Korytnica, niegdyś Wręby, 1591 Magierów, 1610 Baligród, 1611 Janów, 1615 Sasów, 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk, po 1665 Uścieczko nad Dniestrem, 1672 Wielkie Oczy itp.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom: ruskiemu, bełskiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmagała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swojem staraniem wsiami i miasteckami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliższe Wiśle województwa ruskie i bełskie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciaśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podol-

skiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacya stron naddunajskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w druga połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczenia nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama blizkość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale zagonów krymskich. jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukrainnych toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającem ich z pobliża Tatarstwem pogranicznem. Były to napady każdodzienne. w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyluż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie. nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem andruszowskim roku 1667 a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmieleckiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowia ukraińskie z trud-

ną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam“ — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1.000 osad urosło.

Na każdem pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsi i miasteczka, nie zważając, na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć i odzywały się w pismach i na sejmie głosy doradzające, „aby prawem zakazane były wszelakie osady w dzikich polach, t. j. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to“. Nastał wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Sobotowa, lecz ze sporu o takąż nowo przezeń założoną osadę, czyli słobódkę, której jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarości Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi spółczesny Jerlicz. „Niegdyś za królów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków“ — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzów małorosyjskich, Kuliszu — „kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenta nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną“.

Tenże sam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po

zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czehryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodejrzanem świadectwem swojem najlepiej poprze nasze twierdzenie.

„Wszystek tedy kraj ukraiński“ — opowiada dalej p. Kulisz — „obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczodrze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia się około nowej ich uprawy i kolonizacyi. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzinnych Poleszuków, i ich-to wio-

seczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu Dnieprowem. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie od dawna trzymała ziemie szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna poszła od Strusiów do Potockich, Śmilańszczyzna od Koniecpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficyaliści i pełnomocnicy, podobnież jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna tymże samym sposobem, bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów, od pana zbiegłych".

„Kulminacyjnym punktem tej kolonizacyi ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partyą ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawyknąwszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i, korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przedewszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada

lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową słobodę na różnych miejscach tłumnego gromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych prażnikach, gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na słobodę. Lecz w każdem siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili — byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub doznający prześladowania, było nakoniec wielu ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsłuchiwało z radością obietnicom nowozakładających się słobód, jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom słobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa".

„Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznymi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowozałożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lżejszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem słali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwległych siół i grodów rosyjskiej hetmańszczyzny. U rybaków dnieprowych przechowała się po dziś dzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobrzeża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu słobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat

co właśnie nazywało się *słobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności".

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naznaczono najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furażu wojskom rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporoże przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innem nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo, tak i Ukraińcy nie znali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasznego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwyczajnie nizkie ceny, albo całkowity brak chleba, głód, a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich i żadną miarą nie mogą

być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiła i zabudowała te strony".

Toż samo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackiemi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

„Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisarzów polskich *hosticum*, u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowu w ludną krainę... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporoskie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię, ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną".

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Zastanawiając się nad tem historycznem powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

„W stronach południowej Rusi" — pisze nasz Marcin Kromer w drugiej połowie XVI stulecia — „już prawie więcej

w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy".

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych.

Mieczysław Romanowski.

Urodzony w Żukowie (na Pokuciu) w roku 1834, szkoły odbył w Stanisławowie, uniwersytet we Lwowie. Na uniwersytecie zaczął pisać, a po części w lwowskich pismach peryodycznych drukować swoje poezye, na których znać wpływ Słowackiego, a zwłaszcza Ujejskiego. Były to właśnie lata, w których zaczęło się wzmagać zamiłowanie Słowackiego, Ujejski zaś był na szczycie swojej wziętości. Młody poeta okazywał wiele talentu. Miał piękny, jędrny język, wiersz dźwięczny, a nadewszystko niezaprzeczoną siłę i szczerość uczucia. Uczucie to objawia się głównie w dwóch postaciach: miłości, zrazu szczęśliwej i pełnej nadziei, a następnie zawiedzionej, sprowadzającej ciężki smutek i gorycz — i miłości ojczyzny, nadziei rychłej walki i szczęśliwego jej końca. W wierszach tej treści odzywa się dziwnie i stale ton smutny, przeczucie własnej śmierci, sprawdzone niestety. Z tem marzeniem o przyszłości łączy młody poeta poetyczne zamiłowanie przeszłości, zwraca się myślą i fantazyą do jej walk bohaterskich lub chwil nieszczęśliwych. W wierszach lirycznych nieraz bardzo szczęśliwy, ma on tę piękną cechę usposobienia i talentu, że w uczuciach swoich rzewny i gorący, nie jest nigdy miękkim, nerwowym, chorobliwym, rozstrojonym, ale owszem ukazuje męską, tęgą, zdrową naturę, Jego większe poemata (Chorąży, Chart Watażki, Łużeccy, Dziewczę z Sącza, powieści — Popiel i Piast, dramat), dowodzą, że miał dużo wyobraźni, duży zasób poetycznej siły, ale noszą na sobie cechy młodości, niewyrobienia talentu, pewnej powierzchowności, niezupełnej dojrzałości (czasem sprzeczności) pomysłów, co się tłómaczy młodym wiekiem poety. Sądząc atoli z tych początków, można wnosić, że talent ten byłby się rozwinął bardzo pięknie, gdyby był miał czas po temu. Nieszczęściem ziściły się te przeczucia, których smutny głos odzywa się często w wierszach Romanowskiego.

Przyszedł rok 1863. Młody poeta, który wypadki dwóch lat poprzednich witał (jak wszyscy) jako zapowiedź zmian szczęśliwych, który w zbrojnem powstaniu widział spełnienie swoich nadziei, a zapał swoich towarzyszy i przyjaciół podniecał, »nie znał« — według wyrażenia Krasińskiego — »uczuć i czynów rozdziału«, i z tym sa-

mym szczerym zapałem, jaki miał w duszy i w słowach, pragnął się i bić. Zaciągnął się do oddziału Lelewela. Bił się (jak świadczyli towarzysze) z zapałem i męstwem wspaniałem. Poległ, trafiony kulą w czoło.

Wśród młodych poetów swego pokolenia był jednym ze zdolniejszych i sympatyczniejszych; wśród ofiar ówczesnych wypadków był jedną ze szlachetniejszych i piękniejszych. Wczesna śmierć nie dała mu zająć w literaturze wysokiego stanowiska; ale zostały po nim dowody prawdziwego talentu i została pamięć rzewna i pełna sympatycznego uroku.

Z WIERSZY DROBNYCH.

Chwila myśli.

Znużony jestem... trzykroć upadałem
Pod krzyżem pracy — skrwawiony i drżący —
I trzykroć, trzykroć z upadku powstałem:
I uspokoił się duch bolejący...
Zadrzemał może jak pustyń wędrowiec, 5
Nim go zwierz zbudzi, ryjący grobowiec.
Przeszedłem myślą takie straszne piekło —
Przez dzieje świata — snułem lat tysiące.
O Panie! pocóż tyle krwi wyciekło?
Poco pękały serca pałające? 10
Olbrzymy przeszli po tej biednej ziemi —
I skamienieli, jak od bolu niemi.
Może za wiele mieli Twego ducha —
Toż niepojęci przeszli pośród tłumu;
Głos ich za silny dla ludzkiego ucha, 15
Podobien gromom lub do morza szumu;
Wołali: Wolność! — i rozdarli łona...
Padli! — dziś stoją posągi — imiona.
Ciała ich w ziemi, duchy gdzieś daleko
Błądzą po gwiazdach — cierpliwi tułacze. 20
Kiedyż ich grobów rozpęknie się wieko?
Panie! czyż nigdy nie dojdą Cię płacze?...
O ześlij, ześlij proroki — Mojżesze,
Niech w kraje światła zaprowadzą rzesze!
Tam żale sierót, a tu kajdan brzęki 25
Straszną muzyką spływają do ucha;
Słowik w drzew cieniu rozpływa się w jęki;
Tam gwiazdy błyszczą, wietrzyk z lekka dmucha,
Na nocnych polach żałobne szemranie,
Niby pacierze grobów...
Słyszysz, Panie??...

Znużony ptak.

Ciężką wędrówką znużony ptak
Odpocznę może,
Krwią moich piersi znaczony szlak
Tam — za mną — Boże!
Wichrem i gromem skrzydła podarte, 5
Kiedy nocleżną czyniłem wartę
We śpiących duchów taborze.

Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza;
Ich czoła gładzi kochanki dłoń 10
Wonna jak róża;
Ach! a ja ledwie ujrzę przelotnie,
Już muszę wracać, czuwać samotnie
Na kopiec nocnego stróża.

Gdybyż choć rychlej z tych ciemnych pól 15
Tam — w kraj promienia!
Gdybyż na chwilę choć uśpić ból
I żal pragnienia!
O, ale z piersią rwaną bolami
Tylko przemieniać noce ze dniami... 20
Tchnienia dla piersi!... o tchnienia!

Gdybyż choć ona — ten anioł mój
Popatrzył na mnie!
I gdy mi piersi oblęże znój,
Uśmiech miał dla mnie; 25
Z uśmiechembym leciał — hulaka młody —
Na nudy, trudy, na niepogody,
Choć światby walił się na mnie!

Nowa znajomość.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę;
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole;
Zapomnienia tknięte ręką białą, 5
Serce z niebem i ziemią się zlało.
Ciche lilie, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały;
Smutek duszy wzięły borów cienie;
Fale pieśni moje powtarzały — 10

Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.
Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej, niebieskiej krainie:
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzyma, 15
Nim korabiem z zatoki wypłynie,
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.
I zbliżyła się do mnie dziewica,
W czystej bieli z zadumanym wzrokiem; 20
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w myśleniu głębokiem,
Szła i, postać nachyliwszy wiotką:
»Jam śmierć twoja!« — rzekła do mnie słodko.
»Lewą ręką serce uśpię twoje, 25
Jako matka usypia dziecinę,
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę
I ulecisz od bolów jak płomień
W światło, w życie wieczne — nowy promień«. 30
Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały,
I na polu bitwy o mnie spytaj. 35
Teraz, nowa znajoma, mi witaj!
Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.
Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił, 40
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia —
I odeszła, mówiąc: »Do widzenia!«

Sny i prawdy.

(W imionniku).

Jeżeli marzysz, że świat cię obsypie kwiatami,
Snem to będzie;
Kwiaty, kolce, łzy, radość — roznosimy sami
Z sobą wszędzie.

Snem będzie, jeśli nigdy nie doznać zawodu 5
Masz nadzieję;
Lecz biada, jeślić z serca ufność już za młodu
Wiatr rozwieje!

Snem poklask i błyskotki, któremi tłum wita,
Snem szał ludzi; 10

Ale gdy serca dobroć czynami rozkwita,
Raje budzi.

Snem duma, która w piersi ponad wszystko stawa,
Snem zachcenie;
Cicha, lecz najpiękniejsza młodej duszy sława: 15
Poświęcenie.

Bóg i światy — bez granic, człowiek — muszką drobną
W grób się zsuwa...
Ale nad źdźbłem, nad kwiatkiem i duszą osobno
Anioł czuwa. 20

Modlitwa.

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące!
Do ciebie rwę się jak żal niewymowny
Z pól, które mogił zaległy tysiące;
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną 5
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.
Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża:
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie; 10
Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!
Bym nie rzekł, Panie, kiedy mię otoczą
Pomniki wielkich i wierzby cmentarne,
Że wieszcze klamstwa wieścili proroczo, 15
Żeś Ty i świat Twój i wszystko jest marne...
Lecz wiarą mocny niech na grobach stoję —
I pracą, Panie, niech liczę dni moje.
Najsilniej, kiedy będą się zapierać
Moi gniazd orlich, Ty wspieraj mię, Panie! 20
Bo przeklinając nie chciałbym umierać —
I lwa ryk wolę niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bratniej,
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

Finale.

Lećcie, me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę, wśród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;

Lećcie, witajcie ludzi po kolei 5
Jak ptastwo wiosny okrzykiem nadziei.
Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem; 10
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam! — Lećcie, pieśni moje!
Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode; 15
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się jak mój duch unosi.

UWAGI OGÓLNE O LITERATURZE W PIERWSZEJ CZĘŚCI OKRESU ÓSMEGO.

A) **Poezya.** Wielcy poeci umilkli: Słowacki nie żył, Mickiewicz nie pisał nic, Krasiński prawie nic. Nie zagasła przez to ich poezya ani nie zeszła z tej wysokości, na której oni ją postawili. Owszem działała ona na pokolenia następne, zachowała swój wpływ i swój urok, jest zawsze (i zapewne na długo) szczytem polskiej literatury, najwyższym wyrazem polskiego ducha. Ale między żyjącymi i piszącymi następcami nie było już takich talentów wyjątkowych, takich głów genialnych, a przez to ten nowy okres w stosunku do tylko co skończonej wielkiej epoki przedstawia widok pewnego osłabienia twórczości. Zjawisko to zresztą powszechne i powtarzające się zawsze, że po wielkich twórczych zdolnościach, po dziełach świetnych i genialnych, następują we wszystkich literaturach świata okresy jakoby wyczerpania i znużenia, podczas których wielkie dzieła i imiona epoki minionej świecą i górują niezmiennie nad wszystkiem, a imiona i dzieła nowe stoją za niemi daleko.

U nas w tym okresie jak w poprzednim głównem znamieniem poezyi zostało uczucie patryotyczne. W pojęciu dzisiejszego położenia, w nadziejach przyszłości, poezya ta zostaje w zakresie myśli i natchnień wielkich poetów, i te najczęściej innemi słowami powtarza. W formach, w rodzajach i kierunkach tworzenia jest od nich odmienna, próbuje niektórych dróg nowych i własnych, nie bez powodzenia i skutku; ale to nawet, co wydaje najlepszego, nie dochodzi pod żadnym względem dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

Pierwsze zapewne miejsce między poetami tego czasu zajmuje Wincenty Pol. Ten za młodu zrobił sobie wielką sławę i wziętość Pieśniami Janusza i Pieśnią o ziemi naszej. Teraz,

w dojrzałych latach, rozszerzył zakres tworzenia i puścił się na pole większych opowiadających (po części bohaterskich) poematów ze staropolskiego szlacheckiego życia (jak Senatorska zgoda lub Sejmik w Sądowej Wiszni), które były niezaprzeczenie nowym w poezyi rodzajem. Rodzaj ten wszakże był pokrewny temu, co w prozie stworzył już przed laty Henryk Rzewuski w Pamiętnikach Soplicy, a od tamtego różnił się właściwie tylko wierszowaną formą. Sam największy poemat Pola Mohort, pomimo, że główny bohater jest starym rycerzem i ginie śmiercią walecznych w wojnie roku 1792, zaledwo wychodzi z zakresu staroszlacheckiej gawędy. Talentu miał Pol niezaprzeczenie dużo, miał swój rodzaj własny i oryginalny, ale potężnej, twórczej wyobraźni nie miał; a przez powtarzanie siebie samego w pomysłach i zwrotach, przez ten sam zawsze zakres myśli i natchnień, doszedł do jednostajności i jednostronności.

Kornel Ujejski zaczął w wieku bardzo młodym (wiersz Maraton w roku 1844) zawód swój w sposób istotnie świetny. Skargi Jeremiego, zbiór lirycznych (po większej części patryotycznych) wierszy, miały niezwykłą siłę uczucia i niezwykłą piękność formy, języka i wiersza. Przymioty te zostały w jego późniejszych (wcale nielicznych dziełach), ale nie podniosły się wyżej.

Władysław Syrokomla, z mniejszym od Pola talentem, korzysta z form przez niego wyrobionych, i w znacznej liczbie swoich poematów nie wznosi się ponad ton i styl gawędy. Treść ich jest rozmaitsza niż u Pola, wzięta z różnych czasów i różnych (nieraz poważnych) przedmiotów. Ale ta większa obfitość, rozmaitość czy śmiałość nie stanowi większej zdolności. Pomimo różnicy pojęć i form, Syrokomla jako poeta jest do Pola dość zbliżony i podobny, wydaje się jego odmianą tylko — a jest od niego talentem i stanowiskiem w literaturze niższy.

Teofil Lenartowicz odznacza się między współczesnymi osobnem wiejskiem, ludowem zacięciem, a usposobieniem miękkiem i rzewnem, które w innych czasach i stosunkach byłoby z niego może zrobiło poetę sielankowego, a teraz, w nieszczęściach ogólnych, w samotnem i tułaczem życiu zagranicą, wydało wielką tęsknotę, smutek łagodny, ale głęboki, pobożność rzewną, i żywą, budującą wiarę, która od Boga nie domaga się niczego, ale spodziewa się zmiłowania. Usposobienie bardzo szlachetne, wykształcenia i smaku więcej niż u wielu współczesnych, talent w swoim zakresie niezaprzeczony, często wiele wdzięku, zawsze wiele uczucia; ale znowu (jak u Bohdana Zaleskiego i u Pola) pewna jednostajność natchnień, form i myśli.

Mniejszych epigonów dawnej romantyczności lub dawnego patryotycznego mistycyzmu było kilku (Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Cypryan Norwid i t. p.). Jeden (Ryszard Berwiński) zapadł w sceptycyzm, przypominający lub może umyślnie naśladujący Heinego. Ale talenta te i dzieła małego są znaczenia. Więcej zwra-

cały na siebie uwagę ogółu dwie kobiety. Jedna, Narcyza Żmichowska (pisząca pod imieniem Gabryeli), w wierszach jak w powieściach prozą okazywała dużo uczucia, wyobraźnię żywą, niezaprzeczony talent pisarski i śmiały popęd do stawiania i dotykania zawiłych i trudnych kwestyi moralnych lub filozoficznych (czasem politycznych), które jednak, wyznać należy, niezawsze jasno rozwiązywała. Druga, Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), jako młodziutka panienka, zdziwiła Warszawę wyjątkową łatwością i zdolnością improwizowania. Na zadany temat, po niedługim namyśle, wypowiadała bez przygotowania wiersze, które później z pamięci spisywała i ogłaszała. W dojrzalszych latach porzuciła ten sposób tworzenia, a zwróciła się do pisania samego, opartego (w poezyi jak w prozie) na bardzo starannem, pracowitem przygotowaniu, nieraz na bardzo długiem i trudnem badaniu i studyowaniu epok lub stosunków związanych z przedmiotem zamierzonego dzieła.

Żyli jeszcze i pisali starzy klasycy, Kajetan Koźmian, Wężyk, Morawski, a (jak się już powiedziało dawniej, w tomie I.) pisali z większym może ogniem i siłą niż za młodu.

Zabytkiem także dawnych czasów romantyczności dogasającej był A. E. Odyniec. Ten, oderwany od towarzyszy, od powrotu swego na Litwę po roku 1832, sam sobie zostawiony, osamotniony, ciągnie tam dalej ten kierunek poezyi, który był panującym za jego młodości. Tłómaczy Waltera Scotta, Tomasza Moora i Byrona (bardzo dobrze), pisuje drobne wiersze, przypominające zawsze pierwsze czasy romantyzmu. Ma jednak chęć i ambicyę próbowania się w formach większych i nowych; pisze tragedye (Felicyta, Barbara Radziwiłłówna, Jerzy Lubomirski), ale nie okazuje w nich większego dramatycznego talentu.

Lucyan Siemieński, od r. 1848 w Krakowie osiadły, zachowuje swoje młodzieńcze zamiłowanie w poezyi, pisze wiersze (zawsze z wykwintnym smakiem i w bardzo dobrej formie), ale znacznie mniej. Za młodu widzący w poezyi swoje główne powołanie, teraz zaczyna ją uważać za dodatkowe, uboczne zajęcie, a ustala się w powołaniu innem: krytyka, estetyka, wybornego znawcy i sędziego dzieł literatury i sztuki, a przez te swoje prace podnosi ogólny poziom wykształcenia i smaku. Poezyi nie zaniedbuje, ale w późniejszych latach zwraca się ze szczególnem zamiłowaniem do starożytnej. Zrzekłszy się zaś oryginalnego tworzenia rzeczy większych, bierze się z zapałem do tłómaczeń. Przekład (niektórych) ód Horacego i doskonały z wielką sztuką i biegłością wykonany przekład Odyssei, są owocem tego ostatniego zwrotu w jego pisarskim zawodzie.

Podobna jest rola Stanisława Koźmiana w Poznaniu. Nie tak wykwintny w formie, zato w pismach prozaicznych obrabiający gruntownie kwestye polityczne i religijne (których Siemieński dotykał, ale nie roztrząsał), Koźmian jak tamten zamiłowany w poezyi, nie zarzuca jej nigdy, ale nie uważa za swoje powołanie główne.

Jak tamten przekładem Homera, tak on przekładem Szekspira zbogaca literaturę polską i oddaje jej wielką usługę.

Z młodszych, z tych, którzy przed rokiem 1850 byli dziećmi, a rośli i kształcili się pod wpływem wielkich poetów epoki poprzedniej, i pod wpływem wypadków takich jak wojna wschodnia i włoska), dwóch wymieniamy i umieszczamy w tych Wypisach, jako odznaczających się wyższą, prawdziwą zdolnością. Jeden z nich, Mieczysław Romanowski, poległ w roku 1863 chwalebnie, ale tak młodo, że talentu swego w zupełności rozwinąć nie miał czasu. Drugi, Józef Szujski, w tych latach uczeń jeszcze, próbował się niemal od dzieciństwa w różnych poetycznych formach (dramat, liryka, powieść bohaterska), a w okresie następnym, poezyi nie zarzucając, miał się stać jedną z naczelnych postaci w naszej literaturze, jako historyk i pisarz polityczny.

B) **Proza.** 1. Powieść. W powieści Henryk Rzewuski miał zawsze wielką sławę, zrobioną Pamiętnikami Soplicy i Listopadem, ale w tych latach wydawał już tylko same rzeczy słabsze (Nie-Bajki, Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego). Pierwsze miejsca w tym rodzaju piśmiennictwa trzymali Kraszewski i Korzeniowski, oba na szczycie swojej wziętości i w pełnym rozwoju swoich zdolności. Korzeniowskiemu przyznawano powszechnie usposobienie więcej artystyczne, staranniejsze i doskonalsze wykonanie pomysłów. Kraszewski, niezmiernie rzutki i płodny, popędowy a nierówny, dotykał w swoich powieściach mnóstwa zjawisk i kwestyi z współczesnego towarzyskiego i społecznego życia, przedstawiał je z niezwykłym darem charakterystyki, z uczuciem żywem (czasem namiętnem, niekiedy niesprawiedliwem). W latach, o których teraz mówimy, ukazują się jedne po drugich najlepsze jego dzieła, a wpływ jego jest wtedy i największym i może najzdrowszym. (Dlatego, choć pisał i przedtem, tu dopiero podane są wyjątki z jego dzieł). — Mniejszego znaczenia było kilku innych pisarzy powieści; talent istotny miał Zygmunt Kaczkowski, którego pierwsze powieści zaczęły się ukazywać po roku 1850, i wcześnie zmarły (1861) Walery Łoziński.

2. Dziejopisarstwo. W dziejopisarstwie Lelewel niezmordowanie prowadził dalej swoje studya, Bielowski badania początkowych dziejów Polski, Helcel, Hube i W. A. Maciejowski badania polskiego prawa i jego historyi. Wydawnictwo źródeł i dokumentów ożywiło i pomnożyło się znacznie (Tytus Działyński, Bielowski, Helcel), wkońcu wydawnictwa Biblioteki Świdzińskich, które z czasem razem z tą biblioteką przeszły na Bibliotekę Krasińskich w Warszawie. Postęp zaś, jaki ta praca (umiejętna i krytyczna znajomość źródeł) sprowadzić musiała, objawił się szczęśliwie w opracowaniach historycznych epok lub faktów. Zostawało wprawdzie wiele jeszcze prac historycznych (Moraczewski, Koronowicz), powtarzających te same tradycyjne, utarte a niesprawdzone sposoby widzenia i sądy, ale obok takich zaczęły się ukazywać dzieła, które historyografię polską podnosiły na wyższy stopień.

Wystąpił mianowicie Karol Szajnocha, który łączył metodę ścisłego, umiejętnego badania dziejów z rzadkim i zupełnie wyjątkowym darem żywego ich opowiadania, z wielkim pisarskim talentem i z ogniem gorącego uczucia. Z nader rzadkich historyi wieku XIX wymienić należy pierwszą, dotąd jedyną, bardzo nauczającą Historyę księstwa warszawskiego Fryderyka Skarbka, za którą poszła Historya Królestwa kongresowego.

3. Historya literatury narodowej. Całkowita historya literatury nie posiada w tym okresie żadnego dzieła, któreby mogło równać się z Wiszniewskim lub z kursami Mickiewicza. Kazimierza Władysława Wójcickiego († 1879) Historya literatury polskiej w 4 tomach (1845 i 1846) z tego względu zasługuje na uwagę, iż obok wiadomości (niezawsze pewnych) o życiu i pismach ważniejszych pisarzów, zawiera także wyjątki z ich dzieł najcelniejszych. Dzieło W. A. Maciejowskiego (Piśmiennictwo polskie, 3 t.), obszerne, napisane z dużym zasobem erudycyi, przejęte jest teoretyczną doktryną, do której autor stosuje zjawiska literackie, a stąd i sądy jego bywają czasem naciągane i mylne. Podręczniki w braku innych używane nie wiele miały wartości. Jednak nauka ta robiła w tym czasie rzeczywiste i znaczne postępy, przez rozprawy częściowe (monografie) z literatury dawniejszej i przez recenzye literatury bieżącej. W jednym jak w drugim kierunku odznaczał się i wielkie zasługi położył Lucyan Siemieński. Znaczne w tym kierunku miejsce zajmuje Józef Łukaszewicz (1799 do 1873), którego dzieło Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiem (1849—1851) w 4 tomach, źródłową ma wartość. Na wzmiankę zasługują jeszcze: Maurycy hr. Dzieduszycki (pseud. M. J. Rychcicki), który między innemi wydał pracę Piotr Skarga i jego wiek (1850 i 51, 2 t.), i Julian Bartoszewicz († 1870), pisarz bardzo sumienny i nadzwyczajnie pracowity; K. Wł. Wójcicki, długoletni redaktor Biblioteki warszawskiej, i Karol Mecherzyński († 1881), prof. hist. lit. pol. w uniwers. Jagiell. — autorowie bardzo wielu rozpraw literackich; Józef Przyborowski († 1896), który zaczął swoje prace pierwszem krytycznem zbadaniem wiadomości o życiu Jana Kochanowskiego (1857), i Aleksander Tyszyński, profesor historyi lit. pol. w Szkole Głównej w Warszawie († 1880), który odznaczył się głównie jako estetyk; wreszcie Antoni Małecki, (od roku 1856) profesor literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, który wykładami jak rozprawami swemi szerzył lepszą znajomość i głębsze zrozumienie przedmiotu i (zapewne już pod koniec tego okresu) przygotowywał swoje znakomite dzieło o Juliuszu Słowackim (wyd. roku 1866 i 1867). W Paryżu, w emigracyjnym tygodniku Wiadomości polskie, zaczęły się ukazywać od roku 1857 obok politycznych literackie i krytyczne artykuły Juliana Klaczki, nacechowane wyjątkową bystrością sądu i świetnością stylu. Redakcyę tego pisma prowadził z nim razem Waleryan Kalinka, w tych latach publicysta tylko, piszący znakomicie o kwestyach politycznych. Jego powołanie historyczne objawiło się później do-

piero i zrobiło mu odrazu pierwszorzędne stanowisko w polskiej historyografii.

Filozofię reprezentują jak dawniej Cieszkowski, Kremer, Libelt i Trentowski: młodzi nie występują jeszcze w tych latach. Ogólny stan tej nauki pozostaje więc, jakim był w okresie poprzednim: zmienia się o tyle tylko, że nowe dzieła dawnych uczonych powiększają zasób wiedzy i literatury filozoficznej.

4. Nauki przyrodnicze. W naukach przyrodniczych, które w pierwszych 25 latach tego wieku tak znakomicie się rozwinęły, nastąpił był zastój we wszystkich dzielnicach naszego kraju. Świetne czasy Śniadeckich, Jundziłłów, obu Wagów, Andrzejowskiego i wielu innych, którzy umiejętności przyrodnicze u nas dźwignęli, prędko przeminęły. Szczupła przyrodników garstka, jaka jeszcze w drugiej ćwierci tego wieku pozostała, wobec niekorzystnych stosunków krajowych była za słabą, aby utrzymać krajowe przyrodnictwo na tym samym co przedtem stopniu. W drugiej jednak połowie bieżącego stulecia obudził się ponownie ruch ożywiony na polu nauk przyrodniczych.

Na polu zoologii zasłynęli: Konstanty Pietruski († 1873), przed r. 1850 jedyny zoolog w Galicyi, badacz samodzielny, doskonały znawca krajowych zwierząt kręgowych, szczególnie ssących i ptaków (Historya naturalna zwierząt ssących, Lwów 1853). Własnym kosztem założył u siebie w Podhorcach zwierzyniec i bogaty zbiór okazów przyrodniczych. Kazimierz hr. Wodzicki (1816—1889), gruntownie uczony a namiętnie zamiłowany ornitolog, w monografiach swoich o różnych rodzajach krajowych ptaków, ma tę własność i cechę osobną, że prace jego, przez uczonych wysoko cenione i uważane za poważnie naukowe, są przytem bardzo zajmujące i powabne dla nieznawców przez bystry zmysł spostrzegawczy i często dowcipne przystosowania spostrzeżeń ze świata przyrody do skłonności i usposobień ludzkich. (Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty, Leszno 1851; O sokolnictwie i ptakach myśliwskich, Warszawa 1858; Zapiski (8) ornitologiczne, Kraków, 1868—1882). — Antoni Wałecki, znakomity zoolog warszawski, wyborny znawca zwierząt kręgowych, szczególnie ryb, płazów i gadów, które pod względem systematycznym i faunicznym wzorowo opisał (Materyały do fauny ichtyologicznej Polski, Warszawa 1864). Z pomiędzy innych zoologów odznaczyli się jeszcze: Teofil Żebrawski (Owady łuskoskrzydłe, Kraków 1860) i Gustaw Belke (Rys historyi naturalnej Kamieńca podolskiego, Warszawa 1859).

W dziale botaniki na początku drugiej połowy bieżącego stulecia pierwszorzędne zajmuje stanowisko jako systematyk Rafał Czerwiakowski (1808—1882), prof. uniwersytetu Jagiellońskiego. Najznakomitszem jego dziełem jest: Botanika szczegółowa, Kraków, 1849—1863, w 6 tomach, należąca w swoim czasie do najpierwszych dzieł w literaturze botanicznej. — Do zasłużeń-

szych na polu botaniki należą jeszcze: Hyacynt Łobarzewski, prof. uniwersytetu lwowskiego, który pracował szczególnie na polu geografii roślin krajowych, i Feliks Berdau (Flora okolic Krakowa, 1859).

W mineralogii i geologii pierwszorzędne stanowisko zajmuje Ludwik Zejszner (1801—1871), którego prace odznaczają się wielostronnością i gruntownością (Paleontologia Polska, Warszawa 1844. Rzut oka na Podhalan, 1844. Geologia do łatwego zrozumienia zastosowana, Kraków 1856). — Na tem polu odznaczył się także: Ignacy Domeyko, rektor uniwersytetu w St. Jago.

OKRES ÓSMY

II. Czasy po roku 1863.

1. Stosunki polityczne. Już po wojnie włoskiej (r. 1859) zaczął się stan rzeczy zmieniać. W Austryi nadana przez cesarza Franciszka Józefa konstytucya wprowadziła w życie (1861) sejmy krajowe i dała początek tym stosunkom, w których żyjemy. W Królestwie Polskiem zaniosło się (w roku 1861) na ważniejsze wypadki. Doszły one (w styczniu 1863 r.) do zbrojnego powstania, z którego wyniknął dzisiejszy znowu stan społeczeństwa i piśmiennictwa polskiego pod rządem rosyjskim. Po r. 1863 wyrobił się też dopiero nowy kierunek dziejów literatury polskiej.

Od tego czasu pod rządem rosyjskim prześladowanie nie ustawało, owszem systematycznie się wzmaga i rozszerza; jest ono nie tylko politycznem i religijnem, ale dąży do tego, by wyrwać z korzeniem samą cywilizacyę polską i zagładzić wszelkie jej ślady. Na Litwie i Rusi, oprócz wszelkich innych środków tępienia (np. zakaz nabywania ziemi przez Polaków i katolików), zakaz mówienia po polsku na miejscach publicznych; dla młodzieży szkolnej zakaz mówienia tym językiem w szkole i nawet poza szkołą między sobą. W Królestwie Polskiem, po wyrzuceniu języka polskiego ze wszystkich szkół, urzędów, sądów, po wyrzuceniu Polaków z posad, po ograniczeniu liczby uczniów polskich mogących mieć przystęp do szkół, znikły napisy polskie nawet na stacyach kolei żelaznych. Historya, wykładana w szkołach i uniwersytetach (po rosyjsku jak wszystko), przekręcana i fałszowana jest umyślnie, tak, że młodzież polska o swojej historyi nie może nabrać prawdziwego wyobrażenia. Literatura polska ma swoją katedrę w uniwersytecie warszawskim, ale (od r. 1883) wykładana jest po rosyjsku. Cenzura książek, a zwłaszcza pism peryodycznych, posuwa się tak daleko w prześladowaniu wszystkiego, co polskie, że nie przepuszcza nawet gramatyce i wyrazy lub zwroty czysto polskie poprawia na obce, rosyjskie.

Te i tysiączne inne środki, obliczone na złamanie polskiego ducha narodowego i obniżenie polskiej cywilizacyi, zamierzonego skutku nie odniosły, ale odniosły zawsze ten, że mnóstwo umysłów i talentów nie zdołało rozwinąć się tak, jak w innych warunkach

rozwijać się mogły; że mnóstwo innych do skromnego nawet wykształcenia dojść nie zdołało; że pewna liczba umysłów i charakterów (choć szczęściem niewielka) musiała się skrzywić i zepsuć, że literatura i nauka, krępowana w swojej koniecznej swobodzie, nie mogąca zajmować się wszelkimi przedmiotami i kwestyami ani obrabiać ich tak, jak je rozumiała i jak chciała, musiała być wstrzymaną w swoim naturalnym postępie i nie mogła stanąć tak wysoko, jakby bez tych przeszkód była stanęła.

W Wielkopolsce prześladowanie języka polskiego, które za rządów ks. Bismarka doszło tak daleko, że nauka czytania w szkołach wiejskich i sama nauka katechizmu udzielana była dzieciom w języku niemieckim, praktycznie wydało skutki mniej złe, bo naprzód obejmowało daleko mniejszą przestrzeń kraju, a powtóre spadało na ludność ogółem więcej oświeconą i zdolniejszą radzić sobie ubocznymi środkami, bo wreszcie było jednak ograniczone cokolwiek formami i przepisami praw pruskich, które zostawiały przecież jakąś sposobność i możność obrony, a piśmiennictwu i dziennikarstwu zostawiały większą swobodę.

W Galicyi zato zaszły zmiany nader pomyślne. Ustawa konstytucyjna przyznawała i poręczała swobody obywatelskie każdej jednostce, swobody i prawa narodowe ludom, należącym do państwa austryackiego. Na tej zasadzie opierają się nasze instytucye krajowe: sejm czyli władza prawodawcza (w pewnym zakresie), sprawowana przez posłów z zastrzeżeniem sankcyi monarszej; samorząd czyli zawiadowanie niektóremi sprawami przez ludzi na to wybranych, przez gminy (Rady gminne), powiaty (Rady powiatowe) i Sejm (Wydział krajowy, najwyższą z tych krajowych władz wybieralnych). Przyznana każdemu narodowi wolność używania własnego języka pociągnęła za sobą tę zmianę, że skoro czynności urzędowe, administracyjne i sądowe, miały odtąd odbywać się w języku polskim (względnie ruskim), to urzędnikami mogli być tylko ludzie w tych językach biegli, czyli krajowcy.

2. Stan szkół. *a)* w Królestwie. Margrabia Wielopolski, kiedy stał na czele cywilnego rządu Królestwa (1861—63), zajmował się gorliwie i umiejętnie wychowaniem, podniósł stan szkół średnich, a pod nazwą Szkoły Głównej przywrócił dawny, po roku 1831 zniesiony uniwersytet warszawski. Szkoła ta, świetna doborem najlepszych profesorów i wielką liczbą uczniów, przez krótkie lata swego bytu oddała niezmierne usługi. Organizacya jej była podobna do dawnej uniwersytetu wileńskiego. Wydział filozoficzny mianowicie dzielił się na dwa: historyczno-filologiczny i fizyko-matematyczny. Z wielu znakomitych profesorów Szkoły Głównej wymienić można dla przykładu przedewszystkiem z wydziału lekarskiego rektora Józefa Mianowskiego, Tytusa Chałubińskiego i Polikarpa Girsztowta; z wydziału prawniczego Władysława Holewińskiego, Józefa Kasznicę i Walentego Dutkiewicza; z historyczno-filozoficznego Aleks. Tyszyńskiego, Adolfa Pawińskiego, Kowalewskiego (niegdyś w Wilnie przyjaciela Mickiewicza), Struvego (filozofia); z wydziału mate-

matyczno-fizycznego Augustyna Frączkiewicza (matematyka) itd. We wszelkich zawodach i naukach najtęższi z dziś żyjących ludzi w niej się uczyli i wyrobili. Po stłumieniu powstania z r. 1863 i wprowadzeniu języka rosyjskiego do szkół, rząd rosyjski wziął się do Szkoły Głównej. Nie zniósł jej, owszem nadał jej tytuł uniwersytetu, ale usunął z niej język polski i zrazu tylko wielu, a z postępem czasu prawie wszystkich profesorów Polaków. Liczbę uczniów ograniczył, przyjętym utrudniał i naukę i egzamina wymaganiami umyślnie przesadnemi z rosyjskiego języka.

b) w Galicyi. Jak we wszystkich innych kierunkach naszego życia, tak w szczególności w sprawach nauki i wychowania publicznego stan naszego kraju i stopień jego oświaty podniósł się bardzo.

Prawdziwy postęp w wychowaniu publicznem liczy się dopiero od roku 1867, t. j. odkąd w szkołach wszystkie nauki (z wyjątkiem języka niemieckiego) odbywają się w języku ojczystym. Do uniwersytetów wprowadzony on był stopniowo, tak, że w krakowskim wcześniej, w lwowskim cokolwiek później (r. 1871) język polski przywrócony został w zupełności do swoich praw.

Nauka elementarna rozszerzyła i podniosła się przez tysiące nowo założonych lub poprawionych szkół pospolitych i wydziałowych, jakoteż przez szkoły osobne, sposobiące nauczycieli dla tych szkół, seminarya nauczycielskie. — W szkołach średnich, gimnazyach i szkołach realnych, których ilość z każdym rokiem wzrasta, powiększyła się liczba uczniów bardzo znacznie, tak, że zakładów i budynków (ze szkodą dla nauki) nastarczyć nie można, a uniwersytety nasze ledwie dostarczyć mogą tylu sił nauczycielskich, ilu ich koniecznie potrzeba. Nadzór i władza nad tymi dwoma stopniami wychowania zostaje w ręku Krajowej Rady szkolnej, złożonej częścią z urzędników państwa, częścią z osób wyborem do niej powołanych. — W obu krajowych uniwersytetach liczba katedr i potrzebnych zakładów pomocniczych pomnożyła się bardzo znacznie, a staranny dobór profesorów, powoływanie na każdą katedrę kandydatów najzdolniejszych i najbieglejszych, podniósł i wartość i znaczenie tych uniwersytetów i ich dobrą sławę w świecie. Z nowo utworzonych katedr jedną wymienić należy, jako szczególnie dla nauki i dla społeczeństwa ważną, katedrę historyi polskiej, której przedtem nigdy (ani za dawnej Rzeczypospolitej) nie było; przy uniwersytecie krakowskim utworzono ją w roku 1869, przy lwowskim 1885. — Dalszym szczęśliwym nabytkiem i silną dźwignią dla postępu nauk matematycznych i technicznych, stała się reorganizacya dawnej szkoły technicznej lwowskiej, i jej podniesienie na stopień szkoły politechnicznej (1872), co ją zrobiło niejako uniwersytetem nauk ścisłych. Skutki tej zmiany dają się czuć bardzo wyraźnie i dobroczynnie w zakresie tych nauk. — Oprócz szkół wymienionych powstało w tym okresie wiele szkół praktycznych i zawodowych, tak wyższych jak niższych, które również przyczyniają się do podniesienia ogólnego poziomu nauki i oświaty w kraju (szkoły handlowe, przemysłowe, rolnicze, lasowe i wiele innych).

3. Instytucye i Towarzystwa naukowe. Uzupełnieniem tych dzieł, przedsięwziętych dla podniesienia nauki i oświaty polskiej, była założona przez Cesarza w Krakowie (w roku 1873) Akademia umiejętności. Pierwsza to polska instytucya tego rodzaju. Wszystkie większe narody zagraniczne mają takie, na wzór najdawniejszej akademii francuskiej utworzone, a przeznaczone na to, by wspólną pracą uczonych, odznaczających się w różnych zawodach, posuwać naprzód wiedzę we wszystkich kierunkach, a rezultaty badań w rozprawach członków, jako też materyały naukowe w wydawnictwach swoich ogłaszać. Akademia umiejętności przez przeszło 30 lat swego istnienia wiele istotnie zrobiła (zwłaszcza w naukach historycznych, przyrodniczych, w lingwistyce i w archeologii); znajomość fizycznej natury kraju i jego zasobów, znajomość jego przeszłości i jego artystycznych zabytków znacznie podniosła, a tem i nauce polskiej i sobie zjednała rzeczywistą u obcych powagę i dobrą sławę. Że te pomyślne dla nauki i oświaty warunki musiały wpływać dobrze i na literaturę także, zbytecznie byłoby tłómaczyć; najlepszym tego dowodem jest ogromna liczba bardzo cennych wydawnictw Akademii umiejętności.

Prywatnymi środkami, ale bardzo dzielnie pomagają do tego dzieła szerzenia oświaty liczne stowarzyszenia naukowe, w tym okresie czasu powstałe, które bardzo skutecznie przyczyniają się do rozwoju i szerzenia nauki w swoim zakresie nie tylko przez zebrania i naukowe rozprawy swych członków, lecz także przez stosowne wydawnictwa, w szczególności przez osobne czasopisma. Takie są np. Towarzystwo historyczne (wydające »Kwartalnik«), filologiczne (»Eos«), przyrodnicze (»Kosmos«), im. Ad. Mickiewicza (»Pamiętnik Tow. im. A. M.«, przekształcony z czasem w »Pamiętnik literacki«), pedagogiczne (»Szkoła«), nauczycieli szkół wyższych (»Muzeum«), prawnicze, lekarskie, techniczne i t. d. Niemniej ważną jest instytucya Macierzy polskiej, której wydawnictwa dla ludu wielką mają zasługę. W Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk ciągnie dalej, zawsze z doskonałym skutkiem, swoją wielostronną i niezmordowaną czynność.

4. Dalsza znów zmiana i różnica od poprzedniego okresu jest w tem, że emigracya, która w ogólnem życiu narodu znaczyła wiele, a w literaturze jego zajmowała stanowisko przeważne, teraz w zmienionych stosunkach nie mogła ani pola działania przed sobą widzieć, ani wpływu takiego wywierać. To przeniesienie wielkiej części polskiego życia za granicę, które się dokonało po roku 1831, teraz ustało.

5. Usposobienie ogółu. Zmiana wielka, sięgająca do samych podstaw naszego działania, zaszła w naszem usposobieniu, w naszem pojęciu obowiązku, służby publicznej i patryotyzmu. Wypadki roku 1863 przekonały nas ostatecznie, że powinniśmy zmienić drogi postępowania: nie zbrojne ruchy układać i przygotowywać, ale we wszystkich kierunkach życia wyrabiać i ćwiczyć w sobie siły, pomnażać zasoby materyalne, podnosić życie umysłowe, kształcić i rozwijać zdrowo stosunki społeczne, rozszerzać, ale i pogłębiać

oświatę, brać się czynnie i praktycznie do spraw politycznych i w nich nabierać doświadczenia i wprawy, hartować religijne przekonania, a wzmacniać czynnie religijne życie w narodzie — słowem, zrozumieć dobrze swoje położenie, wiedzieć, czego nam niedostaje, a całą siłą woli, sumienia i miłości ojczyzny pracować na to, by się stać społeczeństwem prawem, rozumnem, bogatem i silnem — wbrew nieszczęściu, w jakie nas pogrążyły wypadki (i własne błędy) — zachować w sobie, rozwinąć i podnieść zasób narodowego życia i ducha: oto forma, w jakiej pokoleniom obecnym ukazuje się miłość ojczyzny i jej służba, w chwili kiedy wrogowie narodu chcieliby to życie skazać na zagładę.

To wypadkami zmienione położenie w świecie i zmienione pojęcie obowiązku musiało odbić i objawić się w literaturze. Znika też z niej ów niedawno tak nam drogi patryotyzm mistyczny: tłómaczenie swego losu ofiarą za grzechy świata; obietnice rychłego i niechybnego zwrotu w tych losach. Z nauk naszych wielkich poetów zostaje zawsze wiara w sprawiedliwość Boską, wiara, że naród musi być prawym i szlachetnym, jeśli ma być godnym swojej sprawy i jeżeli jego odrodzenie ma być szczęściem i postępem dla ludzkości; zostało to samo wzniosłe pojęcie ojczyzny. Ale zamiast mistycznego a dumnego pojmowania siebie jako narodu wybranego i lepszego od innych, przyszło trzeźwe pojęcie siebie samych jako narodu, który miał w przeszłości i ma dotąd wiele wad i błędów, i w wielkiej części skutkiem tych błędów upadł i dotąd podnieść się nie zdołał. Zamiast śmiałej nadziei rychłego doraźnego podniesienia z upadku, przyszło doświadczenie i przekonanie, że z wielkim tylko, ciągłym i wszechstronnym trudem dźwigać się można. Zamiast dawnej poetycznej apoteozy ojczyzny, zjawiła się dążność do jej politycznej dyagnozy; do bolesnego, ale śmiałego i wszechstronnego rozpoznania wszystkiego, co w jej stanie czy usposobieniu było lub jest złem, na to, by to dokładne poznanie siebie samych, ten ścisły rachunek sumienia doprowadził nas do zwycięstwa naszych politycznych i społecznych przywar lub braków.

Waleryan Kalinka.

Urodzony (w Bolechowicach pod Krakowem) w r. 1826, chodził do szkół w Krakowie. Po ukończeniu nauk wstąpił jako aplikant do służby sądowej wolnego m. Krakowa i gotował się do egzaminów doktorskich, kiedy zaszły wypadki roku 1846. W tych skompromitowany, musiał uciekać za granicę. Przebył dwa lata w Brukselli; stosunki bliższe miał z Lucyanem Siemieńskim i z generałem Skrzyneckim. W roku 1848 powrócił do Krakowa i wstąpił do redakcyi Czasu. W roku 1851, zagrożony nowem prześladowaniem policyi, wyjechał powtórnie za granicę, a mianowicie do Paryża. Tu wykończył książkę, do której materyały z sobą przywiózł, a która

pierwsza zwróciła na niego uwagę ludzi znaczących w emigracyi. Była to Galicya i Kraków. Jest to obraz stosunków poddańczych, kościelnych i sądowniczych od roku 1772 do połowy XIX-go wieku, praca publicystyczna, napisana z talentem, lecz bez objektywności historycznej.

Wybuchła wojna krymska, w której dalszym ciągu spodziewano się wkroczenia wojsk francuskich i angielskich na Ukrainę i Podole. Postanowiono i zaczęto formacyę pułków polskich. Nadzieja zawiodła; wojna skończyła się pokojem paryskim (1856), który był dla Polski (przedewszystkiem dla emigracyi) zawodem najboleśniejszym od roku 1831.

Po powrocie do Paryża zamyślał Kalinka pisać historyę emigracyi i robił wstępne do niej studya, kiedy uznał (w porozumieniu z Julianem Klaczką), że pilniejszą potrzebą jest dokładne zbadanie stanu różnych części Polski, dokładne o nim powiadomienie publiczności, wytykanie złego, a wskazywanie obowiązków i trafnych sposobów postępowania. Z tej myśli powstały Wiadomości polskie, pismo tygodniowe, którego naczelnym redaktorem był Feliks Wrotnowski, a głównymi współpracownikami Klaczko i Kalinka. — Pismo to, w krajach polskich z wyjątkiem Wgo Księstwa Poznańskiego zakazane, stąd prawie nie znane, wychodziło przez lat cztery (1857—1861). Obejmowało wszystkie objawy, kierunki i potrzeby polskiego życia, polityczne, społeczne, religijne, naukowe, literackie itd. Artykuły Kalinki, poświęcone najczęściej wewnętrznym stosunkom i sprawom narodu, odznaczały się szczególną znajomością jego usposobień i jego stanu, znajomością praktyczną urządzeń i praw, wreszcie historyczną (a w potrzebie i statystyczną) dokładnością.

Oprócz wydawania Wiadomości zajmowało się to grono ludzi oświecaniem opinii europejskiej o stanie rzeczy w Polsce, o wszystkich politycznych i religijnych prześladowaniach i krzywdach.

Po r. 1863, kiedy wszelka czynność polityczna polska za granicą była niemożliwą i skończyć się musiała, powziął Kalinka zamiar napisania życia ks. Adama Czartoryskiego. Był to poniekąd powrót, pod inną formą, do dawnej myśli o historyi emigracyi. Ale zabierając się do tego żywota, zmiarkował rychło, że będzie on zrozumiałym i należycie ocenionym wtedy dopiero, jeżeli będzie połączony z opisem stanu Polski w epoce poprzedniej. Zaczął więc studyować czasy Stanisława Augusta: a gdy szczęśliwym trafem znalazły się właśnie przywiezione do Paryża ważne do tego panowania dokumenta, Kalinka postanowił wydać je i opatrzyć stosownym wstępem. Tym sposobem powstało dwutomowe dzieło Ostatnie lata Stanisława Augusta, którego tom drugi jest zbiorem dokumentów, odnoszących się istotnie do końcowych lat tego panowania (1787—1795) — ale pierwszy jest treściwem opowiadaniem tego panowania aż do roku 1787 (do zjazdu króla z Katarzyną w Kaniowie).

Kalinka przez to dzieło objawił się odrazu jako historyk pierwszego rzędu. Aż dotąd nie czuł w sobie tego powołania ani tej zdol-

ności. W ostatnich latach Stan. Augusta podane jest w krótkości wszystko, co było ważne, stanowcze, rozstrzygające w położeniu narodu, wszystkie zwroty i zmiany, w tym przeciągu czasu dokonane, z powodami i wpływami, które je sprowadziły, ze skutkami, jakie one znowu w położeniu Rzpltej wywołały. (Strona dyplomatyczna historyi zwłaszcza, polityka zagraniczna, traktowana jest ze znajomością rzeczy i bystrością przedtem w naszej historyografii niewidzianą). Na tem tle dopiero rysują się postaci i charaktery ludzi, kreślone z dziwną przenikliwością i mocą; między tymi na szczególną uwagę zasługuje wizerunek Katarzyny i Stanisława Augusta.

Była też ta książka i oznaką nowego zwrotu w historyografii polskiej — tego, który chce wyśledzić i wskazać bez wahania, co w przeszłości było złem, na to, by w teraźniejszości z tego złego się leczyć, a w przyszłości w sobie go nie mieć. W tym samym czasie, nie znając się jeszcze i o sobie nie wiedząc, Kalinka i Szujski jednakowo zadanie historyi pojmowali i spełniali. Zarzucano im obu, że narodowi odbierają ufność w sobie, upokarzają go przed obcymi, cześć przeszłości i ojczyzny podkopują. Na te zarzuty odpowiedział Kalinka z góry przedmową do Ostatnich lat, której konkluzya jest ta, że żaden Polak nie uczuje się mniej Polakiem, choć się dowie, co w jego ojczyźnie było złego; owszem każdy w tej boleści uczuje się tem bardziej obowiązanym służyć ojczyźnie i podnosić ją; a jak »całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby całą prawdę stawiali przy sobie Polacy«.

Zaraz po napisaniu Ostatnich lat (r. 1868) spełnił Kalinka z dawna powzięty zamiar — wstąpił do nowicyatu Zmartwychwstańców w Rzymie. Wyświęcony na księdza, zostawał tamże, zajęty sprawami zgromadzenia, z krótkimi tylko pobytami w Galicyi. W roku 1874 na 1875 wysłano go do Bułgaryi dla zwiedzenia szkół i misyi katolickich, zostających tamże pod kierunkiem Zmartwychwstańców, w roku zaś 1877 do Jarosławia jako kapelana przy klasztorze zakonnic. Tu zaczął pisać Sejm czteroletni, którego tom pierwszy wyszedł w roku 1880.

W całej naszej literaturze historycznej niema książki boleśniejszej jak ta, ale też niema podobno takiej, któraby była doskonalej napisana. Bolesna jest nie tylko przez sam swój przedmiot i treść (dążenie narodu do dźwignięcia się z upadku, nadzieja a prawie pewność szczęśliwego skutku, i potem nagle upadek tych nadziei i drugi rozbiór) — ale boleśniejsza jeszcze przez to, że pokazuje otwarcie i bez ogródki wszystko złe, jakie było w ówczesnej Polsce pod względem moralnym i politycznym. Nie tylko zaś stwierdza to złe, które było zawsze znane i wiadome, ale wykrywa i dowodzi, że w najlepszych i najrozumniejszych ludziach tego czasu były wady charakteru, a w ich postępowaniu błędy polityczne. Z tego powodu znowu (jak po wydaniu Ostatnich lat) spadały na autora zarzuty, że nie szanuje przeszłości, a w narodzie szacunek siebie samego osłabia. Odpowiadał (jak wtedy), że pierwszym obowiązkiem historyi i historyka jest prawda, że prawda, należycie

poznana, miłości i czci ojczyzny uszczerbku nie przyniesie, i zwątłe i płytkie musiałyby być te serca i uczucia, które odwracałyby się od ojczyzny dlatego, że ten lub ów w niej człowiek lub postępek nie był tak doskonałym, jak sądzono.

Znakomicie zaś napisaną jest ta książka dlatego, że jasny układ i ugrupowanie faktów, oznaczenie każdego z nich w jego doniosłości i stosunku do innych, sztuka pisania wreszcie i prawdziwy historyczny styl, który nigdy nie jest szumny, a zawsze poważny, zawsze równie poprawny i szlachetny — rzadko kiedy dają się widzieć w tym stopniu doskonałości. Najważniejszy i najszlachetniejszy a zarazem tragiczny okres naszej historyi XVIII wieku opisany jest i wyjaśniony z najdokładniejszem i umiejętnem badaniem rzeczy, z zmysłem politycznym szczególnie bystrym i trafnym, z niepospolitym pisarskim talentem, i z najżywszem uczuciem patryotycznego obowiązku. Doskonała jako historya, jest ta książka zarazem jedną z najgłębszych nauk politycznych i moralnych, jakie mamy w naszej literaturze.

Po wydaniu pierwszego tomu, ksiądz Kalinka niespodzianie oderwany został od tej pracy, a powołany do innej.

Gdy na życzenie Leona XIII, a z pozwoleniem cesarza Franciszka Józefa, księża Zmartwychwstańcy założyli we Lwowie zakład wychowawczy dla młodych Rusinów, ksiądz Kalinka, jako najbardziej spraw ruskich świadomy, został przełożonym tego domu. Nowy ten obowiązek i nieodłączne od niego trudy i troski, oprócz tylu liczne posługi duchowne i miłosierne, zabierały mu bardzo wiele czasu. Tylko tak niezwalczona energia i pracowitość jak jego mogła wystarczyć na to, by oprócz tych zajęć rozlicznych pracę historyczną przecież dalej prowadzić. Owocem jej był naprzód Żywot generała Chłapowskiego, biografia doskonała i rzec można arcydzieło w swoim rodzaju, a oprócz tego przyczynek ważny i nacząjący do naszych dziejów porozbiorowych. Sejm czteroletni postępował mimo tych przeszkód. Część pierwsza drugiego tomu wyszła w roku 1883, wreszcie w 1886 druga połowa tego tomu doprowadzająca opowiadanie aż do ostatnich dni przed samą sesyą 3. maja. Był ten tom pierwszego zupełnie godzien, może od niego wyższy. Mianowicie cała strona dyplomatyczna ówczesnego położenia, przymierze pruskie, stosunek Rzpltej do Austryi i zamiary Katarzyny, a prócz tego wizerunki osób głównie działających, sprawiają, że nie wartość tej części dzieła, ale jej ciekawość jest może największa.

Na tem też skończyła się praca księdza Kalinki, tak niezmordowana i namiętna przez lat przeszło trzydzieści, że wyczerpała jego siły i złamała zdrowie. Od lat paru często cierpiący, w listopadzie r. 1886 zapadł na zapalenie mózgu, które skończyło się śmiercią 16. grudnia tegoż roku, we Lwowie.

Po śmierci znalazły się w jego papierach pierwsze rozdziały rozpoczętego trzeciego tomu Sejmu. Jest w nich opisany sam dzień 3. maja 1791 i pierwsza po nim sesya, 5 maja. Jeżeli jest

nie mogło być, żeby historyę sejmu doprowadził do końca — a sam mówił nieraz, że nie czuje się na siłach pisać o wypadkach roku 1792 jako zbyt bolesnych — to szczęście przynajmniej, że dzieje te doprowadzone są do stanowczej i najpiękniejszej swojej chwili.

Był Kalinka znakomitym publicystą, z tego wyszedł na doskonałego pisarza i wielkiego historyka, wreszcie był kapłanem w wierze i służbie Bożej gorliwym jak mało. W każdym z tych zawodów umiał równie dobrze wszystkim zadaniom i obowiązkom podołać. Ta wielostronność jego umysłu i zdolności, zmysł praktyczny i organizacyjny, jaki do każdej pracy wnosił, to jest jego charakterystyczna właściwość i cecha.

Duchowny, do spraw świeckich nie należący, a swojemi nad miarę zatrudniony, wpływał przecie na różne naszego życia kierunki, bo w sprawach naukowych odnosili się do niego uczeni, w publicznych zasięgali jego zdania posłowie, w sprawach kościelnych duchowni, w uczynkach i stowarzyszeniach miłosiernych ci, którzy z nich zrobili sobie cel życia. Zmysł organizacyjny, praktyczna zdolność działania, rozum polityczny, to były właściwe przymioty księdza Kalinki jako obywatela i jako publicysty.

W sprawach kościelnych wreszcie, w dziele religijnego odrodzenia narodu, bez którego nie wierzył w świecką i polityczną jego siłę, ksiądz Kalinka znaczył i działał tak wiele, że historya polskiego Kościoła będzie musiała przeznaczyć mu osobną i wielką kartę.

Jako umysł polityczny jeden z najgłębszych i najtęższych, jako historyk jeden z najlepszych, jako kapłan jeden z najgorliwszych, jakich mieliśmy kiedykolwiek, Kalinka w tych trzech kierunkach działający, a we wszystkich trzech znakomity, jak miał wielostronny i szeroki zakres działania i wpływu, tak może służyć za wzór doskonałego pełnienia wszystkich obowiązków, i być przez dzieła swoje dla potomnych radą, podporą i nauczycielem.

Z OSTATNICH LAT PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA.

Przedmowa

(skrócona).

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historyi upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń nierozerwanym ciągiem po sobie idących, od zjazdu kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy, z czyjej wyszły ręki; są to korespondencye Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób, w Polsce i w Rosyi naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonem po czasie, ale związane z życiem politycznem narodu,

przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających zarazem. Jest więc ta publikacya znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili równie jest korzystny pod względem moralnym i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym. Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli, i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconej pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rady z żalem usłuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenta ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama z dokumentów niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

„Szczery i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku (mówiono nam) może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się (wedle pospolitego wyrażenia) wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechów, w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, prócz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei

w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości; z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni; a ktoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepce i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy. Jesteśmy jakoby dzieci, których matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? czyż samo uczucie synowskie nie nakaże raczej odwrócić od nich oczu, a o to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłóżmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzedz od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobije! A wreszcie próżnem jest staraniem i czczą pretensyą chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiejkolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenta, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktów i to najważniejszych może — i sąd taki w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości stworzy tylko jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny!“

„Przy rozdarciu wewnętrznem, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna — mówiono nam z innej strony — stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partyach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tem; zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasła, odżyje na nowo i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwy-

czajnych składa się ludzi; wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych: nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracowników! — Jeżeli zaś przeciwnie wypadkiem studyów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta nie wie, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy z starych szlachty polskiej przywilejów jeden tylko został przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blizko już od wieku własnem cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nie tylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednem zresztą pokryć przebaczeniem!"...

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodać, że znajdowały w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studyów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które nanowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca!... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenta wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nie tylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenia nad miarę na-

szych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzeczypospolitej naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patryotyzmie, o swojem nawet męstwie wojennem, i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szabli polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że i w naszem prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, „którą możemy się chlubić"; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczem opisywał dzieje Zygmunta III., aby przypomnieć, że „i my także czemś byliśmy": *et nos fuimus;* wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historyę szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły". — „Historya — pisał kilkoma laty wprzódy Naruszewicz — ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy"; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnież książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączonej, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysileń, tyle wreszcie zasobów — wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. — Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby (że tu zacytujem słowa niedawno powiedziane) rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historyi poezya krytyce już nie dawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: *sine ira et studio.* Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku

rzucając zasłonę, owa poezya historyczna w coraz to wyższe, nadeuropejskie cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnierstwie, zowiąc nas Chrystusem narodów! Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spólnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII. dobrowolnie zstąpiła do grobu. — Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szału, odczłowiecza się pomału. Tak i my, podniósłszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucye, któremi państwo upadło, te właśnie instytucye, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i *liberum veto* i elekcya królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historyi zamiast prawdy i rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność, *a priori* przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studyów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorye szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest Chrystusem narodów, drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i na nowo objawić chrześcijaństwo!

I tak, gdy ciągle brzmiały też same pochwały, ciągle też same powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszem gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nie tylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go nie-

dobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór; a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy.

Lecz mówią nam: Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy wyzdrowieje matka ukochana, dziś śmiertelnie chora! — Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten wówczas na mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się jej poznać?

Jak wydobędziemy się z tej ciemnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak nam odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzedz skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niepostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatya, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory...

Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia? — Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, żeby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć czy widokiem plam, jakie ciężą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającem wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bez wątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie czuł się mniej Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt choćby chciał, nie potrafi. Silniejsza ona niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli i stuletnią już blizko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było

słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosyan — choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali — to z każdem, które przebywa, ćwierćwieczem owa odmiana czy apostazya staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takiem usposobieniu narodu polskiego niewątpliwem, niezachwianem i któżemu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach i w ich nieustannie bijącem źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studyum to może być obojętne albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, ale w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długiem wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda — i jeczcze twardszem się staje. — I czy doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącem jest odjąć nieprzyjaciołom tryumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z nimi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa nie ma żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej za narzędzie do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my ani oni: my w pracy nad sobą i pokutniczem skupieniu czekając, aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumni, potrząsając głową i z naszej ziemi całemu już grożąc światu, aż Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie niepotrzebną.

Z tej więc strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznaną. Ważniejszym

wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać; bo próżną jest wszelka budowa i na nic się nie zda wszelki materyał tam, gdzie między robotnikami niema harmonii i pokoju; bo wreszcie najgorsząby to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy z studyów nad historyą upadku Rzpltej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. Ale i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku — a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje — tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII., niemasz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszem stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmiesznem byłoby a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, niemasz na kogo cisnąć kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego jak zarzuty przedajności; nie tylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z nimi można; bo też od połowy XVII. wieku, mnóstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, żeby u nas przodków drugiego mógł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionem czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historya. Znane są, to prawda, imiona ludzi, którzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, których kupowano za łyżkę strawy, za kilka talarów. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu: historya każdego rokoszu i każdej nieledwie konfederacyi mogłaby na to dostarczyć dowodów. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność. — Błędnem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt nizka to zbrodnia i przy najmniejszem moralnem podniesieniu, prędko się naród z niej otrząsa i staje się nie-

dostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, żeby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi, a w Rosyi dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie — że nic więcej nie powiemy — iż sami ani dziejów ani spraw publicznych ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które, całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzpltej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studya należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty: owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali te wady, które przez dwa wieki grób pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia. Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat z górą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdem polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary

dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstały antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacye, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzpltej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień; co się działo w XVII. i XVIII. stuleciu, to i dzisiaj bez mała powtórzyćby się mogło — gdyby nie ostrzegały: sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca; ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynią, to u nas epoka tak blizka jak koniec Rzpltej najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: *Mutato nomine de te docet — historia!*

Przestroga dla spółczesnych i dla następców, oto — w ostatecznem zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód zdaniem naszem tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacyach nieuniknione. „Poznacie prawdę, mówi Pismo, a prawda was wyswobodzi“. I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już zrozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy, i te tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku XIX-ego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkiem Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność, rozwiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazye i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak

twardo potępiali, że nawet w swojej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości, i którym pisarze jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Häusser, wyrzucali głośno brak patryotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uniżoność i biurokracyę. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich, co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgniemy epok? Ci nawet z tego szydzili, co każdy naród u siebie szanuje — z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali swych odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze niż były nimi w istocie, my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy, własną, od nikogo nie przyznaną pojąc się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde choć najlżejsze upomnienie strasznem odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu, i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi mniej z szczegółami historycznymi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem obejmującym epokę Stanisława Augusta od jego wyboru aż do zjazdu kaniowskiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru z kolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznem ocenieniu ważniejszych; przytem staraliśmy się zaznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego z osobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępowanie ówczesnego rządu polskiego i opozycyi. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziś dzień sądów i wyobrażeń. Zanadto wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namiętnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzeć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

Z dzieła p. t.

GENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI.

Charakterystyka.

Jako podróżny, który wdrapał się na wysoką górę, lubi obejrzeć się poza siebie, aby jednym rzutem oka obejrzeć całą okolicę, tak i ja, doszedłszy do mety, chcę jeszcze raz przyjrzeć się życiu generała, nie w szczegółach, ale w ogólnym jego charakterze.

„*Ense, cruce et aratro*“, mieczem, pługiem i krzyżem, te słowa należałoby wyryć na jego grobie. Żołnierz, obywatel, chrześcijanin, potrójną walczył bronią, każdą władał dzielnie, a każdą z kolei służył ojczyźnie.

Żołnierzem był naprzód i przedewszystkiem „stary wojskowy i generał, na którego widok, jak powiedziano, mimowolnie stawało się do frontu i opuszczało ręce po sobie“. Wojskowość była jego najulubieńszem zajęciem, dzieła wojskowe czytał ciągle i każdą wojnę, która się za jego życia toczyła, pilnie studyował. Wojna krymska obudziła w nim żywą nadzieję. Kiedy rząd angielski zawezwał generała Zamoyskiego do formowania polskiej dywizyi, Chłapowski odezwał się do niego, że gdy stanie na polskiej ziemi, pośpieszy i on, wraz z trzema synami, pod jego komendę. Po kampanii włoskiej roku 1859 pojechał na miejsce i pola bitew oglądał. Od dzieciństwa wychowany na koniu, w każdym geście, w każdem poruszeniu objawiał człowieka, który nawykł do dawania rozkazów, a nie przypuszczał, żeby można go było nie usłuchać. To też opozycyę niełatwo znosił, w czynie a nawet w zdaniu, i gdy mu zaprzeczono, mówić przestawał. Gdy go zamianowano członkiem Izby panów w Berlinie, powstała myśl, aby go zaprosić na prezesa Koła polskiego. Wymówił się, dodając żartobliwie: „ja nie rozumiem inaczej prezydencyi, tylko iżbym tych panów, co nie przychodzą regularnie na sesye, mógł wsadzić na kilka dni do kozy“. Sądził ludzi po wojskowemu, i gdy o swoich towarzyszach usłyszał sąd niekorzystny — „ej, bił się dobrze“, to była jego obrona: zato bez litości był dla tchórzów i dla fanfaronów i do końca nie mógł przebaczyć tym, którzy w roku 1831 w domu pozo-

stali; przyznawał, że mogli mieć słuszne do tego powody, ale jednak widać było, że tych powodów nie rozumiał. Łatwo ufał ludziom, dopóki się o ich obłudzie nie przekonał; wtedy brzydził się nimi. Skłonny był widzieć różowo, może dlatego, że na swoje siły liczył. Mawiał, że gdy pierwszy raz działa zagrzmią, rzadko kto by nie zadrżał, ale dodawał, że jeżeli ma się choćby najmniejszą komendę, wnet się zapomina o niebezpieczeństwie. W czasie bitwy rósł i potężniał na oko; widać było, że w niego jakiś wyższy duch wstępował. „Ten młodzieniec zajdzie daleko“, wyrzekł o nim Napoleon pod Wagram. Nie zaszedł tak daleko, jak można się było spodziewać i jakby dla dobra sprawy należało pragnąć. Cóż stanęło na przeszkodzie? Czy brak ambicyi i jego szczególna obojętność na rangi i stopnie? „Honor bez honorów“, oto dewiza, którą sobie wynalazł. Baronowskiego tytułu nie używał nigdy, chociaż na polu bitwy nań zarobił. Jak nie upomniał się o awans, gdy służbę Napoleona porzucał, tak nie dbał o to, że mu dano stopień niższy aniżeli należało, w początkach wojny r. 1831. Gdyby w tej wojnie wcześniej był został generałem, nie Gielgud, ale on byłby na Litwie komendantem, a wtedy innyby z pewnością wzięła obrót ta wyprawa i ostateczny walki wypadek może byłby inny.

Dobry taktyk, ilekroć jedna broń wypadała mu z ręki, zaraz chwytał za drugą; zsiadłszy z konia, brał się do pługa i tym orężem nową walkę zaczynał, walkę bardzo długą, bardzo mozolną, ale w skutkach niezawodną. Poczciwa ta ziemia polska, choć się na nią skarżą: kocha tych, co ją kochają, co jej służą wiernie, nie jedną, ale obiema rękoma. Ileżto razy w ciągu naszego stulecia, za księstwa warszawskiego, w początku kongresowego królestwa, następnie po zniesieniu pańszczyzny i dziś jeszcze, słyszeliśmy i słyszymy głosy rozpaczliwe, że obywatelstwu grunt się z pod nóg usuwa, że jeszcze trochę, a wszystkie majątki przepadną! I przepadło ich wiele; lecz kto szczerze chciał, kto żył roztropnie i z groszem się rachował, a trudu dołożył, ten się ocalił. Chłapowski szeroko na tem polu zajaśniał; na pół wieku przed innymi pokazał, że dobry rolnik jest zarazem dobrym patryotą, zasłużonym obywatelem. Wystawił szkołę rolnictwa dla narodu, niemało gospodarzy wykształcił. Poczciwa ta ziemia polska, choć rok i drugi zawiedzie, wkońcu sowicie odpłaci się tym,

co dla niej nie szczędzą. Generał zaczął na majątku, na którym nic prócz tytułu własności nie posiadał; w pierwszym dziesiątku lat spłacił milion długów i dobra do niewidzianej w Polsce doskonałości doprowadził; w drugim i trzecim dziesiątku do dziedzicznej Turwi i Rombina dokupił Brodnicę, Goździkowo, Manieczki, Kopaszewo. Zaczął od 11.000 zadłużonych morgów, skończył na 32.500, i te między synów rozdzielił. A zapłacił przytem niemało; i częściową konfiskatę w roku 1832, i owe 100.000 rozdane oficerom na ziemi pruskiej, i do fundacyi Sercanek w Poznaniu znacznie się przyczynił, i kto wyliczy jego hojne datki. Znać, że ofiara na rzecz publiczną nie uboży, i owszem pomaga, bo do rachunku z sobą przynagla. Wszak prawda, że ofiary znaczniejszej nie robi się bez dłuższego namysłu; lecz gdybyśmy chcieli zliczyć te wszystkie wydatki, których źródło w naszej próżności i próżniactwie, tobyśmy dopiero przerazili się wielkością sumy, jaką one pod koniec roku wytworzą. Być może, że system rolniczy, którego Chłapowski się trzymał, ulegnie zmianie, że z czasem okaże się mniej korzystnym, że zarzuciwszy tak zwane intensywne gospodarstwo, powrócą do prostszej metody, co doświadczenie pokaże: ale co nie ulegnie zmianie, co przy każdym systemie okaże się najkorzystniejszem, to oszczędność i praca. Ten przykład z jego życia zostanie i będzie jedną z wielkich jego zasług. A obok materyalnych w ziemi nabytków, jak szczęśliwe w ludzie włościańskim zdobycze! jakie podniesienie tego ludu w majątkach generała! Czy to za wiele powiedzieć, że każdy właściciel wsi może w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia organizmu narodowego?

Z wojskowej do obywatelskiej, z obywatelskiej, stopniem wyżej, przeszedł do służby krzyża. Ta służba najwyższa i najpotrzebniejsza. Dla wszystkich narodów Kościół jest dźwignią, dla nas jest czemś więcej, zasadą bytu, rękojmią przyszłości. Więcej potrzeba siły temu, co upadł, by się dźwignął, niż temu, co stoi, by się na nogach utrzymał. I na tem także polu zaważył generał. Któż nie wie, ile znaczy przykład męża, przed którym każdy musi głowy uchylić, a który sam, jawnie, korzy się przed Bogiem i ze szlachetną odwagą staje po stronie Kościoła; tym przykładem nie tylko dusze pokrewne pociąga, ale i przeciwników rozbraja, podnosi i uszlachetnia. Azaliż nieprawda, że takie uszlachetnienie widzimy już dzisiaj w Poznańskiem,

gdzie mimo ścierania się obozów politycznych, jest obustronna zacność, wzajemne poszanowanie, z obu stron łatwiejsza zgoda, skorsze podanie ręki, ilekroć się ma wobec siebie wspólnego przeciwnika? Solidarność narodowa, która dziś tworzy siłę Galicyi, wyszła z Wielkopolski. To podniesienie, wzmocnienie opinii i charakterów, jak cechą jest tej prowincyi, tak śmiem powiedzieć, skutkiem jest rozbudzonego w niej, o wiele niż gdzieindziej głębszego, religijnego uczucia. Potrzebaż tu dodawać, jakie od swoich spotkały Chłapowskiego krzyże, obmowy, oszczerstwa? Zrobiono go kozłem ofiarnym cudzych błędów i cudzej niesforności na Litwie; w roznamiętnieniu, jakie nastało po upadku sprawy, nie umiano prawdy rozeznać, nie chciano jej szukać. On milczał; czasem jęknął z bolu i płaczem wybuchnął przed zaufanym przyjacielem, ale głośno nie skarżył się nigdy. Zamknął się w pracy. I gdy „cierpliwością tą panią niedoli, dom swój odtworzył z niczego, powoli i ziemię dziedziczną ocalił i mienia dzieciom przysporzył, zaczęto się temu dziwować. Tylu ludzi straciło fortuny, a on je jeszcze powiększył; czyż to mogło stać się prostą drogą? I oto na człowieka, który sumienność i delikatność w sprawach pieniężnych posuwał, rzec można, aż do przesady: zaczęto szeptać po cichu, że tu czyjaś krzywda być musi. Szpetne to, bezecne i czyż potrzeba o tem wspominać? Potrzeba — choćby dla całości obrazu. Gdyby Chłapowski z kruchszego był ukuty materyału, a do innego należał obozu, czyżby, pomimo wejścia do Prus, nie był wielbionym, kochanym, na rękach noszonym, jak to się z innymi trafiło? Ale to był twardy granit, na którym żaden pocisk nie zostawiał śladu, w życiu i słowie niezachwiany, pokorny Kościoła syn, a odważny wyznawca Chrystusowej wiary. I oto kamień obrazu dla jego przeciwników, oto źródło tej niechęci, która go ścigała i ściga. „Nie jestci sługa większy nad Pana swego“. Ale jeżeli mąż takich zasług, takiej czynności charakteru i życia nie mógł uniknąć prześladowania od swoich, dopóki żył i po śmierci, zaliż my mamy kwilić, że i na nas maluczkich spadnie z ulicy jakaś kropla błota? Zaliż zgorzknąć mamy w sobie i serce swe zamknąć przed braćmi, którym nie brak może dobrej intencyi, brak tylko doświadczenia i sądu?..

Chłapowski i dla historyka i dla psychologa zjawiskiem jest ciekawem. Są w nim przymioty, które zazwyczaj nie idą

w parze, lecz kiedy je traf szczęśliwy powiąże, tworzą całość wyjątkową. Rozum głęboki, a nie w jednym, ale w każdym kierunku, różnostronny, lecz przytem zawsze jednolity. Rzutki i przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały; śmiały a bardzo ostrożny; w służbie twardy, a poza służbą druh serdeczny; oszczędny, a przytem hojny i bezinteresowny aż do zadziwienia. Żołnierz „od stóp, do głów, na wskroś i na wylot", przytem pełen dystynkcyi i wykwintnego poloru. Człowiek czynu i człowiek nauki; każdego dnia kilka godzin na koniu i kilka godzin przy książce przesiedział. Czy szablę czy pług mając w ręku, czyta i uczy się wciąż. Z dzieciństwa wyniósł znajomość francuskiego i niemieckiego języka. W r. 1808 nauczył się po hiszpańsku, w roku 1811 po rosyjsku, w roku 1814 po angielsku; na starość jeszcze po grecku i po włosku się uczył. Obok wojskowości i agronomii, historya jego zajęciem codziennem, a nie tylko świecka, lecz i kościelna. Całego Cantu i całego Rohrbachera przewertował, a czytał powoli, z piórem w ręku. Ile razy nowe podejmuje zajęcie, zawsze się do niego przez studya teoretyczne przygotowuje; tak w wojnie, tak przy roli, tak na sejmie i w obywatelskich posługach. Zostały po nim stosy notat, wypisów lub rozpraw samodzielnych, dla własnej nauki ułożonych. Umysł jasny i krytyczny, rekryminacyi nie lubił; gdy się rzecz stała, osądził trzeźwo, ale nie wyrzekał, nie potępiał; odrazu do tego, co robić należało, przystępował: budował na tem, co zastał. Rycerz prawdziwie chrześcijański; energia i spokój, to jego znaki wybitne; nawet na wojnie, przy ataku, w zapale bitwy, mówił, że nikogo bez potrzeby nie zabił. Czuł w sobie, bo czuć musiał, zdolność do wielkich rzeczy, a jednak na tem, co mu robić kazano, przestawał; przed żadnym rozkazem się nie cofnął, każdy świetnie wykonał; ale dopóki nie dano rozkazu, jak żołnierz stał na miejscu, naprzód się nigdy nie wyrywał. Kto się nad tem głębiej zastanowi, ten musi przyznać, że ta równowaga i panowanie nad sobą, ta wstrzemięźliwość w działaniu, kiedy ono nie wchodzi w nasz obowiązek, jest cnotą jedną z najtrudniejszych, ale i najpotrzebniejszych w zbiorowej czynności.

Troskliwy o sługi, o wychowanie swych dzieci, chciał, ażeby zawsze był pokój w jego domu, żadnych niesnasek między nimi nie cierpiał. Zasadą jego było, aby każdy z sy-

nów, zanim wejdzie w gospodarstwo, odbył dziesięcioletnią służbę publiczną; to też najstarszy służył dziesięć lat w artyleryi, drugi tyleż w sądownictwie; chciał przez to ich charakter ująć w silne karby obowiązku, bo tego, jak mówił, pobyt na wsi nie uczy, tam każdy zbyt panem jest siebie. Z dzieciństwa zapamiętał wiersz Karpińskiego „o powinnościach obywatela“:

Jam jest Ojczyzna, i nie dość mi tego,
  Że się nazywasz mym synem;
Masz mi poświęcić siebie całego
  I nie zmazać się złym czynem;
Gdy cię zawołam w moim ucisku
  Do wspólnej z bracią roboty,
Niechaj kto inny biegnie dla zysku,
  Tobie nagrodą twe cnoty.
Choćby po twojem najlepszem dziele
  Zawsze o sobie sądź mało;
Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
  Lecz co ci zrobić zostało.

Ten wiersz przekazał swojej rodzinie; każde dziecko u Chłapowskich musi go umieć na pamięć.

Chociaż od Anglików i Szwedów wyuczył się agronomii, od Francuzów przejął wiele w wojskowości i w życiu, i z nimi łączyły go wspomnienia świetnie przebytej młodości, to jednak Polakiem był zawsze i wszędzie: przy roli, w pracy obywatelskiej i na wojnie. Żadnej obcej sprawie służyć nie chciał: porzucił Napoleona, gdy ten księstwo warszawskie Aleksandrowi oddawał; w r. 1845, gdy mu przez Montalemberta ofiarowano komendę nad armią Sonderbundu w Szwajcaryi, odmówił. Polaków kochał i cenił, lecz zarzucał im, że niedość pracują, niedość się uczą i mają za wiele miłości własnej. Charakter nawskroś polski, a bez żadnych polskich wad. Ze wszystkich wad drobniejszych najbardziej miłością własną pogardzał, bo jak mówił, ona połowę rozumu człowiekowi odbiera; przy niej i cnoty i zdolności, a nawet majątki drobnieją.

Wzrostu małego, ale dziwnie regularnych i pięknych był rysów; na dworze napoleońskim zwano go Cherubinem. Oczy miał duże, niebieskie, które czasem dobry i łagodny, czasem wielkiej siły i grozy przybierały wyraz. Mówił mało i krótko, pisał z łatwością i jasno, ale nie poprawnie, tak dobrze w pol-

skim jak francuskim języku. Miał wymowę nie słowa, lecz czynów, a także swej fizyognomii — poważnej, szlachetnej, energicznej. W odpowiedziach swoich żywy i nieraz pełen trafności, umiał, kiedy było potrzeba, zręcznem i dosadnem słowem dać zrozumieć, choćby wysoko stojącym osobistościom, niewłaściwość ich odezwania się. Znajdował się w Berlinie w r. 1852 w Izbie panów, której był członkiem, kiedy Napoleon III ogłosił się cesarzem. Zbliża się do niego pewien dygnitarz pruski i rzecze: „A cóż, generale, Bonaparte znów na tronie, czy pojedziesz do niego?“ „Nie, ja na tamtego tutaj czekałem“. Podczas swej służby przy Napoleonie I odwiedzał często Caramanów, którzy należeli do obozu legitymistów. „Bywasz w domu Caramanów, rzecze doń cesarz, muszą tam źle o mnie gadać“. „N. Panie, zbyt oni dobrze są wychowani, aby przy mnie źle mówili o WCMości“. W roku 1853, kiedy się w Rzymie znajdował, odprawiono rewię na cześć ks. Jerzego, królewicza saskiego. Generał Montréal, stary kolega Chłapowskiego, zaprosił go po rewii na śniadanie i przedstawił księciu. Odezwał się Chłapowski do królewicza, że o dynastyi saskiej zawsze z wdzięcznością wspominają w Polsce. „Ach, rzecze ks. Jerzy, moja rodzina wszystkie swe nieszczęścia zawdzięcza Polsce“. „W. Kr. Wysokość zapomina, iż rodzina jego winna Polsce to szczęście, że do Kościoła katolickiego się liczy“. Człowiek władzy, kiedy starszy rozkazał, uważał sobie za obowiązek bronić tego rozkazu, choćby mu był przeciwny, i to tłómaczy jego zachowanie się przy Giełgudzie na Litwie. Ale dworactwa nie cierpiał i dworakami pogardzał. W r. 1814, po traktacie paryskim, wojsko polskie przeszło pod rozkazy Aleksandra. Jeszcze Napoleon był w Fontainebleau, a już Krasiński urządził przegląd pułku szwoleżerów przed cesarzem rosyjskim i zaprosił go na śniadanie wraz z królewiczem pruskim. Prosił i Chłapowskiego, ale ten się tłómaczył, że nie ma munduru. „Eh, ty pewno myślisz, rzecze Krasiński, że to nieładnie tak z jednego przedpokoju przechodzić do drugiego“. „A kiedy generał tak powiadasz, odrzecze Chłapowski, to nie przeczę; ja tego nie umiem“.

Takim był Chłapowski: prawy, silny, rozumny. Czy był geniuszem, tego nie śmiem powiedzieć; nie miał dość pola, aby tego dowieść; ale z pewnością był człowiekiem wielkiego charakteru. Niejeden geniusz klęską był dla narodów; cha-

rakter wielki i w sobie samym wyższy jest od geniuszu i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Na kilku polach Chłapowski dał impuls potężny, który czuć w całym kraju. Stworzył dom zacny, zaszczepił w nim silną tradycyę. Zacnością rodzin podnoszą się narody. Kochał ojczyznę całą duszą: *per illam defunctus adhuc loquitur,* przez nią on do nas i do swej rodziny przemawia. Nie wiem, jakim się on w moim obrazie przedstawia; tylko upewniam, żem go nie upiększał, nie stroił wieńcami. Na co tam wieńca, gdzie szabla i krzyż!...

Kończąc, mogę śmiało odezwać się do moich słuchaczów. i młodszych i starszych: *Habes in illo quod mireris, habes quod imiteris,* znajdziesz w nim wiele do podziwienia, znajdziesz i do naśladowania; lecz i Bogu jest za co dziękować. Bo każdy Polak znakomity łaską jest od Boga, siłą, bogactwem i chwałą ojczyzny; jakże za to nie być wdzięcznym! „Człowiek jest pryzmatem, rzekł wielki mowca, przez który z nieba świecą promienie; nie on jest piękny, tylko Boże promienie. Ale bez niego, tamtych nie byłoby widać“.

Z SEJMU CZTEROLETNIEGO.

Ksiądz Hugo Kołłątaj.

(Część pierwsza).

Mało jest ludzi, na którychby tyle, co na Kołłątaja wydano sprzecznych wyroków. Za życia, jak po śmierci, nie zbywało mu na zaciętych przeciwnikach ani na ludziach całem sercem oddanych. Ci chwalili go jako najpotężniejszą w Polsce głowę, jako najdzielniejszego obywatela; tamci widzieli w nim chciwego intryganta, którego ambicyi i łakomstwu nigdy kresu nie było. Już ta sama różność sądów, a oraz namiętność, z jaką były głoszone, świadczy, że musiała to być osobistość niepospolitej miary, a dodać trzeba, że do jednego, jak drugiego ocenienia, w jego życiu i działalności znajdzie się dosyć materyału. I pism jego nie można oddzielać od obrazu człowieka i człowieka poznać niepodobna, sądząc go z jednej tylko epoki: musimy całość objąć w jednym zarysie.

Bóg go obdarzył wielką energią i niezwykłemi zdolnościami, on je rozwinął mniej jeszcze zwykłą u nas pracowitością, która go od dzieciństwa aż do grobu nie opuszczała:

atoli z dzielnością umysłową nie szła u niego w parze zacność i stałość postępowania. Wina w tem po części jego własna, po części epoki i stosunków, w których żył. Został księdzem bez powołania i wbrew woli matki, jedynie dlatego, by się prędzej dobić fortuny i znaczenia; a ten pierwszy wielki błąd musiał w całem życiu odzywać się tonem fałszywym; boć kto rzeczy świętej użyje za narzędzie, ten we wszystkiem później szukać narzędzia dla siebie gotów i siebie zawsze na pierwszym celu postawi. Ambitny i odważny, lecz giętki przytem i oględny, mistrzem był w jednaniu sobie ludzi, umiał stać się im potrzebnym, ich pomoc i ślepą życzliwość sobie zyskiwać; lecz skoro stanął na mocnym gruncie, szedł już dalej śmiało, przebojem, nie troszcząc się o swych przeciwników ani oglądając się na dawnych przyjaciół i protektorów. Wytrwały i nieugięty w tem, co jego samego dotyczyło, w swych przekonaniach i zasadach moralnych był chwiejny; ulegał wpływowi wypadków albo i osób, od których w danej chwili zależał. Mściwy i bezwzględny, nigdy nie przebaczył tym, co mu raz w drogę weszli; usług odebranych nie pamiętał, ale mścił się nieraz okrutnie za istotne albo nawet urojone krzywdy. Głowa niepospolita, charakter mniej niż wątpliwy, własną osobistością przesiąkły; wyższy zdolnościami od wielu współczesnych, mniej miał od nich próżności, nierównie więcej ambicyi; przemyślny w wynajdywaniu środków, w ich wyborze nie był wcale skrupulatny; jeśli jego karyerze lub jego osobie groziło niebezpieczeństwo, żadne go wtedy nie krępowały więzy.

Znaczącem było pierwsze jego wystąpienie; daje miarę tego, co później być mieło. Licząc lat 24, dopieroco wyświęcony, gdy ze śmiercią Załuskiego, biskupa kijowskiego, zawakowała kanonia krakowska, Kołłątaj, bawiąc naówczas w Rzymie, korzysta z tego, że to był miesiąc nominacyi papieskich, wyrabia ją dla siebie, bez uwagi, co na to w kraju powiedzą. Ta nominacya oburzyła biskupa i kapitułę, nie chcą jej przyjąć; on zmusza ich powagą Stolicy św. i w roku następnym stallę krakowską zajmuje. Zaraz jedzie do Warszawy, gdzie utworzona świeżo Komisya edukacyjna rozpoczęła właśnie swe czynności; oddaje się na rozkazy jej prezesa, ks. Michała Poniatowskiego; swoją bystrością, czynnością i darem obejmowania różnorodnych a zawiłych spraw, zwraca na siebie uwa-

gę wszystkich członków Komisyi i, chociaż jeszcze tak młody, zdobywa sobie ich ufność. Zjechali pod ten czas do Warszawy deputowani Akademii krakowskiej. W jej imieniu ofiarowali się objąć szkoły pojezuickie całego kraju, ale prosili zarazem, aby ją ratowano w ubóstwie, w jakie popadła. Przyjęto ich życzliwie i pomoc przyrzeczono, lecz powiedziano zarazem, że Akademia powinna wprzód własne zreformować szkoły, a dopiero potem, wedle ich wzoru, inne urządzone być miały. Tu się otworzyła Kołłątajowi pierwsza sposobność do oddania krajowi znacznej usługi. Wysłano go do Krakowa dla zwizytowania gimnazyum nowodworskiego i dla zaprowadzenia w niem nowego planu nauk. Wywiązał się dobrze z zadania. Trudności do zwalczenia były wielkie, ale po skończonym roku szkolnym egzamina poświadczyły korzystnie o dokonanej reformie i zachęciły Komisyę do ułożenia jednostajnego planu nauk dla wszystkich szkół w Koronie i Litwie, co także Kołłątajowi zlecono. Pozostawała inna, trudniejsza reforma samegoż uniwersytetu. Wizytatorem Akademii był biskup Sołtyk, mianowany jeszcze w r. 1768. Wróciwszy z wygnania z osłabionym już umysłem, zamknął się w samotności; a jak dyecezyą się nie zajmował, tak i o uniwersytecie nic nie wiedział, lecz urzędu wizytatora nie składał. Pomimo zaufania, które Kołłątaj obudzał w Komisyi, nie można było tak wielkiego dzieła, jak reforma Akademii, i wobec tak wielkiej powagi, jak biskup krakowski, powierzać młodemu 28-letniemu kanonikowi. Wyznaczono więc osobną komisyę pod przewodnictwem biskupa Szembeka, do której należał archidyakon krakowski, ks. Olechowski i profesor Bogucicki, lecz duszą jej i głównym działaczem miał być Kołłątaj. Wnet też, dzięki swej energii i żelaznej pracowitości, wszystkie interesa przejął w swe ręce i bardzo prędko oswoił umysły ze swą godnością wizytatora Akademii. Roztropnie podzielił całe zadanie na trzy części: naprzód zajął się sprawami uniwersytetu, następnie rozpatrzył się w jego prawach i przywilejach, wkońcu miał przystąpić do planu nauk i do zmian w składzie profesorów.

Sniadecki, świadek naoczny jego prac w tej epoce, nie może znaleźć dosyć słów pochwały dla gorliwości, z jaką młody wizytator wyszukiwał i porządkował fundusze Akademii, a także dla odwagi, z jaką naraził się na walkę z ludźmi,

którzy je obracali na swoją korzyść; atoli bynajmniej nie chwali pośpiechu, z jakim dokonano reformy nauk. Było niewątpliwie w Szkole głównej jak w całym narodzie wiele ospalstwa i zaniedbania: profesorowie zbyt rozmiłowani i zamknięci w odwiecznej rutynie, mało o tem wiedzieli, co się działo w świecie naukowym europejskim; ale pomimo to w owych starych urządzeniach niejedno znajdowało się dobre; należało nowym ożywić je duchem i świeżemi opatrzyć siłami, a stary pień mógł jeszcze wypuścić zdrowe gałęzie. Tymczasem Kołłątaj starą machinę rozebrał, ale jej złożyć nie umiał. W miejsce dawnych kollegiów, które młodych profesorów w miarę ich przykładania się, przypuszczały do corazto większych korzyści, zaprowadził nowoczesny podział na fakultety, w których wszyscy profesorowie byli sobie równi, tak, że czy byli mniej czy więcej czy wcale niezasłużonymi, jednostajne pobierali pensye. Akademia zbyt łatwo tym zmianom się poddała, być może, w obawie, by jej nie przeniesiono do Warszawy; Komisya edukacyjna zbyt prędko je potwierdziła; i stało się, że „w ciągu jednego dnia zatarto prawie, co wieki wyrobiły“ (Śniadecki). Też same urządzenia, które w Polsce tak gwałtownie wywrócono, Śniadecki kilku laty później oglądał w Anglii w pełnym rozkwicie i z uwielbieniem o nich wspomina; dziś jeszcze istnieją one w Cambridge i przynoszą niepospolite korzyści naukom i krajowi.

Reforma Kołłątajowska Akademii, długi czas sławiona, nie doczekała się jeszcze bezstronnego historyka. Nie jesteśmy w stanie wydać o niej sądu; ale o ile bez głębszego rzeczy poznania godzi się wypowiedzieć swoje mniemanie, to powiemy, że szczęśliwą nazwać jej nie można. Wiadomo, że światła nauk na uniwersytecie na nowo nie rozpaliła, a zdaje nam się, że zatraciła w nim ducha korporacyi. Odtąd nie widziano tam już owej pięknej dla Akademii czci i miłości dawniejszych profesorów, którzy ją za swoją matkę, za swoją rodzinę uważali i zbiory swe naukowe jej przekazywali, pożytecznemi zbogacali ją fundacyami. Upadek kraju, rządy obce i napływ cudzoziemców do uniwersyteckich katedr przyczyniły się jeszcze bardziej do zagubienia w niej starych tradycyi.

W roku 1781, pierwej jeszcze, nim swej reformy dokończył, zerwała się na Kołłątaja burza. Lubił on życie wygodne i okazałe, a że pensyi wizytatorskiej nie pobierał, majątku

własnego nie posiadał, a dochody z kanonii nie wystarczały. przymuszony był szukać dla siebie funduszów. Wziął w dzierżawę wieś Bieńczyce, należącą do probostwa akademickiego św. Floryana, lecz rat podobno nie płacił, czem proboszcz znudzony, puścił ją komu innemu. Kołłątaj przebywał podówczas w Warszawie; słudzy, którzy o niczem nie wiedzieli, nie chcieli ze wsi ustąpić, przyszło do bójki i krwawych zatargów. Zerwał się Sołtyk, a żywiąc ku niemu głęboką niechęć od czasów jego installacyi, zapozwał go przed sąd, skazał zaocznie zbyt porywczo na utratę kanonii i kilkumiesięczne więzienie. Sąd prymasowski obalił wprawdzie ten wyrok, niemniej jednak Kołłątaj wiele w tym czasie wycierpiał. Uznała jego krzywdę Akademia, a chcąc przytem uczcić zasługi. obrała go w roku 1783 rektorem. Wrócił więc do swego dzieła. lecz niedługo trwała dobra harmonia. W roku 1785 zawakowało probostwo akademickie w Koniuszy, starał się o nie profesor ks. Garycki i Kołłątaj jawnie go popierał, lecz pokryjomu dla siebie je wyrobił. Oburzyło to profesorów; ich żal zaostrzył się potem jeszcze mocniej, gdy Kołłątaj bez wiedzy Akademii, za rezolucyą Komisyi edukacyjnej, nieprawnie wyrobioną, sprzedał wieś akademicką Tęgobórz. Wobec podejrzeń i niechęci, które z tych powodów urosły, uznała Komisya edukacyjna, że nie można dłużej zostawiać Kołłątaja w Krakowie, i on sam sprzykrzył sobie tę pracę i oglądał się za czemś innem, coby go do wyższych zawiodło godności. W połowie roku 1785 napisał list do króla, w którym przypomniawszy mu, że od lat dziesięciu pracuje w Komisyi edukacyjnej, a dopiero od trzech pensyę pobiera, prosił o zaopatrzenie chlebem duchownym i o jakiś urząd koronny, bliższy osoby królewskiej, „aby zgromadzenia naukowe widziały, jak łaskawy monarcha wynagradza zasługi“.

Oprócz kanonii krakowskiej, posiadał Kołłątaj pod te czasy kilka beneficyów: w Mielcu, nad Wisłoką w Galicyi. w blizkiem sąsiedztwie jego wsi rodzinnej; w Pinczowie od Wielopolskich, od których także Chrobrza się domagał, lecz śmierci proboszcza doczekać się nie mógł; świeżo wspomnieliśmy, w jaki sposób otrzymał Koniuszę; nadto za staraniem ks. Poniatowskiego, naówczas administratora dyecezyi krakowskiej, przybyło mu bogate beneficyum Krzyżanowice, kollacyi Norbertanów, które mu z czasem do dwóch tysięcy dukatów

przynosiło. Chleba duchownego miał więc już dosyć, choć w żadnem z tych beneficyów *curam animarum* nie sprawował, co w owej epoce u wyższych dygnitarzy było zwyczajne. Lecz i zaszczyty nie dały na siebie czekać; otrzymał order Ś. Stanisława, a po skończonem trzechleciu rektorskiem w r. 1786, referendaryę litewską.

Do tej chwili był najściślej związany z prymasem, za jego człowieka uchodził; sam we wspomnianym liście do króla wspomina, że opiece księcia całą winien egzystencyę i z niewygasłą dlań wdzięcznością się oświadcza. Ale teraz rzeczy odmienny biorą obrót: ze zmianą systemu pospolitego w Rzeczypospolitej nowi ludzie wychodzą na wierzch. W roku 1788, wśród walki wyborczej, która poprzedziła otwarcie sejmu, odbył się zjazd w Puławach. Naradzano się tam nad nowym programem politycznym. Twórcami planu i kierownikami roboty byli, oprócz ks. generała z. p., Ignacy i Stanisław Potoccy, Seweryn i Kazimierz Rzewuscy; zapraszano do spólnego dzieła i Szczęsnego, ale się nie zjawił. Człowiekiem, na którego wówczas cały kraj zwracał oczy, kandydatem do laski marszałkowskiej, od wszystkich pożądanym, był Stanisław Małachowski. Jego pozyskać, musiało być dla każdego obozu najważniejszem zadaniem, bo bez woli marszałka na sejmie konfederackim nic stać się nie mogło. Małachowski znany był powszechnie ze swego patryotyzmu i nieposzlakowanej prawości, ale do żadnego obozu jeszcze się nie był przechylił, i przypuszczano nie bez słuszności, że wyrobionych pojęć politycznych nie miał; wiedziano tylko, że od Rosyi trzyma się z daleka, że aliansu z nią nie pragnie, a zresztą gotów przyjąć i popierać całem sercem wszystko, co dla kraju rokowało zbawienie. Gronu, o którem wspomnieliśmy, chodziło o to, aby go związać z sobą i z programem sejmiku lubelskiego, i ten program wmówić weń tak, żeby go uważał za własny. Tym końcem, na kilka miesięcy przed zawiązaniem konfederacyi, zaproszono Kołłątaja, którego biegłość pisarską Ignacy Potocki od dawna już był w Komisyi edukacyjnej wypróbował, aby zamiary partyi i zadania przyszłego sejmu wyłożył najprzystępniej, w formie listów do Stanisława Małachowskiego. Kołłątaj wziął się do tego bardzo zręcznie, umiał trafić do uczuć patryotycznych Małachowskiego, przypomniał mu, że nie mając potomstwa, nie potrzebuje dzielić swych uczuć między

rodziną a Ojczyzną, że tej ostatniej może się oddać cały i siebie i swój majątek oddać jej w ofierze. „Tyś światłem naszem, tyś najpewniejszą nadzieją; i los swój i swe ołtarze tobie powierza Ojczyzna“, mówi do niego na czele dzieła. Listy te nie były zrazu przeznaczone do druku, a choć autor pisał je dla Małachowskiego, w odpisie biegały one z rąk do rąk, z wielkiem zajęciem i upodobaniem czytane, ile że nie tylko treścią i uczuciem, ale i piękną ujmowały formą. Dopiero gdy się spora wiązka zebrała, postanowiono je ogłosić. Podobały się wielce Małachowskiemu, zjednały go całkowicie dla obozu, który je puścił w świat; zjednały go także dla Kołłątaja, który odtąd Małachowskiego stał się człowiekiem. Prymas był mu już niepotrzebny, i odtąd z nim zerwał.

Tak się poczęła i dokonała ta najgłówniejsza z czasów sejmu czteroletniego polityczna publikacya. Jej pierwszy tom wyszedł w sierpniu, drugi w listopadzie 1788 r. zaraz po otwarciu sejmu. Ale Kołłątaj zanadto miał twórczości i poczucia własnej siły, aby mógł czas dłuższy utrzymać się w roli biernego komentatora i wykonawcy cudzych pomysłów. Skoro postrzegł, że listy jego znajdują uznanie i że publiczność zaraz po wyjściu chciwie je rozchwytuje, przestał oglądać się na ludzi, którzy go do pisania skłonili, i już w drugim tomie poczyna rozwijać własne pomysły; w przedmowie zaś do trzeciego ostrzega, że tych listów Małachowski w rękopisie nie czytał. To też gdy zrazu oględny, to tylko ma na widoku, co siły kraju może dźwignąć bez obrażenia sąsiadów i bez głębokiego wewnątrz wstrząśnienia: później coraz dalsze przedmioty wprowadza pod rozbiór, a wkońcu całkowitą Rzpltej reformę przedsiębierze. Jeśli w pierwszych listach roztropnie upomina, że wiek XVIII przystoi nam w skromności zakończyć, nie pokazując najmniejszego zuchwałości cienia, i jeśli dlatego nie chce większej armii nad 60.000; jeśli się nie odzywa przeciw gwarancyi i owszem, w jej granicach pragnie wszystko, co potrzeba, uskutecznić, to w ostatnich tak radykalne przemiany zapowiada, jakby Rzplta żadnym traktatem z postronnymi nie była związaną. I on czuł się już śmielszy i w śmiałości sejmu widzi ratunek dla kraju: »*Aspirat primo fortuna labori. O socii, qua prima fortuna salutis monstrat iter, sequamur*« woła na czele trzeciego tomu.

Kołłątaj nie był doktrynerem. Wprawdzie i on hołduje

zasadom patryarchy naszych reformatorów, filozofa genewskiego, ale o tyle tylko, o ile oddawna weszły one w nawyknienia republikańskie narodu. Umysł to zbyt polityczny, organizator zanadto praktyczny, aby miał tonąć w marzeniach; i owszem, zanim poda swą receptę, pierwej dobrze się przypatrzy organizmowi, w którym ma skutkować. Rady nieustającej i innych magistratur znosić nie chce, dopóki reforma Rzpltej nie stanie, bo nie można dopuścić, abyśmy pozostali bez rządu; na zbyt wielkie narazilibyśmy się trudności, gdyby sejm teraźniejszy miał się zatrudniać drobnymi interesami, przyzwoitymi władzy wykonawczej". Ta uwaga świadczy, że Kołłątaj o wiele lepiej rozumiał machinę rządową, aniżeli większość sejmowa, która właśnie rozbiwszy rząd, zarzuciła władzę prawodawczą mnóstwem bieżących spraw i z niemi uprzątnąć się później nie umiała...

...Pewna opieka przyznana chłopu, usunięcie szlachty czynszowej od sejmików, przypuszczenie miast do władzy prawodawczej, sejm trwały i król dziedziczny, choć wyzuty z wszelkiej władzy, bo nawet z prawa mianowania wyższych urzędników — oto są kardynalne *desiderata* w dziele Kołłątaja, wspólne zresztą całemu obozowi, do którego należał.

W trzeciej części swoich Listów zapowiada gotowy projekt do formy rządu, i taki istotnie we dwa lata później ogłosił p. t.: Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ rządu Rzpltej (Warszawa, 1790). Są to też same zasady, zredagowane krótko w formie artykułów ustawy, które poprzednio obszernie wyłożył, z jedną atoli nader ważną różnicą na korzyść władzy królewskiej. W projekcie swoim przyznaje królowi *veto* od uchwał sejmowych, które ustaje, jeśli następny sejm to samo prawo uchwali. Być może, że Kołłątaj uległ i w tem wpływowi opinii, która w ciągu dwu lat znacznie się na stronę króla przechyliła; ale być może, że działały w nim także inne pobudki. Bądź co bądź, wiele pomysłów, w tem jego Prawie politycznem wyrażonych, znalazło się w projektach deputacyi rządowej, które współcześnie do Izby wniesiono.

Józef Szujski.

Urodzony w Tarnowie 16. czerwca 1835, chodził tamże do szkół do klasy siódmej, ukończył gimnazyum w Krakowie. Po egzaminie dojrzałości (1854) odbył studya uniwersyteckie w Krakowie, zrazu na wydziale prawa, później na filozoficznym; jeden rok (1858 59) w Wiedniu. Od dzieciństwa pisywał wiersze, a przez wszystkie lata nauki widział przed sobą zawód poety jako główny. Kształcił się przytem nie tylko usilnie, ale z zapałem. Oprócz nauk obowiązkowych, w których zawsze celował, pożerał chciwie mnóstwo książek, wszystko chciał poznać i zgłębić. Historyę polską (choć się wtedy na historyka powołanym jeszcze nie czuł) poznawał ze starych kronik. Szukał w nich materyału i przedmiotu do dzieł poetycznych, a znajdował bez swojej wiedzy przygotowanie do tego głębokiego poznania i zrozumienia dawnej Polski, jakiem się później odznaczał. Z lat uniwersyteckich pochodzą (obok wielu wierszy lirycznych) dramata: Samuel Zborowski, Halszka z Ostroga i przekład Agamemnona z Ajschylosa, wiele też rzeczy pisanych prozą, małych rozpraw, powieści, szkiców obyczajowych lub charakterowych.

Po ukończeniu nauk, w częstszej i swobodniejszej styczności z ludźmi, miał sposobność uważać różne rodzaje skłonności lub słabości w naszej naturze, i kreślił ich wizerunki w zamiarze, żeby pobudziły do zastanowienia nad sobą i do poprawy. Są to Portrety Nie Van Dycka, zbiór różnych typów natury polskiej, pisany ze zwykłym młodości brakiem doświadczenia lub wyrozumiałości, ale z niezwykłą bystrością i nieraz trafnością. Ożeniony w r. 1861, przesiadywał wiele we Lwowie, gdzie znajdował miłe i pożyteczne otoczenie ludzi naukowej i literackiej pracy, i tam podjął się napisania podręcznika historyi polskiej. Brak takiej książki dawał się wtedy czuć dotkliwie, a Szujski mniemał, że łatwo i szybko potrafi na podstawie dzieł obcych napisać dobry podręcznik. Tom pierwszy (1862) i jeszcze drugi (w tymże roku) były podręcznikiem tylko, opartym głównie na dawniejszych pracach cudzych. Ale w miarę jak pisał, przekonywał się, że te obce prace do poznania dziejów nie wystarczają; że chcąc dojść do rzetelnej prawdy i taką podać, musi sam na własną rękę źródłowe badania przedsięwziąć. Stąd opóźnienie dwóch tomów następnych (trzeci 1864, czwarty 1866), stąd ich objętość daleko większa, a zwłaszcza nierównie większa wartość.

Prace poetyczne nie ustawały. Z tych lat młodości pochodzi poemat Sługa grobów, Obrona św. Częstochowy; dramat Jerzy Lubomirski, Wallas, pierwsze pomysły do Królowej Jadwigi.

Ale od roku 1861 zaniosło się w Warszawie na ważne wypadki. Szujski, wstrząśnięty nimi do głębi duszy, spodziewał się

(jak prawie wszyscy podówczas) pomyślnego ich obrotu. Dowodzi tego wiele jego ówczesnych wierszy. Jeszcze wybuch powstania w roku 1863 zastał go pełnym nadziei. Ale w miarę jak te nadzieje okazywały się złudnemi, począł się i dokonał w jego duszy przełom najboleśniejszy, a na całe życie stanowczy. Młodzieniec pełen szlachetnych uczuć i zdolności, ale nie ustalony jeszcze, w tej boleści dojrzał i wyrobił się na męża, i wyszedł z nich jako wielki umysł, zgłębiający powody dawnych i świeżych nieszczęść narodu, jako wielki charakter, wskazujący te powody śmiało i bez wahania, a z siebie dający przykład, jak trudem całego życia dążyć do poprawy losów narodu i samego jego wewnętrznego jestestwa.

Sądził, że naród nie zdoła odrodzić się i podźwignąć, dopóki tych powodów złego w sobie nie przełamie i z siebie nie wyrzuci. Te powody wskazywać i nawoływać w imię ojczyzny i przyszłości do ich poskromienia i wyrzucenia, to jest odtąd cała treść jego pracy i jego życia.

Praca ta piśmiennicza miała trzy kierunki. W historycznym, już tom trzeci Dziejów zwrócił na niego uwagę ludzi oświeconych i zrobił mu poważne miejsce między historykami polskimi; czwarty, obejmujący czasy coraz bliższe upadku Rzeczypospolitej, więcej z naszymi późniejszymi losami związane, a po raz pierwszy zbadane źródłowo i krytycznie osądzone, postawił go w rzędzie historyków najdzielniejszych i oznaczał zwrot w dziejach naszej historyografii. Coraz pilniejsze i coraz umiejętniejsze rozpoznawanie przeszłości stało się odtąd potrzebą jego życia, wydawało szereg coraz nowych historycznych rozpraw i odbiło się na dwóch innych kierunkach jego pracy.

Z tych drugim był publicystyczny, dziennikarski, z pierwszym w ścisłym związku przez to, że wszystkie uwagi i sądy o sprawach dzisiejszych, były zawsze poparte doświadczeniami i naukami z naszej przeszłości. Podobieństwo zjawisk, tożsamość skłonności i błędów, służyła za dowód i za przestrogę, że należy postępować inaczej, jeżeli się chce równie złych skutków uniknąć. Z tych jego rozpraw politycznej treści pierwszą (i jedną z najważniejszych) było Kilka prawd z naszych dziejów (1867). Treść tego pisma małej objętości, ale wielkiej wagi, jest ta, że naród żaden bez własnej winy upaść nie może, ale podnieść się może tylko własną pracą, własnym rozumem, własnym duchem. Winą narodu za czasów jego niepodległości było pogardzanie rządem, pogardzanie bliźnim (uciemiężenie poddanych) i odstępstwo od wiary i Kościoła, Dziś mamy obowiązek zachować nasz kapitał moralny i materyalny, naszą przyszłość w ludzie , aby się stał narodem — naszą przeszłość, aby z jej nauk korzystać — nasz rozum, aby go kształcić nauką — naszą wolę, naszą siłę zapału i natchnienia. Trzeba być zdolnym wyrobić z siebie całkowity silny organizm społeczny i prawdziwy rząd. Do tego dążyć mamy w dzisiejszem położeniu i robić po temu, co możemy, to nasz obowiązek i nasza odpowiedzialność. Cały szereg podobnych rozpraw, zasadniczo roztrząsających

dzisiejsze położenie narodu, i znaczna liczba innych, obrabiających bieżące praktyczne sprawy i potrzeby, poszły w ślad za tą pierwszą, która oznaczała zwrot w dotychczasowej polityce narodu, w jego świadomości swego położenia i swoich względem przyszłości obowiązków.

Praca poetyczna, usunięta w głąb przez historyczną i polityczną, nie ustała przecież. Miłość poezyi, miłość dramatu zwłaszcza, była zawsze równie silną. W roku 1867 wyszedł zbiór dramatów, obejmujący niektóre nowe (Jadwiga, Twardowski) i niektóre dawne. Ale praca historyczna nie tylko mechanicznie wzięła górę nad tamtą, wpłynęła także przeważnie na samą jego istotę. Dramat Szujskiego, to odtąd niezmiennie dramat wielkich historycznych problemów w łonie społeczeństwa polskiego, walka tych sił i prądów, które mogły je ocalić, z temi, które je zgubić miały.

W r. 1866 założył Szujski wspólnie z innymi Przegląd polski, pismo zbiorowe miesięczne, w którem ogłaszał odtąd większą część swoich rozpraw literackich i politycznych. Te ostatnie otworzyły mu wstęp do sejmu. Gdy po przywróceniu języka polskiego do uniwersytetu krakowskiego, za staraniem senatu akademickiego powstała osobna katedra historyi polskiej, otrzymał ją Szujski, uważany słusznie i powszechnie za najwłaściwszego do jej objęcia, został na nią powołany i rozpoczął wykłady w półroczu zimowem roku 1869. Ten nowy obowiązek dodał mu nowego bodźca do historycznej pracy, a otworzył szerszy zakres wpływu i działania. Oprócz wykładów, obejmujących koleją całe pasmo dziejów polskich i wyjaśniających najważniejsze ich zagadnienia, oprócz sposobienia uczniów do historycznego zawodu (w seminaryum historycznem), przyczynił się Szujski wielce do odrodzenia i podniesienia uniwersytetu samego, przez wpływ, jaki wywierał na swoich kolegów, i przez usilne starania o pozyskanie młodych, zdolnych profesorów na katedry opróżnione. W roku 1872, gdy Cesarz oświadczył już stanowczo zamiar założenia Akademii Umiejętności w Krakowie, Szujski należał do wszystkich narad przygotowawczych, przyczynił się wielce do określenia jej zadań i do jej organizacyi, a przy otwarciu wybrany jej generalnym sekretarzem, zostawał nim aż do śmierci i był duszą tej instytucyi, wskazując coraz nowe zadania, rozszerzając ich zakres, układając plany wydawnictw, a niektóre z nich (historyczne) sam w znacznej części prowadząc.

Inne prace nie leżały dlatego odłogiem. Oprócz wielu (niezmiernie ważnych) rozpraw historycznych, oprócz ciągłego zajęcia bieżącemi sprawami praktycznemi (w pierwszym rzędzie sprawą reorganizacyi szkół, nad którą w sejmie i poza sejmem wiele pracował) — znajdował jeszcze czas na poświęcanie się literaturze, polskiej i obcej, (a przedewszystkiem starożytnej). Owocem tej pracy był naprzód Rys dziejów literatury świata niechrześcijańskiego (najlepsza w tym przedmiocie rzecz w polskim języku) — studya (nieszczęściem niedokończone) nad Lucyanem i Mar-

kiem Aureliuszem, i przekłady z Ajschyla, oprócz dawniejszego Agamemnona, przekład dwóch dalszych części Orestei, Prometeusza i Persów, z Arystofanesa Rycerzy i Ptaków. Poezya własna, a mianowicie szczególnie umiłowana tragedya, mimo ogromu pracy, wydała w tych latach Zborowskich, Marynę Mniszchównę, Śmierć Władysława IV., fragment Kniaźnina, i dwie sztuki okolicznościowe: Kopernik, i Długosz i Kallimach.

W roku 1878/79 był Szujski rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego; niedługo potem mianowany członkiem Izby Panów. W roku 1880 na czterechsetną rocznicę śmierci Długosza, urządził pierwszy zjazd historyków polskich, na którym roztrząsano potrzeby i ułożono systematyczny program dalszych prac i wydawnictw.

Niedługo potem zaczął chorować. Od dzieciństwa wątły i słabego zdrowia, dwa razy w ciągu życia nawiedzony chorobą bardzo niebezpieczną, a wycieńczony nadmiarem pracy bez wytchnienia przez całe życie, i strawiony ogniem własnego uczucia, rozbolałego wszystkiemi nieszczęściami narodu, a dręczonego troską o jego przyszłość, zapadł w piersiową chorobę. Początki nie zdawały się bardzo groźne, a prace różnego rodzaju nie ustawały. Jednak w sejmie roku 1882 już uczestniczyć nie mógł, a od jesieni tego roku blizki koniec był już widocznym. Do ostatka jednak chciał i próbował pracować: z ostatnich tygodni życia zostały zaczęte pisma. Skończył 7. lutego 1883.

Dziwnem zjawiskiem, a zarazem charakterystycznem znamieniem naszej literatury po r. 1863, jest silny wzrost i postęp dziejopisarstwa. Po poetycznej apoteozie narodu i jego sprawy, przyszło krytyczne ich rozpoznanie i osądzenie. Tego zwrotu w naszem dziejopisarstwie, a pośrednio może w naszem społeczeństwie — tej dążności do rzetelnej, prawdziwej znajomości siebie, jako do warunku i początku poprawy i postępu, wyobrazicielem, przykładem i poniekąd nauczycielem dla młodszych historyków był obok Kalinki Szujski. Z najgorętszą miłością ojczyzny, z czcią najwyższą dla wszystkiego, co w niej było pięknem i wzniosłem, łączył on niemniejszą miłość prawdy, przekonanie, że tą prawdą dopiero dobrze i skutecznie służyć i radzić można, i dar szczególny, wyjątkowy do przeniknienia stosunków politycznych, natury uczuć i celów występujących w historyi osób. W badaniu do najwyższego stopnia sumienny, w uczuciu swojem męski i hartowny, bynajmniej nie miękki, nie roztkliwiał się nigdy, nie pieścił się z przeszłością, ani jej nie idealizował. Ale ważnych i zwrotnych jej chwil, ale tych zdarzeń i wpływów, które stopniowo gotowały upadek, nikt głębiej od niego nie pojmował i nie sądził rozumem, nikt sercem żywiej nie czuł, nikt wyraźniej, poważniej, surowiej nie kreślił. Nikt też do dziś dnia nie rozjaśnił tak, jak on i samej natury społeczeństwa polskiego i całego przebiegu jego dziejów i powodów jego upadku i tych najważniejszych spraw i kwestyi, które na losy nasze stanowczo wpłynęły. Ogólny zarys dziejów, skreślony w pierwszem czterotomowem dziele

(od XVI. wieku mianowicie) wypełnił się w ciągu lat wielu szczegółowemi rozprawami, wydanemi razem p. t. Opowiadania i Roztrząsania (w 3 tomach). Jedna z prac jego ostatnich a najznakomitszych jest Odrodzenie i reformacya.

Badał i pisał historyę Szujski jak rzetelny i umiejętny dziejopis, bez uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych zdań i sądów, bez naciągania historycznych faktów do swoich upodobań lub przekonań; ale gdzie badanie samo wyraźnie wskazywało związek przyczyn ze skutkami, a zatem, gdzie historyczne wypadki lub postacie, objaśnione badaniem, same wyznawały niejako polityczny błąd i wypowiadały polityczny sąd o sobie: tam sądu tego Szujski nie taił, ale wypowiadał go tak śmiało i mądrze, jak żaden z historyków polskich przed nim. Umiejętne, ścisłe badanie prawdy w historyi, na tem oparte umiejętne składanie całości i umiejętna, naukowa, a zarazem polityczna krytyka, to jest w najogólniejszych wyrazach wartość i zasługa Szujskiego jako historyka.

Mówiono o Szujskim, że historyk zabił w nim poetę. Istotnie, talent poetyczny byłby zapewne rozwinął się świetniej, gdyby uczucie obowiązku nie było Szujskiego zwróciło do tej pracy, którą miał za bardziej potrzebną. Jak cały żywot Szujskiego, tak jego poezya przesiąkła jest cała temi historycznemi i politycznemi kwestyami, które tłómaczą tajemnicę upadku Polski, a wskazują pośrednio drogi do jej odrodzenia. W jego dramatach — a jest przedewszystkiem poetą dramatycznym — występuje zawsze walka tych różnych sił i prądów politycznych, które działały w ważnych chwilach naszego życia. Z wyjątkiem dzieł młodości, jak Samuel Zborowski i Halszka z Ostroga, mają ten charakter wszystkie jego tragedye, nawet (choć najmniej) Jadwiga. Zarzut najcięższy, jaki im zrobić można, i powód najistotniejszy ich niedoskonałości, jest właśnie to, że pisane są przez historyka i zbyt historyczne. Wszystko, co w rzeczywistości należało do sprawy obranej za przedmiot dramatu, to wszystko chciał w nim Szujski zmieścić, nie bacząc, że poetyczne tworzenie wymaga przebrakowania przedmiotu, wyboru niektórych tylko chwil i pierwiastków i dokładnego ich przedstawienia, z pominięciem innych. U niego jest zawsze za wiele dramatycznego materyału, a stąd rozwinięcie jego niezawsze dostateczne.

Niemniej, choć Szujski nie rozwiązał wielkiego zadania naszej poezyi i nie postawił tragedyi na tym szczycie, do którego ona zawsze jeszcze dąży, to krok ku temu zrobił znaczny i w historyi polskiego dramatu ma wielkie znaczenie i zasługę. Niedoskonałości swoich tragedyi sam czuł i widział; w przedmowie do ich wydania mówi wyraźnie, że uważa je za próby tylko, za torowanie drogi przed przyszłym wielkim dramatem polskim. To zaś zrobił niezaprzeczenie i świetnie. Są w naszej poezyi dramata piękniejsze od dramatów Szujskiego: ale niema takich, które historyczną tragedyę wypadków i losów pojmowałyby głębiej, a przedstawiały trafniej, wierniej i smutniej.

Liryczne wiersze Szujskiego — stosunkowo nieliczne — są po większej części wyrazem tych uczuć i myśli, które w nim powstają pod wpływem współczesnych wypadków lub troski o przyszłość. Do dawnej romantycznej liryki wcale niepodobne, nie mają one żadnej sentymentalności, żadnego rozmarzenia, żadnej chorobliwej niezgody ze światem. Mają zato męską energię i powagę, i namiętny, porywający popęd do wielkich uczuć i celów, do siły i dzielności charakterów i czynów. Uczuć i zwierzeń osobistych jest w nich mało: a te, które takiemu celowi służą (Poważne chwile, wydane w r. 1860), wyrażają jego pojęcia o najwyższych zagadnieniach osobistego życia ludzkiego, przedewszystkiem o stosunku człowieka do Boga. Do poezyi uczuciowej zaliczyć trzeba dwa dłuższe poemata, jakkolwiek treścią zdają się należeć do innego rodzaju. Sługa grobów jest opowiadaniem, ale jest na wskróś uczuciowym wyrazem patryotycznego cierpienia i natchnienia. Rok Polski, pisany na wzór Pola Pieśni o ziemi naszej i Pieśni o domu naszym, ma podobnie jak Sługa grobów wzniosły charakter liryczny, a (mało znany) w niektórych ustępach może śmiało liczyć się do pereł naszej lirycznej poezyi.

Na osobną i pilną uwagę zasługują (nieliczne) Satyry Szujskiego i niektóre wiersze okolicznościowe, w treści i dążności polityczne, w poważnym i surowym tonie pokrewne satyrom Juvenala, a pełne głębokiej psychologicznej znajomości narodu, trafnych przystosowań i nauk.

Należy się wzmianka i tłómaczeniom, przedewszystkiem tłómaczeniom z Ajschyla. Biegły w greckim języku, a zamiłowany w arcydziełach greckiego ducha, Szujski już za młodu przełożył Agamemnona, ale na tym znać jeszcze brak wprawy, niezupełne władanie polskim językiem i wierszem. W Prometeuszu już widoczny jest postęp, a Błagalnice, Eumenidy, a zwłaszcza Persowie, należą do najświetniejszych przekładów w naszej literaturze. Przełożył także dramat Calderona p. t. Życie snem.

Wielki historyk, poeta wzniosłych natchnień i myśli, niezawsze był zupełnie poprawnym, wybornym pisarzem. Natłok i nadmiar myśli, rodzących się w jego głowie tłumnie i szybko, a przytem pośpiech, z jakim przy mnóstwie prac pisać był zmuszony, sprawiały, że często zdania i okresy jego są zawiłe, obciążone wtrąconemi i nawiasowemi, czasem wymagające ścisłej uwagi i natężenia, a nie od razu zrozumiałe. Ale obok tego błędu, który się zdarza w wierszach jak w prozie, ma Szujski w swoim języku i stylu taką siłę i jędrność, taki ogień uczucia, taką moc wyrażeń i zwrotów, że choć w swoim sposobie pisania nierówny, bywa często porywającym, a choć nie jest pisarzem zupełnie poprawnym, jest mimo to wielkim.

W nauce, w literaturze swego czasu wywierał on wpływ bardzo znaczny i zbawienny, ale w tym obrębie nie zamykała się jego praca i zasługa. Niezmordowana czynność umysłu, uczucie obowiązku, posunięte do nieustannego poświęcenia siebie samego dla

umiłowanej sprawy, rozum potężny i znajomość niezrównana swego narodu w jego przeszłości i teraźniejszości, sprawiały, że gdzie było coś dobrego i potrzebnego do zrobienia, tam Szujski był i działał, albo przynajmniej działać pomagał i uczył. W politycznem życiu, w dzisiejszym stanie naszego kraju wpływ jego myśli, skutek jego pracy jest tak widoczny, jak w naszym stanie umysłowym, a nawet moralnym, w naszem pojęciu i świadomości naszego położenia i naszego względem ojczyzny obowiązku.

Z WIERSZY DROBNYCH.

Świąteczną godziną.

Nieraz świąteczną godziną,
Gdy wrócę z modlitwy, z kościoła,
Stara z półeczki kronika
Spylonym napisem mnie woła.
Zbożnie otwieram jej karty
I łzami oblewam gorzkiemi,
A dziwna nachodzi mnie tęskność
Za czasy, za laty dawnemi.
I głowę porzucam na druki,
By na pierś przeszłości zbolałą,
I płaczę i wołam: Co z wami,
Co z wami, ojcowie, się stało?
A koło księgi stareńkiej,
A koło głowy schylonej
Stoją mi dawne postaci,
Co śpią gdzieś na kresach Korony —
Albo biskupy poważne
I dygnitarze królewscy,
Hetmani koronni i polni —
A wszyscy tak jaśni, niebiescy!
I smutnie chylą się ku mnie,
A patrząc źrenicą zbolałą,
Cichemi pytają się słowy:
Co z wami, ach, z wami się stało?
Ja drżę i w skrusze pokornej
Pod czarną się chylę zbroicę
I kraniec całuję ich szaty
I spojrzeć im nie śmiem w źrenicę.
Lecz kiedy kto z braci nadchodzi,
Braci po słabości i grzechu,
To łzy ocieram natychmiast
I chowam kronikę po cichu.

I śmieję się niby ustami,
Lecz słyszę, jak ojce z pogardą
W stare zsuwają się groby 35
I trumną przykryją się twardą.

Pieśń o husarzach.

Za czasów przesławnych, za Polski lat dawnych
Słynęła husarska konnica;
Jak anioł skrzydlata, jak dyabeł rogata,
A piękna jak polska dziewica.

Na koniach tureckich, okutych w stal twardą, 5
Potężni jak skały ze stali —
Husarze młodzieńcy z anielską pogodą,
Z powagą anielską jeżdżali.

U ramion im skrzydła szumiały potężne,
By z niebios zlecieli ku ziemi, 10
A Marya królowa przed hufy orężne
Promieńmi rzucała srebnemi.

Nad hufcem wysterczał oszczepów las cały,
Ubrany w proporce wiejące,
A sztandar pośrodku tak szumiał wspaniały, 15
Jak brzoza wśród kwiatów na łące.

Na wroga podłego był koncerz przy boku
I młoty do zbroi kruszenia;
I sznury tam były, by wiązać do troku
Bluźnierców Maryi imienia. 20

Hej, dawni husarze — to była konnica,
Gdy w stepy goniła na taniec:
Na hełmie każdego blask słońca przyświeca
Jak spadły z niebiosów kaganiec.

Kurzawa im u nóg podnosi się chmurą, 25
Od jarkiej pogody błyszcząca,
A skrzydła te orle łopocą im górą,
Że lecą, jak ptaki, do słońca.

A kiedy na stepie zaczerni się w dali
Dzicz od Stambułu lub Krymu, 30
To w orli lot sunie mur Polski ze stali,
Jak piorun wśród czarnych chmur dymu.

Grzmi ziemia, wichr świszcze, od mieczy przecięty,
Kurhanna się ziemia weseli,
A z niebios archanioł się patrzy zwiśnięty, 35
Jak ziemscy hulają anieli.

Gdzie sułtan, gdzie chany, gdzie basza i murze?
Rozbici, na stepy gdzieś gonią;
I kona półksiężyc, oparty na chmurze,
Przed słońcem i świętą ich bronią. 40

Z husarzmi nie mierzyć się piekła potęgom,
Nie mierzyć się szabli z Damasku;
Ciężarem swej broni tysiące rozsprzęgą,
Jak skały rzucone w wał piasku.

Bo husarz w napadu pęd niepowstrzymany 45
Dał życie na koniec oszczepu;
I życia ofiarą tak razi pogany,
Jak gromem Jehowa z nieb sklepu.

Bo husarz, gdy z konia upadnie w proch ziemi,
Nie wstanie już walczyć za wiarę: 50
Zbrój jego go zdusi klamrami ciężkiemi,
By ogień, co spali ofiarę.

Hej, dawni husarze! gdzie wy się podzieli?
Czy plemię wymarło husarzy?
Wszak czarci na ziemi — a w niebie anieli — 55
Na karku niejedni Tatarzy!

Hej, w szereg nam znowu, pod sztandar nasz stary!
Zbrój ducha przywdziejmy na siebie
I oszczep nam święty pochwycić dla wiary,
Dla Maryi, królowej na niebie. 60

Koncerzem nam podłych przybijać do ziemi,
By chwastów nie było w dzień żniwa,
A grzesznych do troku jąć sznury mocnemi
W żelazne pogardy ogniwa.

A starym zwyczajem w husarskim ordynku 65
W rycerskie to idźmy rzemiosło;
Nie będzie nam szczęścia, nie będzie spoczynku,
Aż z piersią bluszczami przerosłą.

A jeśli upadniem, niech zbrój nasza ciężka
Potężną swą wagą nas zgniecie; 70
Pójdziemy do nieba — drużyna zwycięska —
Bo padłym już nie żyć na świecie.

Z KRÓLOWEJ JADWIGI.

Na zamek krakowski przybywa królowa Jadwiga, wprowadzona przez senatorów; przybywa do Krakowa i Wilhelm, książę rakuski, narzeczony Jadwigi. Królowa uspokaja jego obawy zapewnieniem, iż dotrzyma danego mu słowa; radzi tylko w sposób odpowiedni prosić senatu polskiego o zezwolenie na ten związek (Akt I.). — Starającym się o jej rękę książętom Ziemowitowi mazowieckiemu i Władysławowi opolskiemu Jadwiga odmawia, a panowie polscy radzą jej oddać rękę temu, który Polsce szczęście przyniesie. — Z wielką świtą przybywa Wilhelm; lecz dumnemi słowy obraża panów polskich, a gdy po ich odejściu dowiaduje się od Gniewosza z Dalewicz, że jest plan wydania Jadwigi za W. ks. litewskiego Jagiełłę, namawia królowę usilnie, ażeby, skrytymi schodami wyszedłszy, ślub z nim wzięła potajemnie. Jadwiga tego uczynić nie chce, lecz stanowczo oświadcza, iż Jagiełły żoną nie będzie. (Akt II.). — Na dwór polski przybywa Witold z poselstwem litewskiem. (Akt III. scena 3).

Scena 3.

Marszałek: Królowa Jejmość za chwilę przybywa.

(Jadwiga ukazuje się w głębi sceny i zasiada tron po lewej).

Witold: Toć jest królowa? Na Olgierda brodę;
Cudowne dziecię, niby łanię młode.
Piękne Litwinki, lecz takiej dziewicy
Nie szukać w borów litewskich ciemnicy, 5
Chrześciańskie jeno stać na taką strony.
Jakem Kiejstuta syn, nie wart tej żony
Ten wilk Jagiełło!... *(staje przed tronem).*
Witold się nazywam,
Księcia Kiejstuta syn jestem, królowo!
A z dwoma braćmi Jagiełły przybywam: 10
Skirgiełło jeden jest, a Borys drugi.
Do naszej Litwy przyszło wdzięczne słowo,
Iż ty, dzielnego króla Węgier córa,
Po długich bojach, zawierusze długiej
Tron przyszła zasiąść ojca i praszczura. 15
Wiele nam rzeczy mówiono o tobie,
O twej piękności i o cnót ozdobie;

Także konterfekt z Polski nam przysłano,
Gdzie cudną sztuką twarz twoją oddano:
A dziś widzimy ku pociesze całej, 20
Że wieść i obraz prawdę powiadały.
Więc na wieść ową wielki kniaź na Wilnie
Po wszystkiej Litwie gońców posłał pilnie,
Do Krewa posłał, do Mińska i Troku,
Kiejstutowego posłał wezwać syna 25
Na walną radę synów Gedymina.
Kniaź ten wileński, sól to w mojem oku,
Bo mi niemało dokuczył niecnota;
Ale, że wezwał w dobra Litwy sprawie,
Więc pojechałem.

Jaśko z Melsztyna *(na stronie)*. Wszystko wybełkota 30
Litewski niedźwiedź.

Witold: Tam na jednej ławie
Lechickie posły z Litwą już siedziały,
Uczciwe męże, wszelkiej godne chwały,
Przy sutej uczcie gwarzylim wesoło,
A kiedy Teuton srożył się wokoło, 35
My się bratali i na zgubę wrogów
Miód ze złoconych wychylali rogów.
Jagiełło srogą rozgorzał miłością,
W konterfekt patrzał jak Krywe w Znicz święty,
Sponurzał srodze, jeno się z panięty 40
Polskiemi z wielką pobratał szczerością;
A żem z tą ziemią obeznan przed laty,
Więc jął mnie prosić, bym pojechał w swaty.
Dla dobra Litwy nie gadać dwa razy;
Toć pojechałem, niepomny urazy, 45
Z mnogimi dary dla królewskiej panny,
A oświadczeniem o rękę królowej.
Jagiełło, wierzaj, mój kwiecie różany,
Choć wróg mój stary, mąż piękny i zdrowy,
Waleczny w boju, a stateczny w domu; 50
Szczęśliwie wyżyć z nim może niewiasta.
Ród nasz tak łatwo nie ustąpi komu,
Toć będzie także godny rodu Piasta!
Jeżeli wiary przeszkadza różnica,
To nas kościelna opłucze chrzcielnica, 55
A wobec tego, co umarł dla świata,
Litwin się z wrogiem Polakiem pobrata.

Jadwiga *(po chwili milczenia)*:
Więc polskie pany bez królewskiej woli
Posłów na Litwę słali potajemnie?
Więc z poganami frymarczą nikczemnie 60
Osamotniałej, opuszczonej ręką,
A bodaj własnym dogodzić zachceniom,

Szczęście jej życia tak mało aż cenią,
By je powierzać poganina dłoniom,
Książęciu krwawej, barbarzyńskiej dziczy? 65
Ha! czyż myślicie, że umysł dziewiczy,
Co blask korony czuje nad swą skronią,
Gwałtem zastraszyć, ugiąć się pozwoli?
Gdy wy zdradzacie ufność moją świętą,
Ja sama będę silną, nieugiętą, 70
Ja sama będę stróżem mojej doli!
(Do Witolda):
Książęciu Litwy dzięk za szczere chęci!
Rada-m, że serce k' chrześcijaństwu kłoni.
Dziewic książęcych dosyć jest gdzieindziej
Śmielszego ducha, odważniejszej dłoni; 75
Niechaj im miłość i rękę poświęci:
Będą szczęśliwe. Ja, południa dziecię,
Zanadto w jego zwyczaje wuczona,
Dla księcia Litwy niestosowna żona.

Witold: Niechętna widać przecudna królewna, 80
Rumieńcem cała pokraśniała gniewna,
Co piękniej jeszcze hożą twarz jej stroi;
Gdy cię Jagiełło taką widzieć będzie,
Serce mu w twardej rozkołata zbroi,
I nie odstąpi, aż ciebie posiędzie. 85

Jadwiga: Żegnam mych książąt. Długie przebywanie
Na dworach obcych, dworach obyczajnych,
Nie pozwala mi słów tak niezwyczajnych
Słuchać cierpliwie. Żegnam, książę panie!

Po odejściu posłów Jadwiga stanowczo oświadcza, iż woli panów nie ulegnie, a nie widząc innego wyjścia, postanawia usłuchać namów Wilhelma i ślub z nim wziąć potajemnie. Gniewosz uwiadomił o tem księcia.

Zmiana dekoracyi (scena 9.). Krużganek franciszkańskiego klasztoru. Na lewo i w głębi drzwi, krużganek ciągnie się ku prawej.

Gniewosz: *(z pochodnią w ręku)*:
Otóż i idą.

Wchodzi Jadwiga, Bano (ochmistrzyni królowej) i panny dworskie jako drużki z lampami w ręku.

Jadwiga: Straszne to podziemie!
Dla narzeczonej niestosowna droga.
Podaj mi rękę, Bano. Dziwna trwoga
Wstrząsa mną... Bano, nie odchodź ode mnie...
Czyja ta postać biała, ta klęcząca? 5

Bano: Wasza ziemianka, Kunegunda święta.

Jadwiga: A ta patrząca na mnie, tak patrząca?

Bano: Święta Jadwiga, co o was pamięta,
Bo to patronka wasza.
Jadwiga: Jej opieka
Dzisiaj daremną... Gdzie Gniewosz?
Gniewosz: Gotowy. 10
Świece się palą, mnich i Wilhelm czeka.
Jadwiga: Wilhelm, gdzie Wilhelm?
Gniewosz *(uderzając w dzwon)*: Przychodź, książę miły!
Niech tłum napełni te ciemnie weselny,
Gwar życia spokój zamąci śmiertelny.
Jadwiga: Smutnie zaczyna się ślub twojej pani, 15
I do pogrzebu podobniejszy raczej.
(Słychać śpiew: De profundis).
Śpiew jakiś leci z tej ciemnej otchłani...
Śpiew księży słychać... Ha! co ten śpiew znaczy?
Gniewosz: Nonę śpiewają braciszki zakonne,
Psalmy za zmarłych...
Jadwiga: Psalm za zmarłych, nonę! 20
Bano! tam zmarli wyciągnięci w trumnie
Wstają i ręce swe podnoszą ku mnie:
Mój ojciec... dziad mój... ha! ta Kinga w bieli...
Co ja zrobiła! idźmy stąd.
Gniewosz: Jeżeli
Słuch mnie nie myli, słyszałem stąpanie... 25
Królowo! Wilhelm za chwilę tu stanie...
Co? z innej strony...

Scena 10.

(Ciż sami. — Wchodzą Bodzanta, Jaśko, Dymitr z Goraja i dwaj halabardnicy).

Gniewosz: Zdrada!
Jadwiga: Wielki Boże!
Bodzanta: Królowo Polski, pomnij, żeś królową!
W grzesznym zapędzie hamuj się, dziewico!
Święte sklepienie wznosi-ć się nad głową,
I świętych lico patrzy w twoje lico. 5
Z ściany na ciebie patrzy Chrystus srogo,
On, co twą duszę pod sąd ostry poda:
Przodki do Niego chodzili tą drogą,
A ty gdzie idziesz — gdzie, królowo młoda?
Jadwiga: Nie! pobożnemi nie wstrzymać mię słowy, 10
Które pod szatą kryją uroczystą
Chęć ujarzmienia nieszczęsnej królowej,
Żądzę przemocy, brudną i nieczystą...
Znam was, tyrani mojej biednej duszy,
Podstępni starce, co pod świetną szatą 15

Kryjecie duszę w zdradziectwo bogatą.
Włos mnie wasz siwy i wiek nie poruszy!
Ha! bezlitosnym gwałtem się wdzieracie,
Co wstyd, co rozpacz bez granic ukrywa:
Jestem! w weselnej przybywam tu szacie, 20
Szczęścia mojego szukam nieszczęśliwa;
Na pastwę dumy waszej przeznaczona,
Na ślub z Wilhelmem idę... narzeczona...
Zejdźcie mi z oczu, starcowie zuchwali,
Idę, gdzie serce niewiasty mnie woła... 25

Jaśko: Wstrzymamy młodą krew, która się pali.
Jadwiga: Weźcie koronę wprzód z mojego czoła.
Jaśko: Chcemy, by była jasną jako słońce,
Nie, jak twe czyny, w cieniu się nurzące.
Jadwiga: Srogi szyderco! zuchwalstwo twej mowy 30
Hartu dodaje nieszczęsnej królowej.
Bodzanta: Hart ten ku celom obróć godnym siebie,
Zbawieniu pogan, Kościoła potrzebie.
Jaśko: Nie nam zachceniu uledz dziewiczemu.
Jadwiga: Nie mnie gniewowi ustąpić twojemu. 35
Gniewoszu! otwórz te drzwi do klasztoru.
Gniewosz: Pani!
Jaśko: Królowo!
Jadwiga *(biorąc topór od halabardnika).*
Więc ostrze toporu
Niech do Wilhelma drogę mi otworzy!
(Idzie ku drzwiom).
Dymitr: Wnuko Kaźmierza, nie hańb sławy twojej!
Królowo polska, przyjaciel się korzy, 40
Byś się wstrzymała! Patrz! u tych podwoi
Polska z przysięgą twoją, pani, stoi!
(Jadwiga opuszcza topór w ręce).
W gorączce serca, które dłoń niebiosów
Na tysiąc krwawych wystawiła ciosów,
Przyszłaś tu; słowa nasze nieopatrzne 45
Pożary wstydu w boleści zgasiły;
I wzniosłaś czoło bolesne, rozpaczne,
Dłoń wzniosłaś pełną męczenniczej siły.
Bóg da, że siła nowa nie marnieje,
Że w księgach dziejów — wypiszą jej dzieje! 50
Przebacz, królowo — chwycić było trzeba
Ratunek, jaki nadarzyły nieba...
Ogromność sprawy krok nasz wytłómaczy,
Polska kazała — królowa przebaczy...
(Jadwiga upuszcza topór na ziemię).
Chodźmy, *(do Bano)* wy pani podajcie ramiona 55
Wiedźcie do domu — Bóg reszty dokona.

Jadwigę, obawiającą się dzikości i srogości Jagiełły (Akt IV), uspokaja Dymitr z Goraja, który udawszy się do W. ks. Jagiełły, przekonał się, iż jest to »dusza w poczciwość bogata, a czysta jako krynica u skały«. W świetnym tedy orszaku przybywa Jagiełło na dwór królewski (scena 3).

(Jagiełło, Witold, Borys, Skirgiełło, Bodzanta, Jaśko z Melsztyna, Dymitr i inni panowie polscy).

Jagiełło: Smutno w tych murach będzie Litwinowi,
Jeżeli królem Lechitów zostanie;
Wolałbym Wilno moje na mieszkanie;
Za dawnym księciem żal będzie królowi.
Murów miastowych nie lubię. Syn borów 5
Wolę ja słuchać liści rozhoworów,
Niż w ciszy murów usypiać zgnuśniały,
Jak jaki Krzyżak albo mnich z za Niemna.
A gdy na dworze dzień jaśnieje biały,
Każda komora ciasna mnie i ciemna: 10
Toż pozwolicie, że czasy wolnemi
Na łów pojadę do litewskiej ziemi,
A woni lasów zachwycę potrochu,
Bym miał czem wyżyć w murowanym lochu.

Jaśko: Nie myśl, mój książę, żeby król nasz który 15
Jak mnich klasztorny nie wyjrzał za mury:
Jest gdzie pohulać w cztery świata strony
Na karkach wrogów lechickiej korony.
Z północy Krzyżak, z wschodu wzrastający
W siłę Moskwicin, z południa niszczący 20
Pohańców nawał, a tam — od zachodu
Wieczny zazdrośnik wielkości narodu!
Będzie gdzie mieczem gospodarzyć, panie;
Wam i potomkom krwawych wojen stanie,
A wieki długie, w królewskim urzędzie 25
Grodziskiem obóz, namiot dachem będzie.

(Wchodzi Jadwiga w gronie panien dworskich).

Jagiełło: Toć jest królowa?

Bodzanta: Pójdź, przesławny książę,
Niech ów wdzięk cudny, który niebo dało,
Duszę twą z duszą królowéj powiąże.

Jagiełło: Na twarz mą dziką oko posmutniało 30
Królowej waszej, postać jej drży cała,
Niechętna widać mnie królowa biała...

Bodzanta: Królowo polska! oto niebios wola
Wiedzie ku tobie małżonka i króla,
Szerokiej Litwy władcę, poganina: 35
Daj Polsce Pana, Kościołowi syna.

Dymitr: Z piersi tysiąców głos leci błagalny,

Daj Polsce, światu dzień ten tryumfalny,
Aniołom wielkie daj wesele w niebie:
W imię Chrystusa Dymitr prosi ciebie. 40

Jagiełło: Panowie Lachy! na Olgierda brodę:
O śmierć to dziewczę przyprawicie młode!
Patrzcie, jak chyla się pod waszem słowem
By brzoza wichrem przyparta zimowym,
By kwiat wiosenny pod zimowem tchnieniem 45
Blednie, na sługi słania się ramieniem —
Biedna dziewica...

Jaśko *cicho (do Jagiełły)*: Widać, książę panie,
Że nie po myśli wam nasze swatanie,
I nie po myśli wam ręka królowej:
Wróćcie na Litwę

Jagiełło: Łagodnemi słowy 50
Chciałbym zagadać do was — łagodnemi,
Jak ich nie szukać w naszej dzikiej ziemi;
Toć jeśli czasem dziko się ozowię,
To nie lękajcie się, dziewico miła!
Dzikość nie w sercu mojem, jeno w mowie. 55
Nie myśl mnie własna z Litwy wywabiła
Ni wola własna, a gdybym był wiedział,
Ile wam troski twarz moja sprawiła,
Tobym był cicho w mojem Wilnie siedział.
Jakem Olgierdów syn, co wszej wart cześci, 60
Nie chcę nikomu sprawiać ja boleści!
Alem tu przyszedł za Lachów namową,
A moich własnych Litwinów poradą,
By się połączyć z potężną królową
I krzyżackiego zwierza głowę bladą 65
Ugnieść, z walecznym ludem sprzymierzony!
Dlategom pragnął chrześcijańskiej żony.
Nieświadom waszej boleści i sromu:
Śmiejąc się z waszej boleści i trwogi,
Żeście za zwierza leśnego mnie mieli, 70
Jechałem z mego książęcego domu
I opuściłem me litewskie bogi.
Lecz teraz, widząc, jakeście zadrżeli
Przed mem obliczem dzikiem i straszliwem,
Jak biedna łania, co się w krzakach chowa: 75
To ja odejdę, bom w oku trwożliwem
Lepiej wyczytał, co mnie zarzucacie,
Niż w wszystkich mowach Krywego Krakowa.
I mówię szczerze, że wy słuszność macie,
Że ja nie dla was, człek dziki i srogi, 80
Zbójca Kiejstuta, krwi Teutonów głodny;
Bo mąż wasz musi być człowiek łagodny,
Aby wam przykrej nie napędził trwogi.

Więc wrócę do dom, do Litwy książęcej,
Lecz was już nigdy nie zapomnę więcej. 85
Zamknę się w zamku wileńskiego mury
I będę dumał, jak puszczyk ponury,
O waszej cudnej postaci i twarzy:
Lub będę szalał z hufcami bojarzy
I krew pił ciepłą, póki śmierci chwila 90
Mnie nie pogrąży w ciemnościach Pokilla.
Bo kto was ujrzał, a kto nie posiędzie,
Temu ponuro musi być na świecie:
Więc i Jagielle źle na świecie będzie.

Jaśko. Oszalał książę litewskie jak dziecię. 95

Dymitr. Czekać nam jeno pańskiego wyroku;
Że będzie łaskaw, czytam w kniazia oku.

Jadwiga. Książę litewski! dziękuję wam szczerze
Za dobre słowo. Kiedy ci rycerze
Nie mieli serca dla bolu dziewczęcia, 100
Serce u pogan znalazło się księcia.
Zostańcie, kniaziu! Pan niebios rozstrzyga
Losów mych ciężkich kłąb nierozwikłany:
Szlachetność wasza nie zgoi mej rany,
Bo wierna swoim przysięgom Jadwiga 105
Nie może przyjąć litości pogańskiej,
Póki po woli nie stanie się Pańskiej.

Jagiełło. Mówiłaś do mnie. Dźwięczne twoje słowo,
Jak twoja postać nadobna, królowo!
Mówiłaś do mnie przyjaźnie, nietrwożnie. 110
Gdy patrzę na cię, zda mi się, że trzeba
Klęczeć przed tobą, jak przed świętą nieba,
Przed którą klęczą chrześcianie pobożnie...
Bo blask tej świętej w waszych ócz błękicie.

Bodzanta. Książę litewski, milczcie! Wy bluźnicie! 115
To grzeszna, ziemska, cielesna istota!

Jagiełło. Kłamiecie, Krywe! Dlaczegóż ta złota
Brama niebiosów przez nią się otwiera,
W niebo twarz patrzy, gdy na nią spoziera?
Ona jak słowo wasze, jeno żywe 120
I zrozumiałe, a wy, wielki Krywe,
Tyle mówicie, a ja nie rozumiem.
Po niej waszego Boga poznać umiem
I waszą cnotę; i wiem, wiem dlaczego
Smutno mi wieczór, żem zabił krewnego — 125
I do Witolda nie mam więcej sromu,
Alebym w Wilnie gościł go w mym domu,
Kochał i miodem mym kowieńskim raczył,
Ażby mi ojca srogą śmierć przebaczył.
Witoldzie, bracie!

Witold. Ho! nie powiedziałem? 130

Onto oszalał — nie, ja oszalałem!
W czarownych ziołach to dziewczę kąpano,
W majowej rosie — na młodziku ano...
Że serca dzikie, jako wosk topnieją,
A gniewy moje w duszy łagodnieją!... 135
Trudnoć mi wyrzec przebaczenia słowo,
Aleć ja daję, wbrew minionym dziejom,
Jeno daj Litwie tę piękną królową!

Dymitr. Chwała niebiosom! Cóżto? Starca oczy
Jakoś nie patrzą dobrze! łza je mroczy — 140

Jagiełło. Przedziwna pani! słowo twe zdziałało,
Czego mnie nigdy w snach się nie zachciało.
I widzę teraz, czemu ty mej duszy
Taka cudowna i taka nadobna:
Tyś do mej matki Julianny podobna. 145
Na prochy matki dziś śnieg biały prószy,
Wysokie sosny szumią przy jej grobie:
Lecz gdym był dzieckiem, to mi u jej łona
Tak było dziwnie, jak dzisiaj przy tobie.
Bo moja matka była z chrześcian grona, 150
Codzień mnie wieczór pacierza uczyła,
O waszym Bogu i świętych mówiła,
Aż sama świętą do nieba wzleciała,
Jak wy bolesna, jak wy śnieżnobiała.
Jam płakał długo, i słów jej wspomnienie 155
Długo mi w duszy młodzieńczej zostało,
Ażem zapomniał, żem miał matkę białą.
Hulałem z braćmi przez Litwy przestrzenie,
Jak dziki orzeł, jak grom Perkunowy,
Na uczty jeździł, na wojny, na łowy, 160
I takim srogim stał się, że was trwożę.
Lecz choć poganin, widzę znaki Boże
Na waszem czole, jak na matki czole,
Tę samą smętność i te same bole;
I żywo stoi mi matka przed duszą, 165
Na której prochy teraz śniegi prószą...
Więc za nic w świecie nie chcę was posmucić...
Wrócę na Litwę, gdy każecie wrócić.

W ostatniej chwili (akt V), dowiedziawszy się o miłości Jadwigi ku Wilhelmowi, chce Jagiełło ustąpić, lecz królowa, ujęta jego szlachetnością i do poświęcenia się dla ojczyzny gotowa, odwodzi go od tego, wskazując na wielkie jego posłannictwo jako króla dwóch połączonych państw chrześcijańskich. Jagiełło przyjmuję chrzest, a wtedy Jadwiga oddaje mu rękę.

Tadeusz Rejtan

na sejmie 1773 roku.

Są postacie w historyi, które się w pamięci i wyobraźni ludzkiej połączyły z głośnymi, smutnej lub chwalebnej treści wypadkami, że pozostawiają w cieniu poza sobą wszystkich innych w owych wypadkach działaczy. Taką postacią, na tle ponurem dziejów pierwszego rozbioru, jest Tadeusz Rejtan. Niema serca polskiego, dla którego ta postać drogąby nie była: z świata historyi przeszła ona w dziedzinę legendy, tradycyi, w złotą księgę przykładów patryotyzmu i cnoty narodowej. Pełna jej wspomnień poezya i literatura nasza, a niedawno w wielkim obrazie najznakomitszy nasz malarz dał wyraz temu kultowi narodowemu, stawiając całą epokę upadku Polski, wobec tej jednej postaci, leżącej na ziemi, z rozwartą piersią, w drganiach obywatelskiej rozpaczy.

Jaka przyczyna takiego połączenia się postaci z wypadkiem? Oto nie inna, jak ta, że w niej przyszło do wyrazu najjaśniej, najzrozumialej uczucie pokoleń późniejszych, które wywołał wypadek, że jej wystąpienie, jej słowa, jej czynności były tym najwyższym tonem, ratującym cześć narodową w chwili, gdy ona najbardziej zagrożoną była, jej życie całe jakby przeznaczonem, aby w posępnej epoce porozbiorowej podać społeczeństwu balsam pociechy, że nie brakło takiego głosu, takiego protestu. Wyobraźnia też pokoleń nie umiała podzielić roli Rejtana: sam on jeden, olbrzym między karłami, musiał wieść z Sodomy i Gomory złego, w smętny, ale zacniejszego żywota padół narodowej pokuty.

Historya, stawiając każdą postać w czasie, miejscu i okolicznościach, przekonywa się na takich postaciach, w moralną tradycyę narodu przechodzących, że głos powszechny był głosem prawdy, że kult, który je otacza, dlatego, że jest kultem sumień dla sumienia, jest uzasadnionym. Mamy kilka dzisiaj przedstawień epoki Stanisława Augusta: w ocenie roli historycznej Rejtana są one jednako zgodne. Nigdy się coś podobnego nie dzieje z postaciami, którym jako przedstawicielom pewnej teoryi, idei politycznej lub społecznej, fabrykuje się sztuczna popularność. Popularności te rozbijać musi głębsza i sumienniejsza krytyka i rozbija. Genialnych ludzi spotyka

los ten sam. Historya schodzić się zwykła z uczuciem powszechnem, sędzina z urzędu z sądem opinii, wobec postaci wielkiej cnoty moralnej, wobec Rejtana i Kościuszki, a mimowoli nasuwa się tu piękny wiersz poety mówiącego:

Lecz najwyższy rozum — cnota...

Upadła ostatecznie konfederacya barska, bohaterski, ale anarchicznie prowadzony ruch narodowy ku odzyskaniu straconej ostatecznie w r. 1768 niezawisłości politycznej. Ogłoszenie bezkrólewia i sprzeczny z niem zamiar porwania króla, zadały jej, wedle zdania samegoż jej koryfeusza Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, cios stanowczy. Dnia 28. kwietnia poddał się Kraków, 11. kwietnia, po wyjeździe Kazimierza Pułaskiego, Częstochowa, Lanckorona i Tyniec. Niezmordowanym zabiegom Fryderyka W. udało się zawrzeć pierwszą konwencyę podziałową z Rosyą 6. lutego w Petersburgu, 19. lutego z Austryą w Wiedniu. Dnia 18. kwietnia wypowiedziano przytułek obradującej w Cieszynie generalności konfederackiej, która, udając się na tułaczkę za granicę, znaczyła ślad swojej drogi protestacyami politycznemi, rozpoczynającemi dzieje naszej dyplomacyi wychodźczej. Stanął 5. sierpnia 1772 r. traktat podziałowy między Rosyą, Austryą a Prusami, a w wrześniu, gdy z manifestami okupacyjnymi w ręce wkraczały wojska mocarstw w zakreślone traktatem granice, wręczyli posłowie Stakelberg, Rewitzky i Benoit deklaracye dworów, zapowiadające zamiar uspokojenia świeżo właśnie upadkiem konfederacyi uspokojonej Polski, pretensye do jej krajów, wzywające oraz, aby w celu przeprowadzenia obu spraw naglących sejm zwołanym został.

Gdy król drogą dyplomatyczną, w notach pełnych głębokiej treści, protestował przeciw deklaracyi trzech dworów, a wzywał pomocy innych, zebrana dnia 8. lutego 1773 r. Rada senatu, z której ambasadorowie obcy wykluczyli senatorów zajętych i przeznaczonych na zabór prowincyj, uchwaliła zwołanie sejmu 19. kwietnia.

Uniwersałem z dnia 22. lutego zwoływał król sejmiki na 22. marca, sejm na 19. kwietnia. Bronił w nim niepotrzebnie swojej polityki od wstąpienia na tron, niepotrzebnie wspominał o darowaniu ze swojej strony uraz, których doświadczył, o zamachu 3. listopada, ale wiernie zdał sprawę z rzeczywi-

stego położenia politycznego, z ucisku, pod którym zostawał, wzywając do wyboru ludzi, „znających zarówno krzywdy i prawa ojczyzny, jako i okoliczności i potrzeby, którzyby wedle przypadków i potrzeby chcieli i mogli potwierdzić, poprawić, odmienić, cokolwiek dla ocalenia i ulepszenia Rzeczypospolitej służyć będzie mogło“.

Stanęło przed narodem szlacheckim wielkie i ważne pytanie, czyli brać udział w sejmie, na którym dla ocalenia Rzeczypospolitej podział kraju, odstąpienia najżyźniejszych i najobfitszych prowincyj potwierdzić przychodziło, w sejmie narażonym na taką samą niewolę obrad, na jaką narażony był król i senat, w sejmie, który miał uświęcać wolą przedstawicieli narodu dzieło przemocy. Najbliższym tu głos: Nie! Najbliższym tu wyraz oburzenia: Kończcie przemocą, co przemocą zaczęte zostało! Spór niemożebny skoro niema sił i organizacyi po temu, a nie było jej niestety! nie dajmyż przynajmniej cechy prawnej, trwajmy w opozycyi biernej, niemej, mówiącej samem milczeniem. Któż wie, może się położenie zmieni, może zwłoka poprowadzi ku lepszemu? — Tak rozumowało wielu ludzi patryotycznych, między innymi Adam Krasiński, biskup kamieniecki, tak wedle Ferranda miał rozumować i Kajetan Sołtyk, wracający z pięcioletniej niewoli moskiewskiej i przyjmowany z uznaniem i zapałem przez dyecezyę i naród. Co do Krasińskiego starania jego w tej mierze nie ulegają wątpliwości, Sołtyk musiał zmienić zdanie; bo, gdy w wielu miejscach pierwsze sejmiki nie doszły, a drugie rozpisano, rozesłał dnia 29. marca list, wzywający do wyboru „najzacniejszych i najgorliwszych“ mężów i obiecujący, że na następującym sejmie okaże dawną gorliwość dla wiary i ojczyzny.

Jakkolwiek niewybieranie było, jak powiedziałem, najbliższą myślą, była to jednak myśl zgubna, małoduszna, myśl Piłata umywającego ręce od współwiny, która jak na przeszłości ostatnich dwu wieków, tak i na ówczesnem pokoleniu niepodzielnie ciążyła. Zwalać odpowiedzialność na króla i senat, niepośpieszyć, gdy wołali ratunku, aby potem pocieszać się, że mnie tam nie było, było tem większym grzechem, im ten król i senat mniejszą dawał rękojmię dosyć energicznego zastawiania się za naród. Mocarstwa rozbiorowe zażądały sejmu, aby rozbiór upozorować: czyliż nie należało im w oczy stanąć z sejmem, któryby był jednym zbiorowym Rejtanem, pokazać

im naród, którego stać na wielkie *veto* zbiorowe w obronie praw i całości granic swoich, odpowiedzieć na tę obelgę, że sejmu żądać śmiały? Czyż można się było zresztą spodziewać, wobec zepsucia, jakie społeczeństwo okazywało, wobec anarchii, do jakiej przywykło, aby myśl ta jednomyślnie była przyjętą i w sposób imponujący wykonaną, aby w przeważnej liczbie miejsc sejmikowych wybory nie doszły, czy nie należało obawiać się przeciwnego rezultatu, że dojdą właśnie za usunięciem się poczciwych, za początkowaniem przewrotnych, przedajnych, tchórzliwych, lekkomyślnych?

I tak się rzeczywiście stało, w ponawianych na wielu miejscach po dwakroć wyborach. Szlachta w wielu powiatach nie wybrała posłów wcale, ogłaszając manifesta wymowne, uroczysty zawierające protest; w innych wybierała ich w małej liczbie, za usunięciem się protestujących o gwałty, wołających o ewakuacyę wojsk, a pozostawiających na placu intrygantów i potrwożonych! Ten fakt sprawił, że sejm miał zamiast 242, tylko 111 posłów, w tej liczbie zaś wielu nikczemników, gwałtem zdobywających godność poselską, więcej słabych, najmniejszą liczbę ludzi, którzy dorośli ogromnego zadania, mieli dość siły do dźwigania krzyża, jaki ich czekał.

Mimowoli natrąca się nam tutaj jedno spostrzeżenie. Czasy ostatnie Rzeczypospolitej uchodzą w opinii politycznej naszego społeczeństwa tak słusznie za wiek upadku i zgnilizny, a przecież tak często, gdy mowa o moralności, o cnotach domowych, tęsknie spoglądamy na kontuszowe naszych dziadów i robronowe naszych babek postacie, a jeżeli chodzi o tradycyę dobrego, tam ją czerpiemy. Dziwna rzecz! z jednej i tej samej epoki tyle złych i dobrych wspomnień. Gdzie byli owi dobrzy, gdy złe się działo, gdy z miedzianem czołem chodził Poniński i tylu innych, gdy Warszawa szalała orgią gier i rozpusty, gdy czwartą podziałową potęgą byli — niestety, Polacy, rozdzierający między siebie szaty umierającej Rzeczypospolitej, rozwlekający starostwa i emfiteuzy? Gdzie ci, których nam maluje Rzewuski, Pol, Kaczkowski? Byli oni, a byli nie tylko na wygnaniu z Barzanami, na syberyjskich transportach, byli w każdym nieledwie dworze szlacheckim, w każdym ziemi polskiej zakątku, i tam gdzieś w komorze cichej, gdzieś pod lipami, co lepsze pamiętały czasy, gdzieś pod ścianą obwieszoną portretami i rynsztunkami dziadów, pękało niejedno

serce, strumienie łez ciekły — zdarzały się wypadki śmierci, obłąkania z zgryzoty politycznej! To domatorowie polscy, domatorowie, na których już Wacław Potocki za Jana III narzeka, że od sprawy publicznej stronią, że samemu oddają się gospodarstwu, że dziczeją i unikają braci — domatorowie, którzy im fatalniejszy rzecz ojczysta brała obrót, im w gorsze dostawała się ręce, im bardziej stawała się monopolem kilkudziesięciu możnych królików i szukających karyery i chleba, wieszających się pańskiej klamki, im bardziej raziły ich nowe obyczaje — tem chętniej poprzestawali na narzekaniach przed sąsiadem, na snuciu teoryi, że Bóg wolnej i prawowiernej Rzeczypospolitej upaść nie da, na rozmowach politycznych z ojcem kwestarzem i wpisywaniu aktów publicznych w domowe *silva rerum* lub co najwięcej na położeniu nazwiska na manifeście lub protestacyi. Nie pożądali tacy starostwa i nie umieli wydzierać go z rąk łakomcom, przed złymi uchodzili trwożnie lub z pogardą, dla ojczyzny mieli marzenia lepszej przyszłości, łzy i modlitwę... Potomkowie szlachty, co zapragnęła udziału kroców w życiu publicznem, uciekali na zagon ojczysty, aby o tem życiu wiedzieć jak najmniej, a o nich to i o ich boleściach głębokich, szczerych, a niewczesnych można powiedzieć z poetą, który nad potomkami tę groźbę zawiesił: I pozostała po nich wielka cisza na ziemi!

Nie było więc społeczeństwo polskie nawet w chwilach największego upokorzenia swego tak bezdennie złem, jak to tuzinkowa przedstawiać lubi historya, jak w poczuciu niezmiernej wyższości dzisiejszej przedstawiać lubią niektórzy, ale było ruszone przez pół paraliżem bezwładności politycznej, nieporadności, wyjściem z rutyny spraw państwa, brakiem pojęć o rzeczywistym świecie i brakiem tej odwagi cywilnej jedynie skutecznej, które nie tylko powiada złemu: złem jesteś, ale idzie krok w krok za niem, aby strzedz jego skutków, aby zastąpić je w działaniu złem działaniem dobrem. Pomyślmy sobie teraz położenie króla, mądrej i zacniejszej części senatu wobec społeczeństwa, w którem nie można się było ognać od przewrotnych i łotrów, a gdzie dobrzy pozyskać się nie dali, a zrozumiawszy lepiej czasy Stanisława Augusta, zrozumiemy i straszną decyzyę Czartoryskich, którzy chcąc zbawiennej reformy mimo narodu, uciekli się do środka przeprowadzającego ją obcą pomocą.

Inaczej widocznie patrzało na rzecz publiczną województwo nowogrodzkie, ziemia ustronna, przedstawiająca w składzie swego szlacheckiego zaludnienia mieszaninę polskiego, litewskiego i ruskiego pierwiastku, a okazująca wielokrotnie niepospolitą dzielność obywatelską. Inaczej myśleli Tuchanowicze, Jarandy, Makowieccy i Harasimowicze, Wołodźkowie i Czeczoty, Obuchowicze, Korsaki i Rejtany. Wybrali oni dwóch posłów, krew z krwi i kość z kości nowogrodzkich, pana Rejtana i pana Korsaka, obu młodych, bo pan Rejtan stał w kwiecie męskiego wieku, licząc lat 32, a pan Korsak bodaj czy nie był od niego młodszym. W instrukcyi polecono posłom bronić do upadłego całości kraju i zastawiać się za jego prawami.

Tadeusz Rejtan był synem Dominika, podkomorzego, i Weroniki Wołodkowiczowej, których cnoty domowe tak pięknie skreśliły pamiętniki Soplicy. Wujem jego był Wołodkowicz, metropolita cerkwi unickiej.

Wychowany, wedle biografa w Raczyńskim, u OO. Pijarów w Warszawie, wedle Rzewuskiego u OO. Jezuitów, poszedł Rejtan z domu wuja do konfederacyi z hufcem Kozaków, z którymi wojował na Ukrainie, podczas gdy go Rzewuski z K. Radziwiłłem łączy i nowogrodzkim regimentarzem być każe. Ta różnica między biografem a Rzewuskim skłania nas, że tylko z nieśmiałością przypominamy rysy jego młodości, o których Rzewuski wspomina: że go od słuchania dziejów polskich nikt oderwać nie mógł, że bijąc się z kolegami w palcaty, Moskala udający tracił zwyczajną zręczność i siłę, że odstąpił od zamiaru ożenienia się w domu, w którym spostrzegł portret Piotra W. na ścianie.

Z Wołoszczyzny, dokąd się był po upadku barskiej konfederacyi schronił, udał się Rejtan na wieść o sejmie do Nowogródka, gdzie powracającego bohatera jednomyślnie wybrano. Zjawia się też z kolegą na pierwszej zaraz sesyi sejmowej, na którą mała dotąd liczba litewskich posłów zdążyła.

Złowroga wieść obiegała grono nielicznych posłów, gdy wedle starodawnego obyczaju zdążali do kościoła św. Jana, aby od nabożeństwa obrady rozpocząć. Król uniwersałami swymi wzywał posłów na sejm wolny, na sejm, do którego uchwał potrzebną była wedle praw kardynalnych, świeżo 1768 r. pod naciskiem samejże Moskwy spisanych, jednomyślność, na któ-

rem miało *veto* pełne prawo, gdzie więc jeden lub kilku posłów mogło sejm zerwać, do uchwały nie dopuścić. Najzgubniejsza ustawa stała się teraz, wśród przewagi złych lub słabych żywiołów na sejmie, jakky przez srogą ironię historyi, kotwicą ratunku, obroną ojczyzny, bo w piersi dwóch posłów nowogrodzkich i w niejednej innej, spoczywał lew oburzenia, gotów w najsłuszniejszej sprawie zagrzmieć zgubnem w tylu innych: *Veto!* Stakelberg wytrącił z rąk tę ostatnią nadzieję i z arsenału przeszłości wydobył konfederacyę: sposób sejmowania większością głosów zachowany na nagłe Rzeczypospolitej potrzeby, środek uchylony pod naciskiem Moskwy, aby nigdy już ratować nie mógł, aby nigdy uchylić nie mógł zabójczej jednomyślności, a podniesiony teraz, aby zgubił, aby pozyskana. sterroryzowana większość na podział przystała.

Konfederacya, zawiązana między członkami senatu a posłami, miała objąć w żelazne kleszcze organizacyi swojej sejm wolny, wyrwać władzę z ręki króla, bo marszałek konfederacki, z stanu rycerskiego wybierany, był dyktatorem w całem znaczeniu tego słowa, obejmował najwyższą władzę administracyjną, skarbową, wojskową i sądowniczą, a król stawał się obok niego marnym cieniem.

Konfederacyi potrzebował więc zabór i marszałka. Człowiek się znalazł, był nim kuchmistrz koronny: Adam Poniński.

Z rodziny, która wydała cnotliwego Franciszka, starostę kopanickiego, syn Macieja, starosty wschowskiego, nie był wszakże Poniński zwyczajnej miary zbrodniarzem; był to człowiek, który kusił się o pewną w strasznym zawodzie swoim kolosalność. Miliony grosza Moskwy, miliony grosza ojczyzny przechodziły przez jego i wspólników ręce, rzucał nimi dla emocyi po zielonym stole faraona, umarł w nędzy, pod drzwiami domu starego sługi, przegrawszy ostatnią stawkę. Cynik bez granic, szukając użycia w rozpuście i grze, nie odmówił sobie wyższej rozkoszy bezczelnej władzy.

...Trzy dni przed rozpoczęciem sejmu, pod naciskiem Stakelberga, za plecami króla i księcia Michała Czartoryskiego. podpisuje część senatu, wchodząca do Rady patryotycznej i 75 posłów rewers, że na sejmie przystąpią do konfederacyi.

Taka wieść spotkała naszych nowogrodzkich posłów u wstępu ich publicznego zawodu, w gorszej formie, bo skonfederowani głosili, dla wypróbowania opinii, że konfederacya

już stanęła. Zadaniem jedynem, jakie teraz padło udziałem uczciwym posłom, było protestować przeciw konfederacyi, nie dopuścić Ponińskiego do objęcia steru obrad! Było to nie dopuszczać dalszych konsekwencyj, stawać oporem podziałowi kraju, wypełnić zadanie nowogródzkiej instrukcyi.

Wypełnili je posłowie nowogrodzcy i ich towarzysze: Zaremba, Radoszewski, Suchecki i Tymowski, posłowie sieradzcy; Dunin, Kożuchowski i Jerzmanowski, posłowie łęczyccy; Wołodkowicz i Bohuszewicz, mińscy — razem jedenastu.

W sali przeznaczonej do obrad Koła poselskiego na zamku, ujrzeli wchodzący posłowie dwa taborety i dwie laski. W zwyczajnym sejmie bywał jeden marszałek, alternatywą Koroniarz lub Litwin; konfederacki wymagał dwóch, wspólnikiem Ponińskiego miał być Michał Radziwiłł. Zagaił posiedzenie Stanisław Łętowski, podkomorzy krakowski, a wspomniawszy o nieszczęściach ojczyzny, doniósł jako o jedynym ratunku, o zawiązanej konfederacyi, wzywając Ponińskiego i Radziwiłła do zajęcia taboretów, ujęcia lasek marszałkowskich i przewodniczenia zgromadzeniu. Na scenę tę patrzą z loży posłowie trzech mocarstw i tłumy arbitrów, żywe okazujących zajęcie.

Poniński i Rejtan wstają współcześnie, pierwszy, aby laskę objąć, drugi, aby Ponińskiego do tego nie dopuścić.

— Ani na marszałka, ani na konfederacyę nie pozwalam — woła Rejtan; — zwołani tu jesteśmy przez J. K. Mość na sejm zwyczajny wolny; nie godzi się *subdole* (zdradliwie) postępować.

— Nie pozwalam i ja, odzywa się drugi głos Korsaka. Stał się rozruch w izbie. Wśród wrzawy, porywając laskę, woła Poniński: Słyszę niesłychaną okoliczność, że obrany przez 66 posłów marszałek do laski dopuszczonym nie jest; nie o mnie tu chodzi, ale o honor prowincyi koronnej... (69 Koroniarzy, a 7 tylko Litwinów podpisało się na rewersie konfederacyi).

Koroniarz Dunin, poseł łęczycki, wstaje i oświadcza, że konfederacye ustawą 1768 r. są zniesione, że nawet, gdyby zniesione nie były, ta prawności mieć nie może, bo konfederacye powstają po województwach, a marszałkowie województw wybierają prowincyami koronnego i litewskiego marszałków.

Głosy konfederatów domagają się tymczasem odczytania przygotowanego aktu konfederacyi. Litwa i Łęczyca protestuje. Łętowski oddać chce laskę Ponińskiemu, groźne głosy wołają: Mospanie Liwski! zostań pan na swojem miejscu! Zasiada Po-

niński wśród hałasu i zgiełku. Rejtan chwyta laskę nieobecnego Radziwiłła, a siadając na drugim taborecie, woła: Takim ja marszałek, jak ty! Gdy ktoś zażądał głosu, woła Rejtan: Mości panie, a kto Waści może dać głos? Poniński, nie spodziewając się trafić do końca, chce dojść do praktyki swojej władzy oryginalnym sposobem: Solwuję, mówi, sesyę na jutro na godzinę 9. Wychodzi z laską, za nim konfederaci. I ja solwuję także, woła Rejtan, unosząc na czele swoich drugą laskę.

Nazajutrz wcześnie w izbie stanął z Korsakiem i łęczyckimi Rejtan, pilnując taboretu, aby na nim nie zasiadł Poniński. Nie było go, izba czekała. To czekanie było jego milczącem uznaniem. Myszewski, poseł wyszogrodzki, zabiera głos i wzywa Łętowskiego, jako najstarszego posła województwa krakowskiego, aby zagaił sesyę. Popiera to Rejtan.

— Nie mogę zagajać, odpowiada pan podkomorzy, zagaiłem wczoraj, dziś mamy marszałka.

— Nie mamy marszałka! woła kilkanaście głosów.

— Mamy, bo niema drugiej laski, uważa Łętowski.

— Każemy ją zrobić stolarzowi, odpowiada Rejtan.

Powstaje scena prawdziwie tragiczna. Korsak, sieradzcy posłowie i nieznanego nazwiska poseł smoleński zaklinają Łętowskiego, aby zagaił sesyę, na sumienie i Boga. — Do nóg ci upadniemy, woła poseł smoleński. Korsak w dłuższej mowie tłómaczy nieprawność konfederacyi. Któż wie, możeby zmiękł pan Łętowski, ale Poniński, zjawiając się w drzwiach z laską, robi użytek z swej władzy, wołając: Solwuję sesyę na jutro!

— Na Boga, panie podkomorzy, solwuj pan lub zagaj posiedzenie, zaklina Łętowskiego Rejtan.

— Już sesya solwowana! odpowiada poseł krakowski i uchodzi, za nim kilku innych.

Młodszy brat Łętowskiego, Oraczewski i Dębiński, posłowie krakowscy, i przeważna liczba pozostaje. O Oraczewskim wiemy, że był gorliwym króla stronnikiem, możnaby z tego wnosić, iż opozycya Rejtana była na rękę królowi, który dotąd nie przystąpił do konfederacyi. Pozostali przypuszczają szturm do Łętowskiego podczaszego, aby zagaił do wyboru marszałka.

— Panie Podczaszy, nie ściągaj pan ohydy na województwo swoje.

— Jeśli nie zagaisz, mówi Zaremba, pójdziemy do aktów i opuścimy sejm z protestacyą.

— Po tem, co było, nic dobrego spodziewać się nie możemy, odzywa się Jerzmanowski. Trzeba zagaić sesyę do obioru marszałka. Jeżeli pan Łętowski nie chce, to może Dębiński, trzeci poseł krakowski?

Wśród tej utarczki, Rejtan ostremi słowy występuje przeciw gwałtownikowi spraw ojczyzny Ponińskiemu. Wyraża się między innemi, że sejm uważa za partyę faraona, że ten sejm może go jako zdrajcę pociągnąć do odpowiedzialności. Słowa te przeciwne zamiarowi sprawiają wrażenie: strach przed Ponińskim zamyka usta. Stało się milczenie. Łętowski wahający się, daje się wreszcie uprosić, a nie chcąc zagaić, solwuje sesyę na godzinę inną niż Poniński, na szóstą z rana.

Oblatował tymczasem w grodzie warszawskim akt konfederacyi Poniński, 20. zapewne podpisany, ale antydatowany 16., kiedy rewersa wystawiono. Piechota rosyjska i huzary pruskie zaciągnęły straż przed pałacem nowego dyktatora. Pierwszą jego czynnością było wydanie pozwu Rejtanowi przed sąd konfederacki za wszczynanie tumultów w izbie, przywłaszczanie laski, lżenie marszałka. Nazajutrz 21. kwietnia straż marszałkowska otoczyła izbę sejmową, nie dopuszczając widzów.

O siódmej rano weszli posłowie: Rejtan, Korsak, Zaremba, Radoszewski, Suchecki, Tymowski, Dunin, Kożuchowski, Jerzmanowski, Wołodkowicz, Bułharyn; Bohuszewicz niósł laskę litewską. Zaledwie ich puściła straż marszałkowska, nacisk tłumu arbitrów był tak wielki, że do izby się wcisnęli. Minęły dwie godziny, a skonfederowani posłowie nie przybywali. O dziewiątej przyniósł woźny pozew Rejtanowi. — Nie uznaję ani marszałka ani sądu! brzmiała odpowiedź. Korzystając z czasu, spisali obaj nowogrodzcy posłowie protestacyę przeciw konfederacyi, zaciągnięciu warty i pozwowi, Korsak zaniósł ją do grodu, ale gród przyjąć jej nie chciał.

Uderzyła dwunasta, gdy skonfederowani, którzy cały ranek strawili na naradzie u marszałka, a obecnie od króla, którego do konfederacyi wzywali, powracali, zapełnili salę sejmową. Ponińskiego nie było; zagroziwszy rano, pragnął on teraz zgody z oppozycyą i w tym celu wysyłał Dzierzbickiego, kasztelana brzeźnickiego, do Dunina, następnie zaś niewiadomego nazwiska osobę do samego Rejtana. Traktaty te nie

miały skutku. Posłowie oppozycyi zaklinali znowu posłów krakowskich, aby sejm zagaili. Na żywych utarczkach przechodziły godziny; pod wieczór dopiero zjawił się książę Marcin Lubomirski, słynny utracyusz i awanturnik, niegdyś konfederat barski, dziś towarzysz Ponińskiego, poseł sandomierski, z zapowiedzią, że marszałek Poniński sesyę solwuje. Skonfederowani ruszyli się ku drzwiom, nie zważając na obelgę, jaka ich spotkała, że pan marszałek, pół dnia każąc czekać na siebie, przez nieuprawnionego sesyę śmiał zamykać. Gdy krzyki nie pomogły, rozkrzyżował się we drzwiach Rejtan; za drzwiami ściśniętą falangą, tłocząc się naumyślnie, stanęli arbitrowie. Nie miawszy nic w ustach od siódmej rano, zszarpany walką, upadł Rejtan, zaklinając na imię Boga i ojczyzny, aby się wstrzymano. Straż marszałkowska utorowała tymczasem kolbami drogę przez arbitrów, a skonfederowani przeszli, przeskakując i obchodząc Rejtana, po raz pierwszy, nie wstrzymani niczem, dając posłuch rozkazowi Ponińskiego.

Rejtan i protestujący pozostali na noc w sali sejmowej, nie dla czczej demonstracyi, ale aby utrzymać prawną ciągłość sesyi, aby nie dać posłuchu uzurpatorowi. Z jedenastu stopniała wszakże liczba do pięciu, sześciu rozeszło się do gospod.

W nocy już, chodził z perswazyami Mierzejewski; Karaś posłał posiłek Rejtanowi, którego ten nie przyjął. W późnej już nocy udał się do posłów Stakelberg z prośbą, aby doń na rozmowę przyszli. Przyjechaliśmy na sejm, odpowiedzieli, abyśmy mówili głośno, a nie, abyśmy sekretne odprawiali konferencye. Po naradzie koledzy Rejtana wyszli do Stakelberga. Rejtan pozostał. Stakelberg groził, ale obszedł się z posłami z wielkim szacunkiem. Obecny gen. Bibikow, chwaląc Rejtana, rzekł charakterystycznie: On godzien, aby z wszystkich zdjąć ordery i jemu na piersiach zawiesić. Wracając, znaleźli posłowie izbę zamkniętą i doczekali rana na schodach przed nią.

Chęć wyprowadzenia oppozycyi z izby poselskiej miała swoją polityczną przyczynę. Drugim człowiekiem, który się dotąd konfederacyi opierał, był król. Rejtan był u niego dnia 21. kwietnia, zapewne rano, a domagając się zdania o swoich czynnościach, otrzymał odpowiedź: Czyń, co ci Bóg i sumienie każą. Poselstwu, które go do konfederacyi 21. kwietnia zapraszało, odpowiedział: Odpowiedź dam w izbie poselskiej. Ze-

brała się 22. kwietnia Rada konfederacka, a o jedenastej rano pojechał Stakelberg do króla, strasząc 50.000 wojska do Warszawy sprowadzić się mającego, jeżeli król w senacie nie oświadczy swego przystąpienia. Król Radę senatu zwołał, a o godzinie drugiej oświadczył delegacyi konfederackiej, że się z konfederacyą łączy.

Rejtan, na głodową śmierć narażony, oświadczał tymczasem konfederackim posłom, odwiedzającym go, że gotów w izbie przesiedzieć sześć niedziel, to jest czas sejmu ordynaryjnego. O trzeciej popołudniu mogła go dojść wieść o akcie króla. Posłowie łęczyccy go opuścili. On sam wyszedł z sali przed dziesiątą wieczór. Rola posła nowogrodzkiego była skończoną, walczył za sejm wolny, jak go król uniwersałem zwołał, opuścił go, gdy król słowo swoje złamał. Generał pruski Lentulus, który miał winszować mu szlachetności, dał mu straż bezpieczeństwa, przed napaściami Ponińskiego.

Taka jest krótka i wierna historya wystąpienia Rejtana, zebrana z dwóch współcześnie, na miejscu pisanych dyaryuszów i korespondencyj prywatnych. Gdzie umieścić wiadomość, że Poniński Rejtanowi ofiarował 2000 dukatów, a Rejtan jemu wzajemnie 5000 własnych, byle konfederacką laskę puścił, czy tę wiadomość przyjąć, rzecz wątpliwa: Poniński miał głowę i wiedział, że podobny krok do niczego nie doprowadzi. Wołania, któremi Rejtan posłów przechodzących przezeń przeklinał: Idźcie na śmierć i potępienie wieczne, depczcie to łono, które się zastawia za cześć i swobody wasze! wkłada dopiero późniejszy biograf w jego usta; są one zanadto patetyczne, aby się godziły z prostotą postaci Rejtana. Słów jego autentycznych z tej chwili nie mamy, prócz wspomnienia, że zaklinał na miłość Boga i ojczyzny, na sumienie, a proste jego słowa musiały być nierównie potężniejszemi od wersyi późniejszych, z czasów czteroletniego sejmu pochodzącej i przez Staszica w ustępie Przestróg dla Polski przyjętej.

Nie brakło ludzi, którzy odjeżdżających z Warszawy Rejtana i Korsaka upominali, aby pozostali nadal, i przyjąwszy jarzmo konfederacyi, któremu się inni poddali oponenci, nie odstępowali ojczyzny w najtrudniejszym czasie. Gotów jestem pisać się na konfederacyę, miał odpowiedzieć Korsak, byle mi wolno mówić pozwolono, wskazując tem na proces Rejtana.

Rejtan umarł 8 sierpnia 1780 r. w Gruszowie, połknąwszy ostry kawałek szkła w obłąkaniu, w które popadł, dowiedziawszy się o dojściu rozbioru. Biograf zgodnie z Rzewuskim każe mu w tem obłąkaniu nie znosić twarzy ludzkiej, odzienia, wpadać w furyę na widok najbliższych. Biorąc tę postać jako całość, rozumiemy, że nie mógł pozostać po akcesie króla do konfederacyi, nie mógł jej sam podpisać. Bóg go chciał mieć gorejącą głownią potępienia i przestrogi, rzuconą w twarz matkobójcom; do posług ratunku, wymagających zimniejszej krwi, ducha kompromisu, zdolności i usposobienia nie miał.

Podjęli się tych posług towarzysze jego oppozycyi, dwakroć powyżej wymienieni. W dziejach sejmu znajdowali się oni zawsze po stronie dobrych, których liczba znacznie się zwiększyła. W senacie odwagą słowa odznaczyli się skupieni teraz obok króla: stary kanclerz Czartoryski, Stanisław Lubomirski marszałek, biskup krakowski Turski, chełmski Okęcki, smoleński Wodziński, wojewoda poznański A. Jabłonowski, Szydłowski, kasztelan żarnowski; w izbie poselskiej Jerzmanowski, Czeczel, Lenkiewicz, Szamowski, Biesiekierski, Pruszanowski, Wilczewski, Kurzenicki. Król, proponując akt limity z obostrzoną dla delegatów instrukcyą, zdobył się 3 maja w mowie swej na otwarte przeciw Ponińskiemu wystąpienie. Jeżeli też wyobraźnia narodowa jedyną pociechę w ponurych dziejach sejmu 1773 r. czerpie w postaci Rejtana, to nauka historyi, której dla dobra społeczeństwa, jak najszczerszego trzeba życzyć udziału, czerpie z nich obok smutku wielkie i głębokie prawdy, na dziś, na jutro, na całą narodową przyszłość. Nie może ona na tle czarnej otchłani złego pojmować go, jako jedynej postaci jasnej i dodatniej, nie może rzucać jej, jak przezroczystego anioła przeciw przemocy obcych i zbrodni swoich. Były serca na sejmie 1773 r., które cierpiały, jak nowogrodzkiego posła serce, były rozumy, które pękały pod ciężarem walącego się sklepienia ojczyzny. Ale, jeżeli straszny upadek Polski, pomimo serc i rozumów, jakich nie brakło w tej nawet chwili, spowodowanym został w przeważnej części długowieczną obojętnością na swawolę i bezrząd, to człowiek, który taki wspaniały dał odwagi obywatelskiej dowód, człowiek, który był takim praw stróżem, jak Rejtan, człowiek, który fatalnego *Veto* dawnej Polski, użył na ocalenie czci ojczyzny, może wo-

bec pokutnej Polski stanąć jako jeden z jej wzorów i patronów politycznych, bo jej to przedewszystkiem potrzeba cnoty którą zajaśniał — odwagi cywilnej!

MOWA REKTORSKA

przy immatrykulacyi uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, dnia 25. listopada 1878 r.

(W skróceniu).

Szanowni Panowie! Ćwierć wieku dopływa, gdy przemawiający do was Rektor dzisiejszy uniwersytetu Jagiellońskiego stał na miejscu, gdzie szanowni panowie stoicie, i podawał rękę z przyrzeczeniem zachowywania ustaw akademickich, jak mi ją za chwilę podacie. Rozpoczyna on od tego wspomnienia, aby od razu trafić w ten ton serdeczny i przyjacielski, który generacye, chowane na łonie jednej *Almae Matris* Jagiellońskiej, łączyć powinien; rozpoczyna, bo przemawiając dzisiaj do was, chciałby uprzytomnić sobie raz jeszcze piękne dni młodości, aby tem skuteczniej, tem zrozumialej do was przemówić i przekonać was, że w przewodnikach waszych, profesorach tego zakładu naukowego, i w was, młodzieży wstępującej w próg jego, jedna myśl i jedno serce być powinno.

Ale wspomnienie tego uniwersytetu przed ćwierć wiekiem z innej jeszcze przyczyny ciśnie się na widok wasz do mnie. Ciśnie się ono, bo mi podaje najsilniejszy argument, aby was zagrzać do jak najściślejszego zachowania ustaw uniwersyteckich, do jak najusilniejszej pracy, do walecznych zapasów z trudnościami raz obranych zawodów. Zapisani podówczas uczniowie nie byli w tych szczęśliwych warunkach, w których wy, szanowni panowie, zostajecie. Wykłady odbywały się wyłącznie, z wyjątkiem historyi literatury polskiej i historyi prawa polskiego, w języku niemieckim, a magiczny związek, jaki tylko słowo ojczyste między umysłem słuchacza i nauczyciela ustalić jest w stanie, był zerwany. Za różnicą języka szedł ów rozbrat między nauką uniwersytecką a umysłowemi zajęciami i zatrudnieniami społeczeństwa polskiego, szła wzajemna ich ku sobie nieufność, szła cicha skarga, że uniwersytet nie czyni zadość wykształceniu pokolenia do zadań, jakie

je w życiu czekają. Kosmopolityczne z natury, zawsze jednakimi środkami prawdy szukające, to ma przecież do siebie naukowe badanie, że jak Anteusz ciągnie siły z ziemi, na której wyrosło, krzepi się ambicyą narodu, wśród którego powstało, przyrodzonemi zdolnościami, które rozbudza, spożytkowuje tę niedostrzegalną oku, a przecież rzeczywistą odmienność pojmowania, spostrzegania, traktowania rzeczy, którą u pojedynczych narodów zastaje.

Szczęśliwsi od ówczesnej generacyi, na inne przyszliście, panowie, czasy. Rozporządzenie Najj. Pana, ograniczyło wykład w języku niemieckim do jednej historyi literatury niemieckiej. Rozbrat między umysłowemi pracami narodu a nauką uniwersytecką ustał, przyczyna niechęci i oppozycyi usunęła się; to, co dla usiłowań naukowych społeczeństwa było najpożądańszem, poważna metoda krytyczna, ścisłość badania, płynie odtąd w rodzinnym języku z katedry uniwersyteckiej w umysłowe życie społeczeństwa naszego. Ale nie na samem przyznaniu przyrodzonego i historycznego prawa wykładu w języku polskim poprzestał konstytucyjny Monarcha: pomnożyła się od tego czasu liczba katedr, aby zadość czynić rozdzielającej się na rozliczne gałęzie wiedzy, pomnożyła liczba instytutów naukowych, podających pomoc w badaniu, stworzoną została katedra dla wykładu dziejów narodu polskiego, przeznaczona, aby w świetle nauki uniwersyteckiej przedstawić przeszłość naszą, przedmiot uczuciowego raczej niż rozumnego traktowania. W bezpośredniem sąsiedztwie z uniwersytetem nareszcie, filia jego: Towarzystwo naukowe krakowskie, podniesione zostało wolą monarszą do godności Akademii, aby skupiać prace naukowe polskie, aby w nich początkować, a przez to samo wpływać ożywczo i pobudzająco na poważny zasługami wieków uniwersytet.

Otwierają się więc przed wami, panowie, podwoje polskiego uniwersytetu, który nazwę jeśli nie kwitnącym, bo do pełnego rozkwitu żądać jeszcze wiele i uczynić wiele powinniśmy, to zadość czyniącym wedle sił i możności słusznym nadziejom, które do niego przywiązuje najłaskawszy dlań Monarcha, Wysoki Rząd, kraj koronny, całe społeczeństwo polskie, węzłami historyi, cywilizacyi i uprawy języka narodowego związane z prastarą *Alma Mater* Kazimierza W. i Jagiellonów. Wchodzicie w te podwoje bez przykrego uczucia,

jakie niedawno jeszcze wywoływało porównanie przeszłości z obecnością, bo wątek swojskiego żywota, acz nigdy, dzięki polskim sercom i głowom, na tym uniwersytecie zupełnie nie zerwany, dzisiaj snuje się swobodniej, pełniej.

Młodym waszym sercom, otwartym miłości wszystkiego tego, co piękne i szlachetne, przystoi też uroczysty nastrój, jaki budzić powinno wejście w przybytek, gdzie się przyjmuje zobowiązania, nauki i wskazówki pięciu długich wieków, gdzie się wstępuje w ślady wydeptane pokoleniami, wchodzi w instytucyę, która ma swoje dzieje, swój związek z narodem, swoje dni chwały, upadku i podniesienia, gdzie się otwiera zarazem w życiu własnem epokę, mającą stanowić nie tylko o waszej przyszłości, ale i o przyszłości, jaką kiedyś jako mężowie dacie sprawie ogólnej, publicznej, jakie na kartach metryki uniwersyteckiej, kędy nazwiska uczniów od 1400 roku się wciągają, do waszego nazwiska przywiązane będzie wspomnienie. Bo, szanowni panowie, dzieje uniwersytetu, to nie tylko nauczycieli, ale i uczniów dzieje: a dzieje społeczeństwa, to dzieje tych wpływów i rezultatów, które pokolenia jedno po drugiem wynoszą z rodziny, ze szkoły, z atmosfery, która je otacza: to dzieje tych darów Bożych, które zostały spożytkowane lub zmarnione, które się obróciły na dobre lub złe: to dzieje tej summy wiedzy i charakteru, które pokolenia wniosły na widownię żywota, wywalczoną pracą i siłą woli. Wiem, że macie ten uroczysty nastrój, bo wynieśliście z domu miłość tego kraju, bo wynieśliście ze szkoły miłość nauki. Chodzi o to, aby miłość kraju i miłość nauki pojąć z tego wyższego stanowiska, na które powołuje was uniwersytet, aby uczuć się silnie i z pełną świadomością tam, gdzieście się nareszcie dobili, wszyscy twardą pracą, niektórzy wśród ciężkiej a chlubnej walki z potrzebami życia, z codziennemi troskami. Walki te i prace to zadatki, że i dalszym, trudniejszym podołacie: byleście mieli owo poczucie wyższe, gdzie stoicie; byleście mieli zaufanie do tych, którzy, kochając was, chcą u was tego wyższego poczucia, tego magnetycznego związku, jaki z profesorem winien wiązać ucznia uniwersytetu.

Jeśli szkoły średnie powołane są, aby korzystając z młodej uczniów pamięci, zaopatrzyć ich w znajomość języków starożytnych i koniecznych nowożytnych, jak niemniej w summę wiedzy taką, aby zaprawiła umysł do trudności pojedyn-

czych jej gałęzi: to uniwersytet, obejmując ucznia w chwili gdy już zawód swój specyalny wybrał, ma go poprowadzić do krynicy wiedzy samej, do środków krytycznego badania ma mu przedewszystkiem przyswoić metodę naukową. Wykłady, których panowie słuchacie, nie mogą być w uniwersytecie dogmatycznem rozwinięciem tej albo owej nauki; one są przedewszystkiem pobudką do własnej badawczej pracy. Nie to, co profesor mówi, zapamiętać i umieć macie, ale z pomocą profesora macie wejść w tajniki nauki, którą wykłada, nabrać tego sposobu patrzenia i traktowania, którego naukowe wymagają kwestye. Aby go nabrać, nie trzeba oczywiście pojmować uniwersyteckich kursów, szczególniej pierwszych, jako czasu wolniejszego, w którym oglądać się nie trzeba na codzienną profesorowi odpowiedź, zadanie piśmienne i półroczny egzamin, w którym rygoroza doktorskie, egzamina państwowe i kandydackie, przedstawiają się jeszcze w mglistem oddaleniu, a przed niemi czas swobody, zabawy lub tego niepróżnującego próżnowania, które się zajmuje lekką lekturą, lekkiemi próbami literackiemi, rozmową koleżeńską lub sesyjkami; trzeba od razu wziąć się do pracy, od razu zbliżyć się do profesora po radę i pomoc, od razu ściągnąć do siebie dzieła poważne swoich przedmiotów, trzeba sobie powiedzieć od razu: jestem teologiem, prawnikiem, medykiem, filologiem, historykiem lub przyrodnikiem, a czując całą godność i piękność obranego zawodu, nie tylko samemu oddać się mu z zamiłowaniem, ale szerzyć je i pobudzać u innych. Trzeba to uczynić tem pilniej, że z każdym dniem nieledwie rośnie ogrom, rosną wymagania nauki, rozgałęzia się ona i specyalizuje, a to, co wystarczało wczoraj, nie wystarcza już dzisiaj. Trzeba to uczynić, bo czyto o materyalną przyszłość chodzi, którą sobie każdy dla samej samodzielności w życiu zapewnić powinien, czy o znaczenie w społeczeństwie, a szlachetna ambicya to dźwignia społeczeństwa, i każdemu jej życzę: przyszłość ta materyalna i znaczenie zależy już dzisiaj przedewszystkiem nie od odziedziczonego majątku, ale od głowy jasnej i rozumnej, która nim zarządza, nie od imienia historycznego, od którego się tem więcej wymaga, nie od służbistości może, która w epoce konstytucyjnej już nie popłaca — zależy ona od summy wiedzy, zdolności i charakteru, którą się społeczeństwu z usługami swemi ofiaruje.

... Godność ucznia uniwersytetu, acz nie zapisane to w żadnym paragrafie ustawy, polega na tem, aby słuchając rzeczy gruntownych, badawczych, na dowodach opartych, poświęcając się nauce, która odzywa się do jego rozumu, ten punkt widzenia naukowy, badawczy, zatrzymał wobec zmiennych fluktuacyi spółczesnego sobie żywota, aby się umiał nim obronić przeciwko wszystkiemu, co mu nie daje równie poważnych rękojmi, aby — mówiąc językiem napisu na medalu Stanisława Konarskiego — miał odwagę mieć rozum: rozum ten sam, który się tutaj kształci, ten sam, do którego tutaj w kwestyach naukowych przemawiają. Wszakże to jego przeznaczeniem, aby nauczywszy się jak najwięcej, zbadawszy jak najgruntowniej, iść po ukończonych studyach w życie, i tam — pokazać znowu, ale już czynnie, że ma odwagę mieć rozum i naukę, ma odwagę prostować skrzywione pojęcia, dostać kroku zakorzenionym fałszom, potykać się z lekkomyślnością i szarlanteryą, a niosąc pochodnię prawdy, stać się dodatnim, zbawiennym czynnikiem społeczeństwa...

Cześć i uprawa nauki prawdziwej, odgadnięcie ducha instytucyi tej nauce poświęconej, ustrzeże was przed ślizkiemi drogami doktryn, które się naukowemi mienią, a spuszczają z oka jej przeznaczenie, jej przyszłość, jej powagę i grozę. Nie będziecie pochopni w sądach, bo wiedzieć będziecie, że do sądu trzeba wiele: nie będziecie pochopni do poterania tego, co samym faktem wiekowego trwania na cześć zasługuje: do chwytania się tego, co tylekroć objawiło się w dziejach świata, aby upaść, odepchnięte przez naturę ludzką, nie znoszącą próżni duchowej. Ale i w innym kierunku prawdziwy kult nauki zejdzie się z obowiązkami waszymi, z ciepłem waszych dusz młodych, z zapałem nieodłącznym od młodego pokolenia.

W początkach słowa mojego do was powiedziałem, panowie, że otwierają się przed wami podwoje polskiego uniwersytetu, który lat temu kilkanaście polskiego języka używać nie mógł. W tym fakcie brzmią do was głosy liczne, szukające wdzięcznego echa w uczuciach waszych narodowych, w sercu waszem polskiem, w dumie tej sprawiedliwej, z którą każdy własnego gniazda i praw jego przyrodzonych bronić powinien. Czyliż potrzebuję podnosić, ile obowiązku ma młodzież, która się w tych wyjątkowo korzystnych kształci warunkach? jak

jej należy pracować za siebie i za społeczeństwo, oddychające wolniej tymi jedynymi organami myśli i słowa? jaka w tem apellacya do jej ambicyi narodowej, aby okazała za siebie i współplemieńców swoich, że nie tylko nie przestała być spadkobierczynią cywilizacyi przeszłości, ale zdolną jest okazać owoce dzisiejszych wymagań naukowych godne, zdolną zaprzeczyć temu, czego nie przestają o nas głosić nieprzyjaciele, że jesteśmy społeczeństwem zbutwiałem, starem, niepoprawnie anarchicznem, społeczeństwem, które bez żelaznej obroży obyć się nie może! Jedną tylko z myśli nasuwających się na widok tego wyjątkowo korzystnego położenia rozwinę szerzej. Nie tylko do jak najusilniejszej pracy naukowej obowiązuje ono: obowiązuje także do jak najskrupulatniejszego przestrzegania, aby z naszej winy nie zaszło nic, coby zachwiać mogło zaufaniem w nas położonem, obrócić się na korzyść nieprzyjaciół, niechętnem okiem na te ostatnie ogniska naukowego życia polskiego patrzących. Dola uniwersytetów nie tylko w rękach profesorów, ona także i w rękach młodzieży. Tylko skrzętne, sumienne, rygorystyczne przestrzeganie ustaw akademickich, tylko wypełnienie obowiązków obywatela uniwersytetu może zadość uczynić waszemu sumieniu, nie tylko jako uczniów, ale jako uczniów Polaków na uniwersytecie polskim. To jest alfa i omega patryotyzmu waszego, dopóki jesteście obywatelami *Almae Matris*. To jest najwyższy wzgląd, jaki na oku zatrzymać powinniście, jeśli chcecie zasłużyć na miano dobrych i rozumnych synów tej ziemi. Służba narodowi swemu, w naszych stosunkach nie zostająca pod anatematem władzy, ale dozwolona i wolna, w wolności tej tem dzielniejszą i skuteczniejszą być mogąca, nie polega na samem wyznawaniu, że się do niego należy, na demonstrowaniu i wołaniu, że się go kocha, na szukaniu drastycznych na to wyrażeń: ona polega na wypełnianiu najbliższego obowiązku. Z wypełniania tych najbliższych obowiązków rośnie siła niepożyta, której skutki wieki sądzić będą; ta siła tylekroć podnoszonej a mało rozumianej pracy organicznej, w której każda jednostka pilnowaniem swojej funkcyi w wielkim warsztacie społecznym, sumiennem wykonywaniem czynności swoich nie tylko przyczynia się do skuteczności pracy ogólnej, ale robiąc to, co do niej należy, uczy się szanować pracę drugiego, zaufać kierownictwu tych, co najtrudniejsze zadania z woli społeczeństwa

podjęli, zrasta się w prawdziwą organiczną całość z współpracownikami jednego narodowego warsztatu. Dla jednego celu, dla dobra społeczeństwa, winni w społeczeństwie narodowem pracować wszyscy, ale najwyższym to błędem, jeśli każdy chce robić wszystko i każdy wszystko zaczyna: jeżeli odbiegając własnego szczuplejszego zadania, nie zaufa nikomu, co w obszerniejszem działa; jeśli wszyscy, zamiast robić swoje, nieswojego robić nie umiejąc, krzyczą tylko w niebogłosy i ten krzyk mają za służbę publiczną. W prac społecznych rozkładzie nam i wam przypadło świetne, historyczne, odziedziczone zadanie: nam uczeniem, wam pobieraniem nauki utrzymać uniwersytet Kazimierza W., Jadwigi i Władysława Jagiełły na wyżynie narodowej, zjednać mu sławę, że nauka i przykładanie się do nauki kwitnie na nim, że wychodzą zeń ludzie zacni i zdolni, dzielne siły dla przyszłości narodu naszego; wam i nam przypadło w udziale iść śladem tych, którzy nawet w ciężkich chwilach szczęśliwie nawę jego przez wzburzone przeprowadzili fale: śladem Brodowiczów, Majerów, Dietlów i tych, którzy umieli iść zwartą falangą za głosem ludzi, kochających ten uniwersytet i przekonanych, że czyniąc wszystko, aby go zachować i podnieść, zachowują perłę korony wielkiego króla prawodawcy i perłę korony tej wielkiej i świętej królowej, co dobru cywilizacyi chrześcijańskiej najdroższe poświęciła uczucia. Tu, powtarzam, nasza i wasza służba patryotyczna, tu najwyższy obowiązek, który spełnić przyrzeczecie, kiedy poczciwe wasze ręce tegorocznemu przewodnikowi uniwersytetu podacie.

Podniósłszy ten wasz obowiązek przestrzegania ustaw, liczenia się z stosunkami, współdziałania nad dobrem uniwersytetu, nie potrzebuję zapewne mówić, czego unikać wam przyjdzie. Przed jednem tylko upomnę: bądźcie baczni na głosy, które w imieniu uczuć polskich wyzywają was do udziału w sprawach, poza granicę działania i życia uniwersytetu wychodzących. Miejcie tę wstrzemięźliwość, która mówi sobie: Wystąpię jako mąż skończony i dojrzały, wystąpię wtedy, gdy mi nikt nie będzie mógł powiedzieć: Przedwcześnie! Wstrzemięźliwość ta, to siła: siła ta sama, która zapewnia dzielność tem większą naukowemu wystąpieniu, gdy je uprzedzą lata dojrzałych studyów. I nie dajcie sobie mówić: Robią to gdzieindziej, czemu nie u nas? Nigdzie nie robią dobrze, gdzie robią, ale

u nas byłoby to gorzej niż gdzieindziej. Dlaczego? wykazałem. Służba wasza jako Polaków jest tutaj, *intra muros;* a kto nie przyzna, że z pozostałych fortec siły rzeczywistej to jedna z najpoważniejszych? Bądźcież więc wiernymi fortecy tej stróżami, a postępujcie tak, jak postępuje waleczna załoga. Załoga nie tylko nieprzyjacielowi nie da się wyprowadzić z murów, ale i głosy przyjaźnie brzmiące z poza muru nie zdolne jej skłonić do wycieczki. Ona pilnuje sztandaru, ona trzyma się artykułów hetmańskich — a tymi dla was są prawa, są obowiązki akademickie.

Nie myślcie jednak, panowie, abym poza rygorem tych obowiązków nauki i przestrzegania ustaw nie widział dla was życia, nie widział dla was zajęcia i słusznej a pożądanej rozrywki. Odkąd szkoły istnieją, odkąd młodzież młodzieżą, istnieje cudowny związek dusz młodych, opiewany przez poetów, wspominany do późnego wieku przez każdego człowieka z sercem, związek, który i w późniejszym wieku zapala promieniem radości oczy dwóch spotykających się ludzi, związek najmilszy po rodzinnym: koleżeństwo! Narzekano na jego upadek, osłabienie w dzisiejszych czasach, — o! nie dajcie mu upaść, bo sami wyrządzilibyście sobie największą krzywdę, pozbawilibyście się najmilszych wspomnień z lat uniwersyteckich. Narzekano, a oto jedna z przyczyn była może w tem przedwczesnem rzucaniu się młodzieży w świat szerszy, świat poza szkołą, które pociągnąć musiało oddalenie jednego od drugiego. Wierzcie mi, choćby kosztem unikania tego szerszego świata, budujcie i utrzymujcie koleżeństwo między sobą. Nic wam jego straty i ubytku nie nagrodzi: tyle wdzięków i pożytku w tej wymianie uczuć i myśli, w tem obcowaniu dusz, złączonych wspólną pracą i wyrabianiem się wspólnem, w tej pomocy nareszcie, której nie zabraknie choremu, ubogiemu, ogołoconemu ze środków, jeżeli ma kolegę i przyjaciela, jeżeli się znajdzie między swymi, jeżeli mu szlachetny wstyd nie zmrozi na ustach wyznania smutnego stanu, bo zaufanie do kolegi wstyd uchyli. Ale i z innej strony koleżeństwo — to owa *„aurea aetas", quae sponte sua sine lege fidem rectumque colit.* Koleżeństwo to zrównanie wszystkich wobec szlachetnego ideału nauki, to ustanowienie hierarchii po zacności i pracy, to zapomnienie różnic, które ludzi dzielić nie przestaną, a budowanie na przyszłość tego wszystkiego, co ich zbliża do siebie, co

wyższe nad wszelkie różnice, łączyć ich powinno jednością zasad i uczuć.

Powiedziałem wam z szczerością i otwartością wszystko, co miałem na sercu. Proszę o wzajemność we wszystkich sprawach, jakie z stosunku uniwersytetu do uczniów wypaść mogą. Starałem się sercem przemówić do serc waszych, bo przekonany jestem, że macie święty zapał do wszystkiego, co dobre, prawdziwe i szlachetne; bo uważam ten zapał za rękojmię najlepszych dla społeczeństwa i was samych skutków. Stwierdzam ponownie, że to, co was grzeje, grzeje i nas, przewodników waszych: miłość nauki, miłość tego uniwersytetu, miłość kraju — stwierdzam i proszę was, abyście nigdy o tem nie zapominali. Pomnijcie, że w tym pełnym trudów zawodzie nauczycielskim, powołuję się tu na kolegów, powołuję na wszystkich, co kiedykolwiek pracowali w tym uniwersytecie, największą radością i pociechą jest, gdy się powie o zdolnym, zacnym, znamienitym człowieku: To mój uczeń! — gdy się mówi o zacnej generacyi: To moi słuchacze! Dajcie nam tę pociechę, panowie, którzy dzisiaj przyjmiecie obywatelstwo akademickie.

Antoni Małecki.

Urodził się w Obiezierzu w Wielkopolsce w r. 1821. Do gimnazyum uczęszczał w Poznaniu, na uniwersytet w Berlinie, gdzie oddawał się studyom filologii, literatury i historyi (Ranke). Uzyskawszy stopień doktora filozofii, był przez pięć lat nauczycielem w gimnazyum poznańskiem. W tym też czasie (1842) rozpoczął zawód swój literacki od rozbioru ważniejszych utworów poetycznych literatury współczesnej (n. p. Irydyona 1847). W roku 1850 powołany na profesora filologii klasycznej w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał Prelekcye o filologii klasycznej (Kraków 1851), lecz wkrótce musiał ustąpić wraz z Polem, Helclem i Zielonackim. Zrazu otrzymał takąż katedrę w Insbruku, ale już w roku 1856 mianowano go profesorem języka i literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Tutaj rozwinął nader skuteczną działalność, rozbudzając gruntownemi pracami a jasnym i zajmującym wykładem zamiłowanie do ojczystej literatury i głębsze jej zrozumienie. Był także przez parę lat członkiem Rady szkolnej krajowej, a jako rektor uniwersytetu lub poseł brał udział w pracach sejmowych nad ułożeniem ustaw szkolnych. W roku 1873 ustąpił z uniwersytetu i odtąd zarządza Zakładem imienia Ossolińskich jako zastępca

kuratora, nie przestając pracować na polu naukowem, przeważnie w historyi.

W ciągu przeszło półwiekowej działalności napisał Małecki znaczną ilość dzieł. W latach młodszych napisał dramat p. t. List żelazny, którego treść wzięta z podań, opowiedzianych w »Pamiętnikach starego szlachcica«, i Grochowy wieniec, komedyę, osnutą na Pamiętnikach Paska. Jego Elektra Sofoklesa należy do najlepszych przekładów tego tragika w naszej literaturze.

Główne jednak zasługi położył Małecki na polu gramatyki, literatury i historyi polskiej. Każdą z tych nauk badaniami swemi rozwinął i posunął naprzód, a niektóre jego dzieła stanowią epokę w ich rozwoju. Jego Gramatyka języka polskiego (1863), oparta na gruntownej znajomości dawnych pisarzów polskich, tudzież pobratymczych języków, zwłaszcza starosłowiańskiego, jest pierwszem u nas w tej umiejętności dziełem, mającem wartość naukową i otwiera szereg prac dalszych i cennych badań. W kilkanaście lat wydał Gramatykę historyczno-porównawczą (Lwów, 1879), dzieło pełne nowych poglądów, zdobytych na szerszej podstawie lingwistyki porównawczej.

Historyę literatury wzbogacił kilku cennemi rozprawami, jak o Modrzewskim, Morsztynie i Ostrorogu. Ale największem jego dziełem i znowu pierwszem w tym rodzaju jest Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła (1866), monografia osnuta na dziełach i listach poety do matki. Żaden z naszych poetów czy pisarzy nie jest dotąd tak doskonale opracowany pod względem czy biograficznym czy krytycznym. Książka ta stała się typem i wzorem dla następców, a w szczególności dała pochop do dalszych studyów nad Słowackim. Równocześnie zajął się krytycznem wydaniem Pośmiertnych pism tego poety.

W ostatnim okresie zwrócił się Małecki do studyów historycznych. Przedmiotem jego badań są pierwotne dzieje Piastowskie do połowy XII. wieku, a w nich zwraca szczególną uwagę na stosunki wewnętrzne. Najważniejszą na tem polu pracą są Studya heraldyczne (1890) dzieło nagrodzone przez Akademię Umiejętności. Celniejsze rozprawy swe i studya, dawniejsze i nowsze, wydał w zbiorowem wydaniu p. t. Z dziejów i literatury (Lwów, 1896).

Badacz wszechstronny i samodzielny, posiada Małecki ostrożność i rozważność w zdaniu, nie daje się unosić wyobraźni ani skłonności do śmiałych, efektownych pomysłów i przypuszczeń. Trafność sądu, rozwaga i miara cechują również jego rozbiory estetyczne. Styl wreszcie, w najsubtelniejszych i najtrudniejszych kwestyach zawsze jasny i prosty, sprawia, że dzieła jego są dostępne dla szerszego ogółu; więc i wpływ wywierają niemały. Pisarz to wyborny, krytyk łączący gruntowną naukę z doskonałym smakiem i bystrym sądem, uczony w zupełnem, najpoważniejszem znaczeniu tego słowa, we wszystkiem, co pisze, pełen i rozumu i najzdrowszego publicznego ducha.

Z dzieła p. t.

JULIUSZ SŁOWACKI
jego życie i dzieła.

Rozbiór krytyczny Anhellego.

Pospolicie spotyka wszystkie Słowackiego utwory zarzut, że są zbyt trudne do zrozumienia. Po dokładnem rozpoznaniu osobistych okoliczności dotyczących poety, mniemana niezrozumiałość dzieł jego okaże się uprzedzeniem. Prawdziwie uzasadnionym pozostanie powyższy zarzut tylko wobec jednego poematu. Tym poematem jest Anhelli. Nie wiem, czy jest, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim na wskroś przeniknął cały autora zamiar. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym Anhellego układzie doznaje w wyjątkowy jakiś sposób szczególnej pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnej czystości formy, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezyą, i te ustępy poszczególne, tu i ówdzie po całem dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego, wystarczyły Anhellemu za przepustkę w charakterze jednej z najlepszych kreacyi.

Zygmunt Krasiński, kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu, zajętych właśnie pogrzebem: „Połóżcie mu napis na grobie Autorowi Anhellego, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe“. Ze słów tych widać, że autor Irydyona najwyżej stawiał Anhellego między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? o tem zdania mogą być różne...

...Był w owem pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poetyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczej przydawała uroku częściom obrazu, więcej wydobytym na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu, u każdego czytelnika inaczej — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytem. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć

nad książką — w duszy własnej. Było to jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnej granicy zupełnie dowolne.

Nie stosuję jednakże tego, co tu mówię, do całej osnowy Anhellego. Jest w tem dziele dobra połowa szczegółów, w których się mieści świadomy zamiar poety. Spróbujmy, czy nie potrafimy choć tę część poematu odsłonić.

Ażeby to ułatwić, powiedzmy sobie przedewszystkiem, że autorowi bynajmniej nie chodziło w Anhellim o krainę sybirską, choć z niej zrobił pozorną scenę swojej powieści, ani też o stosunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznajomość przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy.

...Poeta daje widocznie w dziele obecnem wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stosunków, obraz i cierpień, które znosimy od drugich, i win, jakie sami przeciw sobie popełniamy. Sybirem podobało mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Obejmuje więc w tym wyrazie kraj nasz cały przedewszystkiem, a potem emigracyę z roku 1831, nakoniec i wszelkie strony świata, zaludnione wygnańcami polskimi, nie wyłączając zresztą z liczby takowych także i pustyń sybirskich.

Upatrywaćby można w tem wszystkiem coś artystycznie niewłaściwego, coś, że powiem, naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Odnieść to należy na karb osobistych też jedynie okoliczności poety, że użył tej właśnie formy. Anhelli był pisany w Genewie. Stała Słowackiemu wtedy ciągle przed oczyma owa olbrzymia biała góra, o której mawiał w listach swoich, że „jest podobna do snycerskiego posągu sybirskiej krainy". Ten widok codzienny zakutego w lody i śniegi Mont-Blanc, odbity w wyobraźni, przyjął w się zwolna wszystkie medytacye poety o ojczyźnie i rodzinie, o szczęściu, którego nie zaznał, o samotności, na którą był skazany... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą. Obydwie strony w fantazyi jego spłynęły w jedność, nierozłącznie spojoną. Owinęło się zaś

około tejże jeszcze i coś trzeciego, co także było tylko skutkiem przypadkowych owoczesnych osobistych stosunków: — mówię o stylu biblijnym, jakim jest napisany Anhelli.

Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, uważam za potrzebne rzucić tu mimochodem jeszcze tę ogólną uwagę, że symbolika w sztuce może być dwojaka. Mogą w jej zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrażają myśl sobie podłożoną i poza granicę tejże myśli wcale nie przesięgają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stosują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia. Wszystko w nich tem znaczeniem przesiąkło, a poza okrąg tego znaczenia ani krokiem już dalej pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła — łatwa wprawdzie do odgadywawania i przeźroczysta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tem czemś drugiem, sobie obcem, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne odmiennej natury. Figury i znaki w zakresie tej drugiej symboliki, stworzone pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czem same przez się nie są, wprawdzie zrazu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tem bynajmniej nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacye takie, które nie mają żadnej wreszcie wspólności z pierwotnem i głównem znaczeniem. W takim razie allegoryczność miesza i wikła się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie której z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcej jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do rozumienia, aniżeli tamten jej rodzaj, ale wolna od tej martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy skazane są symboliczne tworzywa poprzedniej kategoryi. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszym w zakresie twórczości poetyckiej: i do tego jej rodzaju policzyć też należy i Anhellego.

Względna zatem trudność do rozumienia tego utworu (gdyby się kończyło na takiej tylko trudności) byłaby prostem tylko następstwem przyjętej formy, a raczej rodzaju poe-

zyi, w którym jest wykonany Anhelli. Taka trudność nie byłaby wadą. Ustępy Anhellego jednakże, nadarzające się jak każdy przyzna, dość często, które się całkiem usuwają z pod możności wykładu, okazują, że autor nieraz zbyt się daleko dawał fantastyczności porywać i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezyą i cudownością. W tem więc całe źródło mglistości i wszystkich wogóle wad Anhellego.

Przystępuję teraz do szczegółowego przeglądu myśli Słowackiego w dziele niniejszem.

Poeta daje na samym początku wizerunek widocznie emigracyi naszej ówczesnej. Egzystencyę jej nienormalną, między żywiołami obcymi, na tułactwie, zowiąc figurycznie życiem w Sybirze, powiada:

„Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej; było ich zaś około tysiąca ludzi z różnego stanu". Mieli ci nieszczęśliwi między sobą utrzymywać nadzieję, „bo nadzieja przejdzie z nich do przyszłych pokoleń i ożywi je". Mieli czuwać nad sobą, „bo byli jak ludzie stojący na podniesieniu".

I rzeczywiście „przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek; albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą, chyba... chyba Bóg zechce".

Lecz niestety czasy tego porządku i smutku wspólnego nie były długie. Niektórzy tylko z nich zajęli się swoją pracą. Niebawem znaleźli się między nimi, „którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi, i zostawali w bezczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny"...

I okazało się aż zbyt rychło, że ten zastęp wygnańców był tylko jedną plagą więcej dla społeczeństwa, z łona którego wyszedł. — „Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieniła w ludzi złych i szkodliwych; albowiem serca ich były słabe. Byli ludem starym, których wskrzesić na duchu cudem jest"...

To więc wizerunek pierwszy stanu społeczeństwa naszego — w latach, w których był pisany Anhelli.

Począwszy od rozdziału III do IX ciągnie się cała galerya podobnych tegoż stanu obrazów. Jest to niejako wędrów-

ka dantejska przez cały obszar stosunków egzystencyi tamtoczesnej narodu. Figura fantastyczna, Szaman, prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w Komedyi Boskiej Wergili prowadził włoskiego wieszcza. Tamci dwaj spotykali na drodze swojej różne potępione za swoją przeszłość osobistości: Anhelli spotyka się z równie potępionymi, lecz nie indywiduami, ale stosunkami, spotyka się z cierpieniami kolosalnymi narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniej jest wykonana i najłatwiej poddaje się wyrozumieniu. Niema potrzeby zatrzymywać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia. Wprawdzie otacza je zawsze pewna ornamentyka fantastyczna, cudowność, która analizy nie znosi. Zrażać się tem nie należy, taki już bowiem jest cały sposób poematu, który mamy przed sobą. A bardzo zmyślnie też postąpił sobie poeta, że ku końcowi tego przeglądu narodowych cierpień i pokut od niechcenia rzucił słowo które ten cały szereg obrazów, pod względem ich formy, pozwala uważać za rzeczy ukazane, że tak powiem, na tle widzenia, za sen. „I przekonany był Anhelli, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł“.

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego począwszy, następuje, że tak powiem, wytłómaczenie, dlaczego dziać się mogą pod okiem Bożem takie monstrualności społeczne. Autor wraca do owego zastępu tysiąca ludzi mieszkających w wspólnym domie, pozostawionych przy woli własnej, od których zaczął swoje opowiadanie. W obrazach co tylko przeprowadzonych przed oczyma naszemi, odsłonił, co naród znosi i cierpi. W scenach, co teraz następują, przychodzi mu okazać, co to społeczeństwo czyni. Ma on tu na oku, jak się już rzekło, przedewszystkiem ówczesną emigracyę. Ale jak emigracya była tylko odblaskiem tego wszystkiego, czem naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigracyjnych stosunków ściągać należy, ale do całej sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe, nawet w danem położeniu, były wynikiem własnych instynktów, i jako czyny wolnej woli stanowiły o doli społeczeństwa w przyszłości. Cóż się tedy dzieje

pośród owej liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu? — Poeta odsłania jeden rys tylko w ich usposobieniu ówczesnem. Czy że nie dostrzegał innych wad, które toczyły i toczą ustrój społeczny nasz, czy że nie chodziło mu, jak tylko o symboliczne naznaczenie tego stanu chorobliwego, ku czemu wystarczała już i ta jedna skazówka! dość że podnosi tylko samą nieudolność polityczną owych tysiąca ludzi, jako znamię, które cechuje wszystkie ich kroki. Marzycielstwo, fanatyzm, bezmiłość i t. d. są to już tylko drugorzędne przymioty i wyniki głównej winy, jaką odsłania, a którą wedle niego jest tu nieuleczona jakaś zapamiętałość, z jaką społeczeństwo nasze, jakby fatalizmem jakimś pędzone, chcąc ojczyznę zbawić, tylko coraz głębszą dla niéj wykopuje mogiłę.

Owi wygnańcy tedy, mówi poeta, sobie samym zostawieni, po niedługim czasie kłócić się zaczęli pomiędzy sobą. „I podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny. Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lechem na nowo przybyli do kraju pustego. A druga miała na czele żołnierza chudego imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i cyganami. A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy...“

W taki więc sposób oznaczywszy hasła, które czasu owego, kiedy był pisany Anhelli, wiele już sprawiały wrzawy w teoryi, a w późniejszych latach rzeczywiście po kolei odegrały role swoje w praktyce: maluje poeta w dalszem opowiadaniu zachowanie się tych gromad w stosunku wzajemnym jednej do drugiej...

...„Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi: lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Oto obraziliście ludy tej ziemi — i z oszczepami stoją, czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć“.

Te słowa prawdy wkłada autor w usta Szamana. Szaman je wypowiada wygnańcom i zostaje za to przez nich zamor-

dowanym. Prawdy jednak z nim razem zabić oni nie potrafili. Kończy się z nimi, jako im było przepowiedziano, że pomrą marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, niema już na ziemi ani śladu po tych ludziach, ani po szopie, którą sklecili swemi rękami. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą.

Póty pierwsza połowa dzieła.

Na tem ciemnem tle rozpaczliwych stosunków, w przeciwstawieniu do tych typów potępionych w masie i jako masa pozostawionych też w głębi obrazu, spostrzegamy na pierwszym planie kilka postaci z osobna zwracających na się uwagę. Ich oblicza także są smętne, ale idealne. Sympatya nasza jest z nimi. Widać ze wszystkiego, że je wymarzyła miłość artysty. Oto w samym środku tej grupy widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana z obliczem ku ojczyźnie zwróconem — to Anhelli. U stóp jego klęczy schylona jak pokutnica niewiasta — Ellenai. Przed nimi idzie Szaman, mędrzec sybirskich pokoleń. A w górze, jak urocze widzenie, wznosi się świetlana postać anioła — Eloe. O napisanie gorzkiej satyry, o samo tylko potępienie naszego społeczeństwa, nie mogło chodzić poecie. Miał on niewątpliwie przed oczyma jakiś zamiar dodatni, wdzięczniejszy, kiedy tworzył ten poemat. Obaczmy, czy go nie odgadniemy z oblicza której z tych czterech przedniejszych figur obrazu.

Nim powiem o Anhellim, co mam na myśli, niech mi wolno będzie rzucić choć słowo o autorze. Słowacki w życiu swojem mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często nawiedzany przez rozpacz. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi. Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola w podziale, lecz — odpowiedzi na zapytanie to nie znajdował. Poeta nasz nie pojmował jasno bytu swojego na ziemi. Nie widział przed sobą celu swojego, ani nie umiał zdać sobie sprawy ze stosunku, w jakim zostawał do reszty społeczeństwa.

To, co człowieka dręczy jako niedocieczona zagadka, zazwyczaj bywa nieustającym tematem jego rozmyślań. Żeby się pozbyć tej myśli, męczącej umysł, zazwyczaj człowiek naj-

któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił".

To są uczucia, pod wpływem których widzimy go w środku zawodu. Niemniej smutne, posępniejsze jeszcze, są ostatnie Anhellego chwile na ziemi. Przeżył wszystkich swoich, patrzał na zgon obu istot, które na ziemi były jedyne, co go kochały (Szaman i Ellenai). Dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które wśród bezowocnych szamotań z losem i pośród przekleństw wzajemnych zmarniało, nie pozostawiwszy ani znaku po sobie. Pozostał sam jeden w swoim świecie Anhelli — „jak harfa z porwanemi strunami". I oto czasy mają się ku dopełnieniu; straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest blizki. Jeszcze jedna noc, noc długa, okropna, ciemna, „sybirska", lecz tylko jedna — a „dzień wielki" po tej „nocy wielkiej" zaświta. Ale Anhelli o tem wszystkiem nie wie! Aniołowie, którzy przychodzą zwiastować mu śmierć, nie mówią mu ani słowa o tem, co ma nastąpić w tak blizkim czasie. Mówią do niego słowami, których dźwięk taki, jakby się wszystko skończyło. Opuszczają go, wyrzekłszy, co mu mieli zwiastować: jakby nie było żadnej już pociechy dla niego. Wyraźnie chodzi o to poecie, aby to życie idealne i ofiarne zgasło już w tym strasznym zmierzchu między świtem ufności a nocą rozpaczy, w tem duchowem półświetle nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. Pod tym tylko warunkiem będzie z życia człowieka tego ofiara, godna stanąć za odkupienie... Dopiero po spełnieniu się życia takiego nastąpić może chwila... oczekiwana.

W taki to sposób tłómaczę sobie cały ów obraz w rozdziale XV, gdzie się znajduje kilka wyrażeń i pomysłów, które z innego punktu widzenia byłyby albo trudne do zrozumienia albo nawet zdolne wykładu wręcz przeciwnego przekonaniom poety. Mianowicie mam tu na myśli to miejsce:

„I rzekli mu aniołowie: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą

okropność, niż jakiej ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, wściekli od krwi ludzkiej, a ty jesteś ostatni.

„A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał wam wyjawić przyszłości".

Pomimo skarg, jakiemi odpowiada na te aniołów słowa Anhelli, ciemna zasłona przyszłości nie zostaje mu odchylona. Zaledwie mimochodem, w formie pytania, tonem wątpliwego niejako przypuszczenia, nasuwają mu aniołowie myśl, która gdyby mu była oznajmiona jako pewność, zwiastowana ich usty, byłaby osłodą jego niedoli, a nawet wynagrodzeniem sowitem za wszystkie cierpienia jego:

„A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być zrzuconym w ciemności dla przestrachu zgrai?"

W ostatnim dopiero rózdziale przypuszczenie to otrzymuje piętno prawdy i pewności. Wypowiada je tam poeta powtórnie, przez usta Eloi, w sposób dowodnie ukazujący, że to jeden z pewników w obrębie jego przekonań, i że w tej myśli zawarte było całe założenie, jakie podjął w dziele niniejszem: „On był przeznaczony na ofiarę serca".

Lecz w tej formie słów tych już nie słyszał Anhelli: jako nie miał słyszeć i tryumfujących haseł, które równocześnie powstały już natenczas na ziemi i „jakoby szum burzy wielkiej" powoływały „ludzi silnych do życia, a do zmartwychwstania narody". Chwila ta przyszła dopiero nazajutrz po jego zgonie. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie wizerunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Na tem kończę, com miał do powiedzenia o głównej postaci w tym utworze.

O Szamanie i innych osobistościach, w skład Anhellego wchodzących, wystarczy i krótkie słowo. Szaman jest tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylnem byłoby rozumowanie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich autochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale poecie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z wężów nieżywych zamiast korony. Jest to wszystko tylko fantastyczny ornament, proste następstwo tego, że wogóle takiej formy i tej przenośni za tło poematu użyto. Skoro się rzecz niby dzieje na Sybirze, toć i mędrzców na jej przestrzeniach musiał się zjawić. Więcej jednak w fantastycznej jego postaci istotnego znaczenia niema, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego ani w tłumie owych tysiąca wygnańców, ani nawet w Anhellim niema. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia, przywalonego fatalizmem szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jej nikt więcej między nimi nie słucha, tylko poeta Anhelli. Chodziło dalej o okazanie, że to wszystko Boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, niema za naczynie i za narzędzie swoje owej generacyi wygnańców, lecz zostaje zewnątrz nich, a więc w obcym człowieku. Szaman jednakże (powiada poeta) nauczył się tego wszystkiego od ojców naszych, „których znał i widział, jak żyli bogobojnie". A zatem mądrość jego jest to własna nasza tradycya narodowa, ale nie będąca w posiadaniu obecnych pokoleń — tradycya, jak dla dzisiejszych ludzi zapomniana. Rola Szamana, w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Działanie jego tylko pozornie zdaje się być wydatniejszem, niżeli niem jest w istocie. Oprowadzanie bowiem owo Anhellego po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu jego i wszystkie nieszczęścia tej ziemi", jest to tylko złudzenie wyobraźni czyli środek artystyczny, na to użyty, ażeby połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowej martyrologii i nadać im ciąg jakby akcyi jednolitej. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnej Anhellego. Jest to widzenie...

Ellenai zdaje mi się być w poemacie jeszcze więcej

podrzędnej tylko wagi. Jest to tylko akcesoryum do Anhellego. Wyobraża jedyną z znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zbolałemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Ellenai idzie za Anhellim, podziela jego samotność, kocha go jak siostra i więcej... ale to wszystko miało trwać tylko znikomą chwilę. — Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna istota, która go rozumiała, tem posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku pierwszorzędnej w dziele osoby.

Uboczne napomknięcia o przeszłości tej niewiasty zdają mi się rzeczą dla głównego pomysłu już obojętną. Poeta przedstawia w niej pokutnicę. Nie wiadomo, czy dało mu do tego powód jakie osobiste przypomnienie z życia własnego, czy też może tylko biblijny obraz Magdaleny, klęczącej u stóp Chrystusa, posłużył mimowiednie za wzór do odtworzenia go tutaj. Bądź co bądź — nie upatrujmy w tem wszystkiem niczego więcej, jak tylko przypadkowe, w taki właśnie przeprowadzone sposób wykończenie obrazu. Postać Ellenai miała być wydetaliowana — autorowi się podobało dokonać tego w tych rysach; mógł on był użyć do tego i innych środków, a wrażenie całości byłoby pozostało to samo.

Najwięcej fantastycznym tworem imaginacyi, do tego stopnia, że niepodobna tu już wchodzić w rozbiór jego znaczenia, zdaje mi się być w poemacie Eloe. Pierwotnie zapewne przesunęła się przez myśl autorowi intencya, wprowadzić w skład poematu uosobienie Sławy. Nie miała to być owa sława rozgłośna, stugębna, z zimną admiracyą po świecie roztrębująca czyją wielkość i nieśmiertelność, jak sobie zwykle takową wyobrażamy; ale raczej rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takiejto sławy pragnął dla siebie poeta nasz i taka też tylko jej postać zdawała mu się godną znaleźć miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu widząc go w kształcie niewieściego anioła „z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów“, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazya jego twórcza pochwyciła tę allegoryę w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla tej istoty anielskiej. Symbol sztywny przetworzył

się w życie, w imię — w romans i pokutę za niego — przemienił się w dziewicę zdolną uczuć ludzkich i spłacającą cierpieniem wszystko, co w tych uczuciach bywa niższego sfery czystych aniołów.

„Oto się zowie Eloe, a urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej, jako zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: Nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“

Owóż więc i cała powieść, która się jak bluszcz zielony owinęła koło pomysłu, nie będącego pierwotnie niczem więcej jak tylko allegoryą. Powstał w taki sposób ideał dziwnej czystości w wykonaniu — eteryczny i niebiański, że i pędzel mistrza z Fiezoli nie stworzył nic więcej serafickiego. Ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I tak pozostaje niejeden szczegół, niejeden inny jeszcze ustęp w Anhellim, który analizy nie dopuszcza. Jest to owa treści jego połowa, która i wynikła ze samej tylko fantazyi i nie przemawia jak do fantazyi. Ubolewać trzeba, że jeśli miało już dzieło to w taki sposób być wykonane, niema przynajmniej wydatniejszej granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejsze rozdzielenie świateł i cieni, jako też przez baczniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwej mógł był poeta ten dział fantastyczny i tylko akcesoryalny widoczniej odznaczyć od symbolicznych poematu ustępów. Tego zupełnie zaniedbał.

Drugi zarzut możnaby Anhellemu uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być więc zawisłem od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiem był cały zawód Anhellego na ziemi. Miałożby to rzeczywiście być prawdą? Trzebaż, ażeby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bez-

czynnym smutku? żeby konali samotnie jako nieświadome misyi swojej narzędzia przeznaczenia czy Opatrzności, domagającej się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych — strawi się w samotności i melancholii? Czy taką idealną protestacyą daje się co naprawić? Czy łzami, które tylko Bóg widzi, spłaca się wina pokoleń, które żyły i które żyją? Czy to wystarcza?

Są pytania, na które i milczenie jest odpowiedzią, a do takich pytań niezawodnie należą i obecne. Doktryna ostatecznie przeprowadzona w Anhellim jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o przeznaczeniu swojem na świecie, jako poety, daje się wprawdzie poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwór ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, że go znajdujemy przywalonego takiem brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczej nazwać jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która nie wiedzie do celu.

Julian Klaczko.

Urodził się w Wilnie w r. 1825. W dzieciństwie już okazywał niezwykłe zdolności. Studya uniwersyteckie odbył w Królewcu; tam też otrzymał stopień doktora filozofii. Potem kształcił się dalej pod kierunkiem prof. Gervinusa w Heidelbergu, gdzie też był współpracownikiem w wydawanem przez tegoż piśmie Deutsche Zeitung. Po smutnym końcu wypadków r. 1848 w Poznańskiem wydał broszurę Die deutschen Hegemonen, świetną a namiętną, zwróconą do dawnego mistrza Gervinusa. Po r. 1850 przeniósł się do Paryża. Po wojnie wschodniej założył razem z Kalinką Wiadomości polskie. W tych okazał się od razu pisarzem pierwszego rzędu, umysłem politycznym niezmiernie bystrym, znawcą i sędzią w rzeczach literatury i sztuki, zarówno wybornym przez wielką naukę jak przez wrodzony smak, także stylistą niezrównanym. Każdy jego okres jest doskonały; a siła uczucia dochodzi u niego do takiej wymowy, dowcip do takiego blasku, jakich żaden z współczesnych mu prozaików nie dosięgnął. Z politycznych jego rozpraw najświetniejszą jest Katechizm Nierycerski (przeciw Mierosławskiemu); z krytycznych Sztuka polska, jakkolwiek (mylnie) nie wróży tej sztuce przyszłości.

W myśli zapoznania zagranicy z literaturą polską napisał Klaczko rozprawę o Zygmuncie Krasińskim po francusku, pod tytułem Le Poéte anonyme de la Pologne. Ogłoszona w Revue des deux mondes (1862), praca ta zjednała mu u Francuzów sławę wielkiego pisarza; mówili znawcy, że mało liczy Francya pisarzy tak w swoim języku doskonałych, jak Klaczko. W treści była rozprawa ta wspaniałem, a choć krótka, zupełnie wystarczającem objaśnieniem poezyi Krasińskiego.

Wypadkami r. 1863 przygnębiony, milczał Klaczko przez lat kilka. Po r. 1866. chwycił znowu za pióro i wykazał na wojnie duńskiej i austryacko-pruskiej związek tych niepowodzeń polityki francuskiej i austryackiej z błędami popełnionymi w sprawie polskiej. Pisząc dla świata zagranicznego, musiał posługiwać się językiem francuskim. Deux Etudes de diplomatie contemporaine zrobiły wielkie wrażenie; podniosła je jeszcze druga praca Les deux Chanceliers, zestawienie Bismarka z Gorczakowem. Polityczny rozum i pisarska zdolność tak uderzyły wszystkich, że ówczesny minister spraw zagranicznych w Wiedniu, hr. Beust, zapragnął przywiązać człowieka tej wartości do swego ministeryum. Klaczko wstąpił w służbę austryacką; został posłem na Sejm i do Rady państwa; ale gdy podczas wojny prusko-francuskiej wypowiedział mowę pełną oburzenia na Prusy, sprzeczną z widokami swego zwierzchnika, podał się do dymisyi.

Żył potem przez lat kilka we Francyi, później powrócił do Austryi, ale zbolały smutnym obrotem spraw politycznych, nie miał serca o nich pisać. Niechcący prawie, żeby myśl od tych smutków jako tako oderwać, zaczął się zatapiać na nowo w przedmiocie swoich młodocianych uniesień, w Dantem. Owocem tych studyów były, ogłoszone w roku 1880 w Revue des deux Mondes, Wieczory florenckie (Causerie Florentines), rzecz rzucająca niemiernie wiele nowego światła na tę wielką postać, a napisana przepysznie (na jęz. polski przetłómaczona przez St. Tarnowskiego).

Następnie zabrał się do dawno zamierzonej pracy nad wiekiem XVI., nad papiestwem i odrodzeniem (La Papauté et la Renaissance). Część pierwsza miała obejmować czasy Juliusza II, druga Leona X, trzecia Klemensa VII aż do zdobycia i zrabowania Rzymu przez wojska hiszpańskie. Wyszła część pierwsza Juliusz II, genialna charakterystyka czasu, jego cywilizacyi i postaci takich, jak sam papież, jak Michał Anioł i Rafael. Ale w chwili, kiedy ten tom wychodził z druku, Klaczko uległ chorobie paraliżu (r. 1898). W tym stanie, bezwładny na ciele, ale umysłem zawsze żywy, żyje dotąd w Krakowie.

Z WIADOMOŚCI POLSKICH R. 1857.

Ustęp (I) z rozprawy o powieści J. Korzeniowskiego p. t. Krewni.

Można temu złorzeczyć lub przyklaskiwać, można w imię ideału nad tem ubolewać, albo w imię postępu z tego się cieszyć, ale nie można temu zaprzeczyć, że wszystko w naszych czasach dąży do upowszechnienia, a zarazem i do spowszednienia. Myśl już nie jest numizmatem starannie zbieranym przez miłośników, przechowanym i cenionym przez rzadkich znawców; jest ona monetą przechodzącą z rąk do rąk, przez rąk jak najwięcej, i w miarę właśnie większego obiegu tem bardziej cenioną; ale ta moneta bywa nieraz bardzo mieszanego kruszcu, a w obiegu swoim traci zazwyczaj wzniosłe piętno nadane sobie pierwotnie w tajemniczej ducha mennicy. Koło cywilizacyjne się coraz rozszerza, promień oświaty nie spoczywa już wyłącznie na wyżynach społeczeństwa i daleko głębiej przenika; nie tylko same wielkie mianowniki, ale masy wchodzą w rachubę świata politycznego i moralnego — i któż nie zechce w tem uznać opatrznej woli, któż będzie śmiał zaprzeczyć historycznej konieczności tej przemiany? A wszakże, jak we wszystkich przemianach, tak i tutaj, niepowetowane straty idą w parze z niezaprzeczonymi zyskami, i z dojrzewającym owocem nie jeden piękny liść opada — liść niejednemu od samego owocu milszy i droższy. Horyzontalna dynamia ludzkości się wzmaga, ale wertykalna opada; działania się stają obszerniejsze, ale dzieła drobniejsze; ogół potężnieje, a indywidualności maleją.

Ten sam objaw postrzegać się daje i w literaturze współczesnej. I tu coraz mniej widzimy mistrzów słowa, a coraz więcej pisarzy; coraz mniej arcydzieł, a coraz większy ruch literacki. Artyści, poeci, nie tworzą teraz w zaciszy natchnienia dla umysłów wybranych, sympatycznych dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni też przedewszystkiem masy mają na widoku; masy narzucają im swoje warunki, swoje zachcenia, swoje potrzeby, z których największą a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu, choćby najmniej zdrowego. Jeszcze tak niedawno powiedział Schiller, iż „kto najlepszym swego czasu zadosyć

uczynił, ten uczynił dosyć po wszystkie czasy“ — ale jakżeż prędko przebrzmiały te piękne, te dumne słowa! Nie najlepszych, ale najliczniejszych swego czasu usiłują zadowolić obecni pisarze, i dość uczynili, gdy wyrobem swym zapełnili próżnię jednego wieczoru i jednego fejletonu... Nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owo wyrażenie ruchu literackiego, które w tak powszechne weszło używanie, i które naiwnie przypomina pokrewne wyrażenie o ruchu kapitałów, kolei żelaznych itd. Ale ze zjawiska tego tylko statystyczne dusze chyba cieszyć się potrafią, które i duchowe bogactwo według ekonomicznych praw popytu i odbytu oszacować zamyślają, które nie o jakość, ale o ilość dzieł się pytają, i przemysłowe gospodarstwo radeby rozciągnęły aż do niwy poetycznej. Dla każdego myślącego i czującego przeciwnie, fakt to będzie bolesny, przestraszający, i stanie się dlań źródłem niejednego skrupułu, niejednej gorzkiej uwagi. Umysł najskłonniejszy do sympatyzowania z ogólną, niwelującą dążnością wieku, najskorszy do uznania jej konieczności, do hołdowania jej sile, do głoszenia jej dobrodziejstw, zachwiać się jednak musi i zaniepewnić, skoro owa dążność się objawia i w dziedzinie sztuki; skoro twory zapału, uczucia i wyobraźni przybierają powszechne średnie rozmiary szczęśliwej mierności: skoro i potok natchnień zaczyna płynąć — potocznie coraz szerszem, ale i coraz płytszem korytem. Mniej pałaców a więcej porządnych chat; mniej świetnych czynów a więcej dobrych uczynków; mniej bohaterów a więcej obywateli; mniej półbogów a więcej ludzi... Zgoda! Ale czy też i mniej geniuszów a więcej talentów, mniej Rafaelów a więcej Dovów, mniej Irydyonów a więcej Gawęd?... Żądać lub tylko dozwolić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną: żądać lub tylko dozwolić tego, aby lot swój niebieski zwinęła i poziomego nam dotrzymała kroku; aby zamiast nas prowadzić do słońca, z nami przy naszej ekonomicznej zasiadała lampie — nie jestże to nie tylko ubliżyć jej godności, ale odebrać jej wszelką racyę bytu? Bo jakież inne jej powołanie, jakież inne może być zadanie jak to, aby nas z cieśni codziennych stosunków prowadziła w świat rozleglejszy i piękniejszy, w świat, w którym ustają wszelkie przypadkowości i mierności naszego zwykłego życia, w którym zapał tworzy cudy, a natchnienie łamie, czego rozum łamać nie jest w stanie? I czyż wła-

śnie w czasach jak dzisiejsze nie większa tego niż kiedykolwiek potrzeba? Czyż właśnie w epoce, w której wszystko maleje i powszednieje, nie potrzeba, aby przynajmniej poezya nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie dział ale kotłów, odsłaniała nam raz po raz czyste, i jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć, przeczuć choćby tylko, że jest jeszcze wyższa moralność nad dobrze zrozumianą moralność Franklina, i cudowniejsza jeszcze droga nad *railway* — ta, która od serca prowadzi do Boga?...

Jeśli z tego stanowiska zechcemy zapatrywać się na znaczenie i powołanie literatury, nie łatwo nam przyjdzie wtórować tym naszym pismom krajowym, warszawskim szczególniej, które z taką chlubą i z takiem zadowoleniem wspominają o wzrastającem coraz bardziej piśmiennictwie naszem, o wzmagającej się liczbie autorów i roszerzającem się kole czytelników; i będziemy nieraz musieli żałować tych ledwie co ubiegłych, a jednak już tak dalekich czasów, w których rzadkie a wielkie geniusze trzymały pochodnię myśli. Mniej wówczas było piszących, ale ileż natchnionych! Mniej wtenczas było czytelników, ale ileż zato serdecznych wielbicieli! Mniej biegłości i rutyny, ale ileż zapału i prawdziwego namaszczenia! Dzieła nie objawiały się jak dziś tłumnie i stosami, ale każde z nich było prawie czynem; wypowiadało, czasami nawet przepowiadało jakąś wielką kryzys w życiu politycznem lub moralnem, obejmowało w sobie cały świat myśli i uczuć, i ociężałą bryłę człowieka nowymi pchało tory. Literatura nie toczyła się, jak teraz, ciągłem, jednostajnem i powolnem korytem; wyrywała się tylko raz po raz falami, ale falami potężnemi, które uderzając i rozbijając się o męską pierś narodu, zostawiały po sobie perły i korale i te pieśni nieśmiertelne, z których późne wieki uplotą wieniec Polski ówczesnej. Wiesław i Marya, Grażyna i Konrad, Zamek Kaniowski i Król zamczyska, Historya powstania i Dziady, Księgi pielgrzymstwa i Pan Tadeusz, Nieboska i Irydyon, Przedświt i Psalmy, Anhelli i Beniowski, Rzecz o Słowiańszczyźnie i Ojcze nasz, każdy z tych utworów był objaśnieniem, był hasłem do wielkiego boju, był wyzwaniem do walki, do ścierania się sił moralnych, do spotkania się duchów w najwyższej sferze myśli

i wiary. Prawdy były żywotne, a błędy tytaniczne; wieszczenia były sybillińskie, a złudzenia prometeuszowe. Każdy z tych utworów przedstawiał czyny i charaktery, do których gdy się człowiek choć myślą tylko dociągał, już się stawał wyższym i szlachetniejszym, już szukał szabli u boku, bratniej dłoni obok siebie; każdy z nich dotykał najgłębszych tajemnic ducha i najstraszniejszych zagadek bytu, i pleśniejącą korę zdzierał z drzewa życia i wiedzy. Nad każdem z tych dzieł dumał naród długo i uroczyście; z każdego z nich odbierał wrażenia silne i trwałe; w słuchaczach była ta wzniosłość, co i we wieszczach, a spory nawet tych wieszczów nosiły cechę niewypowiedzianej wielkości! Bo któż np. obecne mizerne kłótnie naszych literatów będzie śmiał porównać z ową prawdziwą tytanomachią Juliusza i Psalmisty, z owym sporem uroczystym, gromowładnym, który błyskawicą geniuszu raz jeszcze rozświecił niezmierzone głębie ludzkości, i o którym zaprawdę słowami jednego z jego uczestników powiedzieć się godzi, że w nim walczyli

nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi!

Takich wielkich zadań nie stawia już sobie teraz literatura nasza. Brak jej do tego widocznie potrzebnego namaszczenia, może i sumienia; brak jej przedewszystkiem tego piętna cierpienia, o którem mówi Mickiewicz, że jest wcale różnem od boleści pojedynczego człowieka i artystowskiej: cierpienia za miliony. Widać owszem wszędzie pewne zadowolenie, jakąś sceptyczną rezygnacyę na *status quo*, jakieś rodzenie bez bólu i bez miłości. Wszędzie uderza ubóstwo myśli, poziomość życzeń i to próżniactwo ducha, które bynajmniej nie wyklucza zadziwiającej nieraz pracowitości pióra. Stąd i owe zdumiewające niekiedy zaniedbanie stylu, luźne i znużone przeprowadzenie żywo zrazu poczętego planu, wogóle robota pośpieszna, a dowodząca tylko nieuszanowania publiczności i własnej pracy.

Że w takiem usposobieniu umysłów romans musiał się stać naczelną formą twórczości, jest pojawem równie naturalnym jak i bolesnym. Żadna bowiem inna forma do tego stopnia nie odpowiada tej łatwości poczęcia i przyjęcia; żadna inna nie wymaga mniej skupienia myśli w autorze, uwagi

w czytelniku. Romans jest epopeją *status quo*, jest poetycznem uświęceniem codzienności; a pod tym względem rozpowszechnienie jego i wziętość, którą zyskuje, bodajby tylko były estetycznym, a nie etycznym symptomem — niebezpiecznym symptomem i stanu ducha narodowego! Bo zaprawdę źleby było, gdyby duch polski chciał wejść w ugodę z obecnością i koncesye robić ze swego ideału! Do tej ugody i do tych koncesyi romans poniekąd prowadzi...

Wiemy wprawdzie, że romans u nas inne ma uroszczenia, że według jego pisarzy ma on być formą nową, a nawet ostateczną poezyi, i spadkobiercą wszystkich innych poważnych rodzajów; że p. Korzeniowski uważa go za punkt Archimedesa twórczości, z którego „śmiało wywraca dawniejszą poetykę, nawet swoją własną“ i „próżnemi nazywa te oczekiwania wyższych i bardziej podnoszących utworów“; że p. Kraszewski wita w nim „zwrot ludzi ku badaniu własnego życia, ku jego praktyce, ku poznaniu samych siebie, ku rozpatrzeniu się w sprężynach machiny społecznej“; że taki podniosły i szlachetny myśliciel jak p. Cieszkowski spodziewał się po nim „samorodnego skojarzenia i jednorodnego rozwinięcia żywiołów poetycznego i filozoficznego“. Ale wiemy także, na jak wątłych podstawach ugruntowaną jest cała ta dziwna estetyka, i na wszelkie roszczenia teoretycznej kombinacyi mamy odpowiedź gotową w doświadczeniu historycznem. Romans bowiem nie jest bynajmniej nieznanym i naszemu tylko czasowi właściwym rodzajem poezyi. Znali go już Grecy, znały go wieki średnie, i niemały stos tych płodów spalił balwierz rycerza z La Manchy. Ale u Greków jak i w wiekach średnich, z tamtej jak i z tej strony Pireneów, był on zawsze tylko objawem i dowodem wycieńczającej się wyobraźni, usychającego natchnienia i rozbudzonej żądzy zabaw w miejsce dawnej poważnej potrzeby ideału. Teoretyków naszych przed dziesięciu laty uwiódł chwilowy a potężny sukces, który miały ówczesne płody Balzaca, Sanda, Eugeniusza Sue i Dumasa. Niechże im będzie odpowiedzią dzisiejszy stan literatury francuskiej, w której romans zużył się do szczętu, a twórczość widocznie nowej szuka formy.

Od surowego sądu o tym rodzaju piśmiennictwa nie może też nas odwrócić i ta jego sławiona użyteczność, którą najwięcej łudzą umysły. Ileż, wołają, wiedzy powieść rozszerza

między masy; ileż uczuć i wyobrażeń budzi w tej publiczności, której stan kultury zabrania przystępu do wyższych sfer nauki i sztuki; ileż poetyczności rozlewa przez to między niższe warstwy! Te i tym podobne dają się słyszeć głosy na cześć tej poetycznej encyklopedyi. Ileż złudzeń w tem wszystkiem, odpowiemy my znowu na to, ile dobrowolnego zaślepienia, ile nieznajomości mas i serca ludzkiego! Jeśli gdzie niedouctwo gorszem jest od nieuctwa, to niezawodnie tam, gdzie nauka jest tylko przyprawą fantazyi, gdzie gruntowny wykład nie może być udzielanym ani nawet żądanym, gdzie nauczyciel, żadnej nie ulegając kontroli, przed własnem nawet sumieniem ma wymówkę, że sam sobie swój świat stwarza! A jakżeż niebezpiecznymi znowu są przykłady, które najlepsze nawet stawiają romanse! jakżeż szkodliwymi są ich ideały — tem właśnie, że nam są przystępnymi! Epopeja, tragedya, tworzą nie tylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają; budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans przeciwnie, na gruncie domowego życia, w powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury wpół poetyczne, wpółrealne, tak zwodnicze właśnie — dla wpół ukształconych. Któż kiedy spotkał się w życiu z Makbetem lub Learem? a jakżeż często ujrzymy dobrowolne a nieszczęśliwe kopie bohaterów Sanda i Balzaca! Cóż dopiero jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenta i jedyny prawie głos publiczny zabiera?... „Drażniące opowiadanie namiętności, dramat życia obecnego, jak go pojmujemy, nie dotyka przyczyn, przedstawia tylko skutki, które są raczej zaraźliwe niż korzystne dla umysłów pozbawionych wszelkiej innej uprawy. Było zawsze mojem zdaniem, że dobre romanse są bardzo użyteczne, lecz dla odpoczynku, nigdy zaś jako wyłączny i ciągły pokarm umysłów“... Któż wyrzekł te głębokie słowa? Zaprawdę, nie pedant żaden lub moralista, ale najznakomitszy, najgenialniejszy z nowoczesnych romansopisarzy: Georges Sand! I na tem godnem uwagi wyznaniu przerywamy nasze ogólne postrzeżenia, przechodząc obecnie do szczegółowego rozbioru jednej z najcelniejszych polskich powieści, która się pojawiła w roku dopiero co ubiegłym.

Adam Asnyk.

Urodzony w r. 1838 w Kaliszu, zrazu uczył się w domu, w jedenastym zaś roku życia przeszedł do miejscowej szkoły realnej, a po jej ukończeniu na studya wyższe (medyczne) do Warszawy. Stąd przeniósł się do Wrocławia, a następnie do Heidelbergu. Wmieszany w wypadki r. 1863, nie mógł pozostać pod rządem rosyjskim, dlatego uzyskawszy w r. 1866 stopień doktorski w Heidelbergu, osiadł we Lwowie (1867), gdzie już od r. 1864 w Dzienniku literackim (pseudonim El..y) ogłaszał swoje wiersze. W r. 1870 przeniósł się do Krakowa, gdzie mieszkał już do śmierci. W r. 1890 wysłano go z Wł. Koziebrodzkim do Paryża celem odebrania zwłok Ad. Mickiewicza w Montmorency i przewiezienia ich do kraju; przemawiał też na pogrzebie u wstępu do katedry na Wawelu.

Umarł w r. 1897; pochowano go w kościele na Skałce, w grobie zasłużonych.

Kiedy w r. 1869 wydał pierwszy tom swoich poezyi, zaraz znalazł niemałe powodzenie. Miał śliczną formę, wiersz bardzo dźwięczny i giętki, rozmaity w rytmie i strofach — a w najdowolniejszych i najśmielszych kombinacyach zawsze naturalny, nigdy wymuszony i przesadny. Wiersz ten, na Słowackim kształcony, doprowadzony do najwyższej możliwej giętkości, a pozornej niedbałości, znalazł naśladowców, którzy nie wszyscy umieli (jak Asnyk) zachować miarę w tej dowolności formy.

Miał Asnyk dużo uczucia, dużo patryotycznego cierpienia, dużo szlachetnych, wysokich pragnień; ale miał z natury usposobienie podobne do późniejszych romantyków: skłonność do rozmarzenia i melancholii, nieokreśloną rozterkę w duszy, brak równowagi, pociąg do zwątpienia, do gorzkiej ironii, do sceptycyzmu. Przez to zbliżony jest do romantyków takich jak Musset we Francyi, Heine w Niemczech.

Natura uczuciowa, chwiejna, męskiego hartu nie byłaby może nigdy zdolną: a przez nieszczęśliwe wypadki, przez patryotyczne cierpienie, utrwaliła się na zawsze w tej wrodzonej rozterce. Asnyk w swoich wierszach filozoficznych lub patryotycznych stara się o wielką siłę i jędrność: ale dochodzi w nich co najwięcej do namiętności, czasem do energii w słowie, nigdy do jasności myśli i woli.

Wrażliwość, rozmarzenie, żywe uczucie piękności w naturze, tęsknota za szczęściem, za niedościgłym ideałem, to zdaje się być tłem duszy Asnyka, a jest cechą jego talentu. Wiersz (nadewszystko mały wierszyk), oddający ten rodzaj, ten ton uczuć i wrażeń, to strona najpiękniejsza i najsilniejsza jego poezyi. W takich jest on istotnie mistrzem: a we wszystkich wykwintnym artystą, wirtuozem wiersza.

Z tem usposobieniem Asnyk stworzony był na lirycznego poetę. Pragnął jednak próbować się i w większych formach, mianowicie w dramacie. Tu wszakże talent jego nie był w swoim właściwym żywiole. Najlepszy z jego dramatów, Kiejstut, ma piękne chwile, piękne ustępy, dużo szlachetności w postaciach: ale dramatycznego zmysłu w nim mało, pomimo tragicznych sytuacyi. Rienzi jest słabszy, a pisany prozą, niema tej ozdoby, jaką Kiejstutowi daje piękny wiersz Asnyka. Dramata z współczesnego, potocznego życia, Żyd, Bracia Lerche, mają podobny brak dramatycznego pierwiastka.

Asnyk jest poetą bardzo rzeczywistego, nawet niezwykłego talentu. Ma rzadkie przymioty gracyi, wdzięku, rzewności, ma dużo uczucia, mniej wyobraźni. Przez usposobienie nerwowe, melancholiczne, przez skłonność do rozmarzenia i rozstrojenia, jest następcą młodszych romantyków i stoi na przejściu od tych do najmłodszego pokolenia poetów dziś żyjących.

Pod stopy krzyża.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża.
Z uspokojeniem po przebytej męce
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego krzyża
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce
I witać ciszę zachodzącej zorzy, 5
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny:
Te utonęły w fali życia głucho;
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny, 10
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej:
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie, 15
A Tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota;
Widziałem zbrodnie — nie widziałem kary; 20
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie widziałem: i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania, 25
Widziałem duchów hańbę i upadek;
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania:
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję. 30

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą;
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą
I że przyjmując każdy ból i ranę, 35
W piersiach anielstwo noszą nieskalane...

Lecz gdym obaczył, skąd to wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą;
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą, 40
I gdy wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność: —

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej.
I przeklinałem tę rzeszę żałobną 45
I pogardzałem niemi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać jak dawniej, za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność; 50
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność:
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche, 55
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie własnej swej istoty: —
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę. 60

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej a razem nieskończonej mocy; —
I moja rozpacz szalona i trwoga 65
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości —
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości, 70
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały, 75
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające, 80
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy: 85
»Chodźcie tu do mnie, wy, którzy cierpicie,
»Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy;
»We mnie jest spokój i we mnie jest życie!
»Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie:
»Wszystko przemija — prawda nie przeminie!« 90

Więc posłuchałem słodkiego wezwania —
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste... 95
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

Dzieje piosenki.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety
Jako tęcza na marzeń obłoku; —
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką, 5
Drgnieniem serca dobyta z nicości,
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnem tchnieniem
Pierś młodą 10
I nad starców rozwianem marzeniem
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem 15
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej
I krasy;
Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapasy; 20
Nie słuchają już Nimfy na łące
I nie wtórzą piosnkom w wieczór letni:
Zagłuszyły dziś burze huczące
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka, 25
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca —
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły 30
I roztacza w koło woń miłosną
Z mogiły.

Ach jak mi smutno!

Ach, jak mi smutno! mój anioł mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat;
I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił
Zabrany marzeń kwiat.
Ach, jak mi smutno! cień mnie już otacza, 5
Posępny grobu cień...
Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,
Szukając jasnych tchnień;
Ale napróżno uciszyć się lęka
I próżno przeszłość oskarża rozrzutną: 10
Cięży już nad niem niewidzialna ręka —
Ach, jak mi smutno!

Szkoda!

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozprószą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

Widmo jesieni.

Tak żywe niegdyś błękity
Cieniami zaszły szaremi;
Jakiś duch mgłami spowity
Zimną dłoń kładzie na ziemi.

Przez mgieł przejrzyste zasłony
Przegląda postać widziadła:
Wzrok jakby mgłami zaćmiony,
Twarz chłodna, smutna, wybladła.

Na czole wieniec zczerniały
Kropelki sączy wilgotne;
Po kwiatach, co się rozwiały,
Zostały ciernie samotne.

Tak płynie z schyloną twarzą,
Roznosząc ciszę złowrogą,
A łzawe spojrzenia rażą
Sennością, smutkiem i trwogą.

Przyciska do ziemi łona
Dłoń skrzepłą — ziemia się wzdryga;
Lecz tchem grobowym rażona,
Martwieje — głuchnie — zastyga. 20

Baśń tęczowa.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;
I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki, czy boginie:
Więc na całą życia kolej
Szedłem błądzić w tej krainie —

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita, skryty w cieniu,
Tajemniczy kwiat paproci.

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa.

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.
I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piłem fali,
I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrwożony — szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:
Biegłem, naprzód, zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadle na dół ściętej.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zaklęciem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki...
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną.

Swe spiżowe jeżąc łuski
Bronią skarbu zaklętego;
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak, mimo czujnej straży,
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie...

Miała gwiazdkę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach
I aniołów cudne lica;

I od razu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty —
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: »Za nią! za nią!
Idźcie gonić — o, rycerze!«

»Idźcie piąć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie:
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie.

»Choć nie dojdzie — chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni.

»Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto płacąc krwią i bolem,
Wejść w krainę ideału.

»Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi,
Za tą piękną na błękicie!«

W Tatrach.

Sonet V-ty.

O, wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże? 5
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem, 10
Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

Szczęśliwa młodość.

Szczęśliwa młodość!.. nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;
Dzień szczęścia długi, żalu — krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość!.. swe boleści 5
W słowiczym odda śpiewie
I echem własnych skarg się pieści
I o swem szczęściu nie wie!

Marya z Wasiłowskich Konopnicka.

Urodzona w r. 1846. w Sieniątkach (w Król. Polskiem), spędziła młodość w Kaliszu, gdzie kształciła się pod okiem ojca. Wyszedłszy za mąż, przez czas jakiś mieszkała na wsi w Kaliskiem. Potem przeniosła się do Warszawy, gdzie od r. 1876. zaczęła ogłaszać swoje utwory, zrazu w czasopismach literackich, a od r. 1881. w osobnych wydaniach zbiorowych. W r. 1890. wyjechała z Warszawy i odtąd przebywa bądźto w Monachium, we Francyi i we Włoszech, bądź też w Galicyi. W r. 1902. obchodzono w Krakowie i we Lwowie jubileusz jej twórczości poetyckiej; przy tej sposobności ofiarowano jej jako skromny dar narodowy dworek letni w Podkarpaciu.

Talent to rzeczywisty i znaczny, wykształcony na Słowackim; na języku i wierszu, na sposobie tworzenia, oddawania wrażeń, znać bardzo wpływ Słowackiego (bez naśladowania). W giętkości i dźwięczności wiersza, w rozmaitości rytmów i strof, jest może wpływ Asnyka. Forma zawsze piękna; językiem i wierszem włada Konopnicka pewnie i śmiało, a nie ubiega się o oryginalność, nie wpada w ekscentryczność.

Treść i cecha jej poezyi najczęściej patryotyczna, pod formą kwestyi i stosunków społecznych. Cierpienie człowieka ubogiego ona rozumie, podziela i umie niem przejąć czytelnika. Ale w przedstawieniu tych cierpień bywa jednostronną, czasem niesprawiedliwą, a w skutku tego może być nadużytą do szerzenia społecznych nienawiści — z pewnością wbrew swojej woli. Bardzo żywe posiada uczucie piękności, w naturze czy w sztuce, i dar udzielenia swoich uczuć i wrażeń. Żywy i czujny zmysł artystyczny, strzeże ją od przesad, dziwactw, szukanej oryginalności. Dużo uczucia, popędu,

świetnego kolorytu; myśl zawsze jasna i zrozumiała. Widać u niej ogólne, niezbyt jasno określone pragnienie wszelkiego dobra, postępu, wolności: uczucie religijne objawia się więcej skargą na Boga, niż ufnością w Niego. Niechęć do katolicyzmu, jako niby wstecznego i przeciwnego wolności, dość wyraźna.

Słabe strony, to niekiedy nadużycie swoich przymiotów, pewna sztuczność w tonie wiejskiej naiwności i prostoty, i w wyrazie własnego zapału czy zachwytu. Drugie złe ważniejsze, to jednostajność: te same myśli, te same formy, te same kombinacye wiersza powtarzają się tak, że nowe poezye są do dawnych bardzo podobne; rozróżnienie ich staje się trudnem, a wrażenie słabszem.

Cztery tomy poezyi obejmują różne grupy: wyrazy różnych uczuć i wrażeń, obrazy różnych rzeczy widzianych i odczutych. Najpiękniejsze może wyrazy tęsknego zadumania, cichego a nieco zwątpiałego pragnienia i obrazki wiejskiego życia lub wrażenia natury. Talent to przedewszystkiem liryczny. Małe utwory z młodości, i późniejsze większe poemata, mają zawsze uczucia dużo, życia i plastyczności mniej. Największem i najśmielszem przedsięwzięciem Konopnickiej jest wielki poemat: Pan Balcer w Brazylii, historya polskich chłopów szukających lepszego losu na drugiej półkuli. Przygody, walki, nieszczęścia, w wielkiej części z rzeczywistości wzięte, a tak dziwne i straszne, że prawie wydają się fanstycznemi. Tęsknota tych tułaczy za rodzinną ziemią, pragnienie powrotu, wzajemne dla siebie poświęcenie i przywiązanie w niedoli pięknie oddane: dużo wyobraźni, dużo uczucia. Dzieło niezwykłego talentu, ale nie takiej mocy i żywości jak mu niektórzy przyznają.

Prozą pisała Konopnicka małe powiaski, wrażenia z podróży (Ludzie i Rzeczy) i studya literackie (o Mickiewiczu, Sienkiewiczu, Klaczce i t. p.), odznaczające się trafnym sądem i niezaprzeczonym wdziękiem.

Słabe strony są, ale przymioty są rzeczywiste i niezwykłe, a niema tego rozstroju w duszy, w myśli i w formie, jaki się widzi u niejednego poety z tego okresu.

Przed Bogiem.

Jeślim zgrzeszyła — spowiadam się Tobie!
Tobie jednemu, coś w duszy mej głębie
Zlatał, jak one strwożone gołębie,
Co widząc chmurę, stojącą w żałobie
Burz i piorunów nad stawu błękitem
I rzucającą swój cień na kryształy,
Lecą — i w obłok zwinąwszy się biały,
Otchniony jasnem, z pod piór drżącym świtem,
Biją w wód szybę srebrnemi skrzydłami,
Chcąc rozbić ciemność, co napój im plami . . . 10

Jeślim zgrzeszyła — Ty sam wiesz, o Panie!
Że serce moje, nakształt harf pękniętych,
Łez zawsze pełne — i jęków — i krzyków —
I zaduszonych wiosennych słowików,
Po których w gajach rozchodzi się łkanie, 15
I róż zdeptanych — i gwiazd zadmuchniętych —
I żrących dymów z mogilnych pochodni —
I łun, co biją w nie od ludzkich zbrodni...
I że to serce — ja, co też mam siłę
Tylko na jedno życie, muszę nosić 20
W piersiach, jak wiecznie skrzypiącą tam piłę,
Której zgrzytowi nie mogę rzec: dosyć!
Ach! Ty sam widzisz, Ty znasz, Ty to czujesz;
Ty, co noc ciemną i parną malujesz
W gwiazd białe róże... Ty wiesz, ile marzeń 25
Zbudzić się może i wyląc z tęsknoty!
Jakie ułudy i jakie pieszczoty
Szeptać do ucha sen umie zwodniczy,
Po którym — któż się blasków swych doliczy?
Ty wiesz sam, ile okropnych przerażeń 30
Bije na ducha w zwątpienia ciemnicy,
Jaki szturm nagłej życia nawałnicy
Duch znosić musi — i tulić swe pióra,
Żeby ich w strzępy nie zdarła wichura!
Ach! Ty sam widzisz, jak ciężko, jak duszno 35
Żyć w tej ciemnicy, gdzie duchy się męczą!
Jak trudno prawom ziemi być posłuszną,
Co nas osnuły tkaniną pajęczą
I z wolnych, w błękit zapatrzonych dzieci,
Zrobiły muchy brzęczące w tej sieci! 40
Na cóż mi wola? Gdzie pójdę — uderzę
W mur jakiś głową i czoło zakrwawię...
Ja, Panie, prawom Twoim — błogosławię!
Lecz niech przeklęte będą te pręgierze,
Pod które ciemnych i bezbronnych wloką, 45
By nędzę bratnią postawić na oko!
Jeślim skarżyła się — to taką mową,
Co zakrwawiona jest w serdecznej ranie!
Ogniem mi usta paliło to słowo,
Którem rzucała — na wiatrów rozwianie, 50
Na utonięcie w tej ciszy bez końca,
Co nas oddziela od Ciebie — i słońca!
I łzy się moje — tu, do mnie, wracały,
Jak nie mający gdzie spocząć ptak biały!
Jeślim skarżyła się — to nie za siebie! 55
Krzywdy ja własnej nie liczę, nie pomnę,
Choć wiem, że także mam ojca na niebie,
Co ma dziedzictwo jasności ogromne —

I mógłby dziecku, co płacze pocichu,
Dać trochę słońca — w konwalii kielichu . . . 60
Alem rzucona jest na ziemię duchów,
Rozbitych w locie — i na ziemię ciemną,
Gdzie ludzie dróg swych szukają daremno,
Gdzie lasy pełne szumów i rozruchów,
Gdzie w każdej rzece jak w Dnieprowej fali, 65
Pieśń utopiona rankami się żali,
Gdzie się zlatują słowików tysiące,
Jako westchnienia wśród róż latające,
Gdzie kwiaty polne po nocach łzy ronią . . .
Więc smutna jestem — i zlękniona o nią, 70
I skargą pieśni bijąca w niebiosy,
Póki słowiki płaczą — i drżą rosy.
I nie wiem nawet, czy Ty sam, o Boże!
Gdybyś na chwilę porzucił błękity
I ujrzał chaty te — i zgrzebne świty, 75
I w karki wrosłe niedoli obroże,
I twarze blade i serca złamane,
I w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę,
I w każdem oku jakąś łzę tajemną . . .
I gdybyś ujrzał, jak nam tu jest ciemno, 80
Chłodno i głodno na biednej tej ziemi,
I ile smutków przed każdym jest progiem:
Tobyś zapłakał sam łzami krwawemi,
Ty, któryś przecież jest — Bogiem!
Więc i nade mną sąd uczyń litosny! 85
Bom pełna żalów — i trosk — i tęsknicy . . .
I serce moje, nakształt błyskawicy,
Co rozpłomienia ciche noce wiosny,
Pali się — gaśnie — i w zmrokach ciemnieje —
I leży w piersiach, jak kamień na grobie . . . 90
I znów się zrywa, jak ptaszę, i mdleje,
Samo dla siebie ma nieraz pogardę;
Lecz wobec ludzi — jest dumne i harde,
I tylko w ciszy spowiada się — Tobie!

Po burzy.

O Panie! Ty po burzy dajesz tęczę światom,
Podnosisz słabe główki pochylonym kwiatom,
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę . . .

Do jutra cicha wioska ochłonie z przestrachu: 5
Ktoś wesprze zgiętą jabłoń, ktoś krokwie na dachu.

I zanim młoda jutrznia z wschodu się wynurzy,
Szczęśliwi wsi mieszkańcy zapomną o burzy.

O Panie! Ty konieczne żywiołów niesnaski
Z oblicza ziemi ścierasz prawicą swej łaski 10
I nie zostawiasz śladu klęski, albo troski
W przejrzystych sferach ciszy, gdzie masz tron ojcowski.

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,
Pozwalasz, aby grzmiały głucho, pokryjomu 15
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?

Z OBRAZKÓW.

Jaś nie doczekał.

W ubogiej izbie zjawił się gość błogi:
Słoneczny promień wiosenny, majowy
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucał się po ziemi;
Jak złota strzała padł na stół sosnowy 5
I deski starej, spaczonej podłogi...
Był to niedzielny poranek wiośniany.
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą
U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał... 10
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem,
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą;
Spojrzał po izbie okiem swojem mgławem,
Potem na jasność tę ożywczą słońca
I szepnął z cichem, stłumionem westchnieniem: 15
»Jaś nie doczekał!«
I otarł grubej koszuli rękawem
Łzę, co po twarzy toczyła się, drżąca
I taka mętna i ciężka i wielka,
Jakby nie była to wody kropelka, 20
Lecz kamień, który wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.
Zima to ciężka była! Śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białemi skrzydły zakrywszy błękity, 25
A mroźne wichrów północnych podmuchy
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem,

Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany, 30
Tak ciężko musi pracować na dzieci,
Wśród skrzących mrozów i wiecznej zamieci!
Zima to ciężka była! Na kominie
Nie co dnia ogień rozniecał się lichy,
Nie co dnia ciepłą gotowano strawę. 35
Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery ni piły,
I padał spocząć jak martwy na ławę.
A Jaś tymczasem w nędznej koszulinie
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy, 40
Nakształt mdlejącej lampy lub pochodni,
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi,
Patrząc na ojca oczyma smutnemi,
Jak ci, co mówić nie śmią, że są głodni!
Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale, 45
Ojca witając z daleka uśmiechem...
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersi mu grały i łkania i żale...
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona... 50
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,
A ściany skrzyły się jak dyamentowe...
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak perły stały.
Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę, 55
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. — Lekarz, człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,
Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,
Że dziecku trzeba dać lepsze wygody, 60
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przytem co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący.
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce. 65
Wreszcie oświadczył, że mróz trzaskający!
I wyszedł. — Ojciec stanął jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące...
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy i szyby tak siekał, 70
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą.
Blada twarz chłopca zrobiła się sina...
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się... wargi drobne mu zadrgały...
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta, 75
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą...
Promienia słońca Jaś już nie doczekał!

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy...
Nigdy nie wzniesie dziecięcych swych powiek 80
Na wielkie cuda tworzącej przyrody,
I nigdy zapał do wiedzy, swobody
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: »Tyś człowiek!«
Ach! ileż takich mogił na tej ziemi!...
I jakież smutne są takie mogiły! 85
Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza codzień odbiera jej siły.
Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża —
To siew bez plonu, rzucony na marno, 90
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno.
Poprzez mogiły, gdzie śpią te dzieciny
W milczeniu śmierci przeraźliwem, głuchem,
Ludzkość, uboższa ramieniem i duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał! 95
O bracia! Czy w nas wcale niema winy,
Że słonka Jaś nie doczekał?

Piosenki i pieśni.

I.

Sine lasy we mgłach drzemią,
Gaśnie jasny dzień...
Ach, i tobie, moja ziemio,
Idzie mrok i cień!

Krótka była twoja zorza,
Najpiękniejsza z zórz,
Co od morza szła do morza
Złotem polem zbóż...

Krótki był twój ranek biały
I różany wschód,
Co twej sławie grał hejnały
U słonecznych wrót.

Nie dobiegło słonko tobie
Do południa wzwyż
I zagasło gdzieś na grobie
W piorunowy krzyż!

II.

O jakby się twoje łono,
Ziemio, zakwieciło,
Gdyby na twe sine piaski
Źródełko wybiło!

O, jakby się smutne życie
Wiosną umaiło,
Gdyby w zimnej, pustej piersi
Serce ci zabiło...

Do źródełka by latały
Ptaszki śpiewające,
A do serca bijącego
Słówka ciche drżące...

U źródełka by stanęła
Wierzba złotowłosa,
A u serca bijącego
Sierotenka bosa.

U źródełka by rozkwitły
Świeżych traw kobierce,
A u serca bijącego
Drugie żywe serce!

III.

Hej tam nad rzeką stoją tumany!
Jakżeś daleko, kraju kochany!
Jakżeś daleko, smętna i mglista!
Piastowa chato, ziemio ojczysta!

Sto lat do ciebie w głodzie i chłodzie
Idziem po lądzie płyniem po wodzie;
Sto lat do ciebie, wędrowne ptaki,
Lecim przez chmurne wichrowe szlaki!...

Z łąk i pól.

Przeorały raz i drugi
Ziemię naszą ciężkie pługi;
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.
Hej, siewacze, błogi czas: 5
Czemuż dotąd niema was?

Burze wstrząsły ziemi łonem,
Wiatr przeleciał nad zagonem;
Spadły z nieba żyzne deszcze,
A was dotąd niema jeszcze! 10
Hej, siewacze, na wasz trud
Czeka ziemia, czeka lud!

Kości ojców, ich mogiły
Pola nasze użyźniły;
Słonko wschodzi nam powoli, 15
Białe rosy drżą na roli...
Hej, siewacze, błogi czas!
Stara ziemia czeka was!

Na fujarce.

Oj, matusiu, lny nam kwitną
Jako niebo tak błękitno!
Pielcież zagon wedle krzyża,
Bo się na mnie czas przybliża...
Hej!...

A łzami go polewajcie,
A na słonku suszyć dajcie;
Niech go ciepły wiatr przewiewa,
A skowronek niech ośpiewa,
Hej!...

A rwijcież go w nockę jasną,
Nim za borem zorze zgasną,
A rwijcież go po niewoli
Z naszej czarnej, chłopskiej roli
Hej!...

A zwiążcież go powrósłami,
Jako dziewczę rączętami...
— Próżno, darmo, bój się Boga!
Ja iść muszę, kędy droga!...
Hej!...

Uprządźcież mi cienkie płótno,
Wybielcież je na wygonie...
— Mocny Boże! toć tam smutno,
Toć tam ciężko w cudzej stronie!
Hej!..

Uszyjcież mi koszulinę,
W południeńko w progu chaty;
Nie żałujcie zgrzebnej szmaty!
Albo wrócę, albo zginę...
Hej!..

Jak dostanę w piersi kulę,
Jeśli taki wyrok boski,
Niech na sercu mam koszulę
Z lnu naszego, z naszej wioski!..
Hej!..

Z ITALII.

NA JANICULUM. (W krużganku Eremitów).

Więc gdy tu śpiewał bój Jerozolimy
Mąż nieśmiertelny, to nim szedł na wzgórze,
Pod dąb ów, boskie swoje składać rymy,
W przeźroczu arkad stawał przy tym murze
I, pochyliwszy czoło swe koronne, 5
Pozdrawiał cudną Vinciego Madonnę.

A kiedy stał tak cichy, szepcąc Ave,
Nad starym dębem zrywały się szumy,
A w szumach wiały proporce jaskrawe
I mar ogromnych wiały mgliste tłumy. 10
I w złotych blaskach jutrzenki i zorzy
Nad Janiculum huf świecił się Boży.

I biegły oczy piewcy w słońca chwałę
I świętych bojów miał tu objawienie;
Echo trąb słyszał i surmy hejnały. 15
I bohaterów widział wielkie cienie,
I sam, wódz duchów, rycerstwo obronne
Po łaskę natchnień wiódł przed swą Madonnę.

A gdy tak swoje poświęcenie brały
Miecze i tarcze, włócznie i puklerze, 20
Umarłych dziewic spływał obłok biały,
Mary lekuchne, rozkoszne i świeże,

I po krużgankach wiały wonne róże
I lilii kwiatem srebrzyło się wzgórze.

I czuł tam piewca, jak mu loty rosną,
Orłowe loty w słoneczność błękitu,
Jak lutnia jego dźwięczy wieczną wiosną;
I leciał orłem z Janiculum szczytu
I cały w gromach i w bojowym dymie
O wyzwolonej śnił Jerozolimie.

Więc nieraz święty jaki eremita,
Pod białych arkad zaszedłszy sklepienia,
Surm niewidzialnych echa z dziwem chwyta
I archanielskich pułków ma widzenia
I z dziwem mija ustronia zakonne,
Torquata Tassa i cudną Madonnę.

Dotąd tu jeszcze w załomach arkady
Brzmi wielkie *canto* dni zaprzeszłych wiary,
A kiedy księżyc osrebrzy je blady,
Bard się przebudza nieśmiertelnej miary
I śpiewa strofę echami rozwianą:
»L'armi pietose e il Capitano«.

A wtedy wszystkie wielkie groby święte,
Jak ów Chrystusów, kwiat znowu odziewa,
I wieją na nich proporce zatknięte,
I krzyż i laur, dopóki bard śpiewa,
I wiosna wzlata ponad wieku zimy
Od wyzwolonej gdzieś Jerozolimy!

* * *

W cichym krużganku zadumana stoję,
Szumi dąb Tassa, jak szumiał przed wieki.
Lecz gdzie są pieśni? Gdzie ogromne boje?
Gdzie wodze? Gdzie krzyk zwycięstwa daleki?
— Cisza. Dzień kładzie łuny róż przedzgonne
Na łuki arkad, na cudną Madonnę.

WILLA WOŁKOŃSKICH W RZYMIE.

III.

Tu był, tu czuł, tu marzył. Tędy jego oko,
Zapalone tęsknotą, przez sabińskie szczyty
Biegło pod sine gwiazdy, w świat mgłami nakryty,
I pierś ku mrocznym borom dyszała głęboko.

Tu śpiewał. Rozkochane słowiki tej wiosny 5
Ucichły w mirtach, w jego wsłuchując się pienie,
Bo był głos — nad ich głosy — gorący, miłosny,
A z pieśni biły szumy zbóż i gajów drżenie.

Tu czuł. Stąd duch, napięty piorunowym łukiem
Natchnienia, strzałą leciał przez włoskie lazury 10
I szum swój zlewał w akord z północnych burz hukiem
I ciskał błyskawice i gromem bił w chmury.

Tu, na samotnej sosny patrząc czarność, smętny
Odwracał od róż oczy tęskne, gorejące...
Stąd — orzeł, gniazda swego górnego pamiętny, 15
Wzniósł loty, wzbił nad ziemię i uleciał — w słońce.

MADONNA SYKSTYŃSKA.

Przez gwiaździstą rosę,
Przez miesięczne blaski,
Stopki stawia bose,
Idzie pełna łaski,
Idzie na tę ziemię, 5
Co po nocach wzdycha,
Pani zadumana,
Śpiesząca a cicha.

Głów anielskich za nią
Świecą dna liliowe, 10
Rąbki owiewają
Zadumaną głowę.
Nie idzie w koronie
Ani w majestacie,
Ale w tej bielonej 15
Z lnów cieniuchnych szacie.

W siną dal puściła
Źrenice wyroczne,
W pola osamiałe,
W bory smutkiem mroczne. 20
Idzie owionięta
Seraficzną tęczą,
Święci zastępują
I na drodze klęczą.

— A pocóż tak śpieszysz, 25
Królowo Ty raju?
— Bo płaczą słowiki
Po nocach mi w gaju!...
— A pocóż Ty rzucasz
Niebieskie tę wrota? 30
— Bo skarży się nocą
Ta ziemia sierota!...

— A pocóż tak patrzysz
W bolesnej zadumie?
— Bo jęki tam lecą 35
W wichrowym puszcz szumie!
— A pocóż ty niesiesz
Dzieciątko to Boże?
— Bo groby wołają
O żywot, o zorzę! 40

I idzie i patrzy
W dal mroczną i siną...
I tak ją obaczył
Młodzianek z Urbino.
I taką ją widzi 45
Oczyma smutnemi
Ten pątnik, co niesie
Proch z mogił swej ziemi.

Henryk Sienkiewicz.

Pochodzi z rodziny litewskiej, osiadłej w Królestwie polskiem (stąd pseudonim Litwos). Urodził się w Woli Okrzejskiej niedaleko Łukowa w r. 1846. W Warszawie uczęszczał do gimnazyum realnego, następnie do szkoły Głównej, gdzie oddawał się studyom filozoficznym. Zawód literacki rozpoczął jako współpracownik pism peryodycznych, umieszczając w fejletonach nowelle, obrazki i sprawozdania z »chwili obecnej«. W roku 1876 wybrał się w podróż do Niemiec, Włoch, Francyi, a następnie do Ameryki, gdzie bawił blizko dwa lata. Bezpośrednim owocem tej podróży były jego Listy z Rzymu i Paryża, a następnie z Ameryki, drukowane w »Gazecie Polskiej«, które mu zjednały sławę znakomitego pisarza.

Jeszcze kilka razy potem puszczał się w dalsze podróże i zwiedził Grecyę, Konstantynopol, Palestynę i wschodnią część Afryki (Listy z Afryki). Stale mieszka w Warszawie, miesiące letnie spędza w miejscach kąpielowych, najczęściej w Zakopanem w Tatrach. Od r. 1893 jest członkiem Akademii Umiejętności.

Już pierwsze jego powiastki i nowelle (Stary sługa, Hania, Orso, Przez stepy) zadziwiały siłą wyobraźni, żywością charakterystyki i uczuciem poetycznem, choć im słusznie zarzucono, że były pisane w usposobieniu nieco chorobliwem, nerwowem, pessymistycznem. Poruszał w niektórych sprawy społeczne i narodowe, nie szczędząc ostrego dowcipu i gorzkiej niekiedy ironii; dola ludu wiejskiego, jego opuszczenie, niezaradność i ciemnota jest przedmiotem kilku najlepszych może nowel (Szkice węglem, Janko Muzykant, Za chlebem, Bartek zwycięzca). Niespodzianie młody pisarz rzucił się na inne pole i w wielkiej historycznej powieści Ogniem i mieczem pokazał się talentem tak wyjątkowym, że powieści tej wiersza tylko brak, a byłaby prawdziwym poematem bohaterskim. W ślad za nią poszły dwie inne, będące poniekąd dalszym jej ciągiem: Potop i Pan Wołodyjowski. Następnie z rzutkością i giętkością talentu zdumiewającą, znowu Sienkiewicz zmienił przedmiot i pole: w powieści Bez dogmatu dał głębokie studyum człowieka dzisiejszego, który przez wpływ dzisiejszej filozofii i literatury, przez zbyt wyostrzone nerwy i zmysł estetyczny, przez brak zajęcia i obowiązku (pośrednio przez krajowe nieszczęścia) dochodzi do rozprzężenia swojej moralnej istoty, do przytępienia sumienia, niedołęstwa woli, a braku wszelkich przekonań i celów. Potem jako parę i przeciwieństwo przedstawił Sienkiewicz w Rodzinie Połanieckich ludzi, którzy chcą, wiedzą, czego chcą, i do tego dążą śmiało, energicznie i rzetelnie.

Jak Niewola tatarska była niby przygotowaniem i próbą do wielkich historycznych powieści z XVII wieku, tak obrazek historyczny na tle czasów Chrystusowych: Pójdźmy za nim, poprzedził trzytomową powieść Quo vadis? która ma za przed-

miot prześladowanie Nerona i zwycięstwo chrześcijaństwa nad światem pogańskim. Z tą powieścią sława Sienkiewicza, zdobyta »Trylogią«, doszła do najwyższego szczytu, nie tylko u swoich, ale i u obcych. W chwili, kiedy świat zagraniczny nic o Polsce nie myślał ani nie wiedział, powieści te zwróciły uwagę tego świata na nią, a przynajmniej na jej literaturę. Żaden z pisarzy polskich, nie wyjmując Mickiewicza, nie był tak skwapliwie tłómaczony na obce języki, czytany, podziwiany. Istotnie, tego rodzaju powieści historycznych niema może nigdzie.

Nastąpiła po nich jeszcze powieść Krzyżacy. Są w nich niektóre sceny i postacie godne najpiękniejszych z »Trylogii«. Ostatniem zaś dziełem Sienkiewicza jest Na polu chwały, powieść z czasów wyprawy wiedeńskiej, rzecz jeszcze nieskończona.

Sienkiewicz jest nie tylko znakomitym pisarzem powieści, jest wielkim, wzorowym pisarzem, mistrzem języka i stylistą, jakiemu dziś równego nie mamy. Jak wszystkie nowe a znakomite zjawiska w literaturze, tak i Sienkiewicz wywołał zaraz naśladowania, i wpływ jego jest bardzo widoczny u wielu w sposobie pisania, w stylu i w samem tworzeniu.

Z powieści p. t.

OGNIEM I MIECZEM.

Bitwa pod Machnówką.

(Tomu II-go rozdz. 11).

Szedł tedy Krzywonos z Białocerkwi, na Skwirę i Pohrebyszcze, ku Machnówce, a gdzie przeszedł, ginęły nawet ślady ludzkiego życia. Kto do niego nie przystał, pod nożem ginął. Palono nawet zboże na pniu, lasy i sady, a książę tymczasem prowadził na swoją rękę zniszczenie. Po wycięciu Pohrebyszcz i krwawym chrzcie, jaki pan Baranowski Niemirowowi sprawił, wygniotły jeszcze wojska kilkanaście znacznych watah i stanęły obozem pod Rajgrodem, gdyż miesiąc to już upływał, jak nie zsiadały z konia, i trud je nadwątlił i śmierć je znacznie umniejszyła. Trzeba było odpocząć, gdyż ręce tych kosiarzy od krwawej kośby pomdlały. Wahał się nawet książę i rozmyślał, czyby nie pójść na czas jakiś do spokojniejszego kraju dla odpoczynku i pomnożenia wojsk, a zwłaszcza koni, które podobniejsze były do szkieletów zwierzęcych, niż do żywych stworzeń, gdyż od miesiąca ziarna nie zaznały, stratowaną trawą tylko żyjąc.

Wtem po tygodniowym postoju dano znać, że posiłki idą. Książę zaraz wyjechał na spotkanie — i istotnie spotkał pana Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, który nadchodził w półtora tysiąca ludzi dobrych, a z nim pan Krzysztof Tyszkiewicz, podsędek bracławski, młody pan Aksak, prawie pacholę jeszcze, z dobrze okrytą własną chorągiewką usarską, i wiele szlachty, jako panowie: Sieniutowie, Połubińscy, Żytyńscy, Jełowiccy, Kierdeje, Bohusławscy, jedni z pocztami, drudzy bez, razem całej siły blizko dwa tysiące koni, prócz czeladzi.

Ucieszył się więc książę bardzo i wdzięcznie pana wojewodę do swej kwatery zaprosił, który nie mógł się oddziwić jej ubóstwu i prostocie. Bo książę, o ile w Łubniach żył po królewsku, o tyle na wyprawach, chcąc przykład dać żołnierstwu, żadnych wygód sobie nie pozwalał. Stał więc w jednej izbie, do której pan wojewoda kijowski zaledwie mógł się z powodu swej ogromnej tuszy, przez wązkie drzwi przecisnąć, aż się kazał rękodajnemu z tyłu pchać. W izbie prócz stołu, ław drewnianych i tapczana, okrytego skórą końską, nie było nic więcej, jeno jeszcze siennik przy drzwiach, na którym sypiał pacholik, zawsze do posług gotowy. Ta prostota zdziwiła bardzo wojewodę, który wygodę lubił i z kobiercami siwoził. Wszedł tedy i ze zdumieniem na księcia poglądał, dziwiąc się, jak mógł tak wielki duch mieścić się w takiej prostocie i w takiem ubóstwie. Widywał on czasem księcia na sejmach w Warszawie, był mu nawet zdala pokrewnym, ale go bliżej nie znał. Dopiero, gdy z nim mówić począł, poznał zaraz, że ma z nadzwyczajnym człowiekiem do czynienia. I on, stary senator i stary żołnierz rubacha, który kolegów senatorów po ramieniu klepał, księciu Dominikowi Zasławskiemu mówił: „mój łaskawco!“ i z samym królem był poufale, nie mógł się na takową poufałość z Wiśniowieckim zdobyć, chociaż książę przyjął go uprzejmie, bo był mu wdzięczen za posiłki.

— Mości wojewodo — rzekł — Bogu chwała, iżeście przybyli ze świeżym ludem, bom też już ostatnim tchem gonił.

— Widziałem ja po żołnierzach waszej książęcej mości, iż się napracowali niebożęta, co i mnie trapi niemało, gdyżem tu z prośbą przybył, byś W. K. M. na ratunek mnie pośpieszył.

— A czy pilno?

— *Periculum in mora, periculum in mora!* Nadciągnęło hultajstwa kilkadziesiąt tysięcy, a nad nimi Krzywonos, który, jakom słyszał, na W. K. M. był komenderowany, ale dostawszy języka, żeś W. K. M. ku Konstantynowu ruszył, tam pociągnął, a teraz po drodze mnie Machnówkę obległ i takie spustoszenia poczynił, iż żaden język wypowiedzieć tego nie jest w możności.

— Słyszałem ja o Krzywonosie i tum go czekał, ale skoro mnie minął, widzę, że sam go szukać muszę. Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki. Siła w Machnówce jest załogi?

— Jest w zamku dwieście Niemców, bardzo dobrych, którzy wytrzymają jeszcze czas jakiś. Ale co najgorzej, to że do miasta zjechało się sporo szlachty z rodzinami, miasto zaś, jeno wałem i częstokołem obronne, długo oporu stawiać nie może.

— Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki — powtórzył książę. A potem zwróciwszy się ku pacholikowi:

— Żeleński! — rzekł — biegaj po pułkowników.

Wojewoda kijowski siadł tymczasem na ławie i sapał — trochę się przytem za wieczerzą oglądał, gdyż był głodny, a lubił jeść dobrze.

Wtem rozległy się zbrojne stąpania i weszli oficerowie książęcy — czarni, wychudli, brodaci, z pozapadanemi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy. Skłonili się w milczeniu księciu, gościom, i czekali, co powie.

— Mości panowie — rzekł książę — czy konie u toków?

— Tak jest.

— Gotowe?

— Jako zawsze.

— To dobrze. Za godzinę ruszamy na Krzywonosa.

— Hę? — rzekł wojewoda kijowski i spojrzał ze zdziwieniem na pana Krzysztofa, podsędka bracławskiego.

A książę mówił dalej:

— Jmć Poniatowski i Jmć Wierszułł ruszą pierwsi. Za nimi pójdzie Baranowski z dragonią, a w godzinę żeby mi i armaty Wurcla wyszły.

Pułkownicy, skłoniwszy się, opuścili izbę — i po chwili rozległy się trąbki, grające wsiadanego. Wojewoda kijowski takiego pośpiechu się nie spodziewał, a nawet sobie nie ży-

czył, gdyż był zmęczony i zdrożony. Liczył on na to, że z dzionek u księcia wypocznie i jeszcze zdąży — a tu przychodziło zaraz, nie śpiąc, nie jedząc, na koń siadać.

— Mości książę — rzekł — a czy zajdą żołnierze wasi do Machnówki? bo widziałem: strasznie *fatigati*, a to droga daleka.

— Niech waszejmości o to głowa nie boli. Jak na śpiewanie idą oni na bitwę.

— Widzę ja to, widzę. Siarczysty żołnierz. Ale bo to i mój lud podróżny.

— Mówiłeś wasza mość: *periculum in mora.*

— Tak jest, ale możeby przez noc odpocząć. My z pod Chmielnika idziemy.

— Mości wojewodo, my z Łubniów, z Zadnieprza.

— Cały dzień byliśmy w drodze.

— My cały miesiąc.

To rzekłszy, książę wyszedł, by osobiście szyk bojowy sprawić, a wojewoda oczy na podsędka, pana Krzysztofa, wytrzeszczył, dłońmi po kolanach uderzył i mówił:

— Ot mam, czegom chciał. Dalibóg, oni mnie tu głodem zamorzą. Oto w gorącej wodzie kąpani! Przychodzę o pomoc, myślę, że po wielkich molestacyach za dwa, trzy dni ruszą, a tu i odetchnąć nie dadzą. Niechże ich kaduk porwie! Puślisko mi nogę przetarło, co mi je zdrajca pachołek źle przypiął, w brzuchu mi kruczy... niechże ich kaduk porwie! Machnówka Machnówką, a brzuch brzuchem! Jam też stary żołnierz, więcej jam może wojny od nich zażywał — ale nie tak łap, cap! To dyabły, nie ludzie! nie śpią, nie jedzą, tylko się biją. Jak mi Bóg miły, tak oni nigdy nie jedzą. Widziałeś, panie Krzysztofie, tych pułkowników, czy nie wyglądają jak *spectra?* co?

— Ale fantazya u nich ognista — odpowiedział pan Krzysztof, który żołnierz był zamiłowany. — Miły Boże! ile to zamieszania i nieładu po innych obozach, gdy ruszać przyjdzie, ile bieganiny, szykowania wozów, posyłania po konie — a tu, słyszycie waszmość? oto już lekkie chorągwie wychodzą.

— A juści, że tak jest! desperacya! — mówił wojewoda.

A młody pan Aksak dłonie swoje chłopięce złożył:

— Ach, wielki to wódz! ach, wielki to wojownik! — mówił z uniesieniem.

— U waści mleko pod nosem! — huknął na niego wojewoda. — *Cunctator* także był wielki wódz! — rozumiesz wasze?

Wtem wszedł książę.

— Mości panowie, na koń! ruszamy!

Wojewoda nie wytrzymał.

— Każ-że W. K. M. dać co zjeść, bom głodny! — wykrzyknął z wybuchem złego humoru.

— A mój mości wojewodo! — rzekł książę, śmiejąc się i biorąc go w ramiona — wybaczcie, wybaczcie; całem sercem, ale na wojnie człek o tych rzeczach zapomina.

— A co, panie Krysztofie, nie mówiłem, że oni nie jedzą?— rzecze wojewoda, zwracając się do podsędka bracławskiego.

Ale wieczerza nie długo trwała i w parę godzin później nawet i piechoty wyszły już z Rajgrodu. Ciągnęły wojska na Winnicę i Lityn, ku Chmielnikowi. Po drodze natknął się Wierszułł na zagonek tatarski w Sawerówce, który wraz z panem Wołodyjowskim wygnietli do szczętu, oswobodziwszy kilkaset dusz jasyru, samych prawie dziewcząt. Tamże rozpoczynał się już kraj spustoszały, pełen śladów Krzywonosowej ręki. Strzyżawka była spalona, a ludność jej wymordowana w straszny sposób. Widocznie nieszczęśnicy stawili opór Krzywonosowi, za który dziki wódz oddał ich mieczom i płomieniom. U wejścia do wsi wisiał na dębie sam pan Strzyżowski, którego ludzie Tyszkiewicza zaraz poznali. Wisiał nagi zupełnie, a na piersiach miał ogromny naszyjnik, złożony z głów ponawłóczonych na powróz. Były to głowy jego sześciorga dziatek i żony. W samej wsi, spalonej zresztą do szczętu, ujrzały chorągwie po obu stronach drogi długi szereg „świec kozackich“, to jest ludzi z wzniesionemi nad głową rękoma, poprzywiązywanych do żerdzi wbitych w ziemię, obwiniętych słomą, oblanych smołą i zapalonych od dłoni. Większa ich część miała poupalane tylko ręce, gdyż deszcz przeszkodził widocznie dalszemu gorzeniu. Ale straszne były te trupy z powykrzywianemi twarzami, wyciągające ku niebu czarne kikuty. Zapach zgnilizny rozchodził się dookoła. Nad słupami kotłowały się chorowody wron i kawek, które za zbliżeniem się wojska zrywały się z wrzaskiem z bliższych słupów, by siąść na dalszych. Kilka wilków pomknęło przed chorągwiami ku zaroślom. Wojska posuwały się w milczeniu straszliwą aleją i liczyły „świece“. Było ich trzysta kilkadziesiąt. Minęli wreszcie ową nieszczęsną

wioskę i odetchnęli świeżem powietrzem polnem. Ale ślady zniszczenia szły dalej. Była to pierwsza połowa lipca. Zboża już prawie dochodziły, spodziewano się bowiem wczesnych żniw. Ale całe łany były częścią spalone, częścią stratowane, zwikłane, wdeptane w ziemię. Zdawaćby się mogło, że huragan przeszedł przez niwy. Jakoż i przeszedł po nich huragan najgroźniejszy ze wszystkich — wojny domowej. Żołnierze książęcy widzieli nieraz żyzne okolice, spustoszałe po napadzie Tatarów, ale podobnej zgrozy, podobnej wściekłości zniszczenia nie widzieli nigdy w życiu. Lasy popalono tak samo jak zboże. Gdzie ogień drzew nie pożarł, tam odarł z nich ognistym językiem liść i korę, opalił oddechem, odymił, poczernił — i drzewa więc sterczały, jak szkielety. Pan wojewoda kijowski patrzył i oczom nie wierzył. Miedziaków, Zhar, Futory, Słoboda — jedno zgliszcze! Gdzieniegdzie chłopi uciekli do Krzywonosa, kobiety zaś i dzieci poszły w jasyr owego zagonu ordy, który Wierszułł z Wołodyjowskim wygnietli. Na ziemi pustosz, na niebie stada wron, kruków, kawek, sępów, które pozlatywały się, Bóg wie skąd; na kozacze żniwo... Ślady przejścia wojsk stawały się coraz świeższe. Napotykano raz wraz złamane wozy, trupy bydlęce i ludzkie jeszcze nie popsute, potłuczone garnki, miedziane kotły, wory z zamokłą mąką, zgliszcza jeszcze dymiące, stogi świeżo napoczęte i rozrzucone. Książę parł chorągwie ku Chmielnikowi, nie dając im odetchnąć, stary zaś wojewoda za głowę się chwytał, powtarzając żałośnie:

— Moja Machnówka! moja Machnówka! widzę już, iż nie zdążymy.

Tymczasem w Chmielniku przyszła wiadomość, że nie sam stary Krzywonos, ale syn jego Machnówkę w kilkanaście tysięcy ludzi oblega, i że on to naczynił tak nieludzkich spustoszeń po drodze. Miasto, wedle tego, co głosiły wieści, było już zdobyte. Kozacy, dostawszy go, wyrznęli w pień szlachtę i żydów, szlachcianki zaś pobrali do swego taboru, gdzie oczekiwał je los gorszy od śmierci. Ale zameczek pod wodzą pana Lwa bronił się jeszcze. Kozacy szturmowali go z klasztoru Bernardynów, w którym wysiekli zakonników. Pan Lew, goniąc ostatkiem sił i prochów, nie obiecywał się dłużej trzymać nad jedną noc.

Zostawił więc książę piechoty, działa i główne siły wojska, którym kazał iść do Bystrzyka, sam zaś z wojewodą, panem Krzysztofem, panem Aksakiem, w dwa tysiące komunika na pomoc skoczył. Stary wojewoda już hamował, bo głowę stracił: „Machnówka przepadła, przyjdziemy za późno! lepiej poniechać, a innych miejsc bronić i w prezydya je zaopatrzyć“ — powtarzał. Ale książę nie chciał słuchać. Pan podsędek bracławski naglił, a wojska rwały się do boju.

— „Skorośmy tu przyszli, nie odejdziemy bez krwi“ — mówili pułkownicy. I ruszono naprzód.

Aż w pół mili od Machnówki kilkunastu jeźdźców, pędząc co koń wyskoczy, zabiegło wojsku drogę. Był to pan Lew z towarzyszami. Ujrzawszy go, wojewoda kijowski odgadł natychmiast, co się stało.

— Zamek zdobyty! — krzyknął.

— Tak jest! — odpowiedział pan Lew, i w tejże chwili omdlał, bo był posieczony i postrzelany, więc krew go uszła. Ale inni poczęli opowiadać, co się stało. Niemców na murach wybito do nogi, gdyż woleli umierać niż się poddawać — pan Lew przebił się przez gęstwę czerni i wyłamane bramy, wszelako w izbach na wieży broniło się kilkudziesięciu szlachty — tym należało dać śpieszny ratunek.

Ruszono więc z kopyta. Po chwili ukazało się na górze miasto i zamek, a nad niemi ciężka chmura dymów od wszczętego pożaru. Dzień już zapadał. Na niebie paliły się olbrzymie zorze purpurowe i złote, które wojska zrazu za łunę poczytały. Przy tych blaskach widać było pułki zaporożców i zbite masy czerni, płynące przez bramy na spotkanie wojsk tem śmielej, że nikt w mieście nie wiedział o przybyciu księcia, sądzono bowiem, że sam tylko wojewoda kijowski nadciąga z odsieczą. Znać wódka oślepiła ich zupełnie, albo świeże zdobycie zamku natchnęło pychą niezmierną, gdyż śmiało zstąpili z góry i dopiero na równinie poczęli się szykować do bitwy z ochotą wielką, grzmiąc w kotły i litaury. Na ten widok, okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich polskich piersi, a pan wojewoda kijowski miał sposobność po raz wtóry podziwiać sprawność chorągwi książęcych. Zatrzymawszy się na widok kozactwa, stanęły od razu w szyku bojowym, ciężka jazda w środku, lekkie na skrzydłach, tak, iż nic nie należało poprawiać i można było z miejsca zaczynać.

— Panie Krzysztofie, co to za lud! — rzekł wojewoda.— Od razu stanęli w ordynku. Mogliby oni i bez wodza bitwy staczać!

Książę wszelako, jako wódz przezorny, przelatywał z buławą w ręku między chorągwiami, od skrzydła do skrzydła, opatrywał, ostatnie dawał rozkazy. Zorze odbijały się w jego srebrnym pancerzu i podobny był do jasnego płomienia, latającego między szeregami, ile że śród ciemnych zbroic sam jeden świecił mocno.

Stanęły tedy: w środku, w pierwszej linii, trzy chorągwie — pierwsza, którą sam wojewoda kijowski sprawował, druga młodego pana Aksaka, trzecia pana Krzysztofa Tyszkiewicza, za nimi w drugiej linii dragonia pod panem Baranowskim, a wreszcie olbrzymia husarya książęca — przy niej, jako sprawca, pan Skrzetuski.

Skrzydła zajęli Wierszułł, Kuszel i Poniatowski. Armat nie było, gdyż Wurcel został w Bystrzyku.

Książę poskoczył do wojewody i buławą skinął.

— Za swoje krzywdy poczynaj wasza mość najpierwszy!

Wojewoda z kolei machnął buzdyganem — pochylili się żołnierze w kulbakach i ruszyli. A zaraz po sposobie prowadzenia chorągwi można było poznać, iż wojewoda choć ciężki i kunktator, bo wiekiem przygnieciony, przecie żołnierz jest doświadczony i mężny. Nie zerwał on z miejsca chorągwi do największego impetu, by sił oszczędzić, ale prowadził zwolna, powiększając pęd w miarę, jak ku nieprzyjacielowi się zbliżał. Sam też biegł w pierwszym szeregu, z buzdyganem w ręku, pacholik mu tylko pod ręką trzymał koncerz długi i ciężki, nie zaciężki jednak na jego rękę. Czerń też sypnęła się ku chorągwi piechotą, z kosami i cepami, by pierwszy impet powstrzymać i zaporożcom atak ułatwić. Gdy więc nie dzieliło ich więcej nad kilkadziesiąt kroków, poznali wojewodę Machnowiczanie po olbrzymim wzroście i tuszy, a poznawszy wołać zaczęli:

— Hej, jaśnie wielmożny wojewodo, żniwa blizkie, czemuto poddanym wychodzić nie każesz? Czołem, jasny panie! już my ci ten brzuch przewiercimy.

I grad kul posypał się na chorągiew, ale szkody nie uczynił, bo szła już jak wicher. Uderzyli się tedy mocno. Rozległ się stukot cepów i brzęk kos o pancerze, krzyk i jęki. Kopie

otwarły bramę w zbitej masie czerni, przez którą rozhukane konie wpadły jak orkan, tratując, przewalając, miażdżąc. I jako na łące, gdy stanie szereg kosiarzy, bujna trawa znika przed nimi, a oni idą naprzód, machając drągami od kos, tak właśnie pod cięciami mieczów szeroka ławica czerni zwężała się, topniała, nikła — a parta piersiami końskiemi, nie mogąc ustać na miejscu, poczęła się kolebać. Wreszcie zagrzmiał krzyk: „ludy, spasajteś!“ i cała masa, rzucając kosy, cepy, widły, samopały, rzuciła się w dzikim popłochu na stojące w tyle pułki zaporożców. Ale zaporożcy, bojąc się, by uciekający tłum nie zawichrzył ich szeregów, nadstawili mu spisy, więc czerń, widząc tę zaporę, rzuciła się z wyciem rozpaczliwem w obie strony, wnet jednak zegnali ją nanowo Kuszel i Poniatowski, którzy od skrzydeł książęcych właśnie ruszyli.

A zaś wojewoda idąc po trupach czerni, stanął w obliczu zaporożców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu, chcąc na impet impetem odpowiedzieć. I tak właśnie uderzyli się o siebie, jako dwie fale z przeciwnych stron idące, które przy uderzeniu grzebień pienisty utworzą. Tak konie wspięły się przed końmi, jeźdźcy jak wał — a szable nad wałem jak piana. I poznał wojewoda, że to nie z czernią robota, ale z ciętym i wyćwiczonym żołnierzem zaporoskim. Dwie linie parły się wzajem, gięły, jedna drugiej przegiąć nie mogąc. Trup padał gęsty, bo tam mąż uderzał na męża, miecz na miecz. Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika, pracował w pocie czoła, sapiąc jak miech kowalski. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje, Bohusławscy, Jełowiccy i Połubińscy, uwijali się jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z kalnickiego pułku podpułkownik, kozak olbrzymiej siły i statury, tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który narówni z panem walczył. Niejeden tedy towarzysz zdarł rumaka i cofnął się, by się z owym centaurem nie spotkać, szerzącym śmierć i spustoszenie. Skoczyli ku niemu bracia Sieniutowie, ale koń Burdabutowy schwycił młodszego, Andrzeja, zębami za twarz i zmiażdżył ją w mgnieniu oka, co widząc starszy Rafał ciął bestyą nad oczami. Zranił ją, ale nie zabił, bo szabla na guz mosiężny na naczółku trafiła. Jemu zaś Burdabut w tej chwili wepchnął sztych pod brodę i życia go zbawił. Tak polegli obaj bracia, panowie Sieniutowie, i leżeli w po-

złocistych pancerzach w kurzawie, pod kopytami rumaków; Burdabut zaś rzucił się jak płomień w dalsze szeregi i porwał zaraz kniazia Połubińskiego, szesnastoletnie pacholę, któremu odciął prawe ramię wraz z ręką. Widząc to pan Urbański, chciał pomścić śmierć krewniaka, i w samą twarz Bardabutowi z pistoletu wypalił, ale chybił, ucho mu tylko odstrzelił i krwią go oblał. Straszny był wtedy Burdabut i jego koń, obaj czarni jak noc, obaj krwią zlani, obaj z dzikiemi oczyma i rozdętemi nozdrzami, szalejący jak burza. Nie wybiegał się od śmierci z jego ręki i pan Urbański, któremu głowę, jak kat, jednym zamachem uciął, i stary ośmdziesięcioletni pan Żytyński, i dwóch panów Nikczemnych, a inni cofać się poczęli z przerażeniem, zwłaszcza że za Burdabutem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis w krwi już zmoczonych.

Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewody i, wydawszy okropny krzyk radości, rzucił się ku niemu, obalając po drodze konie i jeźdźców — a wojewoda się nie cofał. Dufając w siłę niepospolitą, sapnął, jak ranny odyniec, wzniósł koncerz nad głowę i wspiąwszy konia, ku Burdabutowi skoczył. I byłby pewnie nadszedł ostatni kres jego, pewno już Parka w nożyce nić jego żywota schwyciła, którą potem w Okrzei przecięła, gdyby nie Silnicki, pacholik szlachecki, który jak błyskawica na watażkę się rzucił i w pół go chwycił, nim szablą został przeszyty. Bo gdy się Burbadut z nim zabawiał, krzyknęli panowie Kierdeje o ratunek dla wojewody; wnet skoczyło kilkadziesiąt ludzi, którzy go od watażki przedzielili. zaczem bitwa zawiązała się zacięta. Ale zmorzony pułk wojewodzin począł się już uginać pod przemocą zaporoską, cofać i mieszać, gdy pan Krzysztof, podsędek bracławski, i pan Aksak ze świeżemi chorągwiami nadbiegli. Wprawdzie i nowe pułki zaporoskie ruszyły w tej chwili do boju, ale przecie poniżej stał jeszcze książę z dragonami Baranowskiego i husaryą pana Skrzetuskiego, którzy dotychczas nie brali w potrzebie udziału.

Zawrzała więc nanowo krwawa rzeźba, a tymczasem zmrok już zapadł. Lecz pożar ogarnął skrajne domy miasta. Łuna oświecała pobojowisko i widać było doskonale obie linie. polską i kozacką, łamiące się pod górą, widać było barwy proporców i nawet twarze. Już też pan Wierszułł, pan Poniatowski i pan Kuszel byli także w ogniu i pracy, bo starszy

czerń, bili się na skrzydłach kozackich, które pod ich naciskiem poczęły cofać się ku górze. Długa linia walczących wygięła się dwoma końcami ku miastu i poczęła wyginać się coraz bardziej, bo gdy skrzydła polskie awansowały, środek party przez przeważne siły kozackie, ustępował ku księciu. Poszły trzy nowe pułki kozackie, by go rozerwać, ale w tej chwili książę pchnął dragonów pana Baranowskiego i ci pokrzepili siły walczących.

Przy księciu została sama husarya — z daleka rzekłbyś: bór ciemny, co prosto z pola wyrasta, groźna ławica żelaznych mężów, koni i kopij. Powiew wieczorny szeleścił nad nimi proporcami, a oni stali cicho, nie rwąc się bez rozkazu do boju, cierpliwi, bo wytrawni i w tylu bitwach doświadczeni, i wiedzący, że ich udział krwawy nie minie. Między nimi książę w srebrnej zbroi, ze złotą buławą w ręku, wytężał oczy na bitwę — a z lewej strony pan Skrzetuski, trochę bokiem na końcu stojący. Rękaw jako porucznik na ramieniu zawinął i trzymając w potężnej, gołej do łokcia ręce, koncerz zamiast buzdygana, czekał spokojnie komendy.

A książę lewą dłonią oczy przeciw pożarowi nakrył i patrzył na bitwę. Środek polskiego półksiężyca obsuwał się zwolna ku niemu, zmagany przez przemoc, bo nie na długo wsparł go pan Baranowski, ten sam, który Niemirów wyciął. Widział więc książę, jak na dłoni, pracę ciężką żołnierzy. Wydłużona błyskawica szabel, to wznosiła się nad czarną linią głów, to nikła w zamachach. Konie bez jeźdźców wypadały z tej ławy walczących i rżąc, biegły po równinie z rozwianemi grzywami, na tle pożaru do bestyi piekielnych podobne. Czasem chorągiew krasna, powiewająca nad ciżbą, zapadała nagle w tłum, by nie podnieść się więcej. Ale wzrok księcia biegł przez linię walczących, aż na górę ku miastu, gdzie na czele dwóch pułków wybranych stał sam młody Krzywonos, czekając na chwilę, by się rzucić w środek walczących i złamać nadwątlone szyki polskie zupełnie.

Skoczył nareszcie, biegnąc ze strasznym krzykiem wprost na dragonów Baranowskiego, ale na tę chwilę czekał także i książę.

— Prowadź! — krzyknął do Skrzetuskiego.

Skrzetuski koncerz w górę podniósł i żelazna nawała ruszyła naprzód.

Nie biegli długo, bo linia bojowa zbliżyła się do nich znacznie. Dragoni Baranowskiego rozstąpili się z błyskawiczną szybkością w prawo i lewo, by przystęp husaryi do kozaków otworzyć, oni zaś runęli przez te wrota całym ciężarem, na zwycięskie już sotnie Krzywonosowe.

— Jeremi! Jeremi! — zawołali husarze.

— Jeremi! — powtórzyło całe wojsko.

Straszne imię dreszczem trwogi ścisnęło serca zaporożców. W tej chwili dopiero poznali, iż to nie wojewoda kijowski, lecz sam książę dowodzi. Zresztą nie mogli oni stawić oporu husaryi, która samym swoim ciężarem druzgotała ich tak, jak walący się mur druzgoce stojących pod nim ludzi. Jedynym ratunkiem dla nich było rozstąpić się na obie strony, puścić husaryę przez siebie i z boków na nią uderzyć; ale te boki były już pilnowane przez dragonię i przez lekkie chorągwie Wierszułła, Kuszla i Poniatowskiego, którzy, spędziwszy skrzydła kozackie, zepchnęli je we środek. Teraz postać walki zmieniła się, bo owe lekkie chorągwie utworzyły jakby ulicę, środkiem której lecieli w szalonym zapędzie husarze, gnąc, łamiąc, pchając, waląc ludzi i konie, a przed nimi uciekało z rykiem i wyciem kozactwo ku górze i miastu. Gdyby skrzydło Wierszułła zdołało się zejść ze skrzydłem Poniatowskiego, byliby otoczeni i wycięci do szczętu. Wszelako ni Wierszułł ni Poniatowski nie mogli tego dokonać, dla zbytniej nawały uciekających, bili więc tylko z boku, aż ręce od cięć im mdlały.

Młody Krzywonos, choć mężny i dziki, gdy zrozumiał, że własne niedoświadczenie przychodzi mu takiemu wodzowi jak książę przeciwstawić, stracił całkiem głowę i uciekał na czele innych ku miastu. Uciekającego spostrzegł pan Kuszel, z boku stojący, który na krótką metę tylko widział, przyskoczył więc koniem i w pysk młodego watażkę szablą trzasnął. Nie zabił, bo ostrze wstrzymała podpinka, ale zalał go krwią i tem bardziej serca pozbawił.

Wszelako o mało sam czynu tego życiem nie przypłacił, bo w tej chwili rzucił się na niego Burdabut na czele resztek kalnickiego pułku.

Dwakroć próbował on stawić czoło husarzom, ale dwakroć, jakby siłą nadprzyrodzoną odparty i rozgromiony, musiał ustępować wraz z innymi. Wkońcu sprawiwszy ostatki, postanowił z boku na Kuszla uderzyć i przez jego dragonów na

wolne się pole wydostać. Nim jednak zdołał ich rozerwać, zapchała się owa droga wiodąca ku miastu i górze tak dalece, że szybka ucieczka stała się niemożliwą. Husarze wobec tego natłoku ludzi wstrzymali impet i skruszywszy kopie, mieczami tłumy ciąć poczęli. Zapanowała walka zmieszana, bezładna, dzika, bezpardonowa, wrząca w tłoku, zgiełku, gorącu, wśród wyziewów ludzkich i końskich. Trup padał na trupa, kopyta końskie grzęzły w drgających ciałach. Gdzieniegdzie masy tak skłębiły się, że nie było miejsca na zamach dla szabli; tam bito się głowniami, nożami i pięściami, konie poczęły kwiczeć. Tu i ówdzie ozwały się głosy: „pomyłujte, lachy!“ Głosy te wzmagały się, mnożyły, zagłuszały brzęk mieczów, zgrzyt żelaza o kości, chrapanie i straszną czkawkę konających — „pomyłujte, pany!“ rozlegało się coraz żałośniej — ale miłosierdzie nie świeciło nad tą ławicą walczących; jak słońce nad burzą, świecił im pożar.

Jeden Burdabut na czele swoich kalnickich ludzi o miłosierdzie nie prosił. Brakło mu miejsca do walki, więc czynił sobie rum nożem. Starł się naprzód z brzuchatym panem Dzikiem i pchnąwszy go w brzuch, z konia zwalił, a ten krzyknąwszy: „o Jezu!“ już się więcej z pod kopyt, które mu tratowały wnętrzności, nie podniósł. Wtedy zaraz przybyło miejsca, więc Burdabut już szablą rozrąbał głowę wraz z hełmem towarzyszowi Sokolskiemu, potem obalił razem z końmi panów Pryjama i Certowicza; miejsce otworzyło się szersze. Młody Zenobiusz Skalski ciął go w głowę, ale szabla zwinęła mu się w ręku i uderzyła płazem, watażka zaś jego pięścią na odlew w twarz uderzywszy, zabił na miejscu. Ludzie kalniccy szli za nim, siekąc i kindżałami kłując: „Charakternik! charakternik!“ poczęli wołać husarze. „Żelazo się jego nie ima! Mąż szalony!“ On zaś istotnie miał pianę na wąsach, a wściekłość w oczach. Dojrzał nareszcie Skrzetuskiego i poznawszy oficera po odwiniętym rękawie, runął na niego.

Wszyscy dech zatrzymali w piersiach i bitwę przerwali, patrząc na walkę dwóch najstraszliwszych rycerzy. Pan Jan się bowiem wołaniem: „charakternik!“ nie strwożył — ale gniew zawrzał mu w duszy na widok tylu spustoszeń: zgrzytnął więc zębem i z furyą natarł na watażkę. Zwarli się więc, aż konie na zadach przysiadły. Rozległ się świst żelaza i nagle szabla watażki rozleciała się w kawałki pod cięciem polskiego

koncerza. Już zdawało się, że żadna moc nie wyratuje Burdabuta, gdy on skoczył, zczepił się z panem Skrzetuskim tak, iż obaj jedno zdawali się tworzyć ciało — i nożem nad gardłem husarza błysnął.

Teraz Skrzetuskiemu śmierć stanęła w oczach, bo ciąć już mieczem nie mógł. Ale szybki jak błyskawica, puścił miecz który na rzemyku zawisł, a ręką za rękę watażki chwycił. Przez chwilę dwie te ręce drgały konwulsyjnie w powietrzu, ale żelazny to musiał być uścisk pana Skrzetuskiego, bo watażka zawył jak wilk i w oczach wszystkich nóż wypadł mu ze zdrętwiałych palców, jak wyłuskwione ziarno z kłosa. Wtedy Skrzetuski rękę zgniecioną mu puścił i za kark ucapiwszy, przygiął straszny łeb aż do kuli kulbaki, lewą zaś dłonią buzdygan z za pasa wychwycił, gruchnął raz, drugi — watażka zacharczał i spadł z konia.

Jęknęli na ten widok ludzie kalniccy i biegli pomścić — w tej chwili jednak rzuciła się na nich husarya i wycięła co do nogi.

Na drugim zaś końcu ławy husarskiej bitwa nie ustawała ani na chwilę, bo tłok był mniejszy. Tam, przepasany Anusiną szarfą, szalał pan Longinus ze swoim zerwikapturem. Nazajutrz po bitwie rycerze ze zdziwieniem oglądali te miejsca, a pokazując sobie ręce poodwalane wraz z ramionami, rozcięte głowy od czoła do brody, ciała rozchlastane straszliwie na dwie połowy, całą drogę ludzkich i końskich trupów, szeptali wzajem do siebie: „Patrzcie, tu walczył Podbipięta!“ Sam książę trupy oglądał, i choć nazajutrz bardzo był różnemi wieściami stroskany, dziwić się raczył, bo takich cięć zgoła dotąd w życiu nie widział.

Ale tymczasem walka zdawała się zbliżać ku końcowi. Ciężka jazda ruszyła znowu naprzód, garnąc przed sobą pułki zaporoskie, które pod górę ku miastu się chroniły. Reszcie uciekających przecięły odwrót chorągwie Kuszla i Poniatowskiego. Otoczeni, bronili się z rozpaczą póki nie wyginęli do nogi, lecz śmiercią swoją zbawili innych, bo gdy w dwie godziny potem pierwszy Wierszułł z nadwornymi tatary wszedł do miasta, już tam ani jednego kozaka nie zastał. Nieprzyjaciel, korzystając z ciemności, bo deszcze zgasiły pożar, nabrał w łoczczych wozów w mieście i otaborzywszy się z szybkością koza-

kom tylko właściwą, za miasto za rzekę uszedł, zniszczywszy za sobą mosty.

Uwolniono owych kilkudziesięciu szlachty broniących się w zameczku. Prócz tego kazał książę Wierszułłowi pokarać mieszczan, którzy się byli z kozactwem połączyli, a sam ruszył w pogoń. Ale taboru bez armat i piechoty zdobyć nie mógł. Nieprzyjaciel, zyskawszy na czasie przez spalenie mostów, gdyż rzekę daleko groblą należało obchodzić, uchodził tak szybko, iż pomęczone konie książęcej jazdy zaledwie go doścignąć mogły. Atoli kozacy, lubo sławni z obrony w taborach, nie bronili się tak mężnie, jak zwykle. Straszna pewność, iż sam książę ich ściga, tak dalece odebrała im serca, że zupełnie o swem ocaleniu zwątpili. I byłby pewnie na nich przyszedł kres, bo po całonocnej strzelaninie urwał już pan Baranowski czterdzieści wozów i dwie armaty, gdyby nie wojewoda kijowski, który się dalszej pogoni sprzeciwił i swoich ludzi cofnął.

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa.

Urodzona w r. 1842 w Miłkowszczyźnie na Litwie, nauki pobierała u PP. Sakramentek w Warszawie. Powróciwszy po 5 latach do matki, wkrótce potem wyszła za mąż i zamieszkała na wsi w okolicy Grodna.

Zawód pisarski rozpoczęła w roku 1866 »Obrazkiem z lat głodowych«. Odtąd niestrudzenie pracuje na polu powieści obyczajowej.

Talent to powieściopisarski po Sienkiewiczu niezaprzeczenie największy u nas w tym czasie.

Zaczęła pisać młodo, a w powieściach swoich wypowiadała to, co zajmowało i niepokoiło jej umysł. Stawiały się w nim natarczywie różne kwestye, które młoda autorka rozwiązać chciała, a których sama nie mogła jeszcze doprowadzić do ustalenia i równowagi. Tak stanowisko kobiety i jej zależność (W klatce), tak wychowanie i kobiet i mężczyzn, źle pojęte, nie usposabiające ich do rzeczywistego i pożytecznego życia (Pan Graba, Pamiętnik Wacławy, Marta). W tych powieściach był dobry zamiar, były częściowo prawdy, nie było jeszcze rozwiniętego talentu: były raczej za długie i ciężkie.

Z kolei zwróciła autorka uwagę na społeczeństwo żydowskie i jego stosunek do społeczeństwa polskiego. Obserwowała i studyowała obyczaj, sposób życia, różne usposobienia i pojęcia żydów.

Z tego kierunku wyszedł Eli Makower i Meir Ezofowicz. Ten ostatni zwłaszcza zajmujący jako studyum i obraz, choć także jeszcze przydługi.

Widma to rosyjskie nihilistyczne pojęcia i namiętności, dostające się do młodzieży polskiej i psujące ją.

W całej pełni objawił się talent Orzeszkowej w powieści Nad Niemnem. Jest to szlachta polska, w zamożnym dworze i w zaścianku, na Litwie, po roku 1863. Z wielką sztuką umiała autorka, pod cenzurą rosyjską, nigdy tych wypadków nie nazwać, a dać wyraźnie uczuć, że one są tłem całego życia polskiego w tym kraju. Są w tej powieści śliczne sceny, obrazy życia i natury; są postacie pełne życia, jedne sympatyczne i wdzięczne, inne zabawne.

Mniejsze rozmiarami, ale nie mniej piękne, a artystycznie może lepiej ułożone i wykonane są powieści Cham, Bene Nati, Dwa bieguny, Pieśń przerwana. Wszędzie jakaś struna dzisiejszego życia, jakaś bieżąca sprawa czy stosunek. Dwa bieguny to młoda panna, która z wielką energią i poświęceniem pracuje nad utrzymaniem resztki polskich sił na Litwie, i młody człowiek, który nie ma dość woli i hartu, żeby ten trud podjąć. Bene Nati to usposobienie pogardliwe zaściankowej szlachty względem chłopów; wynikają z niego nieszczęścia. W późniejszych wielkich powieściach zawsze te same kwestye i ta sama dążność. Argonauci, to wielki finansista, bogacz, dzielny człowiek, który wszystko umiał zrobić albo kupić, prócz szczęścia w domu. Anastazya, to młoda dziewczyna, zawiedziona w miłości, a szukająca szczęścia w poświęceniu dla drugich. Pieśń niech zapłacze, to młody Polak, zdolny, ambitny, ale próżny, który porzucił swoich, ożenił się świetnie z Rosyanką, a skończył na tęsknocie, rozpaczy i samobójstwie.

Orzeszkowa ma różne cenne i świetne przymioty w swoim talencie, ale nadewszystko ma w duszy prawdziwą poezyę. Przez nią patrzy na smutną jak i na pogodną stronę swoich obrazów: i przez nią trafia do uczucia swego czytelnika, do jego wyobraźni, zostawia w niej wrażenie i pamięć tych scen i postaci, które stworzyła.

Z powieści p. t.

NAD NIEMNEM.

(Rozdz. X).

(W pięknej okolicy nad Niemnem leży bogata wieś Korczyn, w najbliższem zaś sąsiedztwie z nią znajduje się niewielki zaścianek, zamieszkany przez ubogą szlachtę z rodziny Bohaterowiczów. Wywodzą oni swój ród od Jana i Cecylii, którzy przybyli w te strony jeszcze w w. XV., a pamięć ich wszystkie następne pokolenia wielką zawsze czcią otaczały. Niegdyś, jeszcze za życia Andrzeja Korczyńskiego, starszego brata obecnego właściciela wsi Benedykta,

przyjacielskie stosunki łączyły Bohaterowiczów z Korczyńskimi, obecnie jednak obie te rodziny żyją zdala od siebie, zwłaszcza, że dwór korczyński utrzymywany jest na pańskiej stopie, a Bohaterowicze, pracując ciężko na roli, zeszli prawie do rzędu chłopów. — W domu Benedykta bawi daleka jego krewna, Justyna Orzelska, której ojciec, dawniej człowiek zamożny, straciwszy wszystko, znalazł przytułek w Korczynie. Razu pewnego Justyna na jednej ze swoich przechadzek poznała Jana Bohaterowicza, którego ojciec żył niegdyś w przyjaźni z Andrzejem Korczyńskim. Z nim udała się aż do zaścianka, a ujęta uprzejmością i gościnnością Bohaterowiczów, częściej tam odtąd bywała. Z Janem udała się raz do »Mogiły« powstańców, położonej po drugiej stronie Niemna, ażeby poznać to miejsce, z czcią wspominane przez Bohaterowiczów).

Płynęli powoli w górę rzeki. Brzegi stawały się coraz uboższemi i dzikszemi. Z jednej strony zrazu sielsko i malowniczo uśmiechały się szare i białe domki okolicy, a wielki parów (Jana i Cecylii) wspaniale rozchylał wargi, zielonością po brzegi nalane, dalej jednak nad nagą, gładką, czerwonawą ścianą widać było stojące rzadkie zboża, tu i ówdzie ocienione krzywą wierzbą albo starą gruszą. Z drugiej strony brzeg zniżał się, do równego z rzeką poziomu spływał, a gęsty bór, nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, jakby usuwany przez rozległe, białe, małemi wzgórzami zbałwanione piaski. Czółno wiozące dwoje młodych skierowało się ku tym piaskom, i wężowymi skrętami prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni, nad płytką wodą wystających, u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i naokoło spojrzeć — głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan.

Justyna usłuchała i, zatrzymawszy się, wzrokiem dokoła powiodła. Znajdowali się wśród piaszczystego rozłogu, którego część nie bez trudności już przebyli. Podobne to było do jeziora, z jednej strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiej rozdzielonego z rzeką zasłaniającem ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powierzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonymi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchomem, unosiły się z nich tu i ówdzie nizkie tumany, które poziomym lotem, przebywając małe przestrzenie, opadały na ziemię pyłem cichym i tak miałkim, że prawie ziarnka od ziarnka rozróżnić w nim nie było można.

Bór, jakby niechętnie usuwając się w głąb widnokręgu,

zostawiał za sobą szerokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświecających zarośli, i za niemi dopiero powoli wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli różowate wrzosy rozciągały daleko suche i smętne girlandy, a potem [illegible], od krańca do krańca tej pustki, nie było nic, prócz pomarszczonych głębokich piasków i małych tumanów, które tu i ówdzie wzbijały się na płaszczyźnie, lub nakształt znikomych dymów wytryskiwały i nikły nad okrągłemi, nagiemi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka; żadnego też dźwięku oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała z nad rzeki i w borze przepadła; żadnej barwy oprócz białości piasku i szarawej różowości wrzosów; żadnego ruchu oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiałych obłoków; żadnej woni oprócz suchego i krztuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

Stopy Justyny pogrążały się w miałkiej, suchej, gorącej topieli. Wzrok jej ze zdziwieniem przesuwał się po tej pustyni, której nigdy nie widziała, na którą też prawie nigdy nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna, dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza, jeszcze większe uczuła zdziwienie.

Jan zdjął czapkę i zamyślonemi oczyma wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął w progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Możnaby myśleć, że nigdzie tyle, ile w tem miejscu, nie czuł się człowiekiem, i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć, może sześć lat nie byłem. Stryj woli na Mogiłę inną drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegoż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo, długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swojem wskrzeszeniu to miejsce zobaczył, przez które niegdyś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała i więcej nie pytała o nic.

Jan, ciągle na wzgórza patrząc, mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek?... Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakże był niegdyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi i łez niemało na niego spadło.

— Pan to wszystko dobrze pamiętasz?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedm lat pod ten czas skończyłem, ósmy mi szedł: to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód. Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny, albo może i trzy, patrzyli na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach nie duży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, księżyc dobrze już posunął się był do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach tylko, w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym, i częściej w milczącem zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie, nie tak jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za to utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ojciec, dziecko swe żegnający, w zamkniętości swojej nie wytrzymał: cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem. Stała też tam panna Marta, która w tę porę młodą jeszcze była, i kiedy stryja żegnała, troszkę wprzódy święcony medalik jakiś na szyję mu powiesiła; stało i więcej ludzi

różnych ze dworu i okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, a wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów brzęczy. Do tego dwa konie osiodłane i pod pagórkiem tym stojące z niecierpliwości parskały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ojciec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzódy zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi, pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc wprost nad piaskami świecił, a w jego światłości ojciec i pan Andrzej, jeden przy drugim, na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko ani bardzo powoli; konie pod nimi podnosiły się równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos, tędy, przejechali i tam... widzi pani to miejsce?... z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętem ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. — W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się, różowawych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widziałeś?

— Raz już tylko, po tem ostatniem rozstaniu, o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieniegdzie żąć je zaczynali, staliśmy w okolicy, nad samym brzegiem, gdzie... pani wie?... na naszem podwórku lipy rosną. Nie dużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w to miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał; zato gdzieniegdzie podejmowały się z nad boru chmury wszelakiego ptastwa i, jak zwaryowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając, albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oślep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem

grzmoty zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki. Ja wtedy tak przeląkłem się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepiłem się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptaniem przybiegały, pocichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły... Noc nastała... Widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli, ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladujące. W tej cichości i w tem szumieniu posłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne pluskanie. Ktośćiś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i z pod lip naszych widać było cień jakiś, wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!“ — i zakręciła się na miejscu, jak nieprzytomna. Ale stary Jakób, który jeszcze wtenczas niezupełnie był waryatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u murzyna i tylko oczami wilczemi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł i tylko kiedyniekiedy stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło niego szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali: on nic! Raz tylko na mnie spojrzał, i łzy potokiem ściekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić... Z początku niewyraźnie mówił, i zrozumieć nie mogłem; ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... „O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu!...“, i na czoło sobie pokazał... „A twój ojciec tu!...“ i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dołożył: „Obu-

dwóch niema!“ i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?“ Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która przecież innym razem tak rozgłośne pieśni na pola rzucała.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ojciec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała: niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał; ale dziecko całe we łzach obaczywszy, puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i, wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego wszystkie szuflady powysuwane były. Więcej ja cień jego na ścianie niż jego samego zobaczyłem, i zdało się, że na tym cieniu wszystkie włosy, jakby rozrzucony snop zboża, zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?“ — zapytał. Ja jemu, tchu od płaczu nie mając, tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu!...“ i na czoło sobie pokazałem; „a mój ojciec tu!...“ i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obudwóch niema“. Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy: i wtenczas dopiero obaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwaliła się z kanapy czy z krzesła na ziemię... zwaliła się i leżała z twarzą do sufitu obróconą, a taką białą jak kreda, z oczyma zamkniętemi. Pan Benedykt tylko obudwiema rękoma złapał się za głowę, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękach została i, jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jednom tylko to posłyszał, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?“ Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czemś wiązał. i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy, jakby w nie-

przytomności, wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie krzyknął, nie zapłakał, tylko do okna poszedł i, w nocne ciemności patrząc, kilka razy, takim głosem jak człowiek w momencie konania będący, imienia boskiego wezwał...

— Straszne historye! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które, jedna za drugą, cicho i powoli, z pod rzęs jej spuszczonych stoczyły się na policzki. Przed siebie potem spojrzał i żywym ruchem ramienia jej dotknął.

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stanęła, i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też poraz pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptastwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchnął niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów, zmieszane z wilgotnym i cmentarze przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie, wiecznym cieniem osłoniona, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną, czy łąką leśną, objętą regularnem i ściśle zamkniętem kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i plączące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplątane, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności, tak ciemnej, że prawie czarnej. Gdzieindziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się z nad kobierca, wyhaftowanego w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych. Te paprociowe linie strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkimi odcieniami zieloności umalowane i te, wyglądające z pod nich, lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w miryady drobniuchnych gałązek wyrzeźbione, słały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzonem morzem wypływając znowu

na przeźroczyste przestrzenie boru. Na przeźroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasnych i mrocznych geniuszów lasu.

Ale na otoczonej lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglał się nad nią błękit nieba, nieustannie przysłaniany sunącemi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długimi, nieruchomymi słupami cieniów, padających od jodłowych gęstwin. Wysłaniem jej była trawa nizka i nierówna, którą zrzadka usiewały liliowe cząbry i brunelki, białe krwawniki, drobne pączki dzięcieliny i nieśmiertelników. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jałowców, twardemi jagodami, niby czarną, połyskliwą rosą osypane albo czerwonawą rdzawością, tu i ówdzie od ciemnej zieleni, nakształt krwistych plam, odbijające. Z suchych, kolczastych gałęzi jałowcu wychylały się żółte kwiaty wilczej paszczy i wypełzały, daleko po ziemi ciągnące się, girlandy mnóstwa odmian powojów, bluszczów i widłaków. Tu i ówdzie pod krzakami i śród nizkiej trawy czerwieniły się i żółciły grzyby, najszczególniejszych kształtów, lub, woń stęchlizny z siebie wydając, bielała pleśń ziemi. W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, mający kształt podługowaty i łagodne stoki, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkiemi usypany i, jak cała ta polana, nizką, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał; ona też, milcząc, skinęła głową: wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — zapytała zcicha.

— Czterdziestu — odpowiedział i kroku przyśpieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żołn i dzięciołów. Skądeś, z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwem ćwierkaniem, wzniosła się

chmura drobnych leśnych wróbli; krasnoskrzydła sójka błysnęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu, jak w kadzielnicy olbrzymiej, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jałowcu, smoły i cząbru.

Kiedy Jan i Justyna stanęli u Mogiły, na której gdzieniegdzie bujały proste i wysokie łodygi kampanuli, mające, zda się, tuż, tuż, przy najlżejszym powiewie, w delikatne, liliowe dzwonki uderzyć, Jan, z głową odkrytą, u stóp Mogiły stojąc, zwolna wymówił:

— Zupełnie jak w pieśni:

»Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze...«

Kwadranse upływały, godzina prawie minęła: a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły, zatopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Dziecko czasu, ciągnącego się pasmem ciężkiem i szarem, najdalszem wspomnieniem nie sięgała ona żadnej z tych strzelistych i ognistych chwil, które serca, nawet maluczkich, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolebka jej stała już w zmroku i milczeniu, przerywanem tylko szemraniem nizko, nizko przy ziemi krzątających się interesów powszednich i jednostkowych lub skargami podobnemi tym, któremi płaczą wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk, domowemi ścianami ogrodzonych; dojrzewała w kole rozkoszy i strapień, we własnem jej sercu tylko źródło mających. Wszystko, co ją otaczało, pogrążone było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze tylko osobistych, ciasnych, powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połamanemi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakreślając nieustannie te same, malutkie kółka; uczucia ludzkie, jak motyle skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swem życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi. Ani razu przed jej oczyma nie wypadł z ziemi nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Nie widziała nigdy bohaterstwa, poświęcenia, walk, którychby pole nie mierzyło się rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi

owe groty, staczały się one walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którem się urodziła, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w której od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec, ani lekcye, udzielane jej przez nauczycielki, ani tyczące się obejścia i układu wskazówki i przestrogi, których często nie skąpiła jej pani Emilia, ani czytywane wspólnie z kochanym człowiekiem poezye Musset'a i Feuilletowskie powieści — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy ważne i wysokie.

Nieszczęście rzadko bywa mistrzem dobrym, a pognębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet wtłacza w padoły. W życiu jednostek i narodów bywają momenta taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcej zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna, i dlatego z tej Mogiły uderzyły w nią strumienie uczuć i myśli, jeżeli nie zupełnie dla niej nowych, to nigdy dotąd żywo niezaznanych i wyraźnie nieokreślonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Pierwszy może raz w życiu zupełnie, absolutnie o sobie zapomniała i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jej stawało się większem i gorętszem, jakby z pod tej trawy, do której piersią lgnęła, wydobywał się i w nią wnikał niewidzialny płomień.

Samotność i zapomnienie mówiły do niej. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkiem, wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętem kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych hałasów, których najlżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dnie za dniami, lata za latami; kędyś daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z plonami w dłoniach wracali do ognisk domowych; wojownicy z chwałą na czołach nieśli zwycięzkie sztandary; po cmentarzach płynęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże, kochającemi dłońmi zasadzone: tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wie nic i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżyca, a w dżdżyste i burzliwe rozciąga całuny chmur i huczy potężnym, żałosnym hymnem wichrów. Wiosny i lata grają mu rozgłośną muzyką ptasich śpiewów, a zimy, kładąc po drzewach śniegi i szrony, zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu

bywa zimno i pusto; blade słońce miryadami iskier haftuje śnieżne wysłanie polany, a w kryształowych koronkach drzew przemienionych w grobowce czerwony gil niekiedy zagwiżdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiądą na nich i ochrypłymi głosy zagadają o plotkach ziemi... Zupełnie jak w starej pieśni:

»Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze,..«

Chyba też ziemia i drzewa powieją cmentarnemi woniami jałowcu i pleśni, a w letnie wieczory wysmukłe kampanule, tknięte powietrzną pieszczotą, uderzą w liliowe dzwonki na pacierz żałobny, który wyszepcą chyba nizkie trawy...

(Jan i Justyna pokochali się, a choć o jej rękę starał się bogaty pan, ona mimo przestróg Benedykta Korczyńskiego, nie ulękła się ciężkiej pracy w zaścianku, lecz idąc za głosem serca, oddała swą rękę Janowi).

Bolesław Prus.

(ALEKSANDER GŁOWACKI).

Urodzony w r. 1847 w Puławach, ukończył gimnazyum w Lublinie, poczem na wyższe studya udał się do Warszawy. Tutaj w Szkole Głównej zajmował się matematyką i naukami przyrodniczemi. Osiadłszy stale w Warszawie, ogłasza w różnych pismach codziennych swoje poglądy i uwagi o sprawach bieżących, jakoteż rozprawy i studya, szczególnie z zakresu ekonomii społecznej; przez lat 11 był nawet redaktorem dziennika »Nowiny«.

W literaturze pięknej zaczął od małych, przeważnie humorystycznych powiastek. Miał odrazu dużo powodzenia, a w tych powiastkach dużo trafnej obserwacyi, życia, nieraz dowcipu. W większych powieściach obrabiał też i większe kwestye, wystawiał ważniejsze sprawy. Tak Powracająca Fala to stosunki wzajemne między właścicielami fabryk i robotnikami. Placówka to chłop polski, który chce utrzymać się przy swojej ziemi, ale walczyć musi z przeciwnościami, wynikającemi częścią z winy okoliczności, częścią z własnej nieporadności. Emancypantki to kwestya niezależności i równouprawnienia kobiet. Większość ich mówi o tem i rozprawia przez próżność albo dla mody, a na prawdę myśli o sobie i swojej przyszłości. Jedna jest, która rzetelnie myśli jak mówi, która na prawdę gotowa jest się poświęcić, i ta, po wielu trudach, zawodach, krzywdach, idzie poświęcić się bliźnim — w klasztorze.

Lalka to mieszczanin, kupiec, tęgi i szlachetny człowiek, zakochany w pannie z wielkiego ale zubożałego domu. Poświęca się, ratuje, ale nie może zmiękczyć serca tej Lalki, która nie chce nosić jego skromnego nazwiska. Kończy samobójstwem, co do jego wielkiej siły i wyższości jakoś nie przypada.

Faraon to powieść na pozór egipska, oparta zapewne na gruntownych studyach historycznych i archeologicznych. Dwa pierwsze tomy raczej ciężkie, przez mnóstwo dyskusyi filozoficzno-moralnych. Tom trzeci przeładowany przygodami i katastrofami. Bohaterem jest młody następca tronu a później król Ramzes XIII; treścią jest jego walka z kapłanami, którzy przez różne intrygi udaremniają jego pomysły i zamiary reform.

Z powieści p. t.

PLACÓWKA.

(Do pewnej wioski, położonej w górzystej okolicy nad rzeczką Białką, przybyli koloniści niemieccy, chcąc zakupić majątek dworski, a że grunt chłopa Józefa Ślimaka klinem wchodził w grunta dworskie, zapragnęli koniecznie i ten grunt nabyć. Młody dziedzic wioski i jego żona, którzy nudzili się na wsi, gotowi byli posiadłość swą sprzedać, aby przenieść się do Warszawy. Natomiast Ślimak, przywiązany do rodzinnej ziemi, nie chciał jej tracić, choć to był grunt górzysty i jałowy. W porze zimowej wysłał Ślimak parobka, kulawego Maćka Owczarza, do lasu po drzewo. Maciek wziął ze sobą i biedną dziecinę, którą niedawno temu znalazł. Choć wszyscy śmiali się z niego, on opiekował się biedną »znajdą«, karmił ją i woził wszędzie ze sobą. I teraz miał ją ze sobą, kiedy powracał z drzewem. — Zmrok już zapadał, a droga była tak ślizka, iż konie stanęły).

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Swięta Boża Rodzicielko... — szeptał chłop.

Zdjął z sani siekierę i zaczął przed końmi nacinać gładką drogę. Po półgodzinnej pracy dotarł do gościńca; już całkiem ustał. W tem miejscu wznosiło się wysokie wzgórze, prawie niepodobne do przebycia po ciemku i w czasie gołodzi. Zdjął z wozu szlochającą sierotę, siadł przy saniach i otulając dziecko, myślał, czy Ślimak przyjdzie im z pomocą.

Wtem zdało mu się, że poświst wichru zamienia się w dźwięczenie mnogich dzwonków. Wołały one: dyń! dyń!... deń! deień!... grubszymi, cieńszymi i bardzo cienkimi głosami, jak podczas procesyi. Zrazu myślał, że to przywidzenie, ale dzwonki, nie milknąc ani na chwilę, dźwięczały coraz głośniej, coraz bliżej, jak w lecie rój komarów nad bagnem.

— Co to jest? — szepnał chłop i podniósł się na nogi.

Daleko między wzgórzami, zarośniętemi jałowcem, ukazał się na śniegu czerwony płomyk jeden, potem drugi, trzeci, czwarty... Czasem kryły się w wąwozach, to znowu błyszczały wysoko jakby na niebie i znowu nikły, przy nieustannym i coraz głośniejszym akompaniamencie nieprzeliczonych dzwonków. Za każdem nowem ukazaniem się płomyki świeciły coraz jaśniej tak, że nareszcie przy blasku ich można było dostrzedz wielką liczbę ogromnych, czarnych przedmiotów, szybko biegnących w stronę Owczarza.

Równocześnie do uszu parobka doleciał zgiełk głosów ludzkich, tętent koni i trzaskanie z batów.

— Uha!...

— Ostrożnie, bo tu wzgórze!...

— Jedź na złamanie karku!...

— Hej tam!... nie waryujcie!...

— Zatrzymaj sanie!... Ja wysiadam!...

— Wal naprzód!...

— Jezus! Marya!...

— Muzyka nie rozsypała się jeszcze?

— Jeszcze nie, ale się rozsypie!...

— Ha, la, la!

Teraz Owczarz poznał, że to cwałuje sznur sani, wielkich i małych, czterokonnych i parokonnych, którym towarzyszyło kilku ludzi, jadących wierzchem, z pochodniami. Blask ich wśród ciemnej nocy i marznącej mgły wywoływał dziwny efekt. Zdawało się, że ów orszak przez okrągłą bramę, oświetloną czerwonym ogniem, wyjeżdża z jakiejś otchłani, której nigdy nie może opuścić.

A kulig wciąż pędził galopem, krzycząc, gwiżdżąc, śpiewając, strzelając z batów, choć droga była pełna zatok. Nagle stanął tuż przy saniach Owczarza.

— Hej! co tam?

— Stać!... Jakiś wóz zawalił nam drogę...

— Kto to?

— Chłop z drzewem.

— Ustąp, psubracie!...

— Nie ustąpi, bo konie nie uciągną...

— Zepchnąć go w rów!...

— Dajcie spokój!... Lepiej przenieśmy go!...

— Brawo! przenieśmy chłopa! Z sani, panowie!... I nim się Owczarz opamiętał, otoczył go rój panów, w maskach, piórach, bogatych strojach, z szablami, miotłami i gitarami w rękach. Jedni chwycili jego sanie z drzewem, drudzy jego samego, wepchnęli ich na szczyt niebezpiecznego wzgórza, sprowadzili na dół i postawili w takiem miejscu, skąd już mógł wrócić do domu bez wielkich trudów.

— O la Boga! — szeptał zdumiony Maciek, przypatrując się cudakom, między którymi poznał kilku dziedziców sąsiednich wiosek.

— Musi jadą na zabawę do naszego pana — dodał po chwili. — Ale co chwaty to chwaty i dobre panowie!... Żeby w nich nie wstąpiło, stojałbym tu do rana.

Tymczasem ze szczytu wołano:

— Damy boją się jechać pod górę...

— Niech wysiadają, przeprowadzimy je piechotą.

I cała gromada pobiegła znowu na szczyt.

— Sanki nie przejadą tędy...

— Dlaczego nie przejadą? — wołał jakiś młodzieńczy głos. — Antoni, ruszaj!...

— Nie dam rady, jaśnie panie...

— Więc precz z kozła, błaźnie!... Sam pojadę, kiedy się boisz... Po chwili gwałtownie zabrzęczały dzwonki i ze szczytu wzgórza jak wicher przemknęły parokonne saneczki, tuż około Owczarza. Chłop aż przeżegnał się.

Na szczycie znów zawołano:

— Andrzej! jedź...

— Stój, hrabio!...

— Nie narażaj się pan...

— Ruszaj!...

Drugie sanie przeleciały jak burza.

— Brawo!...

— Zuchy!...

— Ruszaj, Jacenty!

Tym razem popędziło z góry na łeb na szyję aż dwoje sanek obok siebie. W każdej siedział furman i pan.

Szalone wyścigi o tyle wytarły ślizką drogę, że inne sanie, uwolnione od pasażerów, mogły wjechać i zjechać bez niebezpieczeństwa, co też zrobiły z należytą ostrożnością.

— Idźmy już!... — zawołano z góry.

— Każdy niech poda rękę damie...

— Poloneza!...

— Naprzód muzyka!...

Ludzie z pochodniami rozstawili się wzdłuż drogi, muzykanci spróbowali instrumentów, pary uszykowały się. Zagrzmiała żałosna melodya poloneza Ogińskiego i z gromady stojącej na górze poczęły wysuwać się para za parą, jak barwna nić wysnuta z ciemnego kłębka.

Owczarz zdjął czapkę, cofnął się za swoje sanki i wydobył z pod kożucha głowę znajdy.

— Patrzaj — mówił — i przypatruj się dobrze, bo pewno drugi raz w życiu nie zobaczysz takich śliczności. To ci procesya, nie bój się!... Same dziedzice i dziedziczki, a tyle ich jak owiec na pastwisku...

O kilka kroków stał lokaj z pochodnią, chłop więc doskonale mógł widzieć każdą parę przeciągającego orszaku i cichym głosem szeptał objaśnienia sierocie:

— Widzisz tego, co mu blacha wyziera z pod algiery, a na głowie ma mosiężny kociołek? To wielgi rycerz!... Tacy zawojowali pół świata dawnymi czasy, ale już dziś ich niema..

Pierwsza para minęła sanki chłopa i znikła za pagórkiem.

— A przypatrz się temu z siwą brodą i z kitą u czapki. To wielgi pan... Tacy dawnymi czasy pół świata trzymali w garści, ale już dziś ich niema...

Druga para rozpłynęła się w ciemności.

— Ten w kołnierzu — mówił chłop do znajdy — to duchowna osoba. Tacy dawnymi czasy znali wszystko, co ino jest na ziemi i w niebie, a po śmierci bywali świętymi. Ale już dziś ich niema...

Trzecia para skryła się za pagórkiem.

— Ten jaskrawy jak dzięcioł, to także wielgi pan. Nic nie robił, ino pił i tańcował. Od jednego razu mógł wypić konewkę wina, a tyle potrzebował pieniędzy, że w końcu z biedy musiał ojcowiznę sprzedać. Kiedy zaś wszystko zakupiono, to i jego nieboraka nie stało.

Czwarta para przeszła.

— Widzisz, widzisz, jaki idzie ułan?... O! tacy dużo wojowali... przeszli cały świat, zbili wszyćkie narody. Ale dziś już i tych niema...

— A patrzaj, patrzaj, o!... na tych... To kominiarz, tamto kowal, ten grá na gitarze, ten niby chłop, ale na prawdę to wszystko panowie przebrani, tak ot sobie, dla zabawy...

Orszak minął chłopa, polonez Ogińskiego rozlegał się coraz słabiej, wreszcie umilknął. Najgorsza droga była przebyta i poczęto napowrót siadać do sani, wśród okrzyków i śmiechów. Znowu zadźwięczał dzwonek jeden, drugi, dziesiąty, cały rój, znowu trzasnęły baty, zatętniały kopyta i kulig pocwałował dalej.

Chłop nakrył głowę, położył dziecko na saniach, ujął cugle i ostrożnie ruszył ku domowi.

(Świetny był bal we dworze. Podczas najlepszej zabawy przybył z listem bogaty żyd pan Hirszgold i polecił oznajmić dziedzicowi, iż w ważnym i pilnym interesie chce się z nim widzieć).

W sali muzyka skończyła grać polkę i po niedługiej pauzie zagrała dzielnego mazura. We dworze zgiełk i tupanie spotęgowały się, kiedy niekiedy rozległa się komenda taneczna, po której następował wybuch hałasu, jakby cały folwark miał runąć. Żyd słuchał obojętnie, siedząc w oficynie, czekał bez niecierpliwości i dumał, wciąż dumał.

Nagle w sieni oficyny zaszumiało, zabrzęczało, drzwi odskoczyły, jakby je kto wywalił, i przed oczekującym gościem stanął dziedzic. Ubrany był w kierezyę z czerwonym kołnierzem, pełną kółek i świecideł, w czerwoną czapkę z pawiem piórem, w szerokie spodnie w białe i różowe paseczki i w buty z podkówkami.

— Jak się pan ma, panie Hirszgold! — zawołał dziedzic wesoło. — Cóżto za pilny list od teścia?...

Gość zwolna podniósł się z krzesła, ukłonił się poważnie i, wydobywszy list z wewnętrznej kieszeni paltota, rzekł:

— Niech pan przeczyta.

— Jakto? teraz?... Ależ ja tańczę mazura, panie Hirszgold...

— A ja buduję dystans kolei — odparł gość.

Dziedzic przygryzł wąsa, odpieczętował list i szybko przebiegł go oczyma. We dworze zgiełk taneczny wciąż potęgował się, komenda mazura brzmiała coraz częściej, głośniej i wyraźniej.

— Więc pan chce kupić mój folwark? — spytał dziedzic.

— I to zaraz.

— Ależ, panie, ja mam bal w domu!...

— A na mnie czekają koloniści. Jeżeli do północy nie skończę z panem, jutro muszę skończyć z pańskim sąsiadem. On zyska, a pan straci.

— No, dobrze to jest — mówił rozgorączkowany dziedzic. — Mój teść pisze o panu bardzo pochlebnie... Ale w takiej chwili...

— Potrzebuje pan tylko napisać parę słów.

Dziedzic rzucił krakuskę na stół.

— Doprawdy, panie Hirszgold, jesteś nieznośny!...

— To nie ja, to interesa. Bardzo chciałbym dogodzić pańskiej familii, ale nie potrafię przedłużyć krótkiego czasu.

W sieni zabrzęczało i wpadł ułan z krzykiem:

— Bój się Boga, Władku, co robisz?...

— Nagły interes... — tłómaczył się dziedzic.

— Ależ twoja dama czeka...

— Więc niech mnie kto zastąpi, bo mówię ci, że mam nagły i ważny interes.

— Ależ dama!... — biadał ułan, wybiegając z pokoju.

W sali pierwszy komendant mazura ochrypnął tak, że całkiem zamilkł. Wnet jednak rozległ się inny, potężny głos basowy:

— Panie — *rond*, panowie — koszyk!...

— Ile pan dajesz? — zwrócił się zdesperowany gospodarz do kupca. — Co za oryginalne położenie!... — dodał, pobrzękując podkówkami.

— Daję dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt rubli za włókę, bez żadnych targów — odparł stanowczo kupiec. — Jutro dam dwa tysiące.

— *En avant!*... — ryknął bas w sali.

— Nigdy! — odparł dziedzic. — Wolę sprzedać chłopom.

— Chłopi dają panu tysiąc pięćset rubli, a dadzą najwyżej tysiąc osiemset.

— Więc wolę sam gospodarować...

— I dziś pan sam gospodaruje, a co z tego?...

— *Tournez!*... — zawołano z sali.

— Jakto co? — oburzył się dziedzic. — Ziemia pyszna lasy, łąki...

Kupiec machnął ręką.

— Ja, panie, wiem, co tu jest — odparł. — Wiem od pańskiego rządcy, który się na Nowy Rok oddalił.

Dziedzic rozgniewał się.

— Więc ja sam rozkolonizuję!... — zawołał.

— I weźmie pan po dwa tysiące za włókę, a przez ten czas młoda pani umrze z nudów — odparł kupiec z uśmiechem.

— *Chaine* z lewej strony! — zabrzmiała komenda.

— Boże! co robić?... — westchnął dziedzic.

— Podpisać ugodę — odpowiedział kupiec. — Wszakże teść pański donosi w liście, że ja dam cenę możliwie najlepszą i że zasługuję na ufność.

— *Partagez!...*

W sieni po raz trzeci zabrzęczało, potknęło się, uderzyło we drzwi, zaklęło na dyabła i pioruny — i do pokoiku znowu wpadł ułan.

— Władku! — zawołał — hrabia śmiertelnie obraził się za afront, jaki robisz jego narzeczonej i chce wyjeżdżać...

— Boże! jakiżem ja nieszczęśliwy — jęknął dziedzic. — Napisz pan, panie Hirszgold, umowę, zaraz tu wrócę...

Wybiegł. Kupiec wydobył z torebki podróżny kałamarz i pióro, z kieszeni złożony we czworo arkusz papieru i przy blasku stearynowej świecy, wśród dźwięków muzyki, łoskotu nóg, krzyków prowadzącego tańce, napisał kilkanaście wierszy. Potem znowu wpadł w swoją spokojną zadumę.

Po kwadransie ucichnął mazur, a wkrótce w pokoiku ukazał się dziedzic zmęczony, ale promieniejący.

— Gotowe? — spytał wesoło.

— Gotowe.

Przeczytał i podpisał...

...We dworze zaczęto tańczyć kontredansa we trzydzieści par, co trwało do kolacyi. Po kolacyi zaś wzięto się znowu do polki, walca, mazura i tak bez końca. Na wschodzie ukazał się blady świt, w chatach zapłonęły ogniska, na podwórkach zaskrzypiały żórawie studzien, w stodołach zatętniały cepy, a we dworze wciąż tańczono i tańczono.

Wraz ze wschodem zimowego słońca Ślimak zarzucił na ramiona sukmanę i szepcąc pacierz, powlókł się przez wrota. Czasem spoglądał na niebo i zapytywał je wzrokiem, jaka będzie pogoda; — to znowu zwracał ucho w stronę dworu, skąd

dolatywały go szczekania psów i urywane dźwięki muzyki. Za tym odgłosem wszedł na drogę i machinalnie zmierzał w stronę pokrytej lodem rzeki, wciąż ustami szepcąc pacierz, a w głowie rozmyślając, jakto długo i wesoło bawi się państwo we dworze.

Patrzył na błękit niebieski, na śnieg zaróżowiony promieniami słońca, na obłoki jakby skąpane w purpurze, wdychał mroźne powietrze ranka i czuł, że tego nieba, śniegu i mrozu nie oddałby za najpiękniejszą muzykę i tańce.

— Jużby ja tam mojej biedy nie mieniał za wasze zabawy!... — szepnął. — Zmęczą się, nie wyśpią jak należy i tyle dobrego...

Znowu przypomniał sobie modlitwę, odegnał z serca światowe myśli i mruczał:

— Drugi pacierz — Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Nagle poza pagórkiem usłyszał rozmowę. Posunął się w tamtą stronę kilka kroków i ujrzał dwu ludzi w długich granatowych kożuchach. Jeden miał twarz starą i ogoloną, drugi był barczysty i brodaty. Oni także spostrzegli go i starszy zapytał:

— To wasze grunta, gospodarzu, z tą górą?

Ślimak przypatrywał im się zdumiony.

— Co wy się tak wypytujecie o moją chudobę?... — odparł. — Przecie wam już tego lata powiedziałem, że grunt mój i góra moja.

— Więc kiedy twoje, to nam sprzedaj — odezwał się brodaty.

— Zaczekaj Fryc, — przerwał mu stary.

— Ojciec zawsze lubi dużo gadać! — ofuknął brodacz.

— Zaczekaj Fryc, — ciągnął stary. — Widzicie, gospodarzu — zwrócił się do chłopa — my dziś kupiliśmy od waszego pana ten majątek.

— No i po co to? — przerwał brodaty.

— Zaczekaj, Fryc. Ale widzicie, gospodarzu, nam potrzebna jest wasza góra, bo chcemy postawić wiatrak...

— Herr Jezus!... — rzucił się brodaty. — Ojciec z niewyspania chyba rozum stracił!... Słuchaj — rzekł gniewnym tonem do chłopa — chcemy kupić twój grunt...

— Grunt? — powtórzył zdziwiony chłop, oglądając się

za siebie. — Grunt?... Chwilę wahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć; wreszcie rzekł:

— A cóż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt?

— Mamy pieniądze — odparł brodacz.

— Pieniądze?... Ja za pieniądze nie sprzedam. To przecie moja ziemia. Siedzieliśmy tu z dziada pradziada, jeszcze za czasów pańszczyzny: i to się nazywała nasza zagroda. Później mój ojciec dostali ten grunt, z ukazu, na własność: i to jest opisane w komisyi. Potem za las ja dostałem trzy morgi także na własność: i to także jest opisane w komisyi. Rządowy omentra ziemię tę zmierzył, na wszystkich papierach są podpisy i pieczęcie, jak się należy — zatem... Zatem — jakiem prawem wy chceta kupować mój grunt, kiedy on jest mój?... Mój własny, no?...

Przez cały ciąg tej długiej mowy, wypowiedzianej wzburzonym głosem, brodacz odwrócił się od chłopa i gwizdał przez zęby, a stary wyciągnął ręce i niecierpliwie niemi wytrząsał. Schwyciwszy nareszcie stosowną chwilę, zawołał:

— Ależ my tobie chcemy zapłacić!... Gotówką... po sześćdziesiąt rubli za morgę...

— I za sto nie sprzedam — odparł Ślimak — bo nie macie na to nijakiego prawa.

— Ale możemy umówić się z dobrej woli.

Chłop pomyślał i nagle zaśmiał się.

— Takiście starzy — rzekł — a jeszcze nie macie rozumu na to, że przecież ja z dobrej woli mojego gruntu nie sprzedam.

— Dlaczego?... Za te pieniądze, które wam dajemy, moglibyście za Bugiem kupić całą włókę.

— Kiej tam tak tania ziemia, to czemu wy jej nie kupujecie, ino włazicie do naszej wsi?

— Cha! cha!... — roześmiał się brodacz. — Chłop widzę nie głupi, kiedy ojcu mówi to samo, co ja z rana i wieczorem powtarzam.

— Zaczekaj, Fryc — rzekł stary, biorąc Ślimaka za rękę. — Gospodarzu — ciągnął, ściskając go — mówmy jak chrześcijanie, nie zaś jak poganie. Tego samego Boga chwalimy, więc po co się kłócić?... Ja, widzisz, gospodarzu, mam syna, co się zna na młynarstwie — i — chciałbym mu po-

stawić wiatrak, na tej oto górze. Jak on będzie miał wiatrak, to on weźmie się do roboty, ożeni się, ustatkuje, i ja będę na stare lata szczęśliwy. A tobie nic z tej góry.

— Ale to przecie moja góra, mój grunt — odparł chłop. — Idźcie do komisyi, a pokażą wam, jako to jest mój własny grunt i jako do niego nikt nie ma prawa.

— Prawa nie ma nikt — potwierdził stary — ale ja chcę kupić.

— No, to ja nie sprzedam.

Stary człowiek skrzywił się, jakby mu się na płacz zbierało. Pociągnął chłopa kilkanaście kroków na gościniec i mówił głosem przyciszonym, drżącym ze wzruszenia:

— Czegoście się tak zawzięli na mnie, gospodarzu? Widzicie, moi synowie kłócą się ze sobą. Jeden lubi rolę, drugi młynarstwo. No, jabym chciał już młodszego ustalić, zbudować mu wiatrak, ożenić i mieć blizko siebie. Niedługo mi już żyć na świecie, mam ośmdziesiąt lat, więc... Nie spierajcie się ze mną.

— Alboż wy nie możecie gdzieindziej kupić sobie ziemi? — spytał chłop.

— No, nie możem. My handlujemy całą gromadą, w kilkunastu. Dużoby o tem gadać... Ale mój młodszy syn, Wilhelm, on nie rolnik... Jak nie będzie miał wiatraka, zmarnieje chłopak albo pójdzie w świat. A ja stary, ja go chcę mieć przy sobie... Więc sprzedaj nam swój grunt — mówił, ściskając go coraz mocniej za rękę. — Zresztą słuchaj — dodał ciszej: — dam ci siedmdziesiąt pięć rubli za morgę... Wielki to pieniądz!... Bóg mi świadek, że daję ci więcej niż warto... Prawda, że sprzedasz? Tyś przecie uczciwy człowiek, chrześcijanin...

Chłop ze zdziwieniem i litością patrzał na starca, któremu czerwone oczy nabiegły łzami.

— Musi, panie — rzekł Ślimak — wy macie kiepski rozum, kiedy mnie tak napastujecie. Bo ino pomyślcie, czy jest sens prosić człowieka, ażeby dał sobie uciąć rękę albo nawet poderznąć gardło? A cóżbym ja, chłop, robił bez ziemi?

— Kupisz sobie inne grunta... Będziesz miał dwa razy tyle... Sam nawet wyszukam ci taką wieś...

Ślimak kiwał głową, wreszcie odparł:

— Mówicie do mnie, jak ten chłop do drzewiny, kiedy ją wykopuje w lesie, a chce zasadzić kole domu. „Chodź — on

mówi — będziesz przy chałupie, będziesz między ludźmi...“ No, i głupia drzewina wychodzi z lasu, bo musi; ale nim ją w nowym gruncie osadzą, usycha. I wy chcecie, żebym ja tak zmarniał z żoną, z dziećmi i całym dobytkiem. Bo cóżbym począł w tym dniu, kiedybym mój grunt sprzedał?

Rozmowę przerwał brodaty, przemówiwszy do ojca po niemiecku, głosem podniesionym i stanowczym.

— Więc nie sprzedasz? — spytał starzec.

— Ni - odparł Ślimak.

— Po siedmdziesiąt pięć rubli za morgę?

— Ni.

— A ja ci mówię, że sprzedasz! — zawołał brodaty, gwałtownie chwytając ojca za rękę.

— Ni.

— Sprzedasz, gospodarzu — powtórzył stary.

— Ni.

Poszli obaj na most, krzykliwie rozprawiając po niemiecku. Chłop podparł brodę i patrzał za nimi...

(W tydzień po kostyumowym balu wyjechał dziedzic z żoną na zawsze, a do ich dworu sprowadzili się żydzi. Podzielono grunta i rozsprzedano parcelami pomiędzy kolonistów, którzy z wiosną przybyli do wsi wraz ze swemi rodzinami. Jedni budowali domy i budynki gospodarskie, drudzy zarabiali przy rozpoczętej właśnie budowie kolei. Szukał tego zarobku i Ślimak, jednak systematycznie usuwano go od wszystkiego, chcąc go w ten sposób zmusić do sprzedania gruntu. Długo i wytrwale bronił się Ślimak, ale kiedy oprócz niepowodzeń w gospodarstwie i nieszczęścia jedno po drugiem spadać zaczęły na niego; kiedy powódź zniszczyła mu pole, syn utonął, ukradziono mu konie, a Maciek, który poszedł ich szukać, zamarzł w drodze ze znajdą; kiedy wreszcie spalono mu chatę, a żona ciężko zachorowała: zachwiał się w swej stałości Ślimak i postanowił już grunt sprzedać, zwłaszcza że ujęli go sobie Niemcy tem, iż jego ugościli, a chorą Jagnę wzięli do siebie, aby ją pielęgnować).

Chłop, odurzony piwem, chwiał się na prawo i na lewo, uśmiechał się niewiadomo do kogo i medytował:

— No, sprzedam!... To i co? Albo mi to nie wolno? przecie lepiej pójść w inne strony i kupić z piętnaście morgów rzetelnej ziemi, niż siedzieć na dziesięciu kiepskich... Sprzedać, to sprzedać, byle wnet...

I powstał, jakby chcąc już iść do rejenta. Ale przypomniawszy sobie, że do rejenta daleko, upadł znowu na siennik

i cicho śmiał się sam do siebie. Mocne piwo, wlane w pusty żołądek, rozmarzało go coraz bardziej.

W tem, na jasnej tafli szyb zarysowała się ludzka postać. Ktoś ze dworu usiłował zajrzeć do kuchni. Chłop machinalnie podsunął się do okna. Popatrzał... wytrzeźwiał... i wybiegł z kuchni... Na skrzyp drzwi śpiący parobek przewrócił się i zaklął, ale Ślimak nie zważał na niego. Trzęsącemi rękoma odszukał klamkę w sieni, targnął ją i owiany mroźnem powietrzem znalazł się na dworze.

Przed domem stała kobieta, zaglądając w okno. Ślimak przypadł do niej, schwycił za ramiona i szepnął z najwyższą trwogą:

— To ty Jagna?... Ty?... Boga się bój, co robisz? Kto cię odział?

Istotnie była to Ślimakowa.

— Samam się odziała, ino butów nie mogłam dozuć i krzywo mi siedzą... Chodzi do dom — rzekła, ciągnąc go za rękę.

— Gdzie do dom? — odparł Ślimak. — A dy żeś ty Jagna taka chora, że nie wiesz, co nam się dom spalił i stodoła... Gdzie pójdziesz na taki mróz?...

W dziedzińcu odezwały się brytany Hamera; Ślimakowa zwiesiła się mężowi na ręku i nalegała uporczywie:

— Chodzi do dom... chodzi do dom!... Nie chcę umierać w cudzej izbie, jak komornica... Ni!... Ja gospodyni... Nie chcę bratać się ze Szwabami, bo mi jegomość nawet trumny nie pokropi święconą wodą...

Ciągnęła, a on szedł. I tak szli oboje do wrót, potem za wrota, potem w stronę zamarzniętej rzeki, aby jak najrychlej dostać się do sadyby. Za nimi biegły psy i z wściekłem ujadaniem szarpały ich za odzież.

Szli w milczeniu. Dopiero nad rzeką przystanęła zmęczona kobieta i, chwilę odpocząwszy, poczęła mówić:

— Myślisz, że ja nie wiem, co cię Niemcy skusiły i chcesz im sprzedać grunt?... Może nieprawda?... — dodała, dziko patrząc mu w oczy.

Ślimak spuścił głowę.

— Ty zdrajco?... ty zaprzańcze!... — wybuchła nagle, wygrażając mu pięścią. — Ty grunt sprzedajesz?... A tobyś ty samego Pana Jezusa żydom sprzedał.... To ci się już sprzykrzyło, żeś jest uczciwy gospodarz jako twój ojciec i chcesz

zejść na poniewierkę między ludzi? A co zrobi syn twój Jędrek?... Będzie chodził za cudzą sochą... A mnie jak pochowasz?... Jak gospodynię, czy jak komornicę?...

Pociągnęła go i weszli na lód. Gdy znaleźli się na środku rzeki, Ślimakowa znowu wybuchła.

— Stój tu, Judaszu!... — zawołała, chwytając go za obie ręce. — Ty jeszcze myślisz sprzedać grunt? Ja ci już nic nie wierzę... Słuchaj — mówiła w gorączkowem rozdrażnieniu. — Ino sprzedasz, Pan Bóg przeklnie ciebie i chłopaka... Ten lód załamie się pod tobą, jak nie wyrzekniesz się dyabelskich myśli... Ja po śmierci nie dam ci spokoju... Nigdy nie zaśniesz, bo choćbyć zasnął, wstanę z grobu i oczy będę ci odmykała...

— Słuchaj!... — krzyknęła jakby w napadzie szału. — Jak sprzedasz grunt, nie przełkniesz Najświętszego Sakramentu, bo uwięźnie ci w gardle, albo rozleje ci się krwią...

— Jezu! — szepnął chłop.

— Gdzie stąpisz, trawę spali ci pod nogami... — klęła nieprzytomna kobieta. — Na kogo spojrzysz, rzucisz urok i spotka go wielgie nieszczęście...

— Jezu! Jezu! — jęknął chłop i wyrwał się jej z rąk i zatkał uszy.

— Sprzedasz? sprzedasz? — pytała, zbliżając swoją twarz do jego twarzy.

Ślimak potrząsnął głową i rozłożył ręce.

— Niech się co chce dzieje — odparł — nie sprzedam.

— Choćbyś miał zdechnąć na swoim barłogu?

— Choćbym zdechł.

— Tak ci Boże dopomóż?...

— Tak mi Boże dopomóż i niewinna męka Jego...

Ślimakowa zachwiała się. Mąż pochwycił ją wpół i prawie zaciągnął do swojej stajenki, gdzie spali dwaj parobcy Hamera.

Chłop posadził żonę na progu, a sam począł bić pięściami we drzwi.

— Kto tam? — zapytano rozespanym głosem.

— Otwórzta!... — Wstawajta!... odparł Ślimak.

Jeden z parobków otworzył drzwi.

— To wy, Ślimaku? — rzekł zdziwiony, owijając się kożuchem.

— Idźta na swoją kolonię, bo muszę tu kobietę ułożyć.

Parobek począł drapać się po kudłatej czuprynie.

— Kpicie, czy co?... Przecie ten grunt już nie wasz...

— Ino czyj?... — wrzasnął rozgniewany chłop i, ująwszy go za piersi, wyciągnął na podwórze.

— Poszły!... — dodał, usuwając się drugiemu parobkowi, który, z butami w rękach, dobrowolnie opuszczał stajenkę.

Wygnani mrucząc poczęli się szybko ubierać; Ślimak wziął żonę na ręce i ułożył ją na ciepłym jeszcze barłogu. Kobieta ciężko dyszała...

— Nic nie pomoże — myślał — trza sprowadzić jaką babę i felczera...

Niekiedy otwierał skrzypiące drzwi stajenki i zaglądał do żony. Zdawało mu się, że śpi, nieco uspokojona, bo już nie chrapała.

Tak przewałęsał się do rana. Po wschodzie słońca rzucił paszy krowom i napoił je, a gdy się całkiem rozwidniło, wszedł do stajni, chcąc się trochę przespać.

Zastanowił go spokój żony. Więc choć mu się oczy kleiły i huczało w głowie, podszedł do niej i obejrzał, skupiając resztę uwagi. Targnął ją za rękę, dotknął ust — nie ruszyła się. Umarła i już nawet ostygła.

(Tegoż dnia wieczorem wstąpił do zagrody Ślimaka Jojna, najstarszy i najbiedniejszy w okolicy żydek, a dowiedziawszy się o nieszczęściu Ślimaka, poszedł zaraz do miejscowego proboszcza i oznajmił mu, co się stało. Ksiądz wziął w kosz trochę żywności i butelkę miodu, kazał zaprządz konie do sani i natychmiast udał się do Ślimaka).

W pół godziny konie proboszcza stanęły przed zagrodą Ślimaka. Ksiądz zapalił wydobytą z pod kozła latarkę i ze światłem w jednej, a koszykiem w drugiej ręce, poszedł do stajni.

Pchnął drzwi nogą i zobaczył trupa Ślimakowej. Spojrzał w prawo — na barłogu siedział chłop, przysłaniając oczy od blasku.

— Kto to? — spytał Ślimak.

— Ja, proboszcz.

Chłop zerwał się z ziemi i zarzucił na ramiona kożuch. Na twarzy jego widać było zdumienie; nie mógł zrozumieć

co się dzieje. Chwiejnym krokiem przeszedł próg i, stanąwszy naprzeciw księdza, przypatrywał mu się z otwartemi ustami.

— Czego tu chceta jegomość? — rzekł cichym głosem.

— Przynoszę ci spokój i błogosławieństwo Boskie. Wdziej kożuch, bo zimno, i pokrzep się — odparł ksiądz. Ustawił kosz na wysokim progu stajni i począł wydobywać chleb, mięso i butelkę miodu.

Ślimak zbliżył się do proboszcza, spojrzał mu w twarz, dotknął rękoma futra i nagle upadł mu do nóg, szlochając:

— Jaki ja biedny, mój jegomość... jaki ja biedny... Oj! jaki ja biedny!...

— *Benedicat te omnipotens Deus* — błogosławił go proboszcz. Ale wnet zamiast przeżegnać, ujął go w ramiona i usiadł z nim na progu. I tak siedzieli długą chwilę: nędzny, płaczący chłop w objęciach wzruszonego księdza.

— No, uspokój się, bracie... wszystko będzie dobrze... Bóg nie opuszcza swoich dzieci.

Pocałował go i otarł mu łzy. Ślimak z rykiem upadł mu do nóg po raz drugi.

— Niech już zginę... — szlochał. — Niech już pójdę do piekła za moje grzechy, kiej mnie takie szczęście spotkało, że sam jegomość ulitowaliście się nade mną... A czy ja warn tego? a dy żebym ja sto lat żył, żebym na kolanach do Ziemi Świętej poszedł, to jeszcze się nie odsłużę.

Dużo czasu upłynęło, nim proboszcz zdołał go o tyle uspokoić, że chłop podniósł się i wdział kożuch.

— Napij się — rzekł ksiądz, podawszy mu kielich miodu.

— Kiej nie śmiem, mój serdeczny jegomość.

— No, więc ja piję do ciebie — i dotknął ustami kielicha.

Ślimak ujął miód drżącemi rękoma i, znowu uklęknąwszy, z trudnością wypił.

(Siedząc na progu stajenki, rozmawiał ksiądz z Ślimakiem, a dowiedziawszy się o jego nieszczęściach, udał się do zamożniejszych jego sąsiadów i nakłonił ich do zapomnienia uraz, jakie miał do niego, i do udzielenia pomocy nieszczęśliwemu. Przybyli tedy do Ślimaka stary i zamożny gazda Grzyb i sołtys Grochowski, zajęli się pogrzebem zmarłej, a pogodziwszy się z Ślimakiem, Grzyb wy-

dał za niego swą owdowiałą siostrę, która miała piętnaście morgów gruntu, że zaś grunta te leżały w innej stronie wioski, więc Grzyb odkupił od Hamera jego folwark i dał go Ślimakowi w zamian za grunta siostry. Ślimak zgodził się na to i tylko nad tem bolał: »że jego Jagna widzieć tego nie będzie«.

Piotr Chmielowski.

Urodzony w r. 1848 w Zawadyńcach na Podolu. Gimnazyum ukończył w Warszawie, poczem wstąpił do Szkoły Głównej (studya klasyczne). Ostatni rok studyów wyższych odbył już w uniwersytecie warszawskim, na który w r. 1869 Szkołę Główną zamieniono. Następnie wyjechał za granicę i kształcił się dalej w Lipsku, gdzie też (1874) uzyskał stopień doktora filozofii. Powróciwszy do Warszawy, pracował niestrudzenie na polu piśmiennictwa polskiego, ogłaszając recenzye, sprawozdania, mniejsze rozprawy i większe dzieła. W r. 1881 otrzymał nominacyę na profesora literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, ale zrzekł się jej, gdy mu kazano wykładać po rosyjsku. Odtąd udzielał lekcyi w szkołach żeńskich i prywatnie. Później dla zdrowia przeniósł się z Warszawy do Zakopanego. W r. 1893 został członkiem korespondentem Akademii umiejętności w Krakowie. W roku zaś 1903 otrzymał posadę profesora historyi literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, ale już w r. 1904 umarł.

Najpłodniejszy to może z naszych pisarzy na polu literatury polskiej i niewątpliwie jeden z najpracowitszych. Zaczął od studyów i prac filozoficznych, których też i w dalszem swem życiu nie porzucał. Żywo także zajmował się sprawą wychowania narodowego i ogłosił kilka prac w tym przedmiocie, (n. p. Poezya w wychowaniu 1881). Najwięcej jednak zasłużył się pracami swemi z zakresu historyi literatury polskiej. Oprócz wielu mniejszych rozpraw zostawił znaczną liczbę prac większych, przeważnie z zakresu literatury w. XIX. Do najważniejszych należą: Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego (I. wyd. 1873, III. wyd. 1886). — Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 16 (1881; wyd. II. z ost. lat 20 r. 1886; w. III. z ost. lat 30 r. 1894). — Autorki polskie (1885). — Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki (1886 w 2 tomach). — Nasi powieściopisarze (1887). — Studya i szkice z dziejów literatury polskiej (1888 w 2 tomach), jako zbiór całego szeregu mniejszych rozpraw, drukowanych od r. 1874 po różnych pismach. — Józef Ignacy Kraszewski, zarys historyczno-literacki (1888). — Historya literatury polskiej (1898—1901 w 6 tomach).

Wszystkie te pisma mają niezaprzeczoną wartość i zasługę: wszystkie są pożytecznym nabytkiem w nauce. Wartość tę stanowi przedewszystkiem pracowitość, skrzętność, mnogość i dokładność informacyi, jakoteż sąd zazwyczaj trafny i słuszny o pisarzach i ich dziełach. Znajomość literatury zadziwiająca, a jej zamiłowanie nie mniejsze; praca zaś i zasługa około literatury polskiej wielka, dająca Chmielowskiemu prawo do trwałej i wdzięcznej w niej pamięci.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Zarys historyczno-literacki.

(Rozdz. X. ustęp V.).

W spuściźnie Kraszewskiego niema wprawdzie ani jednego arcydzieła w najwyższem znaczeniu tego wyrazu, ale jest ogrom utworów, przejmujący zdumieniem i podziwem. Galerya jego postaci mało zawiera wspaniałych, imponujących posągów z marmuru, ale mieści w sobie cały nieprzejrzany las nadzwyczaj charakterystycznych i żywych figur z terrakoty, wychylających się ku nam z uśmiechem, tęskną łzą, marsowym nastrojem, zadumą, smutkiem, jowialnym żartem, sarkazmem, bólem serdecznym, rozpaczą — w najprzeróżniejszych kombinacyach, które nieraz zaledwie odczuć a nie określić się dają. Wśród tych niepoliczonych objawów życia, brak jedynie upostaciowań myśli głębokiej a nowej i tragiczności.

Te znamienne cechy utworów tłómaczą się charakterem umysłu pisarza.

Rozum jego to gąbka wchłaniająca chciwie wszystko, co ją wypełnić może. Kraszewski interesował się każdym przedmiotem, każdym objawem, zostającym w jakimkolwiek związku z rozwojem ducha, z dziejami człowieka. Jak w pierwszej młodości oddawał się studyom nader od siebie różnym, bo literaturze francuskiej i gramatyce arabskiej, powieściopisarstwu i dziejoznawstwu, filozofii i filologii, bibliografii i slawistyce; tak i później przez cały ciąg życia wzbogacał nieustannie skarbiec wiadomości ze wszystkich dziedzin poznania. Wiadomości te zbierał zazwyczaj z nadzwyczajną skrzętnością, bez głębszego krytycznego ich roztrząsania; chodziło mu o dokładność, nie o ścisłość. Świadczyć o tem może zamiłowanie w takich naukach, które dzisiaj są jeszcze w stadyum gromadzenia materyałów, jak archeologia i dzieje sztuki.

bardzo pilnie rozwój prądów cywilizacyjnych, oraz nauk wywierających wpływ na wielkie masy, starał się zawsze być obznajomionym z najnowszemi zdobyczami wiedzy; nigdy nie przemienił się w zakamieniałego rutynistę, powtarzającego z uporem to tylko, czego raz się nauczył, ale chętnie porzucał wiadomość choćby nawet silnie z dziejami jego umysłu związaną, jeżeli się okazała fałszywą, chętnie przejmował pierwiastki świeże, wytworzone przez postęp, usiłując je zharmonizować ze staremi. Oprócz krótkiej chwili w pierwszej młodości, kiedy butnie krańcowemi popisywał się frazesami, zawsze dążył do złotego środka, polegającego na pomiarkowaniu zbyt daleko idących a różnokierunkowych zapędów myśli i dążeń. Złoty ten środek stosownie do zmieniających się wpływów i nastroju ogólnego ulegał także odmianom, a raczej odmiennym zabarwieniom; raz się zwał zasadą ewangieliczną, drugi raz pogodzeniem tradycyi z postępem, trzeci raz zlaniem idealizmu z realizmem.

Nigdy go autor ściśle we wszystkich szczegółach nie określał, gdyż zawsze chciał sobie pozostawić możność dodania lub ujęcia czegoś ze sfery w nim zawartej. Wielostronnym bowiem był i pragnął się okazać umysł Kraszewskiego; tylko że nie w jednym czasie i nie w skupieniu rozpatrywał różnorodne cechy pewnego objawu życia lub wiedzy; brał je po kolei albo w różnych okresach swego rozwoju; stąd mogły poglądy jego wydawać się w danym wypadku ułamkowemi i jednostronnemi; ale gdy się przegląda dzieła wszystkie i gdy się jednym rzutem obejmie całość jego twórczości, widoczną się stanie dążność do jaknajszerszego uwzględniania objawów życia, czy to narodowego czy ogólnie cywilizacyjnego. Nowych dróg w krainie ducha nie torował, lecz na wszystkich umiał znaleźć zasiłek i przyswoić sobie w pewnej mierze to, co było albo niewątpliwie dobrym nabytkiem, albo przynajmniej najwięcej uznania wśród współczesnych znajdowało. Wykształcony początkowo w zakątku, do którego słabo przenikały odgłosy romantyzmu, wchłonął przedewszystkiem idee wieku oświeconego w bardzo umiarkowanej formie i mierze, a te go zabezpieczyły następnie (rozumie się, w połączeniu z właściwościami

jego temperamentu) od całkowitego oddania się prądowi nowemu Zawdzięczał on jednakże jemu uidealizowanie poglądu na życie, pojęcie miłości jako potęgi wszechwładnej i wiecznie trwałej, oraz przeciwstawienie poezyi zabiegom powszednim o byt materyalny. Gdy romantyzm bujny lot swój obniżył zstąpił na grunt codzienny i wytworzył przesadne uwielbienie swojszczyzny nie tylko w jej cnotach, ale i w jej błędach, dał się i Kraszewski kierunkowi temu porwać, idealizując nawet tak wyraźne wady, jak brak porządku i rachunkowości. Lecz i wówczas nawet pobudka dobra i szlachetna była źródłem jego zapatrywań i dążeń i chciał dla duchowej strony człowieka i społeczeństwa wywalczyć należne uznanie, a rycerzom tej dziedziny zapewnić sterownicze stanowisko. Wśród rozróżnionych zdań i dążności co do środków zachowania bytu narodowego rozpoczął od zalecania jawnych sposobów działania, dał się następnie na chwilę unieść kierunkowi rewolucyjnemu, ale skończył na uznaniu pracy spokojnej i wytrwałej na wszystkich polach działalności za drogę najlepszą i najbezpieczniej prowadzącą do upragnionego celu. Za pojawieniem się prądu pozytywistycznego odezwała się w nim naprzód natura idealisty, lękał się, żeby się społeczeństwo nie zmateryalizowało i nie zapomniało o tem, co piękne, szlachetne i wzniosłe; ale doświadczeniem bolesnem nauczony, coraz bardziej się skłaniał ku wyznawaniu tej prawdy, że ścisłe liczenie się z rzeczywistością nie tylko nie może obniżać poczucia ideałów, ale owszem daje możność realizowania ich wedle sił rozporządzalnych, tak że skończył wyraźnem potępieniem bezpłodnego marzycielstwa, bardzo różnego od poezyi, i rozprawiania próżnego o ideałach, zamiast przykładania ręki do pracy choćby drobnej napozór, byle z wyższą myślą przewodnią podjętej. Pozostał tylko jak poprzednio tak i w końcu życia przeciwnikiem krańcowości. Te oględne, nie uwydatniające się jasno i dobitnie przekonania w kwestyi zasad nie mogły uczynić Kraszewskiego wodzem, podającym hasła społeczeństwu całemu lub choćby nawet stronnictwu tylko; ale sprawiały, że we wszystkich istotnie ważnych sprawach, jakie naród miał do załatwienia, okazywał nasz znakomity pisarz współudział czynny i skuteczny; tak było w sprawie wyzwolenia włościan, uobywatelenia żydów i skierowania społeczeństwa na drogę pracy organicznej. Inicyatorem żadnej z wielkich czynności społecznych nie

był; w każdej bowiem z wymienionych tutaj miał poprzedników zarówno w teoryi, jak w praktyce: ale do ich przeprowadzania i ugruntowania przyczynił się potężnie.

Uczuciowość Kraszewskiego nie znała również krańców chłodu i wulkanicznych wybuchów; zatrzymywała się w złotym środku. Miękkość, łagodność, trwożliwość i drażliwość były głównemi jej cechami; nie przemieniała się jednak na czas dłuższy w łzawą sentymentalność, gdyż ją broniła od tego pewna trzeźwość, wyrażająca się nastrojem satyrycznym, który przebywał fazy szyderstwa, sarkazmu i łagodnej ironii. Z początku działalności literackiej nastrój ów nawet był panującym; dopiero wpływ rozmantyzmu wprowadził do niej nutę smutku i tęsknoty i w połączeniu z oddziaływaniem często zachmurzonej rzeczywistości na wrażliwe i drażliwe usposobienie powieściopisarza wytworzył upodobanie w malowaniu bohaterów o wszelkich możliwych przymiotach, tylko bez hartu woli, miękkich, narzekających na świat, cierpiących, a niezdolnych do energicznego czynu. I w tym jednak nawet okresie, gdy kult ludzi zdolnych a słabych był najsilniej u Kraszewskiego rozwinięty, nie ich wizerunki były najdoskonalszemi artystycznie, ale raczej satyryczne obrazki społeczeństwa, wśród którego ginęli owi łzawi bohaterowie. Sam powieściopisarz nigdy takiej słabości woli nie okazał; jedną właśnie z największych jego zalet była żelazna wytrwałość wśród najniesprzyjaźniejszych nawet okoliczności. Otrząsnął się on też w końcu i ze swej predylekcyi do natur słabych i marzycielskich, i w ostatnim okresie swych natchnień nakreślił kilkanaście postaci dodatnich, odznaczających się energią i zdolnością do działania. Przyznać atoli należy, że te postaci nie mogą się zaliczyć do pierwszorzędnych pod względem piękna i artystycznego obrobienia; mają bowiem zawsze jakąś szczerbę w swej organizacyi, nie dozwalającą im całą siłą ducha rozporządzać; a w rysach szczegółowych znać raczej chęć twórcy uczynienia ich doskonałemi, niż posługiwanie się faktami zaobserwowanemi. Nic dziwnego. Szyderski nastrój wskazywał zawsze więcej ujemnych, aniżeli dodatnich stron w ludziach i stosunkach; a chociaż Kraszewski rozwagą dochodził do przekonania, że stawianie narodowi ideałów jest jednym z bardzo ważnych obowiązków powieściopisarza - obywatela, i chociaż robić to próbował nieraz, niepodobna mu przecież było tak

się świetnie wywiązywać z tego zadania, jak w malowidle słabości i usterek ludzkich, ku spostrzeganiu których wiodło go przyrodzone usposobienie. A lubo w pismach jego dużo jest ciepła, promienieje ono na czytelnika łagodnie i w żar nigdy się nie zmienia, bo autor entuzyastą nie był. Stąd i majestat historyi przedstawia mu się nie we wspaniałych i imponujących kształtach, ale w rozbitych na kawałki ułamkach, w których znać zawsze więcej słabości, niż dzielności ludzkich. Stąd też, jakkolwiek pojmował niewątpliwie i odczuwał niezawodnie uczucia i położenia tragiczne, ani razu nie odtworzył ich w całej ich wzruszającej grozie, a zaledwie kilkakroć potrafił się na wymaganej przez sytuacyę utrzymać wyżynie. Z namiętności pochłaniających człowieka jedną tylko miłość malować lubił, ale i w jej obrazach tylko bierne poddanie się mężczyzny uczuciu wszechwładnemu, dochodzące niekiedy do patologicznych objawów, głównym jest motywem. Wszystkie inne namiętności w łagodnej u Kraszewskiego przedstawiają się formie. Nędzy rozpaczliwej, bez wyjścia, gnieżdżącej się głównie po miastach, nie znał naocznie i nigdy jej malować nie lubił: nawet żebracy jego są albo romantycznymi wytworami albo tak w swej biedzie zadowolonemi ze swego losu, że litować się nad nimi niepodobna. Ogólnie biorąc, jest w tym względzie powieściopisarz wiernym tylko malarzem naszej rzeczywistości, gdyż temperatura uczuć naszych jest przeważnie bardzo umiarkowana, a jeżeli się gwałtowniej objawia, to w sposób wybuchowy i przemijający; ale takie poprzestawanie na właściwościach powszednich, bez uwzględnienia tych, które rzadziej się pojawiają, lecz tem bardziej na uwagę zasługają i nieraz wpływ ogromny na społeczeństwo wywierają, dowodzi skłonności przyrodzonej autora, lubiącego osobistości o średnim, przeciętnym stopniu podniecenia uczucia. — Jako człowiek był Kraszewski serdecznym, wylanym dla rodziny i przyjaciół, uprzejmym dla każdego tak, że niczyjego listu, pomimo nadzwyczajnie zajętego czasu, bez odpowiedzi nie zostawił. Wrażliwość jego przemieniała się niejednokrotnie na drażliwość do wysokiego posuniętą stopnia; nigdy w życiu nie obył się z nieprzyjemnościami, na jakie naraża autorstwo; każda krytyka dotykała go mocno, i lubo nieraz sam zapewniał, że jest ona niezbędną, nie mógł jej znieść spokojnie i czyto publicznie czy prywatnie użalać się zwykł na jej ciosy. Nie obcą

mu nawet była mściwość i pewien stopień zazdrości; ale zawziętym nigdy nie był; chętnie z przeciwnikami swymi się godził i urazy przebaczał, jeśli się z nimi zetknął osobiście. Wrażliwość niezmierna w połączeniu z trwożliwością wobec wielkich zagadnień, albo groźnych, rzeczywistych czy urojonych tylko, niebezpieczeństw sprawiała, że niekiedy bez potrzeby niepokoił i siebie i społeczeństwo, malując widma nieszczęść lub obrazy zwyrodnienia jako już-już zagładę narodowi niosące — albo też nie umiejąc w lęku znaleźć dość przytomności i energii, by stanąć wobec narodu czy obcych z całą godnością swego wysokiego stanowiska jako rycerza ducha. — Co jednakże czynił, czynił zawsze w szczerości i dobrej wierze, iż się kieruje rozumnemi i szlachetnemi pobudkami; obłuda, pozowanie, stawanie na koturnach były mu wstrętne.

Fantazya Kraszewskiego stanowiła dla niego niewyczerpaną kopalnię pomysłów; nie znajdował w niej coprawda drogich marmurów, ale glinki, dającej się artystycznie modelować, zawsze miał podostatkiem. Fantazya ta potrzebowała zawsze zasiłku z zewnątrz, w obserwacyi lub dokumentach pisanych; wtedy była pewna siebie i tworzyła rzeczy najlepsze. Pociągnięty przykładem romantyków, tworzył też Kraszewski postaci, stosunki i krajobrazy niewidziane, ale okazywało się wówczas, że były one bez porównania słabsze od tych, do których materyału dostarczyło spostrzeganie bezpośrednie lub pośrednie. Jakże piękne i jak prawdziwe są krajobrazy okolic, które znał dobrze z długoletniego w nich pobytu — krajobrazy Wołynia, Polesia wołyńskiego, a w części i Litwy! — a z drugiej strony jak blado, jak ogólnikowo przedstawiają się opisy miejsc, które Kraszewski pobieżnie tylko oglądał. Czując tę właściwość swego talentu, powieściopisarz zawsze najchętniej wracał do dawniej znanych stron i w nich miejsce akcyi naznaczał, zbywając pobieżnie to, czego nie mógł szczegółowo malować. Obserwacya jego miała sobie właściwe znamię: odnosiła się przedewszystkiem do strony zewnętrznej przedmiotów. Oko jego zachowało niemal aż do śmierci spojrzenie nadzwyczaj bystre i odrazu ogarniające dużą przestrzeń. Stąd pochodzi zdumiewająca plastyka jego postaci osób i rzeczy. A że talent ten posiadał nasz powieściopisarz w stopniu najwyższym, jeżeli o odtworzenie powierzchowności chodzi, to śmiało można twier-

dzić, iż nikt mu w tem nie zrównał. Postaciami szafował nad miarę nawet, bo wiedział, że nigdy mu ich nie zabraknie. Istotnie, pomimo tak olbrzymiej ilości osób, jaka się w jego utworach przewija, niepodobna znaleźć dwu do siebie zupełnie podobnych — tak samo jak w naturze. Nieraz podobieństwo bywa bardzo wielkie, zdaje się napozór, że autor powtórzy własne swe dzieło, ale naraz występuje jakiś rys chociażby drobny, ale znamienny, który jedną postać od drugiej wyróżni i samoistne znaczenie jej nada. Inaczej rzecz się ma ze stroną duchową osób. Do odtworzenia wnętrza brakło Kraszewskiemu głębszych studyów psychologicznych. Pod koniec życia znał on i oceniał ważność, a zarazem trudność zbadania duszy ludzkiej, gdy pisał: „Proces, jakim się każda istota wyrabia, kształtuje i przybiera sobie właściwe cechy indywidualne, tak jest skomplikowanym, że ktoby go chciał wyjaśniać umiejętnie, wskazując, jak się tam składały atomy na pierwiastki, a pierwiastki na rozliczne kombinacye, musiałby badaniu jednego życia własne całe poświęcić. Szczególniej ta doba, gdy istota dobiega do najwyższego rozwinięcia swej potęgi, jest jakby dramatem sił i prądów z niemierną szybkością walczących z sobą i wydających coraz nowe kombinacye. Twórcza siła młodości przerabia ciało, zahartowuje narzędzia życia, rozwija umysł i nadaje kierunek prawie wszystkim władzom; ale są tajemnice w tem niezbadane, bo każde indywiduum jest nową oryginalną kreacyą, może podobną do innych, nigdy im całkowicie równą“. W praktyce, o ile można było porobić wnioski z fizyognomii, giestów i mowy osób, Kraszewski dokonywał tej pracy nadzwyczaj trafnie, ale gdzie potrzeba było dłużej pożyć z człowiekiem, ażeby go poznać do gruntu, gdzie kombinacye sił pierwiastkowych były bardzo zawiłe, tam pospolicie talent jego chromał. Stąd natury proste, naiwne, albo po chłopsku przebiegłe doskonale znajdujemy odtworzone w pismach powieściopisarza; natury zaś skryte, chytre, z wyżej rozwiniętą inteligencyą, długo snujące plany przed ich wykonaniem, pozostają tu zagadkami, albo osobami, które się inaczej w określeniach autora, inaczej w działaniu powieściowem przedstawiają. Stąd bardzo częste znajdujemy u niego wyznania, że nie może wytłómaczyć uczuć, myśli i postępków postaci swoich, składając się jedynie tym ogólnikiem, że serce zagadką. Stąd także wypłynęło narzekanie na krytyków i czytelników

w takich np. słowach: „Często dają się słyszeć zarzuty, czynione artystom, że w ich charakterach brak ścisłej konsekwencyi. Niestety! jeszcze więcej zbywa na niej ludziom żywym, a malarz związany prawdą fenomenów, musi jej nawet — prawdopodobieństwo poświęcić". Łatwo zauważyć, że usprawiedliwienie takie jest w gruncie ominięciem tylko zarzutu. Artysta może przedstawiać niekonsekwencye spostrzeżone w ludziach żywych, ale musi to robić całkiem świadomie; musi mieć od samego początku całość danego charakteru w pomyśle swoim, a nie sztukować go dowolnie wtedy dopiero, gdy chwilowo potrzebna sytuacya tego wymaga, jak to bywa dość często u naszego powieściopisarza. — Dowcip jego najlepszy ma zawsze charakter jowialny albo satyryczny; sfer wykwintnych i subtelnych nie tyka i dlatego ludzie salonowi, przedstawieni przezeń jako dowcipni, zazwyczaj nie składają dowodów dowcipu w rozmowie, tak jak jego ludzie wielce przebiegli nie okazują przymiotu tego swem postępowaniem.

Kompozycya utworów artystycznych Kraszewskiego jest luźna; brak jej ześrodkowania nie z zasady, ale poprostu z niezbyt wielkiego uzdolnienia do zawiązania i prowadzenia akcyi. Autor nasz umie doskonale kreślić sytuacyę, zazwyczaj działając drobnymi rysami i małemi scenkami; w jednym bowiem tylko okresie swojej twórczości (1851—1862) powołał na swe posługi rozlegle malowane obrazy. Związać atoli dobrze te sytuacye, skupić umiejętnie rozprószone środki artystyczne, nie było już dla niego rzeczą łatwą. Krótkie, najwyżej tomikowe kompozycye bywają bardzo często udatne, ale obszerniejsze dalekiemi są od doskonałości, tak, że niepodobna wskazać ani jednej kilkotomowej powieści, któraby za arcydzieło formy uważana być mogła.

Gdyby nam wypadło w myśl Mickiewicza poszukać w Kraszewskim namiętności zasadniczej, z którejby można było wyjaśnić wszystkie objawy twórczości; tobyśmy szukali jej chyba w niepowstrzymanym pociągu do pisania, gdyż z niego wypłynęło właściwe powieściopisarzowi pojęcie obowiązków obywatelskich, nadzwyczajna zjawiskowa jego ruchliwość i płodność, oraz niesłychana wytrwałość w pracy. W roku 1841, odpisując na uwagi przyjaciela co do swojej twórczości, tak pisał Kraszewski: „Zarzuciłeś mi, że się zbyt na drobne pisemka rozsypuję i trwonię, co tam we mnie jest daru (jeśli jest); pozwól

się wytłómaczyć. Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma i t. d. Inny mam cel. Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i nie wiele stoję o sławę; mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d. poruszyć, rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim, rozrzucić kilka idei błądzących mi po głowie. Oto mój cel, oto sława, której pragnę, sława pobudziciela. Dlatego to ja nie wypracowuję tego, co piszę, ani dbam o przyszłość pism moich. Jedną drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, iżem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów". Tej zasługi rzeczywiście nikt, nawet gdyby najniżej oceniał wartość myślową i artystyczną utworów Kraszewskiego, zaprzeczyć mu nie może. Rozpocząwszy działalność swoją wówczas, gdy wielcy poeci i historycy usunąć się musieli poza granice kraju i dziełami swojemi nie mogli bezpośrednio i natychmiastowo wpływać na umysły najznaczniejszej części narodu, gdyż względy polityczne stały temu na przeszkodzie, Kraszewski nie mogący się z nimi równać talentem, piekł — jak sam się wyraził w przemówieniu jubileuszowem — chleb razowy dni powszednich, ażeby nim nakarmić rzesze zgłodniałe, potrzebujące pokrzepienia wśród nader smutnych, przygnębiających stosunków. Artykułami i utworami pisanymi lekko, żywo, przystępnie, a barwnie, pociągnął ku czytaniu nawet takie sfery, które dawniej prócz książek do nabożeństwa i kalendarzów nic więcej z literatury nie kupowały i nie czytały. Pracując co najmniej za dziesięciu, wzbogacał piśmiennictwo narodowe i w zakresie powieści wprowadzał reformę do tej podobną, jakiej na większą skalę romantyzm w dziedzinie poezyi dokonał, to jest z naśladowniczej czynił ją oryginalną, swojską. Niema wątpliwości, że zaczątki powieści nowożytnej znajdowały się już w utworach poprzedników Kraszewskiego, że branie materyału powieściowego wprost z obserwacyi, nie zaś z fantazyi, tudzież obrazowanie plastyczne w mniejszym lub większym stopniu, spotykają się już w pismach Krasickiego, Niemcewicza, Bernatowicza, Jaraczewskiej, Skarbka: ale i to rzecz pewna, iż znamiona te pomieszane tam jeszcze były z pozostałościami dawniejszemi: z pierwiastkami czysto-fantazyjnemi i dowolnością autorską. Otóż oczyszczenie owych znamion z tych naleciałości, jak niemniej spotęgowanie kaś-

dego z nich poszczególe jest istotnem dziełem Kraszewskiego, jest tym nowym czynnikiem, jaki on do powieści naszej wprowadził, sprawiając, że ten rodzaj twórczości piśmienniczej z okresu niemowlęctwa przechodził w okres dojrzewania. Jego przykładem zachęceni wzięli się dopiero starsi od niego pisarze, jak Józef Korzeniowski, Ignacy Chodźko, Ludwik Sztyrmer, do powieści i utworami swemi wzbogacili tę gałąź; młodzi zaś w znacznej liczbie poszli wprost torem wskazanym przez mistrza.

Niejednokrotnie zwracano uwagę Kraszewskiego na to, że nie ilość, ale jakość produkcyi umysłowej ma istotne w sprawie oświaty narodowej znaczenie, że więc lepiej pisać mniej, a starać się wykonać to jak można najdoskonalej pod względem myśli i formy. Na to miał on zawsze jedną odpowiedź: natura mojego uzdolnienia jest taka, że inaczej pracować nie mogę, i upominał się o prawo pozostania przy swem indywidualnem usposobieniu. „Czy godzi się — pisał jeszcze w roku 1844 — wiecznie sądzić wszystkich jednym sądem, mierzyć jedną miarą? Każdy ma warunki moralnego swego bytu inne, każdy jest sobą. Ani ja jestem lepszy, że wiele piszę, ani ktoś tam doskonalszy, że pisze mniej. Wieczne słysząc narzekania na niepoprawność, na pośpiech i t. p., próbowałem inaczej pracować, niż dotąd: poprawiać, gładzić. Cóż wynikło? Wynikło to, że to, com poprawiał, było niechybnie popsute. Może być, że innym służy metoda, która mnie na nic się nie zdała; pozwalam na to, że wszystko, co piszę, jest niewykończone: ale inaczej być nie może. Wyjść nikt z swej natury, z warunków swego bytu nie potrafi. Gwałcąc siebie, nic się dobrego pewnie nie stworzy. Mogę nic nie pisać, ale pisać będę, jak piszę“. A w trzydzieści siedem lat potem toż samo składał wyznanie: „Jest w słabości natury mojej, w jej właściwości to, że zwykłe opracowywanie, dla innych pożyteczne, u mnie daremnem się staje lub nawet szkodliwem. Są tacy nieszczęśliwi, do których ja należę, którym nie dano jest nic przerobić bez zepsucia. Nieubłagana jakaś, choć może fałszywa logika zmusza, co się narodziło ułomnem ortopedycznym doświadczeniom nie poddawać, aby większego nie ściągnąć nań kalectwa“. Przyjąwszy takie wyjaśnienie usposobienia indywidualnego, jako idyosynkrazyi pewnej, winniśmy tylko z najgłębszem uznaniem uczcić wytrwałość niezmordowanego pracownika

który posłuszny niezwalczonemu popędowi przez lat 57 nie porzucił pióra i nawet wśród najokropniejszych warunków, pod którymi by inny uległ bezwładnie, tworzył te miliony wierszy, jakie po nim w spuściźnie nam pozostały. We wszystkich innych właściwościach podobny do przeciętnego typu Polaka ukształconego, pod względem jedynie wytrwałości i pracowitości odróżnił się Kraszewski w sposób, jakiego żaden inny pisarz którejkolwiek literatury nie dał przykładu. Jeżeli więc jako potężny budziciel życia duchowego i reformator naszego powieściopisarstwa zasługuje on na cześć w dziejach oświaty naszej i w sercach narodu, to jako olbrzym pracy i wytrwania za wzór stanąć powinien dla wszystkich, którzy w pracy i wytrwaniu widzą lepszą przyszłość skołatanego nieszczęściami społeczeństwa.

Aleksander Brückner.

Urodzony w r. 1856 w Tarnopolu w Galicyi, nauki gimnazyalne i studya uniwersyteckie ukończył we Lwowie, a złożywszy egzamin doktorski w Wiedniu 1876., kształcił się dalej w Lipsku, Berlinie i Wiedniu, zajmując się głównie językami słowiańskimi i litewszczyzną. W latach 1878 1880 był docentem gramatyki języków słowiańskich w Wiedniu i we Lwowie, w r. 1880. powołany na nadzwyczajnego profesora języków i literatur słowiańskich do Berlina, dotychczas tamże pozostaje (od r. 1892. jako profesor zwyczajny). W r. 1888 został członkiem korespondentem, a w r. 1891. czynnym członkiem Akademii umiejętności w Krakowie; jest też członkiem rosyjskiej Akademii Umiejętności w Petersburgu.

Ilość napisanych przez niego dzieł i rozpraw jest bardzo wielka, a w treści ich rozróżnić należy dwa kierunki, dwa pola pracy. Zrazu poświęcał się głównie studyom nad językiem: od tego stopniowo przeszedł do badania literatury, i wkrótce na tem polu odznaczył się nowemi odkryciami i zdobyczami. Z umiejętną metodą i skrzętnością łączył wielkie zamiłowanie przedmiotu i niezwykłą przenikliwość. Zwrócił się naprzód do średniowiecznych zabytków języka, a tych szukając po wszystkich bibliotekach, znalazł w starych kodeksach wiele ułamków kazań, modlitw, pieśni, nawet powieści, które były zarazem zabytkami początkowej literatury: zebrał je, opracował i ogłosił w osobnych rozprawach i rzucił nowe światło na stan literatury polskiej w wieku XV.

Drugiem polem jego odkryć jest literatura, i to literatura protestancka XVI wieku, dotąd mało znana, a jeszcze mniej obrobiona, a zwłaszcza wiek XVII. Odnalazł on i ogłosił znaczną liczbę niedru-

kowanych, często bezimiennych, wierszy, broszur, rozpraw; przez to powiększył znacznie inwentarz tej literatury, a w opracówaniach oznaczył jej charakter, jako dyletancki przeważnie, niedość artystyczny, ale bardzo ciekawy jako świadectwo czasu, jego usposobień, pojęć i cywilizacyi.

W trafnem zrozumieniu szkody, jaką nam przynosi nieznajomość rzeczy polskich u cudzoziemców, napisał prof. Brückner Historyę literatury polskiej po niemiecku. Jest to najlepsze z pewnością dzieło, z którego obcy mogą czerpać wiadomości o literaturze polskiej. Niebawem ogłosił dwutomową Historyę Literatury po polsku, która jest co do treści i wartości podobną do owej niemieckiej, tylko od niej znacznie obszerniejsza, obfitsza w szczegóły i wiadomości, jako przeznaczona dla Polaków, obowiązanych więcej i dokładniej wiedzieć o swojej literaturze. Jednotomowa Historya literatury rosyjskiej jest znowu dla nas jedynem dziełem oświecającem nas w tym przedmiocie i jest równie dobrze pisana jak Literatura polska. Na obchód czterechsetnej rocznicy urodzenia Reja, wydał Brückner monografię Mikołaj Rej, w której opowiada żywot Reja, a dzieła jego bada i objaśnia tak, jak dotąd jeszcze nigdy zbadane i opracowane nie były.

Znakomity uczony, na polu krytyki i historyi literatury tak zasłużony, że trudno mu w tej zasłudze dorównać.

Z „MIKOŁAJA REJA".

(Rozdziału VIII).

Zasadnicze rysy talentu i twórczości.

Tory Rejowe nie wiodły na manowce; i po nich można było do doskonałości kroczyć. Najlepszym tego dowodem facecye anonima-protestanta 1569 r.: kunszt ich znaczniejszy; widzisz, że autor przeszedł szkołę, zna wzory, pracuje nad formą, a rodzimości się nie wyzbywa, w pęty humanizmu ani myśli ani języka nie zakuwa. Wszystko, co daje, to nie pożyczki z Antologii czy Martialisa, ale swojskie, rodzime, nie tylko treścią, lecz i duchem. Fraszki Kochanowskiego powstać mogły i pod auzońskiem niebem: jego tylko nad Bugiem i Wisłą, w Gołogórach i Warszawie, we wsi polskiej z gminnem narzeczem i w dworkach szlacheckich z kuligiem przed wrotami, a inkursyą tatarską za plecyma. Większy nierównie talent Kochanowskiego, wiedza wielka, smak wyrobiony narzuciły niebawem i czytającym i piszącym mamidła klasycyzmu. Przejmowano go (klasycyzm) potem żywcem, zamiast wydoskonalić się na nim. Wygodniej było gnuśności sarmackiej czerpać

z gotowych obrazów, myśli, języka, niż silić się na wydanie czegoś własnego. Szkoła humanistyczna, ślepo w antyk (choćby tylko rzymski) zapatrzona, z góry smak i pojęcia fałszowała, czy wykolejała; lepszym zdawał się wiersz kradziony — i popęd twórczości oryginalnej słabnął widocznie. Brak było tej dumy poważnej, cechującej Reja, nie dozwalającej mu schodzić na stopień niewolniczego powtarzania, naśladownictwa ślepego; pozostawał sobie wiernym, samoistnym, nawet gdy w obce wstępował strzemiona. Brak tej samoistności okupiła literatura zupełnem wyrodzeniem.

Jeżeli się Rej przez humanizm z torów polskich wykoleić nie dał; jeżeli trzeźwy pogląd na świat nie dał się obałamucić mrzonkami klasyczności, nie przesiedlał Hipokreny, Akademii i Forum na piaski i błota chełmskie i naddniestrzańskie: czy nie dał się natomiast porwać wirowi religijnemu? Iluż wtedy taki los nie spotkał! Filolodzy, pedagogowie, politycy, historycy, mowcy zawód rzucali i w arcykiepskich teologów i polemistów się przedzierzgali z największą stratą dla siebie i dla nas. Czy nie spotkało toż i Reja? bo może *incidit in Scyllam, qui vult vitare Charybdim?* Innemi słowami, czy jednego gotowego szablonu nie wymienił na drugi, zamiast Jowiszów i Fabiuszów nie wprowadził — również grzesząc przeciw prawdzie i rzeczywistości — proroków i Dawidów i sielanek patryarchów nad Nidę i do Proszowic? Czy jak Kochanowski klasycyzmem, tak sam nie zgrzeszył biblijnością, nie zwiódł literatury na manowce starohebrajskie, zamiast starorzymskich? Istotnie, psuje minister-kaznodzieja koncept politykowi-obywatelowi; zjeżdża na kazanie niedzielne, co się naprawą rzeczypospolitej zaczynało. Realny, praktyczny zmysł ustrzegł się jednak zbytniego zaślepienia; dogmat, konfesya pozostały obojętne, nie godził się jak Frycz, ani waśnił jak Orzechowski; satyryczna żyła, a pierwiastek moralno-dydaktyczny, etyczny, spotężniały; owszem do lotu zerwał się ciężki Rej tylko na skrzydłach modlitwy. Więc tego przynajmniej literata „teologia“ nam nie zepsuła; bez „teologii“ byłby może rychlej z placu zeszedł, byłby się drobnemi rzeczami jak Marcin Bielski zadowolił; w ferworze religijnym podniety doznał, jakiej nic innego zastąpić mu nie mogło.

Ferwor ten religijny wycisnął jednak bardzo głębokie ślady na całej twórczości. Przejął się duchem biblijnym: wszystko,

co Pan żydom obiecuje, czem grozi i straszy, co uczy i napomina, do nas powiedział; ich bałwochwalstwo — nasze (rzymskie), czeka nas (chrześcijan, szlachtę polską) los ojców naszych i przodków świętych (t. j. żydów); dlatego przykłada się z taką pilnością do objaśnienia Hozeasza i Apokalipsy, których proroctwa dziwnie na nasze czasy się godzą. Ideały jego więc biblijne, ewanieliczne: państwo Boże na ziemi wprowadzić, umoralnić społeczeństwo; dlatego wstępuje kaznodzieja na miejsce pedagoga, polityka, ekonoma, dlatego o wojnie nie myśli, fałszem się brzydzi, do udoskonalenia siebie samych wzywa, od życia czynnego niby odciąga; zapatrzony w patryarchów, co się niby światem (polityką, dworem, wojną) nie parali, nie zna innego ideału prócz życia swobodnego, wolności nie zaprzedanej, sumienia nie obciążonego, niepomny, że co dobre dla sielanki starohebrajskiej, dla rzeczywistości polskiej było fatalne. W królu i senatorze najpierw, a raczej wyłącznie chrześcijanina upatruje; że istnieją jakieś rady Kallimachowe, jakieś zasady mądrości politycznej, nic go nie dotyka. Przeraża najbardziej, na co Pan się sroży: brak sprawiedliwości; o inne potrzeby państwowe już mniej dbać będzie. Słowa pisma św., przykłady starozakonne ciągle mu w uszach brzmią i przed oczyma stają; naśladując nawet Senekę, coraz je przytacza. Porywającą niemal wymową odzywa się do nas, nawołując do skruchy, skupienia, żalu, miłości bliźniego. Cóż ma w gruncie to państwo, którego koniec blizki — czuwajcie więc, bo nie wiecie dnia i godziny! To jego filozofia, etyka, religia. Ma w sobie coś z purytanina, ale brak mu konsekwencyi purytańskiej, coby fabuły klasyczne o Aleksandrze W. i innych synach szatańskich z obrzydzeniem odrzucała; brak mu i nietolerancyi sekciarskiej.

Jako prawdziwy Słowianin nic wojowniczego w naturze swej nie posiadał; podrażnił go dopiero ów impet religijny, natchnął go nienawiścią do katolicyzmu. Natura to zresztą łagodna i dobrotliwa: z kart jego żadnej nienawiści nie wyciśniesz, prócz owej skierowanej przeciw wymysłom rzymskim, ale nie przeciw osobom, ani przeciw biskupom ani przeciw księżom; ujmuje się często za chłopkiem; ogniem zapłonie tylko przeciw brakowi sprawiedliwości, przeciw uciskowi sierót i wdów (sam opiekun przykładny). Hartem, energią, ziemianin nie celował; kłótnie rozwadzał, nie jątrzył, więc i przeciw

grzechom i wadom na umor nie walczy. Spokojny, spokój lubi i wieje od kart jego to zrównoważenie myśli, dzierżącej się wiary i dogmatu jako kompasu, nie roztargnionej pychą, zbytkami, zabiegami marnymi, skupionej w życiu prostem a łatwem, patryarchalnem, biblijnem.

Urodzony i wychowany na łonie przyrody, na kresach niekulturalnych rzeczypospolitej, na dalekiej ziemi ruskiej, z ludem się nie zrósł; przepaści stanowej nigdy nie przekroczył i jeżeli się za młodu pieśni ludowej nasłuchał, nie wniósł jej z sobą ani nie zapożyczył się od niej w literaturze; na śpiewaka ludowego materyału u niego nie było. Z ust ludu tego nawet żadnych słów ani przysłów nie zapożyczył, chyba: „czart Iwana goni“ albo „prawo ne prawo, ja za swojem potahnu“; jeżeli są obce, to czeskie, nie ruskie, a czeskie zjawiają się z propagandą religijną, z „Postylą“ głównie, nibyto teologia ich użycie nakazywała. Innego języka, prócz (czeskiego i) łacińskiego nie znał.

Jak obok ludu, tak przeszedł i obok szkoły i miasta. Tryb wykształcenia szkolny, życie miejskie pozostały mu obce: choć książki bardzo polubiał, nieufności przeciw wiedzy książkowej nigdy się nie pozbył. Seneka gani »*inane studium supervacua discendi*« i rozumie przez to dociekania, czy Iliada wcześniej napisana czy Odysseja — ile wioślarzy miał Odyssej i t. p.; Rej rozumie przez to samo czytanie Owidyusza z Horacym. W mieście stawiał się na terminy sądowe albo kiedy posłowi gospodę w niem zapisywano; przypatrywał się z chłodną ciekawością trybowi życia w mieście, zadowolony, kiedy je opuszczał, kiedy wyjeżdżał do towarzyszów dobrych. Słuchał tu i czytał sam wiele, ale zawsze został „poetą“ przyrodzonym, bez dalszego ćwiczenia. Nie kusił się też o rzeczy wielkie, o popis przed światem: chodziło mu o nieuczków, jakim był do niedawna sam. I zaczął na wielką skalę popularyzować wiedzę, nie historyę, kosmografię, fabuły, co bawią lub uczą rzeczy nie zbawiennych, lecz moralną i etyczną, gdy się z wiarą z grubsza załatwił. O formę i styl nie dbał, pisał tak, jak mówił, a raczej gorzej, bo na piśmie łamał się z wierszami lub z okresami i szczęśliwie z tych trudności nie wybrnął nigdy. Ani więc postępu, wydoskonalenia, ani wielkiej rozmaitości osiągnąć nie mógł; do uogólniań i rozumowań sił brakło: myśl jednak wygimnastykował i z nadzwyczajną łatwością

układał na byle jaki temat przemowy; o kompozycyę się nie kłopotał, jakby to powiązać te przemowy, kazania, anegdoty (bo tego nazbierał dosyć z lektury i opowiadań ustnych), obrazki i allegorye. Doświadczenie, obserwacya, szczególniej przyrody od lat jeszcze chłopięcych, gdy nikt go nie krępował, ciągłe między ludźmi obcowanie wzbogaciły umysł, przetarły wzrok na dziwne obłędności ludzkie; żyłkę satyryczną odziedziczył, wzorów było podostatkiem: tak zaczął niegdyś najpierw tworzyć, potem nawet pisać. Propaganda nowej wiary porwała go, wzniosła, wzmocniła; samej satyrze, choćby z podkładem dydaktycznym, nie byłby poświęcił tyle sił i czasu. O oryginalność wtedy, gdy wszyscy wszystkich naśladowali, nikt nie dbał i musiał się Rej wysunąć na samo czoło piszących. Nie pytano go, skąd się w materyę zapożyczał; imponowała rzutkość, z jaką samouk najrozmaitszych rzeczy próbował, aż przećwiczony w mniejszych, do wielkich się zwrócił. Co pisał, różniło się stanowczo od tego, co dotąd było — od lichych nieraz tłómaczeń czy naśladowań. Pisał gładko, zrozumiale, jasno, a przytem dobitnie i dosadnie; rzeczy robiły wrażenie oryginalnych; tylko znawcy (Seklucyan czy Kochanowski) odgadywali obce ich pochodzenie. Sam zresztą w cudze pióra się nie stroił i za wynalazcę tych rzeczy wcale się nie wydawał; to grunt dla niego, że polskie, że zrozumiałe (czego o dawniejszej literaturze wcale nie można powiedzieć i stwierdzał to sam), że pożyteczne. Dawniejsza literatura tłómaczyła rzecz nieraz tak, że bez oryginału jej nie zrozumiesz: rzeczy Rejowe, samoistniej przemyślane, nawet gdzie obcych „tłómaczyły“, odwiązały polszczyznę od łaciny; po raz pierwszy na wielką skalę rozwinęła swe skrzydła do lotu, zatłoczona dotąd zaniedbaniem wiekowem. Stąd to jednomyślne uznanie, zachęcające Reja do coraz nowych wysiłków; nawet katolicy, srodze zaczepiani, nie odmawiali tej zasługi, po latach jeszcze. W istocie Rej tylko uprzedził innych; same okoliczności parły ku temuż.

I wiersze jego — marnych od dobrych nie odróżniano jeszcze, nie żądano od wierszów niczego więcej niemal, prócz formy — i proza były więc objawieniem. Prawda, gdy się nowych pism polskich wreszcie dzięki jemu namnożyło, cena owych spadła: treść nie zadowalała, jako banalna i naiwna, forma zbyt prosta wykwintniejszemu smakowi nie odpowia-

dała. Przyczyniły się i waśni religijne, zapewniające niedawno temu powodzenie, teraz je niweczące. I zeszedł Rej z czoła, ustąpił innym, lecz pamięć zasługi przetrwała. Spółcześni nie domyślali się, że prócz samej inicyatywy co do czasu należała się Rejowi i większa chwała, że kierował to młode piśmiennictwo na tory narodowe; lecz trafił na złe czasy, kiedy to wiersz nie mógł być ozdobnym, jeśli nie był uczonym, a uczonym mógł być tylko na modłę klasyczną. I proza Zwierciadła ucierpiała, bo choć ją anegdoty i sentencye rzymskie przetykały, odskok od ducha klasycznego był nadto widoczny, „uczoności" nie było żadnej: Postyla i Apokalipsis z cudowną prozą, jedynie godną przedmiotu, istniały tylko dla topniejącej rychło garstki spółwierców. I wyszły dzieła Rejowe z obiegu.

Wina to głównie jego. Literatura jego zastępowała niby nie istniejącą średniowieczną i nie mogła niebawem XVI wiekowi wystarczyć. Praktyk średniowiecznych nienawistnik, przejął się zupełnie duchem średniowiecznym; ku niemu cały zwrócony, potrzeb nowożytnych nie uwzględniał; *laudator temporis acti* (nawet z jego piwem i grzankami), nie oryentował się w stosunkach spółczesnych i gdyby wiatr reformacyjny nie wzdął jego żagli, całkiemby na mieliźnie osiadł. Średniowiecze, jakie reprezentował, nie było owo dawne, rycerskie, wojownicze, lecz plantatorskie i kolonizacyjne z końca XV wieku, na Rusi wyrosłe; „Żywot poczciwego człowieka" jest właściwie żywotem włodarza, ekonoma, dzierżawcy, a choćby pana — gospodarza; broń przekuł na lemiesze, w „kopalinach" kury jaja wysiadują; w koszuli siedzieć, piwo siec, na lutence przygrywać, chłopów doglądać, sąsiada odwiedzić, nikomu krzywdy nie robić, Pana Boga chwalić, taki niezatrudniony, swobodny żywot, gdzie sumienia nie zawiedziesz, złej sławy nie nabędziesz (na to ostro baczy, nie darmo szlachcicem się czuje), zdrowie zachowasz, nikomu nic dłużen nie zostaniesz — to w gruncie jego ideał i, co najważniejsze, życiem własnem mu przyświadczał, obojętny na zaszczyty, urzędów się nie dopinający. I chociaż praktyka w Polsce ku temu samemu zdążała (gdzież indziej wyśpiewano tyle szczerych, nie urojonych pochwał wsi wesołej, wsi szczęśliwej?) — teorya taka zadowalać nie mogła, obniżała nadto człowieka i aspiracye jego.

Rej, powstający tak ostro na prywatę, na owych, których jedyne hasło: „A mnie co do tego? Patrzaj każdy swego!“ — mimowoli i pismami i życiem własnem to hasło zalecał. U niego „nasz Polak nie mądr właśnie aż po szkodzie“, kiedy „wolność przedał droższą niźli złoto“: ależ nie każdy syn szlachecki posiadał Topolę i Nagłowice i gdzieżby podziała się Rzeczpospolita, gdyby nikt sobie urzędem ani służbą poczciwej swobody zatrudniać nie chciał? Ideał więc jego był antysocyalny, przynajmniej w społeczeństwie szlacheckiem, i nie dziwimy się, że nie popłacało zachwalanie jego, nawet gdyby większym kunsztem było wyrażone.

Całkiem innym wzrokiem patrzymy my na dzieło Rejowe. Pomijam stronę językową, niespożytą, ową krynicę najczystszej polszczyzny — drugiej takiej i w wieku XVI niema, nie mówiąc o późniejszych; Rej jedyny niemal pisarz, wolny od prowincyonalizmów, od latynizmów, od solecyzmów, od złego smaku, odznaczającego naszych wierszokletów z ich np. złożonymi przymiotnikami; raz tylko obruszył się na „krasnomędrków“ z ich „krasomównościami“. Od niego dowiadujemy się o „słówkach niewieścich pieszczonych“, znamy kilka takich i skąd inąd, np. przekwintować; ale jego własne są inne, „jasne a nie ponure a prawie sękowate“, „one, co idą z ust jako piorun trzaskał, a iż znać w nich wierną szczerość, a iż w nich żadnej obłudności nie masz“; właśnie ta prostota niewymuszona, ta szczerość stanowi cały ich wdzięk.

Uznajemy jednak w Reju jeszcze coś innego.

Literatura nasza dawna, zwiedziona na manowce klasyczne, za mało nam prawi o ludziach i życiu realnem; sama szata łacińska historyków naszych fałszuje mimowoli, bo zakrywa rysy i szczegóły; panegiryki łacińskie i łacińskopolskie nie dają również wyobrażenia prawdziwego. Pamiętnikarstwa — prócz wdzięcznej próby Górnickiego — wiek XVI nie zna; urodziło się ono później dopiero. Właściwą księgą obyczajową XVI wieku pozostaje więc Zwierciadło, wtrącone obrazki do Postyli i Hozeasza, do Wizerunku i Zwierzyńca; obfitszy z nich połów, niż z satyryków współczesnych. I odsłaniają one inną nieco Polskę, niż ta, którąbyśmy wedle Kochanowskiego i humanistów, wedle Górnickiego, wedle życia u dworu królewskiego i wielkopańskiego, wedle mów sejmowych uformować mogli. Życie szlachty drobnej i średniej tu poznajemy, jak

i z fraszek anonima-protestanta, dopełniających tak znakomicie Reja — życie szlachty, która i czytać nie umie (jeszcze w połowie XVII wieku mawiano, że chory na rękę, kto się krzyżykiem podpisywał); która się całkiem zasiedziała na zagonie ojczystym, o Bożym świecie nie wie; która się udała na marne zbytki, przy łojowem słońcu i kuflu piwa ojcowiznę przegrywa, dzielna w awanturach nocnych; której jedyną rozrywką myśliwstwo; której Bogiem ich brzuch. Lecz prowadzi nas Rej i wyżej, do swoich, między miłośników biesiady poczciwej, rozumnej, gdzie i zażartują i przymówek nie skąpią i rozśmieszą, ale gdzie i o Rzeczypospolitej radzą i o wiarę się swarzą i na króla winę zwalają i panom się odgrażają: gdzie czystość, porządek, nie tylko w izbie i w ubiorze, ale i w głowach i sumieniach. Jednym z najprawdziwszych i najpoczciwszych z tego grona był autor sam; mimo wszelkiej zaśniedziałości średniowiecznej przebija z słów jego i serce czyste a gorące, i miłość szczerości a prawdy (wszystko zniesie, usprawiedliwi, wybaczy, tylko nie — zadania nieprawdy, „łża"), miłość bliźniego, a że to ciągle swym „dilektom" prawił i kazał, policzymy to chętnie do tylu innych zasług, jakie sobie około narodu i języka zaskarbił.

Nie zapominajmy przytem, że pisma Rejowe bardziej proste niż on sam. Ubocznie, jedną i drugą uwagą zdradza, że badał głębiej, że powierzchnią się nie zadowalał; i znajdziemy u niego spostrzeżenia bystre a trafne, którychbyśmy próżno szukali u Frycza i Górnickiego, u Wolana i Skargi. N. p. owa uwaga, że litujemy się bardziej nad zbrodniarzem, niż nad ofiarami zbrodni (sprawa Zborowskich i zgnębienie rokoszu, a raczej pobłażanie jemu, bardzo drastyczny do tej uwagi komentarz); albo druga, że każdyby u nas wszystkich na swój ład przekabacił (wiemy, jacyśmy skorzy do narzucania drugim własnych zasad czy opinii); największego wroga Rzeczypospolitej upatruje przed innymi w „prywacie" i zwalcza go stale przez ćwierć wieku, a podobnych uwag wyłowilibyśmy i więcej. I możemy pytać, dlaczego to Rej płytszy w pismach, niż był w życiu. Przyczyna tego tkwi w jego roli mentorskiej. Nauczyciel poczciwy nie dba o własną wiedzę i sławę, o popis, lecz o pożytek uczniów: i do tych nieuczków i prostaków stosował Rej swe pisma i zadowalał się wdrażaniem ogólników, które mu się jeszcze ogólnikami nie

zdawały, przynajmniej wobec braci. Dlatego te ciągłe moralizacye z uszczerbkiem prawdziwej nauki, politycznej czy ekonomicznej, życiowej; głęboka religijność każe również dbać raczej o samoudoskonalenie, niż o służbę społeczną.

Drugim takim mentorem polskim był Górnicki, z niezrównanie większą wiedzą i smakiem, człowiek zupełnie nowoczesny, bez uprzedzeń rodowych czy wyznaniowych. Jakżeż mu daleko do Reja mimo tych przymiotów! I on obiera, co za najlepsze uważa, i przyswaja je w tłómaczeniu czy naśladowaniu swojej literaturze, swoim ziomkom: i dyalog Platoński i traktat Seneki i encyklopedyę renesansową, Dworzaninem zwaną, i tragedyę klasyczną; żadne z jego pism (prócz Dworzanina po niemal 80-letnim przeciągu) nie doczekało się nowego wydania. Brak Górnickiemu temperamentu i serca Rejowego, owej szczerej, głębokiej miłości bliźniego, pieczy o jego dobro moralne; chłodem wieje od kart jego — mniej uczone Rejowe ciepłem porywają. Dobry, gorący to był sługa Rzeczypospolitej, politycznej i literackiej; brakło naśladowców równie gorących i dobrych.

UWAGI OGÓLNE O LITERATURZE W DRUGIEJ CZĘŚCI OKRESU ÓSMEGO.

A. Proza.

Z natury rzeczy wynikało, że kiedy krytyczna dążność do poznania siebie samych miała być duszą i cechą literatury, to w tej literaturze proza musiała wziąć górę nad poezyą. Wogóle nie jest to dobrym znakiem dla literatury ani dla społeczeństwa, jeżeli poezya w epoce jakiej niestosunkowo wybuja nad prozą; bo w tej ostatniej, a nie w poezyi wyraża się zazwyczaj rozum narodu i jego charakter męski, zasób jego wiedzy, grunt jego oświaty i jasna świadomość jego woli. W literaturze rzymskiej proza stanowczo przewyższa poezyę: tak samo we francuskiej z epoki Ludwika XIV, i tak samo w naszej z wieku XVI. Nie mamy więc czego żałować, że w dzisiejszem piśmiennictwie polskiem proza stanowczo góruje nad poezyą. Tej nic to nie uwłacza ani nie szkodzi, bo ta, która była w epoce poprzedniej, nie straciła nic ze swoich sił i piękności i zawsze tak samo jaśnieje, zagrzewa i wpływa: a dobrze jest, że po niej, która na uczucia i wyobraźnię przedewszystkiem działała i te kształciła, proza zaczęła kształcić i wyrabiać do równości z tamtemi dwie inne władze naszej duszy, rozum i wolę.

1. Dziejopisarstwo. Skoro zaś kierunkiem i pierwiastkiem głównym literatury w tym okresie miało być dążenie do trzeźwego, krytycznego i politycznego sądu nad sobą: to znowu nie mogło być inaczej, tylko że historya, do tego sądu pierwsza powołana i usposobiona, musiała rozwinąć się bujniej niż inne gałęzie piśmiennictwa. Tak się też stało; i to jest znamieniem naszej literatury w dzisiejszym okresie jej dziejów, że największa liczba i największa siła pisarzy niepospolitych skupiła się na polu dziejopisarstwa.

W samym środku tej grupy historyków, jako pierwsi co do czasu, a razem najznakomitsi reprezentanci tego kierunku, stoją Józef Szujski i Waleryan Kalinka. Ale dążność sama, choćby najmędrsza, nie wyda jeszcze dobrej historyi, jeżeli się nie oprze na umiejętności badania. Ta, przez dwóch wymienionych własną pracą nabyta, w młodszych była już systematyczną nauką wyrobiona (w zagranicznych, później już we własnych seminaryach historycznych); umiejętna zaś metoda i krytyka, dodana do wyżej opisanej dążności, do tego obywatelskiego i politycznego stanowiska historyi, wydała w naszych czasach taki stan i rozkwit tej nauki, jakiego przedtem u nas nigdy nie było. Wspaniały był widok tej historyografii polskiej, kiedy żył jeszcze Szajnocha, dłużej od niego Helcel i Bielowski, Szujski i Kalinka już zrobili sobie wielkie imię i stanowisko, a liczny zastęp młodszych wstępował na scenę. Do tych należał Ksawery Liske (profesor historyi powszechnej w uniwersytecie lwowskim, † 1891), który zasłużył się około historyografii polskiej wydawnictwem źródeł, szczególnie zaś wyjątkowym darem kształcenia i sposobienia młodych historyków i zapałem do nauki, jakim ich umiał przejąć. Podobnie Adolf Pawiński w Warszawie przez liczne wydawnictwa źródeł, a zwłaszcza przez badanie i doskonałe określenie skarbowości polskiej, oraz instytucyi sejmików i sejmów posunął bardzo znacznie znajomość naszych dziejów i ułatwił ich zrozumienie. W Poznaniu Kazimierz Jarochowski († 1888) oddał się studyom nad najsmutniejszą częścią historyi polskiej, nad epoką saską i pierwszy (rzec można) wprowadził w nią światło historyi. Leon Wegner († 1873) pracował usilnie i z talentem nad latami czteroletniego sejmu i ostatnich rozbiorów. Z młodszych Michał Bobrzyński kilku mniejszemi rozprawami objaśniał prawne i polititycznе stosunki XV i XVI wieku, a w ogólnym Zarysie dziejów Polski wystawiał wewnętrzny stan Rzeczypospolitej i wpływ, jaki ten stan wywierał na jej rozwój i stopniowy upadek. Wincenty Zakrzewski zwrócił się w badaniach głównie do drugiej połowy wieku XVI. Stanisław Smolka zaczął od jego połowy pierwszej, zwrócił się potem do epoki podziałów (wiek XIII), następnie przeszedł do pierwszych czasów epoki Jagiellońskiej, mianowicie do religijnych i politycznych stosunków Litwy i Rusi, w końcu do historyi XIX wieku, w szczególności do Królestwa kongresowego. W historyi Litwy i Rusi ważne odkrycia zrobił Anatol Lewicki, profesor historyi austryackiej w uniwersytecie krakowskim. Ludwik Kubala

zajmuje się głównie czasami Jana Kazimierza; Tadeusz Wojciechowski (pierwszy profesor historyi polskiej w uniwersytecie lwowskim) badał ze szczególnem zamiłowaniem początkowe dzieje, wyrabianie się Polski z chrobackich początków, albo trudne zagadnienia z zamierzchłych Piastowskich czasów. Na blizkiem polu badania pierwotnych stosunków stoi Franciszek Piekosiński, jako wydawca i znawca dawnych polskich stosunków prawnych, jako specyalista w rzeczach sfragistyki, numizmatyki i paleografii, liczący się do bardzo około historyi zasłużonych. Z zakresu historyi kościoła polskiego dwa dzieła na osobną zasługują wzmiankę: Ks. Likowskiego, biskupa sufragana poznańskiego, Historya kościoła ruskiego, i księdza Korytkowskiego, biskupa sufragana gnieźnieńskiego († 1888), Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. W młodszem pokoleniu historyków jest wielu, którzy niedawno jeszcze byli uczniami poprzednich, a już mimo młodego wieku odznaczyli się samodzielną i skuteczną pracą około historyi polskiej. Na szczególną uwagę zasługuje Szymon Askenazy, który z wielką bystrością i talentem pisarskim studyuje dzieje Polski z końca XVIII i początków XIX wieku. Głównem jego dziełem jest: Żywot księcia Józefa Poniatowskiego.

Obok tej nowej szkoły historycznej były jeszcze zabytki dawnego zwyczaju podkładania własnych pojęć, doktryn i dążności pod historyczne wypadki. Takim był Antoni Walewski († r. 1872), profesor historyi powszechnej w uniwersytecie krakowskim, autor bardzo zresztą cennego dzieła: Historya wyzwolenia Rzpltej za Jana Kazimierza, opanowany doktryną monarchiczną; i w kierunku wprost przeciwnym, Henryk Szmitt († 1883), który pracował głównie nad historyą XVIII wieku.

Odrębne stanowisko usiłuje zająć, odmawiając historyi znaczenia »*magistrae vitae*«, Tadeusz Korzon w Warszawie, autor bardzo pożytecznego dzieła w czterech tomach: »Wewnętrzny stan Rzpltej za Stanisława Augusta«, które oparł na przechowywanych w Warszawie archiwach koronnych.

Cała ta praca historyczna, której głównem ogniskiem były pomienione katedry historyi polskiej i komisya historyczna Akademii Umiejętności, miała ten skutek, że przez dokonane wydania wielu materyałów źródłowych i przez dzielne, czasem niezmiernie bystre i głębokie opracowania znajomość historyi polskiej we wszystkich jej epokach, ale głównie w wieku XII, XV, XVI i XVIII, zrobiła ogromne postępy, stała się dokładniejszą i głębszą, a sam kunszt dziejopisarski wzniósł się pod wszystkimi względami na stopień wyższy, bez przesady rzec można, równy temu, na jakim stoi historyografia w krajach najbardziej oświeconych.

Z nauk pomocniczych historyi wymienić trzeba głównie naukę i historyę prawa polskiego (Pawiński, Bobrzyński, Piekosiński, Ulanowski, Balzer) i historyę literatury. Ta ostatnia (podobnie jak sama historya) dąży do doskonałej, wyczerpującej całości, drogą rozpraw lub dzieł poświęconych częściom (epokom, kierunkom lub

pisarzom). Pracujący w tym kierunku pisarze bardzo wielką znajdują pomoc w dziele Karola Estreichera (ur. 1827), b. dyrektora biblioteki Jagiellońskiej: Bibliografia polska (w 18 tomach). Jest to jakby inwentarz literatury polskiej, bez którego praca literacka byłaby niedokładną i bardzo utrudnioną. Z monografii najznakomitszą jest Ant. Małeckiego Juliusz Słowacki; jego żywot i dzieła. Z nowszych na szczególną wzmiankę zasługują: Józefa Kallenbacha Zygmunt Krasiński, życie i twórczość lat młodych (1812—1838) 2 tomy (1904) — i Aleksandra Brücknera Mikołaj Rej (1906).

Wchodzi jeszcze w ten okres Wojciech Cybulski (profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim, † 1867) i Julian Bartoszewicz. Następują po nich: Piotr Chmielowski, który największe prace poświęcił Mickiewiczowi i Kraszewskiemu, w mniejszych zaś rozprawach zajmował się pisarzami ze wszystkich okresów literatury. Władysław Nehring, profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim, ogłaszał mniejsze tylko, ale bardzo cenne rozprawy i rozjaśniał niemi różne epoki i kwestye; najcelniejsze może odnoszą się do wieku XVI. Józef Tretiak, profesor literatury ruskiej w uniwersytecie krakowskim, napisał oprócz wielu rozpraw mniejszych, ale odznaczających się bardzo trafnym sądem, większe dzieło o młodości Mickiewicza (Mickiewicz w Wilnie i Kownie), rzecz najlepszą, jaką posiadamy o tym okresie życia wielkiego poety. Roman Pilat, w r. 1905 zmarły profesor literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, pierwszy złożył całkowity obraz literatury politycznej z czas[illegible] czteroletniego sejmu, a około tej pracy bardzo ważnej i pożyteczn[illegible] się znaczna liczba mniejszych w różnych przedmiotach, a zawsze [illegible] untownie i umiejętnie wykonanych. Adam Bełcikowski (w Krakowie), oprócz wielu rozpraw z najnowszej literatury poetycznej, zwracał się do wieku XVII, a w szczególności napisał najobszerniejsze i najlepsze dotąd studyum o Wacławie Potockim. Pomiędzy pracami, poświęconemi Mickiewiczowi, na uwagę zasługują: Henryka Biegeleisena (we Lwowie) studyum krytyczne o Panu Tadeuszu i Walerego Gostomskiego studyum p. t. Arcydzieło poezyi polskiej. Tenże sam pisarz wydał także bardzo dobre studyum o Ślubach panieńskich Fredry p. t. Arcydzieło komedyi polskiej. Stanisław Tarnowski, profesor literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim, wydał: Studya do historyi literatury polskiej: Pisarze polityczni XVI wieku i Jan Kochanowski, jakoteż obszerne dzieło o Zygmuncie Krasińskim, oprócz tego znaczną liczbę mniejszych rozpraw i publicznych odczytów.

W dość znacznej liczbie podręczników, zawierających całe dzieje literatury polskiej, odznacza się dzieło Włodzimierza Spasowicza (z Petersburga), który choć prawnik z zawodu, zajmuje się czynnie literaturą, i wzbogacił ją wielu cennemi rozprawemi, treści krytycznej i estetycznej, z nowszych zaś na większe rozmiary

napisane dzieła: Stan. Tarnowskiego (w 6 tomach), Piotra Chmielowskiego (w 6 tomach) i Aleks. Brücknera (w 2 tomach).

Z rzadkich dzieł poświęconych literaturze zagranicznej, a pisanych przez Polaków, wymienić należy Juliana Klaczki znakomite i głębokie studyum o Dantem: Causeries Florentines.

Postępy znakomite zrobiła w tym okresie sama nauka języka polskigo i jego umiejętne badanie. Nowa metoda porównawcza nadała w całej Europie lingwistyce kierunek głębszy i popęd potężny. U nas reprezentują i wysoko posuwają tę naukę Małecki, Lucyan Malinowski (w Krakowie), Aleksander Brückner (w Berlinie), Baudouin de Courtenay (dawniej w Dorpacie, dziś w Petersburgu), Karłowicz i Kryński (w Warszawie), Kalina (we Lwowie † 1906) i przedwcześnie młodo zmarły, szczególnie bystry i zdolny Jan Hanusz (uczeń L. Malinowskiego).

Wielkie postępy zrobiła archeologia i historya sztuki, w znacznej części skutkiem utworzenia dla nich katedr i komisyi w łonie Akademii Umiejętności. Do starszych na tem polu należą: prof. Józef Łepkowski i Władysław Łuszczkiewicz. Po nich następują: Maryan Sokołowski, Jan Nep. Sadowski, Izydor Kopernicki, Zygmunt Gloger, M. Bersohn i Władysław Łoziński (we Lwowie), którego dzieło »Mieszczaństwo i patrycyat lwowski«, przekracza zakres historyi sztuki samej, a wchodzi w dziedzinę istotnej historyi cywilizacyi. Na polu etnografii z pomiędzy wielu zasłużonych pracowników na szczególną wzmiankę zasługuje Oskar Kolberg (1817—1891), którego dzieła w dwudziestu kilku tomach opisują zwyczaje i obyczaje ludu polskiego we wszystkich prawie dzielnicach dawnej Rzpltej.

2. Polityka. Zmienione położenie narodu i zmienione z gruntu pojęcie tej politycznej drogi postępowania, jakiej on w tem położeniu trzymać się musi, ożywiły bardzo gałąź polityczną literatury. Odbywała się też w niej — i odbywa dotąd — walka zasadnicza, wszechstronna, prowadzona czasem z wielką siłą rozumu, przekonania i miłości ojczyzny, z wielkiem niekiedy wzburzeniem uczucia. O tych rzeczach, jako jeszcze trwających, mówić tu nie miejsce; to wszakże można wróżyć, że w ogólnych dziejach politycznej literatury polskiej okres ten zajmie kiedyś kartę nie najmniejszą i nie najgorszą. Można też wspomnieć, że na tem polu także Szujski przewyższał innych mocą swego rozumowania i ogniem swego uczucia.

W sprawach ogólnej europejskiej współczesnej polityki napisał Julian Klaczko (po francusku, bo dla zagranicy) dwa dzieła: »Deux etudes de diplomatie contemporaine« i »Les deux chanceliers«. Zasadnicze znaczenie ma dzieło ks. biskupa Janiszewskiego Kościół a państwo chrześcijańskie (1890).

3. Filozofia. W filozofii objawił się zwrot ważny i walka dwóch sprzecznych kierunków. Dawna filozofia sensualistyczna Lockego i materyalistyczna (encyklopedystów francuskich) z XVIII wieku odżyła z nową siłą w drugiej połowie naszego wieku. Daje

we, co się pozytywnie zmysłami (lub rachunkiem) da dociec lub stwierdzić. Dusza ludzka, jej nieśmiertelność, Bóg i wszystko, co się nie daje widzieć, jest według niej nieprawdziwem, a w najlepszym razie niepewnem. Takie stanowisko filozofii nie jest nowem: zajęli je już niektórzy ze starożytnych (Lukrecyusz). W naszym wieku odnowił je Francuz August Comte (niepospolicie bystry i uczony), a w jego ślady poszli inni: Anglicy, jak Spencer, Mill i t. d.; Niemcy, jak Büchner, Vogt, Molleschott, Hartmann i t. d. Liczne i nader ważne odkrycia na polu nauk przyrodniczych (Darwin), na pierwszy rzut oka stwierdzające niby te filozoficzne pojęcia, posłużyły do ich rozszerzenia. Nie mogło być inaczej, jak że dostały się one i do nas. Przyjęły i rozszerzyły się w Warszawie szybciej i więcej niż gdzieindziej, a skupiały się nie w dziełach poświęconych wyłącznie filozofii, ale w pismach peryodycznych, które artykułami wszelkiej treści pojęcia te krzewiły i szerzyły. Za głównego i najczynniejszego reprezentanta tego kierunku uważać można Aleksandra Świętochowskiego; za tego, który traktuje te kwestye najbardziej i systematycznie (znacznie młodszego), A. Marburga. Rzecz jest prosta, że te (jak wszystkie inne) pojęcia filozoficzne, nie zamykają się w obrębie tej jednej nauki, ale przenikają różne nauki i różne gałęzie piśmiennictwa. Człowiek innego zawodu, hołdujący tym pojęciom, daje im mimowolnie wyraz w swoich zawodowych pracach. Mamy też tak zwanych pozytywistów pośród naszych przyrodników, lekarzy, historyków, nawet pisarzy powieści i poetów.

Z drugiej strony, była już w starożytności i później zawsze, i jest dziś, filozofia tamtej przeciwna, zasadzająca się na istności ludzkiej duszy i jej nieśmiertelności, na jej Boskim początku i na możności jej poznania. Im większy był wzrost i wpływ tak zwanej filozofii pozytywnej (czyli materyalistycznej), tem więcej musiała naturalnie objawiać się i podnosić energia tej drugiej. Zaczęto też w całej Europie zbijać systematycznie i umiejętnie system pozytywistów i dowodzić, że jest on tylko powierzchownie naukowym, a na prawdę płytkim i bezpodstawnym. Oprócz samego zaś zasadniczego fałszu, wykazywano szkodliwe następstwa tej filozofii, zaprzeczenie wszelkiej moralności, wszelkiego prawa, wszelkiej różnicy pomiędzy złem a dobrem. Jeżeli bowiem człowiek jest istotą fizyczną tylko, to w logicznem następstwie nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki (tak, jak nie odpowiadają za nie zwierzęta), czyli życie jednego człowieka byłoby pozbawione moralnej podstawy i kierunku, uczynki godziwe i niegodziwe miałyby tę samą wartość, skoro jedne i drugie zależałyby nie od woli i sumienia człowieka, ale od jego fizycznej organizacyi; w życiu społecznem i politycznem nie byłoby prawa ani jego rozróżnienia ani jego przestrzegania, byłaby tylko siła, niczem nie trzymana na wodzy, i uprawniona z góry do wszelkiej przemocy i gwałtu. Na tem stanowisku zupełnego przeczenia wszelkich praw moralnych, a żądz człowieka jako jedynego prawa, stoi najnowsza filozofia Nietschego.

Ten popęd do zbijania filozofii pozytywnej objawił się silnie w całej Europie, i u nas także. Wyrażają go obecnie: prof. Henryk Struve w Warszawie, ks. Pawlicki (niegdyś profesor filozofii w Szkole Głównej warszawskiej, dziś w uniwersytecie krakowskim), ks. Morawski i prof. Straszewski (w Krakowie), Raciborski, prof. Twardowski (we Lwowie), Wartenberg i inni.

Z zakresu historyi filozofii wymienić należy ks. Pawlickiego Historyę filozofii greckiej (pierwszą w polskim języku), profesora Straszewskiego książkę o Janie Śniadeckim (jako o filozofie) i t. d.

4. Nauki. I we wszystkich atoli innych gałęziach wiedzy i umiejętności objawił się spółcześnie ruch przedtem niebywały, w prawie i naukach politycznych, w naukach przyrodniczych i technicznych, wreszcie w zaniedbanem niegdyś polu teologii. Przyczyniły się do tego niewątpliwie zarówno katedry uniwersyteckie, różne stowarzyszenia specyalne, naukom tym poświęcone (prawnicze, lekarskie, techniczne, fizyograficzne); ale przyczyniła się bardzo Akademia Umiejętności ze swojemi komisyami; powstają też dzięki ofiarności niektórych mężów bogate zbiory (Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie), przedstawiające bogactwo ojczystej przyrody; Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, zbiór wspaniały dzieł sztuki i starożytności, i biblioteka jedna z największych, jakie mamy. Nie mogąc na tem miejscu przedstawiać różnych kierunków tych specyalnych badań, zmuszeni jesteśmy zarazem pominąć nazwiska całego szeregu zasłużonych na tych polach autorów.

B) Poezya.

Poezya zostaje w tym okresie poniżej tego, co było między rokiem 1830 a 1850. Nie zdarzyło się to nigdy, żeby świetna epoka poezyi trwała długo, ani żeby po jednej takiej rychło następowała druga. Przypuszczać zaś można, że jak długo społeczeństwo nasze zostanie w swojem dzisiejszem położeniu, z temi uczuciami i dążeniami, które z tego położenia wynikają, to poezya wyżej nie wyjdzie, bo grunt i źródła natchnień są te same, a z tych trudno wydobyć coś wyższego i piękniejszego, jak wydała wielka epoka naszej poezyi. W tym więc ostatnim okresie kończą swój żywot Bohdan Zaleski, Lenartowicz, Ujejski, Odyniec i Fredro; ostatni prawie bezczynny, trzej pierwsi piszący jeszcze rzeczy bardzo rzewne i ładne, Odyniec zaś swoje zajmujące Listy z podróży i Wspomnienia z przeszłości. W Warszawie Felicyan (Faleński) pisuje mało, wykwintnie, z wielką starannością w formie a szlachetnością w pomysłach i uczuciach. W prozie obrabia (trafnie i pięknie) niektóre kwestye literackie, naprzykład Treny Kochanowskiego. Nowych poetów zjawia się wielu, a wielkie wyrobienie formy przez poetów epoki poprzedniej ułatwia im zadanie. Z talentów prawdziwych wymienić należy Adama Asnyka (który pisywał pod pseudonimem El... y). W początkowych jak i w późniejszych swoich poezyach ma on za-

letę niezwykłej gracyi, lekkości, dźwięczności wiersza, a usposobienie melancholiczne, tęskne, nerwowe i miękkie. Stąd wiersze drobne a smętne udają mu się najlepiej, czasem bardzo świetnie. W licznym zastępie poetów od niego młodszych odznacza się Marya Konopnicka, talent w rodzaju podobny do Asnyka, w stopniu zapewne niższym, z naśladowaniem (zbyt wyraźnem) Słowackiego, i ze skłonnością do poruszania w poezyi stosunków i kwestyi społecznych.

Lucyan Rydel okazał dużo talentu w małych wierszach lirycznych, a zwłaszcza w dramacie Zaczarowane Koło, któremu można wiele zarzucać, ale nie można zaprzeczyć wielu scen i figur pięknych, istotnie dramatycznych i oryginalnych. Ładne także Na Zawsze, dramat z domowego życia, na tle nieszczęść wynikłych z wypadków roku 1863. Betleem Polskie, tradycyjna szopka, rozszerzona i połączona z dziejami i nieszczęściami narodu, wzruszająca i prawdziwie poetyczna. Wyszło też bardzo piękne tegoż autora tłómaczenie kilku pieśni Iliady.

Kazimierz Tetmajer, z talentem, z niezwykłym darem wierszowania, z pięknym językiem, okazuje w swoich wierszach lirycznych usposobienie burzliwe, namiętne, rozterkę ze światem i z sobą samym. Przechodzi od wybuchów oburzenia na świat i żądzy zniszczenia wszystkiego do sceptycznego pragnienia niebytu dla siebie samego. Ale ma dużo siły, nieraz dużo wdzięku, w oddawaniu swoich wrażeń. W dramatach słabszy. W jego powieściach prozą ta sama chorobliwość; powieści z życia górali, Na skalnem Podhalu, uchodzą za najlepsze. Ale pisane są góralskiem narzeczem, przez co nie można ich czytać bez słownika tłómaczącego miejscowe wyrażenia.

W ogóle najmłodsze pokolenie poetów jest od poprzednich bardzo odmienne. Nie odzywa się u niego dawny patryotyzm powstańczy, bo nie może ukazywać nadziei zwycięstwa; w jego miejscu występuje pierwiastek społeczny. Lud, jego życie, jego obyczaj, jego niedola, zajmuje wiele miejsca w tej poezyi, od pani Konopnickiej począwszy; ale ten nowy kierunek objawia się często społeczną nienawiścią, a wtedy ze słusznego i pożytecznego staje się szkodliwym, bo osłabia i rozkłada wewnętrzne siły narodu. Oprócz tej różnicy w treści, w samym duchu poezyi, są inne w jej formach. Formy poezyi muszą się zmieniać, odnawiać; było też pragnienie i szukanie form nowych w poezyi francuskiej, niemieckiej, włoskiej. Ale to dążenie osiąga swój cel wtedy tylko, kiedy je wykonywają wielcy, genialni poeci. Zwykłe talenta, kiedy się silą na nowość i oryginalność, wydają rezultat wątpliwej wartości: dziwactwo, zamiast twórczości, niejasność myśli, zamiast jej głębokości. Tak było z zagranicznymi, a głównie francuskimi, tak zwanymi dekadentami, impresyonistami, satanistami, symbolistami i t. d., którzy wywierali wpływ i na naszych młodych poetów.

Równocześnie działała na nich nowa (rzekomo nowa) estetyka, która uczyła, że poezya, a w szczególności poeta — nie ma i nie uznaje żadnych praw, oprócz własnego natchnienia, własnej indywi-

dualności. Jest to istotnie prawdą, tam, gdzie natchnienie jest rzetelne, a poeta genialnym; mniejszych prowadzi tylko do zarozumiałości wielkiej, a do dzieł małych, jak tego uczy doświadczenie, zrobione na poetach niemieckich z czasów der Genialität. Uczyła tedy ta nowa teorya, że niema żadnych różnic ani granic między rodzajami i formami poezyi, że niema żadnych stałych warunków tworzenia; że poeta jest niezależny nie tylko od form i warunków tworzenia, ale od warunków jasnego myślenia, od logiki — nawet od praw gramatyki i składni. Powstało więc zamieszanie w treści i w formie i umyślna, szukana niejasność pomysłów, ukrywająca (niby) ich wielką głębokość.

Do tych wpływów, przybył trzeci: wpływ filozofii Nietschego. Dawna filozofia materyalistyczna uczyła, że człowiek jest istotą tylko fizyczną, i uczyła go, że fizyczne używanie jest wszystkiem w jego życiu. Ta najnowsza filozofia idzie dalej i mówi, że człowiek jest wzniesiony nad zło i nad dobro; że ma prawo, ma obowiązek, iść za swoją żądzą, za tem, co jest jego wewnętrznym popędem, bez względu na cokolwiek i na kogokolwiek. Taki rozwój indywidualności, taka świadomość swego prawa zrobi dopiero człowieka zupełnym, doskonałym, zrobi go nadczłowiekiem. Że taka nauka, gdyby mogła się przyjąć, zamieniłaby ród ludzki w stado pożerających się nawzajem zwierząt, a jednostkę ludzką, owego nadczłowieka, w bydlę — to zbyt jasne, iżby trzeba tłómaczyć.

Te różne wpływy odbiły się na niektórych naszych nowszych poetach. Talenta ich, wychwalane jako wielkie i twórcze, są przechwalone, a na prawdę ani bardzo wielkie, ani bardzo oryginalne, pomimo pozorów nowości i twórczości. Pod ważniejszym zaś względem, moralnym, poezya ich jest często gorszącą i złą, gdy Boga przeczy albo mu bluźni, gdy żądzę człowieka wystawia jako jego prawo. Przez to rozkłada duszę, odejmuje jej siłę i hart, przytępia sumienie, a przez umyślną niejasność myśli (którą ma za dowód wyższości) lub może przez niezdolność do jasnego myślenia przytępia i umysły.

Faktem najbardziej charakterystycznym w poezyi tego okresu jest jej dążenie do dramatu. Zupełnego skutku jeszcze dążenie to nie wydało, ale za szczęście uważać należy, że ono jest; może z czasem po usiłowaniach i próbach poprzedników przyjdzie jakiś talent potężny i stworzy nareszcie prawdziwą wielką polską tragedyę.

Dramat z potocznego, domowego życia i komedya uprawiane są liczniej i z większem powodzeniem. Stan — zawsze jeszcze bardzo dobry — sceny warszawskiej, a znacznie poprawiony, chwilami świetny, sceny krakowskiej i lwowskiej, potrzeba nowych sztuk, mogły także przyczynić się do tego wzrostu komedyi. Nie jest to postęp w znaczeniu doskonałości, bo ani jeden z młodszych nie dochodzi wielkiego talentu Aleksandra Fredry; ale jest mnogość, rozmaitość, i są nierzadko udatne, ładne, wesołe, niekiedy nawet głębsze komedye. W budowie i układzie ich, w prowadzeniu dyalogów,

znać wpływ najnowszej komedyi francuskiej (Dumas syn, Augier, Sardou): znać tę dążność, ażeby akcyi komicznej nadać pozór zwykłego codziennego życia w jego powszedniej prawdzie i rzeczywistości. W każdym razie od poprzedniego okresu, od Korzeniowskiego, różni się komedya dzisiejsza większem życiem, większą swobodą i naturalnością dyalogu, większą wesołością, głębszą charakterystyką figur. Rodzaje tych komedyi są liczne i różne. W pomienionym wyżej francuskim, najbardziej wpływem tym przejęci i korzystający z niego najumiejętniej (choć przedmioty ich komedyi są zawsze z polskiego życia wzięte), są: Władysław Okoński (właściwie Aleksander Świętochowski) i Kazimierz Zaleski. Pierwszy obok talentu niezwykłego okazuje w swoich dziełach pojęcia moralne niejasne i niezdrowe. W. L. Anczyc († 1883) pisywał z wielkim talentem komedye z życia wiejskiego ludu wyłącznie (Chłopi arystokraci i inne; ostatnią jego pracą jest Kościuszko pod Racławicami). Józef Narzymski kreślił dosadnie i poważnie różne dzisiejsze zdrożności (Epidemia czyli gra na giełdzie i Pozytywni), nieszczęściem umarł młodo († 1872). Michał Bałucki bierze zwyczajnie za przedmiot swoich komedyi drobne śmieszności (najczęściej z życia miejskiego). Jan Aleksander Fredro (syn Aleksandra, † 1891), nie odziedziczył wielkiego talentu ojca, ale odziedziczył część jego humoru i jego zmysł sceniczny. Józef Bliziński († 1893) miał dużo humoru, dużo życia i akcyi, przytem dar nadawania figurom komicznym sympatycznego charakteru i wdzięku. Maryan Gawalewicz pisze po większej części komedyjki małe, nie dba o zawikłane sytuacye, ale pisze po prostu, z życiem, a zabawnie. Oprócz wymienionych pisarzy mamy na polu komedyi jeszcze wielu innych.

Powieść, z literatury prozaicznej najbliższa poezyi, zrobiła niespodzianie wielki i świetny krok naprzód. Mnożąca się ciągle liczba pism peryodycznych wpływała stale na obfitą produkcyę powieści, ale między temi rzadko zdarzały się rzeczy z prawdziwą wartością. Kraszewski stał zawsze na czele tej gałęzi piśmiennictwa, i w tym ostatnim okresie — w niektórych powieściach historycznych zwłaszcza — okazywał niepospolitą siłę, ale w swoim wieku rozwijać się i postępować już nie mógł. Kaczkowski milczał; w ostatnich latach dopiero wydał Olbrachtowych rycerzy. Z młodszych jeden tylko Jan Lam, humorysta wielkiego dowcipu, napisał od niechcenia powieść humorystyczną Panna Emilia, w której pokazał talent niezaprzeczony i niezwykły. Było więc na ilość dużo, na jakość niewiele, i powieść zdawała się być w upadku, a przynajmniej w zastoju, kiedy zaczął pisać Henryk Sienkiewicz. Zrazu wydawał on małe powiastki, wnet jednak przeszedł na pole wielkiej historycznej powieści i wydał Ogniem i mieczem, Potop i Pan Wołodyjowski. Potem znów powrócił na pole studyów życia współczesnego i wydał dwie powieści, które się uzupełniają: Bez dogmatu i Rodzinę Połanieckich. Następnie wydał Quo vadis? powieść z czasów Nerona. W końcu wróciwszy do powie-

ści z dziejów narodowych, wydał: Krzyżacy i Na polu chwały (dzieło jeszcze nieskończone).

Oprócz niego z licznych pisarzy powieści wymienić należy jako talenta wybitne i niezwykłe: Elizę Orzeszkową (główne dzieło Nad Niemnem), Aleksandra Prusa (Placówka, Lalka), Adama Szymańskiego (Szkice), Rodziewiczównę (Dewajtys) i Władysława Łozińskiego, który napisał powieści mało, ale dawniejsze (jak Opowiadania Narwoja) miały wiele zalet, a ostatnia Madonna Busowiska należy do najpiękniejszych powieści polskich w małych rozmiarach. Z najmłodszych najwięcej powodzenia mają: Stefan Żeromski, autor Popiołów (pseud. Maurycy Zych: Syzyfowe prace), i Władysław Reymont, autor Chłopów, odznaczający się istotnie niezwykłym talentem.

Zakończenie.

Taki jest po czterech wiekach istnienia dzisiejszy stan literatury polskiej. Bez zarozumiałości możemy sobie przyznać, że nie jest on zły. W ciągu ostatniego wieku, pomimo tylu ciężkich przejść, literatura polska nie tylko nie upadła, ale owszem rozwijała się i podnosiła, co jest dowodem niezaprzeczonej i bardzo pocieszającej żywotności piśmiennictwa i narodu. W ostatniej ćwierci wieku, pomimo że zaledwo czwarta część narodu ma możność swobodnego kształcenia się i pisania, literatura przecie nie upadła, ale owszem w niektórych kierunkach postąpiła bardzo znacznie. Fakt ten wreszcie, że po wielkim i nigdy przedtem niewidzianym rozkwicie poezyi nastąpił silny i świetny rozwój prozy w różnych kierunkach, jest dla literatury dobrem świadectwem, dobrą wróżbą i otuchą. Rzecz jest pewna, że ani literatura ani nauka ani cywilizacya polska w ogólności nie gaśnie, tylko owszem utrzymuje się i rośnie, a swój własny charakter wyraźny i nietknięty zachowuje.

W chwili obecnej grozi jej jedno niebezpieczeństwo, na które bacznie mamy zwracać uwagę i szukać rady, a tem jest skażenie i zepsucie języka. W Galicyi zwolna tylko wydobywa się język z obcych zwrotów, wyrażeń i składni, któremi przez wiek cały był przesiąkł. Pod rządem rosyjskim zaczyna się za to język wykrzywiać i szpecić rosyjskiemi formami, z któremi młodzież oswaja się w szkołach, a ogół w czynnościach urzędowych. Wszędzie znowu pisanie szybkie, do dzienników, sprowadza nieuwagę, niedbałość. a wskutek tego wzrastające zanieczyszczenie i wyradzanie się języka. Od tego bronić się mamy wszelkiemi siłami, a zwłaszcza młodzi, którzy mają jeszcze czas wykształcić się w dobrem i pięknem władaniu mową ojczystą. Mowa bowiem jest formą myśli, ale może mieć na nią wpływ taki, jaki ma u ludzi organizm fizyczny na umysł i duszę. Jak *mens sana in corpore sano*, tak i mowa jasna, czysta, prosta, jędrna, szlachetna, jest obrazem takiejże myśli, ale i środkiem, iżby myśl zachowała te przymioty. Język gruby, nieszlachetny, niestaranny, nie-

poprawny, oswaja stopniowo myśl z temi wadami i może ją nieznacznie prowadzić do zgłupienia i zdziczenia.

Z rozpoznania naszej literatury wynosi się to spostrzeżenie, że prawość i szlachetność ducha była istotną cechą i wielką jej chwałą przez wszystkie wieki jej istnienia. Miewała ona w tym ciągu czasu chwile wielkiej świetności i wzniosłości, jak miewała i chwile upadku. Ale nawet w swoich najgorszych czasach miała przecież ludzi, którzy nie zapominali o tem, co jest jej obowiązkiem pierwszym i głównym, o tem mianowicie, żeby narodu swego nie psuć, nie krzywić jego sumienia i nie mącić jego rozumu. Prawo Boskie, obowiązek względem bliźniego, obowiązek względem ojczyzny i społeczeństwa, rozumiała i wskazywała literatura polska z małymi wyjątkami trafnie i mądrze, od Długosza aż do dni naszych. W ostatnich dopiero latach, pod piórem niektórych pisarzy, zaczęła być gorszącą, moralnie fałszywą i złą. Oby to było wyjątkiem, chwilowem przejściem. Z tym wyjątkiem nie psuła ona narodu, owszem robiła co mogła na to, by go kształcić, poprawić i podnosić. Ten przymiot najcenniejszy, ta największa zasługa względem narodu i rzetelnej, uczciwej, chrześcijańskiej cywilizacyi, powinny utkwić nam w pamięci jako szlachetna cecha naszego piśmiennictwa i jako przykład obowiązujący na przyszłość.

Objaśnienia.

Str. 5. w. 4. Ossyan, bajeczny bard iryjski, który według podania żył w w. III. po Chr. Jego dumy wkrótce po ich ogłoszeniu tłómaczyli na język polski Ignacy Krasicki i Fr. Kniaźnin (wierszem), a w wieku XIX. Seweryn Goszczyński (prozą). — Cyd. Pod tem mianem wielbią narodowe pieśni hiszpańskie rycerza, który w obronie wiary i wolności walczył z Maurami w w. XI. Nazywał się Rodrigo de Bivar; Cydem (panem) nazwali go Arabowie. — w. 13. Cud czyli Krakowiacy i górale część I. przez Wojc. Bogusławskiego. (Część II. p. t. Zabobon czyli Krakowiacy i górale napisał Jan Nep. Kamiński).

Str. 6. Ważniejsze dzieła o życiu i pismach Ad. Mickiewicza są: Władysława Mickiewicza (syna poety) Żywot A. M. tomów 4. Poznań 1890—1895. — Józ. Kallenbacha A. M. 2 tomy. Kraków 1897. — Piotra Chmielowskiego A. M. 2 t. Warszawa i Kraków 1898. — Maryi Konopnickiej Mickiewicz jego życie i duch. Warszawa 1899.

Najlepsze wydanie pism A. Mickiewicza jest: Dzieła Adama Mickiewicza, wydanie Towarzystwa liter. im. A. Mickiewicza. Lwów. Dotąd wyszły 4 tomy: I. i II. obejmują wiersze drobne, III. Powieści poetyczne, IV. Dziady. Bardzo ważne są podane tamże uwagi wstępne i objaśnienia.

Str. 7. O Dziadach p. uwagi Józ. Kallenbacha w Dziełach Ad. M. wyd. Tow. im. Ad. M. t. IV. Lwów 1905.—Nadto ważniejsze: St. Tarnowskiego Druga i czwarta część Dziadów (Bibl. warsz. 1877). — Szymona Matusiaka: O Dziadach (Lwów 1903). — J. Kallenbacha: O improwizacyi Konrada (Pamiętnik Tow. im. Mickiewicza 1890). — Do użytku szkolnego wyd. Konst. Wojciechowskiego (w Arcydziełach polskich i obcych pisarzy. West. Brody, tom 33, 40 i 41).

Str. 8. O balladach i romancach p. szczeg. J. Tretiaka Mickiewicz w Wilnie i Kownie 3 tomy Lwów, jakoteż tegoż autora Młodość Mickiewicza t. 2.

Str. 9. Do Ody do młodości p. szczeg. Ludw. Finkla rozprawę w Pamiętniku Tow. lit. Ad. M. t. III. (1889) — Waler. Gostomskiego Ideały filareckie w Odzie (Z przeszłości str. 106—123). — Bol. Czerwieńskiego Kilka uwag nad Odą do młodości. Lwów 1874.

Str. 10. Do Sonetów Krymskich p. rozpr. Fr. Prochnickiego w »Muzeum« 1898 i uwagi W. Bruchnalskiego w wydaniu Dzieł A. M. (Tow. lit. im. Ad. M. tom II. 1900).

Str. 11. Do Konrada Wallenroda p. szczeg. Dzieła Ad. Mickiewicza (wyd. Tow. t. III. Lwów 1893), nadto Józ. Tretiaka: Idea Wallenroda (Pamiętnik Tow. im. Ad. M. t. I.), — W. Bruchnalskiego: Źródła historyczne (Pamiętnik Tow. t. III.). — Włodzimierza Spasowicza (Pamiętnik t. III.). — Wład. Nehringa (Studya literackie, Poznań 1884). — Ad. Bełcikowskiego (Ze studyów, Warszawa 1886). Do użytku szkolnego: Jana Gawlikowskiego (Wyd. Westa, Brody 1902).

Str. 12. do Farysa p. szczeg. Bol. Prusa (Kraj 1886). — Fr. Próchnickiego (»Muzeum« 1887) i Romana Pilata (Pamiętnik Tow. Ad. Mickiewicza t. II. str. 125) i w wydaniu Tow. im. Ad. Mickiewicza uwagi wydawcy W. Bruchnalskiego (t. II. str. 520 do 527).

Str. 14. Geneza i czas powstania wiersza Do Matki Polki p. Dzieła Ad. Mickiewicza w wydaniu Tow. im. Mickiewicza t. II.

Str. 16. Pan Tadeusz. Ważniejsze studya: Waler. Gostomski: Arcydzieło poezyi polskiej (Spółka wydawnicza Kraków 1894). — Henr. Biegeleisena: Pan Tadeusz (Warszawa 1884). — Ad. Rzążewskiego (Aer) w Dzienniku poznańskim 1884. — Wł. Nehringa (Studya literackie). — Nadto do użytku szkolnego uwagi P. Chmielowskiego i Stan. Tarnowskiego w wydawnictwie Westa (tomik 8 i t. 35).

Str. 23. Bomarsund, twierdza rosyjska na wyspie Alland, przy wejściu do zatoki botnickiej.

Str. 27. Świteź, jezioro w pow. nowogrodzkim. Świtezianki są to według mniemania ludu nimfy wodne, zjawiające się nad brzegiem tego jeziora.

Str. 30. w. 8. ksiądz Kiejstut, po dawnemu zam. książę. — w. 14. Ilmen, jezioro w gubernii nowogrodzkiej, połączenie z jez. Ładoga. — w. 16. dzięga, dawny srebrny grosz moskiewski; dzięgi, pieniądze.

Str. 31. Laura, imię osoby (Laura de Noves), opiewanej przez Petrarkę w sonetach. Mickiewicz nazywa tutaj tak Marylę.

Str. 32. Kozłow (Eupatorya), miasto położone w północno zachodniej stronie Krymu. Stamtąd wyjechał Mickiewicz konno, ażeby zwiedzić góry, których łańcuch, z najwyższym szczytem Czatyrdahu w środku, ciągnie się w poprzek półwyspu, wzdłuż południowego jego brzegu. — Szczyt Czatyrdahu, śniegiem pokryty, w płomieniach zachodzącego słońca zdaje się płonąć. — Mirza, tatarski książę, przywódca; tutaj przewodnik. — Bakczysaraj, stolica dawnych chanów krymskich.

Str. 33. Grób Potockiej jest to wśród mogił haremu kapliczka, o której miejscowe podanie (niczem nie uzasadnione) mówi, iż w niej spoczywa Potocka, branka polska, żona jednego z chanów. —

Str. 34. Bajdary, piękna dolina, przez którą Mickiewicz przejeżdżał (sonet Bajdary). — Sałhir, rzeka wypływająca z północnego stoku Czatyrdahu. — Czufut-Kale, miasteczko na półwyspie krymskim, na wyniosłej skale zbudowane; domy, na brzegu stojące, z daleka mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka, wiodąca w górę, nad przepaścią wisi. — Studnia Al-Kahyru (Masr-El-Kahira, dzisiejsze Kairo). Jussuf Sabah-ed-din kazał w górze Mokottam wykopać studnię, na 90 *m* głęboką. Nosi ona nazwę »studni Józefa«.

Str. 35. Góra Kikineis, szczyt w pasmie gór krymskich. — Ptak-góra, olbrzymi ptak, Simurg, sławny w mytologii perskiej, powielekroć przez poetów wschodnich opisywany (n. p. przez Firdusi'ego w Szach-Name).

Str. 36. w. 44. Kiedy Herkules jeszcze jako małe dziecię w koiebce leżał, nasłała nań Hera dwa węże, ale on je udusił. — W. 45. Centaurowie u starożytnych Greków straszne dla ludzi potwory (pół ludzi, pół koni), które mieszkały w lasach Grecyi północnej (Tessalii). — W. 46. Wzmianka o ostatniej i najtrudniejszej pracy Herkulesa, o związaniu Cerbera i wyniesieniu go na powierzchnię ziemi. Po dokonaniu tej pracy dostał się do nieba, gdzie poślubił Hebę, boginię wiecznej młodości.

Str. 37. Farys, u Arabów Beduinów tyle co rycerz; nazwa zaszczytna. — Emir Tadż-Ul-Fechr, t. j. Wacław hr. Rzewuski, sławny w w. XIX podróżnik, który przez długi czas przebywał w Arabii. — w. 28. Beduin, Arab, wiodący żywot koczowniczy.

Str. 38. w. 64. majdan, łęk, służący do napinania cięciwy u łuku.

Str. 39. w. 124. huragan, straszliwa burza; tutaj zamiast nazwy arabskiej Symum.

Str. 40. w. 135. gryf, bajeczny potwór latający.

Str. 42. w. 1. bard, poeta.

Str. 43. w. 32. trzęsianka, słoma pognieciona, roztrzęsiona, z sianem pomieszana dla bydła.

Str. 66. w. 144—148. Gustaw — umarł r. 1823. dnia 1. listopada — tutaj urodził się — Konrad r. 1823. dnia 1. listopada.

Str. 91. w. 50. Euxyn, *Pontus Euxinus*, morze Czarne. — w. 53. Symum, wiatr w pustyni libijskiej, śmiertelny dla wszystkich, których owionie. — Kanopa, *Canopus*, miasto w starożytnym Egipcie.

Str. 92. w. 122. Kałmuki, gałąź szczepu mongolskiego. — w. 140. Jermołow Aleksy, dowódca wojsk rosyjskich († 1861). Od r. 1816. był dowódcą korpusu kaukaskiego; 10 lat bawił na Kaukazie. W r. 1826. został usunięty.

Str. 93. w. 19. Bucefał, nazwa konia Aleksandra Wielkiego.

Str. 94. w. 37. Paktol, rzeka w Lidyi, złoty piasek niosąca.

Str. 95. Iwan Groźny 1533—1584.

Str. 97. Kremlin, zamek carski w Moskwie.

Str. 103. Wolmar, miasto w gub. inflanckiej, nad rzeką Aa.

Str. 105. Nadanie organizacyi Kozakom r. 1578, ustanowienie trybunałów dla Małej i Wielkiej Polski r. 1578, dla Litwy r. 1581.

Str. 106. Sykstus V — imię rodzinne Feliks Peretti (1521—1590), jeden z największych papieży.

Str. 108. Najlepsza monografia o A. Malczewskim jest Mikołaja Mazanowskiego: Żywot i utwory A. M., Lwów 1890.

Str. 109. w. 22. z góry. Rzeczywiste zdarzenie, na którem M. osnuł poemat, jest: Stanisław Szczęsny Potocki, syn Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, poślubił wbrew woli ojca (r. 1770) Gertrudę Komorowską, córkę Jakóba. W lutym r. 1771 porwano Gertrudę z domu rodziców, zawinięto ją chustami, ażeby krzyku jej nie było słychać, a gdy wśród drogi spostrzeżono, że przez to została uduszoną, wrzucono ciało pod lód na odnodze Bugu.

Str. 117. Podzwonne, obrzęd ludowy ku czci ojców czyli przodków (»pomynat' bat'kiw«), sięgający może czasów przedchrześcijańskich, w naszych czasach już wychodzący ze zwyczaju. Wieczorem letnim zbiera się lud ukraiński na mogiły, o nowiu miesiąca; młodzieńcy wyśpiewują żałobne dumy, a dziewczęta rzucają wianki z barwinku i ruty. — Św. Michał Archanioł, jako patron Ukrainy, w wielkiej czci tam zostaje; po dwakroć corocznie obchodzą jego święta. Lud zowie go także swym białym aniołem, prawdopodobnie dlatego, że widywał go zawsze srebrem wyszywanego na chorągwiach atamańskich. W pieśniach ludowych mieszają się różne pojęcia, chrześcijańskie i pogańskie (np. o bożku Perkunie); bój z lwem oznacza walkę z szatanem.

Str. 119. Dumka Kosińskiego, do której myśl wziął poeta z podań ludowych, wcale nie jest historyczną. Kosiński nie był hetmanem ani nie działał w myśl sejmu i króla (w. 53—55). Kiedy w roku 1590, celem poskromienia swawoli Kozaków, uchwalił sejm tak zwany Porządek ze strony Niżowców i Ukrainy, mający z Niżowców utworzyć wojsko, władzom Rzptj posłuszne: stało się to hasłem do rozruchów kozackich. Jednym z pierwszych, który stanął na czele zbuntowanych Kozaków, był Kosiński (wedł. jednych Krzysztof, według innych Jan), szlachcic z Podlasia, herbu Rawicz. Zebrawszy sobie oddział mołojców, rozpoczął napady na miasteczka i wioski, niszcząc przedewszystkiem majątek księcia Konst. Ostrogskiego. Pokonany w r. 1593 pod Piątkowem, gdy o nowym buncie zamyślał, zginął, zabity przy pomocy samychże Kozaków.— Stawiszcze, miasteczko nad Tyhiczem, w pow. taraszczańskim, tak nazwane od mnóstwa stawów. W w. XVII była tam twierdza polska. — Piatyhory, miasteczko nad Mołoczną, w pow. taraszczańskim, niegdyś własność kniaziów Ostrogskich. — Pawołocz, miasteczko przy ujściu Pawołoczki do Rastawicy, w pow. skwirskim: niegdyś z trzech stron wodą oblane, a z czwartej bronione wałem.— Nalewajko, przywódca Kozaków, którzy w kilka lat po Kosińskim

nowy bunt podnieśli. — Czehryn, miasto powiatowe w gub. kijowskiej. — Daszko, również przywódca Kozaków. — Krzywiecki las. Krzywiec, wieś w pow. taraszczańskim, niedaleko od Stawiszcz; niegdyś dziedzictwo Wiśniowieckich.

Str. 121. Wyprawa chocimska z r. 1621, pod wodzą Jana Karola Chodkiewicza, w której brał udział Piotr Konaszewicz z 40.000 Kozaków (Czajki).— W. 26. Królewicz Władysław, późniejszy król Władysław IV. — W. 30. prysiudy, figura w narodowym tańcu ruskim.

Str. 122. w. 53. sałhan (wyraz tatarski), rzeź całej trzody owiec na łój, którym Tatarzy kupczyli; po zdarciu skóry całe owce wrzucano w ogromne kotły.

Str. 123. Bitwa z Turkami na Kosowem polu, w której zginął car Łazarz z przeważną częścią rycerstwa serbskiego, była r. 1389.

Str. 129. Białozor, jezioro i wieś na Ukrainie, blizko Smiły, w rozległych lasach sosnowych.

Str. 130. w. 1. Kaniów, małe i liche miasteczko w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, pośród urwistych jego brzegów rozrzucone. — w. 15. obłęd, czart wprawiający ludzi w błąd. — w. 35. majaczeje, miga w oddali, ukazuje się.

Str. 131. Szwaczka, mieszczanin kaniowski, herszt buntu hajdamaków.

Str. 132. w. 7. Ławra peczerska, starodawna świątynia w Kijowie.

Str. 133. w. 9. Lebedyn, wieś w pow. czehryńskim, na wzgó- »czarnymi« lasami pokrytych.

Str. 134. w. 17. Moszny, miasteczko na Ukrainie nad Irdyniem. — w. 18. Irdyń, bagna i trzęsawiska, w starem łożysku Dniepru.

Str. 135. w. 69. bajrak, drzewo sosnowe, karłowate.

Str. 141. Bolesława Chrobrego Lelewel nazywa Wielkim.

Str. 143. blazonować, termin heraldyczny z franc. *blason* (pole na tarczy, herb); blazoner, rozpoznawać i opisywać herby— wedł. reguł i zasad heraldycznych.

Str. 149. Faramund, bajeczny król Franków.

Str. 152. Jana Kazimierza Ordyńca »Dziennik warszawski«.

Str. 159. Maleszowa, wieś w pow. stopnickim, przy drodze z Chmielnika do Kielc. Kościół parafialny w Lisowie.

Str. 161. dezabilka, z franc. deshabiller, rozbierać się, więc ubiór poranny. — na umor śpiewać, aż do umęczenia, do woli, według upodobania, ile się chce.

Str. 165. Nomenklator, książka zawierająca przepisy nazywania rzeczy wyrazami stosownymi, nauka stylu. — podwłośniki, okrycia, płaszcze, używane przy czesaniu.

Str. 166. drużbart, rodzaj gry w karty.

Str. 167. Pan Geldhab, grany w Warszawie po raz pierwszy 7. paźdz. 1821. — Jan Aleks. hr. Fredro umarł r. 1891.

Str. 170. Śluby panieńskie, po raz pierwszy przedstawione

w Warszawie 16. listop. 1831. Najlepszy rozbiór komedyi Śluby napisał Walery Gostomski p. t. Arcydzieło komedyi polskiej (Z przeszłości i z teraźniejszości. Warszawa 1904, str. 124—156). Nadto porówn. Stan. hr. Tarnowskiego rozbiór wszystkich komedyi Fredry (Studya do historyi literatury polskiej, tom II, Kraków 1896).

Str. 190. Jan Śniadecki ogłosił w r. 1818. rozprawę: O pismach klasycznych i romantycznych.

Str. 193. »Malwina czyli domyślność serca«, powieść (1816) Maryi z Czartoryskich księżnej Wirtemberskiej (1768—1854).

Str. 198. Najważniejsze dzieło o życiu i pismach Jul. Słowackiego jest: Antoniego Małeckiego Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki, wydanie 3-cie w 3 tomach, Lwów 1901. — Obszerniejsze o tym pisarzu dzieło wydał także Józef Tretiak (Kraków, 1904, w 2 t.).

Str. 200. Do Balladyny (oprócz dzieła Małeckiego) p. St. Tarnowskiego: Dwa odczyty, t. j. o Balladynie i Lilli Wenedzie (Poznań 1881).—Wład. Nehringa (Studya literackie, Poznań 1884).—Ad. Bełcikowskiego (Ze studyów, Warszawa, 1886).

Str. 202. Do W Szwajcaryi p. Stan. Tarnowski (Kronika rodzinna 1880). — Józ. Tretiak (Wędrowiec 1895). — Kaz. Jarecki (Bibl. warszaw. 1901).

Str. 203. Do Ojca zadżumionych p. Stan. Tarnowski (Kronika rodz. 1880). — Józ. Szujski (Treny J. Kochanowskiego i Ojc. zadż. J. S. Kraków 1866). — Ant. Mazanowski (Ojc. zadż. i Treny, Sprawozd. gimn. IV, Lwów 1892).

Str. 203. Do Anhellego p. szczeg. dzieło A. Małeckiego: Wyp. polsk. t. II str. 599. Nadto do użytku szkol. bardzo dobre wydanie z objaśnieniami Wiktora Hahna (Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, tomik 29. Brody 1905). — Pisał o nim także: Ferd. Hoesik (Anhelli i trzy poematy. Rozprawy Akad. Umiej. Kraków 1895).

Str. 204. Do Lilli Wenedy (oprócz dzieła Małeckiego) p. szczeg. St. Tarnowskiego (Dwa odczyty, Poznań 1881.—Wiktora Hahna (Studyum nad genezą L. W. Lwów 1894) i bardzo drobre wyd. szkolne Piotra Chmielowskiego (Arcydzieła polsk. i obc. pis. tomik 3. Brody 1902). — Nadto Wład. Nehringa (Studya, Poznań 1884).

Str. 214. Aar, poboczna rzeka Renu, która w dolinie Oberhasli tworzy jeden z najpiękniejszych w Europie wodospadów, Handeckfall.

Str. 215. ustęp VIII napisany w tercynach. — w. 5. Jungfrau, szczyt w Alpach berneńskich. — szalet, szałas, schronisko w górach. — w. 14. pelejady, plejady = siedem córek Atlasa, zamienionych w gwiazdy, konstelacya gwiazd.

Str. 216. w. 9. pierścionek Dyany, księżyc.

Str. 221. w. 52. sylfy, duchy powietrzne niższego rzędu, podobnie jak nimfy. — w. 4. poletek, część gruntu zasianego zbożem, zwykle trzecia część pól, należących do jakiegoś folwarku.

Str. 227. w. 36. cycowa (suknia), perkalowa.

Str. 243. Znaczenie Eloi wyjaśnił Ign. Matuszewski (Geneza i znaczenie Eloi. Ateneum. 1892). Porówn. i obj. Hahna (j. w.).

Str. 247. Wiersz Rozłączenie, napisany 20. lipca r. 1835, odnosi się do Maryi W. — Hymn napisany w październiku 1836.

Str. 249. w. 52. Hymetus, góra w Attyce, sławna z marmuru i miodu. — w. 57. Najady, u staroż. Greków nimfy źródeł i rzek. — w. 79. Falernejskie wino, u staroż. Rzymian gatunek dobrego wina, z winnic falernejskich w Kampanii.

Str. 256. zamek Chillon, na skalistej wysepce jeziora genewskiego. Byrona: Więzień Chillonu (tłóm. Fr. Morawski).

Str. 258. Giesbach, sławny wodospad w Alpach.

Str. 261. Najważniejsze dzieło o życiu i pismach Z. Krasińskiego jest: Stan. Tarnowskiego Zygmunt Krasiński (Kraków 1892).— Nadto Józefa Kallenbacha: Z. Kr. życie i twórczość lat młodych (1812—1838). Lwów 1904 (2 t.).

Str. 263. Do Nieboskiej Komedyi p. St. Tarnowskiego (Niwa 1882 i Z. Kr. 1893 str. 71—154). — Nadto Wład. Nehringa (Studya, Poznań 1884) i szczeg. do użytku szkoln. wydanie z objaśnieniami Piotra Chmielowskiego (Arcydzieła pol. i ob. pis. tomik 2. Brody 1902).

Str. 264. Do Irydyona p. Stan. Tarnowskiego (j. w. rozdz. V str. 179—252). — Nadto A. Małeckiego 1846 (Z dziejów i literatury, Lwów 1886). — Wł. Nehringa (Studya, Poznań, 1884). — A. Bełcikowskiego (Ze studyów, Warszawa 1886. — Wikt. Hahna (Tło historyczne w Ir. Lwów, 1898).—Tad. Piniego (Studyum nad genezą Ir. Lwów 1899) — Do użytku szkoln. wydanie z objaśnieniami T. Piniego (Arcydzieła pol. i ob. pis. tom 18 i 19. Brody 1903).

Str. 267. Do Przedświtu p. (oprócz dzieła St. Tarnowskiego) Tad. Sternala (o Przedświcie, Kraków, 1891).

Str. 268. Do Psalmów przyszłości p. St. Tarnowskiego (j. w. str. 464—484 i 537—554).

Str. 274. *servile* (nie *fervide) imitatorum pecus*: niewolnicza trzoda naśladowców. Jest to zdanie Horacego (Epist. I. 19, 19), gdzie jednak jest: *O imitatores, servum pecus!*

Str. 275. Zamek Świętej Trójcy — to miejscowość nierzeczywista, nie mająca nic wspólnego ze znanemi w dziejach Polski Okopami Św. Trójcy.

Str. 276. duch (geniusz) Cezara miał się Brutusowi ukazać przed bitwą pod Filippi r. 42. przed Chr.

Str. 279. w. 12. i 7. z dołu. Ze słów tych można wnosić, iż Pankracy i Hrabia Henryk znali się dawniej. I w »Poemacie Niedokończonym«, napisanym przez Krasińskiego później jako pierwsza część Nie-Boskiej Komedyi, obaj ci ludzie spotykają się ze sobą.

Str. 287. *Galilaee vicisti* są to słowa, które padając w bitwie r. 363 wyrzec miał cesarz rzymski Julian Apostata (Odstępca).

Str. 302. Przyłuski Leon (1789—1865), arcybiskup gnieźnieński.

Str. 312. fenomenologia, nauka o fenomenach czyli zjawiskach, objawach.

Str. 316. Eumenidy, furye, u staroż. Greków boginie zemsty, wyrzutów sumienia. — Nemesis, u star. Greków bogini karzącej sprawiedliwości.

Str. 332. w. 18. z góry, jeden z nauczycieli... t. j. Franc. Bacon.

Str. 335. książę, z którego dworem Soplica jedzie, to Karol Radziwiłł, wojewoda wileński (Panie Kochanku). — Ks. Radziwiłł Mikołaj Krzysztof, nazwany przez Zygmunta Augusta Sierotką (1549—1616). W r. 1552 podróż do Ziemi św.

Str. 336. Poniewież, miasto w gub. kowieńskiej.

Str. 337. Koźmian, mecenas, ojciec Kajetana. — Hebdów, wieś w pow. miechowskim nad Wisłą, niegdyś sławne opactwo kanoników regularnych, zwanych Norbertanami. Bardzo dawny klasztor w pięknem położeniu. — ciwun, rządca dóbr królewskich na Litwie; w ogóln. urzędnik wiejski na Litwie. — Ejragoła, miasteczko pow. kowieńskiego, na lewym brzegu rzeki Dubissy.

Str. 340. prepetycya, dalsza napaść.

Str. 341. JW. Sandomierski, roz. deputat na Trybunał.

Str. 342. perystyl, przedsionek. — Huńka, wierzchnia suknia z grubego, domowego sukna.

Str. 343. Banda albeńska, zawiązana w Albie pod Nieświeżem, było to stowarzyszenie, zostające pod zwierzchnictwem ks. Karola Radziwiłła »Panie Kochanku«. Mundur Albeńczyków był barwy Radziwiłłowskiej, t. j. kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R. — *fiducia amicorum fortis,* zaufaniem przyjaciół silny (tj. Radziwiłł).

Str. 344. Wobec przewagi Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym r. 1763, Karol ks. Radziwiłł wraz z innymi przeciwnikami »familii« opuścił Polskę. Zaocznie przeprowadzili Czartoryscy dekret, skazujący go jako nieprzyjaciela ojczyzny *(hostem patriae)* na banicyę i odsądzenie od wszelkich praw obywatelskich *(abiudicatio ab omni activitate)*. Dopiero w r. 1767 konfederacya radom., obwoławszy Radziwiłła marszałkiem, w tryumfie sprowadziła go do kraju.

Str. 345. tynf, dawna moneta polska, licząca 1 złp. 6 gr. (tj. około 40 h.), tak nazwana od Andrzeja Tympfa, mincarza za Jana Kazimierza.

Str. 346. arabeski, figury fantastyczne w malowidle, składające się z linii, liści i latorośli, rozmaicie poplątanych i powikłanych.

Str. 347. Ks. biskup wileński, Massalski.

Str. 348. Królowa rodaczka, Marya Leszczyńska.

Str. 349. talia, kibić, postać.

Str. 352. *ad libitum,* według upodobania, do woli. — Farfurowy, fajansowy. — Jazgarz, jaszcz albo jażdż, ryba koścista,

należąca do rzędu piersiopletwych. — Sielawa, lipień, gatunek ryby łososiowatej. — Figatele, farsze z cielęciny, kapłona i t. p. — garnirować, bramować, wkoło obszywać, obkładać. — naroki, wnętrzności. — Pistacye, pistakowe, mastyksowe [illegible]).

Str. 354. obedyencya *(oboedientia)*, posłuszeństwo; pismo przełożonego klasztoru, przenoszące duchownego na inne miejsce.

Str. 355. exces, wybryk.

Str. 357. Kanaparz, kanafarz = szafarz, śpiżarny, piwniczy klasztorny. — Dyspensa, szafowanie, wydawanie; — *ad interim*, tymczasowo. — *cosilium*, narada. — *Patres et fratres*, ojcowie i bracia. — *colloquia*, rozmowy. — Ćwik, gatunek gry w karty.

Str. 359. Obligacya, zobowiązanie. — Konwinkować, podbijać, zniewalać.

Str. 360. molestacya, naprzykrzanie się.

Str. 361. Wokacya, powołanie. — Wotywa, msza na czyją intencyę odprawiona, przed sumą śpiewana. — definitor, radca zakonny. — Probant, servitor, stopnie w życiu zakonnem. — Sajeta, sukno delikatne, cienkie.

Str. 362. Śliż, sielawa, lipień, gatunek ryby. — Experyencya, doświadczenie. — Sumpt, nakład, koszt.

Str. 363. Kustodya, straż, nadzór.

Str. 374. Kollokacya, rozmieszczenie wierzycieli na jakiejś majętności ziemskiej; sam majątek, między kilku właścicieli podzielony. Takim majątkiem, mającym kilku dziedziców, były Czaplińce, niegdyś jedną stanowiące całość, później przez exdywizyę na wiele cząstek podzielone.

Str. 375. beret, ubranie kobiet na głowę. — Szloma, żyd, arendarz miejscowy, handlujący zarazem rozmaitymi towarami. — Fermoar, zapinka przy paciorkach, łańcuszkach.

Str. 376. Fontaź, dwie kluczki, na które związana jest tutaj chustka na szyi. — Industrya, przemysł, zręczność.

Str. 379. kastorowy, bobrowy.

Str. 384. Wiek św. Bernarda, tj. wiek XII. Św. Bernard z Clairvaux ur. 1091, umarł 1153.

Str. 389. Baszkon Godysław, podskarbi (1253) biskupa Boguchwała, następnie kustosz poznański. † w końcu w. XIII. Napisał kronikę.

Str. 391. Złotorya, miasto w ziemi dobrzyńskiej w Prusiech, gdzie Drwęca uchodzi do Wisły.

Str. 399. Zakład narod. im. Ossolińskich, w r. 1817 ofiarowany narodowi przez Józ. Maksym. Ossolińskiego, otwarty r. 1827, w rok po śmierci założyciela.

Str. 407. Przegląd poznański, założony przez Jana Koźmiana, wychodził 1845—1865. — Biblioteka warszawska, założona r. 1841, wychodzi dotąd. — Dodatek do Czasu wychodził 1856 — 1861. — Dziennik literacki od r. 1852 do r. 1870. — Wiadomości (Roczniki) polskie 1857 do 1861; wyd. 1865 4 tomy. — Poznańskie Towarz. przyj. nauk., założone w r. 1857, dzieli się na dwie sekcye: nauk

historycznych i moralnych — i nauk przyrodzonych. Od r. 1860 wychodzą Roczniki Tow. przyj. nauk w Poznaniu.

Str. 415. Boryszkowce (właśc. Boruszkowce), wieś nad Słuczą w pow. nowogrodzkim na Wołyniu. Bitwa 15. czerwca 1792 (p. Teod. Morawskiego, Dzieje narodu polskiego, t. V. str. 317). — w. 13. Wielhorski Michał, generał, dowódca dywizyi, syn Wielhorskiego Michała, W. kuchmistrza; przedtem służył w wojsku austryackiem.

Str. 416. w. 57. Ostaszewski Kazimierz, były rotmistrz kawaleryi narodowej, który pod Mohortem służył, opowiadał poecie szczegóły bitwy na grobli.

Str. 420. Przebolało, wspomnienia młodości, spędzonej w Złoczowskiem. W Pomorzanach znajduje się dawny zamek króla Jana III, a w poblizkiej wiosce Krasnopuszczy założony przez tegoż króla klasztor OO. Bazylianów. — w. 17. mentor, przewodnik.

Str. 426. Hagar na pustyni. Z rozkazu Bożego odprawił Abraham swą niewolnicę Hagarę z jej synem Ismaelem. Gdy na pustyni (Bersabee) groziła Ismaelowi śmierć z pragnienia, zjawił się anioł i wskazał Hagarze poblizkie źródło. Ocalony tym sposobem Ismael stał się według podania praojcem dwunastu książąt arabskich.

Str. 429. Acernus, Klonowicz. Z gawędy Syrokomli wziął malarz Leopolski przedmiot do swego obrazu 'Zgon Acerna.

Str. 431. IV, 9. półwłocz, pół włóki (włóka, miara powierzchni, łan).

Str. 432. V, 28. tuz (w kartach), as; kralka, dziesiątka (dyska).

Str. 437. wedł. wiary ludu dusza człowieka, będącego w letargu, odchodzi do Boga, a gdy powróci do ciała, zatrzymuje pamięć tego, co tam widziała. Nazywa to lud zachwyceniem.

Str. 446. *povero*, biedny.

Str. 459. Głupi Janek był to biedny garbusek, który sam jeden z całej wioski litościwie wspierał Tumrego i Motrunę.

Str. 460. harować, ciężko pracować.

Str. 461. dwudziestkę uprząść, t. j. tak cienkie prząść nici, że 20 potrzeba pasem na pewną szerokość płótna, na którą grubszych nici wyszłoby mniej (np. tylko 10).

Str. 463. Hubertsburg w Saksonii, niegdyś zamek myśliwski elektora saskiego (r. 1721 zbudowany), w czasie wojny 7-letniej zniszczony; dziś zakład karny.

Str. 464. Meiseńska porcelana. Meissen, Miśnia, miasto w Saksonii, sławne fabryką porcelany.

Str. 469. Sułkowski ułożył był plan zagarnięcia Czech dla Saksonii. — Koenigstein, twierdza w Saksonii, rozpoczęta r. 1589, skończona r. 1731.

Str. 472. Książka do modl. Die wahre u. gründliche Gottseligkeit aller Christen ingemein, nebst einer Abhandlung vom Gebet. (1740, 2. wydanie 1773). — Mikołaj Ludwik hr. Zizendorf (1700—1760) założył sektę »Braci Morawskich« czyli Herrnhuterów (t. zw. od miejscowości Herrnhutt, gdzie była tej sekty siedziba).

Str. 475. łotoć, roślina z żółtym kwiatem, na błotach rosnąca.

Str. 480. Sambor, wychowaniec Wisza; Dziwa, córka Wisza. — Żalnik, w czasach pogańskich pagórek usypany na grobie, mogiła.

Str. 482. tokowisko, klepisko, miejsce ubite. — Bierwiono, belka nieociosana, tram. — Tryzna, ofiara grobowa.

Str. 485. Łada, bóstwo u Słowian pogańskich. — Ludek, syn Wisza; Doman, młody kmieć, który się starał o rękę Dziwy, a nie mogąc uzyskać spełnienia swych próśb, usiłował porwać ją gwałtem.

Str. 486. Smerdami nazywano dowódców ludzi książęcych.

Str. 493. Obóz klasyków wyszedł w Krakowie r. 1866; dlatego S. mówi, iż walka klasyków z romantykami wybuchła przed 50 laty.

Str. 504. Chmielecki Stefan, sławny pogromca Tatarów i obrońca Ukrainy. Umarł jako wojewoda kijowski r. 1630. — Koniecpolski Stanisław, hetman w. kor., zięć Żółkiewskiego, pod Cecorą do niewoli wzięty, po 4 latach powrócił. Wielekroć pobił Tatarów, n. p. pod Dźwinogrodem (1624), pod Martynowem (1626), szczególnie pod Ochmatowem (1644). Umarł roku 1646.

Str. 541. *Mutato nomine de te fabula narratur.* Hor. Sat. I, 69 i 70 (bajka o Tantalu).

Str. 543. Dezydery Chłapowski, urodził się 23. maja 1788; do szkoły wojskowej uczęszczał w Berlinie, w akademii artyleryi. W r. 1806 wstąpił do wojska Napoleońskiego i służył w niem aż do r. 1813. Do r. 1830 zajmował się gospodarstwem. W powstaniu listopadowem brał udział najpierw w Koronie pod wodzą Chłopickiego i Skrzyneckiego, potem na Litwie pod wodzą Giełguda. Po upadku powstania, uwolniony z więzienia pruskiego, osiadł w majątku dziedzicznym, pełniąc gorliwie obowiązki obywatela i chrześcijanina. Umarł roku 1879 (26. maja).

Str. 549. Na pensyi francuskiej, gdzie go w Berlinie pomieszczono, zapoznał się Dezydery Chłapowski z dwoma Francuzami, synami księcia Caraman, którzy z nim kolegowali, a zawiązana tam przyjaźń dotrwała między nimi aż do śmierci (Kalinka: Chłapowski str. 9).

Str. 550. Wielki mowca, o którym tu mowa, to Dupanloup (Oraison funebre du Gl. Lamoriciere).

Str. 555. otrzymał referendaryę litewską. Referendarz, urzędnik koronny w Polsce, odbierający i podający sprawy, nadesłane do rozstrzygnięcia; później urzędnik, zdający sprawę z wniesionych podań.

Str. 556. w. 4. z dołu. Cytat z Vergil. Aen. II, 385 i dal. Los sprzyja pierwszej walce. O towarzysze, idźmy, gdzie (którędy) nam sam los drogę do ocalenia wskazuje!

Str. 565. w. 19. troki, rzemienie, łyka do wiązania czego, więzy.

Str. 570. halabardnik, strażnik noszący halabardę, t. j. kopię z toporem, poniżej grotu osadzonym. — sc. 10. w. 19. rozpaczą bez

granic i wstydem powodowana, ukryć chciała Jadwiga ślub swój z Wilhelmem; w tę tajemnicę gwałtem wdzierają się panowie.

Str. 573. w. 78. Krywe Krywejte, najwyższy kapłan w Litwie pogańskiej. Tutaj Jagiełło nazywa tak biskupa krakowskiego.

Str. 576. Szkic o Tad. Rejtanie jest to właściwie odczyt publiczny, wygłoszony przez J. Szujskiego na cel dobroczynny w r. 1872, w stuletnią rocznicę pierwszego rozbioru.

Str. 577. w. 4. z góry: Z. Krasińskiego Psalm miłości. — Baron Stakelberg, poseł rosyjski, Rewitzky — austryacki, Benoit — pruski.

Str. 589. immatrykulacya wpisanie do matrykuły t. j. do księgi zawierającej imiona uczniów uniwersytetu. Akt ten odbywa się uroczyście.

Str. 590. Anteusz, syn Ziemi i Poseidona, olbrzym, którego Herkules w powietrze podniósł i udusił, spostrzegłszy, że Anteusz o ziemię rzucony, świeżych sił nabierał.

Str. 593. Na medalu, dla Konarskiego wybitym, był napis: *sapere auso* t. j. temu, który (w czasie ogólnej ciemnoty) miał odwagę być mądrym. Słowa te wzięte są z Horacego Epist. I, 2, 40. *Sapere aude.*

Str. 612. Mistrz z Fiezoli, t. j. Fra Giovanni Angelico da Fiesole, zwykle Fra Angeliko (właśc. Santi Tosini), sławny malarz (1387—1455).

Str. 617. *railway* po angielsku: kolej żelazna.

Str. 638. w. 42. Jest to pierwszy wiersz Jerozolimy wyzwolonej Tassa (Piotr Kochanowski: Wojnę pobożną śpiewam i hetmana).

Str. 638. Z księżną Zeneidą Wołkońską poznał się A. Mickiewicz jeszcze w Moskwie i często bywał w jej domu. Z tego czasu pochodzi nawet jego wiersz: Na pokój grecki (1827). Przybywszy do Rzymu, bywał znowu często w pałacu Wołkońskich (Palazzo Ferucci).

Str. 639. Madonna Sykstyńska, obraz Rafaela Santi z Urbino (»młodzianek z Urbino« 1483—1520). Najśw. Panna z Dzieciątkiem otoczona jest niezliczonemi aniołkami, a u stóp jej klęczą papież Sykstus i św. Barbara. Obraz znajduje się w Dreźnie).

Str. 683. Z filozoficznych prac Chmielowskiego można wymienić oprócz rozprawy doktorskiej (Die Bedingungen der Entstehung des Willens, Lipsk 1874): Geneza fantazyi (1873). — Artyzm i artyści (1873). — Kremer i Taine (1875), — Józef Kremer (1875). — Karol Libelt (1875). — Hipolit Taine) (1893). — August Cieszkowski (1894). — Z prac pedagogicznych, drukowanych szczeg. w Bluszczu, zasługują na wzmiankę: Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno (1875). — Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce (1877). — Dzieło Nasi powieściopisarze zawiera osobno w różnych pismach drukowane studya o Czajkowskim, Rzewuskim, Kaczkowskim, Kraszewskim, Jeżu, Sienkiewiczu. — Studya i szkice obejmują między innemi: Dwie sobótki, t. j. Jana Kochanowskiego i Sew. Goszczyńskiego; Charakterystykę

Ign. Krasickiego; Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego; Pogląd na poezyę polską w w. XIX; studya o Brodzińskim, Boh. Zaleskim, o Towianiźmie Słowackiego, o balladach Zana i t. p. — W ostatnich latach wydał Chmielowski dwie większe prace jako podręczniki *a)* do nauki języka polskiego — Stylistykę, *b)* do nauki historyi literatury — Metodykę. Nadto w wydawnictwie Arcydzieła polskich i obcych pisarzy opracował kilka tomików (n. p. Mickiewicza Pana Tadeusza, Słowackiego Lillę Wenedę i Trzy poemata, Krasińskiego Nieboską komedyę, Sofoklesa Antygonę).

Str. 695. Z ogromnej ilości językowych studyów Brücknera, bądźto osobno wydanych bądź też drukowanych w czasopismach (n. p. Archiv für slavische Philologie), wymienimy tylko niektóre: N. p. Die slavischen Fremdwörter im Litauischen 1877 (pierwsza jego ważniejsza praca). — Zur Lehre von den sprachlichen Neubildungen im Litauischen. — Die Magdeburger Urteile. Ein Denkmal deutschen Rechtes in polnischer Sprache aus der Mitte des XV Jahrhundertes. — Beiträge zur litauischen Mythologie. — Ueber die älteren Texte des Polnischen. — Böhmische Studien. Abhandlungen und Texte. — W r. 1891 ogłosił w »Pracach filozoficznych« znaleziony przez siebie najstarszy zabytek języka polskiego z połowy XIV wieku: »Kazania świętokrzyskie«. — Neue Quellen zur Geschichte der polnischen Sprache und Literatur i t. p.

Z ciekawszych studyów jego literackich, drukowanych albo osobno albo w czasopismach naukowych polskich (n. p. Ateneum, Biblioteka warszawska) albo w Rozprawach Wydz. filol. Akad. umiej., wymieniamy (oprócz dzieł w żywocie podanych): O bezimiennym poecie czasów Zygmunta Augusta. — O nieznanych wierszach Mik. Sępa Szarzyńskiego. — Polnisch russische Intermedien des XVII. Jahrhundertes. — Średniowieczna poezya łacińska w Polsce. Kazania husyty polskiego z rękopisu petersburskiego. — Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego i w. i.

Spis ważniejszych osób,

o których w tem dziele jest wzmianka.

Ajschyl (525—456), grecki poeta dramatyczny: Trylogia Oresteja; Persowie; Prometeusz w okowach; Siedmiu przeciwko Tebom.

Alfieri Vittorio (1749—1803), włoski poeta dramatyczny (Merope, Brutus, Saul, Wirginia i inne).

Alwar (właśc. Alvares, Emmanuel Alvarus (1526—1584), uczony filolog, Jezuita. Sławną była jego gramatyka łacińska, której przez długi czas w szkołach jezuickich używano.

Andrzejowski Antoni (1785—1868), botanik, prof. w lic. krzemienieckiem, potem w akad. kijowskiej (»Flora Ukrainy«, 1869), wydał wiele dzieł naukowych w jęz. polskim i francuskim, i drobne utwory literackie: Ramoty starego detiuka (6 t.).

Ariosto Ludwik (1474—1533), poeta włoski, autor epopei p. t. Orland szalony.

Arystoteles (384—322 przed Chr.). największy filozof grecki, którego dzieła (szczeg. logika) w wiekach średn. były podstawą wszech nauk.

Augier Emil, francuski poeta dramatyczny w w. XIX: Cykuta; Bezczelni (Les Effrontes); Syn Giboyera; Fourchambault i inne.

Azeglio Massimo (1798—1866), powieściopisarz i publicysta, żarliwy szermierz wolności Włoch (powieść: Nicolo de Lapi).

Balbo Cesare hr. (1789—1853), historyk i polityk włoski (Historya Włoch, od najdawniejszych czasów do r. 1814), wykazujący przyczyny upadku niepodległości Włoch i środki jej odzyskania.

Balzac Honoryusz de (1799—1850), powieściopisarz: Sceny z życia prywatnego; Sceny z życia prowincyonalnego; Sceny z życia paryskiego; Powiastki zabawne — i inne.

Balzer Oswald (ur. 1858), prof. prawa polskiego w uniwersytecie lwowskim: Geneza trybunału koronnego (1886); Studya nad prawem polskiem (1889); Genealogia Piastów (1896); O Morskie Oko (1906) — i inne.

Bałucki Michał (1837—1901), komedyopisarz: Polowanie na męża; Radcy pana Radcy; Dom otwarty; Grube ryby — i inne. Pisywał także powieści.

Bandtkie Jerzy Samuel (1768—1835), prof. bibliografii w akademii Jagiell., wydał kilka dzieł naukowych: Historya drukarń krakowskich; Hist. biblioteki uniwer. Jagiell.; Historya drukarń w Królestwie polskiem — i inne. Jego brat Jan Wincenty, 1783—1848, badacz prawa polskiego i jego historyi.

Baudouin Jan Ignacy de Courtenay (ur. 1845), profesor porównawczej filologii słowiańskiej w Dorpacie, później w Krakowie, obecnie w Petersburgu, napisał kilka rozpraw o języku polskim.

Beauplan Wilhelm de, za Zygmunta III i Władysława IV starszy kapitan artyleryi, służył pod hetmanem Koniecpolskim na Ukrainie. Zrobił mapę Ukrainy i zostawił opis tego kraju.

Bełcikowski Adam (ur. 1839), skryptor Bibl. Jagiell., wydał wiele dramatów (n. p. Mieczysław II; Bolesław Śmiały) i wiele rozpraw literackich (Ze studyów nad literaturą polską, 1886).

Beniowski Maurycy (1741 - 1786): Historya podróży i osobliwszych zdarzeń (Warszawa 1802).

Bentkowski Feliks (1781—1852), prof. historyi w liceum, potem w uniwersytecie warszawskim, wkońcu zawiadowca archiwum krajowego. Wydał pierwszą w Polsce historyę literatury polskiej w 2 tomach.

Beranger Piotr Antoni (1787—1857), liryczny poeta francuski.

Bernatowicz Feliks (1786—1836), powieściopisarz: Pojata, córka Lizdejki; Nałęcz.

Berwiński Ryszard Wincenty, Wielkopolanin, poeta: Poezye (1844); Don Juan poznański. Studya o literaturze ludowej (2 tomy, 1854).

Biegeleisen Henryk (ur. 1855), prof. gimn. we Lwowie: Pan Tadeusz Mickiewicza (1884). Wiele mniejszych rozpraw literackich.

Bielkiewicz Adam (1798—1840), dr. medycyny i chirurgii, prof. anatomii w Wilnie. Około gabinetu anatomicznego wileńskiego wielkie położył zasługi.

Bielowski August (1806—1876), dyrektor Biblioteki Ossolińskich we Lwowie, za młodu poeta (Pieśń o Henryku Pobożnym i tłóm. Wyprawy Igora na Połowców), później historyk (Wstęp krytyczny do dziejów Polski; Monumenta Poloniae historica, których sam wydał 3 tomy).

Bliziński Józef (1827—1893), komedyopisarz: Przezorna mama; Marcowy kawaler; Pan Damazy; Szach i mat — i wiele innych.

Bobrzyński Michał (ur. 1849), prof. uniw. Jag., b. wiceprezydent kraj. Rady szkolnej: Dzieje Polski w zarysie (w 2 t. w wyd. 3); prócz tego opracował i wydał wiele pomników prawa polskiego.

Borkowski Józef Dunin hr. (1809—1843), poeta i tłómacz, brat Leszka, znanego jako pisarza i posła.

Borowski Leon (1784 -1846), po śmierci Euzeb. Słowackiego profesor literatury i wymowy w akademii wileńskiej.

Bossuet Jakób (1627—1724), wielki teolog i kaznodzieja francuski. Oprócz Kazań wydał: Rozprawę o historyi powszechnej; Wykład nauki katolickiej — i wiele innych.

Bouterwek Fryderyk (1766—1828), prof. filozofii w uniwersytecie w Göttingen, wydał wiele dzieł i rozpraw filozoficznych, estetycznych i literackich (Geschichte der neueren Poesie u. Beredsamkeit w 12 tomach).

Brodowicz Józef, dr. medycyny, długoletni prof. uniwers. Jagiell., prezes krakow. Towarz. naukowego, wydał wiele dzieł i rozpraw z zakresu medycyny.

Büchner Fryderyk Karol (ur. 1824), dr. medycyny w Darmstadt, wydał wiele dzieł: Kraft u. Stoff (od r. 1855 kilkanaście wydań); Natur u. Geist; Aus Natur u. Wissenschaft; Das Alter des Menschengeschlechtes; Der Mensch u. seine Stellung in der Natur — i inne.

Bürger Gottfried August (1747—1794), poeta niemiecki, twórca nowoczesnej ballady (Lenore, Der wilde Jäger, Das Lied von dem braven Manne).

Burns Robert (1759—1796), poeta angielski, Szkot rodem, który w pieśniach swoich naśladował szkockie pieśni ludowe.

Byron George Noel Gordon (1788—1824), poeta angielski: Child Harolda podróże; Giaur; Narzeczona z Abydos; Korsarz; Lara; Oblężenie Koryntu; Więzień Chillonu; Mazepa; Wyspa; Don Juan; Manfred; Kain.

Calderon Piotr (1600—1681), największy dramatyczny poeta hiszpański. (N. p. Książę niezłomny; Kochankowie nieba; Nabożeństwo do krzyża; Lekarz swego honoru; Sędzia z Zalamei; Życie snem).

Cantu Cesare z Medyolanu, historyk, autor Historyi powszechnej w 19 tomach. Wydawał także utwory powieściowe, szczególnie przeznaczone dla młodzieży.

Chateaubriand Franciszek René de (1768—1848). Do ważniejszych jego dzieł należą: Duch chrześcijaństwa; Męczennicy czyli tryumf religii chrześcijańskiej; Atala; René.

Chodakowski Zoryan, właśc. Czarnocki Adam (1784—1825), zbierał pieśni i podania ludu. Wydał r. 1818 »O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej«.

Chodźko Aleksander (1804—1891), przyjaciel Mickiewicza; od r. 1858 prof. literatury słowiańskiej w Paryżu. W młodości pisywał poezye (»Maliny«).

Chojeński Jan (1487—1538), biskup przemyski, od roku 1535 krakowski. Zasłużony mecenas nauk (Kromer, Struś).

Chołoniewski Stanisław, (1791—1846), ksiądz, sławny kaznodzieja. (Kazania dopiero r. 1888 wydane); wydał nadto: Sen w Podhorcach; Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej; Pisma religijno-moralne.

Comte Izydor August (1798—1857), z zawodu matematyk; wydał wiele dzieł (n. p. Cours de philosophie positive, 1830—1842 w 6 tomach; Système de politique positive w 4 t. 1851 do 1854; Catéchisme positiviste 1853 — i inne).

Cooper James Fenimore (1789—1851), poeta i powieściopisarz amerykański (Szpieg; Ostatni Mohikanin; Pionierowie; Prerya — i inne).

Cybulski Wojciech (1808 1867), prof. uniw. wrocławskiego: Dziady Mickiewicza (1864); Odczyty o poezyi polskiej (dwa tomy, 1870).

Czacki Tadeusz (1765—1813), badacz przeszłości narodu (O litewskich i polskich prawach), wizytator szkół i założyciel liceum krzemienieckiego (Korespondencya z H. Kołłątajem).

Czajkowski Michał (1803—1885), powieściopisarz ukraiński (Stefan Czarniecki; Wernyhora; Owruczanin, Kirdżali; Hetman Ukrainy; Gawędy i powiastki).

Czartoryski Adam Jerzy (1770—1861), syn Adama Kazimierza generała ziem podolskich (1734—1823).

Czerwiakowski Ignacy (1808—1882), prof. botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał: Botanikę ogólną (2 t.) i Botanikę szczegółową (t. 6).

Dante Alighieri (1265—1321), wielki poeta włoski: Komedya boska, poemat w 100 pieśniach.

Darwin Karol Robert (1809—1882), sławny angielski przyrodnik; prywatnie żyjąc, z zapałem pracował i wydał wiele dzieł głośnych w całym świecie, n. p. On the origin of species by means of natural selection 1859.

Dembowski Edward († 1846): Piśmiennictwo polskie w zarysie, Poznań 1845.

Descartes René czyli Kartezyusz (1596—1650), wielki filozof francuski: Rozmyślania nad pierwszą filozofią (Meditationes de prima philosophia) i Zasady filozofii (Principia philosophiae).

Deszkiewicz Jan Nep. († 1869). Gramatyka jęz. polsk. Rzeszów, 1846; O pisownictwie polskiem, 1869; Rozbiór Dra Małeckiego gramatyki, 1863 — i inne.

Dietl Józef, prof. uniwer. Jagiell., były prezydent m. Krakowa, wydał wiele dzieł i broszur medycznych.

Domejko Ignacy († 1889), przyjaciel A. Mickiewicza, prof. chemii i fizyki w uniw. w Sant-Jago (Chili).

Dove Henryk (1803—1879), znakomity fizyk, prof. uniw. berlińskiego, autor wielu dzieł naukowych.

Dumas Aleksander (1803—1870), poeta dramatyczny (Henryk III. i dwór jego; Karol VI.; Kaligula) i powieściopisarz (Trzej muszkieterowie; Hrabia Monte-Christo).

Dumas Aleksander, syn (1824—1895), francuski pisarz dram. (Dama z kamelią; Dyana de Lys; Przyjaciele) i powieściopisarz (Zofia Printemps; Clemenceau).

Działyński Tytus hr. (1797—1861), założyciel biblioteki kórnickiej, wydawał wiele źródeł historycznych, szczególnie Acta Tomiciana w 8 tomach; dalsze dwa wydał syn jego Jan (1829—1880).

Dzieduszycki Maurycy hr. (1813—1877): Piotr Skarga i wiek jego (2 t.); Zbigniew Oleśnicki (2 t.); Żywot W. Sierakowskiego; Żywot W. Pola — i inne.

Faleński Felicyan (ur. 1824), poeta oryginalny (Kwiaty i kolce; Odgłosy z gór) i tłómacz (Pieśni Petrarki).

Fredro Jan Aleksander (1829—1891) komedyopisarz: Przed śniadaniem; Posażna jedynaczka; Obce żywioły; Wielkie bractwo — i inne.

Garczyński Stefan (1805—1833), przyjaciel Mickiewicza, poeta (Wacława młodość; Wspomnienia z r. 1831).

Gaszyński Konstanty (1808—1886), przyjaciel Krasińskiego, poeta (Sielanka młodości; satyra: Gra i karciarze; bajka: Papuga i wróbel).

Gervinus Jerzy Gottfried (1805—1871), znakomity historyk niemiecki: »Historya w. XIX«. w 8 tomach; Shakespeare w 2 tomach; Historya narodowej poezyi niemieckiej w 5 tomach — i inne.

Goethe Jan Wolfgang (1749—1832): Götz v. Berlichingen; Die Leiden des jungen Werther; Clavigo; Iphigenie auf Tauris; Egmont; Torquato Tasso; Wilhelm Meisters Lehrjahre; Hermann u. Dorothea; Wil. Meisters Wanderjahre; Faust.

Gołuchowski Józef (1797—1858), przez krótki czas (1823 do 1824) prof. filozofii w akademii wileńskiej.

Górecki Antoni (1787—1861), Litwin, żołnierz Napoleoński, po powstaniu r. 1831 osiadł w Paryżu. Poeta, pisywał od roku 1834 szczególnie bajki i wiersze okolicznościowe.

Grabowski Michał (1805—1863), krytyk i powieściopisarz (pod przybranem nazwiskiem Edwarda Tarszy): Koliszczyzna i stepy; Stannica hulajpolska; Tajkury; Pamiętniki domowe; Zamieć w stepach.

Groddeck Ernest (1760—1826), prof. filologii klasycznej w uniwersytecie wileńskim, autor wielu dzieł i wydawca pism Sofoklesa i Cycerona.

Groza Aleksander (1807—1875), pisarz ukraiński, poeta (Starosta kaniowski; Jassyr batowski) i prozaik (Obrazki ukraińskie; Mozaika).

Häusser Ludwik (1818—1867), historyk niemiecki: Historya Niemiec od śmierci Fryderyka Wielkiego w 4 tomach; Historya rewolucyi francuskiej; Historya reformacyi — i inne.

Hallam Henryk (1777—1859), sławny historyk angielski, napisał między innemi w 2 tomach: Pogląd na stan Europy w wiekach średnich. Nadto: Historyę konstytucyi angielskiej od Henryka VII. do Jerzego II.

Hanusz Jan (1859—1887), docent gramatyki porówn. w uniw. wiedeńskim, napisał kilka rozpraw odnoszących się do gram. i historyi języka polskiego.

Hartmann Karol Robert (ur. 1842), filozof niemiecki. Wydał bardzo wiele dzieł (n. p. Die Philosophie des Unbewussten; die Religion des Geistes; Wahrheit und Irrthum im Darwinismus; Studien — i wiele innych).

Hegel Jerzy Wilhelm Fryderyk (1770—1831), sławny filozof, prof. uniwers. heidelberskiego, w końcu berlińskiego, autor wielu dzieł (18 tomów).

Heine Henryk (1799—1856), poeta niemiecki, szczególnie liryczny i satyryczny.

Helcel Antoni Zygmunt (1808—1870), profesor prawa polskiego w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał kilka rzeczy bardzo cennych (Starodawne prawa polskiego pomniki; Listy Jana Sobieskiego).

Herder Jan Gottfried (1744—1803): Legendy i przypowieści; Die Stimmen der Völker; Cid.

Holtei Karol (1797—1880), poeta niemiecki, szczególnie dramatyczny.

Q. Horatius Flaccus (65—8), największy w starożytności poeta rzymski (Ody; Epody; Satyry; Listy).

Hozyusz Stanisław (1504—1579), biskup warmiński, kardynał, obrońca wiary katolickiej; prezydował na soborze trydenckim.

Hube Romuald, profesor uniwersytetu warszawskiego i petersburskiego, wydał wiele dzieł i rozpraw, n. p. O teoryach prawa kryminalnego; Historya praw karnych słowiańskich (1870); Prawo polskie XIII. w. (1875), w. XIV. (1881—1886); Zbiór przysiąg sądowych (1888).

Hugo Wiktor (1802—1885), najsławniejszy poeta francuski wieku XIX. (Ody i ballady; Poezye wschodnie; Legenda wieków; — dramata: Hernani; Król się bawi; Lukrecya Borgia; Marya Tudor; — powieści: Notre Dame de Paris; Nędznicy).

Janiszewski Jan Chryzostom (1818—1891), biskup sufragan poznański wydał wiele (20) mów i kazań przygodnych i kilka pism teologicznych, wkońcu dzieło Kościół i państwo chrześcijańskie.

Jański Bohdan († 1840), wydawał w Paryżu pismo polityczne i literackie: Pielgrzym 1833.

Januszkiewicz Eustachy († 1874), Litwin, przyjaciel Mickiewicza na emigracyi, księgarz, wydawca pism polskich we Francyi.

Jaraczewska Elżbieta (1792—1832), autorka powieści obyczajowych: Wieczór adwentowy; Pierwsza młodość, pierwsze uczucie.

Jarochowski Kazimierz (1829—1888), Wielkopolanin, wydał wiele dzieł historycznych, n. p. Dzieje panowania Augusta II.; Opowiadania i studya historyczne (4 tomy) — i inne.

Jarocki Feliks Paweł (1790—1862), zoolog, prof. uniw. warszawskiego i dyrektor tamtejszego gabinetu zoologicznego, autor wielu dzieł i rozpraw naukowych.

Jastrzębowski Wojciech, do r. 1858 nauczyciel botaniki, mineralogii i fizyki w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, niezmordowany w pracy, wydał wiele dzieł naukowych i popularnych.

Jean Paul, właściwie Jan Paweł Fryderyk Richter (1763 do 1825), powieściopisarz i estetyk.

Jerlicz Joachim, w wieku XVII. brał udział w różnych bitwach. Napisał Latopisiec albo Kroniczka od 1620—1673.

Jezierski Franc. Salezy (1738—1791), ksiądz, za czasów Komisyi edukacyjnej, jako generalny wizytator szkół, gorliwie zajmował się edukacyą młodzieży. Napisał bardzo wiele dzieł i broszur.

Jundziłł Stanisław Bonifacy (1761—1847), przyrodnik, przez lat 26 profesor uniwersytetu wileńskiego, autor wielu dzieł naukowych.

Juwenal *(D. Junius Juvenalis)*, żył w I. w. po Chr.; satyryk.

Kaczkowski Zygmunt (1826—1896), powieściopisarz: Powieści ostatniego z Nieczujów; Murdelio; Bracia ślubni; Starosta hołobucki; Sodalis Marianus; Annuncyata; — Wnuczęta; Rozbitek; — Abraham Kitaj; — Olbrachtowi rycerze i inne.

Kalicki Bernard († 1884), urzędnik Wydziału krajow., niegdyś lektor ociemniałego Szajnochy; wydał kilka szkiców historycznych.

Kalina Antoni (1846—1906), Wielkopolanin, prof. porównawczej filologii słowiańskiej w uniwersytecie lwowskim, wydał kilka rozpraw, odnoszących się do gramatyki i historyi języka polskiego.

Kamiński Jan Nepomucen (1777—1855), twórca narodowej sceny we Lwowie, tłómacz i pisarz oryginalny (Krakowiacy i górale, cz. II). Był też redaktorem Gazety lwowskiej i Rozmaitości od roku 1827 do roku 1848.

Kartezyusz p. Descartes.

Katullus *(G. Valerius Catullus)*, liryczny poeta rzymski (87 do 54 przed Chr.).

Kolberg Oskar (1817—1891), wydał kilkadziesiąt tomów, opisujących zwyczaje i obyczaje ludu polskiego w różnych dzielnicach. Ogólny tytuł dzieła: Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa i t. d.

Kopernik Mikołaj (1473—1543), znakomity astronom polski (O obrotach ciał niebieskich).

Koronowicz W., właściwie Waleryan Wróblewski (1809—1877), historyk, napisał: Słowo dziejów polskich.

Korsak Julian (1807—1855), towarzysz i przyjaciel Mickiewicza i Odyńca, poeta oryginalny i tłómacz (Dantego Komedya Boska).

Korytkowski Jan (1824 - 1888), ksiądz: Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński; Prałaci i kanonicy katedry gnieźnieńskiej (3 t.); Zbigniew Oleśnicki; Arcybiskupi gnieźnieńscy do roku 1821.

Korzeniowski Józef, prof. medycyny w uniwersyt. wileńskim, potem w akademii chirurgicznej w Wilnie. Wydał kilka dzieł w języku łacińskim.

Korzon Tadeusz (ur. 1839): Historya powszechna (w 3 częściach); Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (4 t.).

Kozłow Jan (1774—1838), poeta rosyjski; tłómacz Sonetów krymskich Mickiewicza, który mu nawet poświęcił swego Farysa.

Koźmian Stanisław (1811—1885), tłómacz Szekspira, napisał także dzieło: Anglia i Polska, studyum porównawcze dziejów, obyczajów i cywilizacyi obu tych krajów. Pisał także wiersze n. p. Do mistrzów słowa (1847).

Kozubowski Antoni, dr. medycyny, prof. uniw. Jagiellońskiego, członek krakowskiego Tow. naukowego, wydał kilka dzieł naukowych (np. o jedwabnikach, o chowie jedwabników, o sposobach rozmnażania morw).

Krüdener Julianna de (1766—1824) napisała romans pod tytułem Walerya.

Kryński Adam Antoni (ur. 1844), prof. gimn. w Warszawie, napisał bardzo dobrą gramatykę języka polskiego i wiele rozpraw naukowych w tym przedmiocie.

Krzycki Andrzej († 1537), arcybiskup gnieźnieński, poeta łaciński. Kilka jego utworów tłómaczył Syrokomla.

Kubala Ludwik (ur. 1838), prof. gimnazyalny we Lwowie: Stanisław Orzechowski; Szkice historyczne (2 t.); Jerzy Ossoliński (2 t.).

Kulisz Pantalemon (ur. 1819), zrazu poeta i powieściopisarz, potem historyk rosyjski (Zapiski o jużnoj Rusi).

Lacordaire Henryk Dominik (1802—1861), sławny kaznodzieja francuski i pisarz filozoficzny.

Lam Jan (1838—1886), publicysta i powieściopisarz (Panna Emilia; Głowy do pozłoty; Dziwne karyery). Sławne były w swoim czasie jego kroniki niedzielne w Dzienniku polskim.

Lamartine Alfons (1790—1869), sławny poeta francuski, przez krótki czas prezydent Rzpltej francuskiej w r. 1848. Napisał także historyę Żyrondystów. Dzieła jego wyszły w 40 tomach.

Lammenais Franciszek Robert (1782—1854) wydał: O obojętności w rzeczach religii; Religia w stosunkach z porządkiem społecznym; Rozprawy krytyczne i różne myśli o religii i filozofii; O religii; Szkic filozofii.

Leibnitz Gottfried Wilhelm (1646 1716), wielki filozof niemiecki, prezes akademii nauk w Berlinie, autor wielu dzieł.

Lessing Gotthold Efraim (1729—1781), poeta dramat.: Minna v. Barnhelm; Emilia Galotti; Natan mędrzec; — i krytyk: Listy o literaturze; Laokoon; Hamburska dramaturgia.

Lewicki Anatol (1841—1899), prof. uniw. Jag., wydał: Mieszko II.; Wstąpienie na tron Kazimierza Jagiellończyka — i inne.

Libelt Karol (1807—1875), matematyk i filozof (Filozofia i krytyka; Estetyka czyli umnictwo piękne). Z mniejszych rzeczy do celniejszych należą: O miłości ojczyzny; O odwadze cywilnej.

Likowski Edward ks., biskup sufragan poznański (ur. 1836): Historya unii kościoła ruskiego z rzymskim; Dzieje kościoła unickiego na Litwie i Rusi; Rokowania poprzedzające unię brzeską.

Linné Karol (Linneusz 1707—1778), sławny naturalista, prof. botaniki w Upsali.

Liske Ksawery (1838—1891), długoletni prof. uniw. lwowskiego, założyciel i dożywotni prezes honorowy Towarz. historycznego i redaktor Kwartalnika historycznego. Studya z dziejów XVI w.; Cudzoziemcy w Polsce; szczególnie się zasłużył około wydawnictwa aktów grodzkich i ziemskich (t. 2—15).

T. Livius (Patavinus), sławny historyk rzymski (59 przed Chr. do 17 po Chr.).

Locke John (1632—1704), sławny filozof angielski, z powodów politycznych przez Jakóba II. prześladowany; pisma jego (wyszły w 10 tomach) wielki wpływ wywarły na encyklopedystów francuskich.

T. Lucretius Carus (98—55 przed Chr.), sławny poeta rzymski, wyznawca nauki Epikura, napisał poemat w 6 pieśniach: *De rerum natura.*

Łazowski Dobromysł Eugeni Łada (1807—1868), prof. gimn. we Lwowie: Gramatyka języka polskiego (1848); Gramatyka jęz. polskiego, dzieło konkursowe (1861) — i inne.

Łepkowski Józef (1826—1894), prof. archeologii w uniwersytecie Jagiellońskim: Starożytności i pomniki Krakowa; Przegląd krakowskich tradycyj, zwyczajów...; Sztuka, zarys jej dziejów — i inne.

Łoziński Walery (1838—1861), pisał powieści: Szlachcic chodaczkowy; Czarny Matwij; Zaklęty dwór — i inne.

Łoziński Władysław (ur. 1843), powieściopisarz: Pierwsi Galicyanie; Legionista; Opowiadania Wita Narwoja; Nowe opowiadania W. N.; Skarb watażki — i inne. Nadto: Mieszczaństwo i patrycyat lwowski (Lwów starożytny).

Łukaszewicz Józef (1799—1873), historyk: O kościołach braci czeskich; Dzieje kościołów wyznania helweckiego na Litwie; w Małopolsce; Historya szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem (t. 4).

Łukaszewicz Lesław (1811—1855): Rys dziejów piśmiennictwa polskiego. Od r. 1836 kilka było wydań.

Łuszczewska Jadwiga, Deotyma (ur. 1830): Improwizacye i poezye; Rapsody o chrobrym królu; Wanda. Powieści prozą: Na rozdrożu; Krzyż nad otchłanią; Branki w jasyrze.

Łuszczkiewicz Władysław (1828—1900), prof. szkoły sztuk pięknych w Krakowie: Zabytki sztuk pięknych Krakowa; Malarstwo religijne w Polsce; Trzy epoki sztuki w zamku krakowskim — i wiele innych.

Mably Gabryel (1709—1785), francuski historyk, prawnik i teoretyk polityczny. Dłuższy czas bawił w Polsce. Napisał wiele dzieł. O nim piękny szkic Szym. Askenazego w Studyach historyczno-krytycznych (1897).

Maciejowski Wacław Aleksander (1793—1883), prof. w liceum, potem w uniwersytecie warszawskim, autor wielu dzieł (Historya prawodawstw słowiańskich; Historya włościan; Żydzi w Polsce, na Rusi i Litwie; — Piśmiennictwo polskie 3 t.; Polska do połowy wieku XVII).

Magnuszewski Dominik (1810—1845): Niewiasta polska w trzech wiekach; Dramat w naturze; Rozbójnik salonowy itp.

Maistre Józef de (1752—1821), mąż stanu i pisarz; poseł sardyński przy dworze rosyjskim; wiele dzieł, główne o Papieżu.

Majer Józef (1808—1889), prof. uniwers. Jagiellońskiego, pierwszy prezes Akademii umiejętności w Krakowie: Słownik anatomiczno-fizyologiczny; Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich; wiele prac, głównie w zakresie antropologii.

Majorkiewicz Jan (1820—1847): Historya, literatura i krytyka.

Malherbe Franciszek (1555—1628), poeta (Ody, pieśni); odznaczał się nadzwyczajną starannością o formę swych wierszy.

Malinowski Franciszek (1807—1881), ksiądz, wielki znawca języków, wydał między innemi: Krytyczno-porównawczą gramatykę jęz. polskiego, z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczej.

Malinowski Lucyan (1836—1898), prof. porównaw. filologii słowiańskiej w uniw. Jagiel., wydał wiele rozpraw, odnoszących się do hist. jęz. polskiego.

Manzoni Aleksander hr. (1785—1873), sławny poeta włoski (Ody; Hymny) i powieściopisarz (Narzeczeni).

Marcinkowski Karol (1800—1846), znakomity lekarz, założyciel Tow. pomocy naukowej w Poznaniu (1841), które imię jego nosi.

Massillon Jan Chrzciciel (1663—1744), kaznodzieja francuski (Kazania adwentowe i postne).

Mecherzyński Karol (1800—1881), przez długie lata prof. literat. polsk. w uniwers. Jagiell., napisał wiele dzieł i rozpraw. Najważniejsze: Historya wymowy w Polsce (3 t.).

Mill John Stuart (1806—1873), sławny angielski filozof i polityk (walczył szczególnie w obronie zasady równouprawnienia kobiet), wydał wiele dzieł i rozpraw (np. System of logic; Principles of political economy; Aug. Comte and pisitivism — i inne.

Moleschott Jakób (ur. 1822), zrazu pryw. docent w Heidelbergu, potem prof. fizyologii w Zurychu, od r. 1879 w Rzymie. Wydał wiele dzieł i rozpraw (np. Physiologie der Nahrungs-

najsławniejszy komedyopisarz francuski (n. p. Skąpiec; Mizantrop; Świętoszek).

Montalembert Karol Forbes de (1810—1871): Życie św. Elżbiety; Katolicyzm i wandalizm w sztuce; Zakonnicy zachodni i t. p. (Par francuski za Ludwika Filipa, znakomity mowca, wielki obrońca i przyjaciel Polski).

Moore Tomasz (1780—1852), poeta angielski: Pieśni irlandzkie; Lalla Rookh; Raj i Peri; Czciciele ognia.

Moraczewski Andrzej (1802—1855), Wielkopolanin, historyk: Starożytności polskie; Dzieje rzeczypospolitej polskiej (9 t.).

Motteville Franciszka (1621—1689), autorka Pamiętników o Annie Austryackiej.

Menzel Wolfgang (1798—1873), autor dzieła »die deutsche Litteratur«, w którem starał się wpływać na ducha narodowego, budzić w ziomkach zapał do wolności i miłość ojczyzny.

Mille Jan (1789—1839), dr. medycyny, prof. fizyologii w uniw. warszawskim, autor kilku dzieł naukowych.

Montesquieu, właściwie Charles de Secondat baron de La Brède et Montesquieu (1689—1755), sławny pisarz francuski. Główne dzieło: *L'Esprit de Lois* (O duchu praw), studyum nad sposobem powstawania państw i nad głównemi zasadami wszystkich ustrojów państwowych. — Napisał także Listy perskie; jest to ostra krytyka ówczesnych stosunków we Francyi.

Muczkowski Józef (1795—1858), prof. uniw. Jagiellońskiego: Gramatyka języka polskiego; Mała gramatyka jęz. pol.

Musset Alfred de (1810—1857), poeta liryczny, (Powiastki hiszpańskie i włoskie; Ody) i dramatyczny (Przysłowia dramatyczne i utwory dram.).

Narzymski Józef (1839—1872), komedyopisarz: Pan prezydent w kłopotach; Epidemia; Pozytywni.

Nehring Władysław (ur. 1830), Wielkopolanin, prof. w uniwersytecie wrocławskim, wydał wiele rozpraw literackich (Studya literackie) i studyów lingwistycznych (Iter Florianense; Altpolnische Sprachdenkmäler — i inne).

Newton Izaak (1642—1727), znakomity matematyk, astronom i fizyk, prof. matematyki w Cambridge.

Norwid Cypryan, mieszkając na emigracyi w Paryżu, wydał kilka utworów poetycznych i literackich (np. O sztuce dla Polaków; O Jul. Słowackim — i inne).

Nowicki Emilian Klemens, prof. uniw. alexan. w Warsz., wydał kilka dzieł naukowych (np. O złamaniu kości, o odejmowaniu członków).

Odyniec Antoni Edward (1804—1885), przyjaciel Mickiewicza i towarzysz jego podróży w r. 1829 i 1830 (Listy z podróży).

poeta oryginalny (Poezye 2 t.; dramata: Felicyta, Barbara Radziwiłłówna, Jerzy Lubomirski) i doskonały tłómacz (Waltera Scotta, Moore'a i Byrona, 4 t.). Jako uzupełnienie Listów wydał Wspomnienia z przeszłości.

Okoński Władysław, p. Świętochowski.

Oleszkiewicz Józef (1777—1830), znakomity malarz, członek petersburskiej akademii sztuk pięknych.

Olizarowski Tomasz August (1811—1879), wychowaniec liceum krzemienieckiego, poeta. Przetłómaczył także A. Mickiewicza Konfederatów barskich i Jakóba Jasińskiego.

P. Ovidius Naso (43—17 po Chr.), poeta rzymski: Elegie; Fasti; Metamorfozy (Przemiany).

Padura Tomasz (1801—1871), poeta ukraiński, kolega szkolny Zaleskiego i Goszczyńskiego, pisał po polsku i po rusku.

Paprocki Bartosz (1543—1614), pierwszy polski pisarz heraldyczny (Gniazdo cnoty; Herby rycerstwa polskiego — i inne).

Paszkowski Józef (1816—1861), tłómacz Szekspira.

Pawiński Adolf (1840—1896), prof. uniw. warszawskiego: Sprawy Prus książęcych za Zygm. Aug. (1879); Stefan Batory pod Gdańskiem (1877); Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stef. Batorego (1881); Rządy sejmikowe w Polsce (1888); Polska XVI. w. pod względem geograficzno-statystycznym (5 tomów, 1883—89).

Persius (34—62 po Chr.), poeta rzymski, satyryk.

Piekosiński Franciszek (ur. 1844), prof. uniwers. Jagiellońskiego, opracował i wydał kilka pomników prawa polskiego, jako też wiele aktów dyplomatycznych w. średnich.

Pilat Roman (1846—1905), prof. literatury polskiej w uniwers. lwowsk.: Literatura polityczna sejmu czteroletniego (1872). Wiele rozpraw po różnych pismach.

Plato (429—347 przed Chr.), filozof grecki, twórca szkoły Akademików, autor bardzo wielu dzieł (dyalogów), np. Obrona Sokratesa; Kriton; Fedon czyli o nieśmiertelności duszy; Protagoras — i inne.

Plinius, naturalista rzymski, który w r. 79. zginął podczas wybuchu Wezuwiusza.

Plutarch (50—120 po Chr.), historyk grecki; znane są jego Żywoty sławnych mężów, greckich i rzymskich, pisane parami (paralelle).

Pope Aleksander (1688—1744), poeta angielski, szczeg. liryczny.

Possevino Antoni (1534—1612), Jezuita, autor kilku dzieł, np. *Bibliotheca selecta* albo *Apparatus sacer*.

Propertius Aurelius, starożytny poeta rzymski, elegik (48 przed — 22 po Chr.).

Prusinowski Aleksy (1819—1872), Wielkopolanin, ksiądz, znakomity kaznodzieja: Mowy na nabożeństwie żałobnem za Mickiewicza, Krasińskiego, Lelewela — i inne (Poznań, 1861).

Przyborowski Józef (1823—1896), Wielkopolanin: Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego (1857); Rodzina poety Kaspra Miaskowskiego (1862) — i inne.

Puszkin Aleksander hr. (1799—1837), poeta rosyjski.

Raciborski Adam, dr. medycyny, prof. w paryskiej akademii medycznej. Wydał wiele dzieł naukowych.

Raczyński Edward hr. (1787—1845), Wielkopolanin, gorliwie oddany celom naukowym; za jego staraniem powstała w Poznaniu biblioteka; on też wydał wiele cennych do historyi i literatury polskiej źródeł (np. Pamiętniki Paska, Radziwiłła, Kitowicza i innych).

Ranke Leopold (1795—1886), znakomity historyk niemiecki, długoletni profesor historyi w uniwersytecie berlińskim, napisał bardzo wiele dzieł cennych.

Remak Robert (1815—1865), dr. medycyny, wydał parę dzieł naukowych.

Rotteck Karol Wacław (1775—1840), sławny historyk niemiecki i prawnik, w swoim czasie głośny mąż stanu. Należał do twórców liberalnej teoryi konstytucyjnej, która wywarła wielki wpływ na historyę polityczną Niemiec 1830—1848. Główne dzieło: Allgemeine Geschichte w 9 tomach.

Rousseau Jan Jakób (1712—1778), jeden z najgłośniejszych pisarzów francuskich w w. XVIII. Jego dzieła: Nowa Heloiza; Umowa społeczna; Emil czyli o wychowaniu; Moje wyznania.

Rulhiére Claud. Carloman (1731—1791), historyk francuski, główne jego dzieło, gruntowne i życzliwe dla Polski: Histoire de l'anarchie de Pologne et du démembrement de cette republique (w 4 tomach wyszło r. 1807).

Rzyszczewski Leon, uczeń liceum krzemienieckiego, współpracownik Biblioteki warszawskiej, historyk, wydał między innemi (z Helclem i Maciejowskim): Kodeks dyplomatyczny polski.

Sand George, właśc. Dudevant Amantyna Aurora (1804—1876), wielkiego talentu autorka mnogich powieści: Indiana; Walentyna; André; Consuleo; Mauprat i inne. Wydała także kilka utworów dramatycznych.

Sarbiewski Kazimierz Maciej (1595—1640), poeta łaciński wielkiej sławy, »polski Horacy«. Ody jego tłómaczył Syrokomla.

Sardou Wiktoryn (ur. 1831), francuski poeta dramatyczny: Sąsiedzi; Rodzina Benoitonów; Nasi poczciwi wieśniacy; Serafina; Rabagas; Teodora — i inne.

Schelling Fryderyk Wilhelm (1775—1854), sławny filozof niemiecki. Dzieła jego wyszły razem zebrane w 14 tomach.

Schiller Fryderyk (1759—1805): Die Räuber; Fiesco; Kabale und Liebe; Don Carlos; Lied v. d. Glocke, Wallenstein; Maria Stuart; Die Jungfrau v. Orleans; Die Braut v. Messina; Wilhelm Tell.

Schlegel August Wilhelm (1767—1845), poeta, szczególnie ważny jako tłómacz Szekspira i Calderona, znany także jako krytyk (Vorlesungen über dram. Kunst u. Literatur).

Schlegel Karol Wilhelm (1772—1829), brat poprzedniego, sławny estetyk i historyk literatury (Ueber die neuere Geschichte; Geschichte der alten u. neuren Literatur).

Schlosser Fryderyk Krzysztof (1776—1861), sławny historyk niemiecki, długoletni prof. w uniwers. heidelberskim. Napisał wiele dzieł; ważniejsze są: Dzieje wieku XVIII; Historya powszechna (w 19 tom.).

Scott Walter (1771—1832), poeta i powieściopisarz angielski: Dziewica jeziora; Pieśni ostatniego Minstrela; Waverley; Narzeczona z Lammermooru, Ivanhoe, Kenilworth — i inne.

Scribe Augustyn Eugeniusz (1791—1861), autor wielu dramatów, zwłaszcza wielu komedyi (np. Szklanka wody; Wojna kobiet; Opowiadania królowej Nawarry). Pisał też libretta do wielu oper.

Semenenko Piotr (1814—1886), w powstaniu r. 1831 brał udział; wyświęcony r. 1841. Po śmierci Kajsiewicza generał zakonu OO. Zmartwychwstańców. Przeciw Towiańskiemu wydał: Towiański et sa doctrine (Paryż, 1850).

Sevigné Maria margrabina de (1627—1696): Listy do córki. Są to opowiadania o królewskim dworze i życiu w stolicy, spisywane dla córki bawiącej w Prowancyi. (Piękne studyum o tej autorce napisał Stan. Koźmian, Pisma t. 2).

Shelley Percy (1792—1822), poeta angielski: Prometeusz wyzwolony.

Sierociński Teodozy (1789—1857), gramatyk i pedagog, autor wielu dzieł gramat. (Pierwsze zasady gramatyki pol.; Gram. polska dla kl. I. i II.; Pogląd histor. na pisownię polską — i inne) i pedagog (Pedagogika).

Skarbek Fryderyk (1792—1866), powieściopisarz: Pan starosta; Życie i przypadki Faustyna Dodosińskiego; Powiastki polskie; — historyk: Dzieje księstwa warszawskiego; Dzieje królestwa polskiego; — ekonomista: Gospodarstwo narodowe.

Skobel Fryderyk Kazimierz (1806—1876), prof. medycyny w Krakowie, wydał wiele dzieł naukowych; szczególnie czuwał nad czystością jęz. polskiego.

Słowacki Euzebiusz (1772—1814), ojciec poety Juliusza, prof. liceum krzemienieckiego, wkońcu uniwersytetu wileńskiego (Dzieła, t. 4).

Smolka Stanisław (ur. 1850), prof. uniwers. Jagiell.: Henryk Brodaty (1872); Mieszko Stary i jego wiek (1881); Szkice historyczne (1882—1883, 2 tomy).

Sofokles (496—406), grecki poeta dramatyczny: Antygona; Król Edyp; Edyp w Kolonie; Ajas; Elektra; Filoktet.

Sokołowski Maryan (ur. 1839), prof. uniwers. Jagiellońskiego: Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy; Bizantyńska i ruska kultura; Sztuka cerkiewna na Rusi — i inne.

Soulié Melchior Fryderyk (1800—1847), poeta dramatyczny (Klotylda; Syn obłąkanego; Kochankowie z Murcyi) i powieściopisarz (Sathaniel; Pamiętniki szatana).

Sowa Antoni, właśc. Żeligowski Edward (1816—1864), wydał fantazyę dramatyczną p. t. Jordan (1846) i Poezye (1858).

Spasowicz Włodzimierz (ur. 1829), adwokat w Petersburgu, wydał: Historyę literatury polskiej (wyd. II 1880, po rosyjsku) i wiele rozpraw literackich, np. o W. Polu, o W. Syrokomli, o Konradzie Wallenrodzie — i inne.

Spencer Herbert (1820—1903), sławny angielski filozof i polityk, wydał wiele dzieł w tym kierunku (np. A system of synthetic philosophy; Education, intellectual, moral, physical; The classification of the scienses — i wiele innych).

Stadnicki Kazimierz hr. (1796—1886), autor wielu dzieł historycznych, szczególnie z dziejów Litwy (Synowie Gedymina; Bracia Jagiełły; Olgierd i Kiejstut — i inne).

Struve Henryk (ur. 1840), prof. filozofii w uniwers. warszawskim, wydał wiele dzieł naukowych, np. Synteza dwóch światów; Wykład logiki.

St. Simon Klaudyusz Henryk (1760—1825), założyciel nauki socyalistycznej, od niego nazwanej. Wydał wiele pism i broszur w tym kierunku.

Suchecki Henryk (1811—1872), prof. gimn. we Lwowie, potem prof. jęz. polskiego w uniwers. praskim, wkońcu w uniwers. Jagiell. w Krakowie: Nauka języka polsk.; Budowa jęz. polskiego, pojaśniona wykładem historycznym porównawczym.

Sue Eugeniusz (1804—1857), słynny w swoim czasie powieściopisarz francuski: Tajemnice Paryża w 8 tomach; Żyd wieczny tułacz w 10 tomach; Siedm grzechów głównych w 16 tom.

Swetoniusz *(C. Suetonius Tranquillus)*, historyk rzymski (około r. 100 po Chr.), napisał żywoty 12 pierwszych cesarzy (począwszy od Cezara); zachowała się cząstka z drugiego dzieła *de viris illustribus*.

Świętochowski Aleksander (ur. 1849), publicysta warszawski, znany także pod pseud. Władysł. Okońskiego (Niewinni; Antea; Za maską — i inne).

Szaniawski Józef Kalasanty (1764—1843), filozof: Co jest filozofia? — System chrystyanizmu krótko wyłożony; Rzut oka na dzieje filozofii od czasu upadku jej u Greków i Rzymian aż do epoki odrodzenia — i inne.

Szekspir Wilhelm (1564—1616), angielski poeta dramatyczny. Komedye: np. Wesołe kumoszki; Kupiec wenecki; Sen nocy letniej — tragedye: Hamlet; Makbet; Król Lir; Jul. Cezar; Antoniusz i Kleopatra; Koryolan; Otello; Romeo i Julia; —

tragedye z historyi angielskiej: Król Jan, Ryszard III, Henryk IV, VI, VIII.

Szmitt Henryk (1817—1883): Dzieje Polski XVIII i XIX w. (4 t.); Dzieje panowania Stan. Augusta (3 t.).

Szokalski Wiktor (1811—1891), dr. medycyny, prof. Szkoły Głównej w Warszawie, członek krakowskiej Akademii umiejętności, autor wielu dzieł naukowych.

Szubert Michał (1787—1860), dyrektor ogrodu botanicznego w Warszawie, autor kilku dzieł z zakresu botaniki.

Tasso Torquato (1544—1595), sławny poeta włoski, epik (Jerozolima wyzwolona, tłóm. Piotr Kochanowski). Bohaterem jego epopei jest Godfred.

Tegner Jezajasz (1782—1846), największy poeta szwedzki.

Teofrast (około r. 390 przed Chr.), filozof grecki, po Aristotelesie przywódca szkoły perypatetyków. Najważniejsze jego dzieło: O charakterach

Teokryt (około r. 300 przed Chr.), sielankopisarz grecki; pozostało po nim 30 sielanek.

Tibullus Albius (w ostatnim wieku przed Chr.), starożytny poeta rzymski, elegik (4 księgi).

Tieck Ludwik (1773—1853), poeta niemiecki.

Tomaszewski Dyzma Bończa (1749—1825): Jagiellonida czyli zjednoczenie Litwy z Polską, poemat oryginalny.

Tomicki Piotr (1464—1535), biskup krakowski, podkanclerzy koronny. Pozostawił wielki zbiór aktów dyplomatycznych (p. Działyński).

Towiański Andrzej przybył do Paryża r. 1841, † 1878 w Zurychu.

Trentowski Bronisław Ferdynand (1807—1869), filozof. Dzieła: Grundlage der universellen Philosophie; Vorstudien zur Wissenschaft der Natur; — Chowanna czyli system pedagogiki narodowej; Myślini czyli całokształt logiki narodowej — i inne.

Tretiak Józef (ur. 1841) wydał wiele rozpraw. Najważniejsze dzieło: Mickiewicz w Wilnie i Kownie (3 t.).

Trotz Abraham († 1769), prof. jęz. polsk. w uniwers. lipskim, wydał Słownik francusko-polsko-niemiecki.

Tyszyński Aleksander (1811—1880), prof. histor. literatury polskiej w Szkole Głównej w Warszawie, estetyk i krytyk: Rozbiory i krytyki (3 t.); Wizerunki polskie.

Ulanowski Bolesław (ur. 1860), opracował (wydawn. Akademii Umiej.) niektóre pomniki prawa polskiego.

Ulrich Leon (1811—1885), tłómacz Szekspira.

Varro *(Marcus Terentius Varro)*, jeden z najuczeńszych i najzasłużeńszych pisarzów rzymskich (116—27 przed Chr.). Z wielu dzieł jego pozostały: *De re rustica*; *De lingua latina* (część tylko) i fragmenta z innych dzieł.

P. Vergilius Maro (70—19 przed Chr.), poeta rzymski: Sielanki (10); Ziemiaństwo; Aeneis (epopeja w 12 pieśniach).

Vogt Karol, sławny naturalista, zwolennik nauki Darwina, od roku 1852 prof. geologii i zoologii w Genewie, wydał wiele dzieł naukowych (n. p. Bilder aus d. Thierleben; Zoologische Briefe; Vorlesungen über den Menschen; Lehrbuch der Geologie; Praktische Anatomie).

Waga Antoni (1799—1890), prof. liceum warszawskiego, odbywał podróże po Europie i Afryce; pierwszy polski entomolog; wydał wiele dzieł naukowych.

Walewski Antoni (1805—1876), prof. uniwer. Jagiellońskiego: Filozofia dziejów Polski i metoda ich badania.

Warszewski Józef (1812—1866), słynny podróżnik i zbieracz roślin w południ. Ameryce; inspektor ogrodu botanicznego w Krakowie. Sprowadził do Europy wiele gatunków roślin.

Wasilewski Edmund (1814—1846), poeta: Krakowiaki (Wesoły, szczęśliwy — Zapomniane skrzypki); Pieśń żeglarzy.

Wegner Leon (1824—1873), Wielkopolanin, historyk: Dzieje 3. i 5. maja 1791; Sejm grodzieński ostatni; Tadeusz Rejtan — i inne.

Wieland Krzysztof Marcin (1733—1813), jeden z najważniejszych pisarzów niemieckich z drugiej połowy w. XVIII. (Geschichte der Abderiten. — Oberon w 14 pieśniach).

Wilkoński August (1805—1852), jeden z największych humorystów polskich, wydał Ramoty i ramotki w 5 tomach.

Witwicki Stefan (1800 1847), ukończywszy nauki w Krzemieńcu, osiadł r. 1820 w Warszawie, gdzie naśladując Mickiewicza, wydał Ballady i romanse w 2 t. (1824) i Edmunda (1829). Od r. 1831 bawił w Paryżu, gdzie należał do grona przyjaciół Mickiewicza. Poeta (Pieśni sielskie, Poezye biblijne, gawędy) i prozaik (Wieczory pielgrzyma, powieści p. t. Gadugadu, Listy z zagranicy).

Wójcicki Kazimierz Władysław (1807—1879), Warszawianin, autor wielu dzieł: Hist. literatury pol. w zarysach (w 4 tom.); Teatr starożytny w Polsce (2 t.); Ostatni klasyk; Warszawa, jej życie umysłowe w ciągu lat 30 w. XIX — i inne.

Wojciechowski Tadeusz (ur. 1838), prof. uniw. lwowsk., wydał: Chrobacya; O rocznikach polskich X do XIV wieku.

Wolski Włodzimierz (1824—1882): Poezye (w 2 tom.); Promyki; libretta do oper Moniuszki: Halka i Verbum nobile.

Zakrzewski Wincenty (ur. 1844), profesor uniwersytetu Jagiellońskiego: Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce; Stosunki Stolicy apostol. z Iwanem Groźnym; Po ucieczce Henryka.

Zalewski Kazimierz (ur. 1848), komedyopisarz: Przed ślubem: Złe ziarno; Artykuł 264; Friebe; Małżeństwo Apfel — i inne.

Zamoyski Jan (1543—1705), kanclerz i hetman w. kor.

Zan Tomasz († 1855), towarzysz i przyjaciel A. Mickiewicza.

Zeiszner Ludwik (1805—1871), Warszawianin, prof. mineralogii w uniw. Jagiellońskim: Pomiary barometryczne Tatrów; Krótki opis historyczny, geologiczny i górniczy Wieliczki; Geologia.
Zieliński Gustaw (1809—1881), wydał utwory: Krigiz; Stepy.
Zmorski Roman (1824—1867), poeta oryginalny i tłómacz, szczególnie pieśni serbskich.
Żmichowska Narcyza, Gabryela (1819—1876), Warszawianka: Pisma w 4 tomach; Wybór poezyi p. t. Kwiaty rodzinne.
Żukowski Bazyli (1783—1852), poeta rosyjski.
Żyglińskі Franciszek (1816—1849) wydał: Dumki i fantazye.

OMYŁKI DRUKU:

Str. 274. w. 21. z dołu zamiast *fervide* ma być *servile imitatorum pecus*.

Str. 276. w. 24. z góry ma być: Wstydź się, przecie ty znasz...

Str. 281. w. 3. z góry ma być: Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza.

UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY
BERKELEY

Return to desk from which borrowed.
This book is DUE on the last date stamped below.

18Mar'50AC

16Nov'61MJ

REC'D LD
NOV 20 1961

13Apr'62PA

REC'D LD
APR 6 1962

LD 21-100m-11,'49(B7146s16)476

U. C. BERKELEY LIBRARIES

C043144200

2C2780 E84
T18J
1900
v.2

THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY